



SIGRID  
UNDSET

OLAF  
SYN AUDUNA  
I

SIGRID UNDSET

# OLAF SYN AUDAUNA

Z niemieckiego tłumaczenia przełożyła Wanda Kragen

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX

1970

# TOM 1

CZEŚĆ PIERWSZA  
OLAF SYN AUDUNA  
ŻENI SIĘ

Synami Steinfinna zwano ród żyjący w gminach dokoła jeziora Mjøs wtedy, kiedy w Norwegii panowali synowie Haralda Gille<sup>[1]</sup>. W owej epoce mężowie tego rodu zamieszkiwali wielkie dwory rozrzucone w każdej parafii nad brzegami jeziora.

W czasach zamętu, który ogarnął kraj<sup>[2]</sup>, synowie Steinfinna myśleli przede wszystkim o tym, by utrzymać swe włości i dwory nie naruszone i całe; byli zaś tak potężni, że przeważnie im się to udawało, niezależnie od tego, czy Oplandia rządzą Birkebejnowie, czy też ktoś z ich przeciwników. Zdawali się nie troszczyć zbytnio o to, kto w końcu zostanie królem Norwegii; kilku mężów tego rodu poszło jednak za królem Magnusem, synem Erlinga, a następnie za Sigurdem, wychowankiem Markusa, i byli im wierni; Sverre zaś i jego ród nie popierali synów Steinfinna bardziej,

- [1] *...Panowali synowie Haralda Gille* – Harald Gille panował w latach 1130-1136, jego synowie, Sigurd i Oistein, w latach 1137-1157.
- [2] *W czasach zamętu, który ogarnął kraj...* – za panowania Magnusa, syna Erlinga (1161-1180), wybucha w 1177 r. powstanie ludowe partii Birkebejnów walczących o ograniczenie przywilejów możnowładztwa świeckiego i duchownego. W 1180 r. przywódca Birkebejnów, Sverre, pozbawia tronu Magnusa i sam ogłasza się królem. Za jego panowania (1180-1202) walki trwają nadal. Po śmierci Magnusa (1184) zwolennicy dynastii Inglingów, nie bez racji – jak się zdaje – kwestionujący prawa do tronu Sverrego, gromadzą się przy wspomnianym w tekście Sigurdzie. W 1196 r. powstaje klerykałno-konserwatywna partia Baglerów, która podejmuje walkę ze Sverrem. Za panowania Haakona, syna Sverrego (1202-1204), i Ingego, syna Baarda (1204-1217), przewaga Birkebejnów maleje. W 1208 r. zawarta zostaje ugoda z Baglerami. Za panowania Haakona Starego (1217-1263) wojna wybucha na nowo i kończy się ostatecznie w 1240 r., kiedy ginie król Skule, ostatni groźny przeciwnik dynastii Sverrego.

aniżeli musieli. Tore, starszy syn Steinfinna na Hov, oraz jego synowie przystali do króla Skulego<sup>[3]</sup>, ale potem, gdy w kraju zapanował znów spokój, pojednali się z królem Haakonem<sup>[4]</sup>.

Od tego czasu jednak powaga rodu nieco podupadła. Spokojniej było teraz w gminach, a prawo i ustawy odzyskały znów znaczenie. Największą władzę zdobyli obecnie ci mężowie, którzy byli pełnomocnikami króla albo należeli do jego drużyny i cieszyli się zaufaniem władcy. Synowie Steinfinna natomiast siedzieli w domu, na swoich włościach i zadowalali się rządami we własnych dobrach.

Wciąż jeszcze był to ród majątny. Synowie Steinfinna, ostatni spośród możliwych Oplandii<sup>[5]</sup>, posiadali niewolnych i nadal przyjmowali potomków wyzwoleńców do służby lub jako dzierżawców. Powiadano w gminach, iż są żądni władzy. Byli jednak na tyle rozsądni, że wybierali podwładnych tak, by móc łatwo nimi kierować. Mężowie tego rodu nie uchodzili za

---

[3] ...do króla Skulego... – jarl Skule, syn Baarda, brat wspomnianego wyżej króla Ingego, połączył się z Birkebejnami w okresie ich największych sukcesów i przez pewien czas (w okresie niepełnoletności Haakona, syna Haakona, zwanego później Starym) był regentem państwa. Haakon poślubił jego córkę Małgorzatę i nadał mu tytuł książy (herlug), dawniej w Norwegii nie używany. Pragnąc jednak samemu zostać królem Skule postanowił złożyć z tronu zięcia. Poparty przez szlachtę prowincji północnych oraz wszystkich wrogów dynastii Sverrego odniósł początkowo szereg świetnych zwycięstw i zdobył Oslo, ale ostatecznie został pobity i zginął w Rein koło Nidaros (1240 r.).

[4] ...z królem Haakonem – Haakon Stary, wnuk Sverrego, jeden z największych królów norweskich. Przywrócił pokój wewnętrzny w Norwegii i próbował odzyskać dla niej hegemonię morską w północnej części Atlantyku i na Morzu Północnym. Podbił Islandię i Grenlandię, popierał Szkotów w ich walce z Anglikami.

[5] Oplandia – wyżynna kraina w centrum południowej Norwegii (główne miasto Lillehammer).

najmędrszych, ale w żadnym razie nie można ich było zwać głupcami; okazali dosyć rozumu, kiedy chodziło o zachowanie majątku. Nie byli również zbyt srogimi panami dla swych podwładnych, jeżeli tylko żaden z nich się nie buntował.

Dwa lata przed śmiercią króla Haakona Starego<sup>[6]</sup> posłał Tore, młodszy syn Torego na Hov, swego najmłodszego syna Steinfinna na służbę do króla. Steinfinn liczył wówczas osiemnaście lat i był roslym i urodziwym młodzieńcem, ale zarówno jego, jak i jego krewnych, ludzie poznawali po koniach i stroju, po broni i klejnotach. Gdyby jednak ubrać młodego Steinfinna w chłopską siermięgę, niejednemu, co poprzedniego wieczora zwał go przy piwie swoim przyjacielem i druhem, trudno byłoby go poznać. Synowie Steinfinna byli przeważnie pięknymi mężczyznami, ale podobni byli do całej gminy – tak mówiono. O tym zaś młodzieńcu prawili towarzysze, że rozum ma wprawdzie niemały, ale o wiele mniejszy aniżeli pychę.

Steinfinn przebywał teraz w Björgvin<sup>[7]</sup> i tam spotkał pewną dziewczę, Ingebjörgę córkę Jona, która bawiła na królewskim dworze przy królowej Ingebjördze. Ona i młodzieniec zapalali ku sobie wielką miłością. Steinfinn wysłał więc swatów do jej ojca. Lecz Jon odparł, iż jego córka jest już przyrzeczona Mattiasowi synowi Haralda, wiernemu i drogiemu przyjacielowi młodego króla Magnusa. Steinfinn nie mógł pojąć, że ktoś może poważnie odmówić jego konkuro. Powracał kilkakrotnie, uzyskał nawet poparcie mężów stanu, a w końcu samej królowej Ingebjörgi. Nic to nie pomogło, ponieważ Jon syn Paala nie chciał złamać danego Mattiasowi słowa.

[6] *Dwa lata przed śmiercią króla Haakona Starego...* – a więc w 1261 r.

[7] Björgvin – Bergen, duże miasto portowe na zachodnim wybrzeżu Norwegii.

Steinfinn towarzyszył królowi Haakonowi<sup>[8]</sup> w jego ostatniej wyprawie za morze. W bitwie pod Largs<sup>[9]</sup> zdobył wielką sławę dzięki swemu męstwu. A gdy król leżał chory w Kirkevaag, Steinfinn pełnił przy nim nieraz nocą straż i uważał, że król okazywał mu wiele łaskawości.

Następnego lata Steinfinn przebywał znowu w Björgvin. Pewnego ranka kilka panien z orszaku królowej, wracających z kaplicy klasztornej na zamek królewski, spotkało po drodze Steinfinna i jego giermka; jechali konno ulicą i prowadzili za wodze pięknego konia. Steinfinn twierdził, że kupił go tego rana, tak jak go tu widzą – z damskim siodłem i uździenicą. Powitał panny dwornie i wesoło, i jął je nakłaniać, by wypróbowały konia. Udali się przeto wszyscy razem na łąkę i tam zabawiali się chwilę. Kiedy jednak z kolei Ingebjörga córka Jona znalazła się na siodle, Steinfinn oświadczył, że może jej pożyczyć konia, aby pojechała na dwór królewski, i że on sam ją odprowadzi. I tyle tylko słyszano o tych dwojgu, że przejechali Vors i udali się w góry. Wreszcie przybyli na Hov. Tore był zrazu oburzony postępkami syna, później jednak podarował mu dwór Frettastein leżący na uboczu w leśnej gminie. Tam żył Steinfinn z Ingebjörgą, jak gdyby byli prawnie zaślubieni, i gdy Ingebjörga następnej wiosny powiła mu córkę, zaprosił najznamienitszych gości na chrzciny. Nikt nie żądał od niego zadośćuczynienia ani za porwanie kobiety, ani za ucieczkę z drużyny królewskiej. Mówiono, że zawdzięczał to królowej Ingebjördze. W końcu udało się królowej pogodzić oboje młodych z Jonem synem Paala; oddał on Steinfinnowi córkę za żonę i wyprawił im gody weselne na królewskim dworze w Oslo, gdzie był wówczas burgrabią.

---

[8] ...*towarzyszył królowi Haakonowi w jego ostatniej wyprawie za morze* – była to wyprawa do Szkocji.

[9] Largs – miejscowość w południowej Szkocji na zachód od Glasgow (hrabstwo Ayr).



Ingebjörga spodziewała się wtedy trzeciego dziecka, lecz ani ona, ani Steinfinn nie okazali Jonowi należytej pokory i nie podziękowali mu za ojcowskie przebaczenie tak, jak by się godziło. Steinfinn darował swemu świekrowi i krewnym żony kosztowne upominki; poza tym jednak i on, i Ingebjörga dumni byli wielce i zachowywali się tak, jakby już przedtem żyli ze sobą we czci i nie mieli potrzeby ukorzyć się, aby poprawić swoje położenie. Na wesele zabrali starszą córeczkę, Ingunę. Steinfinn tańczył z dziewczynką na ramieniu i pokazywał ją wszystkim. Miała trzy latka i rodzice dumni byli ponad wszystko z pięknego dziecka.

Pierwszy syn, którego Ingebjörga urodziła wkrótce po weselu, zmarł zaraz, po nim zaś wydała na świat nieżywe bliźniaki, chłopców. Wówczas ugięli kolan przed Jonem synem Paala, i z serca prosili go o przebaczenie, po czym Ingebjörga powiła dwóch żyjących synów. Z każdym rokiem była urodziwsza. Ona i Steinfinn żyli ze sobą w miłości, prowadzili dostatni dom, byli pogodni i zadowoleni.

Żył jednak pewien człowiek, o którym nikt nie myślał; Mattias syn Haralda, narzeczony Ingebjörgi, któremu nie dochowała wiary. W tym czasie gdy odbywało się wesele Steinfinna, wyjechał za granicę i przebywał tam wiele lat. Mattias był mężczyzną odważnym, nieugiętym i bardzo bogatym.

Siedem lat minęło już od ślubu Steinfinna i Ingebjörgi, ich córki, Inguna i Tora, liczyły lat dziesięć i osiem, a synowie byli jeszcze maleńcy, kiedy pewnej nocy Mattias syn Haralda wtargnął na Frettastein ze zbrojną drużyną. Był to czas sianokosów i znaczna część służby dworskiej przebywała poza domem; ludzi pozostałych we dworze zaskoczono we śnie. Steinfinn obudził się dopiero wtedy, gdy go wyciągano z łoża, w którym spał z żoną. Lato było tego roku upalne i ludzie kładli się nago. Zupełnie nagi, jak go matka na świat wydała, stał Steinfinn skrępowany obok własnego stołu pod strażą trzech ludzi.

Pani Ingebjörga bronila się jak dziki zwierz zębami i paznokciami, kiedy Mattias otulił ją w koc, wyniósł z łoża i posadził sobie na kolanach. Potem rzekł do Steinfinna:

– Teraz mógłbym wziąć odwet, na jaki zasłużyliście oboje; stałbyś przy tym, Steinfinnie, związany i bezwolny i nie mógłbyś bronić żony, gdybym chciał posiadać tę, która była przeznaczona mnie, a nie tobie. Lękam się jednak pogwałcić prawo Boskie i bardziej baczę na cześć i obyczaj aniżeli ty. Ukarzę cię więc w ten sposób, Steinfinnie, że otrzymasz z powrotem twoją żonę nietkniętą z mojej łaski. A ty, moja Ingebjörgo, żyj nadal z twoim małżonkiem i ostańcie oboje w szczęściu. Myślę, że po tej nocy będziecie mi dziękowali, ilekroć obejmiecie się w rozkoszy i radości – dodał i roześmiał się głośno.

Pocałował gospodynię i zaniósł ją z powrotem do łoża, a ludziom swym powiedział, że odjeżdżają.

Steinfinn nie wyrzekł słowa przez cały ten czas: gdy zrozumiał, że nie może się oswobodzić, stał cicho, ale twarz mu płonęła i nie spuszczał oka z Mattiasa. Ów zbliżył się do niego.

– Czy nie masz na tyle rozumu, człowieku, by mi podziękować za łaskę, jaką ci tej nocy wyświadczam? – zapytał drwiąco.

– Bądź pewien, że ci dziękuję – odparł Steinfinn – jeżeli tylko Bóg mi dożyć pozwoli. – Mattias miał na sobie kaftan z długimi rozciętymi rękawami, ozdobionymi na końcach chwastami. Teraz wziął taki chwast do ręki i lekko smagnął nim Steinfinna po policzku, śmiejąc się głośno. Nagle jednak zacisnął rękę i kułakiem uderzył związanego w twarz, tak że krew pociekła Stefinnowi z ust i nosa.

Potem wyszedł z izby ze swoimi ludźmi. Jedenastoletni Olaf syn Auduna, wychowanek Steinfinna, przyskoczył natychmiast i przeciął więzy swego opiekuna. Olafa i dzieci Steinfinna oraz ich niańki paru ludzi z bandy Mattiasa wywlekło do przedsionka i tam ich trzymano,

podczas gdy Mattias rozprawiał się w izbie z niewierną narzeczoną i jej małżonkiem.

Steinfinn chwycił oszczep i nago, tak jak stał, pognał za Mattiasem i jego ludźmi, którzy wśród śmiechu i kpin zjeżdżali po stromym zboczach na ukos przez pole. Cisnął oszczepem, lecz chybił. Tymczasem Olaf pobiegł do izby czeladnej i do stajni i wypuścił zamkniętych tam ludzi; Steinfinn zaś wrócił do izby, ubrał się tam i uzbroił.

Daremny jednak byłby pościg za Mattiasem na Frettastein bowiem były w tym czasie zaledwie trzy konie pasące się niedaleko na pastwisku. Mimo to Steinfinn natychmiast wybrał się w drogę, chciał udać się do swego ojca i braci. Zbierając się rozmówił się w cztery oczy z żoną; gdy był gotów do drogi, Ingebjörga odprowadziła go na dziedziniec. I tutaj obwieścił Steinfinn wszystkim domownikom, że nie będzie spał z żoną dopóty, dopóki nie zmyje hańby, tak aby żaden człowiek nie mógł powiedzieć, iż posiada żonę z łaski Mattiasa. Po czym odjechał, gospodyni zaś udała się do starej chaty stojącej poniżej na dziedzińcu i w niej się zamknęła.

Wszyscy domownicy, mężczyźni i kobiety, zaczęli się teraz tłoczyć do świetlicy, rozpytywać i badać. Wypytywali Olafa; siedział on na pół odziany na brzegu łoża, na którym tuliły się do siebie płaczące córki Steinfinna. Próbowali wywieść się o zajściu od dziewczynek i mamki najmłodszego syna Steinfinnowego. Lecz żadna z tych osób nie umiała nic wyjaśnić, z wolna więc, zmęczeni wypytywaniem, rozeszli się.

Chłopak siedział w mrocznej izbie i nasłuchiwał gorzkiego łkania Inguny. Potem wsunął się na posłanie i położył obok niej:

– Bądź pewna, Inguno, że twój ojciec pomści tę zniewagę, uczyni to niechybnie. I ja także będę z nim, i pokażę, że jeśli nawet synowie Steinfinna nie są jeszcze zdolni do noszenia broni, to ma on przynajmniej zięcia.

Po raz pierwszy odważył się Olaf mówić całkiem jawnie o zrękowinach, które swego czasu zawarto w imieniu jego i Inguny, kiedy byli jeszcze małymi dziećmi. W pierwszym okresie, jego pobytu na Frettastein zdarzało się nieraz, że ten lub tamten z czeladzi napomykał o tym i drażnił dzieci owymi zaręczynami; Inguna wybuchła za każdym razem gniewem. Kiedyś pobiegła nawet do ojca ze skargą, a Steinfinn wpadł w złość i zakazał służbie mówić o tym – zakazał tak gwałtownie, że niejeden pomyślał, iż Steinfinn żałuje swej umowy z ojcem Olafa.

Tej nocy jednak Inguna przyjęła słowa Olafa przypominające ich zrękowiny w ten sposób, że przytuliła się mocniej do chłopca i szlochała w jego ramionach, aż rękaw jego koszuli był zupełnie mokry od łez.



Od tej nocy życie na Frettastein biegło zupełnie inaczej niż dotychczas. Ojciec i bracia Steinfinna radzili mu, aby wystąpił na drodze prawnej przeciw Mattiasowi, lecz Steinfinn oświadczył, że sam chce wydać sąd, ile warta jest jego cześć.

Tymczasem Mattias pociągnął natychmiast na swój dwór w okręgu Borge.

Następnej zaś wiosny udał się z pielgrzymką za granicę. Skoro dowiedziano się o tym, a nadto rozniosła się wieść, iż Steinfinn tak się gryzie i martwi, że aż stał się odludkiem i nie chce mieszkać z żoną – zaczęto różnie mówić o zemście, jaką Mattias zgotował niewiernej narzeczonej. Aczkolwiek Mattias i jego ludzie nie inaczej przedstawiali zajście, aniżeli mówiono o tym na Frettastein, to jednak im dalej pogłoski rozchodziły się po kraju, tym gorzej miał się rzekomo Mattias obejść

ze Steinfinnem. Ułożono nawet piosenkę o tym wydarzeniu, a w niej opisywano całe zajście tak, jak je sobie ludzie wyobrażali.

Pewnego wieczoru Steinfinn siedział ze swymi ludźmi w świetlicy i pił – było to w trzy lata po najściu Mattiasa na dwór. Nagle rzucił pytanie, czy jest wśród nich ktoś, kto zna tę piosenkę. Z początku wszyscy udawali, że nic o niej nie wiedzą; kiedy jednak Steinfinn obiecał cenny podarunek temu, kto mu ją zaśpiewa, okazało się, że zna ją cała służba. Steinfinn wysłuchał piosenki do końca; chwilami tylko szczyrzył zęby, jakby w uśmiechu. Zaraz potem udał się na spoczynek wraz ze swym przyrodnim bratem, Kolbeinem synem Torego, i ludzie słyszeli, że obaj aż do północy leżeli bezsennie i omawiali tę sprawę.

Ów Kolbein był synem Torego na Hov i jego nałożnicy. Tore żył z nią przed swym ożenkiem i zawsze pokładał większe nadzieje w dzieciach z nią spłodzonych niż w potomkach pochodzących z prawego łoża. Zapewnił Kolbeinowi dobry ożenek i dał mu dużą posiadłość w okolicy Mjös. Kolbein nie przynosił z sobą szczęścia: był butny, porywczy, niesprawiedliwy i miał wieczne zatargi ze swymi podwładnymi oraz z własną rodziną. Nie miał też miru pośród ludzi, a przyjaźń między nim i przyrodnimi braćmi była mierna; dopiero w swym nieszczęściu Steinfinn zbliżył się do niego. Odtąd ci dwaj bracia trzymali się razem a Kolbein zajął się Steinfinnem i jego sprawami. Prowadził je jednak tak samo jak swoje własne i wywoływał wszędzie waśnie, nawet gdy działał w imieniu brata.

Na pewno Kolbein nie chciał mu szkodzić. Kiedy Steinfinn w swej bezradności oddał mu się całkowicie w ręce, Kolbein polubił go na swój sposób. W czasach powodzenia Steinfinn był leniwy i żył beztrosko: myślał raczej o tym, by żyć po pańsku, niż troszczył się o swe mienie. Po napadzie Mattiasa przez pewien czas unikał zupełnie ludzi; potem jednak za radą Kolbeina przyjął do służby całą gromadę parobków, ludzi

młodych, władających sprawnie bronią, szczególnie zaś takich, którzy już przedtem służyli u wielmożów. Steinform sypiał z nimi w wielkiej wspólnej świetlicy, towarzyszyli mu wszędzie, dokądkolwiek jechał; nie umieli jednak ani nie chcieli przyłożyć ręki do żadnej pracy, owi ludzie kosztowali więc go sporo, a korzyść z nich była nieznaczna.

Mimo to gospodarka na Frettastein rozwijała się dalej, bowiem wiekowy Grim, starszy parobek, i jego siostra Dalla, dzieci niewolnego u dziada Steinforma, mieli na oku jedynie dobro młodego pana. Teraz jednak, kiedy Steinform potrzebował koniecznie dochodów ze swych dóbr leżących w sąsiednich gminach, nie chciał ani widzieć swoich dzierżawców i zarządców, ani mówić z nimi. Kolbein zaś, który zamiast niego załatwiał wszystkie sprawy, wywoływał tylko nie kończące się niesnaski.

Ingebjörga córka Jona była dawniej dzielną gospodynią i to wyrównywało po części rozrzutność męża i jego wielkopański sposób bycia. Teraz jednak zamykała się ze swymi dziewczkami w starej chacie, a reszta czeladzi rzadko tylko ją widywała. Wciąż martwiła się i rozmyślała, nie pytała nigdy, co się dzieje w domu i we dworze, ba, gniewała się nawet, gdy ktoś przeszkadzał jej w ustawicznym rozmyślaniu. Nawet wobec dzieci, które mieszkały wraz z nią w starym domu, była milcząca i niewiele zwracała uwagi na to, co robią i czego potrzebują. A przecież dawniej, w latach pomyślności, była dobrą i serdeczną matką, Steinform zaś był czułym i wesołym ojcem, dumnym ze swych dorodnych i udanych dzieci.

Dopóki synowie, Halvard i Jon, byli maleńcy, brała ich Ingebjörga wprawdzie nieraz na kolana i hułała opierając brodę o ich jasne główki, ale i wówczas, smutna i zadumana, wpatrywała się w jeden punkt przed siebie. Zaledwie jednak chłopcy nieco podrośli, sprzykrzyło im się mieszkać ze smutną matką i jej dziewczkami w starej izbie.

Młodsza córka Steinforma, Tora, była miłym i ślicznym dzieckiem. Rozumiała dobrze, że rodziców spotkało nieszczęście i że żyją w trosce i zgrzyocie. Dlatego starała się dogadzać im we wszystkim, była uprzejma i kochająca. Nieraz gdy Steinform patrzył na nią, twarz jego rozjaśniała się na chwilę. Tora była pulchna i drobna, o delikatnych kończynach. Od najmłodszych lat miała w sobie dużo kobiecości. Twarz jej była owalna, lecz pełna, oczy modre, proste włosy barwy dojrzałego zboża, splecione w dwa grube warkocze spływały na ramiona. Ojciec głaskał ją po twarzy:

– Dobrze z ciebie dziecko, Toro, niech cię Bóg błogosławi. Idź do matki, Toro, usiądź przy niej i pociesz ją.

Tora szła do starej izby, siadała z wrzeczonym lub jakąś robótką obok smutnej matki i uważała się za stokrotnie wynagrodzoną, gdy Ingebjörga mówiła w końcu: – Jesteś dobra, Toro, niech cię Bóg strzeże przed wszelkim złem, moje dziecko. – Wówczas łzy tryskały z oczu Tora, myślała o ciężkim losie rodziców i ze słusznym gniewem patrzyła na siostrę, która nigdy nie miała na tyle wytrwałości, by spokojnie posiedzieć przy matce; swym ciągłym wierceniem się niecierpliwiła ją tak, że w końcu Ingebjörga sama wyprawiała ją z izby. Inguna beztrąsko wybiegała na dziedziniec i przyłączała się do zabaw i harców dzieci – był między nimi Olaf i kilku jeszcze chłopaków, synów ludzi dworskich.

Inguna była pierworodnym dzieckiem Steinforma i Ingebjörgi. Jako mała dziewczynka była tak przesłiczna, że wzbudzała ogólny zachwyt. Teraz jednak – zdaniem ludzi – nie była ani w połowie tak urodziwa jak siostra. Nie była również bardzo mądra i wymowna – ani lepsza, ani gorsza od większości dzieci. Mimo to ludzie lubili ją nie mniej od młodszej siostry, cichej i uroczej. Ludzie Steinforma patrzyli na Torę niemal z uwielbieniem, ale woleli, gdy Inguna przychodziła do nich do świetlicy.

Ani na Frettestein, ani na żadnym z dworów sąsiednich nie było

dziewcząt w jej wieku, Inguna przebywała zatem zawsze z chłopakami. Brała udział w ich zabawach i rozrywkach, zaprawiała się w tych samych ćwiczeniach cielesnych co oni, ciskała oszczepem i rzucała kamieniami, strzelała z łuku do celu, grała w piłkę, zakładała w lesie paście i łowiła ryby. Do wszystkiego zabierała się jednak niezbyt zręcznie, nie była ani odważna, ani zwinna; choć żywa, łatwo się poddawała i zaczynała płakać,, jeśli zabawa była zbyt gwałtowna albo też jeśli towarzysze jej dokuczali. Mimo to chłopcy zgadzali się, by się z nimi bawiła. Bądź co bądź była córką pana Steinfinna, a poza tym życzył sobie tego Olaf syn Auduna. A Olaf zawsze przewodził zabawie.

Olafa syna Auduna lubili bardzo wszyscy we dworze, starzy i młodzi, a jednak trudno byłoby go nazwać dzieckiem miłym. Zdawało się, że nikt nie może przeniknąć duszy tego chłopca, chociaż nigdy nie był wobec nikogo nieuprzejmy; raczej można by rzec, że – milczący i nieobecny – w jakiś sobie właściwy sposób okazywał się zawsze usłużny i wesół.

Był urodziwy, chociaż cerę i włosy miał całkiem jasne, niemal jak albinos. Lecz nie miał pochylonego karku, ani też unikającego światła wzroku albinosów. Niebieskozielone oczy Olafa miały barwę jasną, patrzyły szeroko w świat, głowę zaś trzymał prosto na silnej mlecznobiałej szyi. Miało się wrażenie, że ani słońce, ani plucha nie działają na jego skórę – była ona dziwnie jędrna, biała i gładka. Jedynie latem nad niską i szeroką nasadą nosa występowało kilka małych piegów. Ta zdrowa błądź już w dziecięcych latach nadawała twarzy Olafa wyraz zimny i nieporuszony. Twarz była również trochę za krótka i za szeroka, ale ładna. Oczy miał szeroko rozstawione, duże jednak i pięknie wykrojone, a brwi i rzęsy tak jasne, że w słońcu wyglądały jak złoty cień. Nos szeroki i prosty, cokolwiek za krótki, usta duże, lecz o ładnych, wyraźnie zarysowanych wargach; mogłyby uchodzić za piękne, gdyby nie były tak blade na bezbarwnym obliczu. Natomiast włosy miał Olaf niezrównane, tak jasne,



że lśniły raczej jak srebro niż jak złoto, bujne, miękkie i lekko falujące. Nosił je równo obcięte wokoło, z przodu opadały na szerokie czoło, na karku zaś odsłaniały wgłębienie między dwoma mocnymi ścięgami.

Olaf nie był nigdy wysoki na swój wiek, ale sprawiał wrażenie wyższego, niż był istotnie, dzięki kształtnej, zwartej i muskularnej budowie ciała. Małe stopy i ręce wydawały się niezwykle silne, napiętki i kostki u nóg były mocne i krągłe. Był rzeczywiście bardzo silny i zręczny; wszelkie ćwiczenia cielesne oraz władanie bronią – przychodziły mu z niezwykłą łatwością – nie było jednak nikogo, kto by go pouczył, jak ma właściwie ćwiczyć, by osiągnąć odpowiednią zaprawę w tych sztukach. W warunkach, które istniały na Frettestein w okresie dorastania Olafa, chłopak musiał sam dawać sobie radę ze wszystkim. Steinfinn, który przyrzekł zastąpić mu ojca, kiedy go wziął do siebie, nie uczynił nic, by dać dziecku odpowiednie wychowanie, godne młodzieńca dobrego rodu, dziedzica majątku i przyszłego małżonka Inguny.

Steinfinn został opiekunem Olafa w następujących okolicznościach:

Pewnego lata, w czasie kiedy Steinfinn żył jeszcze bez zmartwień i frasunku, miał coś do załatwienia na Eidsivatingu<sup>[10]</sup>. Pojechał więc z licznym poczem przyjaciół i krewnych, i zabrał z sobą żonę i sześciolletnią córeczkę Ingunę. Rodzice kochali tak bardzo to urocze dziecko, że nigdy

---

[10] ...na Eidsivatingu – tingi, wielkie wiece ludowe, będące pewnego rodzaju prymitywną formą parlamentu, posiadały rozległą władzę ustawodawczą i sędowniczą. Przed zjednoczeniem Norwegii przez Haralda Pięknowłosego (872 r.) wspólnota tingowa była jedyną więzią między poszczególnymi prowincjami rządzonymi przez własnych jarłów. Najważniejszymi spośród odbywających się corocznie tingów międzyprovincialnych były: Eidsivating gromadzący ludność okręgów południowo-wschodnich, Gulating (dla prowincji centralnych) i Frostating (dla północnych).

się z nim nie rozstawali.

Na tingu spotkał Steinfinn pewnego człowieka, Auduna syna Ingolfa z Hestviken. Audun i Steinfinn dzielili nieduży łożo w świątyni królewskiej i zaprzyjaźnili się serdecznie, mimo że Audun był starszy i że różnili się wielce usposobieniem; Steinfinn był wówczas rozmowny, wesoły, chętnie opowiadał o sobie. Audun zaś przeważnie milczał i nigdy nie mówił o własnych sprawach.

Na wiosnę tego roku, kiedy król Haakon wybierał się do Szkocji, Audun ożenił się. Dostał za żonę Dunkę, Cecylię córkę Björna, towarzyszkę królowej Ingebjörgi, z którą razem przebywała w klasztorze Rind. Kiedy biskup z Oslo uprowadził przemocą do Norwegii narzeczoną króla Magnusa, ponieważ król duński złamał układ i wzbraniał się posłać tam swoją krewniaczkę, Cecylia przybyła razem z nią. Z początku młoda królowa pragnęła mieć dziewczynę zawsze przy sobie. Po roku jednak pani Ingebjörga zmieniła zamiar i postanowiła spieszenie wydać Cecylię za mąż. Niektórzy powiadali, że stało się to dlatego, ponieważ król Magnus chętniej rozmawiał z duńską panną, aniżeli to mogło być królowej miłe; inni znów twierdzili, że młody Alf syn Erlinga z Tornbergu zapalał ku niej namiętną miłością, ojciec jednak, lennik Erling, nie chciał pozwolić, by jego syn pojął za żonę cudzoziemkę, nie posiadającą w Norwegii ziemi ani krewnych. Młody Olaf był popędliwej natury i przeprowadzał zazwyczaj we wszystkim swą wolę, a kochał bardzo Cecylię. Wówczas królowa uciekła się do wybiegu i wydała dziewczynę za mąż, aby nie wpadła w nieszczęście.

Obojętne, czy było tak, czy inaczej – była ona obyczajna i ładna, i gdy Audun początkowo niechętny temu ożenkowi pomówił z Cecylią dwa czy trzy razy, jemu samemu zaczęło także zależeć na tym, by ją dostać za żonę. Wesele ich odbyło się na królewskim dworze w Björgvin. Stary król Haakon wyposażył narzeczoną i Audun odwiózł żonę na Hestviken. Tam

była bezpieczna zarówno przed królem Magnusem, jak i przed Alfem synem Erlinga.

W ciągu lata Audun ze swoim statkiem przyłączył się w Herdluvaag do floty królewskiej i wyruszył wraz z nią na wyprawę na Morze Północne. A gdy król przed Bożym Narodzeniem zmarł na wyspach Orkney – było to zimą roku 1263 – Audun prowadził okręt wiozący żałobną wieść do Norwegii. Potem pociągnął dalej na wschód, na swój dwór. Latem powrócił do drużyny młodego króla Magnusa. W tym to czasie żona jego zmarła w połogu i zostawiła mu syna. Audun stał się wprawdzie jeszcze bardziej milczący niż dawniej, mimo to wspominał Steinfinnowi od czasu do czasu o swoich sprawach. Na Hestviken siedział jego dziad; był już bardzo stary, i na domiar uparty. Nigdy nie był zadowolony z tego, że wnuk jego poślubił cudzoziemkę, nie mającą krewnych w Norwegii. Prócz niego żył we dworze stary stryj Auduna; ten znów był niespełna rozumu. Większą część życia na Hestviken spędziła Cecylia między tymi dwoma starcami. – Obawiam się, że nigdy nie czuła się dobrze tam, na wschodzie, mówił Audun. Dla uczczenia pradziada ochrzciła Cecylia dziecko jego imieniem – według duńskiego zwyczaju. Lecz dziad był wściekły z tego powodu. – w Norwegii nie daje się dziecku imienia żyjącego człowieka, chyba że życzy mu się śmierci – oświadczył. Złożyło się tak, że Audun został jedynym spadkobiercą tych dwóch starców. Ale na razie nie miał ochoty wracać na Hestviken; zamierzał pozostać nadal przy królu Magnusie.

Wkrótce potem Steinfinn uprowadził Ingebjörgę i od tego czasu nie słyszał nic o Audunie, aż dopiero na tingu spotkali się znówu. Audun miał ze sobą siedmioletniego synka i rozpytywał o ludzi z Soleyar, z którymi był umówiony. Wyglądał na chorego; był słusznej postawy, smukły i szczupły, twarz miał długą, nos cienki i ostry, niemal haczykowaty, a włosy i cerę zupełnie jasne. Teraz plecy jego zgarbiły się, był chudy

niczym szkielet, twarz miał zwiędłą, a usta sine. Syn jego natomiast, mały Olaf, był krzepki i urodziwy, tak samo jasny jak ojciec, poza tym jednak zupełnie do niego niepodobny.

Steinfinn powitał przyjaciela z niezwykle radością; lecz wnet posmutniał widząc, jak bardzo Audun jest schorowany. Nie chciał nawet słyszeć o tym, by Audun miał zamieszkać gdzie indziej niż we dworze, w którym on sam się zatrzymał na czas tingu.

Po drodze opowiadał Audun, że ludzie, z którymi miał się tu spotkać, są wnukami brata jego dziada: – Bliższych krewnych nie ma, oni więc muszą zająć się Olafem, gdy umrę. – Dwaj starcy w Hestviken żyli jeszcze, byli już jednak zupełnie niedołężni, on sam zaś cierpi na jakąś wewnętrzną chorobę, nie może nic jeść ani pić i zapewne niedługo pożyje. Przez te wszystkie lata aż do ostatnich świąt Bożego Narodzenia był przy królu Magnusie; dopiero zmuszony chorobą powrócił do Hestviken. Od śmierci żony raz jeden tylko bawił na swym dworze, tak że dopiero tej zimy poznał syna. Teraz trapi się wielce przyszłością dziecka, tymczasem ci krewni z Soleyar nie przybyli, a jechać do nich nie miałby sił; ilekroć dosiądzie konia, chwytają go straszne bóle, a dziś jest już przedostatni dzień tingu. – Zakonnicy z Hovedö zajęliby się z pewnością Olafem, ale jeśli chłopcu w czasie pobytu w klasztorze przyjdzie ochota złożyć śluby i przywdziać szaty mnisze, to nasze pokolenie wygaśnie wraz z nim.

Ujrawszy piękne dziecko, które wkrótce miało zostać podwójną sierotą, Ingebjörga chciała je pocałować, lecz Olaf wymknął się jej i pobiegł do ojca, patrząc dużymi mądrymi oczami z niechęcią i zdziwieniem na obcą kobietę.

– Nie chcesz pocałować mojej żony, Olafie? – zapytał Steinfinn z głośnym śmiechem.

– Nie – odrzekł chłopaczek. – Bo Aslauga całuje Kolla...

Audun uśmiechnął się, lekko zakłopotany. – To dwoje starych ludzi, służących w Hestviken – objaśnił i wszyscy dokoła roześmiali się głośno, a Olaf pokraśniał i spuścił oczy. Ojciec skarcił go i rozkazał mu powitać dwornie i uprzejmie gospodynię. Musiał więc podejść i pozwolić się pocałować, a kiedy potem mała Inguna powiedziała, że ona także chce go pocałować, Olaf posłusznie podszedł i nachylił się tak, że dziewczynka mogła dosięgnąć jego ust. Twarz mu pałała, a oczy miał pełne łez; mężczyźni śmiali się i żartowali, że Olaf nie zna się na łaskach pięknych kobiet.

Pod wieczór, gdy po posiłku siedziano przy kielichach, Olaf trochę jednak roztąjał. Inguna biegała wzdłuż ław i, gdy znalazła wolne miejsce, wspinała się na nie, siedziała chwilę i wymachiwała nogami, potem znowu zsuwała się z ławy, biegła dalej na inne miejsce i tam z kolei siadała. Dorośli śmiali się, nawoływali i łapali dziewczuszkę, więc Inguna bawiła się coraz swobodniej i żywiej. Nagle Olaf powziął jakby ważne postanowienie: wstał ze swego miejsca obok ojca, poprawił nowy pas z zatkniętym za nim sztyletem, przeszedł izbę i usiadł obok Inguny. A gdy zsunęła się z ławy i pobiegła dalej, chłopiec z lekkim wahaniem poszedł za nią i znów usiadł obok małej. Tak bawili się oboje i biegali wzdłuż ław – Inguna ze śmiechem i krzykiem, Olaf cicho i poważnie; od czasu do czasu spoglądał na ojca i niepewny uśmiech błąkał się po jego ładnej chłopięcej twarzy.

Kiedy Steinfinn i Audun podnieśli się, by wziąć dzieci za ręce i zaprowadzić do płonącego na kominie ognia, siedziały one w kącie i drzemały. Goście ustawili się w krąg, wszyscy już nieco podpici. Steinfinn sam nie stał zbyt mocno na nogach, kiedy wziął rękę córki i włożył ją w rękę Olafa. Potem Steinfinn i Audun uderzeniem dłoni przypieczętowali zrękowiny dzieci. Audun dał Olafowi złoty pierścień, pomógł mu wsunąć

go na palec Inguny i podniósł rękę dziewczynki w górę tak, by wszyscy mogli widzieć ciężki pierścień, zwisający luźno na jej palcu. Ingebjörga i kobiety śmiały się i płakały na przemian, nigdy bowiem nie widziano czegoś bardziej uroczego niż tych dwoje malutkich narzeczonych.

Potem matka napełniła róg i kazała córce przepić do narzeczonego, a dzieci piły i rozlewały trunek. Steinfinn ramieniem objął szyję przyjaciela i płaczącym głosem przysięgał na wszystkie świętości, że Audun nie ma potrzeby martwić się o dziecko, które pozostawi: on sam wychowa Olafa i będzie mu ojcem aż do czasu, gdy chłopak podrośnie na tyle, że będzie mógł zabrać narzeczoną na swój rodzinny dwór. Tak rzekł Steinfinn i ucałował Auduna w oba policzki. Ingebjörga zaś wzięła dzieci na kolana i obiecała zastąpić Olafowi matkę przez pamięć Cecylii córki Björma, którą kochała jak siostrę.

Kazała Olafowi ucałować narzeczoną. I chłopiec podszedł śmiało, objął Ingunę za szyję, ucałował ją, jak tylko umiał najserdeczniej, a obecni śmiali się i pili za zdrowie narzeczonych.

Olafowi spodobała się widocznie ta zabawa, bo nagle przyskoczył do Inguny, znów ją objął za szyję i pocałował głośno trzy, cztery razy. Mężczyźni ryczeli ze śmiechu, pokrzykiwali i zachęcali chłopca, aby dalej tak robił.

Czy Inguna zawstydyła się słysząc śmiech, czy też z dziecinnego kaprysu chciała się wywinąć z ramion Olafa, dość, że kiedy przycisnęła ją mocniej do siebie, ugryzła go z całej siły w policzek.

Olaf stał chwilę oszołomiony i bez ruchu. Potem potarł policzek, na który z wolna wystąpiły krople krwi. Przez chwilę patrzył na swoje zakrwawione palce – potem chciał się rzucić na Ingunę i uderzyć ją, lecz ojciec wziął go na ręce i zaniósł do łóża, gdzie dzieci miały spać. Tak rozebrano narzeczoną i narzeczonego i położono ich do łóżka; dzieci wkrótce zapomniały o całej biesiadzie i zasnęły.

Nazajutrz, gdy Steinfinn wytrzeźwiał, chciał odwołać całą historię. Powiedział, że były to tylko żarty; jeśli chcą połączyć dzieci z sobą, muszą przedtem poważnie tę sprawę omówić. Audun jednak, który z powodu choroby nie pił wcale, bronił się. Zaklinał Steinfinna, aby pamiętał, że dał słowo człowiekowi umierającemu, i że Bóg na pewno skarałby go, gdyby złamał obietnicę daną sierocie.

Steinfinn rozważał. Audun syn Ingolfa pochodził ze starego i dobrego rodu, choć teraz liczył on niewielu członków i nie był potężny. Lecz Olaf był jedynym dziedzicem i chociaż nie spodziewał się innej spuścizny prócz rodowej siedziby w Hestviken, był to jednak okazały dwór. On sam mógł mieć jeszcze wiele dzieci z Ingebjörgą – Olaf był odpowiednim mężem dla Inguny, jej przecie mogła przypaść tylko część schedy należnej córkom. Tak więc Steinfinn powtórzył na trzeźwo słowo dane po pijanemu, przyrzekł wychować Olafa i oddać mu swą córkę za żonę, gdy oboje dojdą do odpowiedniego wieku. I kiedy powracał z tingu do domu, zabrał ze sobą na północ Olafa syna Auduna.



Tej samej jeszcze jesieni dotarła na Frettastein wieść, że ojciec Olafa umarł niedługo po śmierci dziada i obłąkanego stryja. Gońcy przywieźli część ruchomej spuścizny po ojcu i matce – odzież, broń i szkatułkę z klejnotami. Dworem w Hestviken miał zarządzać tymczasem stary krewny chłopca, zwany Olafem Półmniczem.

Steinfinn wziął w przechowanie mienie wychowanka i dwukrotnie wybierał się, by przez ludzi jadących do Oslo posłać Olafowi Półmniczowi wiadomość, że chciałby się z nim spotkać. Wówczas jednak do spotkania nie doszło, później zaś Steinfinn przestał się zajmować tą sprawą.

Ostatecznie i do swoich własnych spraw nie bardziej się kwapił. Zarówno on, jak żona odnosili się życzliwie do Olafa i nie robili różnicy między nim i rodzonymi dziećmi, aż przyszło owo nieszczęście. A i potem nie zaniedbywali wychowanka bardziej od własnych dzieci.

Na swój sposób Olaf zadomowił się rychło na Frettastein. Polubił bardzo Steinfinna i Ingebjörgę, ale że był dzieckiem cichym i skrytym, pozostał im nadal trochę obcy. Nie miał uczucia, że naprawdę do nich należy, chociaż czuł się tu lepiej, niż tam, skąd przybył. Unikał, o ile mógł, myślenia o swym pierwszym domu na Hestviken. Ale mimo to wspomnienie tamtych czasów nasuwało mu się czasami. Ilekroć myślał o tych wszystkich starych ludziach na Hestviken, ogarniała go zawsze niechęć. Czeladź była tam wiekowa, a pradziad chodził po domu i pilnował starego pomyłonego syna, którego ludzie zwali Dritskjegg – musiano go karmić jak dziecko i trzymać z daleka od ognia, wody i noży. Olaf wałęsał się przeważnie sam, nie wiedząc wcale, że może być inaczej. Jak daleko sięgał myślą w przeszłość, niechlujny wygląd i ohydna woń Dritskjegga stanowiły część życia na dworze. Podobnie napady szaleńca, podczas których wył, ryczał, były czymś tak zwyczajnym, że wcale się ich bardzo nie obawiał. Lecz unikał tych wspomnień... w ostatnich latach pradziad zabrał go kilkakrotnie do kościoła i tam ujrzał obcych ludzi, również kobiety i dzieci, nigdy jednak nie przyszło mu na myśl, by się z nimi spotkać lub porozmawiać; byli niejako częścią mszy. I jeszcze wiele lat potem, na Frettastein, mogło się zdarzyć, że Olaf poczuł się nagle samotny – jak gdyby życie tutaj pośród tych wszystkich ludzi było nierzeczywiste albo niezwykle jak niedziela w kościele; czekał tylko na to, kiedy będzie musiał odejść z powrotem do życia, z którego przybył. Była to zawsze tylko przelotna myśl; przemykała przez głowę i znikwała, ale nigdy nie



czuł się zadomowiony na Frettastein, chociaż nie było takiego domu, za którym by tęsknił.

Niekiedy jednak opadały go inne wspomnienia, a te niby cierń tęsknoty tkwiły w sercu. Przypominał sobie, jakby jakiś dawny sen, nagą skałę, która wznosiła się pośrodku Hestviken: w gorącym gładzie były szczeliny, Olaf leżał na skale i odłamkiem kości wyskubywał z nich mech. Majaczyły mu się obrazy miejsc, po których chodził i bawił się – płynące wspomnienia miały urok niewypowiedzianej słodczy. Na podwórzu za stajniami sterczał wysoki skalny zrąb z ciemnego, błyszczącego kamienia, po którym ustawicznie ściekała woda, a na wilgotnym pasie ziemi pomiędzy skałą i stodołą panował zawsze cienisty mrok i bujnie krzewiło się zielsko. W czasie odpływu tworzył się tam pas wybrzeża – Olaf chodził po nim, po morszczynach i chrzęszczących pod stopami kamyczkach, znajdował muszelki i oślizłe, wyszlifowane wodą kawałki zbutwiałego drzewa. Dalej ciągnęło się połyskliwe morze, a stary parobek Koli otwierał muszle i dawał mu je – Olaf czuł, jak mu ślina napływa do ust na samo wspomnienie smaku morskiej wody i tłustej żółtoróżowej zawartości, jaką wysysał z otwartych niebieskawych muszli.

Ilekoć nachodziły go takie wspomnienia, stawał się milczący i odpowiadał z roztargnieniem na pytania Inguny. Ale nigdy nie przyszło mu na myśl odejść od niej. Kiedy przychodziła i chciała być przy nim, nigdy nie myślał o tym, by ją zostawić samą, podobnie jak nie myślał o tym, że mógłby odejść od siebie samego. Tak się złożyło, takie było jego przeznaczenie, że zawsze miał być z Inguną. Była to jedyna pewność w jego życiu, że on i Inguna są ze sobą nierozzerwalnie złączeni. Rzadko powracał myślą do tego wieczoru, kiedy to zaręczono ich ze sobą, i wiele lat już minęło od chwili, kiedy ktoś wspomniał o umowie dotyczącej dwojga dzieci. Lecz pod wszystkim, o czym Olaf myślał i czuł, była świadomość – mocna jak stały grunt pod nogami: że zawsze ma żyć z

Inguną. Chłopiec nie miał krewnych, do których by Ignął; wiedział wprawdzie, że Hestviken jest obecnie jego własnością, ale z każdym rokiem obraz posiadłości zacierał się i stawał coraz bardziej nieuchwytny – był już niemal tylko jak okruchy snu. Kiedy myślał o tym, że kiedyś musi tam pojechać i zamieszkać, jedyną pewnością i prawdą było to, że weźmie z sobą Ingunę – będą we dwoje, by spotkać nieznaną przyszłość.

Nie zastanawiał też się nad tym, czy Inguna jest ładna, czy nie. Tora była ładna, widział to może dlatego, że tak często o tym mówiono. Inguna była jedynie Inguną – bliską i codzienną, zawsze obok niego. Nie zastanawiał się nigdy, jaka jest, w każdym razie nie myślał o niej inaczej, niż się myśli o pogodzie: musi się ją brać taką, jaka przychodzi. Kiedy była uparta i niezdolna, wpadał w złość i łajał ją, bił ją nawet, gdy byli młodszy. A gdy w czasie zabawy była uprzejma i miła dla niego i towarzyszy, Olaf był szczęśliwy, jak w czasie pięknego dnia. I przeważnie żyli w przyjaźni, jak zgodne rodzeństwo, niekiedy tylko sprzeczały się i gniewali na siebie, lecz żadne z nich nie pomyślało nigdy, że drugie mogłoby być inne, aniżeli jest.

W dziecięcej gromadzie na Frettastein puszczonej samopas, tych dwoje najstarszych trzymało się razem, wiedziało bowiem, że zawsze, w każdych okolicznościach mają razem pozostać. To była jedyna pewność i dobrze było mieć coś pewnego. Chłopiec wyrastający sam w domu obcej rodziny zżył się z przeznaczoną mu dziewczyną i miłość jego do tej jedynej istoty, którą znał naprawdę, rosła wraz z nim – nie zauważał tego nawet. Lubił Ingunę z przyzwyczajenia, zanim jeszcze jego miłość nabrała blasku i barwy i zanim się spostrzegł, że wypełnia go całego.

Tak było aż do czasu, kiedy Olaf syn Auduna ukończył szesnasty rok życia. Inguna liczyła wtedy piętnaście wiosen.

Olaf odziedziczył po ojcu wielki topór – berdysz ze stalowym ostrzem i złotymi ozdobami, wprawionymi w licowanie; drzewce było obłożone pasami z pozłacanej miedzi. Broń miała nazwę, zwała się Attarfylgia<sup>[11]</sup>.

Była to wspaniała broń i młody Olaf, jej właściciel, sądził, może i słusznie, że w całej Norwegii nie ma podobnej. Nikomu tego jednak nigdy nie powiedział, tylko Ingunie i dziewczyna tak samo była dumna z topora. Wisiał on zwykle nad jego łóżem, na ścianie w izbie.

Pewnego dnia teźże wiosny Olaf odkrył, że stalowe ostrze siekiery jest wyszczerbione, a gdy zdjął ją z haka, spostrzegł, że obłuźniło się trochę i tylko luźno tkwi w rowku. Olaf rozumiał, że daremne byłoby dochodzenie, kto używał broni i uszkodził ją. Toteż nikomu o tym nie wspomniał, tylko Ingunie. Naradzali się, co począć, i ułożyli, że gdy Steinfinn wybierze się znowu w podróż, Olaf pojedzie do Hamaru. Mieszkał tam słynny płatnerz; jeśli on tego nie zrobi, nikt inny broni naprawić nie potrafi. I pewnego rana, na dzień przed świętym Janem, Inguna przybiegła do Olafa z wiadomością, że ojciec zamierza tegoż jeszcze dnia pojechać na północ, do Kolbeina: będą więc mogli nazajutrz wybrać się do miasta.

Olaf nie spodziewał się, że Inguna z nim pojedzie. Wiele lat minęło, odkąd któreś z dzieci było w mieście, i Olaf nie pamiętał już, jak daleka jest droga. Liczył, że jeśli wyruszy wcześniej rano, zdąży przed wieczorem z powrotem. Inguna jednak nie miała własnego konia, a we dworze nie było takiego, którego by mogła dosiąść. Jeżeli będą na zmianę jechać na jego Łosiu, to nie wcześniej jak późną nocą wrócą do domu. Poza tym ona jechałaby cały czas konno, on natomiast musiałby iść – wiedział o tym doskonale z wszystkich poprzednich wyjazdów, kiedy wybierali się razem

---

[11] Attarfylgia – opiekuńczy duch rodu. (Przyp. tłum.)

na mszę do parafialnego kościoła w tym okręgu. Prócz tego Steinn i Ingebjörga na pewno będą się bardzo gniewali, gdy się dowiedzą, że bez zezwolenia zabrali Ingunę do Hamaru. Odpowiedział jednak dziewczynie tylko, że będą musieli zejść na wybrzeże i popłynąć łódką do miasta i że muszą wyruszyć przed świtem.

Nazajutrz przed wschodem słońca Olaf wykradł się z izby; na dworze było widno jak w dzień, cicho i chłodno. Powietrze rześkie było od rosy, ożywcze jak kąpiel po zaduchu wywołanym obecnością ludzi i psów w mieszkaniu. Chłopak wdychał je z przyjemnością, stojąc na progu i wypatrując, jaka zapowiada się pogoda.

Zielono-białe, osypane kwieciami, dzikie czereśnie stały wśród pól – była wiosna, nawet tu w górach. Głęboko w dole lśniło jezioro, matowe i szare, pokryte ciemnymi smugami: zapowiadało to ulewę w ciągu dnia. Niebo także było jakby zamglone, a nisko pod sklepieniem pędziło kilka ciemnych chmur – nocą padał już deszcz. Kiedy Olaf stanął na trawie, jego wysokie żółte buty z niefarbowanej skóry pociemniały z wilgoci, małe rdzawe plamki pojawiły się na cholewach. Usiadł więc na progu i ściągnął buty, związał rzemyk i przerzucił przez ramię, aby je ponieść wraz z płaszczem i siekierą.

Boso poszedł przez mokry dziedziniec ku domowi, w którym Inguna spała tej nocy z dwiema dziewczkami, aby móc raniutko wykraść się bez zwrócenia uwagi. Olaf włożył na tę podróż swój najlepszy strój: długi kaftan z jasnoniebieskiego angielskiego sukna oraz długie pończochy z takiegoż materiału. Ale wyrósł już trochę ze swych ubrań; kaftan był za ciasny na piersiach i sięgał zaledwie do połowy ud, a rękawy były za krótkie. Pończochy również opinały się na nogach, stopy zaś obcięła Ingebjörga jeszcze jesienią, kończyły się więc przed kostkami. Kaftan

spinała piękna szczerozłota klamra, pas wysadzany srebrnymi różyczkami zakończony był sprzączką z wizerunkiem świętego Olafa, a pochwa i ostrze sztyletu były pozłacane.

Olaf wszedł na ganek, lekko zapukał trzy razy do drzwi. Potem stanął i czekał.

Ptak jakiś ocknął się, zaświergotał i zaczął gwizdać – niby woda źródłana trysnął ten dźwięk pośród cichego, sennego ćwierkania w sąsiednich zaroślach. Olaf dojrzał ptaka: jak punkcik w powietrznej przestrzeni siedział na gałęzi świerka na tle złotych niebios.

Chłopiec widział, że drobne stworzonko kuli się i rozdyma niczym bijące małe serce. Strzępy chmur w górze zaczęły różowieć, zaróżowiło się też całe zbocze po drugiej stronie jeziora i odbiło się purpurowo w wodzie. Olaf zastukał powtórnie, tym razem mocniej – pukanie zabrzmiało tak głośno w ciszy porannej, że chłopak wstrzymał dech i nasłuchiwał.

Po chwili drzwi uchyliły się, stanęła w nich dziewczyna. Zmierzwione i bez połysku włosy okalały jej głowę, złotokasztanowate i bujne. Miała na sobie tylko koszulę; górna jej część z białego płótna była wyhaftowana w zielone i niebieskie kwiaty, dolną natomiast uszyto z grubego, nie bielonego płótna; cała koszula o wiele za obszerna spowijała szczupłe różowe nogi Inguny. Suknię niosła dziewczyna przewieszoną przez ramię, w ręce trzymała tobołek z żywnością. Podała go Olafowi, suknię rzuciła na ziemię, odgarnęła włosy z twarzy jeszcze zarumienionej od snu – jeden policzek był bardziej rumiany od drugiego. Wzięła pas i podwiązała nim koszulę.

Była wysoka i szczupła, o smukłych nogach, długiej szyi i kształtnej głowie. Twarz miała trójkątną, czoło niskie i szerokie, lecz śnieżnobiałe, ślicznie sklepione na skroniach; pociągłe, szczupłe policzki zbyt ostro zbiegały ku dołowi, tak że dolna część twarzy tworzyła nieco zbyt ostry i wydłużony podbródek, mały, prosty nosek był krótki i ścięty. A jednak

nad tą małą twarzyczką leżał nieuchwytny, niespokojny czar. Oczy miała bardzo duże i ciemnoszare, a ich białka były tak niebieskie, jak to bywa u małych dzieciątek; osadzone były głęboko w cieniu pod prostymi czarnymi kreskami brwi i białymi powiekami. Z wąskimi ustami o wargach czerwonych jak jagody, ze swą olśniewająco białą i różową cerą była Inguna urocza w swej nieskalanej młodości.

– Ubierz się prędzej – rzekł Olaf; siedziała bowiem na schodach i wciąż na nowo próbowała gładko nałożyć płócienne owijacze dokoła nóg; nie śpieszyła się. – Lepiej poniosłabyś pończochy i trzewiki w ręce, dopóki trawa nie wyschnie.

– Nie chcę iść bosą w tym chłódzie po mokrym zboczach – dziewczyna dygotała lekko.

– Rozgrzejesz się zaraz, jak tylko włożysz suknię. Nie możesz tak marudzić, niebo już czerwone na wschodzie, widzisz przecież.

Inguna nic nie odrzekła; rozwiązała owijacze i jeszcze raz zaczęła je nakładać. Olaf powiesił jej suknię na poręczy ganku.

– Musisz wziąć okrycie. Niepewna pogoda.

– Moje okrycie zostało na dole u matki, zapomniałam je zabrać wczoraj wieczorem. Wygląda raczej na piękną pogodę. Jeśli spadnie deszcz, znajdziemy z pewnością miejsce, gdzie będzie można się schronić.

– Jeżeli jednak deszcz zaskoczy nas w łódce... Zresztą nie możesz wejść do miasta bez płaszcza. Wtedy na pewno zechcesz pożyczyć okrycie ode mnie, jak zwykle.

Inguna spojrzała na niego przez ramię:

– Czemużeś taki nieuprzejmy, Olafie? – Znowu zaczęła poprawiać pończochy.

Olaf chciał ostro odpowiedzieć, ale gdy Inguna schyliła się, koszula ześliznęła się jej z ramion, obnażyła pierś, barki i ramiona. W tej chwili fala nie znanych dotąd uczuć ogarnęła chłopca – stał zmieszany

i onieśmielony i nie mógł oderwać wzroku od błysku jej nagiego ciała. Miał wrażenie, że nigdy jeszcze tego nie widział, rzecz dawno znana ukazała się nagle w nowym świetle; coś w jego duszy zachwiało się i uczucia dla przybranej siostry popłynęły nowym nurtem. Odczuł gorącą tkliwość, współczującą i dumną zarazem: jej barki przechodziły tak miękko w łagodną krągłość pachy, smukłe, białe ramiona wyglądały tak delikatnie, jak gdyby nie kryły wcale mięśni pod jedwabistą skórą. Przed zmysłami chłopca zamajaczyło wspomnienie niedojrzałego ziarna, które zawiera tylko mleczko. Miał ochotę wyciągnąć rękę, pogłaskać i pocieszyć Ingunę: tak mocno odczuł nagle różnicę pomiędzy jej wiotką słabością a własnym krzepkim ciałem. Widział ją przecież już przedtem nieraz w łaźni i oglądał samego siebie, swoją twardą i potężnie sklepioną klatkę piersiową, mięśnie, które splatały się silnie i płasko na brzuchu, napinały się na ramieniu i wyskakiwały, ilekroć je zginał. Z dziecięcą pychą radował się zawsze, że jest chłopcem.

Teraz to radosne samopoczucie własnej mocy i kształtności zostało przyćmione jakąś osobliwą czułością, ponieważ ona była taka słaba... Będzie jej zawsze broniał! Chętnie objąłby te szczupłe plecy, ukrył maleńkie dziewczęce piersi w swych dłoniach. Przyszedł mu na myśl pewien dzień tej wiosny, kiedy upadł na sterzącą kłodę – było to na budowie domu Gunleika – rozdarł sobie wówczas kaftan i skórę na piersi. Z dreszczem zrodzonym ze zgrozy i słodczy pomyślał, że nie pozwoli Ingunie już nigdy wspinać się na dach Gunleikowego domu.

Zaczerwienił się gwałtownie, kiedy spojrzała na niego.

– Dlaczego... dlaczego tak patrzysz? Matka nie zauważy, że jej wzięłam koszulę, sama nigdy jej nie używa.

– Nie zimno ci? – zapytał. Inguna zdziwiła się jeszcze bardziej, bo mówił tak cicho i łagodnie, jak wtedy, kiedy podczas zabawy zbyt jej dokuczali.

– Ech, nie tak znowu zimno, żebym nie mogła wytrzymać.

– Nie, ale mogłabyś nareszcie włożyć suknię – mówił zatroskany. – Masz już gęsią skórę na ramionach.

– Żebym już tylko spięła tę koszulę! – Brzegi jej wzdłuż wycięcia były sztywne od haftu i Inguna męczyła się nie mogąc przeciągnąć tkaniny przez małe kółko klamry.

Olaf odłożył brzemień, które przed chwilą wziął już na ramię.

– Masz tu moją klamrę, jest większa. – Wyciągnął złotą klamrę z koszuli i podał ją dziewczynie. Inguna spojrzała na niego wielce zdumiona. Już i dawniej nudziła go nieraz, by pożyczył jej swoją klamrę; to rzecz niezwykła, że sam ją ofiarował – był to bowiem kosztowny i wspaniały klejnot z litego złota. Na zewnętrznym brzegu wyryte były pierwsze słowa Pozdrowienia Anielskiego i zdanie: *Amor vincit omnia*. Jej krewny Arnvid syn Finna powiedział, że znaczy ono: „Miłość zwycięża wszystko”, jako że Najświętsza Maryja Panna zwycięża wszelką wrogą złość swym pełnym miłości orędownictwem.

Inguna włożyła nareszcie odświętną czerwoną suknię i przepasała ją jedwabnym pasem – potem wygładziła palcami potargane włosy.

– Musisz mi jeszcze pożyczyć grzebienia, Olafie.

I choć po raz trzeci już podniósł swoje rzeczy, położył je spokojnie, wyjął z sakiewki grzebyk i podał go jej bez cienia niecierpliwości.

Kiedy potem zeszli na dół drogą pomiędzy opłotkami gminy, owa dziwna podniosłość uczuć z wolna opuściła Olafa. Tymczasem przejaśniło się zupełnie i słońce porządnie przygrzewało. Wszystko zaczynało mu nieznośnie ciążyć: tobołek z żywnością, berdysz, płaszcz, buty. Inguna ofiarowała się wprawdzie z pomocą, ale wtedy szli jeszcze przez gęsty las, w chłodnym cieniu drzew. Pachniało tak ożywczo igliwem, mchem



i młodymi liśćmi, słońce złożyło zaledwie wierzchołki drzew, a ptaki śpiewały pełną krtanią – świeżo rozkwitłe podniecenie żyło jeszcze w chłopcu. Prosiła go, aby przystanął na chwilę, gdyż musi na nowo zapleść włosy, zapomniała bowiem wstążki. Tak, taka była Inguna. Gdy rozplotła warkocze, jasne, złotobrunatne kędziory opłynęły prześlicznie jej skronie; potworzyły się jakby cienie w miejscu, gdzie krótkie włoski wily się tuż przy skórze. Na ten widok Olaf poczuł ponownie tkliwość w sercu. I gdy ofiarowała się z pomocą, potrząsnął tylko głową. A potem nie mówiła już o tym.

Tutaj, nad fiordem, lato było w pełni. Dzieci przedostały się przez płot i szły teraz ścieżką przez zagrodzone pastwisko – łąka wyglądała jak lawina ciemnopurpurowego i złocistożółtego kwiecia. Wokół kamieni, gdzie grunt był jałowy, gęsto jak dywan kwitły błękitne fiołki, a w cieniu olszynowego zagajnika błyskały w soczystej zieleni czerwone, ogniste dzikie goździki. Inguna przystawała co chwilę, by zrywać kwiaty, a Olaf niecierpliwił się coraz bardziej, bo chciał jak najprędzej dojść do łódki i złożyć ciężkie brzemię. Głodny był również – żadne z nich bowiem nie jadło jeszcze tego dnia. Kiedy jednak Inguna rzekła, że mogliby usiąść tutaj, w cieniu nad strumykiem i pożywić się, odparł krótko, że ma być tak, jak on powiedział. Jeśli poszczęści im się i dostaną łódkę, mogą się w niej posilić, zanim odpłyną, ale nie wcześniej.

– Zawsze chcesz rządzić – narzekła Inguna.

– Pewnie, bo gdybym postąpił wedle twej woli, dojechalibyśmy dopiero jutro rano do miasta. Jeśli mnie natomiast posłuchasz, może jutro z rana o tej porze będziemy już z powrotem na Frettastein.

Inguna roześmiała się, rzuciła kwiaty i pobiegła za nim.

Przez całą drogę dzieci szły nad strumykiem płynącym na północ od Frettastein. W dole strumyk zamienił się w małą rzeczulkę, a na równinie, zanim wpadł do fiordu, rozszerzył się bardzo i płynął teraz szerokim,

płytkim łóżyskiem po wielkich, gładkich kamieniach. Jezioro tworzyło w tym miejscu dużą, półokrągłą zatokę; cały jej pas nadbrzeżny usiany był ostrymi, szarymi kamykami ze skalnego stoku. Jedyne wzdłuż rzeki aż do jeziora rosły sędziwe, okazałe olchy.

Przy ujściu rzeki, tam gdzie wybrzeże stykało się z zielonym łądem, droga wiodła obok kamiennego kopca mogilnego. Olaf i Inguna przystanęli, zmówili prędko *Pater noster* i *Ave Maria*; po czym każde z nich rzuciło kamień na kopiec na znak, że spełnili chrześcijański obowiązek wobec zmarłego. Był to podobno człowiek, który sam sobie zadał śmierć, ale wydarzyło się to już tak dawno, że w każdym razie ani Olaf, ani Inguna nigdy nie słyszeli, kim był ów nieborak.

Musieli przejść rzekę, by dostać się na przylądek, gdzie Olaf spodziewał się pożyczyć łódkę. Dla niego, bosego, było to drobnostką, lecz Inguna, zaledwie weszła do wody, zaczęła biadać, okrągłe kamyki umykały jej spod nóg, a woda była okropnie zimna i niszczyła jej najlepsze trzewiki.

– No to zaczekaj, wrócę i przeniosę cię – rzekł Olaf i poszedł po nią z powrotem.

Niosąc dziewczynę nie widział jednak dobrze, gdzie stąpa; na środku rzeki pośliznął się i upadł jak długi, razem z nią.

Lodowata woda pozbawiła go na moment tchu, świat zawirował mu przed oczyma. Obraz ten wrył mu się w pamięć na całe życie – wszystko, co widział w owej chwili, kiedy leżał w rzece z dziewczyną w ramionach: poprzez liście olszyny w małych plamach padały na płynącą wodę światła i cienie, głębiej, w słonecznym blasku falowała długa szara linia wybrzeża, a jezioro leżało połyskliwie i błękitne...

Potem podniósł się, ociekający wodą i zawstydzony, z pustymi ramionami i razem zaczęli brodzić ku brzegowi. Inguna ze złością wyciskała wodę z rękawów, wyżywała ją z warkoczy, z rąbka sukni. I skarżyła się, że potłukła się na kamieniach.

– Ach, bądźże już raz cicho – prosił nieszczęśliwy Olaf. – Czyż zawsze będziesz jęczeć z powodu każdego drobiazgu?...

Niebo nad nimi było teraz błękitne i bezchmurne, fiord leżał prawie nieruchomy, tylko tu i ówdzie migał małymi słonecznymi błyskami. W nieruchomej tafli wody jak w lustrze odbijał się przeciwległy brzeg z jasnymi plamami drzew liściastych i uprawnymi polami wysoko na zboczach. Był wielki skwar, letni dzień pachniał upojnie i mocno, ale dzieci były tak przemoczone, że zrobiło im się zimno, gdy tylko weszły w cień nadbrzeżnych brzoź.

Chata wdowy po rybaku była nędzną lepianką; jedynie przednia jej ściana, w której znajdowały się drzwi, była z drzewa. Zresztą nie było tu żadnego innego domostwa, prócz stajni z darni i kamieni, z otwartą przybudówką dla ochrony stogów siana i stert ściółki przed zimowymi śnieżycami. Obok chaty leżały stosy zgnitych wnętrzności rybich. Szedł od nich okropny fetor, a gdy dzieci się zbliżyły, zawirowała z bzykiem chmara błękitnych, dużych much. Na odpadkach roiło się od robaków. Olaf przedłożył swą prośbę i otrzymał od rybaczki odpowiedź, że chętnie pożyczycy mu łódkę; wziął więc tobolek i natychmiast powrócił do lasku. Już od dziecka miał taką naturę, że widok pelzających robaków przejmował go nieopisanym wstrętem. Inguna przyniosła dla wdowy – Aud było jej na imię – kawałek wędzonej słoniny. Aud pochodziła z niewolnych, służących ongi w rodzie Steinfinna, i dopytywała się chciwie o wszelkie nowiny we dworze, Inguna więc pozostała u niej chwilę.

Olaf znalazł suche i słoneczne miejsce nieco niżej nad wodą, mogli tu usiąść i osuszyć się w czasie jedzenia. Po chwili nadeszła Inguna niosąc świeże mleko. I może dlatego, że sprawa z łódką została pomyślnie załatwiona, czy też dlatego, że miał nadzieję zjedzenia wreszcie czegoś,

Olafowi poprawił się nagle humor.

Przyjemnie było być wolnym i na własną rękę podróżować do Hamaru. W głębi serca był też zadowolony, że Inguna mu towarzyszy. Przyzwyczał się mieć ją zawsze obok siebie, a jeśli nawet przysparzała czasem kłopotu, to i do tego również był przyzwyczajony.

Po jedzeniu poczuł senność; na dworze Steinfinna mężczyźni nie potrzebowali wcześniej wstawać. Wyciągnął się zatem na zboczu, głowę złożył na ramionach, nadstawił mokre plecy do słońca i już zupełnie przestał mówić o tym, że trzeba się spieszyć. Nagle Inguna zapytała, czy nie mogliby wykąpać się w jeziorze.

Olaf ocknął się, usiadł:

– Za zimna woda – powiedział i zaczerwienił się nagle. Odwrócił głowę i wpatrzył się w ziemię.

– Marznę w mokrej sukni – ciągnęła Inguna. – Po kąpeli będzie nam za to ciepło i przyjemnie – owinęła warkocze dokoła głowy, zerwała się i rozpięła pas.

– Nie chcę się kąpać – szepnęła Olaf niepewnie, policzki i czoło mu płonęły. Podniósł się prędko, bez słowa odwrócił się i poszedł w głąb łądu.

Inguna patrzyła za nim przez chwilę. Przywykła już do tego, że Olaf traci humor zawsze, gdy ona nie chce postępować według jego życzenia: wtedy odchodzi i dąsa się, dopóki mu złość nie minie. Spokojnie rozebrała się i bosy przeszła ostrożnie po ostrych kamyczkach do miejsca, gdzie rozciągał się skrawek piaszczystego gruntu.

Olaf szedł szybko po szarym, szeleszczącym pod nogami mchu. Wysechł on już zupełnie na wrzynających się w jezioro skalnych

występach, a sosny pachniały żywicą. Cały przyładek nie był szerszy, niż ponieść mogła strzała z łuku.

Wielki, nagi głaz skalny sterczał z wody. Olaf wdrapał się na niego i położył z twarzą ukrytą w dłoniach.

Potem opadły go natrętne myśli: chyba Inguna nie utonie w jeziorze? Nie powinien był odchodzić od niej. Lecz wrócić nie mógł. Na dole w wodzie kołysała się jakby złocista sieć nad kamykami i piaszczystym dnem – odbłask słonecznej jasności. Olafowi aż kręciło się w głowie z tego patrzenia, zdawało mu się, że sam płynie. Głaz, na którym leżał, ślizgał się jak gdyby w wodzie.

Przez cały czas musiał myśleć o Ingunie i czuł przy tym osobliwą udrękę. Miał uczucie, jakby zrobił coś złego, wstydził się i smucił.

Nieraz już przecie kąpali się razem w stawie pod dębem, pływali obok siebie w brunatnej wodzie, na którą kwitnące świerki prószowały złocisty pył. Teraz nie mogli już być tak jak dawniej...

I czuł się tak jak przedtem, kiedy leżał w potoku i przez mgnienie oka widział dobrze znany świat na wywrót. Miał wrażenie, że znów upadł: leży oto upokorzony, zawstydzony i zalękniony i widzi to, co widział dotąd każdego dnia, z innej całkiem strony, właśnie dlatego, że upadł i leży.

Było zupełnie jasne i proste, że ożeni się z Inguną, skoro oboje dorosną. Oczekiwał, że rzeczą Steinfinna jest oznaczyć czas, w którym powinno nastąpić. Prawda, lekki dreszczyk przejmował chłopca, ilekroć parobcy Steinfinna opowiadali o swych przygodach z kobietami. Dla niego jednak było samo przez się zrozumiałe, że tamci są tacy, ponieważ są prostymi parobkami, on jednak, który pochodzi z możnego rodu i będzie kiedyś posiadał dwór i włości, musi być inny. I nigdy dotąd nie mąciła mu spokoju myśl, że ma żyć z Inguną i płodzić z nią dzieci, które by objęły po nich dziedzictwo.

Teraz natomiast czuł się tak, jakby padł ofiarą zdrady – stał się inny, niż był dotychczas i Inguna stała się inna w jego oczach. Zaczynali dorastać, aczkolwiek nikt im tego nie powiedział, a to, co działo się między ludźmi Steinfina i kobietami, kusiło go teraz również, mimo że Inguna była jego narzeczoną, mimo że posiadał dwór, a ona posag w wyprawowej skrzyni.

Widział ją, jak leżała przedtem w suchej, niskiej trawie. Jedno ramię podsunęła pod głowę i suknia opinała mocno krągłą strzelistość piersi; złotobrazowe warkocze wily się pośród wrzosów. Kiedy zaczęła mówić o kąpieli, napadła go szkaradna myśl, a zarazem jakaś niezrozumiała trwoga, mocna jak trwoga śmierci: zdawało mu się, że on i Inguna są dwoma drzewami, wyrwanymi wiosenną powodzią i pędzonymi tym samym nurtem, i poczuł lęk, że prąd może ich rozłączyć. W jednej i tej samej chwili pojął do głębi, czym byłoby posiadanie jej lub utrata.

Nie miało żadnego sensu myśleć o takich rzeczach, skoro wszystko, co posiadało nad nim władzę i moc, sprzyjało temu, by zostali razem. Nikt i nic nie potrafi ich rozdzielić. Mimo to z trwożnym drżeniem czuł, że kurczy się i znika jego dziecięca pewność życia, pewność, że wszystkie dni jego przyszłości będą nanizane równo jak perły na sznurku. Nie mógł uwolnić się od myśli, że gdyby odebrano mu Ingunę, to nie wiedziałyby nic o swej przyszłości. Gdzieś w najtajniejszej głębi jego istoty kusił cichutki głos: gdyby ją posiadał, miałby pewność, że będzie jego, tak jak brutalni, prości chłopcy zapewniają sobie dziewczki, które sobie wybrali. Jeśli ktoś wyciągnie rękę po ich własność, stają się dzicy jak wilk szczerzący kły nad swoim łupem albo jak ogier, który staje dęba, parska z wściekłości, wierzga i walczy na śmierć i życie o swoje klacze, podczas gdy one zwartym kręgiem okalają spłoszone, drżące źrebięta...

Olaf leżał bez ruchu, wpatrzony w płynącą grę światła na wodzie.

W głowie mu się kręciło i żar ogarniał ciało od walki z tym wszystkim nowym w nim – zarówno z tym, co było dla niego zrozumiałe, jak i tym, co tylko głucho przeczuwał.

Kiedy Inguna zawołała na niego z bliska, zerwał się na równe nogi, jakby przestraszono go we śnie.

– Głupiś, żeś się nie kąpał – powiedziała.

– Idziemy już! – Olaf skoczył ku brzegowi, prędko poszedł przed nią.

– Już i tak dość czasu zmitrężyliśmy.

Po pewnym czasie wiosłowanie uspokoiło go. Dobrze było natężyć ciało w miarowym ruchu. Skrzyp wiosel ocierających się o wiklinowe więzby, plusk wody pod łodzią uciszały wzburzenie i napięcie chłopca.

Tymczasem zrobiła się wielka spiekota, blask nieba i wody oślepił i kłuł w oczy; brzegi aż falowały od żaru. Po dwóch godzinach wiosłowanie zaczęło mu się dobrze dawać we znaki. Łódź była ciężka, nie pomyślał o tym, że nie jest przyzwyczajony do tego ruchu. To zupełnie co innego, niż odpychać się żerdzią na stawie w domu.

Musiał się trzymać z dala od brzegów, gdyż tworzyły one w tym miejscu liczne zatoczki i przylądki; chwilami obawiał się, że zmylił wśród nich kierunek. Hamar leżał prawdopodobnie za jednym z półwyspów, niedostrzegalny z tego miejsca, gdzie płynęli; może minęli go już. Olaf zorientował się, że zupełnie nie poznaje okolicy; niczego sobie nie przypominał ze swej ostatniej podróży tą drogą.

Słońce paliło go w plecy, dłonie bolały, a nogi cierpły z długiego siedzenia i opierania ich o deskę. Najbardziej bolał go kark. Jak okiem sięgnąć, jezioro lśniło dokoła małej łódki, daleko było do brzegu ze wszystkich stron. Chwilami czuł, że wiosłuje pod prąd głębinowy. I ani tutaj, na pełnym jeziorze, ani bliżej brzegu nie widać było tego dnia żadnej łodzi. Olaf męczył się i trudił, ogromnie nieszczęśliwy i strwożony, że może w ogóle nie dojechać do miasta.

Inguna siedziała z tyłu łodzi na wprost słońca, jej czerwona suknia lśniła; na twarz dziewczyny w cieniu aksamitnej kapuzy padał szkarłatny odblask. Zarzuciła na siebie płaszcz Olafa, bo siedząc nieruchomo czuła lekki chłód idący od wody, kapuzę naciągnęła głęboko na oczy, by je osłonić przed światłem. Było to piękne okrycie z szarozielonego sukna flandryjskiego, z kapturem z czarnego aksamitu – jedna z rzeczy przysłanych Olafowi z Hestviken. Inguna wyglądała strojnie w tych szerokich i fałdzistych szatach. Siedziała cicho i zanurzała rękę w wodzie, a Olaf patrzył po prostu z zazdrością, czując, że musi to być chłodne i miłe. Dziewczyna była rześka i wypoczęta, siedziała beczynninie i było jej dobrze.

Olaf zaczął wiosłować szybciej, coraz to szybciej, im bardziej bolały go plecy, krzyż i ręce. Zaciśnął zęby i przez chwilę uderzał tak zamasyście wiosłem, że aż woda zapieniła się dokoła. Ta jazda łodzią była jak gdyby wielkim wyczynem, którego dokonał dla Inguny; z dumą i ze smutkiem zarazem czuł, że nigdy nie spotka, go za to podzięka: „Ona siedzi sobie, zanurza rękę w chłodnej wodzie i wcale nie myśli o tym, że ja się tak męczę”. Pot spływał mu z czoła, a zbyt ciasny kaftan cisnął i uwierał boleśnie pod pachami. Chłopak zapomniał, że wybrał się w drogę we własnej sprawie; znów zagryzł wargi, przesunął ręką po spoconej twarzy i parę razy uderzył gwałtownie wiosłem.

– Teraz widzę już wieże nad lasem – odezwała się Inguna po pewnym czasie.

Olaf obejrzał się – poczuł straszny, wprost nieznośny ból w zdrętwiałym karku. Tam, za zatoką wrzynającą się beznadziejnie szeroko w ląd, dostrzegł nad lasem jasne kamienne wieżycy kościoła Zbawiciela. Był teraz tak zmęczony, że najchętniej opuściłby całkiem ręce.

Musiał opłynąć cypel, na którego najbardziej wysuniętym, umocnionym palami krańcu stał klasztor dominikanów. Składał się



on z grupy ciemnobrunatnych drewnianych budynków, skupionych wokół kościoła pokrytego smołowanym dachem gontowym. Dachy piętrzyły się coraz wyżej, wiązania szczytowe ozdobione były głowami smoków, a dzwonnica, na której znajdowała się sygnaturka, złożonymi chorągiewkami.

Olaf przybił do pomostu klasztornej. Zanim wysiadł na ląd, zmęczony i zeszywniały, obmył nieco twarz z potu. Inguna stała już na górze u klasztornej furty i rozmawiała ze świeckim braciszkiem, który pilnował robotników znoszących juki towarów do małej barki.

– Ojciec Vegard jest w domu – powiedziała Inguna do Olafa, gdy podszedł. – Musimy poprosić o rozmowę z nim; już on nam najlepiej poradzi.

Olaf był zdania, że nie trzeba trudzić mnicha taką drobnostką. Ojciec Vegard przyjeżdżał chętnie dwa razy do roku na Frettastein i był spowiednikiem dzieci. Był to człowiek mądry i uczynny, nigdy też nie pominął sposobności, by udzielić dzieciom rad i napomnień, których niewiele otrzymywały we dworze. Lecz Olaf nie przemówił nigdy dotąd słowa do ojca Vegarda, o ile tamten pierwszy go nie zagadnął, toteż wydawało mu się zbyt wielką śmiałością prosić go teraz do rozmównicy we własnej sprawie. Sądził, że drogę do kowala wskaże im również brat furtian.

Inguna nie ustąpiła. Olaf sam przecież uważał, że zbyt niebezpiecznie jest oddać tak cenną broń nieznanemu kowalowi. Ojciec Vegard może z nimi człowieka z klasztoru – nie jest nawet wykluczone, że sam ofiaruje się im towarzyszyć. W to Olaf stanowczo nie wierzył, lecz poddał się woli Inguny.

Dziewczynka miała przy tym pewną ukrytą myśl, ale jej nie zdradziła. Dawno już temu była pewnego razu z ojcem w klasztorze i wówczas poczęstowano ich winem, które mnisi sporządzali z jabłek i jagód z

własnego ogrodu. Nigdy ani przedtem, ani potem nie kosztowała tak wybornego i słodkiego trunku; w cichości ducha spodziewała się, że ojciec Vegard i tym razem może uraczy ich tym winem.

Rozmównica wyglądała nie inaczej niż izdebka w gospodzie; był to ubogi klasztor, dzieci jednak nie widziały nigdy innego, więc i ta izba wydała im się ładna i okazała ze swym wielkim krucyfiksem nad drzwiami. Po chwili wszedł ojciec Vegard; był to człowiek wysoki, w średnim wieku, ogorzały, ze szpakowatą koroną włosów.

Powitał wprawdzie życzliwie dzieci, ale wydawało się, że spieszno mu; nieśmiało i z zakłopotaniem przedłożył Olaf swą sprawę. Ojciec Vegard opisał im jasno i zwięźle drogę: koło kościoła Zbawiciela na wschód przez ulicę Zieloną, obok kościoła Świętego Krzyża; potem w dół na prawo, wzdłuż płotu ogrodu Karla Kjettes, aż do łąki, na której jest staw: dwór płatnerza jest największym z trzech leżących po drugiej stronie bagniska. Potem pożegnał dzieci i zwrócił się do wyjścia.

– Dziś przenocujecie oczywiście w naszej gospodzie?

Olaf odparł, że muszą po nieszpórach wybrać się w drogę powrotną.

– Ale mleka napijcie się chyba i na nieszpory przyjdziecie tutaj?

Musieli przytaknąć. Inguna była trochę rozczarowana. Spodziewała się, że poczęstują ją czym innym niż mlekiem i cieszyła się na myśl o nieszpórach w katedrze, gdzie żacy śpiewają tak pięknie. Tymczasem mieli pójść do kościoła Świętego Olafa.

Mnich stał już w drzwiach. Wtem odwrócił się, jakby mu coś przyszło do głowy:

– Ach, tak... to Steinfinn przesłała dziś wiadomość płatnerzowi Jonowi? Masz go może wezwać na Frettastein, Olafie? – spytał trochę nerwowo.

– Nie, ojcze, przybyłem tutaj dziś we własnej sprawie. – Olaf opowiedział, o co chodzi, i pokazał berdysz.

Mnich wziął go i ważył w obu rękach:

– Tak, piękną masz broń, Olafie – rzekł. Lecz powiedział to tonem obojętnym; Olaf nie przypuszczał, że można mówić tak obojętnie o jego broni. Ojciec Vegard przyjrzał się złotym ozdobom na licowaniu topora. – To stara broń, dziś nie wyrabia się już takiej. Pewnie dziedziczna?

– Tak, ojcie. Odziedziczyłem ją po ojcu.

– Słyszałem o podobnej siekierze. Znajdowała się niegdyś na Dyfrynie w czasach, kiedy żył tam stary ród panów lennych. Prawie sto lat temu. Wiele legend krążyło o tej siekierze, miała też zawołanie, zwano ją Jarnglumra.

– Tak, mój ród wywodzi się stamtąd, Olaf i Torgils są do dziś naszymi imionami rodowymi. Ta siekiera zowie się jednak Attarfylgia i nie wiem, w jaki sposób dostała się w posiadanie mego ojca.

– W takim razie to zapewne inna. Takie berdyse były często używane w dawnych czasach – odparł mnich głaszcząc pięknie wygięte ostrze. – I może to twoje szczęście, synu, bo o ile sobie przypominam, tamta broń przynosiła nieszczęście.

Opisał raz jeszcze drogę do płatnerza, pożegnał dzieci i wyszedł.



Wybrali się więc na poszukiwanie. Inguna szła przodem; w swej długiej, powłóczystej sukni wyglądała na dorosłą. Olaf znużony i przygnębiony kroczył za nią. Tak bardzo cieszył się tą jazdą do miasta, sam dobrze nie wiedział, czego oczekiwał. Ilekroć bywał tu dawniej, przyjeżdżał zawsze w towarzystwie dorosłych i podczas jarmarku. Dla baczego i ciekawego spojrzenia chłopca wszystko było tu zajmujące i odświeżające: targ niewolnych, budy i stragany, dwory miejskie, kościoły, do których

wstępowali; w domach częstowano ich, a ulice były zapchane ludźmi i końmi. Teraz jednak był tylko wyrostkiem, szedł z małą dziewczynką i nie wiedział, dokąd się zwrócić – nikt go nie znał, pieniędzy nie miał, a do kościołów nie mieli czasu wejść. Za parę godzin muszą wyruszyć z powrotem. I truchlał na myśl o nieskończonej jeździe łodzią i późniejszej wędrówce w górę do dworu. Bóg wie, jak późno wrócą do domu. A potem złąją ich na pewno, że uciekli bez zezwolenia.

Znaleźli w końcu płatnerza Jona. Oglądał długo i starannie berdysz, obracał go na wszystkie strony i oświadczył, że trudno będzie go naprawić. Ten rodzaj siekier wyszedł obecnie niemal całkiem z użycia; niełatwo będzie ostrze osadzić tak, by nie pękło przy jakimś potężnym ciosie, na przykład w hełm lub chociażby w twardą czaszkę. Jest to zależne od kształtu ostrza wygiętego w półksiężyc z brodą na dole i na górze. Oczywiście, zrobi wszystko, co w jego mocy, ale nie ręczy, czy złote ozdoby nie ucierpią wskutek kucia i spajania. Olaf zastanowił się chwilę, lecz innej rady nie widział – oddał siekiere kowalowi i omówił z nim zapłatę.

Gdy jednak powiedział, skąd pochodzi, płatnerz zaciekawiony podniósł oczy:

– A, to pewnie spieszo ci odebrać siekiere? Tak, tak, więc na Frettastein szykują teraz broń?

Olaf odpowiedział, że nic o tym nie wie.

– Nie, nie. Jeśli Steinfinn coś zamierza, z pewnością nie opowiada o tym pacholetom.

Olaf spojrzął na kowala, jakby chciał coś powiedzieć, lecz opanował się, pozdrowił go i wyszli.

Doszli do stawu; Inguna chciała skręcić na drogę między opłotkami,

wiodącą ku ulicy Zielonej. Olaf pociągnął ją za rękaw – mogą iść tędy.

Dwory przy ulicy Zielonej stały na grzbiecie wzgórza. Poniżej, na skraju pól, poza zabudowaniami gospodarskimi i ogrodami płynął brudny strumyk. Wzdłuż niego szła wydeptana ścieżka.

Jesiony, jabłonie i wielkie krzewy róż z sąsiednich sadów rzucały na nią cień; powietrze było tu rześkie i wilgotne. Błękitne muchy migają jak iskry w zielonym półmroku, w którym wysoko i bujnie pieniły się pokrzywy i wszelkie chwasty. Na tę stronę bowiem wyrzucali ludzie odpadki, tak że poza stodołami utworzyły się tłuste śmietniki. Ścieżka była śliska od wilgoci, która spływała z gnijącej mierzwy, a powietrze przepojone zapachami – wyziewy gnoju i smród padliny mieszały się z wonią dzięgielu, obrastającego brzeg potoku chmurą bladozielonego kwiecica.

Po drugiej stronie strumyka ciągnęły się pola w jaskrawym blasku popołudniowego słońca. Poza nimi małe liściaste zagajniki rzucały długie cienie na trawę. Pola podchodziły aż do niewielkich zagród w ulicy Nadbrzeżnej, dalej zaś rozpościerało się jezioro, niebieskie i mieniące się złościście w przedwieczornych oparach, oraz płaskie brzegi wyspy Helge.

Dzieci szły w milczeniu, Olaf parę kroków naprzód. Cicho tu było zupełnie w cieniu ogrodów, tylko muchy brzęczały. W górze, na miejskim pastwisku zadźwięczał dzwonek krowy. Raz zakukała kukułka na lesistym zboczu, dziwnie wyraziście i daleko.

Nagle kobiecy wrzask rozległ się w górze od strony domów i zaraz potem śmiech mężczyzny i kobiety. Na zboczu w sadzie stał chłopak i obejmował dziewczynę; wypuszczony z jej rąk kubek pełen odpadków i głów rybich spadł aż do płotu, a za nim, staczając się niemal, zbiegło tych dwoje. Gdy spostrzegli dzieci na dróźnie, mężczyzna puścił dziewczynę, przestali chichotać i coś szeptali do siebie. Mimo woli Olaf zatrzymał się, patrząc za nimi, tak że Inguna stanęła koło niego; szedł teraz tuż przy

plocie. Z wolna jego jasna twarz powlekła się rumieńcem, spuścił oczy, prowadząc Ingunę dalej za rękę. Owe dwory w mieście, o których tyle opowiadali parobcy Steinfinna. Po raz pierwszy zrobiło mu się gorąco i serce zaczęło walić na myśl, że to właśnie jeden z nich.

Ścieżka wkrótce skręciła, ponad koronami drzew Olaf i Inguna ujrzeli nagle przed sobą potężne jasnoszare zręby murów i błękitnoczarny dach kościoła Zbawiciela oraz kamienne mury dworca biskupiego. Olaf przystanął, zwrócił się do dziewczęcia:

– Inguno, słyszałaś, co mówił ojciec Vegard i płatnerz?

– Co masz na myśli, Olafie?

– Ojciec Vegard pytał, czy Steinfinn posyła po płatnerza – rzekł z wolna Olaf. – A płatnerz Jon pytał, czy przygotowujemy teraz broń.

– O czym mogli myśleć? Olafie, wyglądasz tak dziwnie...

– Nie wiem. Chyba że na zjeździe usłyszano jakieś nowiny. Ludzie w tych dniach mieli wracać z tingu.

– Co myślisz, Olafie?

– Nic nie wiem. Chyba, żeby Steinfinn kazał już coś obwieścić...

Nagle dziewczyna podniosła obie ręce i położyła je na piersi Olafa. A on dłońmi płasko położonymi przycisnął je mocno do siebie. I gdy tak stali, to nowe uczucie, że oto porwał ich wir, że coś, co było dawniej, minęło już na zawsze, wezbrało znowu w Olafie jeszcze silniej niż przedtem; teraz pędzili ku czemuś nowemu i nieznanemu. Wpatrując się w jej pociemniałe od napięcia oczy dojrzał, że i ona odczuwa to samo. I całym ciałem i duszą wyczuł, że Inguna zwraca się ku niemu, że w nim szuka oparcia, bo i w niej się dzieje to samo co w nim; poczuła zmianę, jaka miała przejść nad nimi i ich losem, i mimo woli chwyciła się Olafa, ponieważ w czasie ich całego opuszczonego i zaniedbanego dzieciństwa zżyli się tak bardzo, że teraz byli bliźsi sobie niż innym ludziom.

Ta pewność była niesłychanie słodka. I gdy tak stali nieruchomo,

wpatrzeni wzajem w swoje twarze, zdawało im się, że poprzez sam tylko uścisk gorących rąk stają się jednym ciałem. Chłód ziemi przenikający przez mokre obuwie, światło słońca ogarniające ich od góry, mocne, pomieszane zapachy, jakie wdychali, drobne szmery popołudnia – to wszystko odczuli jakby zmysłami jednego ciała.

Huk dzwonów kościelnych rozdarł ich milczące, ciche upojenie – potężne spizowe tony z wieży katedry, mały, gorliwy dzwonek w kościele Świętego Krzyża i na dole, na przylądku, dzwony z kościoła Świętego Olafa. Chłopiec puścił ręce dziewczyny.

– Musimy się śpieszyć.

Oboje mieli wrażenie, jakby dźwięk dzwonów zwiastował, że oto dokonano się misterium. Mimo woli ujęli się za ręce, jak gdyby dopiero co zostali poślubieni. I tak szli dalej ręka w rękę, aż na górę w ulice miasta.

Kiedy Olaf i Inguna weszli do małego, ciemnego kościółka, mnisi w prezbiterium rozpoczęli już nabożeństwo. Prócz lampki przed tabernakulum z Najświętszym Sakramentem i małych świeczek na pulpitych zakonników nie paliły się żadne światła. Obrazy i metalowe ozdoby były ledwie widoczne w brunatnym zmierzchu, przechodzącym w zupełny mrok pod skrzyżowanymi belkami stropu. Pachniało mocno smołą, którą niedawno pociągnięto kościół, unosiło się jeszcze lekkie, ostre wspomnienie zapachu kadzidła z mszy porannej.

W osobliwym i podniosłym nastroju uklękli przy drzwiach tuż obok siebie i pochylili głowy głębiej niż zwykle, szepcząc modlitwy w niezwykłym skupieniu. Potem podnieśli się i każde przeszło na swoją stronę.

W kościele było niewiele osób. Po stronie mężczyzn siedziało kilku starych ludzi na ławie pod ścianą, kilku młodszych klęczało w wąskiej

nawie między ławą i filarami – byli to przeważnie wyrobnicy klasztorni. Po stronie niewieściej nie widział Olaf nikogo prócz Inguny; stała oparta o najwyższą kolumnę i zerkła na obrazy zdobiące boczny ołtarz.

Olaf usiadł na ławie pod ścianą. Teraz czuł znowu, jak bardzo obolałe ma ciało. Na dłoniach potworzyły się pęcherze.

Chłopiec nie rozumiał nic ze śpiewu mnichów. Z psalmów Dawida wyuczył się tylko *Miserere* i *De profundis*, a i to niezbyt dokładnie. Lecz znał melodię – szła teraz ku niemu niby długi, niski grzbiet fali, niosący małą grzywę piany, wzbierała, przełamывała się i znów cofała z szelestem po kamyczkach, odpływała z wolna. Za każdym razem, ilekroć zakonnicy dochodzili do końca psalmu i śpiewali *Gloria Patri et Filio et Spiritui Sancto*, szeptał odpowiedź: *Sicut erat in principio et nunc et semper et in saecula saeculorum. Amen*. Mnich, który intonował, miał głos głęboki, dźwięczny i niski. W miłej, ogarniającej go senności nasłuchiwał Olaf tego samotnego, silnego, wznoszącego się głosu oraz chóru, który wiersz po wierszu prowadził melodię. Po wszystkich zmiennych wrażeniach dnia spokój i cisza spłynęły teraz w jego duszę, kiedy siedział w mrocznym kościele i patrzył na śpiewających, białe ubranych ludzi i wątle płomyki świec za kratą prezbiterium. Pomyślał, że rad by zawsze czynić rzeczy godziwe i wystrzegać się bezprawia, wtedy moc i miłosierdzie Boże wspomogą go i wesprą we wszystkich przeciwnościach.

Obrazy tłoczyły się coraz zawrotniej przed jego wewnętrznym wzrokiem: łódka, Inguna w aksamitnym kapturze okalającym jej twarz, migotanie wody z tyłu poza nią, dno łodzi z maleńkimi, lśniącymi łuskami ryb, czarna, wilgotna ścieżka pośród pokrzyw i dzięgielu, płot, przez który przechodzili, i kwiecista łąka – złota sieć nad jeziorną głębią – wszystko to ukazywało się w kolejnych obrazach pod spuszczonymi, piekącymi powiekami.

Obudził się dopiero, gdy Inguna stanęła przy nim i ujęła go za ramię.



– Spaleś – powiedziała z wyrzutem.

Kościół był pusty, tuż obok nich otwarte boczne drzwi wiodły w wieczorny blask, na zielony dziedziniec klasztorny. Olaf ziewał i prostował zeszywniałe członki. Bał się strasznie powrotnej drogi, dlatego odezwał się nieco surowiej, niż zwykł był mówić do niej:

– Niedługo musimy się zbierać w drogę, Inguno.

– Tak – westchnęła ciężko. – Gdybyśmy mogli pozostać tu na noc!

– Wiesz przecie, że nie możemy.

– Wysłuchalibyśmy jutro mszy w kościele Zbawiciela. My nigdy nie widzimy obcych ludzi, my ciągle musimy siedzieć w domu; czas dłuży się w ten sposób.

– Wiesz dobrze, że kiedyś to się odmieni.

– Ty, Olafie, byłeś przecież nawet w Oslo!

– Tak, ale nic sobie już nie przypominam.

– Musisz mi obiecać, że gdy będziemy w Hestviken, zabierzesz mnie kiedyś ze sobą na jarmark albo na zjazd.

– Mogę ci to śmiało obiecać.

Olaf był tak głodny, że burczało mu w żołądku. Toteż ciepła kasza i mleko zmieszane z wodą w gościnnej izbie klasztoru smakowały mu wybornie. Cały czas jednak gnębiła go myśl o drodze powrotnej; prócz tego martwił się naprawą siekiery.

Olaf wdał się w rozmowę z dwoma chłopami, którzy również posilali się w gospodzie. Pochodzili z małego dworu leżącego na wybrzeżu, nieco dalej na północ od przylądka, gdzie Olaf i Inguna mieli wysiąść; prosili więc Olafa, by ich ze sobą zabrał. Ale chcieli bardzo być jeszcze na *Completorium*.

I znów siedział Olaf w ciemnym kościele, przysłuchując się głębokim męskim głosem, które śpiewały psalm wielkiego króla do Króla królów. I znów obrazy pełnego przygód dnia przesuwwały się pod jego zmęczonymi

powiekami – czuł, że ogarnia go senność.

Ocknął się, gdy śpiew przeszedł w inną melodię; w małym, ciemnym kościółku zabrzmiał hymn:

*Te lucis ante terminum  
Rerum Creator poscimus  
Ut pro tua clementia  
Sis præsul et custodia*

*Procul recedant somnia  
Et noctium phantasmata;  
Hostemque nostrum comprime  
Ne pollutantur corpora.*

*Præsta, Pater piissime  
Patrique compar Unice  
Cum Spiritu Paraclito  
Regnans per omne sæculum.<sup>[12]</sup>*

Ten hymn znał; Arnvid syn Finna śpiewał go nieraz wieczorem i Olaf wiedział także, co mniej więcej znaczą te słowa po norwesku. Cicho osunął się z ławy na kolana i z twarzą ukrytą w dłoniach odmawiał modlitwę wieczorną.

[12] *Te lucis ante terminum...* – „Zanim dzień dobiegnie końca, błagamy Ciebie, Stwórcu wszechrzeczy, abyś w swej łaskowości był naszym przewodnikiem i obrońcą. Niechaj odejdą od nas złe sny i nocne majaczenia; wroga naszego uśmierzaj, aby nie były skalane nasze ciała. I spraw to, Ojczy najlepszy i Synu równy we wszystkim Ojcu, wraz z Duchem Pocieszycielem królujący na wieki wieków.” Hymn przypisywany świętemu Ambrożemu, znany w IX w. (Przyp. tłum.)

Kiedy zeszli na wybrzeże, chmury zasnuły niebo; było teraz całe w szarych pręgach, a jezioro leżało pod nim ołowiane, porysowane ciemnymi smugami. Zdawało się, że lesiste zbocza po obu stronach są nasycone mrokiem.

Obcy młodzieńcy ofiarowali się wiosłować, Olaf usiadł więc z tyłu, obok Inguny. Pod długimi, mocnymi uderzeniami wiosel sunęli teraz o wiele szybciej, lecz Olaf nie czuł się bynajmniej dotknięty w swej chłopięcej dumie; dobrze było siedzieć bezczynnie.

Po pewnym czasie spadło kilka kropel deszczu. Inguna uniosła poję ciężkiego, fałdzistego płaszcza i poprosiła Olafa, by okrył się nim także.

I tak siedzieli oboje pod osłoną okrycia. Musiał objąć ją ramieniem; była smukła i giętka, ciepła i rozkoszna. Łódka sunęła chyżo po wodzie wśród szarogranatowej letniej nocy. Jaśniejsze mgły, brzemienne ulewą, snuły się dalej po jeziorze i między nadbrzeżnymi wzgórzami, lecz uniknęły deszczu. Z wolna dwie młode głowy skłoniły się ku sobie – twarz przytuliła się do twarzy. Chłopi śmiali się i prosili, by dzieci położyły się na pustych workach na dnie łódki.

Inguna skuliła się u boku Olafa i zaraz zasnęła. Olaf pół siedział, pół leżał, oparty plecami o burtę. Parę razy otworzył oczy i spojrzał na zachmurzone niebo. Potem zdawało mu się, że ogarnia go ze wszystkich stron znużenie, słodkie i dobre znużenie. Wzdrygnął się, kiedy łódź zaskrzypiała po piaszczystym dnie przed chatą rybacką.

Mężczyźni śmiali się: po cóż mieli go budzić? Droga nie była daleka.

Była północ. Dopłynęli w czasie o połowę krótszym, niż gdyby on wiosłował. Pomógł wyciągnąć łódkę na brzeg; młodzieńcy życzyli im dobrej nocy i odeszli. Początkowo wyglądali jak dwie zamazane czarne plamy, zanikające w szarym kamienistym nadbrzeżu, potem rozplynęli się całkiem w ciemnej, chmurnej nocy.

Olaf był przemoczony, bo siedział w mokrej łodzi; całe jego ciało ścierpło wskutek niewygodnej pozycji. Inguna zaś była tak zmęczona, że w czasie snu popłakiwała – koniecznie chciała odpocząć, nim pójdą do domu. Olaf miał ochotę iść od razu, czuł, że marsz w świeżym nocnym chłodzie orzeźwiły go, poza tym bał się, co powie Steinfinn, jeśli w tym czasie wrócił do domu. Ale widział, że Inguna jest zanadto zmęczona. Oboje bali się przejść koło mogilnego kopca i wędrować sami o północy.

Podzielili się więc resztą zapasów i weszli cicho do chaty.

Zaraz za drzwiami znajdowało się niewielkie palenisko, z którego było jeszcze ciepło. Po jednej stronie słyszeli chrapiącą Aud. Po omacku doczłgali się pomiędzy misami i gospodarskim sprzętem do legowiska; wiedzieli, że znajduje się ono po drugiej stronie, blisko ściany.

Olaf nie mógł zasnąć. Pierś wdychała z trudem gęste od dymu powietrze, a woń surowych, wędzonych i zgniłych ryb była nie do zniesienia. W obolałych nogach i rękach szarpało i kłuło.

Inguna leżała niespokojnie i kręciła się w ciemności.

– Nie mam gdzie głowy położyć, pewnie jakiś garnek stoi za mną...

Olaf wyciągnął po ciemku rękę i próbował usunąć garnek. Ale stało tam na kupie tyle naczyń, że wszystko zwałiłoby się, gdyby coś ruszył. Inguna zsunęła się więc nieco niżej, skuliła się w kłębek, głowę oparła na piersi chłopca. – Czy cię gniotę? – spytała i zaraz potem zasnęła. Po chwili wysunął się ostrożnie spod jej ciepłego, zmożonego snem ciała. Udało mu się opuścić nogi w przejście, wstał i wymknął się z chaty.

Rozwidniło się już nieco. Słaby, zimny wiew jak dreszcz przebiegł wiotkie gałązki brzozy, poruszył liśćmi, strząsnął kilka lodowatych kropel; lekkie poryw wiatru smagnął stalowosine zwierciadło jeziora.

Olaf rozejrzał się. Panowała tajemnicza cisza – ani śladu życia dookoła. Spały dwory i spały łąki, pola i gaje, bezbarwne w szarej pomroce świtu. Na kamienistym stoku poza najbliższymi zagrodami stało kilka

pojedynczych smreków jakby bez życia, tak ciche i proste wzbijały się w górę. Niebo było niemal białe, tylko na północy nad czarnymi koronami drzew jaśniało bladożółtym światłem. W górze, wysoko przeciągały jeszcze ostatnie ciemne strzępy chmur.

Jakże samotny się czuł, stojąc tu i czuwając, gnany przez coś nowego, co bez ustanku, coraz bardziej i bardziej oddalało go od spokojnego, bezpiecznego dzieciństwa. O tej porze mniej więcej wstał poprzedniego dnia. A teraz miał wrażenie, że od tego czasu upłynęły dni i lata.

Trwożnie, ze ściśniętym sercem, stał zasluchany w ciszę. Chwilami zabrzmiał drewniany klekot – to krowa wdowy chodziła po gaju; potem krzyknęła kukułka gdzieś w mroku boru, bardzo wyraźnie choć daleko, kilka ptasząt zbudziło się z ćwierkaniem. Każdy z tych drobnych dźwięków wzmagał jeszcze świadomość ogromnej, milczącej przestrzeni.

Olaf poszedł do stajni i zajrzał do wnętrza, ale natychmiast cofnął się, gdyż poczuł ostry, duszący smród. Przed szopą jednak ziemia była sucha i czysta, leżały tu tylko resztki zimowego zapasu liści i siana. Położył się, skulił jak zwierzątko i zasnął natychmiast.

Obudził się, gdy Inguna go dotknęła. Klęczała przed nim:

– Tu leżysz?

– W chacie było tak duszno od dymu. – Klęknął również i zaczął wytrząsać z ubrania siano i gałązki.

Słońce trysnęło nad górską granią, czuby świerków rozjarzyły się. I pełnym głosem rozśpiewały się ptaki w całym lesie. Cienie skrywały jeszcze osadę i snuły się daleko nad ciemnobłękitnym jeziorem, ale po drugiej stronie wody płynął górą słoneczny blask ponad lasami i zielonymi zboczami.

Olaf i Inguna klęczeli ciągle, zwróceniu ku sobie jakby w zachwyceniu. Bez słowa objęli się ramionami i pochyleni wsparli się o siebie.

Równocześnie zwolnili uścisk i spojrzeli na siebie ze słabym, pełnym

zdumienia uśmiechem. Potem Olaf podniósł rękę i dotknął skroni dziewczęcia. Odsunął kędzierzawe, złotobrazowe pukle. A kiedy na to pozwoliła, drugim ramieniem objął ją wpół, przyciągnął do siebie i całował długo i czule słodkie, kuszące wgłębienie na karku.

Potem popatrzył jej w twarz; gorącym dreszczem przeszły go świadomość, że jej to sprawia przyjemność. Pocałowali się w usta, a w końcu odważył się pocałować białą łuk jej szyi.

Wciąż jeszcze nie wyrzekli ani słowa. Kiedy podnieśli się z kłęczek, Olaf wziął pusty tobołek i płaszcz i ruszyli. Tak wędrowali w milczeniu w górę ku Frettastein, on przodem, ona nieco z tyłu. Ranne słońce rozświetlało coraz dalsze zbocza.

We wszystkich dworach położonych w górze ludzie byli już na nogach. Lecz gdy doszli do częstokołu, poza którym zaczynały się pola Frettastein, nie dojrzeli nikogo. Może jednak uda im się ukryć tę wyprawę.

Za liściastymi krzewami przy płocie zatrzymali się chwilę, spojrzeli na siebie. Pełne zmieszania i szczęścia zdumienie zapłonęło znowu w ich oczach. Olaf szybko dotknął ręki Inguny, zanim podszedł do płotu i odsunął żerdzie.

Gdy weszli na dziedziniec, drzwi stajni były uchylone, lecz nie było widać żywej duszy. Inguna skierowała się ku domowi, w którym spędziła poprzednią noc. Nagle obróciła się i szybko pobiegła za Olafem.

– Twoja klamra – odpięła ją i podała.

– Możesz ją sobie zatrzymać, daruję ci ją – powiedział prędko. Odpiął małą klamrę Inguny, której użył zamiast swojej, i położył ją w jej dłoni obok swojej złotej. – Nie, nie chcę, żebyś mi dała swoją. Klamer mam dość.

Odwrócił się szybko, cały spłoniony, nie chcąc, by mu dziękowała, i prędko skierował się w stronę świetlicy.

Ujrzawszy, że łoża są puste, odetchnął z ulgą. Jeden z psów wstał, zbliżył się i zaczął machać ogonem. Olaf pogłaskał zwierzę i zaczął do niego przemawiać.

Kiedy zdjął wreszcie za ciasne ubranie, przeciągnął się i ziewnął z zadowoleniem. Kaftan otarł mu skórę pod pachami; nie można w nim już dłużej chodzić, chyba że się go poszerzy. Inguna mogłaby to zrobić.

Gdy chciał położyć się do swego łoża, spostrzegł, że ktoś w nim leży.

– Wróciliście już? – zapytał obcy sennie. Olaf poznał po głosie Arnvida syna Finna.

– Nie, to tylko ja. Miałem coś do załatwienia w mieście – odrzekł tak spokojnie, jakby nie było w tym nic osobliwego, że ma jakieś własne sprawy do załatwienia w Hamarze. Arnvid mruknął w odpowiedzi. Wkrótce obaj chrapali.

Kiedy Olaf się obudził, po świetle w izbie poznał, że jest pora przedwieczorna. Oparł się na łokciu i zobaczył Ingunę i Arnvida siedzących na ławie. Wyraz twarzy dziewczęcia był dziwny – przerażony i zamyślony zarazem.

Usłyszawszy, że Olaf wstaje, podniosła się i podeszła szybko do niego. Była w tej samej jaskrawoczerwonej sukni, co wczoraj, i dzięki temu nowemu spojrzeniu, jakim teraz patrzył na nią, zrobiło mu się gorąco z radości, że była aż tak ładna.

– Teraz dowiemy się, co mieli na myśli ojciec Vegard i płatnerz Jon, kiedy mówili o siekierze – rzekła bardzo wzburzona. – Arnvid powiada, że Mattias syn Haralda zjawił się na tingu, stamtąd zaś pociągnął na północ, na swój dwór w Birid.

– Ach tak... – powiedział Olaf. Stał pochylony i wiązał rzemień trzewika. Potem wyprostował się, podał Arnvidowi rękę i przywitał go. – Pytanie teraz, co uczyni Steinfinn, gdy się o tym dowie.

– Dowiedział się już – odparł Arnvid. – Dlatego też, jak mówiła Ingebjörga, pojechał do Kolbeina.

– Idź i przynieś mi coś do jedzenia, Inguno – odezwał się Olaf. Zaledwie dziewczyna wyszła, spytał Arnvida: – Czy wiesz, co Steinfinn zamyśla?

– Wiem, co zamyśla Ingebjörga – odparł Arnvid.

– Tak, to łatwo zrozumieć.

Olaf lubił zawsze Arnvida najbardziej z wszystkich znanych mu mężczyzn, chociaż nigdy nie zastanawiał się nad tym; czuł się dobrze w jego towarzystwie. Mimo to nie przyszłoby mu nawet na myśl nazwać go swym przyjacielem. Odkąd Olaf pamiętał, Arnvid był dorosły i żonaty, a



teraz już trzeci rok był wdowcem.

Dziś jednak jak gdyby zatarła się różnica wieku między nimi – tak czuł Olaf. Miał wrażenie, że sam dorósł, a Arnvid jest także młodym człowiekiem. Arnvid nie był tak poważny i stały w uczuciach jak inni żonaci mężczyźni. Jego małżeństwo było jarzmem nałożonym nań za młodu; potem mimo woli starał się, aby blizny po nim zarosły. Wszystko to odczuł Olaf zupełnie nagle, nie mając pojęcia, skąd o tym wie.

Arnvid wyczuł widocznie także, że tych dwoje dzieci zbliżyło się wiekiem do niego. Rozmawiał z nimi jak z równymi sobie. Podczas gdy Olaf się posiłał, Arnvid odkrawał z suszonej szynki rena cienkie jak listki plastry, które Inguna lubiła gryźć.

– Najgorsze jest to, że Steinfinn dopuścił do przedawnienia tej zniewagi – odezwał się Arnvid. – Na dochodzenie prawne już za późno; teraz musi krwawo się pomścić, jeśli chce uratować swoją cześć w ludzkich oczach.

– Nie sądzę, aby Steinfinn mógł cokolwiek dawniej przedsięwziąć. Temu łotrowi zachciało się nagle pielgrzymek, skulił ogon i wyniósł się z kraju. Teraz zaś, kiedy królami jest dwoje dzieci<sup>[13]</sup>, co jeszcze w koszulach biegają, każdy mąż może śmiało chwycić za broń, nie czekając, aż chłopski ting rozstrzygnie o jego czci; słyszałem, że tak mówili Steinfinn i Kolbein.

– Tak, to prawda, wielu teraz będzie robić, co im się żywnie spodoba, nie pytając zgola o prawo krajowe czy boskie – odparł Arnvid. – Już i tak jest ich mnóstwo i panoszą się w kraju.

– A ty? – spytał Olaf. – Czy pojedziesz z nami, jeśli Steinfinn i Kolbein zamierzają naprawdę odwiedzić Mattiasa w jego własnym domu i ukarać go?

Arnvid nie odpowiadał. Siedział z szyją wtuloną w ramiona, z czołem

[13] ...*królami jest dwoje dzieci...* – Eirik i Haakon, synowie króla Magnusa (1263-1280), syna Haakona Starego.

wspartym na wąskiej, kształtnej ręce, tak że jego mała, brzydka twarz znajdowała się w zupełnym cieniu.

Arnvid syn Finna był bardzo wysoki i smukły, ładnie zbudowany. Przede wszystkim miał ładne ręce i stopy. Lecz ramiona były za szerokie i za wysokie, głowa maleńka, a szyja zbyt krótka i to psuło prawie całkowicie kształtność reszty ciała. Jego twarz była również dziwna i nieładna, jakby ściągnięta; miał niskie czoło, krótką, szeroką brodę i czarne, kędzierzawe włosy, podobne do grzywy bawołu. Mimo to Olaf zauważył po raz pierwszy, że Arnvid i Inguna są do siebie podobni – Arnvid również miał mały, jakby nie wykończony nos, u niego jednak był on wklęsnięty pod sklepieniem czoła. Arnvid miał także wielkie, ciemnoszafirowe oczy, ale głęboko osadzone.

Arnvid nie należał do rodu Steinfinna, lecz Tore na Hov był żonaty z siostrą jego ojca. I trudno było zaprzeczyć podobieństwu między jego ponurą, ocieżyłą brzydota a niespokojnym wdziękiem Inguny.

– Zdaje mi się, że nie masz ochoty wybrać się z twymi krewnymi na tę wyprawę? – podjął Olaf nieco drwiąco.

– Wiesz chyba dobrze, że nie będę się uchylał – odparł Arnvid.

– A co powie na to biskup Torfinn, twój ojciec chrzestny, jeśli staniesz po naszej stronie w tej sprawie? – pytał Olaf dalej z lekko szyderym uśmiechem.

– Przebywa teraz w Björgvin, nie będzie więc miał sposobności do powiedzenia czegokolwiek przed naszym powrotem – odrzekł krótko Arnvid. – Nie mogę zrobić nic innego, jak pomóc mojemu krewnemu.

– Pewnie, zresztą nie jesteś jednym z jego księży – dodał Olaf.

– Nie, tak dobrze nie jest – powiedział Arnvid. – Bodajbym nim był. Wydaje mi się, że najgorsze jest to, że ten zatarg pomiędzy Steinfinnem i Mattiasem jest już tak stary. Steinfinn musi teraz coś uczynić, aby odzyskać swą cześć. Wiesz jednak dobrze, że wtedy ludzie zaczną przeżuwać na

nowo wszystkie stare plotki i mocno będzie śmiedzieć. Nie sędę, abym był bardziej bojaźliwy niż inni, mimo to pragnęłbym trzymać się z dala od tej sprawy.

Olaf umilkł. Teraz doszli znowu do tego punktu, który Olaf rozumiał równie mało, jak wszyscy inni z rodu Steinfinna: Arnvida przeznaczono w dzieciństwie na księdza. Gdy zmarli jego dwaj starsi bracia, rodzice zabrali go do domu i ożenili z bogatą dziewczyną, przyrzeczoną jego bratu. Wydawało się jednak, że Arnvid nie uważa za szczęście tego, że go powołano na głowę rodu i wyznaczono mu siedzibę w głównym rodowym majątku w Elfardal, zamiast pozwolić mu zostać księdzem.

Żona, którą dostał, była bogata, urodziwa i tylko pięć czy sześć lat starsza od niego; mimo to dwoje młodych nie czuło się razem dobrze. Po części pochodziło to stąd, że dopóki żyli rodzice Arnvida, nowożeńcy niewiele mieli do gadania na dworze. Potem umarł Finn ojciec Arnvida, a zaraz po nim zmarła w połogu młoda gospodyni, Tordis córka Erlinga. Następnie matka Arnvida objęła rządy, a podobno miała twardą rękę. Arnvid pozwalał jej rządzić zarówno włóściami, jak też i swymi trzema małymi synkami i ustępował jej we wszystkim.

W dawniejszych czasach wielu męzczyzn z rodu Steinfinna było księżmi, a choć żaden z nich nie odznaczył się w służbie Kościoła, byli jednak dobrymi kapłanami. Odkąd jednak w Norwegii, podobnie jak w innych krajach chrześcijańskich, zakazano księżom się żenić, żaden z synów w rodzie Steinfinna nie poświęcił się temu stanowi. Ich ród bowiem zawsze pomnażał swoją potęgę przez roztropne małżeństwa, w to zaś, aby jakikolwiek człowiek mógł w świecie dojść do znaczenia nie zapewniwszy sobie poparcia przez dobry ożenek, nie mogli uwierzyć.

Tego dnia, kiedy Inguna i Olaf wybrali się do Hamaru, letnie upały

nastały w pełni.

Ze skały nad stodołą widać było fiord głęboko w dole poniżej szumiących borów i uprawnych pól na stokach. W przejrzystych godzinach rannych jezioro Mjös, zbrudzone jasnymi pręgami, odbijało małe przylądki nadbrzeżne i zapowiadało pogodę. Później, w ciągu dnia, świat cały nurzał się w drgającym blasku słonecznym, łąd po drugiej stronie jeziora stał w błękitnych oparach, przez które przeświecały zielone płachty pastwisk, drgające jasnością. Daleko na południu na wysokich szczytach Skreia srebrzył się jeszcze śnieg i lśnił jak chmury i woda; ale śnieżne płaty malały z dnia na dzień w upale. Białe obłoki, zwiastuny pogody, pojawiały się na skraju niebios i żeglowały razem z rzucanymi przez siebie cieniami ponad lasami i jeziorem. Niekiedy rozplływały się i rozpościerały szeroko. Wówczas niebo gasło i płowiało, jezioro stawało się szare, matowe, i łąd już się w nim nie przeglądał. Deszcz nie spadał, a wiatr przeganiał chmury. Drzewa migotały i błyszczały w słońcu świetlistymi liśćmi, jak gdyby nawet ziemia dyszała od żaru.

Darniowe dachy przybierały wygląd spalonych. Tam gdzie gleby nie było wiele, pola pożółkły, a za to wybujało obficie zielsko i zaczęło tłumić jasne pędy młodego zboża. Łąki pokrył rdzawosiny kobierzec rdestów, tojadów i kwiatów świętego Olafa.

Niewiele było teraz roboty w gospodarstwie – i nic też nie robiono; garstka ludzi pozostałych w domu kręciła się bez celu w oczekiwaniu wypadków.

Olaf i Inguna wałęsali się między domami. Niby przypadkiem każde z osobna wędrowało na dół do potoku płynącego na północ od domu. Biegł on w głębokim jarze pośród wzgórz; ze szczelin w torfowisku wypływała woda, toczyła się po wielkich głazach tkwiących w ziemi i wypełniających całe łożysko i spadała z dziwnie usypiającym szumem.

Oboje dążyli do kępy osik o drżących listkach, stojących nieco wyżej,

na zboczu parowu. Ziemia była tu sucha, porośła miękką, bezkwiętą trawą.

– Chodź, połóż głowę na moich kolanach, wyiskam cię – zachęcała dziewczyna.

Olaf wyciągał się i kładł głowę na jej kolanach Inguna rozczesywała długo jego jasne, jedwabiste włosy, póki nie zasnął i nie zaczął oddychać głośno i równomiernie. Wtedy wyciągała płócienną chusteczkę, którą przykrywała wycięcie sukni na piersi, pocierała nią pot z twarzy chłopca i cichutko siedząc odganiała muchy i komary.

Z góry od strony dworu dochodził ostry, wzbudzony głos matki. Pani Ingebjörga i Arnvid syn Finna chodzili po ścieżce na skraju pola.

Codziennie teraz Ingebjörga córka Jona wychodziła z domu, siadała na skale nad dworem, wbijała oczy w przestrzeń i mówiła, mówiła bez końca: o swej starej, śmiertelnej nienawiści do Mattiasa syna Haralda, i o planach zemsty, od dawna ułożonych przez nią i Steinfina. I zawsze Arnvid musiał jej towarzyszyć, słuchać jej słów i dawać te same odpowiedzi na jej pytania.

Olaf spał z głową na kolanach Inguny. Dziewczyna siedziała oparta o pień osiki, zapatrzona przed siebie, bezmyślnie szczęśliwa, gdy nagle Arnvid zbliżył się ku nim brodząc w wysokiej trawie.

– Zobaczyłem, że tu siedzicie...

– Tak, tutaj jest przyjemnie i chłodno – rzekła Inguna.

– Czas byłby zacząć tu sianokosy – powiedział Arnvid; rozejrzał się po zboczu, lekki podmuch wiatru zakołysał trawą.

Olaf obudził się, odwrócił i przywarł drugim policzkiem do podołka Inguny.

– Tak jest, zaczniemy po święcie, mówiłem dziś rano z Grimem.

– Steinfinn ma pewnie niemałą wyrękę w tobie przy gospodarstwie, Olafie? – zapytał Arnvid.

– O... – Olaf zawahał się. – Wszystko tu jest tak zaniedbane. Choćbyś nie wiem jak się starał, niewiele to pomaga. Jednak odmieni się to z pewnością; Steinfinn będzie miał teraz większą ochotę zająć się swymi sprawami. Ale prawdopodobnie jest to ostatnie lato, jakie tu spędzam.

– Jak to, chcesz wyjechać z Frettastein? – zapytał Arnvid.

– Muszę przecież wybrać się do domu i rozejrzeć w swoim własnym gospodarstwie – odparł Olaf przemądrzale. – Jeśli Steinfinn doprowadzi do ładu te sprawy, przeniosę się do Hestviken. Steinfinn na pewno chętnie pozbędzie się mnie i Inguny.

– Nie wiadomo, czy Steinfinn będzie miał teraz czas na takie sprawy – rzekł Arnvid stłumionym głosem.

Olaf wzruszył ramionami i spojrzał zuchwale.

– Tym bardziej będzie mu zależało na tym, bym sam wreszcie zarządzał swoim majątkiem. On wie dobrze, że nie uchylę się i zawsze wspomogę swego opiekuna.

– Jesteście jeszcze zbyt młodzi, by sami gospodarzyć na wielkim dworze.

– I ty nie byłeś starszy, Arnvidzie, gdyś się żenił.

– Nie, ale my mieliśmy rodziców, którzy nas wspierali, a mimo to byłem za młody. Obawiali się jednak, że nasz ród mógłby wygasnąć po śmierci moich braci.

– Tak, i ja jestem ostatni z mego rodu – rzekł Olaf.

– To prawda – przytaknął Arnvid. – Ale Inguna jest jeszcze bardzo młoda.

Olaf ułożył sobie to wszystko po podróży do Hamaru. Po owym

pierwszym dniu, rozkosznym i oszłamiającym, kiedy wraz z towarzyszką swych dziecięcych zabaw przechodził z jednego upojenia w drugie, uspokoił się zaraz po powrocie na Frettastein. Nikt nie zauważył ich wycieczki. Podziało to dziwnie kojąco na wzburzenie chłopca. Przy tym tak się złożyło, że wszystko i wszyscy dokoła wyczekiwali zmiany i ważnych wypadków, właśnie teraz, kiedy Olaf wydał się sam sobie dorosłym. Dlatego też zmiana, która w nim zaszła, zdawała się bardziej prawdopodobna.

Przestał bawić się z chłopcami z sąsiedztwa i nikt się temu nie dziwił, bo wzburzenie panujące teraz na Frettastein znajdowało echo również we wszystkich sąsiednich dworach.

Mogło się więc zdawać Olafowi zupełnie naturalne, że musi poważnie myśleć o swym małżeństwie. I przebywając wiele z Inguną w te długie, słoneczne dni lata, odczuwał pewnego rodzaju zadowolenie, że teraz o wiele lepiej niż dawniej, gdy był bardziej dziecinny, rozumie przyszłość, która była mu przeznaczona.

W miejsce niepokoju i lęklivego wstydu pojawiło się radosne, nowe oczekiwanie. Coś musiało się wydarzyć – Steinfinn z pewnością wykorzysta sposobność i uderzy. Jakie skutki pociągnie to za sobą, nad tym się Olaf zbyt nie głowił. Mimowolnie przyswoił sobie mniemanie rodu Steinfinna o jego potędze i wspaniałości. Nie było nikogo, kto mógłby się z nimi mierzyć. Olaf jednak spodziewał się przede wszystkim, że natychmiast, gdy tylko poprosi, otrzyma pozwolenie Steinfinna, by móc jechać na Hestviken i wyprawić wesele. Stanie się to chyba jesienią albo zimą. I niedawno rozbudzone w nim pragnienie, by posiadać Ingunę, sprzęgło się w jedno z rozbudzoną ambicją, by stać się swym własnym panem. Kiedy brał Ingunę w ramiona, miał wrażenie, że wraz z nią trzyma rękojmię swej pełnoletności. Gdy przybędą na Hestviken, będą spać razem w łożnicy i razem rządzić włościami i domem, i nikt nie będzie

miał prawa rozkazywać prócz nich dwojga. Wówczas staną się dorosłymi ludźmi.

Nieczęsto zresztą zdarzało się teraz, by Olaf pieścił swoją dziewczynę. Jeśli nawet nie był nieśmiały, oszołomiony i tak załężniony jak z początku, w pierwszym porywie pożądania, to obecnie rozumiał, co przystoi mężczyźnie. Tylko wieczorami, zanim każde z nich udało się na spoczynek, chętnie szukał sposobności, by bez świadków życzyć Ingunie dobrej nocy – sądził, że tak powinno być między dwojgiem przyjaciół, którzy niedługo mają się pobrać.

To, że oczy Inguny zdradzały zbyt wiele, gdy tylko patrzyli na siebie, uważał Olaf za część łaskawego szczęścia, jakie mu los gotował. Widział, że dziewczyna patrzy na niego ukradkiem, a spojrzenie jej jest dziwne, ociężałe i zasnutę mrokiem. Gdy wzrok ich się krzyżował, małe ogniki zapalały się w jej oczach; odwracała głowę, by skryć uśmiech. Gdy się spotykali, próbowała ukradkiem dotknąć go, lubiła zwichrzyć mu włosy, gdy tylko zostawali sami. Była bardzo usłużna wobec niego, ofiarowała się doglądać jego odzieży i przynosiła mu jedzenie, gdy później od innych przychodził na posiłek. A gdy życzył jej dobrej nocy, garnęła się do niego, jakby spragniona jego pieśczoły. Olaf tłumaczył to sobie w ten sposób, że i jej tęskno do małżeństwa, i jej czas dłuży się na Frettastein. Pewnie cieszy się, że sama wkrótce będzie gospodynią. Nie myślał nigdy o tym, że mogą być również młodzi ludzie, którzy nie miłują się, choć są ze sobą zaręczeni.

Wspomnienia wycieczki do Hamaru unosiły się niby sen nad Olafem. Zwłaszcza wieczorami, kiedy kładł się na spoczynek, myślał o niej i przeżywał ją wciąż na nowo, póki nie poczuł owego dziwnego, słodkiego drżenia. Przypominał sobie tę chwilę o brzasku, kiedy klęczeli za stajnią rybaczki, z piersią wspartą o pierś, i kiedy zdobył się na odwagę, by ucałować Ingunę w skroń, pod pachnącymi rozkosznie i ciepło włosami. A



potem ogarniała go niepojęta trwoga i żal. Usiłował myśleć o przyszłości – przed nimi słała się wszak prosta droga do wrót kościelnych, poczesnego miejsca za stołem i ślubnego łoża. Serce jego słabło i trzepotało wśród nocnych godzin, ilekroć chciał cieszyć się tym wszystkim, co ich czekało, jak gdyby nic już w przyszłości nie mogło być tak miłe, jak ów pocałunek o świcie...

– Co tam znowu? – zapytał Arnvid gderliwie. – Czy nie możesz uleżeć spokojnie?

– Wyjdę na chwilę – Olaf wstał, ubrał się i zarzucił na siebie płaszcz.

Noce były teraz już mniej widne. Gęste korony drzew liściastych wydawały się ciemniejsze na tle mglistogranatowych wzgórz. Chmury na północnym niebie pobłyskiwały tu i ówdzie mosiężną żółtością. Nietoperz przemknął obok niego, czarny i chyży jak błyskawica.

Olaf poszedł do domu, w którym spała Inguna. Drzwi były uchylone z powodu gorąca, mimo to wewnątrz było straszliwie parno, pachniało nagrzanymi belkami, posłaniem i spoconymi ludźmi.

Dziewka leżąca przy ścianie chrapała głośno przez sen. Olaf przykłęknął i pochylił twarz nad Inguną leżącą z brzegu. Policzką i wargami dotknął lekko jej piersi. Przez chwilę zachowywał się cichutko, by czuć delikatną, ciepłą pierś falującą w oddechu – posłyszał pod nią bicie serca. Potem przesunął twarz wyżej, Inguna zbudziła się.

– Ubierz się – szepnął jej do ucha – i wyjdź na chwilę.

Czekał przed izbą na ganku. Po chwili w niskich drzwiach ukazała się Inguna. Przystanąła, jakby zdziwiona ciszą. Parę razy odetchnęła głęboko; noc była chłodna i przyjemna. Usiedli obok siebie na najwyższym stopniu schodów.

Oboje zdali sobie teraz sprawę, że w całym obejściu są jedynymi ludźmi, którzy nie śpią, a żadne z nich nie było przyzwyczajone przebywać nocą na dworze. Siedzieli bez ruchu, tylko od czasu do czasu ośmielali się

szepnąć jakieś słówko. Olaf zamierzał okryć swoim płaszczem Ingunę i otoczyć ją ramieniem. Lecz położył tylko rękę dziewczęcia na swym kolanie i jednym palcem głaskał delikatnie jej palce. Aż cofnęła rękę, zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła mocno twarz do jego twarzy.

– Noce są już ciemniejsze – rzekła szeptem.

– Dziś jest pochmurno – wyjaśnił.

– Tak, może jutro spadnie deszcz.

Sine opary słały się nad kawałeczkiem fiordu widocznym z miejsca, gdzie siedzieli, a zarysy grzbietów górskich po drugiej stronie były lekko zatarte. Olaf spojrzął przed siebie i orzekł:

– Pewne to nie jest; wiatr wieje od wschodu. Czy słyszysz, jak głośno szumi dziś rzeka w jarze?

– Musimy już iść spać – szepnął po chwili.

Pocałowali się: lekki, szybki i nieśmiały pocałunek. Potem Olaf ześliznął się ostrożnie po schodach, a Inguna weszła do komory.

W świetlicy było ciemno, że oko wykol. Olaf rozebrał się i położył z powrotem.

– Czy byłeś na dworze i mówiłeś z Inguną? – zapytał Arnvid zupełnie rozbudzony.

– Tak.

Po chwili Arnvid zapytał znowu:

– Czy wiesz właściwie, Olafie, co i jak zostało postanowione o twoich dobrach?

– Nie, tego nie wiem. Pamiętasz przecie, że byłem bardzo młody, kiedy mnie zaręczono. Lecz Steinfinn i mój ojciec z pewnością zawarli umowę, dotyczącą majątku, który mamy dostać. A czemu o to pytasz? – powiedział Olaf bardzo zdziwiony.

Arnvid nie odpowiedział. Olaf ciągnął:

– Steinfinn na pewno postara się, abyśmy otrzymali to, co się nam należy według umowy.

– Tak, tak, to mój kuzyn – rzekł z lekkim wahaniem Arnvid. – Ale z tobą, który wkrótce zostaniesz naszym krewnym, z tobą mogę o tym mówić. Powiadają, że stosunki majątkowe Steinfinna nie są już tak dobre jak dawniej. Zastanawiałem się nad tym, o czym mówiłeś, i sądzę, że masz słuszość. Najroztropniej będzie, jeżeli będziesz nalegał na przyśpieszenie ślubu, by Inguna mogła jak najprędzej zabrać stąd należną jej część.

– Tak, zresztą nie mamy potrzeby czekać – rzekł Olaf.

Nazajutrz było święto, a następnego dnia rozpoczęto na Frettastein sianokosy. Arnvid i jego pachołek pomagali przy robocie. Już z rana powietrze miało barwę mlecznoszarą, na odwieczerz potężne chmury zaczęły płynąć i zasnuwać szarzejące, zamglone niebo. Kiedy przystanęli na chwilę, by naostrzyć kosy, Olaf rzucił okiem w górę – kropla deszczu spadła mu na twarz.

– Może skończy się na krótkiej ulewie nocą – powiedział jeden ze starszych parobków.

– Jutro jest letnie przesilenie – odparł Olaf. – Jeśli tego dnia pogoda się odmieni, to tyle dni deszcz będzie padał, ile dni przedtem świeciło słońce – zawsze tak słyszałem. Nie sądzę, Torleifie, by tego roku zwózka siana poszła nam lepiej niż zeszłego.

Arnvid stał nieco dalej na łące. Teraz odłożył kosę, podszedł szybko do tamtych i wyciągnął rękę. Daleko w dole, na zboczu, przez małą polankę leśną sunął długi poczet zbrojnych.

– To oni – rzekł Arnvid. – Wyglądają, jak gdyby myśleli o innym

rodzaju koszenia. Rad bym doprawdy wiedzieć, jak wypadną tego roku sianokosy tu na dworze.

Późnym wieczorem spadł ulewny deszcz; las parował, gęsta, mleczna mgła kłębiła się po polach i zboczach. Olaf i Inguna stali przed gankiem wiodącym do jej komory; chłopak zżymał się na pogodę.

Arnvid nadbiegł przez rozmiękły od wody dziedziniec, stanął obok nich i otrząsnął się.

– Jak to, nie bierzesz udziału w naradzie mężów? – spytał pogardliwie Olaf.

Olaf chciał pójść za innymi, kiedy szli do chaty Ingebjörgi. Mieli tam odbyć naradę, z dala od uszu czeladzi. Steifinn jednak polecił wychowankowi pozostać z pachołkami w świetlicy. Rozgniewało to Olafa; obecnie, kiedy w myślach uważał się za zięcia Steifinna, nie przyszło mu do głowy, że tamten wcale nie wie, jak bliski zawarcia jest ich związek.

Arnvid oparł się o ścianę, zgnębiony wpatrywał się przed siebie.

– Nie uchylę się od tej sprawy i pójdę za mym krewnym, dokąd zażąda, ale w ich naradach uczestniczyć nie chcę.

Olaf spojrzął na przyjaciela, pogardliwy uśmiech wykrzywił blade, ładne usta chłopca.

Nazajutrz pod wieczór zbrojny poczet ruszył w dolinę. Przejaśniło się nieco, lecz powietrze było chłodne i wietrzne, a niebo zasnuwane chmurami.

Kolbein jechał z pięcioma ludźmi, Steinfinn miał siedmiu parobków oraz Olafa, Arnvid towarzyszył im z jednym pachółkiem. Kolbein postarał się zawnocować o łódzie; czekały na nich w ukryciu, dalej na północ, nad jeziorem Mjös.

Inguna poszła wcześniej do swej komory i położyła się. Nie wiedziała, jak długo spała, gdy wtem ktoś zbudził ją, dotykając jej piersi.

– To ty? – szepnęła rozszpana; sądziła, że dotknie miękkich puki Olafa, wyciągnięta ręka napotkała jednak głowę w chustce. – Matka? – spytała zdumiona.

– Nie mogę spać – powiedziała Ingebjörga. – Wysłałam z izby. Ubierz się i chodź ze mną.

Inguna posłusznie wstała i odziała się, wciąż ogromnie zdziwiona.

Wyszędłszy na dwór zobaczyła, że nie jest wcale tak późno.

Rozpogodziło się całkiem. Miesiąc nieomal w pełni wychynął właśnie zza góry, bladoczerwony jak chmurka o zachodzie; jeszcze nie świecił.

Rozpaloną dłonią ujęła Ingebjörga córkę za rękę i pociągnęła za sobą. Chodziła z nią tam i z powrotem, lecz prawie nie odzywała się do niej.

Stała na chwilę przy częstokole otaczającym jedno z pól. W dolnej części pola było zagłębienie wypełnione wodą, obrosłe wysokim, bujnym zielskiem, odbijającym się w mrocznej tafli wodnej. Na samym środku maleńkiej, błyszczącej sadzawki lśnił księżyc – wzeszedł tymczasem tak wysoko, że jaśniał teraz żółtym blaskiem.

Matka spojrzała w stronę, gdzie w łagodnej, srebrzystej poświacie leżały gmina i jezioro:

– Zastanawiam się, czy ty, Inguno, zdajesz sobie sprawę z tego, co znaczy ta noc dla nas wszystkich – odezwała się.

Inguna poczuła przy tych słowach, że blednie i policzki jej stają się białe. Wiedziała zawsze wszystko o życiu ojca i matki, wiedziała również, że stoją u progu wielkich wydarzeń. Ale dopiero teraz, przechadzając się z matką, dostrzegła, jak do głębi wzburzona jest dusza Ingebjörgi, i pojęła, co to wszystko znaczy. Cichy dźwięk wydobył się z jej ust, podobny do pisku myszy.

Przeorana cierpieniem twarz Ingebjörgi skurczyła się jakby w uśmiechu:

– Boisz się może czuć tej nocy z twoją matką? Tora na pewno nie odmówiłaby, lecz to dziecko jeszcze, łagodne i pobożne. Tyś nie taka... i jesteś przecież najstarsza – dokończyła gwałtownie.

Inguna zacisnęła szczupłe ręce. Znów miała wrażenie, że wydostała się trochę wyżej, na wzgórek, z którego może ogarnąć szerszy świat. Zawsze zdawała sobie sprawę z tego, że rodzice nie są starzy. W tej chwili jednak zrozumiała, że są młodzi. Ich miłość, o której słyszała jak o sadze dawnych lat, mogła ocknąć się na nowo i zakwitnąć jasnym płomieniem, jak rozjarzyć się może ogień z drzew tlejących pod popiołem. Ze zdumieniem i niechęcią zarazem wyczuła, że ojciec i matka wciąż jeszcze się miłują, tak jak ona i Olaf, tylko o wiele namiętniej. Rzeka u ujścia jest szersza i ma więcej wody niżli w górze, u źródła. I choć to, co wiedziała o rodzicach, zawstydzало ją, poczuła zarazem dumę z ich niezwykłego losu.

Nieśmiało wyciągnęła obie ręce:

– Chętnie czuwać będę z tobą całą noc, matko. Ingebjörga uściśnięła rękę córki.

– Bóg musi pozwolić Steinfinnowi, by zmył z nas tę hańbę – rzekła wzburzona, przytuliła Ingunę i ucałowała.

Inguna objęła matkę za szyję. Dużo już czasu upłynęło, odkąd ją matka pieściła. Pocałunki jej przypominała sobie jako część owego życia, któremu najazd Mattiasa położył kres.

Ingunie nie brakowało ich zresztą, w dzieciństwie nie była czuła. To, co było pomiędzy Olafem a nią, było czymś, co istniało dopiero od niedawna. Przyszło, jak przychodzi wiosna – pewnego dnia zjawia się niczym cud, a zaraz potem wydaje się, że zawsze musi być lato. Tak i polna miedza, dopóki leży naga po stajaniu śniegu, ze zwiędłą trawą wokół kamieni, jest tylko drobną, szarą wstęgą między polami. Potem zarasta lasem krzewiącego się bujnie ziela, przez które ledwie można przejść.

Teraz wczesnowiosenna jałowość jej dziecięcego serca zarosła bujnie. Inguna przytuliła chłodny, miękki policzek do kościstej twarzy matki:

– Chętnie zaczekam z tobą, matko.

Słowa te zapadły z powrotem w jej własną duszę – ona sama musi przecież czekać na Olafa. Kiedy odjeżdżał wieczorem wraz z innymi, myśli jej były rozproszone, nie przeszło jej nawet przez głowę, że może to być niebezpieczne przedsięwzięcie. Zadygotała z trwogi, ale było to tylko drżenie w zakątkach serca. Nie mogła poważnie myśleć o tym, że komuś z jej bliskich mogłoby się coś złego wydarzyć.

Mimo to zapytała: – Matko, czy ty się boisz?

Ingebjörga córka Jona potrząsnęła głową:

– Nie! Bóg pozwoli nam dowieść naszej słuszności, bo my mamy rację. – A spostrzegłszy wyraz twarzy córki, dodała z uśmiechem, którego Inguna nie lubiła – był dziwny i chytry: – Sprawa wygląda tak, moja córko: dla nas to szczęśliwy przypadek, że król Magnus umarł tej wiosny<sup>[14]</sup>. Mamy teraz przyjaciół i krewnych pośród tych, którzy dzierzą

[14] ...*król Magnus umarł tej wiosny* – napad na dwór Mattiasa dokonany został więc w 1280 r.

największą władzę, tak mówi Kolbein. I wielu jest pośród nich takich, którzy nie zazdroszczą Mattiasowi. Pamiętasz, jak on wygląda? O nie, z pewnością nie przypominasz sobie... Więc ów Mattias jest niskiego wzrostu, mimo to wielu ludzi jest zdania, że powinien być jeszcze o głowę krótszy. Królowa Ingebjörga nigdy go nie lubiła, inaczej nie siedziałby daleko w Birid teraz, gdy rycerze i baronowie zebrali się w Björgvin, a młody król<sup>[15]</sup> zostanie ukoronowany.

Chodziły tam i z powrotem między opłotkami, Ingebjörga nie przestawała mówić. Inguna miała serdeczną ochotę opowiedzieć matce o Olafie synu Auduna, lecz rozumiała, że tamta jest tak pochłonięta własnymi myślami, że nie zechce słuchać o niczym innym. Mimo to odezwała się:

– Jaka szkoda, że Olaf nie zdążył odebrać swego berdysza!

– Ach, ojciec postarał się już o to, aby wszyscy ludzie, którzy z nim pojechali, byli dobrze uzbrojeni. Steinfinn nie chciał zabrać chłopca. Lecz Olaf ubłagał go, by mu pozwolił towarzyszyć sobie.

– Ale tobie zimno – powiedziała matka po chwili. – Weźże swój płaszcz.

Płaszcz Inguny wciąż jeszcze wisiał w izbie matki. Nie poszła po niego przez tych czternaście dni, a ilekroć potrzebowała okrycia, brała odświętny płaszcz Olafa. Matka poszła za nią do chaty. Rozdmuchała żar na palenisku i zapaliła od niego świecę:

– Dawniej twój ojciec i ja przeprowadzaliśmy się zwykle latem do dużej izby na poddaszu nad spichrzem. Gdybyśmy spali tam tej nocy, kiedy Mattias przybył, nie udałooby mu się zaskoczyć znienacka Steinfinna. I teraz bezpieczniej będzie tam sypiać, póki Steinfinn nie uzyska listu żelaznego.

Wielki spichrz nie miał schodów zewnętrznych, przechowywano

[15] ...a młody król... – Erik, syn Magnusa (1280-1289).



w nim bowiem kosztowności domowników. Z dolnego pomieszczenia prowadziła na górę jedynie drabina. Inguna nie często tam chodziła i już sam zapach wewnątrz nastrojał ją uroczyście. Sakwy z mocno pachnącymi suszonymi ziołami wisiały wśród futer, którymi się okrywano w łożu, i skórzanych miechów; zasobnie wyglądał spichrz z tymi wszystkimi przedmiotami zwisającymi z pułapu. Pod ścianami stały wielkie skrzynie. Inguna zbliżyła się i oświetliła skrzynię Olafa – była z jasnego drzewa lipowego, pięknie rzeźbiona.

Ingebjörga otworzyła drzwi na ganek. Zdjęła wszystko z łoża, a piętrzyło się tam sporo rzeczy, po czym zaczęła szperać w skrzyniach i schowkach, każąc córce poświęcić sobie. Po chwili upuściła na podłogę wszystko, co trzymała w rękach, i wyszła na ganek.

Księżyc zawędrował teraz tak daleko na zachód, że jego światło niby złoty most leżało na wodzie. Właśnie chylił się ku ciężkim błękitnym chmurom, których pojedyncze, lotne strzępy pognały ku niemu i rozłociły się.

Matka weszła znów do izby, szukała dalej czegoś w skrzyniach. Znalazła wreszcie odświętną, jedwabną suknię zieloną, przetykaną wzorem złocistych kwiatów. W chwiejnym migocie świecy szata miała barwę poźółkłej osiki.

– Tę suknię daruję ci dziś...

Inguna schyliła się i ucałowała rękę matki. Nigdy do tej pory nie posiadała jedwabnej sukni. Z małej szkatułki z kła morsa wyjęła matka zieloną aksamitną wstążkę, wysadzaną gęsto różyczkami z pozlacanego srebra. Przepasała nią czoło córki, poprawiła wstążkę i związała jej końce z tyłu, na karku pod włosami.

– Tak. Nie jesteś wprawdzie taka ładna, jak zapowiadałaś się w dzieciństwie, ale tego lata wypiękniałaś znowu. Możesz teraz wplatać opaskę we włosy – jesteś już przecie dojrzała do zamążpójścia, Inguno.

– Tak, mówiliśmy o tym z Olafem – odważyła się wtrącić Inguna. Mimo woli starała się mówić tak swobodnie i spokojnie, jak tylko mogła. Ingebjörga spojrzała na nią. Przykucnęły obie przed skrzynią.

– Mówiliście o tym – ty i Olaf!

– Tak – Inguna mówiła spokojnie jak przedtem, spuszczać skromnie oczy. – Jesteśmy już prawie dorośli, możemy się spodziewać, że zechcecie rychło urzeczywistnić tę umowę dotyczącą nas.

– O, umowa nie była taka – odparła matka – aby nie mogła zostać cofnięta, jeśli byście sami nie chcieli. Zmuszać was nie będziemy.

– Nie, ale my jesteśmy zadowoleni z tego, co nam przeznaczycie – odparła pokornie Inguna. – Mówiliśmy o tym, jak dobrze nasi ojcowie za nas postanowili.

– No tak – Ingebjörga wpadła znów w zadumę. – Jakaś rada znajdzie się na pewno. Czy bardzo lubisz Olafa? – spytała.

– Jakże go nie mam lubić? Znamy się od tak dawna. Zawsze był dobry i miły wobec nas i wam posłuszny.

Matka kiwała w zamyśleniu głową.

– Steinfinn i ja nie wiedzieliśmy, czy pamiętacie jeszcze o tej umowie, czy też zapomnieliście o niej. Tak, tak, na pewno znajdzie się rada, w taki czy inny sposób. Jesteście jeszcze tacy młodzi, że nie mogliście się znów tak bardzo do siebie przywiązać. Urodziwy jest ten Olaf. I Audun zostawił majątek...

Inguna chętnie mówiłaby dalej o Olafie. Lecz widziała, że matka pogrążyła się już znowu we własnych myślach.

– ...Odludnymi drogami ciągnęliśmy wówczas przez góry – ojciec i ja – mówiła jakby do siebie Ingebjörga. – Od Vors skręciliśmy i odtąd wędrowaliśmy przez najwyższe położone doliny. Dużo śniegu leżało jeszcze na szczytach. W pewnym miejscu musieliśmy czekać cały tydzień w kamiennym szałasie. Było to nad strumieniem, z góry spływał lodowiec

aż do samej wody. Nocą leżąc bezsennie słyszeliśmy, jak kawały lodu pękają i dzwonią. W pierwszym kościele, do którego dotarliśmy, Steinfinn zdjął z palca złoty pierścień i ofiarował go – był to dzień świąteczny. Biedacy z górskiej gminy przyglądali się nam wytrzeszczonymi oczyma... uciekliśmy z miasta, tak jak staliśmy, w odświętnych szatach. Ucierpiał wprawdzie mocno od długiej wędrówki, ale mimo to ludzie w tej odległej dolinie jeszcze nigdy takich nie widzieli...

A kiedy potem Steinfinn przywiózł mnie na Hov jako swoją narzeczoną, upadałam ze zmęczenia. Wówczas dźwigałam już ciebie pod sercem...

Inguna jak urzeczona wpatrywała się w matkę. W nikłym blasku świecy stojącej między nimi na podłodze dojrzała, że matka uśmiecha się dziwnie. Ingebjörga pogłaskała córkę po głowie, przesunęła w dłoni jej długie warkocze.

– A teraz jesteś już zupełnie dorosła.

Matka podniosła się, dała dziewczynie haftowaną kapę z łożka i poleciła wytrześć ją na ganku.

– Matko! – krzyknęła Inguna z ganku. Ingebjörga wybiegła za nią.

Było już prawie widno, górą niebo bladło i rozjaśniało się, lecz ziemię spowijały chmury i opadała mgła. W dali, na północnym zachodzie, po drugiej stronie jeziora płonął wielki pożar, zabarwiał wokoło purpurą opary. Czarny dym wzbijał się w górę, rozwiewał się i mieszał z mgłą, zagęszczał ją i przyciemniał aż hen, po zręby gór. Chwilami widać było nawet płomienie wzbijające się wysoko ku górze, lecz płonący dwór leżał ukryty za gęstym borem.

Przez chwilę obie kobiety stały zapatrzone. Matka nie odezwała się słowem, córka nie śmiała przemówić. Potem gospodyni odwróciła się i wyszła – po chwili Inguna ujrzała ją biegnącą przez podwórze do swej chaty.

Dwie dziewczki w koszulach wypadły teraz na dziedziniec i pobiegły do płotu. Zjawiła się Tora z rozpuszczonymi jasnymi włosami, matka wodząca za rękę obu synów oraz wszystkie kobiety dworskie. Ich krzyki i nawoływania dochodziły aż do Inguny.

Gdy jednak zaczęły cisnąć się gromadnie na poddasze spichrza, Inguna uciekła chyłkiem. Ze schyloną głową i rękami splecionymi pod płaszczem, którym się szczelnie otuliła – najchętniej zrobiłaby się całkiem niewidzialna – wymknęła się do swej komory i położyła się.

Gwałtowny szloch wstrząsnął nią, sama nie wiedziała, czemu tak strasznie płacze. Zdawało się jej, że jest przepełniona wszystkimi wydarzeniami tej nocy. Nie mogła znieść nikogo koło siebie, była zmęczona. Wstawał dzień.

Kiedy się obudziła, słońce wpadało przez drzwi. Zerwała się i narzuciła koszulę – posłyszała stąpania koni na dziedzińcu.

Cztery czy pięć rozsiodłanych koni pasło się spokojnie. Bułanek Olafa był między nimi. Z góry, z sadu dochodziło również rzenie. Dziewki uwijały się między kuchnią a świetlicą – wszystkie odświętnie ubrane.

Inguna zarzuciła na siebie płaszcz i pobiegła do spichrza. Podłoga była tu wysypana polnymi różyczkami i tak wonnym kwieciem, że aż jej dech zaparło. Od lat dziecinnych nie widziała uczty we dworze. Pijatyki w świetlicy i biesiady w dni świąt – ale nie takie uczty, żeby kwiatami wysypywać podłogę! Jedwabna suknia i przepaska na włosy leżały na skrzyni Olafa. Inguna chwyciła je i pobiegła z powrotem.

Nie miała zwierciadła, ale nie odczuwała wcale jego braku, gdy gotowa i wystrojona stanęła w komorze. Czuła ciężar złotej opaski na rozpuszczonych włosach, spojrzała w dół na swe ciało spowite w złotozielony jedwab. Suknia opadała w długich fałdach od piersi aż do

stóp, srebrny pas spinał ją w biodrach. A taka była powłóczysta i luźna, że dziewczyna musiała ją podnieść oburącz, kiedy kroczyła przez murawę podwórza. Pełna radości wiedziała: oto wygląda jak jeden z rzeźbionych obrazów w kościele – wysoka i gibka, z płaską piersią i smukłymi nogami, cała połyskująca od ozdób.

W drzwiach świetlicy zatrzymała się oszołomiona. Na palenisku płonął wielki ogień, a blask słoneczny wpadał przez dymnik, tak że dym pod wiazaniem stropu zdawał się błękitny. Na stole przed poczesnym miejscem stały zapalone świece. Tam u boku ojca siedziała matka w czerwonej jedwabnej sukni. Zamiast niewieściego czepka, w którym Inguna zwykle ją widziała, miała teraz na głowie sztywne białe płótno: wysoko niczym korona sterczało nad czołem, odsłaniając tył głowy. Węzeł włosów błyszczał pozłociście w koronkowej siatce.

Reszta kobiet nie siedziała za stołem. Kręciły się tam i z powrotem, wносиły jadło i napoje. Inguna ujęła dzban, trzymała go wysoko w prawej ręce, lewą zaś uniosła kraj sukni, starając się poruszać giętko i powabnie – wysuwała brzuch, opuszczała ramiona, by wyglądać jeszcze szczuplej, wyginała wdzięcznie szyję, przekręcając głowę jak kwiat na łądzy. Tak kroczyła przez izbę, lekko i zwinnie – najpiękniej, jak tylko umiała.

Mężczyźni podpiłi sobie już dobrze, byli także zmęczeni po nocnej wyprawie: nikt nie zwracał na nią uwagi. Ojciec roześmiał się do niej, gdy mu napełniała kielich. Oczy jego były błyszczące i mętne, oblicze gorzało purpurowo pod kudłatymi kasztanowatymi włosami. Dopiero teraz Inguna spostrzegła, że jedno ramię ma przewiązane. Steinfinn zarzucił odświętny płaszcz na obcisły skórzany kubrak, który nosił pod pancerzem. Wielu mężczyzn zasiadło do stołu, tak jak zeskoczyli z koni.

Ojciec dał jej znak, by dołała piwa Kolbeinowi i jego dwu synom, Einarowi i Haftorowi: siedzieli oni po prawej ręce gospodarza.

Po lewej stronie siedział Arnvid. Miał twarz czerwoną, a

ciemnoniebieskie oczy lśniące jak metal. Przez twarz przebiegło mu lekkie drżenie, gdy spojrzął na młodą krewniaczkę. Inguna zrozumiała, że on przynajmniej uważa ją dziś za piękną, i uśmiechnęła się z radości, nachylając się przez stół i napełniając mu kubek.

Doszła wreszcie tam, gdzie na zewnętrznej ławie siedział Olaf syn Auduna. Napełniając kubki złocistym płynem przecisnęła się między nim i jego sąsiadem. Wtenczas chłopak objął ją poniżej kolan i pod osłoną stołu przycisnął tak mocno do siebie, że rozlała trochę trunku.

Inguna spostrzegła od razu, że jest pijany. Siedział okrakiem na ławie, z wyciągniętymi daleko przed siebie nogami, głowę oparł na ręce, a łokcie na stole pośród potraw. Tak niezwykle u Olafa był ten sposób siedzenia, że Inguna wybuchnęła śmiechem; zazwyczaj droczyła się z nim, że zawsze, bez względu na to, ile wypił, pozostaje opanowany i zachowuje się cicho. Boże dary me wyrządzają mu krzywdy, powiadali ludzie.

Tego wieczora jednak piwo zwyciężyło jego zwykłą sztywność. Kiedy Inguna chciała nachylić się ku niemu, chwycił ją za ręce, przyłożył dzban do ust i pił oblewając się przy tym tak, że jego łośiowy kubrak był poplamiony na piersiach.

– Teraz ty pij – zawołał i roześmiał się jej w twarz; lecz oczy jego były dziwne i obce, błyszczały niepohamowaną dzikością. Inguna stropiła się trochę, ale napełniła jego kubek i wypiła. Wtedy objął ją znowu pod stołem, tak że o mało nie upadła mu na kolana.

Sąsiad Olafa odebrał mu dzban.

– Poczekajcie trochę, łyk piwa możecie przecież i nam zostawić.

Gdy Inguna oddaliła się, by napełnić dzban ponownie, spostrzegła, że ręce jej drżą. Zdumiona zauważyła, że drży na całym ciele. Namiętność chłopca przeraziła ją. Lecz równocześnie czuła się pociągnięta ku niemu w jakiś dotąd nie znany sposób. Była to jakby słodka, trawiąca ją ciekawość. Nigdy go takim nie widziała, ale to było rozkoszne – dziś

wieczór wszystko było inne niż zwykle. Obchodząc świetlicę i dolewając ludziom piwa usiłowała wciąż na nowo zbliżyć się do Olafa, by dać mu jeszcze sposobność do rubasznych, ukradkowych pieszczot. Zupełnie jak gdyby ją coś pchało ku niemu...

Nikt nie zauważył, że na dworze poszarzało, póki strugi deszczu nie zaczęły chlustać przez dymnik. Musieli zamknąć klapę i Ingebjörga kazała przynieść więcej świec. Mężczyźni podnieśli się od stołu. Niektórzy poszli spać do swych izb, inni jednak woleli siedzieć dalej, pić i gawędzić z kobietami, które dopiero teraz mogły pomyśleć o posiłku.

Arnvid i Einar syn Kolbeina usiedli obok Inguny. Einar miał zamiar opowiedzieć jej teraz o szczegółach wyprawy.

Popłynęli jeziorem wzdłuż wschodniego brzegu. Tam przepawili się do Vingarheim, by od tyłu zajechać do dworu Mattiasa. Zresztą okazało się, że to zbyteczne, Mattias bowiem nie wystawił straży.

– Nie wierzył, że Steinfinn myśli poważnie o zemście – dodał Einar drwiąco. – Nic dziwnego. Ile plotek i czekania poprzedziło tę wyprawę! Myślał zapewne, że jeśli Steinfinn przez sześć lat znosił cierpliwie hańbę, to może ją znieść jeszcze i przez siódmy.

– A ja słyszałem inną gadkę o Mattiasie: mówiono, że porzucił kraj, gdyż obawiał się Steinfinna – wtrącił Olaf syn Auduna, który powrócił do stołu i wcisnął się między Ingunę i Arnvida. – Tak, a Steinfinn jest leniwy: siedzi pod krzakiem i czeka, aż ptaszek sfrunie wprost na niego.

– Sądzisz, że powinien był raczej zacząć się prawować i spierać jak twój ojciec?

Arnvid wtrącił się i pogodził ich z sobą. Einar ciągnął dalej:

– Bez przeszkód dostaliśmy się na dwór i kilku uzbrojonych ludzi Steinfinna stanęło na straży, przy drzwiach tych domów, w których

prawdopodobnie spała czeladź Mattiasa. Steinfinn zaś i synowie Kolbeina weszli wraz z Arnvidem, Olafem i pięcioma parobkami do wielkiej izby. Kolbein pozostał na dworze. Kiedy wywalono drzwi, ludzie zerwali się ze snu, niektórzy nago, inni w koszulach, ale wszyscy chwycili natychmiast za broń. Był tam Mattias i jego przyjaciel, dzierżawca dworu z synem wyrostkiem, tudzież dwóch pachołków. Doszło do krótkiej walki, oszołomieni snem ludzie zostali wnet pokonani. A teraz chodziło o rozprawę między Steinfinnem i Mattiasem.

„A to niespodzianka! Tak wcześnie jesteś już w drodze, Steinfinnie? – przemówił Mattias. – Dawniej, o ile sobie przypominam, lubiłeś długo się wysypiać. Masz wszak piękną żonę, która potrafi zatrzymać cię w łóżnicy.”

„Tak, to właśnie ona pragnęła, abym tu przyjechał i pozdrowił cię od niej – odparł Steinfinn. – O niczym innym nie może myśleć, tylko o tobie, odkąd byłeś u nas, nie może cię zapomnieć od tego czasu. Ubierz się – dodał – zawsze uważałem za rzecz haniebną i plugawą napadać na nagiego człowieka.” Mattias oblał się krwią przy tych słowach. Potem jednak spytał, udając obojętność:

„Czy mogę nałożyć również pancerz, bo wydaje mi się, że chcesz okazać wspaniałomyślność?”

„Nie – odrzekł Steinfinn. – Nie zamierzam wypuścić cię żywym z tego spotkania. Ale chętnie będę potykał się z tobą bez zbroi.”

Podczas gdy Steinfinn zdejmował pancerz, Kolbein, który tymczasem wszedł do izby, i jeden z pachołków trzymali Mattiasa. Wściekły był z tego powodu, lecz Steinfinn powiedział ze śmiechem: „Zdaje się, żeś bardziej wrażliwy ode mnie. Nie możesz znieść, żeby cię łaskotano”. Potem pozwolił Mattiasowi ubrać się, a nawet wziąć tarczę. Stanęli naprzeciw siebie.

W młodości uważano Steinfinna za jednego z najdzielniejszych we



władaniu bronią, lecz w ostatnich latach wyszedł z wprawy. Wnet się okazało, że Mattias, choć mały i chudy, jest godnym przeciwnikiem. Steinfinn musiał się cofać krok za krokiem, zaczął ciężko dyszeć, wtedy Mattias ciął go w prawe ramię, tak że Steinfinn stracił w nim władzę. Przerzucił miecz do lewej ręki, obydwaj już dawno upuścili pogruchtane tarcze. Ludzie Steinfinna zmiarkowali teraz, że starcie wygląda groźnie dla ich pana: na znak Kolbeina jeden z nich podbiegł ku Steinfinnowi i stanął u jego boku. Mattias się zmieszał i wtedy Steinfinn zadał mu cios śmiertelny.

– Każdy z nas widział, że potykają się dwaj godni siebie przeciwnicy  
– rzekł Arnvid.

Tymczasem zdarzyło się nieszczęście. Paru najętych pachołków Steinfinna chciało splądrować dwór, inni zaś usiłowali ich powstrzymać. W czasie zamieszania, jakie stąd wynikło, suchy stos kory brzoźowej, leżący w wąskim przejściu między domem mieszkalnym a jednym ze spichrzów, został podpalony. Z pewnością uczynił to ów Tjostolf, do którego nikt nie miał zaufania, on pewnie zaniósł także korę do spichlerza, bo nagle i ten budynek stanął w płomieniach, chociaż belki i dach były mokre po deszczu. Ogień przerzucił się na wielką izbę. Musieli wynieść zwłoki Mattiasa i uwolnić z więzów resztę ludzi.

Tymczasem nadbiegli mieszkańcy z sąsiednich dworów i zaczęli ich atakować. Kilku ludzi po obu stronach odniosło rany, na szczęście żaden śmiertelnej.

– Tak, tak, ten pożar i walka z chłopami mogły nam zostać oszczędzone, gdyby Steinfinn nie chciał się zabawiać w rycerza i okazywać szlachetnych zwyczajów.

Olaf nigdy nie lubił Einara syna Kolbeina. Był on o trzy lata starszy od Olafa, zawsze złośliwy i uszczypliwy wobec młodszych chłopców. Dlatego odpowiedział mu teraz szyderczo:

– Nie bój się, za ten czyn nikt nie pociągnie twego ojca i twoich braci do odpowiedzialności. Nikt się nie spodziewa, by Kolbein syn Borghildy namówił swego przyrodniego brata do niewczesnej wspaniałości.

– Trzymaj język za zębami, smarkaczu. Mojego ojca wymieniają zawsze po Torem na Hov. Jesteśmy równie dobrego pochodzenia jak potomkowie Aasy, zapamiętaj to sobie, Olafie! Nie siedź tu i nie obmacuj mojej krewniczki, zabieraj łapy z jej kolan, i to zaraz!

Olaf zerwał się. Obaj rzucili się na siebie. Inguna i Arnvid podbiegli, by ich rozłączyć. W tej chwili Steinfinn podniósł się i poprosił o ciszę.

Wszyscy, mężczyźni i kobiety dworskie oraz obcy obstąpili stół. Steinfinn stał oparty na ramieniu żony, twarz jego nie była już czerwona, lecz biała jak płótno, oczy zapadnięte. Ale mówił z uśmiechem i trzymał się prosto.

– Chcę podziękować wam wszystkim, którzyście mi towarzyszyli w tej wyprawie – najpierw tobie, bracie, i twoim synom, a także mojemu drogiemu kuzynowi, Arnvidowi synowi Finna, i wam, dobrzy krewniacy i wierna drużyna. Jeśli Bóg pozwoli, uda nam się uzyskać wkrótce pokój i ugodę w sprawie, która się dziś w nocy dokonała, albowiem On jest Bogiem sprawiedliwym i chce, aby mąż szanował swoją żonę i strzegł czci białogłowy. Teraz jestem zmęczony, drodzy przyjaciele, i chcę iść do łóżnicy z żoną. Musicie mnie usprawiedliwić, że nic więcej powiem. Jestem znużony i ramię mam zadraśnięte. Grim i Balia zajmą się wami, pijcie więc, póki starczy ochoty, bawcie się i weselcie, jak przystoi w dniu tak radosnym jak ten... My, Ingebjörga i ja, idziemy teraz na spoczynek – musicie nam wybaczyć, że już odchodzimy. – Pod koniec mowa jego była bezładna i nie powiązana, chwiały się nieco, a gdy wychodzili z izby, Ingebjörga musiała go podtrzymywać.

Niektórzy z parobków wznosili głośne okrzyki i uderzali w stół kubkami i trzonkami noży. Hałas jednak wkrótce przycichł, ludzie

rozstąpili się. Niektórzy przypuszczali, że może rana Steinfina jest niebezpieczniejsza, niż chciał przyznać.

Wszyscy wyszli, stali milcząco w gromadkach i spoglądali za parą wysokich, pięknych małżonków, którzy w przesycony wilgocią letni wieczór szli ku spichrzowi. Wielu ludzi zauważyło, że Steinfinn przystaje i mówi coś gwałtownie do żony. Zdawała się sprzeciwiać i próbowała uchwycić go za rękę, on jednak zerwał opaskę, podtrzymując ranne ramię i odrzucił ją ze złością. Słyszeli, że śmieje się idąc dalej.

Po powrocie do świetlicy ludzie siedzieli dalej cicho, mimo że Grim i Dalla polecieli wnieść świeże dzbany z piwem i dorzucić polan do ognia. Uprzątnięto wolne stoły i ławy. Większość mężczyzn była zmęczona i łąknęła przede wszystkim snu. Niektórzy wyszli na dziedziniec, by potać się, ale wnet wrócili; posępne chmury wisiały nad ziemią, a trawa była bardzo mokra.

Inguna siedziała wciąż jeszcze między Arnvidem i Olafem. Olaf trzymał rękę na jej kolanach.

– Jedwab – bąkał i przesuwiał dłoń. – Jedwab jest śliczny – plótł w kółko to samo.

– Gadasz jak w gorączce – powiedział gniewnie Arnvid. – Siedzisz i śpisz już prawie. Idźże lepiej i połóż się! – Lec Olaf potrząsnął głową i parsknął śmiechem.

– Pójdę, kiedy mi się spodoba.

Tymczasem kilku mężczyzn chwyciło miecze i stanęło do tańca. Haftor syn Kolbeina podszedł do Arnvida i prosił go, aby poprowadził śpiew. Arnvid jednak ociągał się, był zanadto zmęczony. Olaf i Inguna również nie chcieli tańczyć; oświadczyli, że nie znają tej pieśni, *Kraaka-maal*.

Einar stanął na przedzie w tanecznym łańcuchu z wyciągniętym mieczem w prawicy. Tora trzymała go za lewą rękę, drugą zaś oparła na ramieniu sąsiada. Tak stali w jednym szeregu, mężczyzna z wyciągniętym mieczem na przemian z kobietą. Pięknie wyglądały podniesione ostrza. Einar zaczął śpiewać.

*Szczęknęły nasze miecze*

Łańcuch tańczących przesunął się trzy kroki w prawo, potem mężczyźni poruszyli się w lewo, kobiety zaś miały równocześnie cofnąć się o krok, tak że mężczyźni stali teraz przed nimi w jednym rzędzie. Po dwóch skrzyżowali nad głowami brzeszczoty i wybijali takt w miejscu, póki kobiety nie przebiegły pod skrzyżowanymi mieczami do przodu i znów nie utworzyły szeregu. Einar prowadził śpiew:

*Szczęknęły nasze miecze*

*Tak młody byłem, gdy*

*Dawałem żer w Oresund*

*Pyskom zgłodniałych wilków...*<sup>[16]</sup>

Okazało się, że nikt z tańczących nie zna dokładnie kroków. Kiedy kobiety miały przesunąć się pod mieczami, nie potrafiły utrzymać taktu z przytupywaniem mężczyzn. Miejsca też było za mało między długim paleniskiem i rzędem słupów, podtrzymujących strop i dzielących świetlicę od komory.

Trójka na ławie pod szczytową ścianą podniosła się, by lepiej widzieć. A gdy taniec już przy drugiej zwrotce groził załamaniem, ludzie zaczęli znów wołać Arnvida i prosić go, by śpiewał. Wiedziano, że zna całą pieśń i ma najpiękniejszy głos.

---

[16] Przekład Leopolda Lewina.

Gdy tylko wyciągnął miecz z pochwy i znalazł się na czele łańcucha tańczących, ład zapanował natychmiast. Olaf i Inguna stanęli tuż obok niego. Arnvid prowadził tany z wdziękiem, a patrząc na jego postać z szerokimi barami i krótką szyją, nikt nie spodziewałby się tego. Zaintonował pieśń pełnym, jasnym głosem, podczas gdy kobiety kołysząc się w takt przechodziły pod poruszającymi się mieczami.

*Szczęknęły nasze miecze.  
Graliśmy Hilda grę,  
Gdyśmy do hal Odina  
Stali zastępy Helsinga,  
A nasze miecze kąsały,  
Gdyśmy tam, w Iwie, byli.*

Szyki znów pomieszały się, gdyż między Olafem i Einarem nie było kobiety. Taniec musiano przerwać. Einar domagał się, by Olaf przestał tańczyć. Kłócili się ze sobą, dopóki jeden ze starszych parobków nie oświadczył, że chętnie się usunie. Arnvid poprowadził dalej zabawę:

*Szczęknęły nasze miecze.  
Szeregi jednak załamywały się raz po raz...*

I gdy doszli do jednej z dalszych strof, nikt poza Arnvidem nie znał słów. Olaf i Einar spirali się cały czas, poza tym mało kto umiał śpiewać na dwa głosy. Arnvid był zmęczony, miał małe draśnięcia w paru miejscach, które zaczęły piec, gdy się poruszał.

Łańcuch został przerwany. Niektórzy odeszli i rzucili się na posłania, inni stali i gadali dalej, chcieli jeszcze pić albo też tańczyć, w takt jednej z tych nowych, łatwiejszych melodii.

Olaf stał w cieniu pod słupami. On i Inguna trzymali się jeszcze wciąż

za ręce. Olaf wsunął miecz do pochwy:

– Chodź, pójdziemy do twej komory na poddaszu i pogwarzymy jeszcze chwilę – szepnął.

Trzymając się za ręce pobiegli wśród deszczu przez puste, ciemne podwórze, pędem wpadli na schody i zatrzymali się za drzwiami, dysząc z napięcia, jak gdyby popełnili coś zdrożnego. Potem rzucili się sobie w ramiona.

Inguna przyciągnęła głowę chłopca do swej piersi i wdychała woń jego włosów.

– Pachniesz spalenizną – mruczała. – Ach nie, nie – prosiła trwoźnie, przycisnął ją bowiem do drzwi.

– Nie, nie, zaraz pójde – szeptał Olaf – teraz już pójde sobie...

– Idź – lecz przygarnęła się do niego, drżąca i nagle osłabła, przerażona, że mógłby uczynić to, co powiedział, i odejść. Zrozumiała, że oboje są opuszczeni, ale wszystko, co było dawniej i teraz, zostało jakby uniesione nurtem owych dzikich i nieokreślonych godzin ostatniej doby – dlaczego oni oboje rzućeni w tę mroczną izbę mieliby się rozłączyć? Mieli przecież jedynie siebie.

Poczuła, że opaska zsuwa się jej z głowy, Olaf gładził i bawił się jej rozpuszczonymi włosami. Wianek spadł, zadźwięczał na podłodze. Chłopiec zanurzył obie ręce w bujnej fali włosów, przywarł do nich twarzą, brodę oparł o jej ramię.

Nagle posłyszeli Rajdunę, dziewczkę śpiącą z Inguna; stała na dole na dziedzińcu i wołała kogoś.

Odskoczyli od siebie, przerażeni, w poczuciu winy. Olaf błyskawicznie wyciągnął rękę i zamknął drzwi.

Rajdunna weszła na ganek, pukała i wołała Ingunę. Dzieci stały w głębokiej ciemności i drżały, tak im biły serca.

Dziewka dobijała się chwilę, stukając w drzwi. Potem pomyślała

widocznie, że Inguna zasnęła i śpi już mocno. Słyszeli, że schody trzeszczą pod jej ciężkimi krokami. Na dole na podwórzu zaczęła wołać drugą dziewczkę; domyślili się, że poszła na noc do innego domostwa. Olaf i Inguna padli sobie w ramiona, jak gdyby uniknęli największego niebezpieczeństwa.

Olaf obudził się w zupełnym mroku. Natychmiast przypomniał sobie wszystko. Zdawało mu się, że spada w głęboką przepaść. Czuł nerwowe drżenie, a serce ścisnęło mu się z trwogi, jak kuli się małe, bezbronne zwierzątko, gdy czyjaś ręka chce je schwytać.

Pod ścianą leżała Inguna i oddychała spokojnie jak niewinne dziecko we śnie. Lęk, wstyd i zgryzota runęły na chłopca, fala za falą. Leżał nieruchomo, jak gdyby wydmuchano mu cały szpik z kości. Pragnął gorąco jednej jedynej rzeczy – uciec stąd; nie czuł się na siłach, by słuchać jej skarg, kiedy się ocknie ze szczęśliwej niewiedzy snu. Ale czuł podświadomie i głęboko, że gdyby teraz się wymknął, pogorszyłyby to jeszcze całą sprawę.

Potem przyszło mu na myśl, że musi zejść z poddasza, zanim się ktoś obudzi. Musi zobaczyć, jaka jest pora. Leżał jednak dalej, jakby pozbawiony sił.

Wreszcie jednym zamachem otrząsnął z siebie bezwład, ześliznął się na podłogę i wyrzwał przez szparę w drzwiach. Nad dachami różowiły się już obłoki, brakowało chyba prawie godziny do wschodu słońca.

Ubierając się przypominał sobie, że ostatnim razem, gdy dzielił łożę z Inguną – na Boże Narodzenie – był wściekły, ponieważ musieli ustąpić swego posłania w świetlicy któremuś z gości i położyć się razem z córkami Steinfinna. Szorstko odpychał Ingunę, kiedy zajęła zbyt wiele miejsca, i szturchał ją ze złością, bo we śnie pakowała na niego spiczaste łokcie i kolana. Wspomnienie ówczesnej ich niewinności ciążyło nad nim teraz jak wspomnienie utraconego raju.

Nie mógł pozostać tu dłużej, musiał odejść. Gdy jednak pochylił się nad Inguną i poczuł zapach jej włosów, gdy dojrzał jej twarz i ciało



bielejące w mroku, poczuł, mimo całej sromoty i skruchy, że to także jest słodkie. Pochylił się nisko, czołem dotknął niemal jej ramienia i znów serce jego ścisnęło się tym osobliwym, podwójnym uczuciem: zachwytem nad tym, że jego młoda narzeczona jest taka krucha i wiotka, i bólem na samą myśl o tym, że coś mogłoby dotknąć ją boleśnie i twardo.

Nigdy, przysięgał sobie w duszy, nigdy więcej nie zrobi jej krzywdy. Powziąwszy to postanowienie nabrał odwagi, by spojrzeć jej w oczy. Poglaskał ją leciutko po twarzy i zawołał cicho po imieniu.

Wzdrygnęła się i usiadła, jeszcze niezupełnie rozbudzona. Potem zarzuciła mu ramiona na szyję, że aż musiał przykłęknąć, oparty o jej posłanie. Skulona przytuliła się do niego, objęła go szczupłymi ramionami.

I gdy tak klęczał z twarzą wtuloną w jej przedziwnie jedwabistą skórę, musiał zacisnąć zęby, by nie wybuchnąć łkaniem. Poczuł ulgę i zawstydenie, że Inguna jest taka dobra i kochana, nie skarży się i nie czyni mu wyrzutów. Przepelniony czułością dla niej i wstydem, udręką i szczęściem, nie wiedział wcale, co począć.

Wtem z podwórza doszło ich głuche zawodzenie – przeciągłe, niesamowite wycie psa.

– To Erp – szepnął Olaf. – Już wczoraj wieczorem tak skowyczał. Ciekawym, kto go znów wypuścił. – Posunął się ku drzwiom.

– Olafie, nie odejdiesz chyba ode mnie! – zawołała trwożnie widząc, że jest zupełnie ubrany i gotów do wyjścia.

– Muszę wyczekać sposobnej chwili, by się wymknąć niepostrzeżenie – odszepnął. – To szatańskie psisko cały dwór postawi za chwilę na nogi.

– Olafie, Olafie, nie odchodź ode mnie – uklęka w łozu.

A gdy podbiegł i chciał ją uciszyć, objęła go i trzymała mocno. Mimo woli uchylił głowę w bok, rozluźniając jej uścisk. Podciągnął kapę i przykrył Ingunę.

– Nie rozumiesz, że muszę odejść? I tak jest już źle – szepnął.

Wybuchnęła dzikim łkaniem. Rzuciła się na posłanie i szlochała, szlochała. Olaf zakrył ją aż pod brodę, stał bezradnie w ciemności i szeptem zaklinał ją, by tak nie płakała. W końcu ukląkł i podsunął jej rękę pod głowę – wówczas uciszyła się nieco.

Pies na podwórzu wył i skomlał jak opętany. Olaf zaczął leciutko kołysać dziewczynę: – Nie płacz, Inguno moja, nie płacz tak żałośnie – lecz twarz jego była nieruchoma i sztywna z napięcia.

Tak wyją psy tylko wtedy, gdy wietrzą trupa albo nieszczęście.

Teraz, kiedy klęczał tutaj w porannym chłodzie z płaczącą dziewczyną w ramionach i z każdą chwilą mocniej ogarniała go bezlitosna trzeźwość, różne rzeczy zaczęły mu przychodzić do głowy.

Nie troszczył się dotychczas o to, jak drogo wypadnie okupić ową wyprawę na dwór Mattiasa syna Haralda. O ile zauważył, inni też o tym nie myśleli. Zresztą teraz było to obojętne: Steinfinn nie mógł postąpić inaczej. Ale to przekłęte wycie na dziedzińcu zaniepokoiło go. Rana Steinfinna nie była wcale tak błaha, wiedział o tym, przytrzymał ramię, kiedy Arnvid je opatrywał. I przypomniał sobie oblicze Steinfinna na statku w drodze powrotnej i później, kiedy jechali przez wzgórza. Kolbein musiał prowadzić konia i podpieierać brata. I potem wieczorem, gdy życzył im dobrej nocy...

Dopiero teraz Olaf pojął nagle, jak bardzo lubi swego opiekuna. Przyjmował Steinfinna takim, jakim był, owszem, lubił go, ale nie uświadamiając sobie tego nawet spoglądał na niego trochę z góry przez te wszystkie lata. To, jaki Steinfinn był: niedbały, obojętny, lekkomyślny i niefrasobliwy we wszystkim, z gorzkim brzemieniem hańby i cierpienia, które spadły na niego, a które tak zupełnie nie pasowały do tego możnego, beztroskiego pana, budziło w najtajniejszej głębi duszy wychowanka pewnego rodzaju lekceważenie dla tych cech, tak nie odpowiadających jego własnej naturze. A teraz kiedy Steinfinn dźwignął się i pokazał,

kim jest, teraz, kiedy Olaf czuł aż do głębi serca, że mimo wszystko miłuje Steinfina, postąpił wobec niego w ten sposób! Na siebie ściągnął niesławę i najgorszą krzywdę wyrządził Ingunie. Czoło jego pokrył znowu lodowaty pot, a serce łomotało głucho w piersi – jeśli najgorsze nieszczęście już się stało, wówczas...

Przycisnął czoło do piersi Inguny – czy ten pies nigdy nie ucichnie? Jęk rwał się z jego duszy, tęsknota za dzieciństwem, które nieodwołalnie minęło. Tak okropnie ciążyła mu młodość i samotność. Potem podniósł się, wyprostował i zagryzł wargi, by stłumić westchnienie. Zachował się tak, że musi wziąć na siebie odpowiedzialność jak człowiek dorosły. Bezcelowe jest myślenie o przeszłości. Jakieś wyjście musi się znaleźć.

Wreszcie nadszedł ktoś, zląkał psa i usiłował go schwycić, domyślił się Olaf. Erp uciekł widocznie do ogrodu. Na dziedzińcu zapanowała cisza.

Olaf objął mocno dziewczynę, jakby ją chciał ochronić tym uściskiem, i ucałował ją w skroń. Potem ujął miecz, przełożył rzemień przez prawe ramię. Skoro poczuł broń u boku, odwaga jego okrzepła nieco. Podeszedł do drzwi, wyrzwał ostrożnie na ganek.

– Teraz nie ma nikogo na podwórzu, mogę się wymknąć. Inguna wybuchnęła lamentując. – Och nie, nie idź. Tak strasznie się boję zostać sama.

Olaf pojął, że wszelkie przekonywanie byłoby daremne.

– To wstań i ubierz się – szepnął. – Skoro zobaczą, że wychodzimy razem, nikt nie będzie nas podejrzewał.

Wyszedł z komory, usiadł na schodach i czekał. Z rękami na rękojeści miecza, z brodą opartą na nich siedział i patrzył, jak różowiejący odbłask na zachodzie gasnął, w miarę jak jasność na wschodzie stawała się wyrazistsza. Łąki dokoła były siwe od rosy i dżdżu.

Przypomniał sobie w tej chwili wszystkie wieczory i poranki tego lata spędzone z Inguną; wspomnienie ich zabaw dręczyło go i wywoływało

bolesne rozczarowanie i wstyd. Stał się zdrajcą; ale odczuwał to tak, jak gdyby i on sam również został zdradzony. Igrali na kwiecistym zboczu, lecz nie wiedzieli, nie przeczuwali, że kończy się ono przepaścią. I zanim się spostrzegli, stoczyli się w nią.

Zanim zostaną małżonkami, będzie im jednak oddana należąca cześć i może uda im się zapomnieć o tajemnym upokorzeniu, które przeżyli. Dawniej cieszył się na myśl o dniu swego ślubu, kiedy wszyscy i wszystko będzie na ich usługi dla uczczenia jego i Inguny, dniu, gdy będą uznani za dorosłych. Teraz jednak, kiedy nowożeniec wzniesie toast na weselu, odczuje gorzki posmak, bo niegodny będzie tej czci.

To, co zrobił, uchodzi za czyn człowieka pośledniego stanu. Kiedy taka rzecz wychodziła na jaw, ludzie powiadali, że na wierności takiego zięcia nie można polegać. Łódkę bowiem, konia i narzeczoną powinien człowiek kupić w rzetelny sposób, zanim ich użyje, jeśli tylko nie jest do tego zmuszony koniecznością.

O ile wiedział, u ludzi jego stanu trzy miesiące były najkrótszym okresem, jaki należy przeczekać od dnia, w którym umowa o warunkach majątkowych nowożeńców zostanie oznajmiona tu, na Frettastein, aż do dnia ich wesela w Hestviken. Może jednak teraz, kiedy Steinfinn uwikłał się w tę sprawę o pożar i zabójstwo, nie będzie wyglądało zbyt dziwnie, jeśli przyspieszy ich ślub, aby zamiast nadal sprawować opiekę nad dwojgiem nieletnich dzieci, mieć zamożnego zięcia, od którego słusznie mógłby oczekiwać pomocy przy spłacaniu grzywny i w innych podobnych sprawach.

Kiedy Inguna wyszła do niego i nie mając odwagi spojrzeć na niego szepnęła:

– Gdyby mój ojciec wiedział o tym, zabiłby nas oboje – Olaf roześmiał się i wziął ją za rękę.

– Musiałby być o wiele głupszy, niż jest; jakoś musi się z tej sprawy

wygrzebać, Inguno. A może mu teraz pomóc raczej zięć żyjący aniżeli martwy. Wiesz przecie – szepnął stroskany – że byłoby największym nieszczęściem, gdyby on lub ktokolwiek dowiedział się o tym.

W tej chwili słońce wzeszło. Na dworze był lodowaty ziąb i wszędzie lśniła rosa. Olaf i Inguna skulili się razem na schodach i drzemali trochę, a tymczasem żółtawe, blade światło ze wschodu rozprzestrzeniało się coraz wyżej po niebie i ptaki ćwierkały wciąż głośniejsze i głośniejsze.

– O, znów tu jest – Olaf zerwał się na równe nogi. Pies powrócił znowu na dziedziniec, stanął przed wielkim spichrzem i wył. Oboje zbiegli na dół. Olaf zaczął przyzywać i wabić Erpa. Zwierzę zwykle było posłuszne, ale tym razem nie pozwoliło mu się schwytać.

Arnvid syn Finna wyszedł ze świetlicy i również próbował zwabić psa, ale i jemu się to nie udało. Ilekroć ktoś z domowników zbliżał się do Erpa, psisko uskakiwało w bok, biegło kawałek dalej i znów zaczynało wyć.

– Jak to, czy nie rozbieraliście się wcale tej nocy? – spytał Arnvid nagle, przyglądając się bacznie obojemu młodemu.

Inguna splonęła i odwróciła głowę, Olaf odpowiedział:

– Nie. Siedzieliśmy w komorze na poddaszu i gadaliśmy, a potem zdrzemnęliśmy się trochę i spaliśmy, póki nas pies nie obudził.

Teraz nadeszło więcej ludzi, mężczyzn i kobiet, i wszyscy dziwili się wyciu psa. Wreszcie wyszedł również Kolbein. Nagle ktoś krzyknął:

– O, patrzcie!

W górze, na ganku wielkiego spichrza, zamajaczyła na mgnienie oka głowa Steinforma. Twarz miał tak okropnie zmienioną, że trudno było go poznać. Zawołał coś, potem zniknął, zdawało się, że upadł.

Kolbein rzucił się ku spichrzowi. Drzwi były jednak zamknięte.

Arnvid podbiegł, podsadzono mu Kolbeina na ramiona, który stamtąd podciągnął się na ganek. Po chwili wychylił się, twarz miał przerażoną.

– Krwawi straszliwie. Kilku ludzi tutaj! Ale nie jego córki – dodał i lodowaty dreszcz nim wstrząsnął.

Natychmiast potem otworzył drzwi od wewnątrz. Arnvid i kilku parobków weszło do środka, Tora zaś i dziewczki rozbiegły się, by przynieść wodę, wino, płótno i maści.

Na widok Arnvida, który ukazał się w drzwiach, trwoga, i groza, jakie rosły wśród czekających, wyzwoiliły się w jęku. Arnvid szedł jak we śnie, potem wzrok jego padł na Olafa. Przywołał go skinieniem:

– Ingebjörga – dolna szczęka trzęsła mu się tak, że zęby szczękały – Ingebjörga nie żyje! Bóg niech będzie miłościw nam biednym grzesznym ludziom. Musisz zebrać Ingunę, Torę, i chłopców. Kolbein chce, bym im to powiedział. – Odwrócił się i poszedł przodem.

– A Steinfinn? – spytał Olaf prędko i gwałtownie. – Na miłość boską... chyba nie on... czy on ją zabił?

– Nie wiem... – Arnvid zdawał się bliski omdlenia. – Leżała martwa w łożu. Rana Steinfinna otworzyła się, krew płynęła strumieniem. Więcej nie wiem.

Olaf odwrócił się szybko ku Ingunie, która właśnie nadeszła, wyciągnął rękę, jakby chcąc ją zatrzymać, powtarzał przy tym słowa Arnvida:

– Bóg niechaj będzie miłościw nam biednym, grzesznym ludziom. Inguno, teraz musisz spróbować – musisz spróbować na mnie się oprzeć, najdroższa.

Wziął ją pod ramię i poprowadził. Zaczęła płakać cichutko i boleśnie jak dziecko, które broni się przed ogarniającym je przerażeniem.

Nieco później tego dnia Olaf siedział z dziewczętami w świetlicy;

Arnvid powtarzał to, co Steinfinn zdołał opowiedzieć o śmierci żony. Olaf zupełnie jawnie objął Ingunę ramieniem, nie zauważył nawet, że to uczynił.

Steinfinn sam również niewiele wiedział. Zanim się położyli, Ingebjörga przewiązała jeszcze jego ranę. Spał niespokojnie i majaczący w gorączce, przypominał sobie jednak niewyraźnie, że żona wstawała kilkakrotnie i dawała mu pić. Obudziło go dopiero wycie psa. Wtedy leżała już martwa pod ścianą.

Ingebjörga cierpiała w ostatnich latach na zawroty głowy. Może radość z powodu podźwignięcia się z nieszczęścia była dla niej zbyt wielka, mniemał Arnvid. Inguna płacząc oparła się o kolana Olafa, a on głaskał jej plecy. Sprawa wyglądała w ten sposób, że Olaf, podobnie jak inni, myślał w pierwszej trwodze o czymś o wiele gorszym. Chociaż Bóg wie, dlaczego Steinfinn miałby pragnąć śmierci żony. Mimo to opowiadanie Arnvida uwolniło ich wszystkich od odrętwienia, zgrozy i napięcia. Obok wszystkiego innego czaiła się w umyśle Olafa pewna myśl i dręczyła go. Chciał ją odpędzić, to przecież wstyd, ale... Steinfinn oświadczył, iż ufa, że na pewno wkrótce pójdzie za żoną. Jeśli tak się stanie, może Steinfinn nie dowie się, że go zdradził? Olaf nie mógł na to poradzić, że czuł odprężenie – był dziwnie wyczerpany, ale pewniejszy.

Przez chwilę wydawało mu się, jakby sam miał umrzeć. Wkrótce po wyniesieniu zwłok Ingebjörgi spotkał kilka kobiet schodzących z górnej izby nad spichrzem; przystanąły, jak to jest w zwyczaju u dziewczek służebnych, by mu pokazać zakrwawione szaty, które wynosiły, i zdjęte trwożą głośno lamentowały. Jedna zebrała do wora kwiaty z podłogi, dzięgiel był powalany krwią, a na wierzchu leżały opaski płócienne, które Arnvid i Olaf zrobili ze swych koszul, by przewiązać ramię Steinfinna; były sztywne od krwi, którą przesiąkły. Wbrew jego woli w jeden obraz spłynęło wszystko, co wydarzyło się od wczorajszej nocy, kiedy stali na

łące pod płonącym dworem. Nie mógł, nie mógł znieść takiej grozy... Nieszczęście opiekunów i jego grzech wobec nich – było tak, jak gdyby zniewolił własną siostrę.

Cały świat chłopca walił się w gruzy.

W jego umyśle nie mogło się to wszystko pomieścić – może dlatego ześliznęło się po nim. A ponieważ dzieci Steinfinna garnęły się do niego, gdyż nikt we dworze nie miał czasu zająć się nimi, Olaf znalazł ratunek także dla samego siebie w tym, że czuwał nad nimi jak starszy brat.

Tora płakała i dużo mówiła. Zawsze była najroztropniejszym i najbardziej rozgarniętym dzieckiem. Okropne jest to, rzekła do Olafa, że rodzice po tylu latach niezaskuszonej żałoby i hańby nie będą mogli cieszyć się wspólnie szczęściem. Odparł, że byłoby jeszcze gorzej, gdyby Ingebjörga zmarła, zanim Steinfinn się zemścił. Tora rozumiała doskonale, że wydobycie się z hańby drogo może ojca kosztować. Martwiła się również bardzo o zbawienie duszy matki oraz o los swój i rodzeństwa w wypadku, gdyby Kolbein miał zostać ich opiekunem. Nie ufała zbytnio rozumowi stryja.

Olaf sądził, że Kolbein okazał prawdziwie krewniaczą wierność wobec Steinfinna. Mattias nie został zabity bez winy, pożoga zaś była dziełem przypadku. Ingebjörga żyła w latach ostatnich zbożnie i po chrześcijańsku, to każdy musi przyznać. Miała też piękny pogrzeb. Nikt nie wspomniał wobec dzieci o tym, co przebąkiwali ludzie: że gdyby biskup Torfinn nie był wyjechał, pani Ingebjörga nie zostałaby pochowana tak godnie, zanim by nie sprawdzono, czy brała udział w morderczych zamysłach męża.

Najlepszą pociechę znajdował Olaf u Arnvida. Dzielili łoże i jeśli Arnvid nie czuwał przy rannym przyjacielu, dwaj młodzi ludzie leżeli i rozmawiali do późnej nocy.

Otuchą napawało także Olafa, tak jak każdego we dworze, że Steinfinn tak po męsku i godnie znosi swój los. Stracił wiele krwi; mimo to rana



jego nie należała do tych, które mogą powalić tak silnego i krzepkiego męża. Lecz Steinfinn mówił, że wie, iż musi umrzeć, i naprawdę co dnia bardziej opadał z sił, zbliżał się do swego kresu. I w jakiś szczególny sposób wydało się to Olafowi najgodniejszym zakończeniem tego wszystkiego, co zaszło na Frettastein. Byłoby naprawdę dziwne, gdyby po wszystkich tych wydarzeniach Ingebjörga i Steinfinn podjęli na nowo swe dawne, bez troskie życie, pełne zgiełku uczt i biesiad.

A o tej nowej hańbie, jaka spadła na nich przez córkę, nie dowiedzą się nigdy.

Tego rozrachunku Olaf uniknął.

Tak więc dręczył go przede wszystkim lęk o Ingunę. Targał nim ustawiczny niepokój. Jej żalność była zupełnie milcząca i cicha. Gdy rozmawiał z Torą, Inguna siedziała nieruchomo jak głaz; czasem oczy jej napelniały się łzami, usta zaczynały drgać słabo i boleśnie, kilka łez toczyło się po policzkach, ale z piersi nie wydobywał się żaden dźwięk. Była to rozpacz tak samotna i daleka, że nie śmiał wprost patrzeć na dziewczynę. Czemuż nie potrafiła mówić i jęczeć, i pozwolić się pocieszać jak inni? Niekiedy czuł, że patrzy na niego; ale gdy zwracał głowę w jej stronę, chwycił błysk spojrzenia bezsilnego i bolesnego; zaraz potem odwracała głowę. W uszach dźwięczała mu ciągle jedna z tych nowych tanecznych pieśni, które słyszał zimą w dolinie, a w której powtarzały się słowa: „Może oplakujesz tak swoją cześć”. Nie chciał o tym myśleć. I często był bliski gniewu, jej bowiem winą było, że nie mógł uwolnić się całkiem od czegoś mrocznego i ponurego, co go dławiło w pierwszych chwilach skruchy i żalu nad ich grzechem.

Panował jednak nad sobą i starał się być dla niej jak brat. Unikał przebywania z nią sam na sam, zaraz od pierwszego poranka. Był nieco spokojniejszy i ułagodził wyrzuty sumienia, ponieważ za pośrednictwem Tory zdołał namówić Ingunę, by sypiała wraz z siostrą w izbie matki.

Sądził, że pod opieką Tory jest bezpieczniejsza – również przed nim.

Pewnego wieczora wracał Olaf konno przez las, miał coś do załatwienia na hali dla Grima. Gdy przybył do miejsca, gdzie wąska ścieżka wiodła obok rowu, którym woda odpływała ze stawu, zachodzące słońce kryło się właśnie za korony drzew. Gęsty las okalał mały stawek o brunatnej wodzie, toteż zmierzch zapadał tu wcześniej. Nagle dostrzegł Ingunę; siedziała na wrzosowisku obok ścieżki.

Podjechał bliżej i zatrzymał konia:

– Tu siedzisz? – spytał zdziwiony. Podobno po zachodzie słońca w tej stronie boru było nie całkiem bezpiecznie.

Inguna wyglądała brzydko; jadła jagody, usta i palce miała całkiem sine, poza tym płakała i nabrzmiałą twarz otarła umorusanymi rękami.

– Czy Steinfinn ma się gorzej? – spytał Olaf strwożony. Inguna pochyliła głowę i łkała jeszcze głośniej.

– Chyba nie umarł? – wykrzyknął chłopak. Inguna odparła wśród łkań, że ojcu jest dziś lepiej.

Olaf wstrzymywał konia, który rwał naprzód. Z wolna przestał się dziwić jej częstym napadom płaczu, gniewały go one raczej. Byłoby lepiej, gdyby zachowywała się tak jak Tora. Tora opanowała już swą żalność po matce i rzadko płakała; może wkrótce będą mieli więcej przyczyn do płaczu.

– W takim razie co się stało? – spytał trochę opryskliwie. – Czego chcesz ode mnie?

Inguna podniosła zapłakaną, umorusaną twarz, a widząc, że Olaf nie zamierza zejść z konia, zakryła oczy rękoma i znów wybuchnęła szlochem.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał znowu. Nie odpowiadała. Zsiadł z

konia i podszedł do niej.

– Co się stało? – pytał wystraszony, odejmując jej ręce od twarzy. Długi czas nie mógł wydobyć z niej żadnej odpowiedzi. Pytał dalej:

– Co się stało, czemu tak płaczesz?

– Jakże nie mam płakać – łkała zgnębiona – jeśli nie chcesz wcale mnie znać!

– Dlaczego miałbym nie chcieć cię znać? – spytał zdumiony.

– Nie popełniłam wszak żadnego grzechu, tylko ten, którego sam chciałeś – skarżyła się. – Prosiłam cię, abys poszedł, aleś mnie nie chciał puścić. I od tej pory nie odezwałeś się do mnie ani słówkiem. Wkrótce nie będę miała ani ojca, ani matki, a ty jesteś twardy jak gład albo żelazo, odwracasz się do mnie plecami, nie chcesz nawet patrzeć na mnie, chociaż wyrosliśmy razem jak brat i siostra. A wszystko dlatego, że cię tak miłuję, że ten jeden jedyny raz nie pamiętałam o czci i obyczajach.

– Nic przewrotniejszego nie słyszałem w życiu. Zdaje się, żeś postradała i tę odrobinę rozumu, jaką miałaś.

– Pewnie, jeśli mnie od siebie odpychasz! Ale ty nie wiesz – krzyczała prawie nieprzytomna – nie możesz wiedzieć, Olafie, czy już nie dźwigam w łonie twego dziecka!

– Cicho! Nie krzycz tak, sama nie możesz jeszcze tego wiedzieć – mówił uparcie. – Nie pojmuję, co masz na myśli. Czy to ja nie mówiłem do ciebie? Wydaje mi się, że przez te wszystkie tygodnie nic nie robiłem, tylko mówiłem i mówiłem, i nigdy nie odpowiadałaś ani słowem, tylko ciągle płakałaś.

– Mówiłeś ze mną, kiedy byłeś zmuszony – wykrztusiła wśród łkań. – Kiedy Tora i inni byli przy tym. Ale mnie samej unikasz, jak bym była trędowata. Ani razu nie przyszedłeś do mnie, abyśmy mogli porozmawiać w cztery oczy. Muszę płakać, kiedy pomyślę o tym lecie. Każdego wieczora przychodziłeś wtedy do mojej komory.

Olaf spąsował:

– Wydaje mi się, że teraz byłoby to nie na miejscu – rzekł krótko. Poślinił brzeg płaszcza i zaczął wycierać twarz dziewczęcia, lecz niewiele to pomogło. – Myślałem przede wszystkim o twym dobru – szepnął.

Podniosła ku niemu oczy pytająco i z serdecznym smutkiem. Przygarnęła ją do siebie: – Chcę jedynie twego dobra, Inguno, pamiętaj o tym.

Oboje wzdrygnęli się nagle. Coś poruszyło się na zboczu po drugiej stronie stawu. Nie dostrzegli żywej duszy, lecz młoda samotna brzoza drżała, jak gdyby ktoś obejmował jej pień. Był jeszcze jasny dzień, ale bór rzucał mrok na niewielką powierzchnię wody; z wolna ze stawu i bliskich mokradeł jęły się wznosić opary.

Olaf podszedł do konia:

– Jedźmy stąd – rzekł cicho. – Usiądziesz z tyłu, za mną.

– Czy nie możesz przyjść do mej komory, abyśmy mogli pogadać? – powiedziała błagalnie, kiedy ujął cugle. – Przyjdź po wieczery!

– Wiesz dobrze, że przyjdę, skoro ty tego chcesz – odparł po chwili.

Kiedy zjeżdżali na dół do dworu, objęła go ramionami. Olaf czuł pewnego rodzaju ulgę. Sądził, że może poniechać dobrych postanowień unikania pokusy, skoro ona tak uważa. Lecz zarazem upokarzało go, że Inguna gardzi ofiarą, jaką chciał dla niej ponieść.

To, co powiedziała, że prosiła go, aby sobie poszedł, a on nie chciał jej puścić, nie było prawdą – nagle to sobie uświadomił. Ale odpychał tę myśl jak niewierność. Jeśli Inguna tak twierdzi... nie był wówczas na tyle trzeźwy, by przysiąc, że przypomina sobie wszystko dokładnie.

Nazajutrz wieczorem Olaf udał się do domostwa, gdzie leżał Steinfinn. Arnvid podniósł klapę prowadzącą na poddasze i wpuścił go. Czuwał sam przy rannym.

W izbie było ciemno, gdyż Steinfinn marzył tak, że nie pozwalał

otwierać drzwi na ganek. Kilka promyków słonecznych sączyło się przez szpary między dylami, przenikało przepojoną kurzem ciemność, kładło złote plamy na skórzanych worach pod pułapem. Panował tu ciężki, dławiący zaduch.

Olaf podszedł do łoża, by powitać opiekuna. Nie widział go od wielu dni, niechętnie tu teraz przychodził. Lecz Steinfinn drzemał i jęczał cicho przez sen. Olaf nie mógł dojrzeć w ciemności jego twarzy.

– Nie zaszła żadna zmiana ani na lepsze, ani na gorsze – oświadczył Arnvid. – Jeśli zechcesz tu chwilę zostać, to położę się i odpocznę.

– Owszem, chętnie zostanę – odparł Olaf. Arnvid rzucił parę skór na podłogę i wyciągnął się na nich. Wtem odezwał się Olaf: – Niełatwo mi to przychodzi, Arnvidzie, niepokoić teraz Steinfinna, kiedy jest tak bardzo chory. Wydaje mi się jednak, że Inguna i ja powinniśmy wiedzieć, co postanowi o naszym małżeństwie, zanim umrze.

Arnvid milczał.

– Tak, wiem, że chwila jest po temu niesposobna – ciągnął Olaf gwałtownie. – Ale wobec wielkich wydarzeń, jakie wiszą nad nami, sądzę, że czas wyjaśnić wszystko, co może być wyjaśnione. Nie wiem również, czy jeszcze ktoś prócz Steinfinna wie, co on i mój ojciec postanowili w sprawie naszego majątku.

Ponieważ Arnvid nie odpowiadał, Olaf mówił dalej:

– Zależy mi bardzo na tym, aby dostać Ingunę z rąk jej własnego ojca.

– Tak, pojmuję to – rzekł Arnvid. Wkrótce potem Olaf usłyszał, że tamten śpi.

Małe słoneczne promienie znikły. Olaf siedział, czuwając samotnie w ciemnościach i znowu czuł rosnący niepokój, jakby ściskanie w dołku. Musi naprawić zło, które wyrządził. Wiedział już, że przepadły jego dobre chęci, niemożliwe już było zawrócenie ze złej drogi, na którą wstąpił on i Inguna. I czuł, że jego dusza stała się bardziej harda i brutalniejsza

z powodu tej nowej wiedzy. Ale stać nad marami Steinfinna jako jego potajemny zięć – do tego nie był zdolny. Ukryta hańba jest ciężkim brzemieniem, wiedział to teraz. Zanim Steinfinn umrze, musi mu oddać Ingunę za żonę. „Pojmuję to” – rzekł Arnvid. Olafowi zrobiło się nagle gorąco: co Arnvid pojmował? Kiedy o świcie wrócił do świetlicy na swoje posłanie, nie mógł się zorientować, czy Arnvid śpi, czy też tylko udaje śpiącego.

Zerwał się, bo podniesiono klapę w podłodze; weszły kobiety ze światłem i posiłkiem dla chorego. Niewyraźnie, w zarysach przypominał sobie Olaf swe marzenia senne: siedł z Inguną nad stawem, potem wzdłuż potoku, który wypływał ze stawu, potem znowu był u niej na poddaszu: wspomnienia gorących pieśczoł w ciemności mieszały się z obrazem głązów w bezdrożnym wąwozie. Leżał i trzymał Ingunę w ramionach, a równocześnie zdawało mu się, że niesie ją przez wielkie, obalone wichrem pnie. W końcu śniło mu się, że oboje kroczą ścieżką przez kwietną dolinę, w miejscu gdzie otwiera się widok na czarną taflę jeziora leżącego poniżej.

To pewnie oznacza, że on i Inguna wnet opuszczą tę okolicę, próbował wyjaśnić sobie ów sen...

Kiedy kobiety obudziły Steinfinna, by opatrzeć ranę, prosił je, aby się nie trudziły. I tak się to na nic nie zda, a on chce mieć spokój. Dalla jednak nie chciała o tym słyszeć, podniosła ciężkie, bezwładne ciało i prześcieliła posłanie, jak gdyby Steinfinn był niemowlęciem. Prosiła Olafa, by potrzywał światło; Arnvid spał jak zabity.

Oblicze Steinfinna zmieniło się nie do poznania, rudawy, od tygodni nie golony zarost pokrywał prawie całe policzki. Odwrócił głowę ku ścianie. Olaf poznał jednak po naprężonej szyi, że Steinfinn sili się, by powstrzymać jęk, kiedy Dalla rozwijała opaski: przywarły mocno do rany.

Wewnętrzne obrzydzenie, jakie Olaf odczuwał zawsze na widok

zanieczyszczonych ran, ogarnęło go i tym razem z dławiającą siłą. Na ramieniu Steinfinna utworzyło się dzikie mięso: trudno było poznać, że to rana zadana mieczem. Widać było ropę i szare, gąbczaste plamy z otwartymi czerwonymi dziurami, słabo krwawiącymi.

Inguna zbliżyła się do Olafa. Była bardzo blada, ogromne, przerażone oczy wlepiła w ojca. Olaf musiał ją szturchnąć. Nawet nie zauważyła, że Dalla wyciąga rękę po świeżą opaskę. I znowu niby cios w samo serce poczuł wyrzuty i wstyd, że mogli zapomnieć o dobrym, umęczonym ojcu. Ciemna komora i ich dwoje samotnych przytulonych do siebie – niewyraźnie przeczuwał, jak trudno w takich chwilach pamiętać o miłosierdziu i wierności w stosunku do kogoś innego.

– Zostań tu – rzekł do Inguny, kiedy kobiety zabierały się do wyjścia – dziś wieczór pomówię z twoim ojcem – dodał wyjaśniająco. Ujrzał, że bardziej się przestraszyła, aniżeli uradowała, i to go zmartwiło.

Steinfinn leżał zmęczony bólem. Olaf poprosił Ingunę, by mu przyniosła tymczasem coś do jedzenia.

Zebrała wszystkie smakołyki, jakie tylko mogła znaleźć, przyniosła i pokazała je ze śmiechem Olafowi. A potem, kiedy siedział z miską między kolanami i jadł, chuchnęła mu na kark. Zdawała się przepełniona miłością i serdecznością. Znowu poczuł Olaf ten ból w sercu – siedzieli tu oto, prawie w polu widzenia śmiertelnie chorego ojca, i nawet nie wiedział, czy mu jest miła jej pieśczęta, czy nie.

Arnvid poruszył się, Inguna zsunęła się z kolan Olafa i zajęła się uprzątnięciem naczyń. Nagle Steinfinn zapytał:

– Kto tam jest z wami, Arnvidzie i Inguno?

– Olaf jest tutaj, ojciec – odparła dziewczyna. Olaf nabrał odwagi; podszedł do łoża i rzekł:

– Jest pewna sprawa, o której chciałbym bardzo pomówić z tobą, opiekunie, dlatego zostałem tutaj po opatrzeniu twych ran na noc.



– A, toś ty tu był cały czas! Nie widziałem cię – Steinfinn dał znak, by chłopiec się zbliżył. – Możesz usiąść tu i porozmawiać ze mną, Olafie. Zostałeś wciągnięty w nasze kłopoty, musimy pomówić więc o tym, co masz uczynić po mojej śmierci. Sądzę, że musisz pojechać do domu, do Hestviken, i szukać poparcia u twych własnych krewnych.

– Tak jest, opiekunie; o to właśnie chciałem się ciebie zapytać. Sam sądziłem, że tak będzie najlepiej – i że przedtem jeszcze dostanę Ingunę za żonę. W ten sposób twoi krewniacy zaoszczędziliby sobie dalekiej podróży do mnie teraz, kiedy czekają was wielkie trudności.

Wzrok Steinfinna błąkał się niepewnie:

– Sprawa wygląda tak, Olafie. Pamiętam dobrze, o czym była niegdyś mowa między Audunem i mną. Ale rozumiesz chyba dobrze, chłopcze – nie mogę tego odmienić, że moje warunki życiowe są obecnie inne, aniżeli były wtedy. Teraz Kolbein i Ivar wydadzą moje córki za mąż.

Arnvid zbliżył się.

– Przypominasz sobie, krewniaku, byłem tego lata z tobą na tingu i stałem z innymi w izbie, kiedy Audun i ty zaręczyliście dzieci z sobą.

– Byłeś wówczas nieletnim chłopięciem – rzekł szybko Steinfinn – niezdatnym na świadka.

– To prawda – przyznał Arnvid. – Ale posłuchaj mnie. Już i dawniej zdarzało się nieraz w potrzebie, jeżeli groziła wojna albo mąż jakiś wybierał się w daleką podróż, że dawał córkę temu człowiekowi, któremu przyrzekł ją w przytomności świadków – bez wesela, lecz tylko w ten sposób, że oznajmiał wobec wiarygodnych ludzi warunki umowy o posagu i wianie, a także i to, że jest jego wolą, aby od owego dnia zrekowiny uznane były za ważne małżeństwo.

Steinfinn odwrócił głowę i spojrział na troje młodych ludzi. Arnvid ciągnął z zapalem:

– Ojciec Vegard przybył tu dzisiaj, jestem tu ja, twój kuzyn, jest także

twoja dawna czeladź, która zna umowę pomiędzy Audunem a tobą. Możesz obwieścić małżeństwo, mnich zaś i ja będziemy głównymi świadkami. Nowożeńcy mogliby zamieszkać w starym domu, póki nie znajdzie się sposobność, by wyjechali na południe. Ojciec Vegard pobłogosławiłby kielich zrzękwiny i ślubne łożo, mógłby również wystawić dokument o włościach młodej pary.

Steinfinn rozmyślał chwilę.

– Nie – oświadczył krótko i nagle wydało się, że jest bardzo zmęczony. – Moja córka nie może wejść z narzeczonym do ślubnego łoża bez godów weselnych jak dzieci zwykłych chałupników. Mógłby potem wyniknąć spór, czy jest naprawdę jego prawowitą małżonką. Nie pojmuję – ciągnął porywczo – jak możesz nawet tak myśleć. W dodatku to przecież dzieci jeszcze! Olaf może mieć i tak trudności, gdy spotka się ze swymi krewnymi, których nie zna, a ja miałbym go jeszcze odsyłać stąd z takim balastem, z córką człowieka pozbawionego praw, niejako uprowadzoną – ponieważ ani jego, ani moi krewni nie byli przy tym obecni, gdy ją brał za żonę! Jeśliby Olaf był pełnoletni, moglibyśmy pomyśleć o tym, ale sądzę, że gdyby ten dzieciak sam się ożenił, ożenek nie uchodziłby wcale za prawomocny.

– Wystarczy chyba, że mój ojciec zaręczył mnie z Inguną – wmieszał się Olaf. – A tyś od tej pory był moim opiekunem.

– Ach, sam nie wiesz, co pleciesz. Błaganiem osiągnąłeś, że wzięłam cię na tę wyprawę. Jeśli krewni Mattiasa wystąpią w tej sprawie przeciw tobie, niewiele wskórają, bo twoi krewni mogą odpowiedzieć, że byłeś nieletnim wyrostkiem w mojej służbie. Jeśli jednak będziesz człowiekiem żonatym, pełnoletnim i moim zięciem, położenie ulegnie zmianie. Nie, tyle winien jestem Audunowi, mojemu przyjacielowi, abym nie pobłażał ci w tym nierozsądku teraz, kiedy może już wkrótce spotkam się z twoim ojcem.

– Wysłuchaj mnie, Steinfinnie, jakkolwiek sprawy stoją, jestem za stary, by słuchać innych, gdy ty umrzesz. Zwłaszcza tych moich krewnych, o których do tej pory nawet nie słyszałem. Raczej wolę się ożenić, być swym własnym panem i wziąć na siebie odpowiedzialność.

– Mówisz jak dziecko – odparł Steinfinn niecierpliwie. – Ma być tak, jak rzekłem. A teraz daj mi spokój. Dziś wieczór nie mam sił mówić więcej.

Zanim Arnvid i Olaf udali się na spoczynek, pierwszy przedstawił sprawę ojcu Vegardowi. Mnich jednak nie chciał w żaden sposób podjąć się rozmowy ze Steinfinnem i nakłaniać go do zmiany postanowienia. Sądził, że Steinfinn rozstrzygnął rzecz godziwie i mądrze, on zaś jako sługa Kościoła nie ma prawa dać zezwolenia na ślub, który miałby się odbyć bez trzykrotnych zapowiedzi ogłoszonych w kościele parafialnym. W dodatku jest wątpliwe, czy Olaf jako niepełnoletni sam może zawrzeć umowę dotyczącą kupna narzeczonej, tak by małżeństwo uchodziło za prawne. Poza tym mnich nie mógł zgodzić się, by ktoś wyprawiał wesele bez mszy. Stanowczo nie podejmuje się ułożyć dokumentu lub czegoś w tym rodzaju, przeciwnie, opuści natychmiast Frettastein, jeśli zawrą umowę w tak niejasnych okolicznościach.

Steinfinn miał się w następnych dniach gorzej i Olaf nie mógł się zdobyć na to, by raz jeszcze poruszyć sprawę swego małżeństwa, gdy czuwał przy opiece. Z Arnvidem również nie mówił o tym więcej.

Potem przybyli do Frettastein Ivar syn Torego, rodzony brat Steinfinna, oraz Kolbein z obu synami. Przesłano im wieść, że chory lada dzień może wyzionąć ducha. Nazajutrz po ich przybyciu Olaf prosił Arnvida, by z nim wyszedł ze dworu; chciał swobodnie pogadać.

Do tej pory nie odważył się mówić z Arnvidem. Lęk go brał na myśl, co tamten powie; kilka nocy ubiegłego tygodnia spędził w komorze Inguny. I ona również była zawiedziona i zmartwiona, że ojciec robi im trudności. Nie sądziła jednak, by to mogło oznaczać coś więcej niż czasowe przesunięcie ich ślubu. Gnębił ją bardzo ciężki stan ojca i śmierć matki, z wszystkimi troskami więc uciekała się do Olafa; drętwiała jakby z bólu, gdy nie mogła schronić się w jego ramionach. I Olaf z wolna odrzucił wszelką myśl o powściągliwości, pozwolił się wciągać coraz głębiej w miłosne zapamiętanie – dziewczyna była zresztą taka słodka. Lecz obawa i wyrzuty sumienia wywoływały w nim nieustanne cierpienia. Kiedy Inguna przytulona do jego piersi zasypiała, leżał i męczył się; i to także sprawiało boleść, że była w swej miłości tak pełna zaufania, nie okazywała nigdy żalu ni trwogi. Rano wykradał się z jej komory, zmęczony i przybity.

Bał się, że sprawy mogą przybrać taki obrót, iż Inguna popadnie w nieszczęście. Lecz nie mógł się przezwyciężyć, aby wprost mówić z nią o tym. Tym bardziej nie śmiał wspominać, że lęka się o wiele większych jeszcze trudności. Nigdy przedtem nie powstała mu w głowie myśl, że ktokolwiek mógłby zaprzeczyć prawomocności ich zaręczyn. Teraz jednak miał nowy pogląd na swoje stanowisko w domu Steinfinna przez te wszystkie lata. Nigdy nie obchodzono się z nim inaczej jak z rodzonymi dziećmi, ale jeśli nawet rodzice zajmowali się nimi mało w ostatnich latach, dziwne było i tak, że nigdy, ani razu, nie napomknęli o jego małżeństwie z Inguną, albo że Steinfinn nigdy nie zatroszczył się o to, jak jest zarządzany majątek przyszłego zięcia. To, że Kolbein nie zwracał uwagi na Olafa, nie było niczym osobliwym. Kolbein był bowiem butny i do większości ludzi odnosił się nieżyczliwie. Z hardymi synami Kolbeina nie mógł się Olaf nigdy dogadać, nie przypuszczał jednak, żeby przyczyna tego była inna niż ta, że tamci uważają siebie za dorosłych, jego

natomiast za dziecko. Teraz jednak wszystko to wydało mu się dziwne, jeśli przez cały czas uważali go za przyszłego zięcia. „W mojej służbie” – powiedział Steinfinn, lecz Olaf nigdy nie pobierał zapłaty we dworze, nie można było zatem tego powiedzenia brać dosłownie. Był to raczej wybieg dla niego w tej sprawie o zabójstwo, wymyślony przez opiekuna...

Olaf szedł przez pola ku północy, do lasu. Zatrzymał się przy pokrytych mchem skałach. Stąd widzieli zabudowania dworskie w dole, strome pastwisko i las dokoła.

– Tutaj możemy usiąść – rzekł Olaf. – w tym miejscu z pewnością nikt nas nie podsłucha. – Sam jednak nie siadał. Arnvid usiadł i spojrzął na chłopca.

Olaf stał ze ściągniętymi brwiami, a jasny kosmyk nad czołem był teraz tak długi, że sięgał niemal do brwi; wskutek tego twarz jego zdawała się jeszcze szersza, krótsza i bardziej zmartwiona. Stanowcze, blade usta były twardo zaciśnięte – Olaf był markotny i wyglądał czupurnie. Wydawało się, że w ciągu tych kilku tygodni przybyło mu wiele lat. Niefrasobliwa, dziecięca naiwność, z którą mu było tak bardzo do twarzy, opadła teraz z niego jak rosa. Na jego gniewnej, umęczonej twarzy leżała dziwna powaga. A bladość cery wydawała się mniej zdrowa – oczy miał podkrążone i wyglądał na bardzo znużonego.

– Nigdy dawniej nie wspominałeś, że byłeś świadkiem; jak zaręczono mnie z Inguną – zaczął Olaf.

– Miałem zaledwie czternaście lat – odparł Arnvid. – Moja obecność nie miała zatem istotnego znaczenia.

– A kto był tam jeszcze?

– Mój ojciec oraz brat Magnus, Wiking i Magnhilda z Berg, Tore Bring na Vik i jego żona, innych już nie pamiętam. Izba była pełna gości, ale nie przypominam sobie nikogo więcej, kogo bym znał.

– A mój ojciec miał kogoś ze sobą? – pytał Olaf.

– Nie, Audun syn Ingolfa był sam.

Olaf milczał długo. Potem siadł i powiedział:

– Z wymienionych, poza Magnihildą i Torem na Vik nie żyje nikt, kto by mógł zaświadczyć. Ale może oni potrafią wskazać nam drogę do innych świadków?

– Na pewno mogą to uczynić.

– O ile zechcą – dodał Olaf cicho. – A ty, Arnvidzie? Może twoje świadectwo niewiele znaczy, ponieważ byłeś wówczas dzieckiem, ale co ty sądzisz? Czy zaręczono mnie z Inguną tego wieczora?

– Tak – odparł Arnvid z naciskiem. – Uważałem to zawsze za rzecz pewną. Czy nie pamiętasz, że kazali ci na potwierdzenie zrękwoin dać jej pierścień?

Olaf skinął głową.

– Steinfinn musi mieć jeszcze ów pierścień w przechowaniu. Jak sądzisz, czy potrafiłbyś go poznać? Myślę, że byłby to dobry dowód.

– Pierścień pamiętam dobrze. Był to sygnet mojej matki z wrytym na nim jej imieniem i wizerunkiem Matki Bożej w zielonym kamieniu. Ojciec przyrzekł mi go i przypominam sobie, że nie bardzo chętnie dałem go Ingunie. – Uśmiechnął się lekko.

Jakiś czas siedzieli w milczeniu. Potem Olaf zapytał cicho: – Jak ci się podoba odpowiedź, którą mi dał Steinfinn, kiedy mówiłem z nim o tej sprawie?

– Nie wiem, co o tym sądzić – odparł Arnvid.

– Nie wiem, jak dalece mogę dać temu wiarę – ciągnął Olaf, ważąc każde słowo. – Czy Steinfinn naprawdę mówił z Kolbeinem, tak że tamten wie, iż umowa między nim a moim ojcem, na mocy której przyrzeczono mi Ingunę, jest obowiązująca?

– Kolbein sam nie będzie chyba postanawiał o losie dzieci – wtrącił Arnvid.

Olaf wzruszył ramionami i uśmiechnął się drwiąco.

– Jak ci już powiedziałem – rzekł Arnvid – zawsze byłem zdania, że umowa zawarta tego wieczora jest prawomocna.

– W takim razie nowi opiekunowie nie mają prawa jej obalić?

– Nie, o tym słyszałem jeszcze w szkole. Umowa zaręczynowa nie może zostać rozwiązana, o ile zawarli ją rodzice w imieniu dwojga dzieci, chyba żeby te dzieci same, doszedłszy do lat dojrzałości – zdaje mi się po ukończeniu lat czternastu – oświadczyły swemu proboszczowi, że chcą cofnąć zrękowiny. W tym wypadku jednak muszą oboje zaprzysiąc, że dziewczyna jest jeszcze czystą, nietkniętą przez niego dziewicą.

Obaj młodzieńcy spłonęli gwałtownie; siedzieli i każdy patrzył w inną stronę.

– A jeśli nie mogą złożyć takiej przysięgi? – wyszeptał wreszcie Olaf.

Arnvid przyglądał się swym rękom:

– Wówczas jest to *consensus matrimonialis*, jak to się po łacinie nazywa. To znaczy, że czynem wyrazili swą zgodę na postanowienie rodziców i gdyby któreś z nich poślubiło potem innego, dobrowolnie lub pod przymusem, byłoby to nierządem.

Olaf kiwał głową.

– Czy chcesz mi pomóc – spytał po chwili – abym dowiedział się, gdzie Steinfinn schował ów pierścień?

Arnvid mruknął coś niewyraźnie. Wkrótce potem zeszli na dół.

– Wczesną będziemy mieli tego roku jesień – odezwał się Olaf. Na brzozech pomiędzy zielenią ukazywały się już pożółkłe liście, a kłosa zboża bieleły się pośród wysokich chwastów. W błękitnym przestworzu polatywał biały puch i błyszczał w słońcu: wierzby i przekwitła wierzbówka rozpraszały puszyste nasiona.

Zachodzące słońce padało prosto na twarz Olafa, mrużył przeto oczy, które błyszczały jak stal spod białych rzęs. Gęsty jasny zarost na górnej

wardze chłopca odbijał złotawo od mlecznobiałej skóry. Arnvid poczuł jakby ćmiący ból w piersiach, że przyjaciel jest tak piękny; ujrzał samego siebie z wysokimi barami i krótką szyją, ciemnego, szkaradnego jak troll<sup>[17]</sup> w porównaniu z silną, dorodną młodością tamtego. Było zrozumiałe, że Inguna tak bardzo kocha swego przyjaciela...

Niechaj inni rozstrzygną, czy tych dwoje ma słuszność, czy nie, on chce im pomóc w miarę możliwości. Zawsze lubił Olafa, zawsze wierzył, że jest prawy i wierny. A Inguna była taka wiotka – pewnie dlatego tak bardzo miłował to dziewczę; wyglądała, jakby można ją było złamać jedną ręką.

Tego wieczora powietrze na poddaszu było takie duszne, że świeżona gromnica zapalana co noc przy konającym, ledwie się tliła. Dawała matowe, senne światelko.

Steinfinn leżał na łożu, zupełnie wyczerpany. Gorączka nie była tak silna tej nocy, ale wieczorem rozmawiał długo z braćmi i to osłabiło go do reszty. Potem, podczas opatrywania rany, był już tak umęczony, że gdy Dalla ścisnęła mocniej ramię, by usunąć ropę, lzy pociekły mu na brodę.

Wydawało się, że w ciągu nocy śpi nieco spokojniej. Lecz Olaf i Arnvid czuwali dalej, choć wskutek straszego znużenia i zaduchu w izbie ledwie patrzyli na oczy.

– Śpi – szepnął Arnvid. – Chcesz, byśmy poszukali twego pierścienia?  
– Musimy to zrobić. – Wszystko skuliło się w nim na tę myśl.

Widział, że i Arnvida wiele to kosztowało. Cicho, jak dwaj złodzieje przeszukali odzież Steinfinna i wyjęli pęk kluczy z sakiewki u pasa. W tej chwili Olafowi przemknęło przez myśl: kto raz zboczył z dobrej drogi uczciwości, ten łącznie schodzi na bezdroża, gdzie musi zrobić niejeden kręty skok. Innego wyjścia jednak nie widział.

Tak podle, jak w chwili, gdy kłęczął z Arnvidem przed skrzynią

---

[17] Troll – złośliwy duch zamieszkujący w górach.



Steinfinna, nie czuł się jeszcze nigdy. Wciąż i wciąż zerkali w stronę łoża. Mieli wrażenie, że ograbiają trupa.

Arnvid znalazł małą szkatułkę, całą wysadzaną ozdobami z kutego żelaza; Steinfinn przechowywał w niej swe najcenniejsze klejnoty. Musieli dobierać różne klucze, nim znaleźli ten, który pasował do zamka.

Przykucnęli na podłodze i grzebali w łańcuchach, klamrach i pierścieniach.

– To ten! – rzekł Olaf i odetchnął z ogromną ulgą. Razem oglądali pierścień pod światło. Był ze złota, z wielkim zielonym kamieniem. Arnvid odczytał napis, wyryty wokół wizerunku Matki Boskiej z Dzieciątkiem pod daszkiem kaplicy i klęczącej obok kobiety. *Sigillum Ceciliae Beomis Filiae.*

– Czy chcesz go wziąć? – spytał Arnvid.

– Nie. Gdyby po śmierci Steinfinna nie znaleziono go w skrzynce, nie miałby znaczenia jako dowód.

Zamknęli szkatułkę i uprzątnęli wszystko.

– Chcesz teraz położyć się, Olafie? – spytał Arnvid.

– Nie, ty możesz pierwszy spać. Nie jestem zmęczony.

Arnvid położył się na ławie. Po chwili odezwał się, a głos jego brzmiał zupełnie trzeźwo:

– Ach, jak żałuję, żeśmy to musieli zrobić.

– I ja także – odparł Olaf drżącym głosem.

„Nie jest to wielkim grzechem, nie może nim być” – myślał. Ale to było takie brzydkie. I ogarnął go lęk, jak przy złej przepowiedni, przed życiem, które go czekało: czy człowiek często jest zmuszony czynić coś, co mu jest tak niewymownie przykre, jak to tutaj?

Czuwali na zmianę aż do świtu. Olaf był rad, ilekroć mógł uczynić

cokolwiek dla opiekuna: podać mu coś do picia albo poprawić posłanie. Wreszcie wczesnym rankiem Steinfinn ocknął się i zapytał:

– Toście obydwa jeszcze tutaj? – Głos jego brzmiał słabo, ale wyraźnie i przytomnie. – Chodź tu, Olafie – poprosił.

Obaj młodzieńcy zbliżyli się. Steinfinn podał Olafowi zdrową rękę:

– Widzę, że nie żywisz urazy do mnie, mój wychowanku, za to, że nie chcę postąpić tak, jak ty chciałeś w sprawie, o której niedawno mówiliśmy, i czuwałeś przy mnie całą noc. Byłeś zawsze dobry i posłuszny, Olafie, niech cię Bóg błogosławi przez całe życie.

Chcę ci rzec jeno tyle: jak pragnę Jego miłosierdzia, gdybym liczył się jedynie z sobą samym, dotrzymałbym słowa danego Audunowi. Jeślibym teraz ozdrowiał, byłbym szczęśliwy, gdybym cię dostał za zięcia.

Olaf przyklęknął i ucałował rękę opiekuna. Nie mógł słowa wykrztusić. W duchu błagał Steinfinna, by wypowiedział słowa, które mogłyby uwolnić go od wszystkich trudności. Lecz wstyd i poczucie winy zamykały mu usta.

Po raz ostatni mówił wtedy ze Steinfinnem synem Torego. On i Arnvid spali jeszcze, kiedy Haftor syn Kolbeina przyszedł po południu i zbudził ich. Przedśmiertna walka chorego rozpoczęła się i wszyscy ludzie dworscy udali się na poddasze, by być przy konającym.

Ojciec Vegard odpuścił Steinfinnowi grzechy *in articulo mortis*, toteż pochowano go bardzo uroczyście. Krewni i druhowie wygłosili wielkie mowy na żałobnej stypie; zaklinali się, że za śmierć Mattiasa nikt nie odpokutuje. Dotychczas krewni zabitego nie dali znaku życia, lecz wszyscy mieszkali w innych stronach kraju. Niepokój jakiś czaił się w powietrzu; po gminach szły słuchy o ważkich wydarzeniach, które nadchodzą. Krewni zaś Steinfinna głosili, że mężowie, którzy teraz dzierżyć będą władzę w kraju podczas nieletniości króla i księcia, są ich przyjaciółmi.

Jedynie nieznaczną część długów i wierzytelności Steinfinna wzięto pod uwagę przy podziale spuścizny między jego niedorośle dzieci. Krewniacy postępowali tak, jak gdyby szło o olbrzymie bogactwa, ale ludzie przebąkiwali pomiędzy sobą co innego.

Arnvid syn Finna miał pozostać na Frettastein i opiekować się dziećmi do czasu, gdy Haftor syn Kolbeina odprawi swe wesele po Nowym Roku. Wtedy Haftor miał przybyć na dwór i zarządzać nim aż do pełnoletności Hallvarda, najstarszego syna Steinfinna.

Po wyjeździe żałobnych gości bracia Steinfinna pozostali jeszcze kilka dni na Frettastein. W przedwieczorz ich odjazdu mężowie siedzieli jak zwykle w świetlicy i po spożytym posiłku pili piwo. Wtem Arnvid podniósł się i dał znak Olafowi, aby stanął obok niego.

– Jest taka rzecz, Ivarze i Kolbeinie – zaczął. – Tu oto stoi mój druh, Olaf syn Auduna, który mnie prosił, abym przedłożył jego sprawę. Steinfinn oświadczył przed śmiercią, że Olaf ma się udać na swój dziedziczny dwór i ułożyć się z krewnymi co do wiana i darowizny ślubnej dla Inguny,

gdy ją teraz weźmie do siebie. Myśleliśmy jednak, że tak jak jest w tej chwili, byłoby najlepiej, abyśmy na miejscu załatwili te sprawy i aby tutaj odbyło się wesele Olafa; w ten sposób nie tylko nam, ale również jego krewnym zaoszczędzona zostanie daleka podróż późną jesienią i w burzliwych czasach. Dlatego uprosił mnie Olaf, bym oświadczył, że może wskazać poręczyciela – i ja gotów jestem poręczyć za niego do wysokości szesnastu marek w złocie – na to, iż do tego, co weźmie za Ingunę, doda tyle, aby stała się właścicielką trzeciej części jego majątku, oprócz jej pościeli, odzieży oraz klejnotów odpowiednich do jej stanu. Ofiaruje się również dać zabezpieczenie na to, że temu z was, kto mu wyprawi weselne gody, zwróci pełne koszty, czy to w gotówce, jeśli tak zechcecie, czy też odprzeda wam za przystępną sumę dział Inguny w Hindkleiv, a jej w zamian za to odda część swojej ziemi na południu.

Arnvid mówił jeszcze sporą chwilę o warunkach, jakie ofiarowywał Olaf krewnym swej żony, a były one szczególnie dobre. Olaf obiecał ponadto zakupić msze żałobne za dusze Steinfinna i Ingebjörgi i przyrzekł, że dla synów Steinfinna będzie zawsze wiernym szwagrem oraz spokojnym, chętnie słuchającym rad starszych mężem, jak przystoi człowiekowi w tak młodym wieku. W końcu prosił Arnvida braci Steinfinna, by zechcieli przyjąć owo oświadczenie tak, jak było przedłożone, z dobrą wolą i życzliwym sercem.

Bracia Steinfinna siedzieli za stołem i wyglądali na bardzo zakłopotanych. Podczas przemówienia Arnvida Olaf stał po zewnętrznej stronie stołu, przy boku przyjaciela. Stał wyprostowany, spokojne blade oblicze zwrócił ku stryjom Inguny. Od czasu do czasu ruchem głowy przytakiwał słowom przyjaciela.

Wreszcie Kolbein syn Torego zabrał głos:

– To prawda, Olafie, wiadomo nam, że niegdyś była mowa między twoim ojcem i naszym bratem o tym, iż masz poślubić jedną z jego córek.

I naprawdę uznajemy w pełni twoją dobrą wolę, aby tę sprawę załatwić ku zadowoleniu wszystkich. Obecnie jednak chodzi o rzecz następującą: czy twoim krewnym zależy teraz jeszcze tak bardzo na tym małżeństwie pomiędzy naszą bratanicą a tobą, aby zgodzili się na twe oświadczenie? A co najważniejsze, to okoliczność, że obecnie zmuszeni jesteśmy poszukać na zięcia człowieka, który posiada władzę i potężnych przyjaciół, a tego ty mieć nie możesz. Musimy teraz zwracać uwagę raczej na poparcie aniżeli na majątek i wierzymy, że to zrozumiesz, twym oświadczeniem bowiem wykazałeś, że jesteś nad wiek rozgarnięty. Ponieważ Steinfinn przyrzekł wówczas twemu ojcu, że pomoże ci w dobrym ożenku, chętnie poprzemy cię w tej sprawie. Dla córek Steinfinna pomyśleliśmy o innym wyjściu. Z tego jednak powodu, nie masz potrzeby tracić odwagi. Z Bożą pomocą ożenimy cię tak, że pod każdym względem będzie to ożenek równie dobry i bardziej odpowiedni twemu wiekowi, gdyż dla takiego młodzika jak ty, Olafie, rówieśnica nie nadaje się na małżonkę. Albo musisz dostać kobietę starszą i rozsądniejszą, albo też zmówić się z dziewczyną młodszą od siebie i poczekać ze ślubem, póki sam nie dojdiesz do lat dojrzałych.

Podczas tej przemowy Olaf zaczerwienił się. Zanim jednak mógł dojść do słowa, Arnvid odezwał się:

– Tutaj w gminie wszyscy uważali Olafa i Ingunę za narzeczonych. Ja sam byłem przy tym, kiedy Steinfinn obiecywał mu rękę córki.

– Nie, nie – przerwał Kolbein. – Słyszałem, że stroili wówczas jeno żarty. Później Steinfinn i Audun mówili o tym, że byłoby dobrze pewnego dnia ów żart zamienić w prawdę. I zapewne stałoby się tak, gdyby nasz brat nie popadł w owo nieszczęście. Ale że te zrękowiny nigdy się nie odbyły...

– Pierścień, którym się z nią zaręczyłem, leży u Steinfinna w szkatułce, wiem o tym – wtrącił Olaf oburzony.

– To rozumiałe. Steinfinn na pewno nie roztrwonił nic z twej

własności, Olafie. Twoi krewni muszą oświadczyć, że nie brak nawet jednego guzika, gdy przybędą tutaj, aby przejąć twoje mienie.

Olaf zaczerpnął parę razy tchu, prędko i gwałtownie. Kolbein ciągnął:

– Pojmujesz chyba, Olafie, rozsądni ludzie nie zaręczają swoich dzieci w ten sposób, po pijanemu...

– Steinfinn uczynił to. Nie wiem, jak dalece był rozsądny.

– Nie omówił dokładnie sprawy posagu i tym podobnych rzeczy – mówił Kolbein. – Rozumiesz chyba: gdyby Steinfinn czuł się związany słowem z Audunem synem Ingolfa, odpowiedziałby mi „nie”, kiedy w tym roku mówiłem z nim o oddaniu Inguny synowi mego przyjaciela.

– Co odpowiedział? – spytał Olaf bez tchu.

– Nie powiedział ani tak, ani nie, lecz obiecał, że pomówi jeszcze o tej sprawie. Mówiliśmy o tym powtórnie wówczas, gdy naradzaliśmy się nad tą drugą sprawą, i byliśmy zdania, że przyniosłoby nam to wiele korzyści, gdyby Inguna weszła do tego rodu. Ale zostańmy przy tym, co powiedziałem, Olafie: my, krewni Steinfinna, chętnie pomożemy ci w znalezieniu dobrego ożenku.

– O to was nie prosiłem! Mnie Inguna została przyrzeczona. Arnvid wmieszał się:

– Ivarze, jednym z ostatnich słów Steinfinna w dzień jego śmierci było, że gdyby on sam mógł wydać za mąż Ingunę, najchętniej przyjąłby Olafa za zięcia.

– No to przecie zrozumiałe – oświadczył Kolbein; podniósł się i zaczął przechadzać się po izbie. – Cała rzecz w tym, Arnvidzie, że Steinfinn nie mógł tego uczynić. Ty jesteś wszak na tyle dojrzały i mądry, iż powinienes pojąć, że nie możemy odtrącać teraz mężów, którzy nas najbardziej wesprzeć mogą w naszych trudnościach, z tej jedynie przyczyny, że Olaf wziął poważnie żart, jaki miał miejsce niegdyś, gdy był małym chłopcem. Ty przecie, Arnvidzie, niechętnie wstępowałeś w ślubne łóżce, to dziwne,

że tak namawiasz do tego przyjaciela. Prawdopodobnie Olaf podziękuje nam pewnego dnia, że oparliśmy się jego woli i tym dziecinnym zamierzeniom.

Z tymi słowy Ivar i Kolbein poszli do zamykanego w ścianie łoża, w którym poprzednio sypiał Steinfinn. Położyli się i zamknęli drzwi.

Arnvid zbliżył się do Olafa. Chłopak stał wciąż jeszcze na tym samym miejscu, z oczami wbitymi w ziemię. Twarz drgała mu lekko. Arnvid prosił go, by poszedł spać.

– Szczęście, żeś się opanował i że nie doszło do obraźliwych słów między Kolbeinem a tobą – rzekł Arnvid, kiedy rozbierali się po ciemku za słupami.

Z piersi Olafa wydarł się jakiś dźwięk, jakby gwałtowne westchnienie. Arnvid ciągnął:

– W przeciwnym razie trudno byłoby nadać tej sprawie pomyślny obrót. Kolbein mógłby zażądać, abyś natychmiast opuścił dwór. Nie daj po sobie poznać, że ci tak bardzo na tym zależy, czy dostaniesz Ingunę, czy też inną za żonę. Wówczas prędzej coś wskórasz.

Olaf milczał. Zwykle kładł się po zewnętrznej stronie, lecz tym razem Arnvid prosił:

– Pozwól mi spać dzisiaj na kraju, przyjacielu; piwo dziś wieczór było niesmaczne, niedobrze się czuję.

– I mnie ono nie poszło w smak – zaśmiał się krótko Olaf.

Ale położył się pod ścianą. Arnvid zasypiał już prawie, kiedy zauważył, że Olaf wstaje i chce wyjść.

– Dokąd się wybierasz, Olafie? – zapytał, przytrzymując go.

– Pić mi się chce – mruknął Olaf. Arnvid słyszał, jak Olaf posuwa się po omacku do kąta, gdzie stała kadź z wodą i mlekiem; zaczerpnął wody i napił się.

– A teraz chodź i zaśnij wreszcie – prosił Arnvid.

Po chwili Olaf podszedł ociągając się, wsunął się do łóża i położył.

– Lepiej byłoby, gdybyś nie wspominał Ingunie, jaką dostaliśmy odpowiedź, póki nie naradzimy się, co dalej począć – szepnęła Arnvid.

– Dobrze, dobrze, niech i tak będzie – odpowiedział Olaf po dłuższej chwili.

Arnvid uspokoił się nieco. Lecz zasnąć nie śmiał, dopóki nie posłyszał, że młodzieniec obok niego śpi mocno.



Kiedy Olaf wieczorem w dzień świętej Katarzyny<sup>[18]</sup> wyszedł w ciemności na podwórze, padał śnieg. Był to pierwszy śnieg tej zimy, a gdy chłopiec pobiegł na dół ku stajni, czarna gołoledź znaczyła ślad jego kroków.

Przed drzwiami stajni zatrzymał się chwilkę, spojrzął w biały, proszący wir: puszyste płatki padały na jego długie rzęsy, mrugał więc ciągle; ich dotyk był niby zwiewna pieścizota. Bór rozciągający się na północ i wschód od dworu, skąd w jesienne noce szedł mrok i coś złowrogiego, zbliżył się teraz, jakby połykiwał białą przyjazną ścianą poprzez zadymkę i gęstniejący mrok wieczorny. Olaf stał i radował się śniegiem.

Nagle posłyszał, że ktoś mówi w stajni podniesionym głosem, drzwi za nim otworzyły się i wypadł z nich człowiek, jakby wyrzucony. Runął na Olafa z taką siłą, że obaj stoczyli się ze wzgórka. Tamten podniósł się natychmiast i krzyknął do kogoś stojącego w drzwiach, do czarnej, barczystej postaci rysującej się ostrym konturem na tle nikłego światła:

– Tu jest jeszcze ktoś, na kim możesz wypróbować swą siłę, Arnvidzie!  
– po czym wielkimi susami uskoczył w mrok i śnieżyce.

Olaf otrzepał śnieg i pochylił się w niskich drzwiach stajni. – Co się stało Gudmundowi? – zapytał. Wtem dostrzegł w cieniu za Arnvidem płaczącą dziewczynę.

– Wynoś się stąd, ty wstrętna dziewczko! – huknął Arnvid rozsierdzony.  
– Dziewczyna przeszła skulona obok nich i czmychnęła. Arnvid zawarł za nią drzwi.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Olaf.

---

[18] Świętej Katarzyny – 25 listopada.

– Ach, nic szczególnego – odparł Arnvid gwałtownie. Powiesił na haku mały kaganek stojący u jego nóg. Olaf ujrzał, że przyjaciel trzęsie się z podniecenia. – Nic więcej, tylko to, że każdy łajdak na dworze sądzi, że może pogardzać mną dlatego, dlatego... Powiedziałem, że nie chcę widzieć dziewczynek w stajni, ale nic sobie z tego nie robią. Gudmund odparł, żebym lepiej pilnował poddasza dworu i moich własnych krewniaczek.

Olaf odwrócił się. W ciemności słychać było chrzęst żujących koni; poruszały się u żłobu. Najbliżej stojący wykręcił szyję i prychnął Olafowi nad uchem, a światło odbijało się słabo w wielkich, ciemnych, zwierzęcych oczach.

– Słyszałeś, co mówiłem? – zaczął Arnvid.

Olaf odwrócił się ku koniowi i nie odpowiedział. Pełen udręki czuł, że twarz mu płonie.

– Co na to powiesz? – spytał Arnvid wściekły.

– Cóż chcesz, bym ci powiedział? – odparł cicho Olaf. – Tak jak się sprawy przedstawiają, po tym, co mi odpowiedział Kolbein, nie dziwisz się chyba, że poszedłem za twoją radą.

– Za moją radą?

– Tak, radą, jaką dałeś mi w dniu, kiedy rozmawialiśmy w lesie. Rzekłeś wówczas, że jeśli dwoje nieletnich dzieci zostało ze sobą zaręczonych przez swych opiekunów, nikt nie ma prawa rozłączać ich, jeśli zaś zgadzają się z wolą rodziców, nie trzeba niczego więcej: mogą żyć z sobą jak prawowici małżonkowie.

– Tego nigdy nie powiedziałem!

– Nie pamiętam już dobrze, jakie padły słowa, ale w ten sposób zrozumiałem twoją myśl.

– Moją myśl – szepnął Arnvid wzburzony. – Nie sądzę, Olafie. Wiedziałeś chyba dobrze, co o tym myśle...

– Nie. Co w takim razie miałeś na myśli? – spytał Olaf, zwracając się

do niego. Pchany najokropniejszym wstydem, starał się być zawzięty i patrzył przyjacielowi z uporem w oczy, a policzki mu pałały.

Arnvid syn Finna spuścił oczy przed wzrokiem młodzieńca i zarumienił się także. Nie umiał powiedzieć, co właściwie myślał. Zmieszanie i wstyd odebrały mu mowę. Jakże mógł utrzymywać zażyłą przyjaźń z człowiekiem, o którym wiedział, że uwiódł jego krewną? Lecz zdawało się, że dopiero w tej chwili pojmuje, jak naprawdę źle sprawy stoją, zupełnie tak, jakby dotąd nie widział ohydy i nieuczciwości w tym wszystkim; ponieważ Olaf wydawał się tak na wskroś rzetelny, Arnvid nie dostrzegł, że niegodne postęпки są niegodnymi, po prostu dlatego, że popełniał je Olaf.

I teraz także nie chciał wierzyć, że tu oto stoi przed nim Olaf i kłamie. Zawsze uważał go za najprawdopodobniejszego z wszystkich ludzi. Chwycił się tego niby deski ratunku – słowa Olafa musiały być prawdziwe. To on sam wyrządził przyjacielowi krzywdę swym podejrzeniem w lecie, tak, tak. Między tymi dwojgiem nie zaszło nic nieobyczajnego, choć spędzali razem letnie noce.

– Zawsze miałem o tobie dobre mniemanie, Olafie – rzekł wreszcie. – Sądziłem, że miłujesz cześć nade wszystko.

– W takim razie nie mogłeś się chyba spodziewać – odparł Olaf niepoohamowanie, patrząc mu uporczywie prosto w oczy – że będę cicho siedział i patrzył, jak synowie Torego depczą moją cześć i wydzierają mi moje prawo. Nie chcę wrócić do ojcowizny w ten sposób, aby każdy śmiał sztydzić ze mnie za plecami, ponieważ pozwoliłem tym łotrom okpić się i przeszkodzić w małżeństwie, które mi było przyrzeczone. Wiesz przecie, że Kolbein i oni wszyscy knują przeciw mnie zdradę, pamiętasz chyba, w jaki sposób dostałem z powrotem pierścień?

Arnvid kiwnął głową. Przy podziale spuścizny Kolbein wręczył Olafowi jego skrzynie, które Steinfinn miał w przechowaniu. I tutaj

wśród różnych innych przedmiotów znalazł sygnet matki, nanizany wraz z innymi pierścieniami na wstążkę. A Olaf nie mógł w żaden sposób oświadczyć, że kiedy widział pierścień po raz ostatni, znajdował się on pomiędzy klejnotami Steinfinna.

– I wydaje mi się, że chodzi tu również o cześć mojego ojca – ciągnął Olaf wzburzony. – Czyż mam dopuścić do tego, by obcy ludzie lekceważyli jego ostatnią wolę i obietnicę daną mu przed śmiercią? Steinfinn... słyszałeś sam, co mówił. Ale i on, biedak, wiedział dobrze, że nie będzie mógł niczego przeprowadzić wbrew woli swych zuchwałych braci. Czyż ojciec Inguny i mój nie są po śmierci na tyle godni szacunku, by nie przyznać im nawet prawa do rozstrzygnięcia o małżeństwie ich dzieci?

Arnvid długo się zastanawiał.

– Mimo to, Olafie – powiedział cicho – nie wolno ci tak robić; nie wolno ci odwiedzać nocą Inguny w komorze i spotykać się z nią potajemnie, tak aby wszyscy we dworze wiedzieli. Dalibóg, nie powinienem był milczeć tak długo, ale wydawało mi się okropne mówić z tobą o tym. Nie wahałeś się mnie oszukiwać.

Olaf nie odpowiedział. Arnvidowi żal się go zrobiło.

– Moim zdaniem, Olafie – rzekł – ponieważ sprawy między tobą i Inguną tak się ułożyły, ty powinienesz ująć rządy we dworze.

Olaf spojrział nań niepewnie, pytająco:

– Oznajmij wszem wobec, że nie ustąpisz jej nikomu innemu, że obstajesz przy umowie zawartej przez Steinfinna i twego ojca i że zabierasz żonę do siebie. Wstąp jawnie z Inguną do małżeńskiego łóża i oświadczyć, że jesteś najbliższym krewnym, który ma rządzić w imieniu Hallvarda i Jona, dopóki pozostaniesz z ich siostrą na północy.

Olaf zagryzł wargi, policzki mu pałały. W pierwszej chwili nęciła go rada Arnvida. To była otwarta droga, wyjście z tych tajemnych sprawek

w nocy i ukryciu, które – sam to czuł – poniżały go i czyniły bezsilnym. Wziąć Ingunę za rękę, wprowadzić ją jawnie do łożnicy i na poczesne miejsce za stołem po Steinfinnie i Ingebjördze! Mieliby wówczas o czym rozprawiać ci wszyscy ludzie we dworze, co to szepczą i chichoczą za jego plecami, ponieważ dotąd nie śmieli rzucić mu tego w twarz.

Gdy jednak pomyślał, że ma to zrobić naprawdę, odwaga go opuściła. Te ich drwiny, te drobne, kąśliwe docinki... Ludzie tych stron celowali w tej sztuce: z niewinną miną, tak że trudno było się bronić i odparować cios, rzucali kilka nieważkich słówek z bolesnym kolcem, który dobrze ranił. Często złośliwość ich mowy była tak utajona, że dłuższy czas trwało, nim Olaf zrozumiał, z czego się śmieją, podczas gdy dotknięty milczał, udawał obojętnego albo też zrywał się nagle... Choć sam o tym nie wiedział, podczas swego pobytu na Frettastein starał się zachowywać tak, aby nie mieli możliwości zabawiać się w ten sposób jego kosztem. Do tej pory udawało mu się to do pewnego stopnia. Wiedział, że wśród domowników cieszy się mirom, mieli dla niego uznanie takie, jakie miewa się dla ludzi małomównych, o których wiadomo, że nie są głupi: uważa się ich zwykle za mądrzejszych, niż są naprawdę. Nikt jeszcze nie odważył się mówić głośno o tym, co wszyscy wiedzieli o nim i Ingunie – przynajmniej nie tak, by on sam dowiedział się czegokolwiek.

Ale – wzdrygał się na samą myśl o tym – jakież to dopiero wybuchną śmiechy i drwiny, kiedy on sam wystąpi z tą sprawą i obwieści, że będzie rządził we dworze, on, którego aż do tego roku uważano za nieletnie chłopię! Niepostrzeżenie zmienił się sąd Olafa o samym sobie i swym stanowisku na dworze Steinfinna. Nie patrzył już na Frettastein jak na dom, do którego należy. Wskutek niewiele niby to znaczących słów, sączących się w jego duszę, wskutek tego, że widział, jak dalece krewni Inguny z nim się nie liczą, wreszcie wskutek wyrzutów sumienia i uczucia wstydu z powodu wszystkiego, co po kryjomu czynił – widział sam siebie

na miejscu niższym niżeli poprzednio.

Na dobitkę był jeszcze taki młody, wszyscy mężczyźni we dworze byli od niego starsi. Przyzwyczaił się już do tego, że jego i Inguny nie uważano za dorosłych. I wstyd go ogarniał na myśl, że ma żyć jawnie z kobietą, chociaż żaden dojrzały mąż nie wprowadził go do grona dorosłych. Rzekł więc:

– Nie wydaje mi się to wskazane, Arnvidzie. Jak sądzisz, czy choć jeden parobek albo dziewczka będzie mnie słuchać, gdybym spróbował rozkazywać? Grim albo Josep, albo Gudmund? Albo czy Dalla odda dobrowolnie klucze Ingunie?

– Nie, Inguna musiałaby się na razie zadowolić tym, że włoży małżeński czepiec, do czasu, gdy wręczysz jej klucze z Hestviken – Arnvid roześmiał się.

– Nie, Arnvidzie. Tutaj każde dziecko boi się Kolbeina. Twoja rada nie jest wykonalna.

– W takim razie znam jedno tylko wyjście i tę radę powinienem być ci dać już dawno. Jedź do Hamaru i złóż swoją sprawę w ręce biskupa.

– W ręce biskupa Torfinna? Nie sądzę, bym mógł oczekiwać od niego pomocy – odparł po namyśle Olaf.

– Możesz oczekiwać uznania swego prawa – rzekł Arnvid. – Tę sprawę jedynie święty Kościół może rozstrzygnąć. Żadne z was nie może już poślubić kogo innego...

– Kto wie, może pobożny ojciec zażąda, byśmy zostali mnichem i zakonnicą i poszli do klasztoru odpokutować nasz grzech?

– Zażąda prawdopodobnie, abyś złożył Kościołowi grzywnę, ponieważ bez zapowiedzi i godów weselnych poszedłeś do swej narzeczonej. Jeżeli jednak będziesz mógł postawić świadków na to, że zrękowiny wasze były prawomocne – a spodziewam się, że to potrafimy – zażąda od synów Torego, aby przyjęli ugodę i pojednanie.

– Pytanie tylko, czy na wiele się przyda żądanie pana Torfinna. Już dawniej musiał biskup hamarski ustąpić synom Steinfinna.

– Tak, w sprawach majątkowych i tym podobnych. Nie są przecie tak bezbożni, aby sprzeciwiać się w tej sprawie. Nikt, prócz uczonych ojców Kościoła, nie może wydać orzeczenia, czy małżeństwo jest małżeństwem, czy nie.

– Nie znam się na tym. Ach nie, już raczej wolę zabrać stąd Ingunę i pojechać z nią na południe do mego domu.

– To być nie może, póki ja władam bronią, Olafie. Do diabła, czy sądzisz, że będę siedział z założonymi rękami i przymknę oczy, gdy ty uprowadzisz krewną powierzoną mej opiece, dlatego tylko, że tak długo milczałem? – A widząc, że Olaf się zrywa, dodał: – Uspokój się, wiem, że się mnie nie boisz. I ja także nie boję się ciebie. Liczyłem się z tym, że jesteśmy przyjaciółmi. Jeśli więc sam zdajesz sobie sprawę, że niezupełnie po przyjacielsku i szlachetnie postąpiłeś wobec mnie, czyń tak, jak ci mówię, i staraj się zakończyć tę sprawę godnie i uczciwie. Sam będę ci towarzyszył do biskupa – dodał widząc, że Olaf waha się jeszcze.

– Niechętnie to uczynię – odparł Olaf z westchnieniem.

– Czy milej ci jest teraz – nalegał Arnvid – kiedy plotki krążą we dworze i całej dolinie o tobie, Ingunie i o mnie? Czyż nie widzisz, jak niewiasty za plecami Inguny, gdzie tylko się obróci, przystają i szepczą, spoglądają na nią ukradkiem, rade wiedzieć, czy stąpa jeszcze tak lekko jak przedtem.

– O to nie ma obawy – wymruczał gniewnie Olaf. – Ona tak mówi. – Znów oblał się rumieńcem. – Inguna musi pojechać z nami. W przeciwnym razie nawet biskupowi trudno byłoby wydostać ją z rąk Kolbeina.

– Tak, zabiorę ze sobą Ingunę i Torę. Czy wyobrażasz sobie, że po tym, co zaszło, mam zamiar wydać ją w ręce Kolbeina?

– Niech więc będzie, jak rzekłeś – odparł Olaf patrząc ponuro przed

siebie.

Już w dwa dni potem wyruszyli w drogę i późnym wieczorem przybyli do Hamaru. Dziewczęta spały nazajutrz długo, a Olaf poszedł do płatnerza po swój berdysz. Tamci mieli się tymczasem zebrać, by pójść na ostatnią mszę do kościoła Zbawiciela.

Kiedy Olaf wrócił do gospody, wszyscy już wyszli. Poszedł prędko za nimi przez ulice, śnieg skrzypiał pod nogami, był pogodny mroźny dzień. Dzwony dźwięczały czarownie w przejrzystym powietrzu, a niebo żółciło się ślicznie na południu, ponad białymi szczytami i granatową wodą. Olaf dojrzał tamtych przed kościelną bramą i przyspieszył kroku.

Inguna odwróciła się i pokraśniała jak róża. Olaf spostrzegł, że pod kapturem obwiązała dokoła twarzy białą chustkę, jak młoda mężatka. I on zarumienił się także, a serce zaczęło mu walić w piersiach – teraz więc sprawa stawała się poważna. Zdawało mu się, jakby dotąd nie uświadamiał sobie tego w pełni. Młody i bez poparcia krewnych i przyjaciół, podjął ten trud: postanowił wywalczyć to, że Inguna zostanie jego żoną. Zmieszał się, że tak oto ma z nią iść. Wyprostowani, patrząc prosto przed siebie szli razem przez kościelny cmentarz.

Po rannym posiłku Olaf towarzyszył Arnvidowi na biskupi dwór. Na myśl o tym spotkaniu czuł się nieswojo podczas drogi i nie lepiej, kiedy został sam w kamiennej izbie czekając na Arnvida, którego jeden z pisarzy zaprowadził do sypialni pana Torfinna.

Olaf czekał i czekał. Nie był jeszcze nigdy dotąd w murowanej izbie i wiele tu było rzeczy ciekawych. Pułap również był murowany i sklepiony, toteż światło wpadało tylko przez małe okienko w tylnej ścianie; mimo to nie było tu zbyt ciemno, izba bowiem była wybielona, wyżej zaś, tam



gdzie rozwieszało się zazwyczaj kobierce, na ścianach wymalowano ptaki i kwiaty. Paleniska nie było w izbie, tylko zaraz po wejściu Olafa dwóch ludzi wniosło Wielkie naczynie z żarem i postawiło je w środku izby. Kiedy Olafa znużyło siedzenie na ławie i marznięcie, zbliżył się do fajerki i grzał sobie nad nią ręce. Cały niemal czas siedział sam i nie czuł się dobrze. Było w tej izbie coś kościelnego, co odbierało mu pewność siebie.

Potem weszło trzech ludzi w podróżnej odzieży; stanęli koło ognia i rozmawiali ze sobą, nie zwracając wcale uwagi na siedzącego na ławie chłopca. Dwóch starszych było kmieciami z góry Farberg, młodszy zaś był księdzem i pasierbem jednego z chłopów. Olaf poczuł się nagle bardzo młody i niedoświadczony – z pewnością niełatwo mu przyjdzie dochodzić tu swych praw. Po pewnym czasie przyszedł po tych ludzi ktoś ze służby biskupa i Olaf znów został sam. Miał ochotę wyjść na dziedziniec – tam było tyle do obejrzenia, ale nie wypadało, musiał pozostać tu w izbie i czekać.

Wreszcie nadszedł Arnvid, z wielkim pośpiechem chwycił miecz i przypasał go mówiąc, że biskup musi jechać zaraz na jakiś dwór w Wang i prosi jego, Arnvida, by mu towarzyszył. Nie, o sprawie Olafa nie mógł na razie mówić obszernie. Moc ludzi przychodziło całe rano do pana Torfinna. Nie, biskup niewiele powiedział, ale prosił zarówno Olafa, jak i Arnvida, by zamieszkali na jego dworze; niechże więc Olaf idzie zaraz do gospody po swego konia i łuby podróżne.

– A dziewczęta? Nie mogą przecie pozostać same w gospodzie.

– Nie – odparł Arnvid. – Mają zamieszkać w pewnym dworze w dolnej części miasta, u dwóch starych i pobożnych niewiast, prebendarek. Przybędzie tam również w najbliższych dniach pani Magnhilda z Berg, siostra Steinfina; biskup zamierza jutro pchnąć do niej gońca z listem. Pan Torfinn jest zdania, że zanim sprawa nie zostanie wyjaśniona, nie powinniśmy spotykać się z Inguną w mieście. Możecie widywać się w

kościelnie i tam mówić z sobą.

Arnvid wybiegł.

Olaf pośpieszył do gospody; tymczasem nadeszła tam już jedna z kobiet i Tora z Inguną sposobily się do drogi. Nie mógł więc mówić z Inguną. Wyglądała zatroskana, gdy podawała mu rękę na pożegnanie; lecz Olaf powiedział Torze tak, by siostra słyszała, że biskup przyjął ich łaskawie. Oznaką wielkiej przychylności było, że wszyscy czworo będą jego gośćmi.

Gdy wrócił na biskupi dwór, podszedł do niego pewien młody ksiądz i oświadczył, że będą teraz *contubernales*. Olaf zrozumiał, iż miało to znaczyć, że zamieszka w jednej izbie z księdzem. Był to człek wysoki i chudy jak szczapa, o wielkiej, kościstej, końskiej głowie; zwano go Asbjörn Allfeit. Przywołał pachółka i polecił mu zająć się Olafowym bułankiem, a sam wskazał chłopcu poddasze, gdzie miał sypiać. Po czym powiedział, że musi zejść na wybrzeże; tego ranka zawinął do przystani towarowy statek z fiordu Gudbrand – może Olaf ma ochotę pójść z nim i przyjrzeć się wyładowaniu towarów. Owszem, Olaf miał na to wielką ochotę.

Olaf wiedział, że na Hestviken uprawia się rybołówstwo i żeglarstwo, a mimo to trudno było mniej znać się na okrętach i łodziach od niego, tak dziwnie złożyło się w jego życiu. Otwierał szeroko oczy i uszy, kiedy wszedł na pokład wielkiego szkunera i nabrawszy odwagi rozpytywał o to i owo. Wziął się też zaraz do roboty, pomagał załodze wyładowywać towary, zawsze było to o wiele przyjemniejsze, niż stać z założonymi rękami. Były tu przeważnie beczki z solonymi śledziami i pstrągami, lecz były także juki ze skórą, pokaźna ilość skór dzikich zwierząt, masło i łój. A kiedy ksiądz przeliczał towar, Olaf pomagał mu przy tym i znaczył karby na kiju; miał w tym wprawę z Frettestein, bo robił to w zastępstwie Grima; starzec nie umiał już dobrze rachować. Przez cały dzień Olaf

trzymał się blisko księdza Asbjörna, towarzyszył mu na chór w kościele i przy wieczerzy, którą spożył wspólnie z domownikami biskupa. A gdy wieczorem udał się na poddasze z Asbjörnem i jeszcze jednym młodym księdzem, różniej mu było na duszy. Nie czuł się już tak obcy na tym dworze, dużo tu było nowych rzeczy do obejrzenia. Arnvid jeszcze nie wrócił.

Wśród nocy Olaf ocknął się i zaczął myśleć o tym, co słyszał o biskupie Torfinnie. Lękał się jednak biskupa.

„Raczej niech dziesięciu ludzi życie postrada, niżby jedna dziewica miała zostać zgwałcona” – miał podobno powiedzieć biskup. Przed rokiem omawiano szeroko pewien wypadek. Syn możnego pana w Alvheim zapałał miłością ku biednej córce chłopskiej. Ponieważ nie udało mu się uwieść dziewczyny obietnicami ani upominkami, przyszedł do niej pewnego wieczora wiosną, kiedy orała w polu, i chciał ją wziąć przemocą. Ojciec zajęty był właśnie naprawą płotu na dole, w lesie; był już stary i niedołężny. Posłyszawszy krzyk córki, chwycił topór, pobiegł na górę i rozłupał głowę tamtemu. Zabójca został uniewinniony, a krewni zabitego musieli się z tym pogodzić. Jak było do przewidzenia, chcieli jednak zmusić mordercę do opuszczenia gminy. Najpierw próbowali nakłonić go pieniędzmi, by się wyniósł. Gdy jednak nie chciał, zaczęli mu grozić gwałtami. Wówczas biskup Torfinn wziął chłopca i jego dzieci pod swą opiekę.

Była też owa sprawa z człowiekiem z Tonstad, którego znaleziono utopionego. Wdowa i dzieci złożyły oskarżenie przeciwko drugiemu mieszkańcowi dworu. Musiał uciekać, by ratować życie, a jego żona i nieletnie dzieci musiały znosić nieustannie ucisk i złe traktowanie ze strony rodziny zamordowanego. Wreszcie zdarzyło się, iż stryjeczny brat zmarłego przyznał się, że to on utopił krewniaka, spierali się bowiem o dziedzictwo. Podobno biskup Torfinn wpłynął na mordercę, że wyznał

przed wszystkimi to, co było przedmiotem spowiedzi, ponieważ żaden ksiądz nie ma mocy odpuszczenia grzechu, dopóki grzesznik nie okaże skruchy i nie uratuje niewinnego, który cierpi za jego przestępstwo.

Olaf słyszał od Arnvida, że biskup z niezwykłą dobrocią odnosi się do biedaków i ludzi obarczonych troskami i że prosi ich, by zwracali się do niego jak do miłującego ojca. Nigdy jednak nie ugina karku, nawet o cał, gdy ma do czynienia z ludźmi upartymi i zatwardziałego serca, bez względu na to, czy to będą wielmoże, czy prostacy, duchowni, czy ludzie świeccy. Nigdy nie usprawiedliwiłby grzechu żadnego człowieka, ale do każdego grzesznika, który okaże skruchę i gotowość pokuty, wyciąga obie ręce z pomocą, prowadzi go na ścieżki cnoty i bierze pod swą opiekę.

To bardzo pięknie – myślał Olaf i naprawdę niejedno z tego, co posłyszał o panu Torfinnie, podobało mu się bardzo. Musiał być człowiekiem bez trwogi ów mnich z Trondelag, kimś, kto wie, czego chce. Nie śniło mu się nawet wówczas, iż on sam może kiedyś być zmuszony do przedłożenia własnej sprawy wyrokowi biskupa. A to, co Arnvid twierdził, że biskup nie robi żadnej różnicy między ludźmi, to już była przesada, wedle pojęć Olafa: jest przecież pewna różnica, czy drobny kmieć morduje swego sąsiada o błahostkę, czy też Steinfinn bierze krwawy odwet na Mattiasie. W żadnym razie nie chciał, by ktokolwiek sądził, że zwrócił się do biskupa z prośbą o obronę swoich praw wobec rodu Steinfinna, ponieważ – tak, ponieważ znaczył mniej niż tamci. Na dobitkę biskup Torfinn zwracał baczną uwagę na nieposzlakowany tryb życia. A jeśli nawet wobec drugich Olaf zawsze twierdził, że to, co zaszło od lata między nim i Inguną, należy niejako uważać za małżeńskie pożycie, sam tego tak nie odczuwał.

Nazajutrz rano siedział znowu w małej izbie i czekał. Zwano ją tak

dlatego, że obok była druga, większa izba, rozmównica. Nie były jednak ze sobą połączone, wszystkie bowiem pokoje w tym kamiennym budynku miały tylko po jednym drzwiach wychodzących na dziedziniec.

Olaf siedział już dłuższą chwilę, gdy wszedł młody, niski człowiek w jasnoszarym, prawie białym habitie mniszym, zamknął za sobą drzwi i szybko podszedł do Olafa. Chłopak podniósł się pospiesznie i przyklęknął na jedno kolano: od razu zgadł, że to jest biskup Torfinn. Kiedy biskup wyciągnął do niego rękę, Olaf ucałował pokornie wielki kamień w jego pierścieniu.

– Witaj, Olafie synu Auduna. Przykro mi, że wczoraj musiałem wyjechać, właśnie gdy przybyłeś, lecz mam nadzieję, że moi ludzie dobrze przyjęli gości.

Nie, nie był młody, Olaf spostrzegł to teraz. Przerzedzony krąg włosów błyszczał srebrzyście, a oblicze biskupa było pociągłe, poryte bruzdami i szszarzałe, niemal jak habit. Lecz był smukły i zdumiewająco zwinny w ruchach, prawie tego wzrostu co Olaf. Niemożliwe było ocenić jego wiek. Uśmiechał się i wtedy nie wyglądał staro, płomyk jakiś błyskał wówczas w jego wielkich szarozółtych oczach, ale na bladych, wąskich wargach uśmiech ukazywał się tylko jak nikły cień.

Olaf zdołał zaledwie wybąkać podziękowanie i stał stropiony – ten gorliwy biskup wyglądał zupełnie inaczej, niż się spodziewał. Przypomniawszy sobie niewyraźnie poprzedniego biskupa: był to człowiek, który głosem i postawą wypełniał całą izbę. Olaf wyczuł, że i ten, szczupły i siwy, wypełnia izbę, tylko w odmienny sposób. Kiedy pan Torfinn usiadł i wskazał mu miejsce obok siebie, Olaf przysiadł nieśmiało opodal na ławie.

– Możliwe, że będziesz musiał pozostać tutaj przez znaczną część zimy – zaczął biskup Torfinn. – Pochodzisz, jak słyszę, z zatoki nad morzem i wszyscy twoi krewni mieszkają w odległych stronach, prócz

ludzi z Tveit w Soleyar. Minie więc dłuższy czas, nim otrzymamy od nich odpowiedź, jakie świadectwo mogą złożyć w twojej sprawie. Nie wiesz, czy zrzekli się opieki nad tobą w sposób zgodny z prawem?

– Mój ojciec uczynił to, panie. Chyba on jeden mógł to rozstrzygnąć?

– Tak, tak. Ale musiał przecież napomknąć o tym swoim krewnym, a ci powinni byli zgodzić się, aby zamiast nich Steinfinn mógł sobie rościć prawo do pieniędzy pupilarnych.

Olaf milczał. Ta rzecz nie była wcale taka prosta – pojął to teraz. Steinfinn nie pobierał nigdy z jego włości żadnych pieniędzy, przynajmniej on o tym nie wiedział.

– Nic o tym nie wiem. Nie jestem obeznany z prawem; nikt mnie tego nie uczył – dodał przybity.

– Aha, tak też myślałem, ale kwestię opiekuństwa musimy wyjaśnić, Olafie. Po pierwsze ze względu na twój udział w sprawie o zabójstwo: czy wybrałeś się ze Steinfinnem jako jego zięć, czy też tylko dlatego, że byłeś w jego służbie? Kolbein i jego ród uzyskali już list żelazny, ty jednak nie jesteś w nim wymieniony. Pomówię o tej sprawie z wójtem, abys mógł mieszkać w mieście bez przeszkód. Po wtóre chodzi o to, co Steinfinn powiedział przed śmiercią: że życzy sobie tego małżeństwa z jego córką, jak twierdzi Arnvid. I czy wówczas on był twoim opiekunem, czy też ci krewni, którzy są nimi dzisiaj?

– Sądziłem – odparł Olaf i pokraśniał cały – że obecnie jestem już dorosłym człowiekiem, skoro zaręczono mnie z nią w sposób zgodny z prawem i wziąłem ją jako żonę.

Biskup potrząsnął głową:

– Czy myślisz, że wy, nieletnie dzieci, zdobyliście jakiegokolwiek prawa wskutek tego, że poszliście razem samowolnie do łoża, bez kościelnych zapowiedzi i zgody waszych krewnych? Wzięliście na siebie obowiązek, sami sądziliście, że to są wiążące zaślubiny, jesteście więc zmuszeni pod

groźbą grzechu śmiertelnego żyć z sobą, póki was śmierć nie rozłączy, albo też żyć w celibacie, o ile nam się nie uda osiągnąć porozumienia między jej i twoimi opiekunami. W żadnym jednak wypadku nie zdobyłeś pełnoletności przez ten rodzaj małżeństwa i twoi orędownicy nie mogą żądać posagu, zanim nie padniesz do nóg synom Torego i nie okupisz ugody. A nie wygląda na to, aby po tym wszystkim dali Ingunie taki posag, jakiego człowiek twego stanu ma prawo domagać się od żony. Drogo może cię kosztować ta zabawa, Olafie. Kościołowi musisz złożyć grzywnę pokutną, bo zawarłeś ślub potajemnie, czego Kościół zabrania pod klątwą wszystkim swym dzieciom, jako że w sprawach małżeństwa należy postępować jawnie, uczciwie i z rozsądkiem. Inaczej wielu młokosów mogłoby zrobić tak jak ty. Ty i ta kobieta jesteście związani ślubowaniem wobec Boga, ale nikt nie jest obowiązany użyczyć ci jakichkolwiek praw lub pomocy, nikt bowiem nie był przy tym obecny, nikt ci niczego nie przyrzekał, ani nie udzielił zezwolenia, kiedyś się wiązał.

– Panie! – wykrzyknął Olaf. – Wierzyłem, że będziecie bronić naszego prawa, jeśli sami jesteście zdania, że mamy obowiązek dotrzymać danego sobie wzajem przyrzeczenia.

– Gdybyś przedłożył tę sprawę wyrokowi Kościoła natychmiast, gdy tylko zauważyłeś, że stryjowie Inguny zaprzeczają prawomocności waszych zaręczyn, byłaby to słuszna droga. Mogłeś zażądać od mojego oficjała, pana Arnbjörna Skolpa, aby zakazał Kolbeinowi pod groźbą kary zaręczać dziewczynę z kim innym, zanim się nie wyjaśni, czy masz prawo do tego ożenku.

– Pytanie, jak dalece Kolbein zważałby na to.

– Hm. A więc o tym wiesz... Prawa się nie uczyłeś, za to widziałeś bezprawie – biskup poruszył rękami na piersiach. – Pomyśl jednak, Kolbein i Ivar byli już niegdyś uwikłani w podobną sprawę i dlatego z pewnością nie mieliby ochoty powtórnie zostać obłożeni klątwą.

– Sądziłem – zaczął znów Olaf z uporem – że wystarczające znaczenie ma to, że jej ojciec przyrzekł dziewczynę mojemu ojcu dla mnie.

– Nie – biskup potrząsnął znów głową. – Jak ci już mówiłem, spadła na ciebie wina i obowiązki, natomiast nie zyskałeś żadnych praw. Gdybyś się zwrócił do pana Arnbjörna, gdy dziewczyna była jeszcze dziewczicą, osiągnąłbyś więcej, niż w najlepszym razie teraz osiągniesz. Albo musieliby ci wówczas dać żonę i posag, albo też byłibyście ludźmi wolnymi, mającymi prawo zawrzeć inny związek. W tym układzie spraw, mój synu, musimy modlić się do Boga, abyś kiedyś nie żałował, że związałeś się całkowicie, na oślep i po ciemku, zanim wyrosłeś z dzieciństwa.

– Nigdy nie przyjdzie ten dzień – wybuchnął Olaf – w którym bym żałował, że nie pozwoliłem się oszukać Kolbeinowi synowi Borghildy w tym, co według prawa jest moją własnością.

Biskup spojrział na niego badawczo. Olaf ciągnął:

– Tak, panie, Kolbein pragnie obalić tę umowę i chwyci się każdego sposobu, by tego dopiąć, tego jestem pewien. – I opowiedział historię z pierścieniem zrękowinowym.

– Jesteś pewien – spytał pan Torfinn – że Steinfinn sam nie włożył przed śmiercią pierścienia do twojej szkatuły? Może sądził, że w ten sposób na pewno otrzymasz z powrotem wszystko to, co przechowywał jako twój opiekun?

– Nie, ponieważ w dzień jego śmierci widziałem zaręczynowy pierścień Inguny; leżał w szkatułce, gdzie Steinfinn przechowywał najcenniejsze klejnoty swoje i dzieci.

– Czy Steinfinn sam otworzył szkatułkę? Sam ci go pokazywał?

– Nie, zrobił to Arnvid.

– Hm. Tak, w takim razie wygląda na to, że istotnie Kolbein... – Biskup zamilkł na chwilę, potem zwrócił się do Olafa: – Wobec takiego



stanu rzeczy między tobą a nią, byłoby najlepszym wyjściem – nie powiem, że to jest w ogóle dobre wyjście, ale bądź co bądź najlepsze – aby twoi i jej krewni dali swoje zezwolenie, tak aby wasze małżeństwo zostało zawarte również według praw krajowych i abyście mogli cieszyć się w pokoju sobą oraz wszystkim, co posiadacie. W przeciwnym razie ciężko wam będzie żyć, a gdyby was rozłączono, pokusa gorszych jeszcze grzechów aniżeli ów pierwszy czyhałaby na was ustawicznie. Ale rozumiesz: nawet gdybyśmy potrafili postawić świadków na dowód prawomocności waszych zaręczyn, to i tak synowie Torego mogą zażądać takich warunków pojednania, że przez ten ożenek staniesz się uboższy, niż byłeś.

– To mi jest obojętne – odparł Olaf zawzięcie. – Słowo dane mojemu ojcu nie powinno zostać złamane tylko dlatego, że on umarł. Chcę pojąć Ingunę za żonę, choćbym miał ją wziąć w jednej tylko koszuli.

– A ta dzierlatka, Inguna? – zapytał biskup cicho. – Czy jesteś pewien, że i ona myśli tak jak ty? Że chce raczej obstawać przy dawnej umowie, niż pozwolić, by ją wydano za kogo innego?

– Inguna myśli tak jak ja. Nie powinniśmy sprzeciwiać się woli naszych ojców dlatego, że oni nie żyją i obcy chcą uszczuplić ich prawo stanowienia o własnych dzieciach.

Pan Torfinn z trudem ukrył uśmiech:

– Toście wy, dzieciuchy, weszły do ślubnego łoża po to jedynie, by wypełnić wolę waszych ojców?

– Panie – rzekł Olaf cicho, rumieniąc się znowu – Inguna i ja jesteśmy niemal rówieśnikami i od dziecka wychowywaliśmy się jak brat i siostra. Od siódmego roku życia żyłem z dala od wszystkich moich krewnych. A kiedy ona straciła ojca i matkę, we mnie szukała oparcia. I wtedy postanowiliśmy zgodnie, że nie damy się nikomu rozłączyć.

Biskup zamyślony kiwał głową. Olaf dodał z zapalem:

– Panie, wydaje mi się, że byłoby to wielką zdradą zarówno wobec mnie jak i mojego ojca, gdybym miał bez panny młodej odjechać teraz z Frettastein, gdzie wszyscy od dziesięciu lat uważają nas za narzeczonych. Myślałem także, że po powrocie na ojcowski dwór, na którym nie znam żywej duszy, pragnąłbym najbardziej mieć przy sobie kobietę, która była mi przyjacielem od najwcześniejszych lat mego dzieciństwa.

– Ile miałeś lat, gdy cię rodzice odumarli?

– Gdy ojciec umarł, miałem siedem lat. Sierotą po matce zostałem w chwili urodzenia.

– Tak, moja matka żyje jeszcze – pan Torfinn siedział długą chwilę w milczeniu. – Pojmuję, to zupełnie zrozumiałe, że nie chcesz stracić towarzyszkę lat dziecięcych.

Podniósł się, a Olaf zerwał się natychmiast z ławy. Biskup powiedział:

– Wiesz dobrze, Olafie, że sierotą bez matki i krewnych nie jesteś. Żaden chrześcijanin nie jest sam. I ty, podobnie jak my wszyscy, posiadasz najpotężniejszego brata w Chrystusie, nasza Królowa a Jego matka jest twoją matką i u Niej jest przecież twoja rodzicielka, która ci dała życie.

Zawsze myślałem, że Najświętsza Panna Maryja goręcej niż za innymi wstawia się do swego Syna na tymi dziećmi, które tu, na ziemi zostały bez matki. Każdy powinien pamiętać, że to są nasi najbliżsi, najmożniejsi krewni. Ale tobie powinno być łatwiej pamiętać o tym. Nie jesteś tak często narażony na pokusę zapomnienia, jak potężnego krewnego posiadasz w Bogu, nie masz bowiem braci ani krewnych z ciała, którzy by cię popychali do gwałtów i pychy albo nakłaniali do zemsty i kłótni. Młody jesteś, Olafie, a już inni wciągnęli cię w krwawą zbrodnię, sam zaś zabrnąłeś w spór i zwadę. Niech Bóg będzie z tobą, abyś został człowiekiem pokoju, gdy już sam będziesz sobą kierował.

Olaf zgiął kolano i ucałował na pożegnanie rękę biskupa. Biskup zjrzał mu w twarz, uśmiechnął się słabo:

– Wyglądasz na kłótnika, tak, tak. Bóg i Jego miłosierna Matka niech cię strzegą, abyś nie stał się człowiekiem hardego serca.

Podniósł rękę i przeżegnał młodzieńca. Już w drzwiach odwrócił się i roześmiał:

– Zapomniałem jeszcze o jednym: podziękować ci za pomoc. Asbjörn, zowią go Allfeitem, opowiadał mi, żeś już w niejednym przydał mu się na dworze. Dzięki ci za to.

Dopiero wieczorem, kiedy Olaf leżał i bliski był zaśnięcia, jak błyskawica przeszła go myśl: to, co powiedział biskupowi o sobie i Ingunie, niezupełnie zgadzało się z prawdą. Prędko odsunął od siebie te skrupuły; właśnie teraz nie miał ochoty wspominać ostatniego lata i jesieni, nocy w komorze i tych wszystkich spraw.

Bardzo mu się podobało na biskupim dworze i z każdym dniem czuł się tu lepiej, pośród starszych od siebie mężczyzn, którzy o oznaczonej porze i godzinie spełniali wyznaczoną sobie robotę.

Olaf chodził w krok za Asbjörnem Allfeitem, gdziekolwiek tamten przebywał. Mieszkali na poddaszu we czterech; oprócz Olafa, Arnvida i Asbjörna spał tam pewien młody ksiądz, który uczęszczał do szkoły z Arnvidem; był znacznie od nich starszy – miał około trzydziestu lat. Arnvid chodził do kościoła i śpiewał wraz z księżmi godzinki, wystarał się nawet o księgę, z której uczył się jeszcze w szkole. Po rannym posiłku siedział nad nią i czytaniem skracał sobie czas. Siedział na brzegu łoża i czytał pierwsze rozdziały: *De arte grammatica* i *Nominale*. Olaf leżał i przysłuchiwał się: aż dziw, ile różnych nazw mieli ci Rzymianie dla oznaczenia jednego słowa. Na przykład morza. Na końcu książki było kilka wzorów, wedle których można było ćwiczyć się w sztuce pisania.

Arnvid zabawiał się wypisywaniem liter i sentencji podług starych wzorów. W zimnej izbie żmudna to była robota i palce jego nie były już tak giętkie jak za młodu. Pewnego dnia wypisał wreszcie:

*Est mala scriptura quia penna non fuit dura.*

Ale gdy odłożył księgę i wyszedł, ksiądz Asbjörn wziął ją i dopisał z brzegu:

*Penna non valet dixit ille qui scribere nescit.*<sup>[19]</sup>

Olaf uśmiechnął się dobrodusznie dowiedziawszy się, co to znaczy.

Asbjörn Allfeit odprawiał mszę wcześniej rano i Olaf udawał się z nim zwykle do kościoła. Ksiądz Asbjörn był zwykle zwolniony od służby w prezbiterium i czytał pacierze z modlitewnika, – tam gdzie z racji swego urzędu właśnie przebywał. Miał wiele roboty z zapisywaniem dochodów i wydatków siedziby biskupiej, pobierał dziesięcinę i czynsze dzierżawne, opłacane towarami, oraz porozumiewał się z ludźmi. Nauczył Olafa szacowania towarów wedle ich jakości oraz sposobu ich najlepszego przechowywania; wyłożył mu prawo handlowe i przepisy dotyczące dziesięcin i pokazał, jak należy posługiwać się tabliczką rachunkową. Jezioro Mjös po tej stronie nie było jeszcze pokryte lodem, ludzie przybywali zatem do miasta łodziami. Ksiądz Asbjörn zabierał nieraz Olafa na małe przejażdżki; odkupił także od niego dwie klamry, tak że chłopak po raz pierwszy w życiu miał nieco gotówki w sakiewce.

W ten sposób Olaf nieczęsto widywał Ingunę. Dotrzymał słowa  
[19] *Est mala scriptura...* – „Złe pisanie, bo pióro na nic.” (Przyp. tłum.) *Penna non valet...* – „I pióro nie pomoże, gdy kto pisać nie umie.” (Przyp. tłum.)

danego biskupowi, nie próbował spotykać się z nią poza kościołem, ona jednak przychodziła zazwyczaj na jedną z późniejszych mszy, Olaf zaś najchętniej słuchał pierwszej. Arnvid zachodził często do dworu, gdzie mieszkały córki Steinfinna. Od niego dowiedział się Olaf, że pani Magnhilda była zagniewana na bratanicę; jej zdaniem Inguna pozwoliła się uwieść, ale dziewczyna odpowiedziała jej bardzo ostro. Pan Torfinn okazał wiele łaskowości w rozmowie z Inguną i Torą – kazał obydwie zawezwać pewnego dnia. Olafa nie było jednak wówczas na biskupim dworze; wybrał się tego dnia z Asbjørnem na wyspę Helge.

Niewiele również mogli mówić ze sobą podczas spotkań w kościele i potem, kiedy odprowadzał ją kawałek drogą, koło kościoła Zbawiciela. Sam jednak uważał, że tak jest najlepiej, choć czasem tęsknił za tym, by trzymać ją znów w ramionach – gibką i smukłą, ciepłą i kochaną. Odtrącał od siebie tę myśl; nie czas teraz na podobne rzeczy. Mają przed sobą jeszcze wszystkie przyszłe lata, by żyć jak dobrzy, miłujący się przyjaciele. Nie wątpił ani przez chwilę, że biskup Torfinn pomoże mu osiągnąć to, co mu się prawnie należy.

Poza tym odczuwał jakąś dziwną niechęć do myślenia o swym życiu w czasie ostatnich miesięcy. Obecnie myśl o dniach, które minęły, była osobliwie nierzeczywista, nieprawdopodobna niemal. Noce z Inguną w komorze, w oszołamiającej ciemności, przeżywał i czuł wszystkimi rozbudzonymi zmysłami prócz jednego zmysłu: widzenia. Tak, taki mrok panował przecież w komorze, że równie dobrze mógłby być ślepcem... Potem, za dnia chodził gderliwy i śpiący, w pustej, zmęczonej głowie czuł tylko napięcie w obliczu niepewności i groźby czającej się nad nimi. Zawsze gdzieś głęboko w jego duszy tlił się niepokój; nawet gdy w danej chwili nie czuł, co gnębi jego sumienie, wiedział i tak, że to coś złego, co wkrótce się przypomni. Nawet wówczas, kiedy był sam na sam z Inguną, nie mógł się pozbyć przykrego uczucia, że coś jest nie w porządku. I w

takich chwilach czuł do niej żal, dziewczyny bowiem nie dręczyła wcale obawa ani żadne wątpliwości; nużyła go trochę jej obecność, bo zawsze żądała, żeby był wesół, w dobrym humorze i żeby ją pieścił cały czas.

O nie, nie martwił się tym, że jakiś czas musi wieść życie, w którym nie było miejsca na kobiety i tajemną miłość.

Olaf nieczęsto również widywał biskupa. O ile tylko urząd mu na to pozwalał, pan Torfinn żył według reguły zakonu, do którego wstąpił w młodości. Jego sypialnia znajdowała się nad rozmównicą, w niej pracował, modlił się i przyjmował większość posiłków. Z tego pokoju prowadziły schody na dół do kaplicy, gdzie biskup odprawiał ranną mszę, a z ganku położonego nad izbą, na górnym piętrze kamiennego domostwa, wiódł kryty krużganek do jednej z kaplic kościoła Zbawiciela. Wielu ludziom na biskupim dworze nie podobało się, że tak skromnego mnicha dostali za pana; poprzednik, biskup Gilbert, prowadził dom niczym udzielny książę, a mimo to był bogobożnym kapłanem i gorliwym duszpasterzem.

Ksiądz Asbjörn mówił, że lubi obecnego biskupa, lecz dawnego wołał; biskup Gilbert był człowiekiem pełnym radości, znakomitym skaldem, a także świetnym jeźdźcem i łowcą.

Olaf jednak sądził, że nie widział dotąd nikogo, kto by siedział w siodle piękniej i swobodniej od pana Torfinna. Dom zaś prowadzony był po wielkopańsku, chociaż sam biskup żył bardzo skromnie; każdego gościa przybywającego na dwór podejmowano dostatnio i godnie, każdy człowiek z czeladzi dostawał codziennie piwo, a w niedzielę miód. W gościnnej izbie biskupa podawano do stołu wino i gdy pan Torfinn jadał z gośćmi, których szczególnie chciał uczcić, kazał stawiać przed sobą wielki srebrny puchar. Podczas posiłku podczaszy musiał stać obok poczesnego miejsca i na skinienie biskupa napełniać ów kielich. Piękny to był widok,

myślał Olaf, kiedy pan Torfinn ujmował puchar i upiwszy z niego parę kropel uprzejmie skłaniał się w stronę tego, do którego przepijał, po czym nakazywał gościowi podać kielich.

Wieczorem tego dnia, kiedy na biskupim dworze bawił Tore Bring z Vik, Olafa spotkał zaszczyt: biskup przepił do niego. Po wieczerzy pan Torfinn kazał przywołać go z jego miejsca na szarym końcu stołu; musiał podejść i stanąć przed krzesłem biskupa. Pan Torfinn podniósł puchar do ust, upił i podał go Olafowi; naczynie było lodowate w dotknięciu, a wino na dnie srebrnego, lśniącego kielicha miało barwę jasnozieloną. Napój był cierpki i kwaskowaty; lekko szczypał podniebienie chłopca, ale smakował wybornie, był orzeźwiający, rozlewał się po ciele dziwnym, jakby uroczystym ciepłem – prawdziwy trunek mężów. Gdy biskup zapytał z uśmiechem: Może wolisz miód, Olafie? – chłopiec potrząsnął głową. Potem pan Torfinn zapytał, jak podobało mu się tego dnia nabożeństwo – rano odbyła się uroczysta msza i procesja – i prosił Olafa, by raz jeszcze się napił.

– No, radujesz się chyba, Olafie? Sądzę, że możemy być zadowoleni z tego, co oświadczył Tore.

Od pani Magnhildy nie potrafił biskup wydobyć nic pewnego, nie chciała wypowiedzieć się jasno o wypadkach na owym tingu. Owszem, wydaje jej się, że brat przez jakiś czas myślał o małżeństwie Olafa z jedną ze swych córek – przez pewien czas na pewno – ale ta rzecz nie została ostatecznie ułożona. Tore z Vik natomiast oświadczył, że wie o tym z całą pewnością – Steinform i Audun zawarli owego wieczora umowę dotyczącą dzieci. Podali sobie ręce dla jej przypieczętowania, a Tore był tym właśnie, który przybił ich złożone dłonie. Wymienił również trzech czy czterech mężów będących świadkami tego wydarzenia i – jak mu wiadomo – żyjących po dziś dzień. Nie wiedział nic bliższego o układzie dotyczącym warunków majątkowych, lecz słyszał, jak w kilka dni później

obaj ojcowie mówili o tym; przypominał sobie nawet, że Audun syn Ingolfa nie chciał słyszeć o równym podziale dóbr, jeżeli Steinfinn nie zwiększy posagu córki: „Mój syn będzie o wiele bogatszy, niż sądzisz” – powiedział Audun.

W czasie adwentu Arnvid pojechał na jakiś czas do swego dworu w dolinie. Towarzyszył mu Einar i Olaf, który nie był tam od czasu dzieciństwa. Teraz przybył jako druh Arnvida i równy mu zupełnie, rozglądał się bacznie dokoła i mówił o niejednym jak człowiek, który sam zna się na wielu sprawach. Matka Arnvida rządziła tu samowładnie. Przyjęła Olafa z otwartymi ramionami, ponieważ obalił plany Kolbeina dotyczące Inguny; nienawidziła z całego serca Kolbeina i wszystkich dzieci spłodzonych przez jej krewnego z nałożnicą. Pani Hillebjörga była pomimo swego wieku dumną i urodziwą niewiastą, lecz pomiędzy nią a synem stosunki były raczej chłodne. Arnvid miał trzech jasnowłosych, ładnych synków.

– Podobni są do matki – mówił. I Olaf z radością myślał o tym, jak to on sam zostanie panem na Hestviken.

Krótko przed Bożym Narodzeniem dwaj przyjaciele wrócili do miasta; Arnvid chciał tam obchodzić święta.



W przedwieczorz Wigilii Olaf otrzymał wezwanie, aby stawić się przed biskupem.

Na pulpicie w głębokim wykuszu okiennym płonąła świeca; mała kamienna komnata sprawiała w nikłym blasku wrażenie miłej i przytulnej. Znajdowała się tu tylko skrzynia z książkami oraz ławy pod ścianami. Na jednej z ław biskup sypiał i przyjmował posiłki; nie miał ani łoża, ani stołu. Prócz tego stał tu jeszcze niski zydeł, na którym siadał zwykle pisarz z pulpitem na kolanach, kiedy biskup dyktował mu listy. Ilekroć Olaf bywał w alkowie biskupa, pan Torfinn wskazywał mu ów zydeł. Olaf lubił siadywać u jego stóp, łatwo mu było wtedy mówić z nim jak z rodzonym ojcem.

Tego zaś wieczora pan Torfinn podszedł tylko i stanął przed nim z rękami oplecionymi szkaplerzem.

– Synowie Torego mają tu przybyć trzynastego dnia po świętach, Olafie. Wezwałem ich i obiecali, że przyjadą. Teraz więc z Bożą pomocą zakończymy tę sprawę.

Olaf skłonił się w milczeniu, z napięciem spojrzął w twarz biskupa. Pan Torfinn wydał wargi, kilkakroć pokiwał głową:

– Jeśli mam być szczery, mój synu, nie wydają się oni zbyt pochoptni do zgody. Mówili o tym z moimi wysłannikami, że przyjąłem od ciebie grzywnę za udział w morderstwie i pozwoliłem ci uczęszczać na mszę; domagali się więc, abym z nich również zdjął klątwę przed Bożym Narodzeniem. Przy spotkaniu pomówimy i o tym. Rozumiesz jednak, są oburzeni, że nie potraktowałem cię jak zbrodniarza i gwałciciela – roześmiał się krótko i gniewnie.

Olaf patrzył na biskupa i czekał.

– Wiedz o tym, że dobrze nie postąpiłeś – ale jesteś młody i pozbawiony opieki swych krewnych. A ci podpalacze, co chcą uszczuplić prawa dwojga osieroconych dzieci... Chyba nie stracisz otuchy – rzekł, klepiąc Olafa po ramieniu – jeśli będziesz musiał skłonić się nisko przed stryjami Inguny? Wiesz dobrze, chłopcze, żeś ich obraził. Jeśli będzie w mojej mocy zapobiec temu, nie spotka cię z ich strony bezprawie.

– Uczynię, jak każecie, panie i ojciec – odparł Olaf trochę przygnębiony. Biskup spojrzał na niego, uśmiechnął się przelotnie.

– Nie będzie ci zapewne miło ugiąć karku przed nimi – nie, nie... A teraz, jeżeli chcesz udać się do kościoła, możesz iść przez krążganek.

Biskup Torfinn skinął głową i podał mu rękę do ucałowania, na znak, że rozmowa skończona.

Braciszkwowie z chóru odśpiewali już połowę pieśni przypadających na nieszpory. Olaf przyklęknął w kącie, podsunąwszy poły skórzanego płaszcza pod kolana, a czapkę zasłonił oczy, by skupić lepiej myśli.

Był podniecony. To dobrze, że rozstrzygnięcie, miało niebawem nadejść. Tęsknił za tym, by wydobyć się z niepewności. Szedł jakby drogą w mroku, gdzie każdej chwili mógł się potknąć i obu nogami wpaść w grzęzawisko. I to napełniało go przerażeniem. Ale Kolbeina i tamtych się nie bał. Teraz wszelka dwuznaczność i nieudomówienia miały się skończyć; sprawa jego zostanie rozstrzygnięta. Wkrótce skończy siedemnaście lat; schlebiało mu, że jest główną osobą sprawy. Miał wrażenie, jak gdyby okrzepł w czasie pobytu na biskupim dworze, po tych wszystkich gnuśnych latach w Frettastein pośród leniwych pachołków, gadatliwych niewiast i dziecinnych zabaw. Samopoczucie jego poprawiało się z każdym dniem spędzonym tutaj, gdzie nie było bab ani plotek, sami tylko dojrzały mężczyźni, od których mógł się uczyć i których uwielbiał z młodzieńczym zapalem. Duszę jego przepełniała radość na myśl o tym, że ksiądz Asbjörn ma w nim niemałą pomoc i że

biskup okazuje mu ojcowskie współczucie.

Skończywszy modlitwę usiadł w kąciku, by wysłuchać pieśni do końca. Siedział i rozmyślał nad tym, co Asbjörn Allfeit opowiadał mu niedawno o sztuce rachowania, o Istocie Boga, która się objawia w istocie liczb, przez ład i prawo, jakie nimi rządzą. *Arytmetyka*, myślał w duchu, to brzmi tak pięknie, a to, co ksiądz mu wyłożył o współdziałaniu liczb – w jaki sposób się mnożą i dzielą według mistycznych i niezachwianych reguł – było niejako spojrzeniem w jeden z wyroków Niebieskiego Władcy. Cały wszechświat wisiał na złotych łańcuchach liczb, a aniołowie i duchy szybowały tam i na powrót po ich ogniwach. Serce chłopca wezbrało tęsknotą, aby i jego życie, niby owo złote ogniwo, niby rachunek bez błędu, spoczęło kiedyś w rękę Boga: kiedyś, gdy to, co ciąży na nim teraz, zostanie wymazane, jak fałszywe nacięcie na kiju do karbowania.

Msza o północy, msza anielska, była piękniejsza od wszystkiego, co Olaf mógł sobie wyobrazić. Cały ogrom kościoła pogrążony był w mroku, jedynie w prezbiterium, dokoła głównego ołtarza, jarzyło się tyle świec niskich i wysokich, że tworzyły jakby mur żywych płomieni. Łagodny, przyćmiony blask bił od przetykanych złotem ałasów, błyszczało białe płótno; wszyscy księża przywdziali tej nocy brokatowe i jedwabne szaty, inni zaś śpiewacy narzucili płócienne komże i trzymając świece w rękach stali dokoła wielkich ksiąg i śpiewali. Był pomiędzy nimi także Arnvid oraz wielu znacznych mężów z okolicznych dolin, którzy za młodu uczęszczali do szkoły. Kościół był pełen kadzidlanej woni jeszcze od wieczornej procesji; siwe, pachnące kłęby falowały przed ołtarzem. A gdy chór mężów i pacholąt zaintonował Gloria, zdawało się, że to aniołowie podejmują tony i śpiewają w nocnym mroku, wysoko w górze pod sklepieniem.

Oblicze biskupa Torfinna jaśniało jak alabaster, gdy siedział na tronie w pozłocistej kapie, w mitrze na głowie i z pastorałem w ręku. Teraz rozdzwoniły się wszystkie dzwonki mszalne, wszyscy, co dotąd stali lub siedzieli, padli na kolana, z zapartym tchem wyczekując Przeistoczenia, które tej nocy wraz z Narodzeniem Boga miało się dokonać pośród ludzi. Olaf czekał pełen tęsknoty; modlitwa jego zlała się w jedno z tęsknotą do prawego życia i nie obarczonego grzechem sumienia.

Po stronie niewieściej błysnęła mu na mgnienie oka Inguna. Lecz nie wyszedł za nią po mszy. Podczas gdy chór śpiewał *Laudes*, Olaf wyszukał sobie miejsce na cokole kolumny i otulony płaszczem siedział i marzył trochę, od czasu do czasu zapadając w drzemkę, póki księża nie opuścili prezbiterium.

Na zboczu poniżej cmentarza dogorywał żar w wypalonym stosie łuczywa, które porzucili tu ludzie idący na nabożeństwo. Olaf podszedł, by się ogrzać; był przemarznięty i ziewał po tylu godzinach spędzonych w kościele. Wokół na placu śnieg stał się brunatny, a czarnoszkarlatny stos wciąż jeszcze promieniował silnym ciepłem. Obok zatrzymywało się wielu ludzi. Olaf dostrzegł Ingunę, była sama; stała odwrócona do niego plecami. Podszedł i przywitał ją.

Odwróciła się lekko, odblask żaru padł na białe płótno wystające spod kaptura i zabarwił je purpurowo. Wydała mu się trochę obca w tym niewieścim stroju; nie mógł oswoić się z myślą, że dziewczyna ma tak chodzić i wyglądać poważnie i czcigodnie tylko dlatego, że on walczy o to, by osiągnąć prawo i uznanie i być wreszcie dorosłym.

Podali sobie ręce i życzyli wzajemnie wesołych świąt. Potem rozmawiali chwilę o pogodzie. Mróz był niewielki, a powietrze lekko zamglone, tylko kilka gwiazd błyszczało na niebie – niewiele jednak, bo mgła unosiła się w powietrzu, jako że tutaj jezioro nie zamarzło jeszcze.

Tora zbliżyła się ku nim i Olaf przywitał ją pocałunkiem. Nie mógł

zdobyć się na to, by ucałować także Ingunę – była mu zbyt bliska i jednocześnie zbyt daleka, aby mógł ją uściskać jak brat.

Tora podeszła zaraz do znajomych, których spostrzegła. Inguna nie odzywała się prawie zupełnie, stała w milczeniu i cały czas patrzyła w inną stronę. Olaf pomyślał, że może powinien teraz odejść, że może to niedobrze, że tu stoją razem. Wtem Inguna wyciągnęła rękę i nieśmiało ujęła połę jego płaszcza.

– Czy nie mógłbyś pójść ze mną, porozmawialibyśmy trochę?

– Owszem, mogę. Idziesz do domu?

Wszędzie posuwały się ciężkie, okutane w futra postacie, ciemne na jasnym tle śniegu, schodzące po ciemnych ulicach w dół – ludzie szli do domów wypocząć nieco przed następną mszą. Śnieg zwiślał wielkimi czapami z dachów, płotów i drzew. Gałęzie i ściany wyglądały jak niespokojne czarne plamy na śniegu. Ciemność nocy wigilijnej spowijała małe miasteczko, ludzie sunęli cicho jak spłoszone cienie, śpieszyli do domów. Tu i ówdzie otwierały się jakieś drzwi i trochę światła padało na śnieżne zasy na podwórzach i ulicach. Z dymników unosił się i pachniał dym, niewiasty wieszały kociołki ze świąteczną strawą nad ogniem. Snop światła płynął z rozwartych na oścież wrót kościoła Świętego Krzyża; kilku starców ze szpitala wlokło się do świątyni, miano tam teraz odprawić mszę.

Olaf i Inguna weszli w ciasne przejście za kościołem. Nie spotkali tu żywej duszy; pod drzewami było bardzo ciemno, droga była uciążliwa po nie wydeptanym śniegu.

– Wtedy, gdy szliśmy tędy latem – odezwała się Inguna wzdychając – nie sądziliśmy, że będzie nam tak trudno.

– Nie, tego nie mogliśmy przewidzieć.

– Czy nie możesz wejść ze mną na chwilę? – spytała, kiedy stanęli na podwórzu domu. – Wszyscy od nas poszli do kościoła Świętego Krzyża.

– Owszem.

Weszli do izby ciemnej jak węgiel. Lecz Inguna odgarnęła popiół na palenisku i dołożyła polan. Zdjęła okrycie, a gdy uklękła i pochyłona rozdmuchiwała żar, długie, białe końce chusty spadły aż do połowy pleców.

– Tutaj śpię ja i Tora – rzekła odwrócona do niego plecami. Wzięła kociołek i powiesiła go nad paleniskiem. – Przyrzekłam im, że ugotuję strawę.

Olaf zauważył, że izba jest kuchnią dworu; wszędzie stały gospodarskie naczynia. Inguna krzątała się i kręciła po izbie w chybotliwych blaskach ognia, smukła, wysoka i młoda w swej ciemnej sukni i białym czepku. Było w tym coś nierzeczywistego, jakby zabawa. Olaf usiadł na brzegu łoża i przypatrywał się jej nie wiedząc, co powiedzieć, na domiar był teraz taki senny!

– Czy nie mógłbyś mi pomóc? – poprosiła Inguna; krajała właśnie mięso i słoninę w dzieży koło ogniska. Była to część pieczystego i dziewczyna nie mogła rozkroić jej nożem. Olaf wyszukał małą siekierkę, rozrąbał kości i poćwiartował mięso.

Podczas gdy byli tym zajęci, szeptała klęcząc przy kociołku:

– Takiś milczący, Olafie! Czyś nierad? – A gdy zaprzeczył ruchem głowy, szepnęła ciszej: – Już tak dawno nie byliśmy sami, we dwoje. Myślałam, że ucieszysz się...

– Wiesz chyba dobrze... Czyś słyszała, że twoi stryjowie mają tu przybyć trzynastego dnia po świętach? – zapytał. Potem przemknęło mu przez głowę, że ona może to uważać za odpowiedź na pytanie, czemu jest niezadowolony. – Nie masz potrzeby się obawiać – rzekł prędko. – Nie mamy potrzeby bać się ich.

Inguna podniosła się, stała wpatrzona w niego z otwartymi ustami, lekko dysząc. Potem uczyniła taki ruch, jak gdyby chciała rzucić mu się w

ramiona. Olaf pokazał ręce – były pobrudzone tłuszczem i solanką.

– Chodź tutaj, obetrzyj je o skórę na łożu... – Podsunęła kocioł w stronę ognia. – Możemy poleżeć chwilę, zanim się zagotuje.

Olaf zdjął buty i rozpiął płaszcz. A kiedy położył się obok niej, nakrył nim siebie i ją. Po chwili przyłgnęła do niego całym ciałem, płonąca twarz przytuliła do jego policzka, oddech jej łaskotał go w szyję.

– Olafie, nie pozwolisz chyba, żeby mnie wzięli z sobą i rozłączyli nas!

– Nie. Nie mają zresztą prawa. Ale wiesz chyba, że Kolbein każe sobie niemało zapłacić za ugodę ze mną.

– Czy to dlatego – szepnęła i przycisnęła się mocniej do niego – czy dlatego mniej ci zależy teraz na mnie?

– Miłuję cię tak samo, jak miłowałem cię zawsze – wymruczał zdławionym głosem usiłując wsunąć rękę pod jej szyję; przeszkadzała mu chustka na głowie.

– Czy zdjąc ją? – spytała spieszenie.

– Ach nie, trudno ci potem będzie zawiązać ją znowu.

– Już miesiąc mija, a przez ten cały czas nie widzieliśmy się prawie – wyszeptwała z żalem Inguna.

– Inguno, pragnę jedynie twojego dobra – w tej chwili przypomniał sobie, że już raz mówił to samo, kiedy, nie pamiętał.

„Że też ta dziewczyna nie ma więcej rozumu – myślał nieszczęśliwy – że też nie pojmuje, iż wiedzie mnie na pokuszenie...”

– Tak, ale mnie tak strasznie tęskno za tobą. Te kobiety tutaj są miłe i dobre, ale ja tęsknię za tym, aby być z tobą.

– Tak. Ale... dziś taka święta noc. Niedługo pójdziemy znowu na mszę – poczerwieniał w ciemności ze wstydu, słysząc własne słowa. O czymś takim nie powinien człowiek nawet myśleć. Prędko podniósł się w mroku, ucałował jej zamknięte oczy czując, jak powieki drżą i trzepocą;

pod jego ustami lży trysnęły jej z oczu i zwilżyły mu wargi.

– Nie gniewaj się – błagał. Potem odsunął się na sam brzeg łoża, położył się twarzą ku izbie i wpatrzył w ogień. Dręczony niepokojem serca i krwi leżał i nasłuchiwał, czy dziewczyna porusza się, czy płacze. Zachowywała się cichutko jak mysz. Wreszcie posłyszał, że zasnęła. Wstał, włożył buty i płaszcz, przykrywszy przedtem Ingunę skórą. Marzył, czuł senność, był zgnębiony i wyczerpany długim postem. W kotle gotowało się jedzenie i pachniało tak przyjemnie, że chłopca aż mdliło w żołądku.

Na dworze było teraz zimniej, śnieg skrzypiał pod stopami i ścinał się szron. Ludzie zdążali znów powoli ku kościołowi. Olaf drżał lekko pod futrzanym okryciem. Był tak znużony, że nie miał prawdziwej ochoty iść na mszę; wolałby pozostać w domu i spać.

A przecież tak bardzo cieszył się na myśl o tej nocy Bożego Narodzenia i trzech nabożeństwach – jednym piękniejszym od drugiego, jak mu opowiadano.



Aż do dnia przybycia stryjów Inguny Olaf przebywał przeważnie na biskupim dworze i chodził niewiele dalej niż do kościoła. Dzień po dniu odprawiano teraz wspaniałe nabożeństwa, a na dwór z powodu świąt zjeżdżali liczni goście; księża i służba świecka mieli huk roboty, Olaf więc spędzał czas przeważnie sam. Raz tylko mówił z biskupem, kiedy dziękował mu za noworoczny upominek. Pan Torfinn podarował mu długi, aż do stóp sięgający kaftan z brązowego sukna, obrzeżony pięknym czarnym futerkiem wydry. Był to pierwszy strój Olafa, odpowiedni i stosowny dla dorosłego młodzieńca i to, że czuł się teraz ładnie ubrany,



wpływało dobrze na jego samopoczucie. Bo Arnvid pożyczył mu pieniędzy i Olaf kupił sobie piękny płaszcz podbity tumakami, długie pończochy, buty oraz inne drobiazgi.

Dowiedział się od Asbjörna Allfeita, że biskup otrzymał odpowiedź od ludzi, którzy z jego polecenia jeździli do krewnych Olafa, by usłyszeć, co wiedzą o jego sprawach. Biskup nie był zadowolony z tej odpowiedzi. Tyle tylko było pewne, że Steinfinn nigdy nie objął opieki nad Olafem w sposób prawny i wiążący, a mimo to nikt z rodu Olafowego nie zapytał o dziecko, ani też nie zażądał jego powrotu z Frettastein.

– Tak, nasz wielebny ojciec nie szczędził trudów ani kosztów dla ciebie, Olafie – dodał ze śmiechem Asbjörn. – Teraz wezwał tu twych krewnych z Tveit, ten z Hestviken jest sparaliżowany i do niczego. Mężowie z Tveit muszą wyrazić zgodę na twój ożenek, zanim stanie się on prawomocny. Oświadczyli proboszczowi ich parafii, który mówił z nimi w imieniu pana Torf inna, że jeśli synowie Torego życzą sobie tego małżeństwa, muszą ci sami ofiarować uwiedzioną dziewczinę – tak, tak, to są ich słowa, nie moje – i w dodatku z takim posagiem, żebyś był zupełnie zadowolony. Nigdy jednak nie dadzą zezwolenia na to, abyś płacił krewnym Inguny większą grzywnę, niż im się prawnie należy. A wiesz przecież, że Ivar i Kolbein nie mogą przyjąć pojednania na takich warunkach; byłoby to dla nich hańbą na całe życie.

– Wydaje mi się, że byłoby to hańbą dla mnie i dla Inguny! – odparł Olaf oburzony. – Wyglądałoby to tak, jakby dziewczyna była nałożnicą...

– Słusznie. I dlatego biskup jest zdania, że byłoby jedynym wyjściem, abyś pojechał za granicę i pozostał tam cztery lata, póki nie dojdiesz do pełnoletności i nie będziesz mógł sam prowadzić układów. Pan Torfinn sądzi, że powinienes pojechać do Danii i poszukać schronienia u krewnych ze strony matki. Czy wiesz, że tam, w Danii twoi krewni po kądzieli należą do najpotężniejszych wielmożów? Twój wuj, pan Barnim

syn Eirika na Hövding, jest podobno jednym z najbogatszych rycerzy w Zelandii. Olaf potrząsnął głową:

– Ojciec mojej matki zwał się Björn syn Andersa z Hvitaberg, a jedyny brat nazywał się Stig. Są podobno w Jutlandii.

– Pani Margreta była dwukrotnie zamężna. Björn był jej drugim małżonkiem, pierwszy natomiast nazywał się Eirik syn Eirika; posiadał on dwór Hövding w Zelandii. Czy naprawdę uważałbyś za największe nieszczęście, Olafie, gdybyś miał parę lat spędzić za granicą i przyjrzeć się obyczajom innych ludów – zwłaszcza jeśli tam miał zamieszkać u możnych i znamienitych krewnych?

Słowa Asbjörna skierowały myśli Olafa na nowe tory. Odkąd przybył na dwór biskupi, zrozumiał, że zna jedynie drobną, ciasną cząstkę świata. Mężowie Kościoła wysyłali listy i gońców na północ i południe, na wschód i zachód; w czasie krótszym niż sześć tygodni potrafili dowiedzieć się o ludziach, których by Olaf nigdy nie osiągnął!, bez względu na to, czy mieszkali oni w Islandii, czy w Rzymie. Biskupowi wiadomo było więcej o rodzie Olafa niż jemu samemu. W kościele znajdowały się świeczniki i księgi z Francji, jedwabne dywany z Sycylii, przysłane przez któregoś z papieży, tkaniny z Arras, relikwie męczenników i wyznawców wiary, którzy żyli w Anglii czy Azji. Asbjörn Allfeit opowiadał mu o wielkich szkołach w Paryżu i Bolonii, gdzie człowiek mógł nauczyć się wszystkich sztuk i mądrości świata; w Salerno na przykład uczono greckiej mowy oraz tego, jak uczynić ciało niewrażliwym na stal i truciznę. Asbjörn był synem kmiącym z Oplandii, a najdłuższą podróż, jaką odbył, wiodła na północ do kościoła Eyjabu, ale stale mówił o podróży za granicę; z pewnością uda mu się wyjechać, był bowiem człowiekiem obrotnym i ze wszech miar przydatnym.

Z Arnvidem synem Finna rozmawiał Olaf przeważnie wieczorami, kiedy kładli się spać, i rano, przy wstawaniu. Odkąd przybyli do Hamaru,

oddalił się nieco od przyjaciela. Arnvid zajmował się tutaj wielu rzeczami, na których Olaf się nie znał. Poza tym obcowanie z Arnvidem przywodziło mu na myśl tyle spraw przykrych i zawstydzających... Olaf odczuwał pewnego rodzaju skruchę czy wstyd, ile razy myślał o tym wszystkim, czego Arnvid stał się powiernikiem, częściowo dobrowolnie, częściowo zmuszony do tego, chociaż Olaf sam nie pojmował, jak mógł zmusić do czegoś człowieka o tyle od siebie starszego, męża bogatego i potężnego. Ale miał wrażenie, że w jakiś niepojęty sposób zadał przyjacielowi gwałt zarówno wtedy, gdy go namówił do szukania pierścienia, jak i później, kiedy Arnvid milczał o tej sprawie, a także gdy milczał, mimo że wiedział o nocnych schadzkach z jego młodą krewną. To ostatnie potępiłoby nie tylko synowie Torego... Arnvid brzydką plamą obciążył swoją cześć, a na to nie zasługiwał. I Olaf wiedział, że Arnvid przeżywa wszystko bardzo ciężko. Dlatego nie czuł się teraz dobrze w jego towarzystwie.

Za to w towarzystwie księdza Asbjörna czuł się spokojnie i pewnie. Był on wytrwałym i gorliwym pracownikiem, zawsze zrównoważonym, czy to odmawiał pacierze, czy doglądał solonych skór. Jego długa, chuda, końska twarz była nieporuszona, a głos brzmiał zawsze jednakowo, oschle i wyraźnie. Olaf towarzyszył mu, gdy odprawiał mszę, gdy pilnował ważenia towarów, gdy badał, czy naprawdę przegniło belkowanie w oborze jednego z wydzierzawionych folwarków biskupa; rozmyślał wówczas o swym własnym życiu, kiedy wreszcie przybędzie na Hestviken i będzie pływał na własnych łodziach; wyobrażał sobie nadbrzeżne pomosty, stajnie i szopy wyładowane towarami i mimo woli marzył o tym, by we wszystkim naśladować przyjaciela.

Wspomnienia godzin spędzonych z Inguną w noc wigilijną spotęgowały ponownie tęsknotę za nią. Myślał o tej dziewczęco wiotkiej, w niewieście szaty odzianej małżonce, jak klęczała przed paleniskiem, rozdmuchując żar, jak kręciła się po kuchni w migotliwym świetle

krzątając się między ławami, misami i ogniem. Tak właśnie pragnął leżeć w mroczne poranki zimowe we własnym łożu w Hestviken i patrzeć, jak Inguna roznieca ogień na palenisku w jego domu. Przypominał sobie jej rozpalone, oddane mu ciało, kiedy leżeli obok siebie i wypoczywali w mroku... Gdy zamieszkają w Hestviken, będą spać razem w łożnicy panów tego domu – gospodarz i gospodyni we dworze. Wolno mu wtedy będzie wziąć ją w ramiona, ilekroć mu przyjdzie na to ochota, co wieczór będzie mógł leżeć i gwarzyć z nią o wszystkim, co go spotkało w ciągu dnia i snuć plany na przyszłość. I nie będzie musiał lękać się tego, czego do tej pory bał się jak największego nieszczęścia: jeśli urodzą się dzieci, zwiększy to jeszcze ich szczęście i znaczenie. Nie będzie wówczas ostatnim potomkiem ginącego rodu bez żadnego znaczenia, lecz sam, niby pień, da początek jego gałęziom.

Teraz zaś słowa księdza Asbjörna zaszczyliły w nim nową, nieznaną myśl. Nigdy nie sądził, że dane mu będzie wyjechać w świat i rozejrzeć się po nim. Daleko, daleko w świat – Niemcy, Anglia, Dania; było to przecież prawie to samo dla chłopca, który nie odbył nigdy dalszej drogi jak z Fretastein do Hamaru, nie marzył nigdy o dalszych podróżach jak do Hestviken i z powrotem dla rybołówstwa i handlu. Był gotów przyjąć bez szemrania przeznaczony mu los i byłby szczęśliwy, ale trwało to tylko dopóty, dopóki nie zrodziła się w nim myśl, że może być inaczej. Teraz jednak... Miał wrażenie, że ofiarowano mu dar – przez cztery lata rozglądać się po świecie i zaznać przygód, widzieć obcych ludzi i obce kraje... i to wszystko w chwili, gdy zaczął pojmować, jak nieznanym i skromnym zakątkiem są okolice, w których, jak przypuszczał, będzie przebywał całe życie. A w dodatku dowiedział się, że po kądzieli pochodzi od możnych ludzi; dowiedział się o tym właśnie teraz, kiedy synowie Torego chcieli go jakby pomniejszyć, a pozory wskazywały na to, że jego krewni po mieczu nie chcą, czy nie potrafią bronić jego

praw. W Danii natomiast wystarczy, by udał się prosto na najmożniejszy i najpotężniejszy dwór rycerski i oświadczył włodyce: jestem synem twojej siostry Cecylii... Pewnego wieczora Olaf wyjął sygnet matki i włożył go na palec: póki nie pogodzi się z krewnymi Inguny, może go równie dobrze sam nosić. A mały złoty krzyżyk na połączanym łańcuszku zawiesił sobie na szyi i ukrył go na piersi pod koszulą – matka przywiozła go podobno z rodzicielskiego domu. Najlepiej mieć teraz we własnym przechowaniu rzeczy, które mogłyby w koniecznym razie posłużyć za dowód. Cokolwiek się stanie, nie będzie już bezradny, chociażby wrogowie ciskali mu kłody pod nogi, a jego krewni tu w kraju nie mogli się za nim ująć.

Synowie Torego przybyli parę dni później, anizeli im biskup wyznaczył. Przyjechali: Kolbein z dwoma synami, Ivar syn Torego, oraz ich młody siostrzan, Hallvard syn Erlinga. Matka Hallvarda, Eagna siostra Kolbeina była także jednym z nieślubnych dzieci starego Torego. Hallvard bardzo rzadko przyjeżdżał na Frettastein, tak że Olaf zaledwie go znał. Lecz słyszał, że Hallvard jest skończonym głupcem.

Olafowi zabroniono przysłuchiwać się ich rozmowie z biskupem. Arnvid wyjaśnił mu przyczynę: ponieważ jego orędownicy nie stawili się, on sam nie może się również zjawić. Biskup prowadził układy nie w jego imieniu, lecz w imieniu Kościoła, który jedynie ma prawo wydać wyrok, czy małżeństwo jest ważne, czy nie. Olafowi nie podobało się to i niezupełnie rozumiał różnicę. Ale zarówno Arnvid jak i ksiądz Asbjörn byli obecni przy rozmowie.

Opowiadali potem, że Kolbein i Ivar byli z początku bardzo gburowaci. Najbardziej rozgoryczyło ich to, że pan Torfinn wysłał Ingunę z miasta na dwór przy kościele w Ottastad. Kolbein oświadczył, że tutaj, w Oplandii, nie zdarzyło się jeszcze, aby biskup hamarski rządził się jak

udzielny księżę; widać, że przybył z Nidaros<sup>[20]</sup>, tam bowiem księża robią wszystko, co chcą. Mimo to nawet i tam nigdy nie słyszano, aby biskup wziął stronę uwiedzionej dziewczyny, która uciekła od swych krewnych, aby ukryć hańbę i ująć karze, albo żeby brał pod swą opiekę gwałciela.

Biskup Torfinn odparł na to, że o ile mu wiadomo, Inguna ani nie uciekła z domu, ani też nie porwał jej Olaf syn Auduna; tylko Arnvid przywiózł oboje młodych tutaj i prosił, aby biskup zbadał sprawę i aby tymczasem zatrzymał chłopca i dziewczynę u siebie. Bracia Steinfinna sami prosili Arnvida, by został na Frettastein i opiekował się dziećmi i dobytkiem. Kiedy Arnvid zauważył, że Olaf skrzywdził najstarszą córkę, pociągnął chłopaka do odpowiedzialności za ten czyn. Wtedy właśnie wyszło na jaw, że tych dwoje nieletnich dzieci sądziło, iż same muszą dbać o to, aby układ zawarty w dzieciństwie przez rodziców nie został zerwany po ich śmierci; z tego powodu od śmierci Steinfinna żyli ze sobą jak ludzie poślubieni w przekonaniu, że nie popełniają nic zdroźnego. Arnvid postanowił więc przywieźć oboje do Hamaru, aby uczeni mężowie rozstrzygnęli, jak sprawa naprawdę wygląda.

Jedno jest pewne: odkąd Olaf i Inguna oddali się sobie w przeświadczeniu, że są prawowitym małżeństwem, żadne z nich nie ma już prawa poślubić nikogo innego. Tak samo jest pewne, że podobny ślub jest sprzeczny z ustawami krajowymi i kościelnymi i że kobieta traci prawo do posagu, schedy oraz pomocy krewnych dla siebie i dzieci albo dziecka, jeśli się okaże, że je poczęła. Od męża natomiast mogą jej opiekunowie żądać grzywny za to, że pogwałcił prawo; oboje też obowiązani są zapłacić Kościołowi grzywnę za znieważenie zapowiedzi

---

[20] Nidaros – Trondhjem, największe i najważniejsze z miast północnej Norwegii, stolica prowincji Trondelag, miejsce wiecznego spoczynku świętego Olafa (Olaf II), który zginął w 1030 r. pod Stiklestad w pobliżu Nidaros, broniąc swego kraju przed najazdem Duńczyków

kościelnych i prawomocnego zawarcia związku.

Potem jednak biskup prosił stryjów Inguny, aby pamiętali, że Olaf i Inguna są jeszcze dziećmi, nieświadomymi i nie obeznanymi z prawem, i że wyrosli w tej wierze, iż zostali sobie przeznaczeni na małżonków. Tore Bring z Vik oraz dwóch poważnych kmieci zeznało przed nim, biskupem, że Steinfinn syn Torego przyrzekł Audunowi synowi Ingolfa, iż jego córka Inguna będzie żoną syna Auduna, i są gotowi stwierdzić to pod przysięgą na Pismo Świąte. Arnvid zaś zaświadczył, że Steinfinn przed śmiercią mówił z Olafem o tej umowie, przy czym wyraził życzenie, aby stała się ona prawomocna. Z tych względów pan Torfinn prosi krewnych Inguny, by przyjęli ugodę na warunkach korzystnych dla obu stron: Olaf i Inguna mają paść do nóg synom Torego i prosić ich o przebaczenie, a prócz tego Olaf ma odpokutować za swą samowolę według uznania bezstronnych ludzi. Potem jednak, zdaniem biskupa Torfinna, synowie Torego postąpią najbardziej odpowiednio, jeśli pogodzą się z Olafem jak prawdziwi chrześcijanie i wielkoduszni ludzie i oddadzą mu żonę z takim posagiem, aby to powinowactwo nie przyniosło im wstydu, a Olaf nie stracił poważania w swych rodzinnych stronach wskutek ożenku, który by nie pomnożył ani jego znaczenia, ani majątku. W końcu prosił pan Torfinn braci, by pamiętali, że zajęcie się sierotami jest dobrym i miłym Bogu uczynkiem, natomiast uszczuplenie praw młodocianych sierot jest jednym z najcięższych grzechów, grzechem, który już tutaj, na ziemi woła o pomstę; przecież było życzeniem obu zmarłych, aby dzieci ich zostały małżeństwem.

Jeśli natomiast sprawa wygląda rzeczywiście tak, iż mogą stwierdzić, że Olaf nie był nigdy prawomocnie zaręczony z Inguną, a i teraz również nie mogliby dojść do porozumienia z opiekunami Olafa, wówczas nie pozostaje nic innego, jak wystąpić ze skargą przeciwko chłopcu. W tym wypadku biskup wyda im Ingunę, aby ją ukarali według ich uznania i

podzielili jej część dziedzictwa pomiędzy rodzeństwo, po czym krewni muszą ją utrzymywać i żywić. Lecz on rozkaże obwieścić we wszystkich biskupstwach Norwegii, że ci dwoje nie są wolni i póki żyją, nie mogą poślubić nikogo innego, tak by nikt trzeci, mężczyzna czy też kobieta, nie popełnił grzechu cudzołóstwa, poślubiając kogoś, kto według boskich zarządzeń jest już związany małżeństwem.

Ta ostatnia groźba poskutkowała, tak sądził zarówno Arnvid, jak ksiądz Asbjörn. Żaden ze stryjów nie kwapił się z wzięciem do swego domu Inguny, gdyby ją mieli żywić bez możliwości wydania za mąż. Kolbein rozwodził się wprawdzie długo nad tym, że Olaf wiedział doskonale, co on i brat sądzą o zrękowinach, znał również ich zamiary dotyczące Inguny, ale ostatecznie przyrzekł pogodzić się z Olafem przez wzgląd na biskupa. O warunkach pojednania nie chce jednak mówić wcześniej, zanim nie doprowadzi do ładu dawnej umowy zaręczynowej i nie rozmówi się z Ingolfem synem Helgego na Tveit, lub z którymś z krewniaków Olafa, upoważnionym do rokowań w zastępstwie chłopca. Biskup podkreślił, że jest niemal pewien, iż wtedy, na owym tingu ustalono *sponsalia de futuro*; jeśli zatem synowie Torego wyrażą zgodę na to, co się już stało, Olaf może sam się z nimi układać i na pewno okaże wielką ustępliwość. Kolbein jednak sprzeciwił się temu stanowczo: nie chcą ciągnąć dla siebie korzyści z nierozwagi chłopca, pragną porozumieć się z krewnymi Olafa, tak aby spór został zakończony z honorem i przyzwolicie dla ich młodej krewniaczki.



Na odwieczerz następnego dnia Arnvid i Olaf wybrali się razem do klasztoru. Arnvid obiecał podarować mnichom trochę wełny, a Olaf chciał pomówić z ojcem Vegardem i spytać go, czy w najbliższych dniach może się u niego wypowiadać. Na dworze było bardzo ciemno, każdy z nich zabrał więc broń. Olaf wziął Attarfylgię, nosił ją bowiem, ile razy miał do tego okazję.

Gdy przybyli na dziedziniec klasztorny, okazało się, że jest już później, niż sądzili. Jeden z zakonników, który stał na dziedzińcu i rozglądał się chcąc przewidzieć pogodę, oznajmił im, że brat świecki udał się do kościoła, by zadzwonić na *completorium*. Arnvid jednak chciał koniecznie zobaczyć się z bratem Helgem.

– Jest na pewno w izbie gościnnej – odrzekł mnich. Wobec tego poszli tam.

Pierwszymi ludźmi, których dostrzegli wchodząc, byli dwaj synowie Kolbeina, Hallvard oraz trzech innych mężczyzn; wszyscy siedzieli na ławie za stołem, jedli i pili. Brat Helge i jeden z mnichów stali przed stołem, rozmawiali i żartowali z gośćmi; tamci byli już lekko podchmieleni.

Olaf zatrzymał się w drzwiach, Arnvid zaś podszedł do brata Helgego. W tej chwili rozdzwoniły się klasztorne dzwony.

– Usiądź – rzekł brat Helge – i spróbuj naszego piwa, jest tym razem wyborne. Potem poproszę przeora, by mi pozwolił przyjść do ciebie po nabożeństwie. Tymczasem siadaj, Arnvidzie.

– Olaf jest ze mną – szepnął Arnvid; musiał to powtórzyć parokrotnie i coraz głośniej, bo brat Helge nie dosłyszał. Zrozumiawszy wreszcie, zbliżył się do Olafa, powitał go i poprosił, aby także usiadł i pił. Synowie Kolbeina spostrzegli teraz, kto przyszedł z Arnvidem. Olaf odpowiedział,

że woli iść do kościoła i przysłuchiwać się śpiewom, ale Haftor syn Kolbeina zawołał:

– Nie, chodźże tutaj, Olafie, i posiedź z nami! Nie widzieliśmy cię jeszcze, odkąd zostałeś naszym powinowatym. Chodź i ty, Arnvidzie, siadaj i pij!

Kiedy Arnvid usiadł na zewnętrznej ławie, Olaf także odłożył siekiere i ściągnął kaptur. A gdy zbliżył się do stołu, by usiąść, Einar klasnął w dłonie i uśmiechnął się, jak uśmiecha się dorosły do małego dziecka:

– Doprawdy, jak ty urosłeś, chłopaczku! Widać niemal po tobie, że jesteś żonaty.

– O, tak żonaci jak Olaf byliśmy wszyscy w jego wieku – parsknął śmiechem Hallvard.

Olaf oblał się krwią, lecz uśmiechał się tylko kpiąco.

Brat Helge potrząsnął głową, ale śmiał się. Potem poprosił ich, by zachowali spokój. Haftor odpowiedział, że uczynią to chętnie, i mnisi wyszli. Olaf spojrział za nimi i bąknął, że najchętniej poszedłby także do kościoła.

– Nie, nie, Olafie – zatrzymał go Einar. – To nieładnie z twojej strony, że tak mało okazujesz ochoty do zaznajomienia się z krewnymi twojej żony. Teraz wypijemy – rzekł; wziął czarękę, którą braciszek postawił na stole, i przepił do Olafa.

– Masz pragnienie, jak widzę – rzekł Olaf półgłosem; Einar był już lekko wstawiony. Głośno dodał: – Znać, znaliśmy się już dawniej. A pić za nasze pokrewieństwo – z tym, jak sędzę, powinniśmy raczej zaczekać, aż pojednam się z twoim ojcem.

– Wystarczy chyba, że ojciec doszedł do porozumienia z biskupem – odparł Einar potulnie jak baranek – skoro ten zajął się tobą jak własnym pupilkim. Doprawdy, aż serce rośnie, jak pojętna jest młodzież; widzisz teraz sam, jak dobrze jest czasami poczekać. Pan Torfinn kazał tu pono w

adwencie tak ślicznie o cierpliwości, czyżby to jego nauka?

– Tak – odrzekł Olaf. – A wiesz, że cierpliwość jest dla mnie czymś nowym, i dlatego bardzo się obawiam, aby o niej nie zapomnieć.

– Już ja ci przypomnę, Olafie – zaśmiał się szyderczo Einar. Olaf znów uczynił taki ruch, jak gdyby chciał się podnieść, lecz Arnvid pociągnął go na ławę.

– To w taki sposób dotrzymujesz obietnicy danej pocziwym mnichom? – zwrócił się do Einara. – Tutaj w klasztorze możemy chyba zachować zgodę?

– A czy to ja się kłóczę? Na mały żarcik można sobie chyba pozwolić między swoimi, krewniakami?

– Nie wiedziałem, że siedzę z krewnymi – mruknął gniewnie Arnvid.

– Coś powiedział?

Arnvid nie był spokrewniony z potomkami Torego na Hov, zrodzonymi z Borghildy. Ale trzymał się w garści, rzucił okiem w stronę pachółków towarzyszących synom Kolbeina i braciszka świeckiego, który nadstawał chciwie uszu.

– Tutaj jest wielu takich, co nie są z sobą spokrewnieni... Haftor poprosił brata, by trzymał język za zębami:

– Wszyscy znamy Einara i wiemy, że lubi żartować, gdy sobie podpije. Ale ty, Olafie, pokaż, żeś dorosły; teraz kiedy chcesz wyjechać i bawić się w gospodarza, nie wypada, abys zwracał uwagę na drwiny Einara, jak dawniej, gdyż był jeszcze wyrostkiem. Wtedy nieraz płakałeś z wściekłości.

– Płakać, nie płakałem nigdy! – Olaf zachnął się gniewnie. – A co do zabawy, nie sądziłem, że to ma być zabawa, jeśli chcę wrócić do ojcowizny i objąć swoje włości w posiadanie.

– Nie, naprawdę? – rzekł cicho Haftor.

Olaf miał wrażenie, że palnął głupstwo. Zarumienił się gwałtownie.

– Jest to jeden z największych dworów w tamtych stronach, Hestviken to najpotężniejszy dwór w całej parafii...

– Patrzcie no, patrzcie – odparł Haftor z niezachwianą powagą. – w takim razie będziesz miał wiele roboty, moje dziecko, ale nie wątpię, że dasz sobie radę. Wiesz co, krewniaku, wydaje mi się, że to raczej Ingunie będzie trudniej. Czy myślisz, że ona upora się z pracą gospodyni na tak wielkim dworze?

– Znajdzie się już rada na to. Moja żona nie będzie musiała sama harować – chełpił się Olaf.

– No, oczywiście – odparł Haftor jak przedtem. – Widzę już, że Inguna będzie panią całą gębą.

– O, to może zbyt szumnie powiedziane, choć Hestviken nie jest bynajmniej małym dworem. Bogactwo dworu leży w rybołówstwie i żegludze.

– Doprawdy? – zdziwił się Haftor. – A czy posiadasz także wielkie statki, tam na południu?

– Nie wiem – odrzekł Olaf – jak to teraz wygląda. Wiele lat minęło już, odkąd opuściłem Hestviken. W dawnych czasach tak było. I obecnie zamierzam podjąć znowu handel. Od księdza Asbjörna dowiedziałem się tutaj niemało o okrętach i zwyczajach handlowych.

– Tegoś wcale nie potrzebował – wtrącił Einar uśmiechając się. – Widzieliśmy przecie, jak uprawiałeś wielką żeglugę na gęsim stawku Ingebjörgi.

Olaf zerwał się i wysunął naprzód. Zrozumiał, że podśmiewali się z niego tylko przez cały czas – Haftor również. Ta historia na gęsim stawku to była zabawa, jaką wymyślił latem dla Hallvarda i Jona, synków Steinfinna, kiedy dzieci żyły samotnie na Frettastein i on się nimi zajął.

– Nie uważam za poniżenie, że zbudowałem parę łódeczek dla dzieci. Nikt przecież nie mógł posądzać mnie o to, że ja sam bawiłem się także –

zamilkł nagle, bo wyczuł, jak głupio i dziecinnie brzmią jego słowa.

– Tak, on ma słuszość – odparł Einar. – Byłaby to zaiste zbyt dziecinna zabawka dla młodzieńca, który był na tyle śmiały i bezczelny, by uwieść siostrę tych dzieci. O wiele bardziej po męsku zachowałeś się, Olafie, bałamucąc Ingunę w szopie i robiąc jej dziecko...

– To kłamstwo! – huknęła Olaf z wściekłością. – Poznać, że płynie w tobie krew niewolników, jeśli możesz tak ohydnie lżyć własną krewną! O dziecku nic mi również nie wiadomo... Jeśli jednak jest tak, jak powiadasz, nie potrzebujecie lękać się, że będziemy prosić twego ojca, by je wychował. Wiemy wszyscy dobrze, że niechętnie robi takie rzeczy...

– Milcz! – zawołał Arnvid i podszedł do Olafa. – I wy też stulcie pyski! – zwrócił się do tamtych. – Po męsku, rzekłeś... A czy to zowiesz męskim zachowaniem, że wasz ojciec, Kolbein, przyjął prośbę o ugodę, a wy siedzicie tutaj i szczekacie jak psy? Ale i ty, Olafie, powinieneś się pohamować, nie unoś się i nie odszczekuj im.

Teraz jednak synowie Kolbeina i Hallvard zerwali się także z ławy i wyskoczyli na środek izby, nieprzytomni z wściekłości z powodu ostatniej uwagi Olafa. Kolbein w młodości zaparł się ojcostwa pewnego dziecka, wtedy wiele o tym gadano, a potem, gdy dziecko wyrosło na mężczyznę, ludzie uważali, że ów młodzieniec jest bardzo podobny do niego.

– Ty sam stul gębę, Arnvidzie! – ryknął Haftor; był dość trzeźwy. – To prawda, twój udział w tej sprawie jest tego rodzaju, że nie może ci być miłe, kiedy o tym mowa. Lecz Olaf musi ścierpieć, że mu to powiem, chociaż zgadzam się na pojednanie, zamiast odpłacać mu, jak na to zasługuje: niech się nie spodziewa, że przyjmiemy go do naszego rodu jak męża mile widzianego!

– Nie, mile widziany w naszym rodzie nie będziesz nigdy, Olafie – sztychł Hallvard.

– Mówcie we własnym imieniu, a nie w imieniu całego rodu –

przerwał Arnvid. – Zresztą Kolbein chciał przecie dać Olafowi za żonę twoją siostrę Borghildę zamiast Inguny, Hallvardzie...

– To łgarstwo – wrzasnął Hallvard.

– Być może – rzekł Arnvid. – Ale powiedział do mnie, że nosi się z tą myślą.

– Przystań pyskować, Arnvidzie – zaczął znów Einar. – Znamy dobrze twoją przyjaźń z Olafem. Twoje szczęście, że nie grzebiemy w tych sprawkach. Niczego nie żałowałeś dla twojego kochasia, nawet młodzianki krewniaczki na nałożnicę.

Arnvid nachylił się groźnie ku tamtemu:

– Strzeż języka, Einarze!

– Nie, do diabła, nie boję się takiego uczonego zgniłka jak ty. Piękna to saga – ta twoja przyjaźń z jasnowłosym chłoptysiem... Słyszeliśmy przecie to i owo o takiej przyjaźni, jakiej uczą was w szkole...

Arnvid chwycił Einara za napięstki i wykręcił je tak mocno, że tamten klnąc i jęcząc z wściekłości i bólu padł na kolana. Haftor zbliżył się.

Pachołkowie siedzieli wciąż nieporuszeni na swych miejscach, nie mieli widać ochoty do mieszania się w zwadę panów. Einar podniósł się po chwili, tarł i prostował ręce i ramiona klnąc z cicha.

Olaf stał i spoglądał na jednego i drugiego. Nie wszystko pojmował, lecz miał wrażenie, że jakaś dłoń ściska mu brutalnie serce: wciągnął Arnvida w znacznie gorsze położenie, niż przypuszczał. Mówili do przyjaciela z ohydą pogardą, chłostali go. Olaf wzdrygnął się boleśnie, spojrzawszy w twarz Arnvida; nie umiał sobie wytłumaczyć tego, co w niej wyczytał. Potem gniew wybuchnął w nim płomieniem i wszystkie inne uczucia spaliły się w tym ogniu.

Einar spostrzegłszy w odwodzie brata i Hallvarda, odzyskał mowę. Powiedział coś – Olaf nie dosłyszał słów. Twarz Arnvida skurczyła się, potem wyrznął pięścią w brodę Einara; tamten zwałił się na wznak i

uderzył głową o kant ławy.

Brat świecki rzucił się między nich, pomógł Einarowi wstać i otarł mu krew z twarzy, krzycząc:

– To karygodne, wiecie o tym dobrze, naruszać pokój w naszym domu! Czyż to jest zachowanie godne mężów ze szlacheńskich rodów?

Arnvid opanował się i zwrócił do Haftora:

– Brat Sygvald ma słuszność. Idziemy, Olafie, tak będzie najlepiej.

– My mamy odejść? – odparł ostro Olaf. – Nie my przecież wszczęliśmy kłótnię.

– Ten musi ją zakończyć, kto ma rozum – rzekł krótko Arnvid. – Einarowi odpowiem gdzie indziej, w stosowniejszym miejscu. A tobie, Haftorze, powiem tylko tyle, że odpowiadam w zupełności za moje postępowanie w tej sprawie. Zdałem już sprawę z tego biskupowi i Kolbeinowi, a tobie wara!

– Powiadasz, żeś nie zauważył niczego – zaskrzeczał Einar – i to naprawdę możliwe, jeśli jest tak, jak ludzie mówią. Byłeś cały rok żonaty, zanim zrozumiałeś, po co matka dała ci żonę...

Olaf ujrzał, że twarz Arnvida drgnęła, jak gdyby uderzono go w otwartą ranę; Arnvid cofnął się i chwycił włócznię postawioną przy drzwiach.

Nieprzytomny z wściekłości Olaf skoczył między nich, ujrzał, że Einar wywija siekierą i sam podniósł oburącz swoją Attarfylgię. Zwały się brzeszczoty, szczęknęły ostrza, siekiera wypadła Einarowi z rąk, drasnęła w przelocie stojącego z tyłu Hallvarda i upadła na ziemię. Olaf powtórnie podniósł broń, zamachnął się i uderzył. Einar skulił się, by uniknąć ciosu, ale ostrze trafiło go w plecy pod barkiem, weszło głęboko w ciało. Einar upadł i pozostał skulony na podłodze.

Dopiero teraz wstąpiło życie w pachołków Kolbeina. Wszyscy trzej podnieśli się gwałtownie z ławy i zaczęli wymachiwać siekierami, ale byli zupełnie spici i nie mieli wcale ochoty do prawdziwej bitki, wrzeszczeli

więc tylko co sił. Hallvard przysiadł na ławie i trzymał ranną nogę, z jękiem kiwając się na obie strony.

Haftor wyciągnął miecz i natarł na obu; była to krótka broń, tamci zaś mieli włócznię i siekiere, starali się więc początkowo tylko odparowywać ciosy Haftora. Wkrótce jednak spostrzegli, że już to samo nastęcza nie mało trudności. Haftor wytrzeźwiał zupełnie i władał mieczem z niezwykłą sprawnością. Z zawziętym postanowieniem, by pomścić brata, starał się dopiąć celu szybko, zwinnie i pewnie. Zmysły jego były napięte, a każdy ruch i uderzenie doskonale pewne.

Olaf, nie przywykły do walki orężnej, bronił się, jak mógł – dziwnie rozkoszne napięcie było w tej grze. Głucho i niewyraźnie czuł, jak wzbiera w nim wściekłość i niecierpliwość, ilekroć włócznia Arnvida zagradzała drogę i osłaniała go.

Na pół świadomie wyczuł, że drzwi z tyłu za nim otwierają się w noc, mimo to owładnęło nim zdumienie, kiedy przeor i kilku zakonników stanęło w izbie. Cała walka trwała zaledwie kilka chwil, lecz kiedy bój skończył się, nie wiadomo w jaki sposób, Olaf miał wrażenie, że obudzono go z długiego snu.

W rozmównicy panował gęsty mrok, gdyż ogień przygasł. Olaf powiódł wzrokiem po gromadzie białych i czarnych habitów, przesunął ręką po twarzy, po czym opuścił ją i stał, wsparty na siekierze. Teraz było w nim już tylko ogromne zdziwienie, że to wszystko stało się naprawdę.

Ktoś zaświecił kaganek u ognia i poniósł go do ławy, gdzie ojciec Vegard i jeszcze jeden zakonnik opatrywali Einara. Życie tliło w nim jeszcze słabo, rzeził jak pijak, nim zwymiotuje. Olaf posłyszał, jak mówiono, że ranny ma krwotok wewnętrzny. Ojciec Vegard spojrział na niego tak osobliwie...

Usłyszał, że przeor zwraca się do niego i pyta, czy to on pierwszy naruszył pokój klasztorny.



– Tak, ja uderzyłem pierwszy i powaliłem Einara syna Kolbeina. Ale już przez cały wieczór nie zachowywano spokoju w tej izbie, długo wcześniej, nim go złamałem. Einar używał wobec nas słów tak podłych, że musieliśmy chwycić za broń.

– To szczerą prawdą – poświadczył brat świecki; był to stary chłop, który dopiero niedawno wstąpił do klasztoru. – Einar używał takich słów, że każdy przyznałby Olafowi prawo chwycenia za broń.

Haftor stojący nad rannym odwrócił się szybko i powiedział z zimnym uśmiechem:

– Pewnie. Tutaj w klasztorze i na dworcu biskupim w ten sposób osądzą ów czyn. Bo ci dwaj są ludźmi biskupa, duszą i ciałem. Ale może się zdarzyć, że księżętom tego kraju sprzykrzą się takie wybryki, żeby każdy ksiądz, dufny w swą siłę, używał jej na to, by brać pod swą opiekę najgorszych złoczyńców i zbrodniarzy.

– To nieprawda, Haftorze – rzekł przeor. – My, słudzy Boży, chronimy złoczyńcę o tyle, o ile chroni go prawo. Ale jesteśmy zobowiązani w miarę sił przyczynić się do tego, aby pogwałcenie prawa zostało ukarane wedle prawa, a nie pomszczone nowym bezprawiem, które znowu pociąga za sobą zemstę bez końca.

– Zaiste – szyderczo odparł Haftor – przebiegłe jest to nowe prawo. Dawne nadawały się bardziej dla ludzi miłujących cześć, ale te nowe odpowiadają lepiej takim hołyszom jak ten Olaf, co to zniewalają córki najpocześniejszych rodów i mordują ich krewnych, gdy ci żądają zadośćuczynienia za ich czyn.

Przeor wzruszył ramionami:

– Obecne prawo żąda jednak, aby wójt wziął Olafa do więzienia i trzymał go w zamknięciu, póki nie zapadnie wyrok. Tu oto są ludzie, po których posłałem – zwrócił się do paru zbrojnych, którzy, jak Olaf wiedział, mieszkali w pobliżu kościoła. – Bjarne i Kaare, macie związać

tego chłopca i zaprowadzić go do pana Auduna. Rzucił się bowiem z bronią w rękę na człowieka i nie wiadomo, czy go nie zabił.

Olaf wręczył berdysz jednemu z mnichów.

– Nie macie potrzeby mnie wiązać – rzekł wzburzony do obcych. – Nie dotykajcie mnie, pójdę z wami z własnej woli.

– Tak czy owak, musisz teraz opuścić izbę – odezwał się przeor. – Rozumiesz chyba, że nie możesz zostać: przychodząc z Ciałem Pańskim do Einara.

Na dworze śnieg prószył znowu i wiatr dał gwałtownie, miasto spało już od godziny. Mała gromadka stąpała ciężko poprzez mrok, kurniawę i wicher, między murami cmentarza i niskimi, czarnymi zabudowaniami obejścia kanonika. Dokoła ziało pustką i martwością, a wicher wył smętnie wokół węglów, szumiał w olbrzymich dębach.

Na przedzie szedł jeden ze strażników miejskich, za nim jakiś stary mnich, nie znany Olafowi; wiedział o nim tylko, że jest zastępcą przeora. Pośrodku kroczył Olaf, a z prawej i lewej strony oraz z tyłu szli uzbrojeni ludzie, następując mu niemal na pięty. Olaf szedł i myślał o tym, że obecnie jest więźniem. Był jednak śpiący i dziwnie otępiały.

Dwór wójta leżał na wschód od katedry. Długo musieli stać na śniegu i dobijać się do zamkniętych wrót; śnieżne płatki osiadały na szatach i spowijały ich w biel. Wreszcie otwarto bramę, jakiś zaspany człowiek z ogarkiem w rękę wyjrzał i zapytał, czego sobie życzą. Po czym wpuścił przybyłych.

Olaf nie był dotąd nigdy za tą furtą. Zrazu nie rozróżniał niczego prócz ciemności i śniegu wirującego między czarnymi ścianami. Wójt był nieobecny, w południe wyjechał z miasta wraz z biskupem – to usłyszał Olaf jak przez sen. Istotnie, upadał niemal ze znużenia. Potykając się ze

zmęczenia pozwolił się zaprowadzić strażnikom do małego domku na dziedzińcu.

Wewnątrz był lodowaty ziąb i zupełna ciemność, na palenisku nie płonął ogień. Po chwili wszedł ktoś ze światłem i derkami, które rzucił na pryczę. Strażnicy życzyli Olafowi dobrej nocy, a on odpowiedział im już niemal przez sen. Potem wyszli, drzwi zamknięto od zewnątrz – Olaf pozostał sam i wtedy nagle zupełnie wytrzeźwiał. Stał i wpatrzył się w mały płomyczek...

Najpierw poczuł w sercu jakby bryłę lodu. Potem zakipiała w nim wściekłość i mściwa, zacięta radość: więc jednak udało mu się powalić tego ohydnego Einara – o nie, broń Boże, nie czuł zupełnie żalu. Obojętne mu było, jak drogo będzie musiał okupić swój czyn. Kolbein i oni wszyscy – jakże ich z serca nienawidził! Dopiero w tej chwili zrozumiał jasno, jak strasznie był udręczony przez te wszystkie miesiące: trwoga, gryzące wyrzuty sumienia, upokorzenia, na jakie był narażony, gdy szukał wyjścia z grzęzawiska, w które zabrnął. To Kolbein zawsze i wszędzie ciskał mu kłody pod nogi, ilekroć usiłował stanąć z powrotem na pewnym gruncie. Gdyby nie plemię Kolbeinowe, już dawno wyplątałby się z tej matni, byłby już znowu swobodnym i wolnym człowiekiem, zapomniałby bolesnej prawdy, że jest kłamcą i wiarołomcą. Ale Kolbein zawsze trzymał mu na karku twardą rękę... Teraz Olaf wziął odwet i dziękował za to Bogu z głębi serca. I nic nie pomoże, jeśli biskup Torfinn i wszyscy jego nowi przyjaciele na biskupim dworze powiedzą, że grzechem jest podobne myślenie. Ciało i krew mężczyzny są już tak stworzone...

Umysł Olafa ocknął się w nagłym buncie przeciw tym wszystkim nowym naukom i zasadom, jakie mu tu wpajano – tak, tak, w pewnym sensie były piękne, widział to jeszcze i teraz; ale nie, to były nienaturalne,

nieziszczalne marzenia. Nigdy nie staną się ludzie tak świątobliwi, aby zgodzić się na poddanie wzajemnych wielkich i małych zatargów i waśni wyrokowi swych chrześcijańskich braci, aby zawsze podporządkowywać się prawu i zadowolić się jego uznaniem, a nie wywalczyć go samemu. Przypomniawszy sobie, co Haftor powiedział tego wieczora: że te nowe prawa są dobre tylko dla poślednich ludzi. I naraz poczuł, że zgadza się z ludźmi takimi jak Kolbein i jego synowie, chociaż tylko w tym jednym: woli raczej ująć sprawę przeciw nim we własne ręce i jeśli to konieczne – odeprzeć bezprawie bezprawiem. Należał do ludzi takich jak Kolbein, Steinfinn i Ingebjörga – i do Inguny, która rzuciła mu się w ramiona, niepomna na prawo, drżąca i niecierpliwa z niepokonanej miłości, a nie do tych księży i mnichów, których życie płynęło jasnym, chłodnym korytem, którzy co dnia o tej samej porze wykonywali to samo: modlili się, pracowali, jedli, śpiewali, kładli się spać i znów wstawali, by zacząć dzień od modłów. I wertowali prawa, i przepisywali je, i objaśniali, i wszczynali spory z laikami – dlatego tylko, że miłowali to prawo i marzyli o tym, aby za pomocą niego ujarzmić wszystkich, tak żeby żaden mąż nie podniósł broni przeciw bliźniemu i nie zdobywał prawa przemocą, natomiast aby każdy łagodnie dał posłuch dobrotliwym, nowym słowom Pana o braterstwie między wszystkimi dziećmi Boga. Jeszcze czuł jakąś daleką i smętną tklliwość dla tych zasad oraz szacunek dla ludzi żyjących według nich. On nie potrafił ugiąć się przed prawem i już sama myśl o tym, że chcieli nałożyć podobne pęta na niego, przepełniała go teraz okrutną goryczą.

Oburzenie jego wzrosło jeszcze, gdy uświadomił sobie, że tamci będą na niego patrzeć jak na wilka w owczarni. Biskup Torfinn nie może lubić go nadal, skoro w ten sposób odpłacił mu za ojcowską dobroć. A bracia dominikanie patrzyli na niego tak dziwnie – z pewnością mieli mu za złe, że krwią ludzką skalał ich izbę gościnną. Stary zastępca przeora rzekł coś o skrusze i pokucie, zanim odszedł. Olaf zaś nie odczuwał skruchy.

Niech kosztuje, ile chce... Nie powinien był przenigdy słuchać Arnvida, nie powinien był przyjechać tutaj, pozwolić na rozłączenie z Inguną.

Inguna – błysnęła w nim myśl i tęsknota za nią wezbrała bolesną udręką. To był przecież jedyny człowiek na ziemi bliski mu, którego znał naprawdę. Inguna – taka, jaką znał: słaba i uparta, niezbyt mądra, urocza i wiotka – była jedyną istotą, o której wiedział niezawodnie, jaka jest, była tym jedynym, co miał i czuł, co posiadał i kochał, czymś zgoła innym od nierzeczywistych marzeń, słów i niepewnych wspomnień. Ona była naprawdę jakby jego własnym ciałem i własną duszą i teraz przyzywał ją bezgłośnie, wijąc się w męce, zgrzytając zębami i zaciskając ręce tak mocno, że paznokcie wbijały się w ciało. Na myśl o tym, jak daleko jest od niej i ile czasu upłynie, nim ją odzyska, żądza buchnęła w nim znowu płomieniem; jęczał głośno i gryzł zaciśnięte pięści. Pchało go do niej, pragnął ją mieć w tej chwili, natychmiast, byłby w stanie poszarpać ją i pożreć z trwogi, że ktoś ich rozłączy. – Inguno, Inguno – bełkotał.

Musi ją odnaleźć. Musi jej przecież powiedzieć o tym, co się stało, musi zobaczyć, jak ona przyjmie wiadomość, że – zabił jej krewnego. Tak, Einar umarł, tego był pewien. Krew była teraz między nimi; ale Maryjo Najświętsza! cóż to znaczy, jeśli oboje są już jednym ciałem! Nigdy nie lubiła tych synów Kolbeina, lecz krewni są krewnymi, więc na pewno będzie płakać i ubolewać, ta jego biedulka – mimo to nie żałował tego, co się stało.

I musi również dowiedzieć się z jej ust, czy naprawdę jest tak, jak powiedział Einar. O, w tym wypadku czeka ją sroga niedola. Krótki, urywany szloch wstrząsnął Olafem... Kolbein domagał się wydania mu dziewczyny, aby ją ukarać. Jeśli dostanie się w ręce stryja z dzieckiem mordercy jego syna, wówczas biada jej, zadreczy ją na śmierć!

Musi pomówić o tym z Arnvidem, Arnvid na pewno przyjdzie tu jutro

rano. Arnvid musi ją wywieźć w takie miejsce, gdzie Kolbein nie będzie mógł jej dosięgnąć.

Kaganek składał się z cienkiego knota, nawiniętego dokoła żelaznego sztyftu. Olaf nie bał się zwykle ciemności, teraz jednak poczuł dziwny lęk, że światło zgaśnie i on zostanie w zupełnym mroku ze swymi myślami. Ostrożnie poprawił knot.

Prędko zdjął płaszcz, buty oraz piękny kaftan i rzucił się na posłanie. Zagrzebał się w lodowate skóry, głowę zarył w poduszki i jęczał z tęsknoty za Inguną. Przypomniała mu się noc wigilijna i poczuł jakby żał do Opatrzności: taka spotyka go nagroda za to, że wówczas postąpił uczciwie?

Naciągnął skórę całkiem na głowę – w ten sposób nie zobaczy gasnącego światła. Po chwili odrzucił ją, podsunął rękę pod policzek i leżał wpatrzony w nikły płomień.

Tak jest, jedyne Arnvida mógł prosić, by strzegł Inguny, w czasie gdy on nie będzie mógł tego robić... I naraz oświadczyła mu dziwna niechęć na myśl o Arnvidzie.

Nie rozumiał, co Einar miał na myśli, gdy rzucił owe obelżywe słowa, jednak widział, że ugodziły one Arnvida jak kopnięcie w otwartą ranę; i ilekroć powracał myślą do tej chwili, cierpiał, był jakby chory, a potem opanowywała go nieprzytomna wściekłość, jakby był świadkiem okrutnego, brutalnego sponiewierania.

Powoli, z biegiem lat, Olaf uprzytomnił sobie, że daleki jest od tego, by znać przyjaciela na wylot. Ufał mu bardziej niż jakimkolwiek człowiekowi, polegał na wielkoduszności i wierności Arnvida; był pewien, że Arnvid nie ulęknie się niczego, kiedy trzeba będzie pomóc przyjacielowi lub krewnemu.

Było jednak w Arnvidzie coś, co przypominało mu bezdenną toń. Asbjörn Allfeit opowiadał pewnego wieczora bajkę o uczonym doktorze

w południowych krajach, który uwodził jakąś kobietę, piękność tego kraju. W końcu udała, że chce mu być powolna; potajemnie zaprowadziła go do komory, odpięła suknię i pokazała piersi; jedna była biała i jędrna, z drugiej pozostała już tylko ropiejąca rana. Słuchaczom podobało się bardzo to opowiadanie, nazwali je pouczającym i mądrym, gdy bowiem Rajmund, ów uczony mąż, ujrzał to, odsunął się zupełnie od świata i wstąpił do klasztoru. Olaf uważał, że była to najbardziej niesamowita historia, jaką kiedykolwiek słyszał, i długo w noc leżał bezsennie nie mogąc jej zapomnieć. – Było coś w Arnvidzie, co go przejmowało trwogą, bał się, że pewnego dnia odkryje w nim ranę. Zawsze, choć krył się z tym, lękał się widoku choroby i cierpienia, sam też strzegł się, by nie sprawić nikomu bólu. Mglisto wyczuwał, że może trwoga przed zadrażnieniem bolesnego miejsca obezwładniała Arnvida jesienią. Teraz pragnął niemal, by Arnvid nie był wówczas tak pobłażliwy, ale by zmusił go wcześniej do odpowiedzialności. Niechętnie myślał o tym, że wykorzystał bezbronność człowieka. A teraz leżał tu i wiedział, że musi prosić właśnie Arnvida, by zajął się Inguną i strzegł jej, gdyż Bogu jednemu wiadomo, kiedy on sam będzie mógł to zrobić.

Olaf częściowo rozumiał, czego brakuje Arnvidowi. Arnvid nie taił nigdy, że jego najżarliwszym pragnieniem było poświęcić się służbie Bożej w jakimś zakonie. I gdy Olaf bawił przez pewien czas w Hamarze, zrozumiał lepiej niż przedtem, że to może być życzeniem mężczyzny. Lecz zarazem przeczuwał, że Arnvid ma umysł bardziej wszechstronny aniżeli – tak, aniżeli Asbjörn Allfeit albo ojciec Vegard na przykład. Arnvid tęsknił za tym, by się ugiąć, by słuchać i służyć, ale równocześnie miał poczucie wspólnoty z ludźmi, którzy domagali się, by rządziły dawne prawa: prawa dla mężów o gorących sercach, gorącej krwi i mściwym umyśle... Było tak, jak gdyby Arnvid znalazł się kiedyś w potrzasku między tymi dwoma prawami.

Olaf dziwił się nieraz, że Arnvid nie mówi nigdy o latach przeżytych z żoną. Skądinąd dowiedział się coś niecoś o małżeństwie przyjaciela. Jego żona Tordis była najpierw przyrzeczona najstarszemu synowi Finna, Magnusowi, dziarskiemu, lubianemu i urodziwemu zawadiace. Rozczarowała się gorzko do małżonka, którego dostała zamiast niego, ale i Arnvid nie bardzo podobno miłował żonę. Dumna i zawzięta Tordis nie tała wcale, że pogardza mężem, ponieważ jest taki młody, spokojny i nieśmiały. Ze świekrą zaś żyła w jawnej niezgodzie. Między tymi dwiema despotycznymi i męczącymi kobietami spędził Arnvid smutną młodość. Może dlatego trzymał się teraz z dala od wszystkich kobiet – prócz Inguny. Ją lubił serdecznie, Olaf zauważył to, na pewno dlatego, że była taka słaba, potrzebowała opieki i silnego męskiego ramienia i że nigdy nie przyszło jej na myśl, by rozkazywać lub rządzić. Nieraz Arnvid siedział zadumany i patrzył na nią tak dziwnie i ze smutkiem, jak gdyby jej żałował. Lecz Arnvid miał tę słabość, że zawsze się litował, tak, tak, litował się aż zanadto, nawet nad zwierzętami. Olaf był również dobry dla zwierząt, ale Arnvid umiał się doskonale obchodzić z chorym bydłem. Aż dziwne, jak często zwierzę wracało do zdrowia i rozwijało się, gdy tylko Arnvid nim się zajął. Kiedy parę razy w rozmowie z Olafem wspominał swą zmarłą żonę, nawet o niej mówił tak, jak by jej żałował.

W ostatnich czasach jednak Olaf czuł rosnącą niechęć do Arnvida za to, że był tak skory do współczucia. Olaf sam nie był wolny od tej słabostki, teraz jednak odczuwał to niemal jak kalectwo. Litość mogła tak łatwo spowodować, że człowiek popadał w tarapaty i była przyczyną, że ulegał tym, którzy byli nieugiętego serca...

Olaf wdychał, zmęczony i bezradny. Tak ciężko było mu na duszy, kiedy myślał o ludziach, których lubił: o biskupie Torfinnie, Arnvidzie



i Ingunie. Gdy wspominał Einara i swoich wrogów, cieszył się mimo wszystko z tego, co zrobił. Nie, nie, żałować go nie mógł. Lecz rozłąki z Inguną nie wytrzyma teraz. Zabrnął w ślepią uliczkę.

Światelko dopalało się. Olaf zsunął się z posłania i ostrożnie poprawił skrecony knot. Podszedł do drzwi i obejrzał je – nie dlatego, żeby miał jakąkolwiek nadzieję ucieczki, ale może jednak...

Były to drzwi ciężkie i masywne, lecz domykały się nieszczelnie; wichur nawiał już sporo śniegu przez szparę. Olaf oświetlił je; wprowadzić od zewnątrz zaopatrzone były w duży zamek oraz drewnianą zaworę, ale ani jedna część tych zamknięć nie znajdowała się po stronie wewnętrznej: tu przybity był tylko wiklinowy skobel. Olaf wyciągnął sztylet i próbował wsunąć go w szczelinę. Zauważył wtedy, że zamek nie jest zamknięty; drzwi zasunięte były tylko na zaworę, mógł ją poruszyć z lekka za pomocą sztyletu, nieznacznie oczywiście, gdyż zawora była ciężka i wielka, a ostrze sztyletu cienkie.

Mimo to gorący dreszcz nim wstrząsnął i ręce drżały mu lekko, gdy wkładał buty i płaszcz. Nie mógł się poddać, skoro okazuje się, że siedzi w zamkniętej izbie. Ujął oburącz rękojeść sztyletu i usiłował podważyć zaworę. Już przy pierwszej próbie klinga złamała się na pół. Olaf zacisnął zęby, wsunął ostrze aż po rękojeść w szczelinę. Lecz w wąskiej szparze nie mógł nim swobodnie poruszać. Oblany potem z napięcia próbował wciąż na nowo, póki nie odkrył, jak głęboko może wejść sztylet. Teraz chodziło o to, by podnieść i odrzucić zaworę. Kilkakrotnie czuł, że wysunął ją z haka, lecz opadała z powrotem. Chciał jedną ręką chwycić za skobel. Wreszcie udało się... Śnieg buchnął mu w twarz. Olaf cicho przestąpił próg, wyjrzał w otaczającą go ciemność. Psów nie było, zamknięto je widocznie w domu z powodu zadymki. Żadnego dźwięku,

poza lekkim szelestem sypkiego, ziarnistego śniegu, smaganego wiatrem. Powoli i ostrożnie przekradał się Olaf na oślepie przez nieznaną podwórze. W śnieżnej zaspie przed jednym z domostw stał rząd nart. Olaf dobrał sobie parę i poszedł dalej.

Furta uliczna była zamknięta, ale tuż obok niej piętrzył się stos belek; mógł po nich łatwo przejść przez częstokół. Uwierzył, że dzieje się cud. Wspiął się na stos i spuścił narty na drugą stronę; usłyszał głuchy dźwięk, kiedy spadły w śnieżny wał. „Matka – przemknęło mu przez głowę. – Może to matka modli się za mnie, abym mógł uciec...”

Luźna oponcza i długie poły kaftana przeszkadzały mu trochę; w końcu jednak udało mu się przeleźć płot i skoczyć w śnieg na ulicę. Paskiem ściągnął kaftan, jak mógł najwyżej, i przypiął narty do nóg. Po czym pochylił się i zaczął sunąć przeciw zawiei, kłębiącej się w mroku białymi smugami.

U końca ulicy wiodącej z miasta droga urywała się, zasypał ją śnieg. Tylko tu i ówdzie teraz, kiedy oko oswoiło się z ciemnością, widział wierzchołki płotów. Szedł dalej cały czas niemal pod wiatr i śnieżycę. W noc tak ciemną trudno było odnaleźć kierunek drogi – wiedział wprawdzie, gdzie leży dwór, w którym mieszka Inguna, nieraz przejeżdżał tamtędy z Asbjørnem, lecz przy takiej pogodzie niewiele mogło mu to pomóc. Był doskonałym narciarzem, ale zamieć utrudniała jazdę. Mimo to nie tracił otuchy, gdy na oślepie przedzierał się naprzód – był głęboko przekonany, że tej nocy coś go wspomaga. Chwilami przemykało mu przez głowę, że jest zupełnie bezbronny – sztylet był już niezdatny do użytku – i że nie ma pieniędzy prócz kilku drobnych monet. Lecz trwożyć nie czuł.

Kiedy wreszcie stanął na dziedzińcu zagrody, gdzie mieszkała Inguna, nie miał pojęcia, która jest godzina. Psy nie spały. Wściekle i rozjuszone,

całą gromadą rzuciły się na niego. Odganiał je podniesionym po drodze kijem i wołał głośno, by rozbudzić ludzi. W końcu zjawił się ktoś w drzewiach.

– Czy tu mieszka Inguna córka Steinfinna? Muszę z nią natychmiast pomówić. Jestem Olaf syn Auduna, jej mąż...

Krótki dzień zimowy miał się ku końcowi i szary zmierzch gęstniał nad zaśnieżoną okolicą, kiedy dwoje sań zajechało przed mały dworek w pobliżu kościoła na Ottastad. Trzej obcy ludzie okutani w futra rozmawiali chwilę z gospodarzem.

– Tak, tak, siedzi w izbie – odrzekł na ich zapytanie. – Jej mąż leży jeszcze pewnie. Przybył tu dziś przed świtem i odtąd leżą razem i gadają, i szepczą. Pan Jezus i święty Olaf raczą wiedzieć, co się wydarzyło. Tak się dziwnie zachowywali. Potem zasnąłem i... – podrapał się w głowę i rzucił na przybyłych pytające spojrzenie. Księża Asbjörna znał dobrze, tamci zaś dwaj, to był Arnvid syn Finna z Miklebö, krewny Inguny, który odwiedzał ją tu parokrotnie, oraz jego stary sługa.

Trzej przybysze weszli do izby. Inguna siedziała na stopniu przed łóżem w głębi; na podołku trzymała jakąś robotę, było jednak zbyt ciemno, aby w tym kącie mogła szyć. Poznawszy przybyłych podniosła się natychmiast i wyszła im naprzeciw, smukła i wysoka w swej czarnej sukni, blada i ciemnooka pod białą czepką.

– Cicho – szepnęła – bądźcie cicho! Olaf śpi.

– W takim razie wielki czas, abyś go obudziła, moja kobietko – odparł ksiądz Asbjörn. – Nigdy nie przypisywałem zbyt wiele rozsądku temu chłopcu, ale teraz to już szczyt wszystkiego. Musiał chyba wiedzieć, że tutaj przede wszystkim będą go szukać, a oto leży i śpi! – Ksiądz drżał z oburzenia. Inguna zastąpiła im drogę.

– Co chcecie zrobić z Olafem?

– Nie uczynimy mu nic złego – odparł Arnvid – ale teraz, kiedy się tak urządził... Ty, Inguno, musisz jechać ze mną na Miklebö i pozostać tam jakiś czas; rozumiesz przecież, że pan Torfinn nie może dłużej wzbraniać się przed wydaniem ciebie twoim krewnym.

– A Olaf? – spytała jak przedtem.

– Ach, ta kobieta! – jęknął ksiądz zrozpaczony. – Istne przekleństwo, że Olaf musiał pójść akurat do niej! Przecież ona nie potrafi nigdy utrzymać w tajemnicy tego, czego się dowiedziała...

– O, potrafi! Jeśli zrozumie, że to dla dobra Olafa. Inguno, musisz zrozumieć, że ten ksiądz i ja narażamy się bardzo, ukrywając mordercę i pomagając mu do ucieczki.

– Będę milczała – odrzekła poważnie Inguna. Usunęła się na bok i podeszła do łoża; stała chwilę wpatrując się w śpiącego jak matka, która nie ma serca obudzić dziecka.

„O tak, jednak jest ładna” – pomyślał ksiądz. Do tej pory sądził, że białogłowy, dla których młodzieńcy popełniają szaleństwa i zbrodnie, nie są takie, aby człowiek stateczny i rozważny mógł dojrzeć w nich coś dobrego. A tej tutaj nie lubił wyjątkowo: Inguna córka Steinfinna wyglądała na kobietę płochą i leniwą, słabą i rozpieszczoną, dobrą jedynie do tego, aby mężom sprawiać kłopoty i siać między nimi niezgodę. Teraz pomyślał, że może jednak jest lepsza, aniżeli sądził, może potrafi być dobrą, żoną, gdy dojrzeje i ustatkuje się. Bądź co bądź zachowała się jak człowiek roztropny i patrzyła na swego przyjaciela z wiernym oddaniem. I była piękna, musiał przyznać słuszność tym, którzy to mówili...

Olaf wyglądał młodo i niewinnie, gdy tak spał z białymi muskularnymi ramionami pod głową i jasnymi włosami rozrzuconymi na brunatnej wełnianej poduszce. Spał spokojnie jak dziecko. Zaledwie jednak Inguna dotknęła jego ramienia, zerwał się zupełnie rozbudzony, usiadł, podciągnął

nogi, rękami opasał kolana i patrzył spokojnie na dwóch mężczyzn.

– Czy przybyliście po mnie?

– Arnvid przyjechał, by zabrać do siebie twoją żonę. Ja – ksiądz rzucił okiem na tamtych – wydaje mi się, że powinniście pozwolić, abym pomówił najpierw sam z Olafem.

Arnvid wziął Ingunę za rękę i poprowadził ją do ławy, na drugi koniec izby. Asbjörn usiadł na brzegu łóża, obok Olafa. Olaf spytał zatroskany:

– Co mówi pan Torfinn o tej sprawie? Źle, żem w ten sposób odplacił mu za gościnę.

– Wypowiedziałeś słowa słuszniejsze, niż sam przeczuwasz. I dlatego musisz teraz jak najszybciej wydostać się z kraju.

– Jak to, mam opuścić kraj? Bez wyroku? – mówił wolno Olaf. – Czy pan Torfinn mówił, abym to zrobił?

– Nie, ja to mówię. Biskup i wójt nie wiedzą jeszcze wcale o zabójstwie. Tak, Einar nie żyje. Powrotu ich oczekujemy dopiero jutro. Służbę zaś na dworze Auduna udało mi się przekonać, że skoro nie pilnowali cię lepiej, niech czekają z zawiadomieniem Kolbeina o twojej ucieczce, dopóki wójt sam nie powie mu o tym. Wyszli i szukali cię wszędzie, ale z powodu zawianych dróg nie dotarli jeszcze z pewnością w te strony, a teraz noc już zapada. W każdym razie w imię Boże musimy się odważyć. Przeczekamy tutaj do północy, aż księżyc wzejdzie; noc będzie widna, mróz chwycił. Stary Guttorm pójdzie z tobą i wskaże ci drogę. Jako wprawni narciarze, możecie trzeciego dnia wieczorem dotrzeć do Solberg, do mojej siostry. Tam nie wolno ci jednak zatrzymać się dłużej, niż to będzie konieczne i musisz pozostać w ukryciu, póki Sven syn Birgera nie zapewni ci bezpiecznego schronienia gdzieś w okolicznych gminach.

– Czy to mądre, bym uciekał z kraju, zanim zostanę skazany na wygnanie? – spytał Olaf.

– Ponieważ rozpostarłeś już skrzydła, musisz pofrunąć dalej – odrzekł

ksiądz. – Chcesz, by ludzie mówili, żeś uciekł z więzienia jedynie po to, by tu przyjechać i popieścić żonę? Nie patrzcie na mnie z taką złością, że tak mówię. Jesteś młody, nie przewidujący i myślisz tylko o swoich własnych sprawach; tak już jest, taką naturę ma się w twoim wieku. Nie zastanawiałeś się nawet nad tym, że mąż taki jak pan Torfinn ma jeszcze wiele innych trosk na głowie, o wiele ważniejszych od tej, abyś ty mógł w spokoju cieszyć się Inguną i jej majątkiem. Na domiar złego zjawiłeś się z twoją sprawą w nieodpowiednim czasie. Naprawdę trudno było wybrać gorszą chwilę, by molestować biskupa...

– To była rada Arnvida, nie moja – przerwał Olaf.

– Och, Arnvid... I on również zjawi się w chwili najbardziej nieodpowiedniej, jeśli będzie chodziło o to wątle źdźbło, o tę niewiastę... Ale jak powiedziałem już, Olafie, musimy obecnie wszystko tak urządzić, aby biskup nie był zmuszony zajmować się jeszcze tą sprawą zabójstwa. Twoi krewni powinni wystąpić i ich rzeczą będzie uzyskać dla ciebie list żelazny, abyś mógł okupić sobie spokój w krajach króla norweskiego.

– Kto wie – rzekł po namyśle Olaf – nie sądzę, aby biskup był zadowolony, jeśli w ten sposób zniknę.

– Nie, nie spodoba mu się to z pewnością – odparł krótko ksiądz – I dlatego właśnie chcę, byś to uczynił. Ci nowi mężowie, którzy dzierżą władzę w imieniu naszego młodego króla, przygotowują się obecnie do otwartej walki z świętym Kościołem, należy więc uwolnić pana Torfinna od trosk takich jak twoja. Gdyby cię zamknięto w lochach Mjös, wystąpiłby na pewno w twojej obronie, ponieważ szukałeś u niego pomocy i ponieważ masz niewielu przyjaciół, a pan Torfinn jest pobożnym i prawdziwie świątobliwym ojcem wszystkich sierot; poza tym jest uparty i zacięty jak kozioł, to jego największa wada. Spodziewam się, że okażesz teraz rozsądek: już raz powierzyłeś się opiece biskupa i udzielił ci jej, a potem popełniłeś takie głupstwo. Niemęskie byłoby twoje

zachowanie, gdybyś żądał od niego dalszej pomocy wiedząc, że narażasz go na jeszcze większe trudności.

Olaf kiwał w milczeniu głową. Po czym wstał i zaczął się ubierać.

– Ciężko będzie nam teraz – szepnął cicho – Ingunie i mnie spotkać się znowu.

– Kiedyś sprzykrzy się krewnym żywić dziewczynę i pilnować jej, jeśli nie jest ani zamężna, ani wolna – odrzekł ksiądz. – Ale prawdopodobnie będziecie musieli przeczekać parę lat.

Olaf ściągnął brwi, wpatrzył się przed siebie:

– Przysięgliśmy sobie wzajemnie tej nocy dotrzymać wiary i ja powrócę do niej – żywy albo umarły!

– Bezbożne to ślubowanie – oświadczył sucho Asbjörn. – Ale sobie już myślałem, Olafie, że łatwo jest być dobrym chrześcijaninem, póki Bóg nie żąda od nas niczego więcej niż słuchania pięknych śpiewów w kościele i posłuszeństwa, gdy nas głaszcze ojcowską dłonią. Prawdziwa wiara człowieka wystawiona bywa na próbę dopiero wówczas, kiedy Bóg nie chce tego, czego chce człowiek. A teraz posłuchaj, co powiedział niedawno biskup Torfinn. Mówiliśmy o tobie i twojej sprawie. „Oby Bóg – rzekł biskup – dał, aby Olaf w porę zrozumiał, że człowiek, który sądzi, iż postępuje według własnej woli, wnet dożyje dnia, kiedy przekona się, że uczynił to, czego nigdy nie chciał uczynić.”

Olaf patrzył przez chwilę przed siebie w zamyśleniu. Potem skinął głową.

– Tak, to prawda. Wiem o tym.

Podano im posiłek i wkrótce potem położyli się w ubraniach, wszyscy prócz Arnvida, który chciał czuwać. Usiadł przy palenisku i czytał po cichu z księgi wydobytej z sakwy podróżnej. Od czasu do czasu podchodził do

drzwi i wyglądał przez nie, aby się zorientować, jaka jest pora. Rozjaśniło się teraz, niebo było całe gęsto usiane migającymi gwiazdami. Mróz był coraz większy. Wreszcie Arnvid ukląkł i zaczął się modlić rozpostarłszy na krzyż ramiona. Po skończonej modlitwie wyszedł na dwór, miesiąc wschodził nad skrajem boru. Wrócił do izby i zbliżył się do łoża, gdzie spali Olaf i Inguna przytuliwszy do siebie twarze. Obudził młodzieńca.

– Czas na ciebie.

Olaf otworzył oczy, wysunął się z ramion Inguny i natychmiast wstał. Był zupełnie ubrany, jedynie bez butów i płaszcza. Wdział buty i kubrak z reniferowej skóry, Arnvid wystarał mu się o ubranie bardziej odpowiednie do dalekiej jazdy na nartach niż długi kaftan i czerwone kurdybanowe buty; zresztą ucierpiały one bardzo ubiegłej nocy.

– Mój Guttorm zna wszystkie drogi w gminach po obu stronach granicy – odezwał się Arnvid. Jego stary pachołek, opiekun nieledwie, miał być przewodnikiem Olafa. Arnvid wręczył Olafowi swój miecz, włócznię oraz sakiewkę z pieniędzmi: – Powiemy, żeś mi sprzedał twójego Łosia, wiesz przecie, że zawsze pragnąłem go mieć.

– Tak jest.

– Owo plugawe gadanie Einara... – bąknął Arnvid wlepiając oczy w ogień. – Zawsze był łgarzem i lubił dokuczać... Rozpustny cap. Nie pojmował, że inni brzydzą się rzeczami, które on sam...

Olaf spuścił oczy, śmiertelnie zmieszany. Nie rozumiał ani słowa.

– Pragnąłbym bardzo, abyś dostał Ingunę, Olafie, bo wierzę, że, będziesz dla niej dobry. Czy przysięgniesz, że nie zdradzisz nigdy mojej krewnej?

– Przysięgam. I wierzę, że będziesz jej strzegł. Gdyby nie pewność, że mogę być spokojny o jej los, jeśli ty się nią zajmiesz, przenigdy nie posłuchałbym Asbjörna i nie uciekłbym do Szwecji. Wiem, że lubisz Ingunę.



– To prawda – odparł Arnvid. I nagle wybuchnął śmiechem. Walczył z chęcią śmiechu, lecz nie mógł jej opanować; usiadł i aż trząśł się z hamowanego chichotu, a łzy ciekły mu po policzkach. Siedział tak skulony, wstrząsany śmiechem, łokcie oparł na kolanach, głowę zaś ukrył w dłoniach. Olaf stał obok ogromnie stropiony.

– No, ale teraz musicie już wyruszyć w drogę, ty i Guttorm.

Arnvid opanował się, otarł łzy i podniósł się. Podszedł do łoża i zbudził tamtych dwoje.

Olaf i stary Guttorm stali już na dziedzińcu z nartami przypiętymi do nóg, dobrze uzbrojeni i wyposażeni we wszystkie potrzebne rzeczy. Inni stali przed drzwiami domu. Nagle Inguna zbliżyła się do Olafa i podała mu rękę. Potrząsnęła nią mocno, zamienili z sobą szeptem kilka słów. Była zupełnie spokojna i opanowana.

Sierp księżycy wzeszedł tymczasem tak wysoko, że długie, chybotliwe cienie padały na nawiane wydmę śnieżną.

– Sądzę, że w lesie droga powinna być dobra – pocieszał ich ksiądz.

Olaf odwrócił się i podjechał ku dwóm przyjaciółom. Podał im rękę i serdecznie podziękował za pomoc. Potem zawrócił. Arnvid i ksiądz Asbjörn stali i patrzyli za Olafem i jego przewodnikiem, jak szybkimi i sprężystymi krokami suną przez pola w stronę lasu. Zniknęli wreszcie w borze, mrok ich skrył.

– Chwała Bogu – przemówił ksiądz. – Żle, że to wyjście jest jeszcze najlepsze. Obawiałem się, że Inguna może się niewłaściwie zachować, płakać i krzyczeć w ostatniej chwili.

– O, nie – odparł Arnvid. Spojrzał w górę na księżyc, uśmiechnął się z dziwną swobodą. – Ona tylko w drobnych sprawach postępuje w ten sposób. W poważnych jest doskonała jak złoto.

– Tak mówisz? No, ty znasz ją lepiej ode mnie – rzekł Asbjörn obojętnie. – Teraz chodzi o nas dwóch, Arnvidzie. Drogo nas to może kosztować, że pomogliśmy Olafowi w ucieczce.

– Prawda, lecz innej rady nie było.

– Nie – ksiądz potrząsnął głową. – Chciałbym jednak wiedzieć, czy Olaf rozumie, że my dwaj ryzykujemy wiele, pomagając mu w tym?

– Ach, jesteś chyba niespełna rozumu – rzekł Arnvid i fala śmiechu znów go ogarnęła. – Bądź pewien, że ten młokos nie ma pojęcia, jaką co ma wartość...

Asbjörn Allfeit roześmiał się słabo, potem ziewnął. I wszyscy troje, ksiądz, Arnvid oraz Inguna weszli do izby i położyli się spać.

CZEŚĆ DRUGA  
INGUNA CÓRKA  
STEINFINNA

Po ucieczce Olafa biskup Torfinn oświadczył, że nie ma prawa dłużej zatrzymywać Inguny i wzbraniać się przed wydaniem jej stryjom. Arnvid odpowiedział jednak, że Inguna jest chora, nie może jej więc puścić. Pan Torfinn był bardzo rozgoryczony dowiedziawszy się, że Arnvid nie chce słuchać prawa, gdy mu to nie dogadza. Biskup postanowił załatwić sprawę w ten sposób, aby Inguna udała się do swej ciotki, na Berg; ale Arnvid oświadczył, że dziewczyna jest za słaba, by tak daleko jechać.

Kolbein syn Torego i Haftor pienili się z wściekłości, na wieść o ucieczce Olafa; mówili, że z pewnością sam biskup maczał w tym palce, choć pana Torfinna nie było wcale w mieście podczas dokonania zabójstwa i wrócił dopiero po ucieczce zabójcy, i choć Arnvid przyznał się, że to on pomógł Olafowi zbiec do Szwecji. Kiedy zaś wyszło na jaw, że Asbjörn Allfeit działał wraz z Arnvidem, i że zbieg szukał schronu u siostry księdza, zamężnej w Szwecji, pan Torfinn tak się rozsierdził, że zabronił Asbjörnowi przez jakiś czas pokazywać mu się na oczy, mimo że ksiądz zapłacił grzywnę za swój udział w tej historii. I choć nikt poważnie nie wierzył, że biskup wiedział cokolwiek o ucieczce Olafa, znalazło się wielu takich, którzy brali mu za złe, że jeden z jego księży złamał ustawy i pomógł człowiekowi pozbawionemu praw ułatwiając mu ucieczkę.

Wójt ogłosił Olafa za wyjętego spod prawa i dopiero wówczas wystąpili nareszcie Helge z Tveit oraz jego synowie i ofiarowali się w imieniu Olafa zapłacić grzywnę za zabójstwo według orzeczenia poważnych mężów na tingu. Helge i jego synowie nie byli najbliższymi krewnymi Olafa; byli potomkami brata jego pradziada i te dwie gałęzie rodu, jedna z Tveit, druga z Hestviken, od wielu lat mało miały wspólnego. Prawdziwym zaś opiekunem Olafa był niedołężny starzec z Hestviken. Wskutek tego

krewniacy Olafa niewiele mogli wskórać w jego sprawie. Gdy biskup Torfinn wybrał się wiosną do Björgvin w jakiejś innej sprawie, zabrał w swej świcie Jona syna Helgego z Tveit, aby wystarał się u króla o list żelazny – dla Olafa.

Kolbein domagał się wygnania Olafa i obłożenia go klątwą. Twierdził, że chodzi tu o zwyczajną zbrodnię: Olaf uwiódł bratanicę Kolbeina na dworze jej ojca, po czym zamordował krewnego dziewczyny, gdy ten wezwał go do naprawienia krzywdy. Swymi zastępcami w Björgvin wyznaczył Kolbein rycerza Gauta syna Torvarda, oraz jego syna Haakona. Pan Gaut był spokrewniony z baronem Andres Plyttem, pan Andres zaś zasiadał w radzie koronnej, rządzącej w Norwegii podczas małoletności króla i był jednym z przywódców możnych panów przygotowujących się do walki z prałatami, broniącymi wolności i praw Kościoła. Okazało się teraz, że synowie Torego liczyli na poparcie tych właśnie ludzi i że przeznaczili Ingunę na żonę Haakonowi synowi Gauta.

Wobec tego biskup hamarski po raz drugi podjął się obrony Olafa. Oświadczył, że w żadnym razie nie można oskarżać Olafa o uwiedzenie, jeśli żył z Inguną w dobrej wierze, że dawna umowa zaręczynowa jest ważna. Przypomniął, że Ivar i Kolbein obiecali już pogodzić się z Olafem, zanim stało się owo nieszczęście, kiedy to Olaf zabił Einara w sprzeczce, jaka wybuchła wtedy, gdy wraz z innymi pili w gospodzie dominikanów. Mówił, że byłoby największą niesprawiedliwością, gdyby Olaf nie korzystał z tej samej łaski, co każdy zabójca, mianowicie nie otrzymał listu żelaznego oraz gwarancji dla swojej osoby i swych dóbr, skoro zobowiązał się uścić królowi grzywnę, a rodzinie Einara pełny okup za zabicie mężczyzny. W każdej niemal gminie norweskiej żyją ludzie skazani na banicję za zabójstwo albo jakąś inną zbrodnię i siedzą bezpieczni na swych dworach dzięki królewskim listom żelaznym – ba, niektórzy dufni w swą potęgę siedzą nawet bez takich listów. Łacno mógłby każdy

powiedzieć, iż największym bezprawiem jest to, że z Olafem postąpiono surowiej pomimo jego młodości. Gdyby popełnił zabójstwo przed ostatnią zmianą prawa, którą wprowadził świętej pamięci król Magnus, nikt nie mógłby go ukarać srożej, niż wygnaniem z kraju do czasu pełnoletności. Olaf kazał przecież zaraz oświadczyć Kolbeinowi przez Arnvida i księdza Asbjörna, że gotów jest zapłacić okup za zabójstwo.

Około Zielonych Świątek powrócił Olaf do Norwegii i zamieszkał w okręgu Elve, niedaleko klasztoru Mariaskog. Miał tam małą posiadłość dziedziczną i parę udziałów dworskich; ów dwór przypadł ludziom z Hestviken w spuściźnie po babce Olafa, żonie jego dziada, Ingolfa syna Olafa. Nikt tutaj nie próbował pozbawić go wolności, pełnomocnicy królewscy zostawili go w spokoju aż do jesieni, tutaj był z dala od gmin, gdzie przebywali jego wrogowie.

Gdy jednak jesienią obwieszczono, że leżące na północy dobra Olafa syna Auduna zostały obłożone aresztem – zarówno nieruchomości pozostawione w Oplandii, jak i włości w Viken i majątki dziedziczne – Olaf powtórnie opuścił kraj i tym razem pożeglował na południe, do Danii.

Na Miklebö pani Hillebjörga mile przyjęła Ingunę. Lubiła Olafa, mimo że rzadko go widywała, a polubiła go jeszcze bardziej, odkąd zabił jednego z potomków nałożnicy Torego. Do syna odniosła się również życzliwiej niż zazwyczaj, a gdy oskarżono Arnvida, że pomógł Olafowi, śmiała się i klepała go po ramieniu; – Dość późno, synu, zostałeś nareszcie wmieszany w prawny spór. Nigdy nie byłam zadowolona z tego, że byłeś tak potulny.

Do chorej młódki pani Hillebjörga odnosiła się życzliwiej i łagodniej niż do jakiegokolwiek człowieka. Inguna ciągle chorowała; dręczyły ją

zawroty głowy tak silne, że gdy rano wstawiała z łoża, musiała długi czas stać w miejscu i mocno się czegoś uchwycić, bo izba wirowała dokoła niej, a przed oczami latały czarne platy, tak że nic nie widziała. Ilekroć się schyliła, by podnieść jakąś rzecz z podłogi, mgła przesłaniała jej oczy i na jakiś czas odejmowała jej wzrok. Nie mogła nic jeść, chudła, a twarz jej powlekła bladość aż po kąciki oczu. Pani Hillebjörga warzyła różne zioła mające koić dolegliwości, lecz Inguna i tych nie przyjmowała. Stara niewiasta śmiała się i pocieszała ją: wiadomo, ta choroba trwa tylko przez określony czas, na pewno wkrótce poczuje się lepiej. Inguna nie odpowiadała słówkiem na żarciki pani Hillebjörgi, pochyliła tylko głowę i próbowała ukryć łzy. Zresztą nie płakała nigdy, była cicha i cierpliwa.

Niezdolna do najłżejszej nawet pracy, siedziała tylko przy warsztacie i tkła wstęgi zdobne we wzór z malutkich kwiatów i zwierzątek. Albo szyła płócienną koszulę, skrojoną jeszcze w Hamarze. Zawsze okazywała zdolności do delikatnych robótek ręcznych, w tę zaś koszulę, którą miał dostać Olaf po powrocie, włożyła cały swój kunszt i biegłość; ale nieszybko posuwała się ta robota naprzód. Niekiedy robiła zabawki dla synów Arnvida, plotła dla nich kolczugi ze słomy, wprawiała pióra w bełty ich strzał, robiła piłki i kije lepsze od tych, które chłopcy kiedykolwiek mieli. Znała te rzeczy dobrze, jak mówiła do Arnvida, zawsze bowiem bawiła się z chłopcami i Olaf nauczył ją tego. Śpiewała dzieciom piosenki, opowiadała im baśnie i klechdy, i najlepiej czuła się w towarzystwie trzech chłopczyków; najchętniej siedziałyby cały czas z jednym z nich na kolanach. Magnus liczył już pięć lat, a bliźnięta, Finn i Steinar, miały niespełna cztery. Magnus i Finn byli silni i zuchowaci, nie bardzo też garnęli się do kobiecych pieszczoł, Steinar jednak był łagodnego usposobienia i całą miłość zwrócił ku Ingunie. Gdziekolwiek szła i przebywała, ten chłopczyzna był zawsze u jej boku: nosiła go na rękach i sypiała z nim razem w nocy. A że Steinar był również ulubieńcem

ojca, Arnvid przesiadywał najczęściej wieczorami z Inguną, podczas gdy chłopczyk bawił się na jej kolanach; Arnvid śpiewał im, póki malec nie zasnął z główką na piersiach Inguny. Wówczas prosiła Arnvida, aby zachowywał się cicho, siedziała w milczeniu, patrzyła na śpiące dziecko, całowała je ostrożnie we włosy i znów wpatrywała się w przestrzeń.

Im bardziej jednak zbliżało się lato, tym widoczniejsze było, że choroba Inguny nie ma przyczyny naturalnej, i nikt nie pojmował, co jej naprawdę dolega.

Arnvid zastanawiał się, czy to jedynie smutek mógł ją tak całkowicie złamać, bo wszystko wskazywało na to, że chyba jakiś urok wywołał chorobę. Zamiast przyjść do siebie, czuła się z każdym dniem gorzej. Męczyły ją coraz silniejsze zawroty głowy i kilka razy upadła nieprzytomna na ziemię; zwracała każdą potrawę i skarżyła się na ciągłe bóle w okolicy krzyża, jakby uderzono ją w tym miejscu kijem. Prócz tego miała dziwne uczucie, że nogi jej obumierają, już tylko z trudem nimi powłóczyła.

Dniem i nocą tęskniła za Olafem, jak domyślał się Arnvid; do tego zaś dołączył się żal za rodzicami; przez pewien czas z powodu Olafa zapomniała o nich zupełnie. Teraz robiła sobie gorzkie wyrzuty z tego powodu i mówiła, że zmarnowała szczęście, które jej może było przeznaczone.

– Tej nocy, kiedy umarła moja matka, zostałam żoną Olafa – powiedziała kiedyś do Arnvida.

Twarz Arnvida miała dziwny wyraz, gdy usłyszał te słowa, milczał jednak.

Rozłąka z rodzeństwem smuciła ją również. Tora mieszkała na Berg u ciotki, a chociaż stosunek dwóch siostr nie był nigdy serdeczny, tęskniła teraz za Torą. Z jeszcze cięższym sercem myślała o dwóch młodziutkich braciach; z nimi była zawsze w tak wielkiej przyjaźni, obecnie zaś żyli na Frettastein pod opieką Haftora i jego młodej żony i na pewno obaj,



Hallvard i Jon, wyrastać będą w nienawiści do Olafa i z urazą do niej.

O tym wszystkim mówiła nieraz z Arnvidem – bez łez, ale miało się wrażenie, że jest zanadto zgnębiona i zrozpaczona, by mogła płakać. Arnvid zadawał sobie nieraz w duchu pytanie, czy Inguna nie umrze z żalości?

Pani Hillebjörga natomiast sądziła, że choroba, na jaką zapadła dziewczyna, jest tak osobliwa, iż można przypuszczać, że chyba jakiś urok ją wywołał.

Pewnego wieczora z początkiem lata udało się Arnvidowi wyciągnąć Ingunę z domu; mieli przy ładnej pogodzie obejrzeć pięknie rosnące zboże. Cały czas musiał ją podtrzymywać i zauważył, że dziewczyna chodzi tak, jakby miała nogi skrupowane niewidzialnym powrozem.

A gdy doszli na skraj lasu, osunęła się nagle na ziemię zemdlona i dopiero, po długim czasie udało mu się ją docucić. Nie mogła ustać na nogach, musiał ją zanieść do domu, jak dziecko. A była tak chuda i lekka, że aż się przeraził.

Nazajutrz z rana okazało się, że straciła władzę w nogach, cała dolna część ciała była sparaliżowana. W pierwszych dniach Inguna leżała i żaliła się cicho, cierpiała z powodu strasznych bólów w plecach. Potem to przeszło, lecz ciało było zupełnie bez czucia, od pasa aż do stóp. Tak leżała bez skargi, niewiele mówiąc, często jakby nieobecna i z dala od wszystkiego, co ją otaczało. Jediną jej prośbą było, aby zostawiono przy niej Steinara, i gdy chłopaczek wspinał się na łożo i dokazywał na jej wpół umarłym ciele, tak wycieńczonym, że wyglądało jak szkielet, sprawiała wrażenie zadowolonej.

Przez ten czas nie wiadomo było zupełnie, gdzie przebywa Olaf. Arnvid myślał, że Inguna wnet umrze, a on nie mógł nawet przesłać mu

wiadomości, co się z nią dzieje.

Pani Hillebjörnga jednak każdemu człowiekowi, który się nawinął, oświadczała bez ogródek, że Inguna z całą pewnością została urzeczona. Kłula przeciw szpilkami jej uda i łydki, przypiekała je rozpalonym żelazem, a dziewczyna tego nie czuła; na to może postawić świadków, szanowanych mężów i białogłowy, a także swego proboszcza i syna. Poza Kolbeinem i Haftorem nie można podejrzewać nikogo o ten bezecny czyn; oto leży to nieszczęsne dziecko, gaśnie w oczach i umiera powolną śmiercią. W końcu rozkazała synowi, aby zażądał od biskupa przeprowadzenia śledztwa w tej sprawie.

Arnvid uwierzył już niemal, że matka ma słuszość, i obiecał wybrać się do pana Torfinna, gdy biskup powróci z objazdu. Tymczasem przekonał Ingunę, by wyspowiadała się u proboszcza i zarządził, aby odprawiano msze za jej pomyślność. Tak przeszedł czas aż do Narodzenia Najświętszej Maryi Panny.

Tego dnia Arnvid spowiadał się i przyjął Ciało Pańskie, a podczas mszy modlił się tak żarliwie i długo za chorą krewniaczkę, że cały zlany był potem. Południe już minęło, kiedy ludzie z Miklebö wrócili z kościoła. Arnvid stał na podwórzu i rozmawiał z Guttormem o bułanku Łosiu, który okulał w drodze powrotnej. Wtem usłyszał głośne krzyki i wołanie o pomoc z izby, gdzie leżała Inguna.

Pobiegł szybko z Guttormem do domu i wpadł do izby. Inguna bosa, tylko w koszuli, dreptała pośrodku; izba była pełna dymu, a trzcina na podłodze paliła się wokół odzieży, którą Inguna chciała przygasić ogień. W ramionach trzymała Steinara; był owinięty kocem, krzyczał i jęczał. Gdy wpadli ludzie, Inguna osunęła się na ławę, całowała i tuliła chłopca, uspokajała go pieścizłowymi słowami:

– Steinarze, Steinarze, złotko moje, zaraz przestanie boleć! Zaraz cię opatrę, mój maleńki!

Krzyknęła, że malec poparzył się i żeby natychmiast przynieść oliwy i płótna.

Leżała sama w izbie, tylko Steinar był przy niej; siedział przy palenisku, gdzie dogasał żar, i chociaż prosiła go, by zaprzestał zabawy, wtykał wciąż do ognia suche gałązki, które zajmowały się i płonęły. Dzień był ciepły i chłopaczek miał na sobie tylko koszulkę, która nagle się zapaliła. Nim Inguna zdołała się opamiętać, już stała przy palenisku i trzymała dziecko w ramionach. Narzuciła na nie koc dusząc w ten sposób ogień. Wtedy dopiero spostrzegła, że podłoga pali się również, zajął się bowiem jałowiec i tatarak, którym była wysypana. Cisnęła więc na podłogę poduszki z ławy i deptała po nich wołając o pomoc.

Chłopczyk miał oparzony brzusek, Inguna również miała oparzelizny na nogach i na wewnętrznej stronie ramion. Troszczyła się jednak tylko o Steinara; nie pozwoliła przewiązać sobie ran, póki nie opatrzone dziecko, po czym zaniosiła je do swego łóża, położyła się przy nim, głaskała biedne małeństwo i przemawiała do niego najczulszymi słowami. I dopóki chłopiec miał gorączkę i bóle z powodu ran, nie myślała o niczym innym, tylko o nim.

Bezład nóg ustąpił zupełnie, sama nie zauważyła tego niemal. Gdy przynoszono jej posiłek, jadła i piła bezmyślnie i łapczywie; straszne wymioty i zawroty głowy zniknęły. Arnvid dniem i nocą czuwał przy synku i chociaż serdecznie bolał go widok jego cierpień, dziękował jednak Bogu za cudowne uzdrowienie Inguny.

Odtąd stan jej poprawiał się prędko; i kiedy Steinar wrócił na tyle do sił, że można było wynieść go przed dom, aby popatrzeć na świeżo spadły śnieg, Inguna odzyskała już delikatną krągłość twarzy i ciała, a policzki jej pokraśniały lekko w zimowym przymrozku.

Ze Steinarem na rękach stała przed domem i czekała na Arnvida, który niedaleko przy kamiennym kopczyku zbierał głóg do kapelusza; Steinar

chciał koniecznie, aby ojciec poszukał mu jagód.

Widoki na pojednanie między Arnvidem a krewnymi Inguny nie polepszyły się bynajmniej wskutek rozsiewanych przez panią Hillebjörgę pogłosek, jakoby Kolbein kazał rzucić urok na bratanicę. Toteż kiedy na Frettastein niedługo przed adwentem pito piwo na zrękowinach Haakona syna Gauta z Torą córką Steinfinna, nikogo z Miklebö nie było na biesiadzie. Wesele odbyło się w dzień noworoczny 1282 roku, po czym nowożeńcy wybrali się w podróż i kolejno gościli u krewnych młodej żony, bo Haakon, najmłodszy z kilku braci, nie posiadał na zachodzie dworu. Zamierzał osiąść na stałe gdzieś w Oplandii.

Wkrótce potem pani Magnhilda z Berg przysłała na Miklebö wiadomość, że chce wziąć do siebie Ingunę. Ivar i Kolbein przyrzekli zostawić dziewczynę w spokoju, jeżeli będzie tam żyła cicho i obyczajnie. Arnvid kłął siarczyście, kiedy ojciec Vegard to mówił, nie mógł jednak zaprzeczyć, że według prawa nie może rozporządzać Inguną. Nadto pani Hillebjörga uprzykrzyła sobie już gościa; teraz, gdy Inguna wróciła do zdrowia, gospodyni nie miała cierpliwości do młodej kobiety, która nie nadawała się do żadnej roboty. Poza tym zupełnie słuszne było to, co pani Magnhilda kazała powiedzieć: mieszka u niej wiekowa matka, Aasa córka Magnusa, wdowa po Torem na Hov; staruszka jest schorowana i opieka wnuczki bardzo jej się przyda.

Tak więc na krótko przed Wielkanocą Arnvid z Inguną pojechali do Berg.

Pani Magnhilda była najstarszą ze ślubnych dzieci Torego, liczyła około pięćdziesiątki; była rówieśnicą przyrodniego brata Kolbeina i wdową po rycerzu Wikingu synu Erlinga. Dzieci nie miała nigdy; chcąc spełnić

dobry uczynek brała na swój dwór młode dziewczęta, córki krewnych i przyjaciół, i trzymała je po parę lat u siebie, aby nabrały dwornego obejścia i nauczyły się tego wszystkiego, co winny umieć kobiety dobrze ułożone, albowiem pani Magnhilda za życia swego małżonka przebywała dużo na królewskim dworze. Swego czasu ofiarowała się także wziąć do siebie bratanice z Frettastein, ale Steinfinn, a może też Ingebjörga, nie chcieli posłać do niej dzieci, i pani Magnhilda miała nawet o to wielki żal. Gdy później wyszło na jaw, że Inguna pozwoliła zbałamucić się Olafowi, pani Magnhilda oświadczyła, iż spodziewała się czegoś podobnego: dzieci były źle wychowane, matka ich zaś okazała nieposłuszeństwo swemu ojcu i niewierność wobec narzeczonego, nic więc dziwnego, że córki Steinfinna ściągają hańbę na cały ród.

Znużona i wyczerpana jechała Inguna ostatni kawałek drogi saniami przez las. Od kilku dni byli już w drodze, zaraz po ich wyjeździe z Miklebö spadł śnieg i ociepliło się. Teraz, pod wieczór znowu zamarało i Arnvid szedł obok sań prowadząc konia; droga była kiepska, od czasu do czasu wiodła przez nagi, oblodzony grunt skalny, gdzie indziej znowu przez nawiane, głębokie wydmy śnieżne; nikt widocznie nie jechał tędy od ostatniej śnieżycy.

Kiedy wyjechali z boru, słońce stało nisko nad wzgórzem na wprost nich; we mgłę było ono żółtoczerwone; chropowaty lód na zatoce miał bladą, brudną barwę miedzi. Zimna mgła ścięła się szronem na gałęziach drzew i krzewów, świat cały wydawał się kosmaty i szary w świetle zachodu. Ludzie Arnvida mieli ciężką przeprawę; i oni, i sanie z łubami zapadały się co chwila w zmarznięty śnieg. Dwór leżał w dole, nad jeziorem, nieco oddalony od gminy; las zamykał widok, tak że z Berg nie można było dojrzeć sąsiednich dworów.

Inguna widziała ciotkę po raz ostatni półtora roku temu w Hamarze; wówczas pani na Berg odniosła się do niej surowo. I teraz też nie

oczekiwała zbytnej dobroci z jej strony.

Kiedy sanie zaczęły się ślizgać po pierwszej pochyłości w dół, Arnvid przysiadł na ich brzegu.

– Nie upadam na duchu – rzekła Inguna – wiesz dobrze, iż się nie żalę. Ale tutaj nie przyjmą mnie kochające ramiona. Módl się do Boga, przyjacielu, by pokrzepił moją duszę, gdyż niejedna ciężka próba czeka mnie tutaj.

Ale gdy zajechali na dziedziniec, pani Magnhilda wyszła im sama naprzeciw i życzliwie powitała Ingunę. Zaprowadziła bratanicę do niewieściej izby i rozkazała dziewczkom przynieść ciepły trunek oraz suche ciżmy. Sama pomogła Ingunie zdjąć kosmate buty i futrzaną szubę. Potem jednak ujawszy w palce koniec niewieściej chusty Inguny powiedziała:

– To musisz tutaj zdjąć!

Inguna zaczerwieniła się.

– Gdy byłam w Hamarze, nosiłam zawsze niewieści czepek. Biskup polecił mi zakryć włosy. Mówił, że żadna obyczajna kobieta nie chodzi z odkrytą głową, jeśli już nie jest dziewczicą.

– O, biskup... – pani Magnhilda wydeła wzgardliwie wargi. – On miewa dziwne pomysły. Odtąd tyle już czasu minęło i plotki o tobie tutaj po gminach ucichły. Nie chcę, byś sama podsyciała znowu wspomnienie swej hańby, chodząc tu jak wariatka ubrana w niewieści strój. Zdejm chustkę i przekręć pas. Szczęściem w nieszczęściu jest mimo wszystko to, żeś nigdy nie była zmuszona przesuwac zapięcia.

Suknia Inguny spięta była skórzanym pasem, nabijanym małymi, srebrnymi gwoździakami i pięknie ozdobionym zwisającym chwastem. Pani Magnhilda przesunęła pas tak, by klamra była pośrodku. I jeszcze raz nakazała Ingunie zdjąć czepek.

– Wszyscy wiedzą tu o mnie – wybuchnęła Inguna. – Teraz jeszcze gorzej będą mnie sądzić i myśleć, że jestem bezwstydną, jeśli będę chodzić z odkrytymi włosami, choć nie mam do tego prawa. Tak czynią tylko dziwki...

Pani Magnhilda odparła:

– Chodzi mi także o twoją babkę, która jest już bardzo stara. Z czasów młodości pamięta jeszcze wszystko doskonale, lecz natychmiast zapomina nowin. Musielibyśmy co dnia na nowo tłumaczyć jej, dlaczego chodzisz w niewieścich szatach.

– Można by jej powiedzieć, że mój mąż wybrał się w podróż.

– A poza tym dojdzie uszu Kolbeina, że trwasz uporczywie przy dawnych żądaniach, i jego nienawiść do Olafa nigdy nie ostygnie! Bądźże rozsądna, Inguno, skończ z tymi głupstwami!

Inguna zdjęła chustkę i złożyła ją z wolna. Była to najładniejsza z jej chustek, długa na cztery łokcie, obramowana jedwabiem. Hillebjörga podarowała jej ów czepek tego lata mówiąc przy tym, by włożyła go w niedzielę w dniu, kiedy po raz pierwszy pójdzie na mszę z Olafem po jego powrocie.

Wyciągnęła szpilki z włosów. Spłynęły ciężką, jasnobrązową falą.

– Ach, jakie prześliczne masz włosy! – zawołała pani Magnhilda.  
– Wiele kobiet byłoby zadowolonych, gdyby mogły pysznić się takimi włosami jeszcze przez jakiś czas, wtedy zwłaszcza, jeśli by nie mogły cieszyć się mężem, a niewieści strój nie przynosiłby im władzy ani pełnoletności. Rozpuść dzisiaj włosy, Inguno!

– O, nie, ciotko – prosiła Inguna niemal z płaczem. – Naprawdę, tego nie powinniście żądać ode mnie. – Rozdzieliła bujną falę włosów i splotła dwa proste, mocno ściśnięte warkocze, bez żadnej ozdoby.

Kiedy weszły do izby, Arnvid siedział już przy stole. Podniósł oczy i spochmurniał:

– Masz tu więc chodzić bez czepka? – spytał później, gdy życzyli sobie dobrej nocy. – Nie wolno ci tu będzie uchodzić za mężatkę?

– Nie, widzisz przecież – odparła krótko Inguna.

Aasa córka Magnusa miała na Berg własne domostwo i spichlerz oraz dwie dziewczki służebne, które dbały wyłącznie o nią, gotowały jej strawę, przędły i tkwały konopie i wełnę, dawane staruszce ze dworu. Grim i Dalla, służący przedtem na Frettastein, doglądali jej zwierząt, stojących w stajni pani Magnhildy; dwoje starych zamieszkiwało małą chatkę przy oborze, zaliczano ich jednak do czeladzi Aasy.

Inguna nie miała więc żadnej innej roboty niż zarządzać małym gospodarstwem babki i umilać czas starowinie.

Większą część dnia, kiedy dziewczki zajęte były pracą, spędzała w izbie u babki.

Jak mówiła pani Magnhilda, Aasa była już nieco zdziecinniała, zapominała o wszystkim, co jej mówiono, i bezustannie pytała o to samo. Zdarzało się, że rozpytywała o najmłodszego syna, Steinfinna, czy dawno bawił na Berg i czy szybko spodziewają się go znowu? Niekiedy uświadamiała sobie, że Steinfinn umarł. Wówczas pytała: – Przecież on zostawił czworo żyjących dzieci? A tyś jest najstarsza? Ależ naturalnie, pamiętam doskonale; ochrzczono cię Inguną, po mojej matce, bo matka Ingebjörgi żyła jeszcze, kiedyś przyszła na świat, i wyklęła córkę za to, że uciekła ze Steinfinnem. Ach, tak, mój Steinfinn był chwatem nie lada i drogo odpokutował za to, że uganiał się za kobietami i uwiódł przemocą córkę rycerza...

Aasa nigdy nie lubiła Ingebjörgi i często mówiła o Steinfinnie i synowej, niepomna, że mówi z ich córką.

– Ale prawda, jakże to było? Czy jedna z córek Steinfinna nie popadła



w nieszczęście? Nie, to niemożliwe, chyba nie są tak dorosłe?

– Babko droga – prosiła zgnębiona Inguna – połóżcież się teraz i zdrzemnijcie trochę.

– Słusznie, Gyrido, tak będzie najlepiej. – Aasa często zwała wnuczkę Gyridą. Brała ją za Gyridę córkę Alfa, krewniaczkę, która przed piętnastu laty bawiła na Berg.

Wszystko natomiast, co wydarzyło się jej za młodu, żyło wyraziście w pamięci sędziwej pani Aasy. Mówiła nieraz o swych rodzicach i o bracie Finnie, ojcu Arnvida, i o szwagierce Hillebjördze, której bała się zarazem, chociaż Hillebjörga była od niej o wiele młodsza.

W piętnastym roku życia wydano ją za Torego na Hov. Tore żył przed ślubem więcej niż dziesięć lat z Borghildą i niechętnie rozstał się z nałożnicą; z Hov wyjechała ona dopiero rankiem tego dnia, kiedy na dwór przybyła narzeczona. Dopóki żyła, miała nadal wielki wpływ na Torego – a żyła jeszcze dwadzieścia lat po jego ożenku. W każdej ważniejszej sprawie naradzał się z nią i nieraz zabierał do niej ślubne dzieci, aby im przepowiedziała przyszłość i orzekła, czy rokują wielkie nadzieje.

Całą miłość i ojcowskie staranie zwrócił Tore ku czworgu dzieciom spłodzonym z nałożnicą. Borghilda była córką kobiety niewolnej i męża poczesnego rodu; ba, powiadano, że jest dzieckiem jednego z tych królików, jakich wówczas wielu miała Norwegia. Była niewiastą mądrą, urodziwą i zaradną, ale dumną, chciwą na pieniądze i srogą wobec ludzi gorszego stanu.

Tymczasem Aasa córka Magnusa żyła na Hov. Urodziła mężowi czternaścioro dzieci, pięcioro jednak z nich zmarło jeszcze w kołysce; tylko czworo dożyło dojrzałego wieku.

Aasa pamiętała wszystkie swoje zmarłe dzieci i często je wspominała. Najbardziej bolała nad stratą jednej z córek, Herdis, która nabawiła się paraliżu od spania na wilgotnej łące i zmarła w cztery lata później, licząc

jedenaście zim. Jednego z synów, niedorostka, zabił koń, Magnus zaś stracił życie w bijatyce na pokładzie statku, wracając z innymi pijanymi młodzieńcami z zabawy w Toten. Magnus ożenił się niedługo przedtem, lecz nie zostawił dzieci, a wdowa po nim wyszła za mąż i przeniosła się w inne strony. Była najbardziej ulubioną synową pani Aasy.

– Powiedzcie mi, babko – pytała Inguna – czy w całym waszym życiu mieliście tylko troski i zmartwienia? Czy nie było w nim także dni dobrych, które byście teraz mogli wspominać?

Babka spojrzała na nią, jakby nie rozumiała. Teraz, kiedy leżała i oczekiwała śmierci, zdawała się równie chętnie wspominać bóle, jak i radości życia.

Inguna czuła się niezłe w tym cichym współżyciu ze starą kobietą. Wrażliwa została nadal i po wyzdrowieniu niechętnie zajmowała się czymś, co wymagało wysiłku lub skupienia. Siedziała zazwyczaj z jakąś misterną robótką, nie wymagającą pośpiechu i pograżona we własnych myślach nasłuchiwała jednym uchem gadania babki.

Ogromnie żywa w czasie dorastania, tak że z trudem tylko mogła usiedzieć na miejscu, obecnie zmieniła się zupełnie. Dziwna choroba, na jaką zapadła po rozłące z Olafem, pozostawiła jakby cień, który nie ustępował; dziewczyna zdawała się żyć w półśnie... Na Frettestein miała za towarzyszy chłopców, Olafa przede wszystkim, i oni wnosili z sobą ruch i życie, Inguna bowiem była za mało rzutka, żeby na własną rękę coś przedsięwziąć. Tutaj na dworze mieszkali same białogłowy, dwie stare niewiasty i ich dziewczki oraz kilku leciwych parobków i wyrobników; ci ludzie nie mogli wyrwać jej ze stanu sennego odrętwienia, w który popadła, leżąc jakby w bezwładzie i czekając na to, by zostać doszczętnie wymazaną z liczby żywych.

Po odejściu Olafa zdawało się, że Inguna nie ma sił wierzyć, iż on kiedykolwiek powróci. Zbyt wiele przewaliło się nad nią w tym krótkim czasie, odkąd jej ojciec wyruszył przeciw Mattiasowi, do dnia, kiedy Arnvid przywiózł ją do Hamaru. Miała wrażenie, że uniosła ją powódź, a czas spędzony w Hamarze był jak leniwie toczący się nurt, w którym pogrążeni, ona i Olaf, z wolna, lecz ustawicznie oddalali się od siebie. Wszystko tam było nowe i obce i Olaf również się zmienił, aż stał się jakby obcy... Rozumiała wprawdzie, że młodzieniec postępuje roztropnie, nie szukając sposobności potajemnego z nią spotkania. Sposób jednak w jaki zachował się w noc wigilijną, kiedy udało jej się doprowadzić do tego spotkania z nim sam na sam, przeraził ją: tak bardzo czuła się potem zawstydzona i opuszczona, że ani razu nie odważyła się myśleć o nim jak dawniej – z gorącą, słodką rozkoszą tęsknić za jego miłością. Było jej tak na duszy jak dziecku, kiedy dorosły skarci je i wykrzyczy, a ono nie pojmuje, że w tym, co zrobiło, może być coś złego.

A potem przybył do niej owej ostatniej nocy, wprost z mroku i zamieci, ośnieżony, szczuty i wzburzony, drżący ze zmęczenia i hamowanej porywczoci, pełen niepokoju – człowiek, na którego dłoniach była jeszcze świeża krew jej kuzyna. Wówczas, owej nocy, była spokojna i opanowana. Gdy ją opuścił, miała wrażenie, że głęboka toń zamknęła się nad nią. W pierwszym okresie choroby przypuszczała, że istotnie jest tak, jak przepowiadała pani Hillebjörga. Ale gdy z czasem okazało się, że nie będzie miała dziecka, nie odczuła prawie rozczarowania. Była tak wyczerpana, że nie miała sił znieść jeszcze czegoś więcej. Cierpliwie więc poddała się chorobie i nikt nie wiedział, co jej dolega; zdawało się, że nie ma dla niej ratunku. A gdy usiłowała patrzeć w przyszłość, widziała tylko czarną, falującą mgłę, podobną ciemności przesłaniającej wzrok podczas zawrotów głowy.

I tak pogrążyła się głęboko we wspomnieniach o wszystkim, co zaszło

ostatniego lata i jesieni między nią i Olafem. W półśnie całowała własne ramiona, warkocze i ręce, wyobrażając sobie, że czyni to Olaf. Ale im głębiej tonęła w marzeniu i tęsknocie, tym mniej rzeczywiste zdawało jej się wszystko, co było niegdyś. Ufała jeszcze, że sprawa skończy się tak, iż w końcu będą mogli pobrać się w spokoju i czci, ale nigdy nie potrafiła wyobrazić sobie tego naprawdę. Zupełnie tak, jak wierzyła w to, co słyszała od księży o szczęśliwości na tamtym świecie, ale nie umiała sobie tego wyobrazić.

Leżała więc bez czucia w nogach i bez nadziei, że kiedykolwiek odzyska w nich władzę. Choroba stargała ostatnie więzy łączące ją jeszcze z dniem codziennym, z działaniem i życiem innych. Przestała ufać, że kiedykolwiek zostanie poślubiona Olafowi, że będzie rządzić na jego dworze i rodzić mu dzieci. Zamiast tego pozwalała bujać marzeniom i mrzonkom, bawiła się myślą, że Olaf przychodzi i kładzie się obok niej. Co rano, po przebudzeniu, udawała, że jej małżonek wstał i wyszedł; ona leży i nasłuchuje zgiełku dnia na wielkim dworze. Wyobrażała sobie, że tutaj jest Hestviken i Olaf ma zwieźć tego dnia siano, to jego konie i sanie, to on wydaje rozkazy czeladzi. A kiedy Steinar leżał cicho w łóżu obok niej, obejmowała szczupłym ramieniem jego ciało, tuliła jasną głowę chłopczyka do piersi i w myśli nazywała go Audunem: był synkiem jej i Olafa. Potem kiedy chłopczyk niecierpliwił się i wymykał z jej objęć, uspokajała go i wabiła smakołykami ukrytymi w łóżu, opowiadała mu bajki i bawiła się w matkę gwarzącą z dzieckiem.

Po przybyciu na Berg wyrwało ją z tych snów przede wszystkim polecenie pani Magnhildy, aby zdjęła niewieści czepek. Nigdy dotąd nie uważała za hańbę tego, że uległa Olafowi. Na Frettastein nie zastanawiała się nad tym, tam tylko kochała. Dopiero kiedy Olaf i Arnvid zaczęli nagle nalegać na podróż do Hamaru i zażądali uznania praw Olafa do niej, poczuła coś jakby zmieszanie. Gdy jednak dobry biskup przysłał jej białe

plótno i kazał upiąć pod nim włosy, uspokoiła się znowu. Nawet jeśli zgrzeszyła wobec stryjów, którzy po śmierci ojca mieli zdecydować o jej zamążpójściu, pan Torfinn z pewnością wszystko uporządkuje, a wtedy będzie prawowitą małżonką, tak samo jak inne zamężne kobiety.

Aż zimno jej się zrobiło ze wstydu na myśl, że teraz oto ma chodzić z odkrytą głową, mimo że przez półtora roku nosiła niewieści strój; zupełnie jakby czyjeś bezwstydną rękę zdarły z niej przemocą szaty, jak to robiono niegdyś z niewolnicami na targu. Wzdrygała się przed wejściem do izby Magnhildy, ilekroć przebywali tam obcy. Z własnej woli nie pokazywała się nigdy między ludźmi, chyba w kościele: tam wszystkie kobiety musiały mieć włosy zakryte. Inguna nasuwała kaptur głęboko na twarz, tak by ani jeden kosmyk włosów nie był widoczny. Jak gdyby przepraszając za to, że teraz musi ubierać się niestosownie, odłożyła wszelkie ozdoby, chodziła jedynie w ciemnych, prostych sukniach, a włosy splatała w dwa grube, mocno ściśnięte warkoczki bez wstążek i ozdób.



Nadeszła wiosna. Pewnego dnia łód na zatoce zniknął, przejrzysta tafła wodna odbijała zieleniejące nadbrzeżne stoki. Pięknie było teraz na Berg. Inguna wyprowadzała babkę na słońce, siadała obok niej i szyła koszulę dla Olafa syna Auduna. Olaf powiedział kiedyś, że Hestviken leży nad fiordem. Wyszukiwała sobie różne drobne zajęcia, które mogła wykonywać w spichrzu należącym do Aasy, co rano szła tam, sprzątała i robiła porządki. Odsuwała okiennicę sprzed okienka, stawiała i patrzyła.

Tam, przy przeciwległym brzegu, sunęła łódź; podłużne smugi mąciły ciemne odbicie lasu. Inguna wyobrażała sobie, że w łódce siedzi Olaf i jej synek. Wiosłują ku temu brzegowi. Inguna widzi ich. Przybijają

do pomostu, Audun pomaga ojcu przycumować łódkę. Ojciec stoi na drewnianej kładce, a chłopaczek wskoczył z powrotem do łodzi, by pobrać ich rzeczy. Wreszcie bierze swoją siekierkę, Olaf wyciąga rękę i pomaga mu wydostać się z łódki, tak, synek jest już niemal tak duży jak Jon, jej najmłodszy brat. Teraz idą obaj ścieżką wiodącą ku dworowi, ojciec na przedzie, syn za nim. Ma także małą dziewczuszkę, na imię jej Ingebjörga. Bawi się na podwórzu, nadchodzi właśnie od spichrza, niesie w rękach dzieję pełną podpłomyków. Teraz odłamuje kawałek i drobi go dla kur – nie, dla gęsi. Inguna przypomina sobie, że gdy była dzieckiem, hodowali na Frettastein gęsi; było coś pańskiego w tych ociężałych, biało i szaro nakrapianych ptakach. Na Hestviken będą hodowali gęsi...

Cichutko, jakby robiła rzecz drożną, odchodziła Inguna od okna i zasuwiała skobel przed drzwiami. Po czym wyjmowała ze swej skrzyni niewieści czepek i obwiązywała nim głowę. Przekręcała pas klamrą na bok i wieszala na nim przeróżne ciężkie przedmioty, jakie jej wpadały do ręki: nożyce do strzyżenia owiec oraz pęk kluczy. Tak wystrojona siadała na brzegu pustego łóża z założonymi rękami i zastanawiała się, co pozostało jej jeszcze do zrobienia, jaką pracę ma jeszcze wykonać, zanim mąż i dzieci wrócą do domu.

Od czasu do czasu docierały na Berg nieliczne wieści o osobliwych wydarzeniach, jakie zaszły tego roku w Norwegii, Inguna w izbie babki nie słyszała niemal o niczym. Toteż jak grom z jasnego nieba spadła na nią wiadomość, że biskup Torfinn został skazany na banicję i musiał opuścić kraj.

Wiadomość tę przyniósł na dwór proboszcz ich parafii pewnego dnia z początkiem zimy. Pan Torfinn odbywał dłuższy, paromiesięczny objazd na północy i miał zamiar wprost stamtąd udać się na spotkanie

z arcybiskupem, gdzieś niedaleko szerów<sup>[21]</sup>. Zanim do tego doszło, baronowie sprawujący obecnie władzę w państwie ogłosili zarówno arcybiskupa jak i wielu spośród biskupów za wyjętych spod prawa i tak ich prześladowali, że wszyscy musieli opuścić kraj i udać się na wygnanie. O biskupie Torfinnie szły słuchy, jakoby udał się na pokład statku i od tej pory nikt nie wiedział, co się z nim dzieje, ani kiedy powróci do swej siedziby. Proboszcz nie martwił się tym. Biskup skarcił kiedyś ostro jego opieszałość i robił mu wyrzuty, że nie dość surową pokutę wyznacza możliwym; ksiądz uważał siebie jednak za gorliwego duszpasterza i był zdania, że jego wiernych nie trzeba traktować według wskazówek biskupa. Odtąd żywił urazę do tego sztywnego mniszego kościotrupa, jak przezywał pana Torfinna.

Jasne było, że w tym zatargu pomiędzy biskupami a panami z rady koronnej młodocianego króla chodziło o sprawy najbardziej doniosłe i że historia Olafowego małżeństwa była rzeczą drobną i bez znaczenia, chociaż wywleczone ją, by dać przykład samowoli biskupa i jego chęci obalenia starych praw i ustaw krajowych. Proboszcz pragnął żyć na dobrej stopie z bogatą dziedziczką na Berg. Może zresztą nie rozumiał, jak małe znaczenie ma związek nieletnich dzieci poza gminami, gdzie znano ich rody. Przedstawił więc sprawę w ten sposób, jakoby biskup Torfinn został wyjęty spod prawa głównie dlatego, że wziął pod opiekę najgorszego wroga rodu Steinfinna.

Ingunę opadła straszliwa trwoga. Wyrwana jakby ze snu, z niewymownym lękiem ujrzała znowu, jakie jest jej rzeczywiste położenie, i wszystkie jej marzenia i sny rozwiały się, jak niknie i czernieje kwietna łąka zwarzona nocnym przymrozkiem. Z wewnętrzną grozą pojęła, że jest tylko bezbronnym, osieroconym dzieckiem, ni to dziewczyną, ni żoną; nie miała żadnego przyjaciela, który by mógł bronić jej praw; Olaf był

[21] Szery – grupy drobnych wysepek wzdłuż wybrzeży. (Przyp. tłum.)

daleko i nikt nie wiedział, gdzie przebywa, biskup został wygnany, Arnvid mieszkał w odległych stronach i nie mogła przesłać mu wieści. Prócz starej, zdzieciniałej babki nie miała nikogo, na kim by się mogła oprzeć, gdyby jej niezyczliwi krewni chcieli się mścić. Czepiała się – wiotkie, drżące stworzenie – tego jedynego pragnienia, które płonęło w jej słabej, skołataney niepokojem duszy: pragnęła wytrwać przy Olafie, dochować mu wiary, chociażby ją miano zadręczyć z tego powodu na śmierć.

W tym samym niemal czasie, około adwentu, przyjechała na Berg Tora córka Steinfinna z małżonkiem swym Haakonem synem Gauta.

Haakon nie znalazł dotąd miejsca, aby osiąść na stałe, a Tora spodziewała się dziecka jeszcze przed Bożym Narodzeniem; postanowili więc spędzić tę zimę na Berg.

Inguna nie widziała siostry już od dwóch lat, szwagra zaś nie znała w ogóle. Wyglądał okazale, był roslým, dobrze zbudowanym mężczyzną, o regularnych rysach i rudawych, kędzierzawych włosach; lecz jego małe, brązowe oczka umieszczone były zbyt blisko nasady haczykowatego nosa, prócz tego zezował porządnie.

Od pierwszego zaraz dnia ustosunkował się niezyczliwie do szwagierki. Mową oraz zachowaniem wyraźnie dawał do poznania, że uważa Ingunę za uwiedzioną kobietę, która okryła wstydem samą siebie i cały swój ród. Był tak głęboko zadowolony ze swego ożenku; tak dumny z krasy i rozsądku Tory, z tego, że wkrótce urodzi mu dziedzica tych wszystkich wspaniałości, których posiadaniem się chełpił; we wszystkim szukał rady u swej żony i bynajmniej nie wychodził na tym źle. Lecz choć tak było i choć nieszczęsna Inguna nie przeczuwała nawet wielkiego zaszczytu i szczęścia, jakie straciła oddając się Olafowi – mogła przecież wyjść za Haakona – darzył ją nienawiścią także i za to, że wybrała



młodego chłopca, który służył u jej ojca, o którego pochodzeniu i majątku nie wiadano nic pewnego tutaj, w gminach nad jeziorem Mjös, że przełożyła Olafa nad niego, rycerskiego syna z Harlandii<sup>[22]</sup>.

A młoda siostra kręciła się po dworze, wysoka i rozrośnięta, promieniejąca różaną białością, pyszniąca się godnością kobiety zamężnej, choć nie posiadała domu ani dworu. Białe chusty, którymi wedle prawa i obyczaju obwiązywała włosy, sięgały jej niemal do nóg, u pasa dzwonił potężny pęk kluczy, chociaż Bóg jeden raczył wiedzieć, co miała zamykać i trzymać pod kluczem małżonka człowieka bez majątku. Lecz Tora dokazała tego, że wszyscy ludzie na Berg, nie wyłączając Magnhildy, stawali na głowach, by okazać szacunek jej i mężowi, a niewiasty przygotowywały wszystko, by godnie przyjąć noworodka, jak przystało na potomka człowieka tak wielkiego rodu.

Nieraz w młodości Inguna wyczuwała, że Tora nie pochwała jej zachowania – Tora uważała, że starsza siostra jest za mało serdeczna dla rodziców, że jest leniwa i bezmyślna, że powinna siedzieć spokojnie z matką i dziewczkami w niewieściej izbie, nie zaś cały czas uganiać z Olafem i chłopakami. Tora jednak nigdy nic nie mówiła, była dwa lata młodsza, a to stanowi w dzieciństwie znaczną różnicę wieku. Ingunie było obojętne, co Tora myśli. Ostatniej jesieni na Frettestein Tora nie wspomniała również ani słowem o tym, co – jak Inguna wiedziała – zauważyła i czym się przeraziła. Dopiero w Hamarze, na dworze prebendarek, siostra zaczęła mówić o tej sprawie; bardzo łagodnie osądzała wówczas postępek jej i Olafa i podczas całego pobytu w mieście odnosiła się przyjaźnie do Inguny. Częściowo pochodziło to stąd, że Tora żywiła prawdziwie siostrzaną miłość do Olafa, kochała go bardziej od własnego rodzeństwa, gdyż był cichy i zrównoważony; poza tym biskup okazał Ingunie i Olafowi

[22] Harlandia (Horlandia) – terytorium nadmorskie obejmujące pas wybrzeża w okolicach Bergen.

pobłażanie i wszyscy ludzie, z którymi siostry zetknęły się w grodzie, myśleli tak samo jak pan Torfinn; jeśli nawet Olaf bezprawiem odparł bezprawie, to bądź co bądź większe nadużycie popełnili ci, co chcieli zerwać układ zrękówin, dlatego że narzeczony był nieletni i nie miał za sobą możnych sprzymierzeńców. Nikt nie wątpił, że biskup poprowadzi sprawę tak, aby Olaf wyszedł z niej z honorem. Wtedy więc Tora nie sądziła, że samowola Inguny okryje hańbą ich wszystkich.

Teraz było całkiem inaczej. Tora nie mogła wybaczyć Olafowi, że zabił jej bliskiego krewniaka. Potępiała go surowo, iż w ten sposób odpłacił im wszystkim za to, że przyjęto go – dziecko pozbawione krewnych – i wychowano w rodzie Steinfina. Nie odnosiła się wprawdzie nieprzyjaźnie do Inguny, lecz ta dostrzegła wkrótce, co Tora o niej sądzi. Inguna już od dziecka tak się zachowywała, że młodsza siostra nie dziwiła się wcale jej nieszczęściu. Mimo to chciała być dla niej dobra i nie utrudniać jej położenia.

Inguna przyjmowała milcząco łagodne i ciche słowa współczucia siostry. Ale ilekroć rozmowa zesłała na zbrodnię Olafa, usiłowała sprzeciwiać się. Niewiele to pomagało: tamta miała nad nią przewagę. Starszeństwo Inguny nie miało obecnie znaczenia, odkąd Tora była zamężna. Tora posiadała doświadczenie i miała prawo osądzać drugich, tak jak inni dorośli. Inguna nie miała prawa do swych doświadczeń życiowych, doświadczeń miłości, za którą wszyscy ją potępiali, doświadczeń w obowiązkach gospodyni i trudzie wychowywania dzieci; śniła o tym w marzeniu, lecz nigdy nie wolno jej było tego wyjawić. Zgnębiona i złamana siedziała cicho w kąci i patrzyła, jak Tora i Haakon napelniają cały dwór życiem. W ciemnej, w domu tkanej szacie, z grubymi, gładkimi, zwisającymi na ramiona warkoczami, tak ciężkimi, jakby ich brzemień było przyczyną, że dziewczyna chodzi zgarbiona, z pochyloną głową, podobna była raczej do ubogiej służki obok młodej,

strojnej mężatki.

Tora powiła syna, jak spodziewali się ona i Haakon – duże i bardzo obiecujące niemowlę, mówili ci, którzy widzieli chłopca. Ingunie nakazano siedzieć przy położnicy, zajmowała się też bardzo małym siostrzeńcem. Zawsze lubiła dzieci, a tego malutkiego Steinfinna syna Haakona pokochała serdecznie. Nocą, kiedy brała go do siebie, aby matka miała spokój, nie mogła się powstrzymać, musiała bawić się i wyobrażać sobie, że to jej rodzony synek. Grzała znowu serce dawnymi mrzonkami: że jest na Hestviken, na swym własnym dworze, i żyje tam z Olafem i swymi dziećmi, Audunem, Ingebjörgą i tym maleństwem. Lecz teraz, gdy patrzyła na siostrę, która siedziała pewnie i bezpiecznie w bogactwie, z prawowitym małżonkiem u boku, z niemowlęciem i całą gromadą służby, która tyle miejsca zajmowała we dworze, ze skrzyniami i łubami pełnymi dobytku, leżącymi po wszystkich domostwach i spichrzach, czuła z goryczą, że jest to tylko wątpa pajęczyna urojeń, które hodowała w sercu.

Haakon postanowił odprawić huczne chrzcziny i pani Magnhilda ofiarowała się ponieść połowę kosztów. Na biesiadę zjechał nie tylko Haftor syn Kolbeina, który był dobrym przyjacielem Haakona, lecz również stryjowie, Kolbein i Ivar; pozostali oni przez kilka dni, już po odjeździe obcych gości.

Pewnego wieczora krewniacy siedzieli przy posiłku w izbie pani Magnhildy. Aasa córka Magnusa była tam również, zajmowała poczesne miejsce za stołem. Inguna siedziała obok niej i pomagała jej jeść i pić, bo ręce staruszki się trzęsły. Tej zimy zresztą Aasa czuła się o wiele raźniej, cieszyła się bardzo, że została prababką; o tym nowym zdarzeniu nigdy nie zapomniała, często pytała o dziecko i chciała je widzieć.

Tego wieczora rozmowa mężów zeszała na zatarg między biskupami

i baronami. Synowie Torego wyrażali się tak, jak gdyby było zupełnie pewne, kto zwycięży w tym sporze. Oczywiście biskupi będą musieli ulec i zadowolić się władzą, jaka im się należy z tytułu sprawowania godności duchownych i nauczycieli narodu; nie będą mogli wtrącać się do dawnych, zastrzeżonych zwyczajem ustaw, dotyczących kwestii spornych pomiędzy ludźmi świeckimi. Jeśli chodzi o biskupa Torfinna, to wielu księży w jego własnym biskupstwie uważało, że posunął się stanowczo za daleko.

– Mówiłem o tym z trzema proboszczami, uczonymi i godnymi sługami Kościoła – oświadczył Kolbein – i wszyscy trzej powiedzieli, że gotowi są dać ślub i odprawić mszę w dniu, kiedy wydamy Ingunę za mąż...

Pani Magnhilda odparła:

– Oczywiście, że to, co mówił biskup o tej sprawie, nie jest słuszne. Przykazanie, które dał Bóg, nie może brzmieć w ten sposób, że Jego słudzy mają brać stronę lekkomyślnych i samowolnych młokosów, albo że święty Kościół ma pomagać upartym dzieciom w przeprowadzeniu ich woli wbrew rodzicom.

Wszyscy przytaknęli gospodyni.

Krwawy rumieniec zabarwił policzki Inguny. Wyprostowała się, w jej wzroku zamigotał lęk i zawziętość, oczy wydawały się niezwykle duże i czarne, gdy spojrzała w stronę stryjów.

– Tak jest, o tobie mówimy – odparł Kolbein na jej nieme spojrzenie. – Dość długo już byłaś ciężarem dla krewnych, Inguno. Najwyższy czas, abys dostała męża, który cię poskromi.

– Czy możecie znaleźć męża, który by mnie chciał? Kobiętę tak nędzną, za jaką mnie zawsze uważacie?

– Nie o tym teraz mowa – odparł Kolbein z wściekłością. – Sądziłem, że miałaś czas, aby wreszcie nabrać rozumu. Chyba nie jesteś tak

bezwstydną, abyś miała ochotę żyć z mężem, który skalał ręce krwią twojego krewniaka, nawet, gdybyś mogła dostać tego męża!

– Już i dawniej zdarzały się podobne nieszczęścia między krewnymi – szepnęła Inguna niepewnie i cicho.

– Nie mów o tym więcej – huknął rozwścieczony Kolbein. – Nigdy nie damy cię za żonę mordercy Einara!

– Tak, o tym wy możecie radzić – odpowiedziała Inguna. Czuła, że oczy wszystkich obecnych wpatrują się w nią. I dziwnie była podniecona czując, że oto nagle wychynęła z mroku i poniżenia. – Ale jeśli chcecie mnie oddać innemu, zobaczycie, że nie wy o tym będziecie postanawiać!

– A kto taki, jak ci się zdaje? – spytał szyderczo Kolbein. Inguna wpiła się rękami w ławę, na której siedziała. Czuła, że policzki jej bledną. To była ona – to nie sen. To ona mówiła i wszyscy wpatrywali się w nią. Zanim zdołała odpowiedzieć, Ivar pojednawczo zabrał głos.

– Na miłość boską, Inguno, ten Olaf... nikt nie wie, gdzie on przebywa. Ty sama nie wiesz, czy żyje jeszcze, czy też umarł. Czyż chcesz całe życie trwać we wdowieństwie i czekać na umarłego?

– Ja wiem, że Olaf żyje! – Sięgnęła pod chustę na piersiach, wydobyła mały sztylet, który nosiła zawieszony na sznurku. Pochwa jego wybita była srebrem. Wyciągnęła nóż i położyła przed sobą na stole.

– Zanim się rozstaliśmy, Olaf dał mi ów sztylet jako znak. Kazał mi czekać dopóty, póki ostrze jego będzie czyste. Jeśli zardzewieje, znaczyć będzie, że umarł.

Głośno i z wysiłkiem zaczerpnęła parę razy tchu. Nagle dostrzegła, że nieco dalej przy stole siedzi jakiś młodzieniec i patrzy na nią z przerażeniem. Inguna wiedziała, że nazywa się on Gudmund syn Jona i jest jedynym dziedzicem wielkiego dworu w sąsiedniej parafii; widziała go kilkakrotnie na Berg, lecz nigdy z nim nie mówiła. Teraz nagle zrozumiała: to jest narzeczony, którego stryjowie jej przeznaczają, była

tego najzupełniej pewna. Spojrzała młodemu człowiekowi prosto w oczy, jej wzrok był nieugięty jak stal.

I znów odezwał się Ivar pojednawczo, drapiąc się z zakłopotaniem w głowę:

– E, co tam, takie znaki. Nie wiem, czy można polegać na nich...

– Sądzę, moja Inguno, że wkrótce się przekonasz, kto ma decydować o twym zamążpójściu – przerwał Kolbein.

– Czy będziesz się sprzeciwiać, gdy oddamy cię mężowi, którego uznać możemy za równego ci rodem? Do kogo zwrócisz się wtedy? Przecie twój przyjaciel biskup uciekł z Norwegii, opuścił kraj, nie możesz więc skryć się pod jego płaszczem.

– Zwrócę się do Boga, mojego Stwórcy – rzekła Inguna; była straszliwie biała, podniosła się na wpół z ławy. – Jeśli zmusicie mnie do popełnienia grzechu, Jego miłosierdziu zaufam, by ujść większemu grzechowi. Zanim zmusicie mnie groźbami, abym została nierządnicą i wstąpiła z innym mężem w ślubną łożnicę, póki żyje mój prawowity małżonek, rzucę się do fiordu.

Kolbein i Ivar chcieli jej odpowiedzieć. Wtem stara Aasa oparła ręce na stole, podniosła się z trudem i stała, wysoka i chuda, lekko pochylona w przód; mrugając, wodziła po wszystkich zaczerwienionych, kaprawymi oczyma:

– Czego wy chcecie od tego dziecka? – mruknęła groźnie kładąc kościsty szpon na karku Inguny. – Widzę, że chcecie jej zrobić krzywdę. Ivarze, synu mój, chcesz stanąć po stronie rodu Borghildy, tego pomiotu nałożnicy? Oni chcą zgnać dzieci Steinfina, widzę to. A wy, Magnhildo i Ivarze, idziecie z nimi ręka w rękę! Obawiam się, że wy dwoje zostaliście mi niepotrzebnie!

– Ależ matko! – prosił Ivar syn Torego.

– Babko! – Inguna przylgnęła do staruszki, wsunęła się pod jej

futrzone okrycie. – Tak, tak, babko, musicie mi pomóc!

Stara otoczyła ją ramieniem.

– Idziemy – szepnęła. – Chodź, moje dziecko, pójdziemy stąd.

Inguna podniosła się i pomogła babce przejść przez izbę. Stukając laską o podłogę, drugą ręką wsparta na ramieniu wnuczki, pokuśtykała Aasa do drzwi mruczając:

– Iść na rękę plemieniu Borghildy! Moje własne dzieci! Za długo widać żyję na tym świecie...

– Ależ nie, nie, matko – Ivar szedł za nią, wyjął jej laskę z ręki i ofiarował w zamian swoje ramię. – Przecież mówiłem cały czas, że lepiej będzie pogodzić się z Olafem... Ale teraz, gdy wszelki słuch o nim zaginął... Doszli do drzwi komory Aasy. Ivar spojrzął na bratanicę.

– Inguno, wierz mi, nie chcę ci zrobić krzywdy. Lecz wydaje mi się, że dla ciebie samej byłoby lepiej, gdybyś wyszła za mąż i mogła rozporządzać swym mieniem. Lepiej, niżli wałęsać się tutaj i schnąć.

Inguna odsunęła go lekko na bok, przenosząc niemal babkę przez próg; po czym zamknęła drzwi i zostawiła stryja na dworze.

Rozebrała i ułożyła do snu staruszkę, potem uklękawszy przy łóżku babki odmówiła z nią razem pacierz wieczorny. Pani Aasa była zupełnie wyczerpana niezwykłym wysiłkiem. Inguna pokręciła się jeszcze chwilę po izbie, po czym rozebrała się, by iść spać.

Stała już w koszuli i miała się położyć, gdy wtem posłyszała lekkie pukanie do drzwi. Podeszła i odsunęła zaworę. Na dworze w śniegu stał jakiś człowiek, postać jego wydawała się ogromna i czarna na tle rozgwieżdżonych niebios. Zanim jeszcze otworzyła usta, domyśliła się, że to ów konkurent do jej ręki, i poczuła osobliwe, uroczyste podniecenie, a zarazem lęk. Mimo to dobrze, że przynajmniej coś się działo.

Był to istotnie Gudmund syn Jona.

– Czy już się położyłaś? – powiedział. – Chciałem zapytać, czy mogę

porozmawiać z tobą chwilę dziś wieczór. Spieszę się, rozumiesz.

– Musisz w takim razie wejść do izby. Nie możemy stać tu, na zimnie.

– Połóż się z powrotem – rzekł, gdy weszli do środka i ujrzał, że dziewczyna jest tylko w koszuli. – Pozwól mi położyć się na brzegu łoża, lepiej nam wtedy będzie mówić z sobą.

Początkowo leżeli i gwarzyli trochę o pogodzie i o Haakonie synu Gauta; miał on zamiar osiąść z Torą na Frettastein, Haftor zaś miał powrócić do ojca. Ingunie podobał się głos Gudmunda i jego spokojne zachowanie. A nadto – nie mogła nic na to poradzić – przyjemnie było leżeć tak po ciemku i gawędzić z konkurentem. Od tak dawna nikt nie zbliżył się do niej, ani nawet nie usiłował porozmawiać z nią dla przyjemności. Chociaż musi mu powiedzieć, że jego konkury są daremne, przecież to jednak zaszczyt, że wpadła w oko człowiekowi stanu Gudmunda, choć jej własni krewniacy napiętnowali ją jako kobietę rozpustną. – Chcę cię zapytać o pewną rzecz – odezwał się w końcu gość. – Czyś mówiła poważnie to wszystko dziś wieczorem?

– Tak jest.

– W takim razie wolę ci od razu powiedzieć – ciągnął Gudmund – mój ojciec i matka bardzo pragną, bym się tego lata ożenił, postanowiliśmy więc prosić Ivara o twoją rękę.

Inguna milczała, Gudmund zaczął znowu:

– Ale jeśli poproszę ojca, by się starał o inną kobietę, uczyni to z pewnością, o ile sprawa tak wygląda, jak mówiłaś dziś wieczór.

Nie otrzymawszy nadal odpowiedzi, ciągnął:

– Wiesz przecie, że gdy zwrócimy się do Ivara lub Kolbeina, nie odpowiedzą nam nie. Jeśli to jednak nie jest po twojej myśli, już ja tak pokieruję, by cię nie dręczono więcej tą sprawą.

Inguna odparła:

– Nie pojmuję, Gudmundzie, że wy, ty i twoi krewni, myślicie o takiej



kobiecie jak ja. Przecież możecie liczyć na znacznie lepszy ożenek. Na pewno wiesz wszystko, co o mnie opowiadają.

– Wiem, nie należy jednak sądzić drugich zbyt surowo. Twoi krewni chcą ci dać taką samą spuściznę jak twemu rodzeństwu, jeśli małżeństwo między nami dojdzie do skutku. A mnie się podobasz, jesteś urodziwa...

Inguna nie od razu odpowiedziała. Bobrze było leżeć i rozmawiać z tym miłym młodzieńcem, czuć ciepło jego bliskości, żywy oddech na twarzy. Tak długo ziała dokoła niej zimna, lodowata pustka! Toteż bardzo łagodnie rzekła:

– Dowiedziałeś się teraz o wszystkim. Nie mogę wyjść za mąż za nikogo innego, tylko za tego, do którego należę. Inaczej możesz być pewien, że umiałabym ocenić szczęście, jakie mi ofiarowujecie.

– Tak – powiedział Gudmund. – A nie wydaje ci się, Inguno, że my dwoje zgadzalibyśmy się ze sobą?

– Na pewno. Jędzą musiałyby być niewiasta, która by z tobą nie żyła w zgodzie. Ale rozumiesz chyba sam, iż nie jestem wolna.

– Tak, tak – westchnął Gudmund. – Już ja się postaram, aby nie męczono cię więcej z naszego powodu. Chętnie wziąłbym cię za żonę. Ale dostanę inną...

Leżeli jeszcze chwilę i gwarzyli, w końcu Gudmund osądził, że już czas na niego. Inguna odprowadziła go do drzwi, by zamknąć je za nim, i rozstali się podając sobie ręce. Inguna czuła się wewnętrznie ogrzana i rozradowana, gdy wróciła do izby. Tej nocy na pewno będzie dobrze spała.

W czasie Wielkiego Postu pozwolono Ingunie pojechać konno do miasta i spowiadać się u ojca Vegarda; był jej spowiednikiem od dnia bierzmowania, gdy miała osiem lat, aż do czasu, kiedy Arnvid zabrał ją z

sobą na Miklebö.

Niełatwo jej przyszło zdać sprawę mnichowi z wszystkich swoich trudności. Nigdy dotąd nie miała potrzeby spowiadać się z innych grzechów niż te, które można nazwać po imieniu: że bezmyślnie klepała pacierze, że odpowiedziała niegrzecznie rodzicom, była nieuprzejma wobec Tory lub dziewcząt, wzięła coś bez zezwolenia lub mówiła nieprawdę, a potem jeszcze to ostatnie z Olafem. Teraz czuła, że musi mówić przede wszystkim o swych myślach, a ciężko jej było uchwycić i ująć je w słowa. Trwożyła się, że groźbami i naciskiem zmuszą ją ostatecznie do tego, aby zła mała przyrzeczenie dane w obliczu Boga Olafowi.

Ojciec Vegard oświadczył, że postąpiła słusznie, wzbraniając się zaślubić innego męża, póki nie otrzyma potwierdzenia o śmierci Olafa. Mnich osądził wprawdzie o wiele surowiej aniżeli biskup ich samowolę, ale i on był zdania, że Inguna i Olaf są z sobą związani dopóty, dopóki będą żyć. Powinna modlić się do Boga, by uwolnił ją od podobnych myśli, jak ta, że sama zada sobie śmierć: to jest grzech śmiertelny, nie mniejszy aniżeli wyjście za mąż, nim owdowieje. I poważnie przestrzegał ją przed myśleniem o rzeczach takich, z jakich mu się zwierzyła: o pożyciu z Olafem i dzieciach, które będą z sobą mieli. Takie myśli mogą osłabić wolę, rozbudzić w niej pragnienie zmysłowych uciech i wzmocnić upór wobec krewnych: na pewno zrozumiała już, że ona i Olaf przez swą słabość i nieposłuszeństwo wobec tych, których sam Bóg ustanowił nad jej młodością, sprowadzili na siebie nieszczęście. O wiele lepiej byłoby teraz dążyć do cnoty cierpliwości i z poddaniem znosić los jako karę nałożoną przez miłującego Ojca, starać się spędzać bogobojne życie na modlitwie, rozdawaniu jałmużny i usługującej miłości wobec krewnych, chyba że ci zażądają, by im była powolna w tym, co jest grzechem. W końcu ojciec Vegard oświadczył, że byłoby najlepiej, gdyby wstąpiła do klasztoru i żyła tam jak pobożna wdowa, czekając na wiadomość, czy Olaf

może wrócić do ojczyzny i zabrać ją do siebie, o ile wola Boska użyczy im takiego szczęścia. Jeśli zaś dowie się o śmierci Olafa, może przecież zawsze wybrać pomiędzy powrotem do świata a zakonnym welonem, aby poświęcić się modłom za duszę Olafa i rodziców i za wszystkie dusze, które zbłądziły wskutek uporu i nadmiernego ukochania władzy i radości tego świata. Mnich ofiarował się pomówić o tym z jej krewnymi i zawieźć ją do klasztoru, jeżeli ma na to ochotę.

Inguna jednak zlekła się; jeśli wstąpi do klasztoru, niełatwo jej może będzie wyjść z niego, choć ojciec Vegard powiedział wyraźnie, że póki Olaf żyje, nie wolno jej złożyć ślubów bez jego zezwolenia. Oświadczyła więc, że babka jest stara i niedołężna i potrzebuje jej, a ojciec Vegard przyznał jej słuszność, że dopóki Aasie potrzebna jest opieka, powinna przy niej zostać.

Kiedy po Wielkanocy powróciła na Berg, Haakon i Tora odjechali już wraz ze swą siostrą, mieli zamieszkać na Frettastein. Po ich odjeździe cicho zrobiło się we dworze. Czas upływał Ingunie w towarzystwie wiekowych kobiet, dni podobne były jeden do drugiego, gdyby więc chodziło o jednostajność, Inguna mogła równie dobrze zamieszkać w klasztorze.

Niedługo też opierała się pokusie: po pewnym czasie wróciła znów do marzeń o zmyślonym życiu z mężem i dziećmi we dworze, który zwała Hestviken. Od czasu do czasu ożywały w niej uczucia rozbudzone konkurami Gudmunda: lęk, a zarazem pewnego rodzaju zadowolenie... A więc zasługiwała jeszcze na to, aby zamożny młodzian z poczesnego rodu starał się o jej rękę. I śniła o pięknych i możnych zalotnikach, których stryjowie chcieli narzucić jej przemocą, ona zaś okazywała odwagę i nieustępliwość, żadnymi groźbami ani strachami nie pozwalając się odwieść od słowa danego Olafowi.

Na Berg mijały dni podobne jeden do drugiego. Czas uciekał tak szybko, że Inguna nie mogła tego zrozumieć. Lecz gdy widziała, ile dzieje się w życiu drugich, jak ono rośnie dla nich i dojrzewa, czuła zawsze dreszcz trwogi: czy wszystko wydarzyło się już tak dawno?

Tora przyjechała w odwiedziny z Frettastein z dwojgiem dzieci. Steinfinn biegał już i harcował po całym dworze, był bardzo duży i rozwinięty na swój wiek: miał dwa i pół roku. Jego maleńka siostrzyczka umiała już przyczołgać się na czworakach do ławy lub jakiegoś przedmiotu, czepiała się go, podnosiła się i stawiała. Tora chciała koniecznie zabrać Ingunę do siebie na Frettastein; siostra umiała tak dobrze obchodzić się z dziećmi, a ponieważ Tora jeszcze przed świętym Olafem spodziewała się trzeciego, wydało jej się więcej niż słuszne, by Inguna przeniosła się do niej i pomogła jej. Inguna jednak odparła, że babka nie może sobie dać bez niej rady. W duchu pomyślała, że nigdy już nie chce widzieć Frettastein, chyba żeby mogła pojechać tam z Olafem.

Nie miała pojęcia, gdzie on obecnie przebywa. Ubiegłego lata, kiedy Arnvid bawił na Berg, jeden jedyny raz otrzymała o nim wiadomość. Ksiądz Asbjörn Allfeit wrócił tej wiosny do Norwegii; towarzyszył biskupowi Torfinnowi na wygnaniu, był z nim w Rzymie i nie opuścił go do końca, dopóki biskup nie wyzionął ducha we Flandrii. W drodze powrotnej Asbjörn odwiedził Olafa w Danii. Mieszkał on w tym czasie u brata matki i powodziło mu się dobrze. Tymczasem Asbjörn został proboszczem gdzieś w Trondelag. Podróżując po dolinie Öster odszukał Arnvida na Miklebö i oddał mu pozdrowienie od przyjaciela.

Arnvid przywiózł z sobą wtedy Steinara chcąc sprawić Ingunie przyjemność. Lecz chłopiec był już za duży, aby mogła bawić się z nim jak

dawniej. Arnvid opowiedział synowi, że Inguna ocaliła mu kiedyś życie ratując go z płomieni, ale nie wywarło to na dziecku wielkiego wrażenia. Inguna zabierała go na przejażdżkę łodzią po zatoce, mieli łapać ryby. Choć z całych sił starała się wiosłować, nie udawało jej się poruszyć z miejsca ciężkiej łodzi; Steinar nigdy przedtem nie pływał i choć mało ryb łapali, mieli jednak wiele uciechy.

Gudmund syn Jona ożenił się już dawno i miał syna. Od czasu do czasu, kiedy chciał odwiedzić swego dziada po drugiej stronie zatoki, przybywał na Berg i pożyczzał łódkę.

Tylko ona jedna żyła dzień po dniu z dwiema starymi kobietami i sama liczyła już dwadzieścia zim<sup>[23]</sup>. Ushnie w panieństwie – powiedział stryj Ivar. Czuli jednak głucho, że nigdy nie była tak piękna, jak teraz. Wskutek przebywania w zamkniętej izbie babki przybladła, lecz cera jej jaśniała delikatnie niczym kwietny płatek. Nie była też już tak szczupła, mięśnie jej okrzepły, głowy nie trzymała tak pochylonej, jak przedtem. Chód nabrał sprężystości, wysoka, smukła postać poruszała się z powabnym, cichym wdziękiem. Jeśli czasem pokazała się między ludźmi, czuła, że niejeden mężczyzna długo wodzi za nią oczyma; nie uszło to jej uwagi, choć sama nie odpowiadała nigdy na te spojrzenia, tylko zawsze zachowywała się poważnie, spuszczać skromnie oczy, z łagodną melancholią.

Pewnego wieczora, kiedy, na Berg zjechało kilku obcych w sprawach handlowych do pani Magnhildy, jeden z nich wtargnął nocą do izby, gdzie spała Inguna; był porządnie spity. Udało jej się wyrzucić go za drzwi, sędziwa Aasa nie zauważyła nawet, że ktoś wszedł. Mężczyzna wytrzeźwiał niemal całkowicie i wyniósł się chyłkiem z izby, jak zbity

---

[23] *...liczyła już dwadzieścia zim...* – pozostałość starogermańskiej rachuby czasu, przyjmującej za podstawę okres czasu odpowiadający jednej fazie księżycy (siedem nocy), a dłuższe okresy obliczającej na miesiące i zimy.

pies gnany jej zimnymi, wzgardliwymi słowami.

Po wypędzeniu młodzieńca Inguna załamała się zupełnie; teraz, po wszystkim, dygotała z przerażenia i zęby jej szczykały. A najbardziej napawało ją obawą to, że sama odczuła dziwne podniecenie, chociaż z pewnością nie dała niczego po sobie poznać. Broniąc się przed nim, opanowana i zimna, zbyt wściekła i oburzona, by czuć lęk, głęboko na dnie serca czuła jakby pokusę, by ulec, poddać się... Była znużona, tak bardzo znużona, jak gdyby już lata całe się broniła. Była znużona czekaniem... Olaf powinien tu być – teraz powinien być tutaj! Tej nocy nie zaznała snu; zgnębiona i wystraszona leżała i płakała, kurcząc się pod derką, miała wrażenie, że nie wytrzyma dłużej tego życia. Lecz nazajutrz, kiedy ów człowiek przyszedł, by się usprawiedliwić, wysłuchiwała jego bąkania z cichą, milczącą godnością, patrząc mu prosto w twarz; spojrzenie jej wielkich, ciemnych oczu było pełne tak smutnej pogardy, że młodzieniec raczej powlókł się, niż odszedł.

Olaf... Nie wiedziała o nim nic! Coraz częściej leżała późno w noc i płakała, dręczona niepokojem, tęsknotą i głuchą trwogą. Czy jeszcze długo ma to trwać? Oburącz przyciskała jego sztylet do piersi; ostrze wciąż było błyszczące... I to jedynie dodawało jej otuchy.

Była niedziela u schyłku lata. Z Berg tylko Inguna oraz kilku ludzi z celadzi udało się na mszę do kościoła. Była konno; stary Grim szedł obok niej i prowadził konia. Wjechała na dziedziniec. Staruch chciał właśnie pomóc jej przy zsiadaniu, gdy wtem ujrzała młodego, jasnowłosego mężczyznę, pochylającego się w drzwiach izby Magnhildy. Minęła długa męcząca chwila, zanim poznała tego człowieka – to był Olaf!

Wyszedł naprzeciw niej i w pierwszym oka mgnieniu zdawało się Ingunie, że wszystko jest poszarzałe i bez blasku – jak wtedy, gdy

człowiek leży w skwarnej dzień letni z twarzą ukrytą w trawie, a potem otwiera oczy i spogląda dokoła: słoneczny blask i cały świat jest jakby przyciemniony, a wszystkie barwy o wiele bledsze, niż oczekiwał...

W jej wspomnieniu Olaf był o wiele wyższy, okazalszy i roślejszy. I bardziej urodziwy – pamiętała jego białość i jasność jak coś promiennego.

Zbliżył się ku niej, zsadził ją z konia i postawił na ziemi. Po czym podali sobie ręce i razem poszli ku domowi: żadne z nich nie przemówiło słowa.

Z drzwi izby wyszedł w tej chwili Ivar syn Torego. Powitał Ingunę z radosnym śmiechem:

– No, chyba zadowolona jesteś, Inguno, z gościa, którego ci tym razem przywiozłem?

Inguna zdawała się budzić ze snu... Jasny rumieniec wykwitł na jej twarzy, spłynął po szyi, uśmiech rozblęsnął w oczach i koło ust.

– O, to wyście razem przybyli? – Powiodła wzrokiem od stryja do Olafa. Wówczas i on się uśmiechnął – spokojna promiennosc, tak do głębi jej znana: blade usta zadrgały lekko, choć wargi nie rozchyliły się; spuścił nieco oczy i wzrok jego pod długimi, jedwabisto-białymi rzęsami zalśnił błękitem i poweselał.

– Więc wróciłeś w końcu? – spytała z uśmiechem.

– Tak, sądziłem, że muszę wreszcie rozejrzeć się w ojcowiznie – odparł.

Siedziała na progu ze złożonymi rękami i patrzyła na Olafa rozmawiającego z Iwarem. Dziwnie prędko owładnął ją spokój. Szczęście – to było właśnie owo ucieszenie, zupełne ucieszenie.

Ivar chciał coś pokazać Olafowi i obaj odeszli. Inguna siedziała i poznawała jego kroki: nigdy nie widziała mężczyzny chodzącego tak

pięknie, poruszającego się z tak dostojnym wdziękiem. Nie był wysokiego wzrostu, pamiętała dobrze, ona sama była nawet nieco wyższa, za to był zbudowany niezwykle harmonijnie, szeroki w barach, szczupły w pasie, ciało miał sprężyste i krzepkie, kończyny smukłe, proste i kształtne.

Twarz jego schudła bardzo, skóra szerniała i wyschła. I włosy pociemniały lekko, nie lśniły już bladą pozłotą, przybrały raczej odcień popiołu. Im dłużej mu się przyglądała, tym lepiej go poznawała. Wtedy gdy się rozstawali, uroda jego miała więcej dziecięcej miękkości. Teraz był dojrzałym mężczyzną, szczególnie pięknym młodym mężczyzną.

Pogrążona w głębokim szczęściu siedziała Inguna przy wieczerzy dostrzegając z radosnym zdziwieniem, że tak Ivar jak i Magnhilda odnoszą się do Olafa z wielką przyjaźnią. Olaf powrócił przed tygodniem do kraju, do Oslo.

– Zdaje mi się, że powinieneś być najpierw udać się do domu, do twego dworu – odezwał się Ivar. – Nie groziłoby ci to chyba niebezpieczeństwem, skoro jesteś w drużynie jarla.

– Tak jest, mógłbym śmiało odważyć się na tę podróż. Lecz postanowiłem nie pierwszej udać się do Hestviken, aż będę sam rozporządzał swym mieniem. Pomyślałem sobie, że będzie dosyć czasu – tu uśmiechnął się – przygotować wszystko na południu wówczas, kiedy zabiorę tam z sobą Ingunę.

Inguna zrozumiała z tej rozmowy, że Olaf nie posiada dotąd listu żelaznego i nie jest bezpieczny w Norwegii. Ani Ivar, ani on sam nie przykładali widać do tego zbyt wielkiej wagi. Pewność swą zawdzięczał jarlowi<sup>[24]</sup> Alfowi synowi Erlinga na Tornberg; był on obecnie najpotężniejszym rycerzem w kraju. Olaf spotkał się z nim w Danii i stał

---

[24] Jarl – naczelnik okręgu. (Przyp. tłum.)



się jego mężem zaufania. Jarl przyrzekł uzyskać dla niego pokój i ugodę, teraz zaś zwolnił go na jakiś czas, aby udał się tutaj i wyszukał sobie kogoś, kto by w jego imieniu poprowadził rokowania z krewnymi Einara. Wówczas pomyślał, że odważny zyskuje najwięcej – i pojechał prosto do Ivara na Galtestad. Wkrótce też doszli do porozumienia.

– No cóż? Wiesz przecież, że znam cię jeszcze od lat pacholących – powiedział Ivar. – Zawsze cię lubiłem. Rozgniewałem się dopiero wtedy, kiedy dowiedzieliśmy się, że sam dobrałeś się do narzeczonej; to zresztą zrozumiałe.

– Oczywiście, to zrozumiałe – Olaf śmiał się wraz z nim. Inguna zagadnęła z lękiem:

– Toś ty nie przyjechał na stałe, Olafie?

– W Norwegii być może pozostanę, ale tu, na północy, nie mogę zatrzymać się dłużej niż kilka dni. W dzień świętego Bartłomieja muszę odszukać jarla na Valdingsholm.

Inguna nie miała pojęcia, gdzie leży owo Valdingsholm, ale nazwa brzmiała tak, jakby to było bardzo daleko.

Poznać było po Olafie, że nauczył się obcowania z ludźmi. Posepny i małowówny chłopak z pustkowiec wyrósł na dwornego młodziana, umiejącego posługiwać się językiem; mówił żywo i dobrze, ilekroć zabrał głos, ale chętnie przysłuchiwał się starszym. Kiedy mówił, dawał przeważnie odpowiedzi na pytania Ivara i Magnhildy. Do Inguny zwracał się rzadko i nie uczynił najmniejszej próby, by pomówić z nią w cztery oczy.

Opowiadał, że czasy w Danii są obecnie bardzo burzliwe, możnowładcy są tam pod każdym względem niezadowoleni z króla, mimo że w Danii posiadają o wiele większe swobody i przywileje niż tutaj; a może właśnie to jest przyczyną, że żądają jeszcze większych? Jego własny wuj, Barnim syn Eirika, postępuje według własnego widzimisię i Olaf nie zauważył

nigdy, aby ów rycerz dbał choć trochę o prawo obowiązujące w kraju.

– A nie udało ci się zagarnąć choć części schedy twoich krewnych po kądzieli? – zapytał Ivar. – Tego mogłeś chyba się domagać.

– Wuj oświadczył, że nie – odparł Olaf z drwiącym uśmiechem. – I może ma słuszność. Pierwszą rzeczą, którą stwierdził po moim przybyciu na dwór Hövding, było, że moja babka przed poślubieniem Björna syna Andersa podzieliła spuściznę po panu Eiriku między swoje dzieci. A moja matka straciła wszelkie prawa do dziedzictwa po swych duńskich krewnych, ponieważ opuściła kraj i wyszła za mąż w Norwegii, nie pytając ich wcale o radę – to była druga rzecz; trzecia zaś, że król skazał na banicję brata mojej matki, Stiga syna Björna, który umarł; jego synowie żyją na obczyźnie, Kvidbjerg natomiast ogłosił król swoją własnością. Obecnie książę Waldemar wziął w swoje ręce sprawę synów Stiga i gdy uda mu się wywalczyć dla nich dziedziczne włości, wówczas, jak sądził wuj Barnim, muszę ja również wystąpić; może wtedy i mnie dostanie się jakiś kąsek – Olaf roześmiał się. – Tak, to powiedział wuj już wówczas, kiedy poznaliśmy się lepiej; zawsze byliśmy zresztą dobrymi przyjaciółmi; przyjął mnie godnie i okazał się nieraz hojny wobec mnie. Nie życzył sobie tylko, abym żądał czegoś jako należnego mi prawa.

Olaf mówił z uśmiechem, ale Inguna dostrzegła, że w twarzy jego tai się jakiś obcy rys. Jakieś osamotnienie, które było w nim już przedtem, teraz jednak wystąpiło o wiele ostrzej, i coś surowego, co było nowością. Przeczuwała, że spotykał nie tylko same uciechy i wspaniałości, kiedy biedny i pozbawiony praw przybył do swych potężnych kuzynów duńskich, by szukać u nich schronienia.

– Poza tym muszę przyznać, że wuj Barnim przyjął mnie życzliwie. Mimo to rad byłem ogromnie, kiedy zetknąłem się z panem Alfem. Gdy położyłem rękę na głowicy miecza i ślubowałem mu wierność, zdawało mi się nieomal, że powróciłem do kraju.

– Lubisz go? – spytał Ivar.

– Lubię – Olaf rozpromienił się. – Gdybyś choć raz zetknął się z jarlem, nie pytałbyś o to! Poszlibyśmy za nim, choćby przyszło płynąć przez dymiącą otchłań piekielną – każdy spośród nas, na którego on spojrzał z uśmiechem. Jego złotawe oczy błyszczą jak drogie kamienie. Jest niskiego wzrostu, przysadzisty, ja sam jestem od niego z pewnością o głowę wyższy, szeroki jak wrota domu i ma brunatne, kudłate, kręcone włosy... Tak, szczep włodyków na Tornberg pochodzi od królewskiej córki i niedźwiedzia, jak niesie wieść. I pan Alf posiada siłę dziesięciu mężów a rozum dwunastu. Niewielu jest chyba mężczyzn, którzy by nie byli radzi i wdzięczni za to, że mogą mu służyć. Niewiele także kobiet – dodał ze śmiechem.

– Czy to prawda, co mówią ludzie o naszej królowej, że chce wyjść za niego za mąż? – spytał zaciekawiony Ivar.

– Skądże miałbym wiedzieć? – zaśmiał się Olaf. – Ale jeśli jest prawdą, co gadają, i jeśli jest tak mądrą kobietą... Gdy dostanie się w te niedźwiedzie łapska, skończy się wreszcie to, że królowa rządzi krajem i państwem.

Ivar przypuszczał, że jarl Alf z polecenia królowej Ingebjörgi kręci się po wodach duńskich, pustoszy wybrzeża i zabiera niemieckie szkunery handlowe, które próbują przekraść się ku północy przez cieśninę.

Olaf odrzekł, że to prawda; jarl chce odzyskać dla królowej dziedzictwo jej ojców w Danii, równocześnie jednak karze w ten sposób niemieckich kupców za ich zeszłoroczną zuchwałość w Tunsberg i Björgvin. Czyni to jednak z własnej woli, a nie z nakazu królowej. Obecnie zaś został zawarty układ między jarlem i duńskimi panami z rady koronnej; jarl ma ich poprzeć w walce z królem, w zamian za co hrabia Jacob i inni panowie mają wywrzeć nacisk na króla, aby oddał pani Ingebjördze jej dobra w Danii.

Po wieczerzy siedzieli jeszcze czas jakiś przy piwie i Ivar zaczął już wspominać o udaniu się na spoczynek. Wówczas Olaf podniósł się i ściągnął z palca wielki złoty pierścień z zielonym kamieniem. Pokazał go Ivarowi i pani Magnhildzie.

– Poznajecie ów sygnet? Ojciec zaręczył mnie nim z Inguną. Czy nie sądzicie, że byłoby słuszne, aby go teraz dostała i nosiła?

Stryj i ciotka Inguny dali pozwolenie i Olaf wsunął pierścień na palec dziewczyny. Potem wyjął z torby u siodła pozłacany łańcuch z krzyżem oraz srebrne blaszki do pasa i wręczył je również Ingunie. Po czym wydobył cenne upominki dla Ivara i Magnhildy i dołączył do nich trzy złote pierścienie, z prośbą, by Ivar wręczył je Jonowi, Hallvardowi i Torze. Pani Magnhilda i Ivar cieszyli się bardzo, chwalili dary i okazywali Olafowi serdeczną życzliwość. Pani Magnhilda kazała przynieść wina i wszyscy czworo pili z odświętnego rogu.

Kiedy potem pani Magnhilda oświadczyła, że Inguna musi już iść do izby babki i położyć się, Olaf podniósł się również: chce odwiedzić Grima i Dalię w ich izbie i pogadać z nimi; Magnhilda nie sprzeciwiła się.

Niebo było zasnute, lecz w przerwach między chmurami ukazywała się zorza wieczorna, zimna i żółta jak mosiądz. Wieczory były już prawdziwie jesienne i chłodne.

Olaf i Inguna szli z wolna w stronę zabudowań gospodarskich. Zbliżyli się do płotu otaczającego pole: młodzieniec oparł na nim rękę, stał i rozglądał się. Dojrzałe łany zboża bielily się pod szarym, ciężkim niebem; w dole leżała zatoka gładka i spokojna, nasiąkając coraz większą ciemnością, a na przeciwległym brzegu czarne lesiste zbocza zlewały się w jedną całość z łądem.

– Wszystko jest tu jak dawniej – szepnęła Olaf. – Jak zwykle bywało jesienią. W Danii prawie zawsze dmie wicher.

Zwrócił się do dziewczyny, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

Z długim, szczęśliwym westchnieniem przywarła do niego. Wreszcie poczuła się w domu: była w jego ramionach.

Obiema rękami ujął jej twarz, odgarnął włosy i ucałował jej skronie:

– Dawniej wiły się tutaj, u nasady – szepnął.

– Teraz są proste, bo odczesuję je mocno do tyłu – powiedziała cicho.

– Odkąd nakazano mi zdjąć czepek, czeszę włosy tak gładko, jak tylko mogę.

– Aha, przypominam sobie, nosiłaś przecie w Hamarze niewieścią chustę.

– Gniewasz się na mnie, że pozwoliłam, by mi ją zdjęto? Olaf potrząsnął głową, roześmiał się słabo:

– Zapomniałem już niemal o tym; ilekroć myślałem o tobie, widziałem cię zawsze taką, jaką byłaś przedtem.

– Jak ci się zdaje, czy jestem taka jak wówczas? – spytała z lękiem. – A może zbrzydłam?

– O nie! – Przycisnął ją mocno. Stali chwilę zwarci uściskiem. Potem puścił ją.

– Teraz musimy już iść do domu. Wkrótce zapadnie mrok.

Wciąż jeszcze stał, nieco oddalony od niej, przesuwając jej warkocze w dłoniach, owijał je dokoła napiętków i delikatnie za nie ciągnął.

– Jakaś ty piękna, Inguno! – rzekł gwałtownie. Znów puścił ją z krótkim urywanym śmiechem. Po czym nagle zapytał: – Już chyba więcej niż rok minął, odkąd ostatni raz widziałaś Arnvida?

Inguna potwierdziła.

– Chętnie spotkałbym się z nim tym razem. To jedyny przyjaciel, jakiego miałem w młodości: on i ty. Ludzie, z którymi człowiek styka się później, w starszym wieku, nie są mu już nigdy tak bliscy.

Miał lat dwadzieścia jeden, a ona dwadzieścia; ale żadne z nich nie pomyślało o tym, że są za młodzi, by wygłaszać podobne zdania. Tak

wiele wydarzyło się w ich życiu, zanim jeszcze wyrosli z dzieciństwa!

W chwilę potem Olaf odwrócił się i poszedł pod górę. Inguna poszła za nim wąskim przejściem między stajniami. Na płaskim kamieniu przed oborą siedzieli Grim i Dalla; ucieszyli się bardzo, kiedy Olaf zatrzymał się przy nich. Po chwili wyjął parę monet z sakiewki i wręczył im; ich zachwyty był bezgraniczny.

Inguna stała obok oparta o ścianę, lecz nikt nie odzywał się do niej, a widząc, że Olaf chce jeszcze dłużej pozostać ze staruszkami, życzyła im dobrej nocy i poszła do izby babki.



Olaf pozostał na Berg pięć dni, szóstego zaś ranka oświadczył, że tego jeszcze wieczora musi pojechać do Hamaru, bo obiecano mu przeprowadzić go łodzią do Eidsvollene, jeśli nazajutrz wcześniej rano będzie gotów.

Olaf zaprzyjaźnił się przez ten czas bardzo z Ivarem i Magnhildą i wszyscy we dworze byli zdania, że zmęźniał w ciągu tych lat spędzonych za granicą. Inguna jednak niewiele miała sposobności do rozmowy z nim.

W dniu odjazdu uprosiła go, aby poszedł z nią na górę do spichrza, gdzie przechowywano rzeczy jej i Aasy. Otworzyła swoją skrzynię, wyjęła wielką złożoną płócienną koszulę i podała ją Olafowi odwracając twarz.

– To twoja ślubna koszula, Olafie. Daję ci ją już teraz. – Gdy po dłuższej chwili spojrzała na niego, stał i trzymał koszulę w rękach; jego blade policzki zabarwił rumieniec, a wyraz twarzy był szczególnie czuły i nieporadny.

– Niech cię Chrystus błogosławi, Inguno moja. Chrystus niech błogosławi twoje ręce za każdy ścieg.

– Olafie – nie odjeżdżaj!

– Wiesz przecie, że muszę – szepnęła cicho.

– O nie, Olafie! Nie sądziłam nigdy, że opuścisz mnie tak prędko, gdy wreszcie powrócisz! Zostań tu, Olafie, jeszcze chociaż trzy dni, jeszcze tylko jeden dzień...

– Nie – Olaf westchnął. – Nie rozumiesz, Inguno: przecież jestem dotychczas banitą. Ryzykiem było z mej strony przyjeżdżać tutaj, lecz zdawało mi się, że muszę cię zobaczyć i pomówić z twymi krewnymi. Dziś nie posiadam w Norwegii niczego, co bym mógł prawnie nazwać swoją własnością. Jarl, mój pan, przyrzekł mi... A choćby nawet tak nie było – skoro on nakazał zgłosić mi się w oznaczonym czasie, nie mogę nie wrócić. Muszę się dobrze pośpieszyć, by zdążyć na czas.

– Nie mógłbyś zabrać mnie z sobą? – szepnęła niemal niedosłyszalnie.

– Ależ Inguno, czy nie rozumiesz, że to niemożliwe? Dokąd miałbym cię zawieźć? Do Valdingsholm, między ludzi jarla? – roześmiał się.

– Złe czasy przeszłam tu, na Berg... – szepnęła znowu.

– Tego nie rozumiem. Pani Magnhilda i pani Aasa są przecie takie uprzejme. Nieraz, kiedy bawiłem na południu, nawiedzała mnie myśl, że Kolbein mógłby przeprowadzić swój plan i zabrać cię do siebie. Drżałem o ciebie, najdroższa. Tutaj było ci przynajmniej dobrze.

– Nie wytrzymam tu dłużej. Nie możesz zabrać mnie z sobą, znaleźć mi jakiegoś innego miejsca?

– Nie mogę, póki nie rozporządzam własnym majątkiem – odparł niecierpliwie.

– I jak sądzisz, co powiedzieliby Ivar i Magnhilda, gdybym cię z sobą wziął? Ivar ma się przecie wstawić za mną u Kolbeina. Nie bądźże tak nierozsądna, Inguno. A pani Aasa też nie może obejść się bez ciebie. Długo milczeli oboje. Inguna podeszła do okienka:

– Zawsze, ile razy tu stałam i patrzyłam, myślałam, że tak właśnie musi wyglądać Hestviken.

Olaf podszedł ku niej i położył pieśczołliwie rękę na jej karku.

– Ech, nie – rzekł roztargniony. – Fiord w Hestviken jest o wiele szerszy. Mamy tam przecie słone morze. A dwór, o ile sobie przypominam, leży znacznie wyżej.

Cofnął się do izby, wziął koszulę i złożył ją starannie.

– Musiała to być mozolna robota, Inguno. Tyle trudu włożyłaś w nią.

– Tak. Miałam też na to aż cztery lata – odrzekła twardo.

– Chodź, wyjdziemy na dwór – rzekł Olaf gwałtownie. – Chodź, wyjdziemy i pogadamy.

Poszli razem przez pola ku łące leżącej w dole nad jeziorem. Suche, kamieniste stoki porastał gęsto jałowiec i inne krzaki, a między nimi jaśniały plamy krótkiej, spalonej od słońca trawy.

– Pójdź, usiądź tutaj! – Olaf wyciągnął się obok niej. Leżał tak wpatrzony w przestrzeń i zatopiony we własnych myślach.

Zdawało jej się, że w jakiś sposób zbliża ich to jego zamyślenie i milczenie: od dziecka była do tego przyzwyczajona. Siedziała i przyglądała się miłośnie drobnym piegom u nasady jego nosa.

„Nawet one są mi tak dobrze znane” – myślała.

Wielkie chmury przeciągały po niebie, rzucając cienie na łąd, daleko widniały sine bory, a pośród nich błyszcząco pasma zielonych łąk i białych pól. Fiord był szary z iskrzącymi się ciemnymi smugami, przeglądał się w nim jesienny krajobraz. Chwilami przezierało słońce, a jego złote, ostre światło kłuło i paliło, ale zaledwie zakryła je chmura, robiło się chłodno, a od ziemi szła wilgoć.

Po długim czasie dziewczyna odezwała się:

– O czym tak myślisz, Olafie?

Westchnął, jakby zbudzony ze snu, potem wziął jej rękę i wtulił w nią twarz.

– Gdybyś była rozsądniejsza... – rzekł, podejmując ich rozmowę w



spichrzu. Przeczekał chwilę:

– Z dworu Hövding uciekłem, nie podziękowawszy nawet. Inguna wydała lekki, przerażony okrzyk.

– Tak – ciągnął Olaf – to było źle i niepięknie, wuj bowiem był nieraz dobry dla mnie.

– Czyście się powaśnili?

– Nie, nawet nie to. Tylko zrobił coś, co mnie się nie podobało. Kazał ukarać jednego ze swych parobków. Nie powiem, aby kara była sroższa, niż na nią ów człowiek zasłużył. Ale wuj bywał nieraz okrutny, kiedy się rozsierdził, a wiesz, że ja nie mogę znieść, by dręczono niepotrzebnie ludzi czy zwierzęta...

– Więc posprzeczaście się?

– Nie, nie... Ów pacholek był zdrajcą. Było tak: wuj ze swymi druhami i krewnymi siedzieli w świetlicy i pili, byli wśród nich również moi krewni. Przyjechali, by spędzić z nami Wielkanoc. Mówili o królu. Był to wieczór wielkanocny. Knuli plany przeciw królowi Eirikowi<sup>[25]</sup>, żaden z nich nie wyrażał się o nim dobrze. Wiesz, oni tam teraz mają dziwaczne zamiary, na domiar wszyscy byliśmy podchmieleni i nieopatrzni w gadaniu. Ów pacholek Aake usługiwał nam przy stole, a potem pobiegł w te pędy do Holbek, do królewskiego burgrabiego i zdradził mu za pieniądze nowiny, które posłyszał. Mój wuj dowiedział się o tym; kazał zaprowadzić parobka do gaju, zwanego niewieścim, i tam uwięzić go do najgrubszego dębu. Po czym wziął prawicę zdrajcy, którą ten zaprzysiągł mu wierność, i przygoździł ją sztyletem do pnia. Widzisz, nie powiem, by Aake na to nie zasłużył. Gdy nadeszła noc, osądziłem, że stoi tak już dosyć długo. Wyszedłem więc do gaju, przeciąłem więzy i pożyczyłem

---

[25] *Knuli plany przeciw królowi Eirikowi...* – król duński Eirik V Klipping, spokrewniony przez matkę z dynastią norweską, panował w latach 1259-1286.

mu konia. Poleciałem, by oddał go w pewnym domu w Kalundborg, gdzie mnie znają. Pomyślałem, że wuj rozgniewa się okropnie za figiel, jaki mu splotałem, i żadne usprawiedliwienie nie pomoże. Słyszałem, że jarl stoi z okrętami na północy przy przylądku, spakowałem więc toboły i tej samej nocy pogałem konno na północ. I w ten sposób przybyłem tego roku wraz z jarlem do Anglii.

Tak, niezbyt piękną podziękę otrzymał wuj ode mnie. Codziennie modłę się do Boga, by nie przysporzył mi więcej kłopotów przez to, że uwolniłem Aakego. Kazałem mu wprawdzie przysiąc, ale taki łotr dotrzyma albo i nie dotrzyma przysięgi. Gdyby wuj kazał go powiesić, powiedziałbym, że postąpił słusznie... Ale stać tak pod dębem z przebitą dłonią... Było to tuż po Wielkanocy, co dnia bywaliśmy w kościele, a w Wielki Piątek na kolanach przyczołgałem się do krzyża i ucałowałem go. Zdawało mi się więc, że pacholek wygląda jak Ukrzyżowany.

Inguna kiwała leciutko głową:

– Spełniłeś dobry uczynek, Olafie.

– Bóg to wie. Może pozwoli, że w to uwierzę. I kiedy znów przybędę do Danii w drużynie jarla, prześlę wujowi wiadomość może nawet znajdzie się okazja, abym udał się do niego i prosił o przebaczenie. Bo okazałem mu czarną niewdzięczność. Olaf leżał dalej i patrzył na ciemne, granatowe lasy.

– Mówisz, że nie było ci tu dobrze, Inguno. I dla mnie również nie każdy dzień był ucztą. Nie użalam się na moich bogatych krewnych, ale są to ludzie możni i butni, ja zaś przybyłem do nich, obcy biedak wyjęty spod prawa; uważali mnie za nieletniego chłopca, na dobitkę nieślubnego w ich rodzinie, ponieważ nie oni wydali moją matkę za męża. Nie mówię, że mogli mnie przyjąć lepiej, niż to uczynili...

– Powinnaś nabrać rozsądku – prosił po chwili. Przysunął się do niej, oparł ciężko głowę o jej kolana. – Najchętniej zostałem tutaj albo

zabrałbym cię z sobą, gdyby istniał chociaż cień możliwości... Wolałabyś, abym wcale nie przyjeżdżał, jeśli nie mogłem przyjechać na zawsze?

Inguna potrząsnęła głową; przesuwała palce po jego włosach, mierzwiąc je pieszczotliwie.

– Ale i tak jest dziwne, że twój wuj nie mógł uczynić dla ciebie nic więcej – mówiła cicho – jeśli sam nie ma żyjących dzieci oprócz tej zakonnicy?

– Na pewno by uczynił, gdybym pozostał w Danii. Ja jednak wciąż mówiłem, że nie chcę, spostrzegł więc, że tęsknię za krajem.

Po chwili Inguna spytała:

– A ci twoi przyjaciele w mieście, o których wspominałeś, co to za jedni?

– E, nikt – odparł Olaf nieco szorstko. – To taka gospoda. Bywałem często w mieście z polecenia wuja, by kupić dla niego woły lub załatwić coś podobnego.

Inguna głąskała wciąż jego włosy.

– Ale całusa mogłabyś mi dać. – Podniósł się na kolana, objął ją mocnym uściskiem i ucałował w usta.

– Możesz ich mieć tyle, ile zechcesz – wyszeptła.

Kiedy poczuła jego gorące, mocne pocałunki na twarzy i szyi, łzy trysnęły jej spod powiek. – Ile tylko zechcesz, co dzień mógłbyś dostawać całusa.

– No, to obawiam się, że byłbym nienasycony! – zaśmiał się głębokim, gardłowym śmiechem. – Inguno moja! – Przegiął ją w tył tak mocno, że głową prawie dotknęła trawy. – Teraz nie potrwa to już długo – szeptał.

– Musimy iść do domu – rzekł i puścił ją. – Już dawno minął czas posiłku. Co powie pani Magnhilda, że tak uciekliśmy ze dworu?

– Mnie to obojętne – mruknęła przekornie Inguna.

– Ależ tak, mnie również! – Olaf roześmiał się, chwycił ją za ręce i

pomógł wstać. Otrzeptał czapkę jej i swoje ubranie. – Ale mimo to musimy już iść.

Zatrzymał jej rękę w swojej i tak doszli do ścieżki, gdzie można ich było zobaczyć z dworu.

Po odjeździe Olafa Inguna żyła dalej tak samo jak przedtem i nie mogła opanować bolesnego rozczarowania. Było tak, jakby jego odwiedziny wcale jej nie dotyczyły.

Wiedziała sama, że pojmowanie tego w ten sposób jest fałszywe. Olaf zachował się rozsądnie udając, że poniechał swych dawnych metod. I tak cała należała do niego. Tutaj, na Berg, nie potrafiliby nigdy nic osiągnąć. A za to doprowadził do tego, że obecnie i Ivar i Magnhilda traktowali Ją jako prawowitą narzeczoną młodzieńca.

Pani Magnhilda podarowała jej upominki do skrzyni wyprawowej – dotąd ziała ona żalostną pustką. Prawie nowe okrycie z zielonego aksamitu, podbite bobrowym futrem, obrus i ręcznik niebiesko obrzeżony, dwie koszule płócienne i jedną jedwabną, całą wyprawę do kołyski, trzy wzorzyste poduszki na ławę, żelazny kocioł, róg do picia nabijany srebrem i duży srebrny dzban – wszystko to dostała w ciągu dwu pierwszych miesięcy. Magnhilda nakłoniła również panią Aasę, by podarowała wnuczce swą wyprawową pościel, leżącą w spichrzu, razem z zasłonami i dywanami, poszwami, skórami i kapami.

– To Inguna ma wyjść za męża? – pytała zdziwiona babka, ilekroć córka wypraszała u niej któryś z tych przedmiotów. Zapominała z jednego dnia na drugi.

Ivar przyrzekł Ingunie konia z kulbaką oraz pieniądze, żeby sobie mogła kupić sześć dobrych krów. Za ciężko byłoby przeprowiać bydło z północy kraju nad morze. I prosił ją, by przyjechała kiedyś na południe, do Galtestad, wybrać sobie coś z szat jego nieboszczki żony:

– Wolę je darować tobie niżli Torze. Puszy się teraz strasznie, odkąd poślubiła tego Haakona chwalipiętę i została królową matką jego synów.

Zadał sobie nawet sporo trudu, by odnaleźć Olaf ową skrzynię na odzież, sprzedaną w Hamarze po skazaniu młodzieńca na banicję. Skrzynia była z jasnego drzewa lipowego, przepięknej roboty, z przodu wspianiale rzeźbiona. Ivar odkupił ją i przesłał Ingunie na Berg.

Berdysz Attarfylgia znajdował się przez cały czas u dominikanów w Hamarze. Kiedy wójt obłożył aresztem ruchome mienie Olafa, ojciec Vegard ukrył topór. Mówił, że nie jest to wielki grzech, bo broń, która dłużej niż przez stulecie była w posiadaniu jednego rodu, nie może wpaść w obce ręce, dopóki Olaf żyje. Kiedy potem Olaf wrócił do Hamaru, ojciec Vegard bawił właśnie w Rendalen, gdzie wygłaszał kazanie do chłopów o *Pater noster* i *Ave Maria* – ułożył cztery wspianiale kazania na ten temat i latem objeżdżał z nimi biskupstwo. Olaf odwiedził przeora i uiścił grzywnę pokutną za zabójstwo dokonane w gospodzie klasztornej. Po czym przeor wręczył mu berdysz. A gdy potem Olaf wybrał się znów na południe, pozostawił go u mnichów w przechowaniu.

Kolbein szalał z wściekłości, kiedy Ivar zwrócił się do niego, by w imieniu Olafa prowadzić rokowania. Nigdy nie przyjmie okupu za zamordowanie Einara, oświadczył. Olaf syn Auduna musi pozostać wyjęty spod prawa, a Inguna ma żyć tak, jak dotychczas, bez dziedzictwa i czci, jeśli nie chce zadowolić się małżeństwem, jakie krewni mogą ofiarować zhańbionej dziewczynie – z parobkiem, lub drobnym kmieciem.

Ivar wysmiał przyrodniego brata. Kolbein zupełnie chyba stracił rozsądek, jeśli nie rozumie, w jakich czasach żyją: jeśli król zechce dać Olafowi list żelazny, to Kolbein może się sto razy wzdragać przed przyjęciem grzywny.

– Możesz zostawić srebro na kościelnym wzgórzu na łup łągów i wron, Olaf mimo to będzie siedział spokojnie na Hestviken. Jeśli zaś chodzi o zrękowiny jego i Inguny, byłoby głupotą zaprzeczyć, że ów układ został istotnie niegdyś zawarty. – To, że Olaf uprzedził ich, gdy

zamierzali oddać narzeczoną Haakonowi synowi Gauta, obecnie cieszy Ivara; podoba mu się bardzo, że ich krewniak już w najwcześniejszej młodości okazał się mężem, który nie pozwoli się okpić z tego, co mu się prawnie należy.

Haakon spierał się obecnie z krewnymi żony z powodu jakiegoś spadku, którego domagał się w jej imieniu. Ivar wcale jednak nie chwalił tego krewniaka, nawet z tego powodu dał mu owo wdzięczne przezwisko. Haakon i Tora trzymali się więc z dala tej jesieni, gdy Magnhilda i Ivar starali się doprowadzić do ładu sprawę małżeństwa Inguny.

Haftor syn Kolbeina zjechał się z Iwarem na Berg, by omówić z nim warunki ugody. Haftor był mężem twardym i zimnym, lecz na swój sposób rzetelnym i o wiele mądrzejszym od ojca. Zrozumiał doskonale, że teraz, gdy Olaf pozyskał możliwych opiekunów, nie na wiele się ojcu przyda robienie trudności z ugodą. Zyskać mogli jedynie przez żądanie jak najwyższego okupu.

Wszystko to trzymało Ingunę w napięciu. Każdy dar przyjmowała jako zastaw na to, że Olaf już niedługo powróci i weźmie ją z sobą. Tak bardzo tęskniła za nim, a tymczasem gdy tu był ostatnio, tak mało z nią rozmawiał. To prawda, rozsądnie było z jego strony, że zamierzał przede wszystkim pozyskać jej krewnych i zabezpieczyć majątek ich obojga. Wierzyła, że kiedy wreszcie zostanie jego prawowitą żoną, będzie ją miłował tak samo jak dawniej. Chociaż nie był już taki naiwny i porywczy jak dawniej... Stał się inny, zapewne dzięki temu, że dorósł. Patrząc na niego zrozumiała dopiero, ile lat upłynęło od czasu, gdy jako dzieci żyli razem na Frettastein.

Kiedy następnej wiosny Haftor po Zielonych Świątach przybył do Berg, aby odebrać drugą część okupu, przywiózł ważne nowiny.

Połowę wypłacił Olaf w czasie półpościa w Hamarze. Pewien niemiecki kupiec z Oslo przywiózł srebro; Ivar spotkał się z nim, Haftor zaś przejął je w imieniu swego ojca. Część grzywny miała zostać uiszczona teraz, po Zielonych Świątach, a resztę miał zapłacić Olaf na letnim zjeździe, który odbywano corocznie w Hamarze po zakończeniu Eidsivatingu. Wówczas miał otrzymać Ingunę za żonę z rąk jej krewnych.

Tym razem jednak Olaf nie przysłał nikogo: natomiast Haftor posłyszał bardzo dziwne nowiny o jego panu, jarlu Alfie. Królowa Ingebjörga córka Eirika zmarła z początkiem wiosny w Björgvin i pana Alfa ogarnął strach, że to położy kres jego władzy w Norwegii. Młody książę Haakon<sup>[26]</sup> już od dziecka nienawidził z całego serca doradców matki, rozkazał tedy jarlowi w imieniu norweskiego króla, by przesłał do Oslo zaciężnych żołnierzy, których ubiegłego roku zwerbował w Anglii; pan Alf zatrzymał ich jednak u siebie w Borg ku udręce okolicznych gmin. Wykonał on rozkaz w ten sposób, że pożeglował z wielką flotą do Oslo i z przeszło dwustu ludźmi udał się na górę do miasta; sam ze swym orszakiem zamieszkał w grodzie królewskim u pana Hallkela Krökedansa, książecego starosty. Pewnego wieczora kilku z owych dziwkarzy, jak przezywano angielskich najmitów, wtargnęło na pewien dwór w pobliżu miasta, ograbiło i poraniło kmiecia. Pan Hallkel zażądał, by mu wydać sprawców, a gdy Anglicy odmówili, kazał uwięzić całą ich gromadę, wybrać na chybił trafił pięciu ludzi i powiesić ich. W odpowiedzi na to Anglicy urządzili zbrojny napad na dwór królewski. Przyszło do otwartej rozprawy orężnej

.....  
[26] *Młody książę Haakon...* – brat króla Erika, późniejszy Haakon V.



między ludźmi jarla i mieszczanami. Miasto splądrowano, cała dzielnica między kościołem Świętego Klemensa i rzeką, aż hen, w dół ku zamkowi i wybrzeżu została spalona. Koniec zaś był taki, że jarl odpłynął z Folden ze swą flotą, zabrawszy jako jeńca rycerza Hallkela – na niego chciał zwalić całą winę. Książę Haakon dowiedział się o tych niezwykłych wypadkach na południowym wybrzeżu w drodze powrotnej z pogrzebu matki; zebrał tedy spieszenie siły zbrojne i nakłonił również swego brata, króla, aby się do niego przyłączył. Wylądowali w okręgu Borg, wzięli szturmem Sarpsborg i Isegran, około trzystu ludzi jarla padło podobno w walce wręcz lub zostało potem wybitych przez okoliczne chłopstwo. Starostę pana Alfa na Isegran oraz wielu ludzi z jego drużyny kazał książę stracić. Ludzie opowiadali, że był to odwet za Hallkela Krökedansa, którego uśmiercono w zamku z polecenia jarla. Sam jarl, jak szły słuchy, zbiegł z resztkami wojska do Szwecji, a król Eirik ogłosił banitą jego i wszystkich mężów z jego drużyny.

Kiedy Haftor skończył opowiadać, ludzie z Berg siedzieli cicho i pośepnie. Imienia Olafa nie wymienił wprawdzie, ale po długim milczeniu Ivar zapytał zmartwiony, czy Haftor słyszał coś o nim. Może był między poległymi ludźmi jarla?

Haftor zaprzeczył z lekkim wahaniem. Trafiło się tak, że ludzie, od których posłyszał o tym wszystkim – dwaj biali mnisi z Tunsbergu – mieli dokładne wieści o Olafie. W czasie pożogi w Oslo przebywał on bowiem w klasztorze sióstr Mariaskog. Olaf otrzymał od jarla urlop jeszcze przed wyprawą do Oslo i udał się do okręgu Elve, by odprzedać część posiadanych tam włości mnichom na Dragsmark. Gdy posłyszał o upadku swego pana, miał pono powiedzieć, że zawdzięcza jarlowi wszystko, co posiada i odzyskał, i bez zwolnienia nie chce rozstać się z pierwszym panem, któremu wierność ślubował. Po czym udał się do Szwecji, by odszukać jarla.

– Ten Olaf ma dziwnie nieszczęśliwą rękę w wyborze mężów, którzy go mają wspierać – powiedział oschle Haftor. – Kończą jako wygnańcy. Najpierw biskup, a teraz ten jarl. Leży to już we krwi rodu, Hestviken było przecie gniazdem Baglerów za czasów jego przodków.

– Kryjówką Baglerów i gniazdem Ribbungerów<sup>[27]</sup> zwali ludzie dawniej również Hov, Galtestad i inne nasze siedziby rodowe, Haftorze – spróbował wtrącić Ivar, lecz głos jego brzmiał niepewnie.

Haftor wzruszył ramionami:

– Pewnie, Olaf może być dobrym chłopcem, chociaż to widać jego los, że trzyma zawsze z tymi, co przegrywają. Moim przyjacielem nigdy nie będzie, lecz mogę zrozumieć, że jego przyjaciele go lubią. Jeśli jednak Inguna zechce na niego czekać, będzie musiała uzbroić się w cierpliwość.

Tym razem, zauważył Ivar, może się zdarzyć, że sprawa Olafa zostanie szybko załatwiona. Haftor znów wzruszył ramionami.

Ivar wziął na siebie zawiadomienie Inguny, iż obecnie niewiele jest nadziei na to, by Olaf mógł ją zabrać jeszcze tego lata. Nie powstało mu w głowie obszernie mówić o buncie jarla młodej kobiecie, którą uważał za naiwną i lekkomyślną. Dlatego też Inguna nie od razu zrozumiała, czemu położenie Olafa jest teraz nie lepsze niż wówczas, zanim znalazł opiekuna w panu Alfie.

Tak więc stało się, że o jej ślubie nie mówiono więcej.

Ivar i pani Magnhilda czuli się trochę zawiedzeni. Zajęli się przecież gorliwie tą sprawą i ustosunkowali się do Olafa tak, że teraz, gdy niespodzianie popadł znowu w trudności, nie mogli się zwrócić przeciw niemu. Najchętniej więc nie mówili wcale o całej sprawie.

---

[27] Baglerowie – klerykalno-konserwatywna partia walcząca z Birkebejnami i dynastią Sverrego. Baglerów rozgromił ostatecznie dopiero Haakon Stary. Ribbungerowie – zwolennicy Sigurda Ribbunga, który jako wnuk Magnusa syna Erlinga rościł sobie prawa do korony norweskiej.

Kolbein syn Torego przebywał na swym dworze i leżał przeważnie w łóżu, przeszedł bowiem udar mózgu, Inguna nie wiedziała więc, co on sądzi o całej sprawie. Haftor zaś milczał. Otrzymał połowę grzywny w świetnej angielskiej monecie i unieważnienie pojednania uważał teraz za beznadziejne. Poza tym żał mu było Inguny i sądził, że mimo wszystko byłoby dobrze, gdyby Olaf wziął ją za żonę i wywiózł w inne strony; krewnym nie przysparzała ani pożytku, ani czci. Gdy pani Aasa kiedyś umrze, Inguna stanie się ciężarem dla rodzeństwa. On zaś był teraz opiekunem Hallvarda i Jona, synów Steinforma, i żył z nimi w zgodzie. Haakon syn Gauta poważnił się również ze swymi młodymi szwagrami.

Tak więc Inguna była znów pozostawiona sama sobie, musiała siedzieć w kącie u babki i milczeć.

Pierwszej jesieni zajmowała się jeszcze swymi sprawami, przędła, tkła i szyła wyprawę. Z wolna traciła jednak ochotę do tej roboty; nikt słówkiem nie napomknął o jej przyszłości. Przestała wierzyć, że Olaf wkrótce przyjedzie, i zaraz zdawało jej się, że nigdy naprawdę o tym nie myślała. Ich spotkania w dniach jego ostatniego pobytu na Berg pozostawiły w jej sercu głuche rozczarowanie – Olaf był jakby na pół obcy...

Nie mogła jakoś wcielić jego obrazu w swoje dawne sny, w których wyobrażała sobie, jak żyją razem na jego dworze, jak oboje rządzą i mają moc dzieci, a mimo to są jeszcze wciąż tacy sami jak niegdyś, kiedy kochali się na Frettastein.

Czepiała się więc wspomnienia tej jednej jedynej godziny, kiedy byli sami – twarz obok twarzy i usta przy ustach – tego ostatniego dnia, kiedy siedzieli razem na łące. W wyobraźni powtarzała sobie rozmowę i odtwarzała namiętną, gorącą pieśczętę, gdy ucałował ją gwałtownie i przegiął w tył ku ziemi. Marzyła, że uległ swemu pragnieniu i jej błaganiu i zabrał ją z sobą. Przypomniła sobie opowieść matki w nocy

przed śmiercią o jej ślubnej wędrowce przez wszystkie góry. Córka przekształcała teraz ową historię.

Następnego lata, drugiego po odwiedzinach Olafa, pojechała z panią Magnhildą daleko, w dolinę Gudbrand, do Ringabu, na wesele. Pozostały parę tygodni na Eldridstad u krewnych, którzy zaprowadzili je na wysokie połoniny, by pokazać pani Magnhildzie swoje bogate stada. Po raz pierwszy w życiu zaszła Inguna tak wysoko w góry, ponad lasy. Patrzyła na ponure granie, pokryte tylko karłowatą brzozą oraz szarozółtym nalotem mchów. Niżej falował szczyt obok szczytu, aż hen, po widnokrag na północy, gdzie stały ośnieżone i oblodzone skały, na które kładły się chmury.

Na wesele musiała się ubrać w jasne, barwne szaty, włożyć srebrny pas i rozpuścić włosy. Czuła się zmieszana i onieśmielona, i nie mogła tego przemóc. Kiedy po powrocie na Berg siedziała znowu w izbie babki, owładnęły nią nowe myśli... Widziała siebie wędrującą z Olafem, strojną i olśniewająco piękną; mogło to być na jakimś zagranicznym dworze królewskim i było dla niej zadośćuczynieniem po tych wszystkich smutnych latach, przesiedzianych w kącie. W swoich snach jechała z człowiekiem wyjętym spod prawa poprzez góry. Konno przejeżdżali górskie potoki, szumiące bardziej dziko i dźwięcznie od rzek w dolinach; więcej śpiewności i mniej huku było w ich szumie, a całe dno potoku jaśniało od białych, okrągłych kamieni. Wszystkie dźwięki podniebne w powietrzu były inne w górach niż w dolinach. Jechała z Olafem ku błękitniejącym, wolnym szczytom, przez głębokie doliny i nieznanne otwarte przestrzenie; odpoczywali w kamiennych szałasach, podobnych do szałasów na Eldridstad. I na myśl o tych górach dzikość jakaś płonąła w sercu Inguny. Ona, tęskniąca dotąd biernie i ulegle, przygnieciona losem, popłakująca jedynie czasem nocą pod skórzanym przykryciem, gdy zdawało jej się, że zbyt ciężka spotyka ją kara – poczuła nagle, że

ponosi ją jakiś nieokiełznany pęd, jej marzenia stały się barwne i pełne przygód, odtwarzała w nich sprawy, o jakich słyszała w baśniach i sagach, opowiadała sobie o rzeczach nigdy nie widzianych: o kamiennych, warownych zamkach, krytych łożowanymi dachami, o rycerzach w błękitnych kolczugach, o okrętach z jedwabnymi żaglami i połączanymi dziobami. Była w tym jakaś inna wspaniałość i barwność niż w dawnych marzeniach o kmiecym dworze z Olafem i dziećmi, ale te obrazy były o wiele bardziej gorące i pogmatwane niż prawdziwe majaki senne.

Arnvid syn Finna bywał w ostatnich latach kilkakrotnie na Berg i Inguna mówiła z nim o Olafie; tyle tylko o nim wiedział, że żyje i przebywa w Szwecji. Tymczasem zimą po tym lecie, kiedy Inguna bawiła w górach – było to pierwszego stycznia, pisano wtedy rok 1289 po narodzeniu Chrystusa – Arnvid przybył bardzo uradowany do Berg. Każdej zimy zwykł był jeździć na jarmark do Serna i jesienią spotkał tam Olafa; spędzili razem cztery dni. Olaf mówił, że jarl Alf sam zwolnił go ze złożonej przysięgi i pragnął, by Olaf myślał o swych własnych sprawach, dał mu też znak rozpoznawczy do pana Torego syna Haakona, w Tunsbergu, ożenionego z siostrą Alfa. Olaf wstąpił w służbę pewnego możnego pana szwedzkiego, by uciułać trochę pieniędzy, zanim powróci do domu, lecz miał zamiar po Nowym Roku przybyć do Norwegii – może już teraz jest na Hestviken.

Inguna poweselała; zwłaszcza dopóki Arnvid gościł na Berg, czuła się pokrzepiona na duchu, ale potem nadzieje jej znów przygasły i zbladły. Nie śmiała oczekiwać, że naprawdę może się coś zdarzyć. Mimo to jej sny i marzenia miały tej zimy barwę jaśniejszą, a tymczasem szła już wiosna – może Olaf przybędzie, jak zapowiedział Arnvid.

Latem kobiety na Berg wędziły zazwyczaj ryby i mięso na wolnym powietrzu. W brzozowym gaju na północ od dworu było kilka wysokich, nagich skał; w ich szczelinach rozniecały ogień, osłaniały go skrzynią bez dna, nad otworem wieszały to, co chciały uwędzić, i jedna z kobiet musiała siedzieć cały dzień i pilnować ognia.

Pewnego dnia przed świętym Hallvardem<sup>[28]</sup> postanowiono uwędzić trochę ryb dla Aasy córki Magnusa. Dalla i Inguna poszły więc do gaju. Stara nałożyła dREW i rozpałiła ognisko, które płonęło i dymiło doskonale, po czym musiała wrócić do domu, by dojrzec krów, a Inguna została sama.

Zbocze tu, w gaju, było prawie zupełnie odkryte, brunatne i bezbarwne, słońce mocno przygrzewało na nagich skałach, a obłoki zapowiadające piękną pogodę płynęły wysoko po gładkim jak jedwab błękitnym niebie. Zatoka, której lśnienie widziała Inguna między pniami brzóz, pokryta była jeszcze bezbarwnym, kruchym lodem, a śnieg leżał białymi plamami w borze na drugim brzegu. Tutaj, po słonecznej stronie, woda sączyła się i bulgotała wszędzie, lecz wiosna nie huczała jeszcze pełnym, szumiącym głosem śnieżnych roztopów.

Inguna siedziała z przyjemnością w słońcu i pilnowała ognia. Była tu już od kilku godzin i zastanawiała się właśnie, czy przynieść nową naręcz jałowca, gdy posłyszała, że ktoś nadjeżdża konno ścieżką wiodącą przez góry ponad miejscem, w którym siedziała. Podniosła oczy. Był to jakiś mężczyzna na małym, nędznym, żółtawym koniu. W tej chwili trąciła cebrzyk z wodą; naczynie stało bez oparcia między kamieniami, upadło i woda się rozlała.

Inguna stwierdziła z niechęcią, że musi pójść po wodę, a Dalla zabrała konew. Cebrzyk był kamienny; nosiło się go na kiju przesuniętym przez dwa ucha. Inguna podniosła go. Nagle człowiek na ścieżce zeskoczył z konia i zbiegł po zeschniętych wrzosach wołając:

[28] Świętego Hallvarda – 15 maja.

– Poczekaj, moja ślicznotko! Ja to za ciebie zrobię!

Objął ją wół, by zatrzymać się w pędzie, przycisnął szybko do siebie, odebrał jej naczynie i prędko pobiegł dalej do potoku. Inguna mimo woli roześmiała się patrząc za nim. Błysnął w uśmiechu białymi zębami.

Cera jego była śniada, a włosy kędzierzawe; odrzucił kaptur i stał z gołą głową. Był bardzo wysoki, smukły i zwinny, ale nieco niedbały w ruchach, głos jego zaś był najweselszym głosem, jaki sobie można wyobrazić.

Gdy wrócił z wodą, zauważyła, że jest bardzo młody. Jego smągła twarz była szczupła i koścista, ale wcale niebrzydka, oczy miał wielkie, żółte czy też piwne, roześmiane i przejrzyste. W dużych ustach lśniły równe zęby, nos był delikatny i zuchwale wygięty. Mężczyzna był starannie ubrany w zielony kaftan barwy mchu, sięgający po kolana, na nim miał brązową oponczę; u pasa wisiał mały, krótki miecz.

– Tak – powiedział śmiejąc się. – Jeśli chcesz, bym ci jeszcze w czym pomógł, powiedz tylko.

Inguna śmiała się również; odparła, że niczego więcej nie potrzebuje, już i tak dużo dla niej zrobił, cebrzyk jest ciężki.

– O wiele za ciężki dla tak młodej i ładnej dziewczyny. Czy jesteś z Berg?

– Z Berg – odrzekła Inguna.

– Jadę tam właśnie. Mam zlecenie i pismo od mego pana do twojej pani. Ale teraz wolę zostać tutaj i pomóc ci, wtedy przyjadę tak późno do pani Magnhildy, że będzie musiała użyczyć mi noclegu. Będzie mi chyba wolno położyć się obok ciebie?

– Oczywiście – Inguna sądziła, że chłopak żartuje; był tylko młodym chłopcem, widziała to i śmiała się wraz z nim.

– Zostanę tutaj i pogwarzyemy trochę – powiedział. – Nudną ci dano robotę, pewnie czas ci się dłuży – siedzieć tak samotnie w lesie, gdy się

jest młodą i ładną.

– Gorzej byłoby siedzieć tutaj i być starą i brzydką. A ten las nie jest wcale pusty. Jestem tu zaledwie od czterech godzin, a już przejechałeś tędy.

– Zapewne po to mnie tutaj posłano, bym cię zabawił. Poczekaj, pomogę ci, do tej roboty nadaję się lepiej niż ty.

Inguna krzątała się trochę niezręcznie, gdyż przykry dym gryzł ją w oczy i gardło. Chłopak zanurzył w wodzie pęk jałowca i rzucił go na ogień, uskakując w bok, kiedy dym skłębził się i powiał w jego stronę. – Jak się nazywasz, piękne dziewczę?

– Dlaczego chcesz wiedzieć?

– Powiem ci wtedy moje imię. A przyda ci się znać je wobec tego, że tej nocy mam spać z tobą.

Inguna potrząsnęła głową i roześmiała się.

– Nie jesteś z naszej doliny? – spytała; mówił dziwnie łamanym językiem.

– Nie, jestem Islandczykiem, na imię mi Teit. Powiedz teraz, jak ty się nazywasz?

– Ach, ja nie mam tak osobliwego imienia. Wołają mnie po prostu Inguna.

– To jest dość dobre imię, jest piękniejsze od najpiękniejszego ze znanych mi imion. Jeśli znajdę lepsze, wypiszę je złotymi literami i dam ci je, Inguno Kwiatolica.

Pomógł jej wyjąć uwędzone ryby i powiesić świeże. Potem wyciągnął się na zboczu, wybrał sobie pstrąga, ściągnął skórkę i zaczął jeść.

– Wybierasz najładniejsze i najlepsze – stwierdziła Inguna ze śmiechem.

– Czyż twoja gospodyni, pani Magnhilda, jest taką kutwą, że nie użyczy nam biedakom nawet kawałka ryby?



Inguna spostrzegła, że obcy uważa ją za dziewczkę służebną. Miała na sobie brązową suknię z bai, spiętą gładkim pasem, a włosy jak zwykle splecione były ciasno w dwa proste, nie ozdobione niczym warkocz, na dole związane niebieskim wełnianym sznurkiem.

Teit przysiadł się do niej widocznie na czas dłuższy, doglądał dymu, maczał jałowiec i dorzucał do ognia. W przerwach zaś kładł się obok niej i rozmawiał. Dowiedziała się wkrótce, że jest obecnie pisarzem u lennika wójta w tej okolicy. Był synem księdza, siry Halla syna Sigurda i uczęszczał do szkoły w Holar; ale nie miał ochoty zostać księdzem, wołał raczej puścić się w świat i szukać szczęścia.

– A znalazłeś je? – spytała Inguna.

– Na to dam ci jutro odpowiedź – uśmiechnął się filuternie. Nie mogła nic na to poradzić, że ten wesoły chłopak jej się podobał. A potem poprosił, by mu dała całusa. Pomyślała, że nie ma w tym nic zdrożnego, nie powiedziała więc ani tak, ani nie, siedziała i tylko śmiała się cicho, a Teit objął ją i ucałował w same usta. Potem jednak nie chciał jej puścić, ręce wsunął pod suknię, stał się natarczywy i rubaszny. Inguna próbowała bronić się, nagle poczuła lęk, prosiła, by ją zostawił w spokoju.

– To nie po męsku, Teit – prosiła. – Ja muszę tutaj siedzieć i pilnować mojej roboty, nie mogę stąd uciec, wiesz przecież dobrze.

– Doprawdy, wcale mi to nie przyszło na myśl! – Puścił ją natychmiast, trochę zawstydzony. – Pójdę poszukać mojego konia – powiedział wkrótce potem. – Zobaczymy się w Berg! – zawołał do niej z góry ze ścieżki.

Kiedy Inguna z Dalią wróciły wieczorem do dworu, na podwórzu nie było nikogo, ilekroć jednak otwierały się drzwi izby pani Magnhildy, buchał stamtąd głośny zgiełk i śmiechy. Pani Magnhilda miała gości: dwie młode dziewczyny, Dagny i Margret, bliźnięta jednej ze swych

wychowanek, a owego wieczora zawitało prócz tego na Berg kilku młodych ludzi, krewnych dziewcząt oraz przyjaciół tych krewnych.

Inguna weszła do domu babki. Z miską na kolanach siedziała przy łóżku i karmiła staruszkę kaszą z mlekiem, od czasu do czasu zjadając sama łyżkę stawy. Potem wzięła koszyk i nóż i wyszła na dwór. Wieczory były już pogodne i widne, na południowym stoku, zwróconym ku zatoce, na ornych polach uważanych za najlepsze i największe ze wszystkich w majątku, rósł już świerząbek i inne dzikie zioła. Chciała zebrać pełny ich koszyk i ugotować odwar dla babki, na pewno dobrze jej zrobi po zimie takie przeczyszczenie ciała ze śluzu, i innych niezdrowych soków.

Roślinki były jeszcze drobne i wątłe; zanim nazbierała ich dosyć, szarobłękitny zmierzch wczesnego wiosennego wieczoru osnuł pola. Gdy wróciła na podwórze, zastąpił jej drogę wysoki, smukły człowiek – Islandczyk Teit.

– Kochanie, tak późno wieczorem musisz jeszcze pracować w polu? – zapytał z czułością. Sięgnął do kosza, podniósł garść ziela do twarzy i powąchał. Potem wziął ją za przegub ręki i głąskał leciutko ramię dziewczyny.

– Bawią się w izbie Magnhildy. Czy nie wejdziesz tam także, Inguno? Chodź, zaśpiewam najpiękniejsze piosenki, jakie tylko znam.

Inguna potrząsnęła głową.

– Chyba gospodyni nie jest tak sroga dla ciebie? Zresztą inne dziewczęta z czeladzi też są w izbie.

– Dziwiliby się mojemu przyjściu – odparła Inguna. – Już wiele lat minęło, odkąd brałam udział w zabawach młodzieży. Dagny i Margret dziwiłyby się, gdybym przyszła do nich i ich przyjaciół.

– Pewnie, bo zazdroszczą ci, żeś ładniejsza. Nie podoba im się, że dziewczka urodziwsza jest od nich. – Przycisnęła ją tak mocno do siebie, że aż zatrzeszczał koszyk, który trzymała pod pachą. – Przyjdę potem do

ciebie – szepnął.

Inguna stała chwilę na progu, zapatrzona w siną noc wiosenną i nasłuchiwała dźwięków śpiewu i cytry, przenikających z izby Magnhildy. Nie chciała tam wejść. Goście byli młodzi i niepohamowanie weseli. Nie będzie chyba jednak w tym nic złego, jeśli wpuści Teita nocą do izby. I ona również miała ochotę pomówić raz z kimś obcym – po tylu latach. Nie zamknęła więc drzwi na zasuwę, weszła do izby i położyła się w sukni na posłaniu.

Długo trwało, czas mijał i Inguna sama przed sobą starała się zataić rozczarowanie z powodu nieprzyjścia Teita; w końcu zasnęła. Ocknęła się nagle, bo ktoś zbliżył się i położył niezbyt obyczajnie obok niej. Gdy go jednak mocno odepchnęła, Teit spotulniał od razu.

Usprawiedliwiał się tym, że w izbie było tak wesoło i gwarno. Kiedy jednak Inguna leżała cicho i oziębłe odpowiadała na wszystko, co mówił o zabawie, Teit stawał się coraz potulniejszy. W końcu powiedział błagalnie:

– Wiesz chyba, że najbardziej cieszyłem się na rozmowę z tobą. A teraz jesteś na mnie zła? Droga moja, co takiego mam ci rzec, aby było ci miło usłyszeć?

– Nie, tego naprawdę musisz się sam domyślić – odparła Inguna, śmiejąc się mimo woli. – Jeśli chcesz zdobyć kobietę, nie mnie pytaj, jak masz się zabrać do tego.

– Jak to rozumieć? Jeśli zdobyłbym ciebie, chciałabyś odjechać z Berg, Inguno?

– O, być może...

– Czy miałabyś ochotę przenieść się do Islandii i tam żyć?

– A daleko stąd do Islandii? – spytała.

Odpowiedział, że tak. Życie tam jest lżejsze, łatwiejsze niż w Norwegii

– w każdym razie lepsze niż tutaj, na północy, gdzie zimy są takie ostre. U nich w kraju nie ma śniegu leżącego nieraz przez całą zimę, owce i konie pasą się jak rok długi na łąkach...

Inguna słuchała tego z przyjemnością; i jej bowiem zima wydawała się sroga, kiedy bydło stało w stajniach i głodowało, skóry w łóżach były z rana przymarzniete do ściany, człowiek miał zawsze lodowate nogi, a dla zdobycia każdej kropli wody, potrzebnej w domu, trzeba było rąbać przereble.

Teit ładnie opowiadał, mówiąc o swym kraju ojczystym. Inguna pomyślała, że pięknie musi być w Islandii: owe wzgórza, z których sprowadzają jesienią trzody, wyglądają zapewne jak góry, które widziała zeszłego roku. Świat był wielki i szeroki dla mężczyzn; mogli wędrować po nim swobodnie. Myśl jej pobiegła do Olafa. Ileż krajów zwiedził! Anglię, Danię, Szwecję. Teit znał tylko Islandię i Norwegię. Pragnęła, aby Olaf był podobny do Teita, aby opowiadał o swych przeżyciach. On jednak mówił zawsze tak mało o tym, co mu się wydarzyło. Teit był z pewnością bardzo uczony; nie przypuszczała nigdy, że człowiek ocytany może być taki młody, wesoły i prosty. Co prawda, do tej pory nie spotkała człowieka świeckiego znającego sztukę pisania, prócz Arnvida; on jednak był o wiele starszy i zawsze poważny.

W końcu oboje poczuli senność, rozmowa zaczęła się rwać. Wtedy chłopak przysunął się do niej, chciał ją popieścić i przytulić. Inguna broniła się, początkowo trochę ospale i obojętnie, ale nagle zlekła się, gdyż Teit stał się gwałtowny. Prosiła, by pamiętał, że pani Aasa śpi w drugim łóżu; jeśli obudzi się i spostrzeże, że Ingunę odwiedza ktoś po nocy, źle się to skończy.

Teit pojękiwał i napraszał się jakby żartem, ale wreszcie dał spokój, podziękował i życzył Ingunie dobrej nocy. Inguna odprowadziła go do drzwi i zamknęła je za nim. Ujrzała, że północ już minęła.

Nazajutrz rano wstała dość późno, a gdy wreszcie wyszła na dziedziniec, było już południe. Spozstrzegła zaraz Islandczyka; stał pochylony przed drzwiami stajni i wyglądał, jakby go ktoś wystrychnął na dudka. Inguna zbliżyła się i życzyła mu dobrego dnia.

Teit udał, że nie widzi jej wyciągniętej ręki, i wpatrywał się dalej pośępnie przed siebie.

– Pewnie się dobrze ubawiłaś, znalazłszy głupca, którego udało ci się nabrać!

– Nie rozumiem, o czym myślisz!

– Ładny mi żart: skusić biednego młodzieńca, aby się ubiegał o ciebie, kmięcą córkę na Berg!

– Nie jestem córką w tym domu, jestem bratanicą. To wielka różnica, Teit.

Teit popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Sądziłam raczej, że to ty żartujesz, kiedyś mówił o konkurach i byłeś czuły. Nie myślałam ani przez chwilę, że mówisz poważnie. Nie rozumiałam też tego w ten sposób, że naśmiewasz się ze mnie z powodu mojej naiwności... A przecież ja, co nigdy nie wyszłam poza tę okolicę, gdzie się urodziłam, niewiele wiem i widziałam. Sprawiała mi przyjemność rozmowa z tobą, z tak mądrym, uczonym i bywałym człowiekiem.

Uśmiechnęła się do niego łagodnie i prosząco. Teit spuścił oczy.

– Nie myślisz tego poważnie.

– Owszem, sądziłam, że zostaniesz tu kilka dni, że dane mi będzie jeszcze coś posłyszeć i nauczyć się czegoś od ciebie.

– Nie, dziś muszę odjechać, ale sądzę, że Gunnar syn Berga pośle mnie tu znowu po niedzieli – rzekł z lekkim zmieszaniem.

– Będziesz więc mile widziany! – Inguna podała mu rękę na pożegnanie i weszła do domu.

Koło świętego Jana przybył na Berg Arnvid, by zobaczyć stryjenkę – pani Aasa ciągle chorowała. Mogła zgasnąć każdej chwili, ale mogła również żyć jeszcze długo, jeśli taka była wola Boża. Arnvid nie słyszał nic o Olafie od ostatniego razu.

Nazajutrz po przybyciu spacerował z Inguną po dziedzińcu. Teit przeszedł obok nich, zniknął w izbie Magnhildy. Arnvid przystanął i popatrzył za nim:

– Ten pisarczyk często tu się teraz kręci? Inguna skinęła głową.

– Nie wiem, czy powinnaś rozmawiać z nim tyle, Inguno.

– Dlaczego? Wiesz coś o nim? – spytała po chwili.

– Słyszałem o nim w Hamarze – odparł krótko Arnvid.

– Co takiego? – spytała Inguna stropiona. – Czy mówią, że ma jakieś nałogi?

– Gra w kości – odrzekł Arnvid cicho i niechętnie. – Mistrz Torgard, śpiewak, miał u siebie najpierw tego chłopca i chwalił go bardzo. Islandczyk ma prześliczne pismo, pisze szybko i bez błędu; jest również doskonałym iluminatorem, tak że mistrz Torgard poruczył mu wykonanie inicjałów w księdze Antyfon oraz w Zbiorze Ustaw; była to piękna robota. A gdy zachorowała żona introligatora, która zwykle pomagała mężowi, Teit zastąpił ją i okazał się tak samo zręcznym introligatorem jak prawdziwy mistrz tego fachu. Toteż Torgard niechętnie zwolnił chłopaka. Miał on jednak tę słabość, że zapominał o Bożym świecie, gdy zasiadł do gry w kości lub szachy, a w mieście uprawia się wiele tych gier. Był w stanie przegrać buty i pończochy, a potem wrócić do domu w pożyczonych rzeczach. W ogóle nie miał na tyle rozsądku, by dbać o własne powodzenie, pożyczał pieniądze u kramarzy i szynkarek.

Jakkolwiek mistrz Torgard niechętnie pozbywał się zręcznego pisarza, wolał go odesłać tam, gdzie był mniej narażony na podobne pokusy. Mistrz mówił również, że poza tym jest on lubiany. Skoro więc lennik na Reyne potrzebował człowieka umiającego dobrze pisać, mistrz Torgard posłał do niego Islandczyka.

O tym, że ów Teit miał na sumieniu także, różne babskie sprawy, Arnvid nie uważał za stosowne wspominać przed Inguną; i tak przykro mu było rozpowiadać podobne rzeczy o młodzieńcu. Jedno musiało powiedzieć: Islandczyk pożyczył pieniądze od siostry mistrza Torgarda i od innych, więc...

W przeddzień świętego Jana ludzie z Berg wybrali się do kościoła; odprawiano mszę żałobną w rocznicę śmierci pana Wikinga. W drodze powrotnej złapała ich straszliwa burza, deszcz lał strumieniami, zdawało się, że od czasu Noego nie było takiego potopu. Wracający z kościoła schronili się pod wielkie złomy skalne; mimo to przemoknięci niczym wrony wrócili do domu.

Tora z dwojgiem starszych dzieci spędzała święta u ciotki. Tym razem odnosiła się bardzo przyjaźnie do siostry i pod wieczór przysłała po nią do izby Aasy: tego dnia zjechało się sporo gości.

Inguna siedziała przy palenisku w samej koszuli, włosy rozpuściła, by prędzej wyschły. Najpierw oświadczyła, że nie może opuścić babki. Tora odpowiedziała jednak, że Dalla posiedzi przy niej... Wtedy Inguna zaczęła się wymawiać, że nie ma odpowiedniej szaty, jedyna jej suknią odświętna jest zupełnie przemoczona.

Tora kręciła się po izbie cicho nucąc. Wciąż jeszcze była dorodną młodą kobietą, mimo że z biegiem lat roztyła się zanadto. Miała na sobie aksamitną suknię błękitnego koloru i jedwabny czepiec; klamry i

pozłacany pas wyglądały pięknie. Otworzyła skrzynię Inguny:

– A tej jedwabnej sukni nie możesz włożyć? – Wyjęła zieloną jedwabną szatę, którą Inguna otrzymała od matki przed ucztą po zabiciu Mattiasa, i stanęła z nią w świetle ogniska.

Inguna pochyliła się zmieszana. Tora ciągnęła: – Nieczęsto miałaś ją na sobie, siostrze. Pamiętam, nie byłam zadowolona z tego daru matki. Czy ubrałaś się w nią kiedy oprócz owego wieczoru?

– Miałam ją na sobie na weselu w Eldridstad.

– Aha, słyszałam, żeś pięknie wyglądała. – Tora westchnęła. – Leżałam wówczas w domu i martwiłam się, że nie mogę tam być. Najhuczniejsze wesele w dolinie od lat dwudziestu. Chodź, siostrze – błagała. – Ach, dziś wieczorem mam taką ochotę potańczyć i zabawić się. Pierwsze lato, odkąd wyszłam za męża, że mogę tańczyć. Chodź, Inguno. Jest Arnvid i ten Islandczyk, twój przyjaciel, zaśpiewają nam. Nie wiem doprawdy, który z nich ma ładniejszy głos.

Inguna wstała ociągając się. Ze śmiechem chwyciła Tora suknię, zarzuciła ją siostrze przez głowę i pomogła ułożyć fałdy pod srebrnym pasem.

– Włosy mam jeszcze wilgotne – szepnęła Inguna zakłopotana, zbierając je w rękach.

– Zostaw je rozpuszczone – roześmiała się Tora. – Ujęła rękę siostry i pociągnęła ją szybko za sobą.

– O, patrzcie na ciotkę Ingunę, patrzcie na ciotkę Ingunę! – zawołała mała córeczka Tory, kiedy Inguna weszła w oświetlony krąg izby. Inguna podniosła dziecko; mała objęła ją rękami za szyję, wdychała woń na pół przeschniętych włosów, spowijających młodą kobietę aż do kolan niby płaszcz z ciemnego złotogłowiu. – Matko! – krzyknęła. – Ja chcę mieć



takie same włosy, gdy dorosnę!

– Masz słuszość, to piękne włosy.

Inguna postawiła dziecko z powrotem na podłodze. Tego wieczora była w pełni świadoma swej urody, sama nią była olśniona. Olaf – przemknęło jej przez głowę i serce uderzyło mocno kilka razy... Olaf powinien tu być! Przesunęła ręką po twarzy i odgarnęła włosy. Spojrzała wkoło i spotkała dziwnie mroczny wzrok Arnvida, a złotawe oczy Teita błysnęły ku niej niby dwie świece. Ten, którego szukała, nie był obecny. Przycisnęła złożone ręce do piersi. Nie było tego, który powinien był widzieć, że tego wieczora ona jest tu najurodziwsza z kobiet. Przez mgnienie oka czuła się tak, że najchętniej pobiegłaby do izby Aasy, zrzuciła ozdobny strój i wyplakała się...

Pod wieczór zaczęto mówić o tańcach, wspomniano pieśń *Kraaka-maal*, stary, dostojny tan mieczów. Arnvid przyznał się, że znał go dawniej, Tora oświadczyła, że ona i siostra uczyły się kroków, Teit wtrącił z zapałem, że zna całą pieśń i chętnie będzie prowadził. Pani Magnhilda odezwała się ze śmiechem, że jeśli młodzież ma ochotę obejrzeć raz jeszcze ów staroświecki taniec, to i ona stanie w szeregu. – A ty, Bjarne? – zachęcała starego rycerza, przyjaciela młodości. Trochę nieśmiało zgłosiło się jeszcze kilku starszych ludzi ze służby. Widać było, że sprawia im przyjemność przypomnieć sobie zabawę z młodych lat.

Arnvid był zdania, że Teit ma prowadzić – on najlepiej to potrafi – a za nim miała stanąć pani Magnhilda i pan Bjarne. Starzy nie zgadzali się na ten porządek. Teit stanął więc pierwszy w szeregu, za nim Inguna i Arnvid z Torą. Razem ustawilo się siedmiu mężczyzn z wyciągniętymi mieczami oraz sześć kobiet.

Taniec szedł gładko, Teit prowadził cudownie. Jego silny, jasny głos

brzmiał nieco ostro, lecz poznać było, że jest wyszkolony. Wspierał go piękny, pełny głos Arnvida, pan Bjarne i dwóch starych parobków mieli dobre głosy, wszyscy zaś tańczyli z zapalem. Z kobiet nie śpiewała żadna, lecz dzięki temu stary taniec mieczów zyskiwał na sile i powadze: tu władał jedynie oręż, mocny, rytmiczny krok mężów i męskie głosy, coraz potężniejsze i bardziej ogniste; kobiety prześlizgiwały się tylko pod krzyżującymi się ze szczęką mieczami.

Inguna tańczyła urzeczona i oszołomiona. Była wysoka i smukła, musiała się pochylać niżej od innych kobiet; oczy miała wpróprzymknięte, była blada i ciężko oddychała. Ilekroć wysuwała się naprzód pod skrzyżowanymi ostrzami, luźny płaszcz rozpuszczonych włosów trzepotał lekko, jak gdyby chciała rozpostrzeć ciężkie skrzydła. Kosmyk włosów zaplątał się w kłamię na piersiach Teita i pociągał głowę dziewczyny przy każdym kroku; ale ani przez myśl jej nie przeszło wstrzymać taniec po to, aby się uwolnić.

Przatańczyli już piętnaście czy szesnaście zwrotek, gdy wtem pani Magnhilda wydała głośny okrzyk, tak że cały łańcuch się zatrzymał. Pot ciekł jej po czerwonej twarzy, obu rękami złapała się za serce. – Nie mogę dalej – jęknęła ze śmiechem.

Arnvid dał Teitowi znak głową, oczy mu błyszczały, pełne ognia; krzyknął coś, potem zaczął śpiewać i wszyscy za nim:

*Szczęknęły nasze miecze,  
Wszyscy synowie Aslaug  
Dźwiękiem ostrego oręża  
Pragnęli Hild obudzić.*

Ostatnie strofy pieśni chcieli koniecznie odśpiewać, chociażby mieli opuścić dziesięć czy dwadzieścia w środku.

*Matce oddałem swych synów,  
Aż me serce zdrząło*

Tańczący mężowie byli pochłonięci i rozpaleni zabawą, śpiewali też chórem na całe gardło:

*Szczęknęły nasze miecze,  
Chętnie zakończę życie!  
W dom wabi mnie bogini,  
Którą z Heriansa ha! Odyn po mnie ślał.  
Rad będę pił z Azami<sup>[29]</sup>  
Piwo na miejscu wysokim;  
Lekko rozstaję się z życiem,  
Z uśmiechem pragnę skonać.*

Przerwali łańcuch, zatoczyli się i upadli na ławy. Mężczyźni odłożyli miecze i otarli pot z twarzy, śmiejąc się z uciechy. A młodzież, która się przyglądała, zaczęła wołać, że taniec był przepiękny. Pani Magnhilda ujęła się pod boki, sapiąc z wysiłku:

– Tak, to nie taki taniec jak te wasze dzisiejsze podrygi i pląsy. Teraz na ciebie kolej, Margret. Zatańcz jedną z tych słodkich miłosnych piosenek, które tak lubicie:

*To król i pan nasz, Eirik,  
jedzie samotnie przez góry*

– bo to takie słodkie i łagodne jak miód. Nasze stare pieśni są zbyt

---

[29] Przekład Leopolda Lewina. Azowie – ród bogów, z których najwyższy jest Odyn. Mieszkają oni w zbudowanym przez olbrzymów grodzie Asgard. Koniec świata (Ragnarök – dosłownie „los bogów”) będzie również zagładą Azów.

twarde dla was, wy jedwabne laleczki.

Młodzież nie dała się dwa razy prosić, starzy tańczyli już i tak długo; chociaż ciekawy i rzadki był to widok – ów dawny taniec mieczów.

Teit zbliżył się do Inguny; siedziała skulona pod ścianą, osłonięta królewskim płaszczem włosów. Jej twarz nie rozgorzała od tańca; była jakby pociągnięta woskową bladością.

– Nie, nie zatańczę już więcej. Posiedzę tu i będę się wam przyglądała.

Teit wrócił do tamtych. Był niestrudzony i zdawał się znać wszystkie stare i nowe pieśni.

Inguna przystanęła na dziedzińcu. Wyszła z izby, gdzie się bawiono, by pójść do babki i położyć się spać.

Północ dochodziła, niebo było jasne, blade, tylko na północy lekko rozjaśnione światłością żółtą jak siarka. Jedynie nad górskimi grzbietami po tej stronie zatoki snuło się szaroniebieskie pasmo przejrzystych chmur, a poza nimi zapadał księżyc w mglistym, wodnistym otoku.

Chociaż noc była taka jasna, ziemia zdawała się ciemniejsza niż zwykle o tej porze roku; łąki, pola i liściaste gaje były przesycone wilgocią po dziennej ulewie, chłód szedł z ziemi i kładł się nad nią. Nad wodą ciągnęły lekkie smugi brunatnego dymu, ale wszystkie ogniska już pogasły, prócz jednego, wielkiego, szkarłatnego płomienia na odległym przylądku; płonął on i nurzał swoje odbicie w stalowej toni, niby wąskie, jarzące się ostrze.

Teit wyszedł również z izby i rozglądał się za dziewczyną. Wiedziała, że to robi. Nie patrząc za siebie poszła w dół, nad jezioro. Kiedy stanęła przy ogrodzeniu i odsuwała żerdź, młodzieniec ją dogonił.

Nie odezwali się ani słowem do siebie, w milczeniu szli dalej – ona naprzód, Teit za nią, wąską miedzą pośród łąnów młodego zboża. W miejscu, gdzie kończyło się pole i płynął strumyk, ścieżka prowadziła dalej wzdłuż niego, pod gąszczem osik i wierzb aż do dworskiego

pomostu.

Wszedłszy w cień drzew, Inguna zatrzymała się. Ciemność była tu nieprzenikniona, dziewczyna bała się iść dalej.

– Jaka zimna dziś noc – szepnęła niemal niedosłyszalnie, drząc lekko. W ciemności zaledwie dostrzegała mężczyznę, lecz wyczuwała poprzez lodowatą, cierpką woń mokrego listowia i świeżej ziemi ciepłe tchnienie jego ciała jako coś dobrego i przytulnego. Teit nie wyrzekł słowa i jego milczenie stało się nagle złowrogie i groźne – w nagłej, niepoahamowanej trwodze przemknęło jej przez myśl, że musi zmusić go do mówienia: wtedy minie niebezpieczeństwo.

– Tę piosenkę o wierzbie, którą śpiewałeś w izbie – szepnęła – powiedz ją raz jeszcze!

Cicho i wyraźnie zaczął Teit mówić w mroku:

*Szczęśliwa jesteś wierzbo,  
stoisz na brzegu jeziora  
i liśćmi szumisz przyjaźnie.*

*Strząsają z ciebie rosę mężę wzmocnieni snem.  
A ja za Thegn tęsknię nocą i dniem.*

Inguna wyciągnęła ramiona, nachyliła ku sobie gałęzie ciężkie od gorzko pachnących liści. Krople dżdżu i rosy prysnęły na nią.

– Zniszczysz swoją piękną suknię – odezwał się Teit. – Zmokłaś pewnie. Czekał, zobaczę!

Zaledwie dotknął w ciemnościach piersi dziewczyny, szybko jak błyskawica umknęła jego wyciągniętym ramionom. Z lekkim okrzykiem twrogi pobiegła ścieżyną w górę; przytrzymując oburącz suknię mknęła przez pole, jak gdyby chodziło o życie.

Teit był tak zaskoczony tym obrotem rzeczy, że minęła spora chwila, zanim się opanował na tyle, by pobiec za nią. Tymczasem wyprzedziła go już znacznie, tak że dopędził ją dopiero na górze, przy płocie. Tutaj można ich było dostrzec i posłyszeć z dziedzińca, po którym kręcili się goście idący na spoczynek. Zatrzymał się i pozwolił jej odejść.

Gdy nazajutrz się spotkali, Teit miał minę chmurną i obrażoną, Inguna powitała go niemal pokornie; bąknęła nieśmiało:

– Zdaje mi się, że tej nocy oboje postradaliśmy rozum... Co nam przyszło do głowy, żeby wędrować o północy nad jezioro?

– Aha, więc to był twój zamiar? – spytał drwiąco Islandczyk.

– A przecie i stamtąd nie było widać więcej ognisk niż z dziedzińca. Daremne więc było schodzenie do pomostu.

– Oczywiście. Więcej uciechy mielibyśmy z siebie, gdybyśmy pozostali razem w izbie – odparł ze złością Teit. Skłonił się i poszedł w swoją stronę.

Tak nadeszło pewne popołudnie jesienne, w trzy miesiące po nocy świętojańskiej. Inguna wyszła poza ogrodzenie, z którego koły były teraz wyjęte, gdyż sprowadzono już bydło z połonin i pasło się ono swobodnie po wszystkich łąkach i rżyskach.

Tego dnia trzoda pasła się na łące poniżej ornych pól. Trudno było o piękniejszy obraz aniżeli widok tych dobrze wypasionych krów. Bił od nich blask, mieniły się barwy; były przeróżnej maści, a soczysta i zielona trawa, tu i ówdzie przetkana srebrzystymi kępkami stokroci, wydawała się jakby przesycona tłuszczem. Niebo było błękitne, małe, pogodne obłoki szybowały wysoko. W niebieskim fiordzie przeglądał się jesienny jasny krajobraz i liściasty las, otaczający pola czerwienią i złotem. Za nim stał ciemny, granatowy bór iglasty i miało się wrażenie, że widać jak każdy z osobna szczyt drzewa pije światło w rześkim, upajającym powietrzu.

Radosna świetlistość dnia powodowała, że Inguna jeszcze bardziej pograżała się we własnej nędzy i trwodze. Musiała pójść na to spotkanie, o które ją prosił. Czuła śmiertelny lęk na myśl, że będzie z nim sam na sam. Nie śmiała postąpić inaczej: w przeciwnym razie próbowałyby może mówić z nią we dworze, gdzie mógłby ich ktoś podsłuchać...

Dróżkę okalały jasnożółte ścierniska, daleko, jak okiem sięgnąć, widać było zżęte pola. Jego mała żółtawa szkapa pasła się na dole, w gaju nad strumieniem.

Inguna modliła się bez słów, jękiem jedynie, w najgłębszej udręce, tak jak modliła się owej nocy, kiedy stał przed jej drzwiami, pukał lekko i wołał ją po imieniu. W czarnym mroku uklękła wówczas u wezgłowia, ramionami objęła rzeźbiony słup podtrzymujący łoże i wstrząsana przerażeniem, bez dźwięku wołała o pomoc. Wprawdzie nieszczęście

już się stało, pogрузzyła się już w najgorszym, ale nie chciała, nie chciała runąć jeszcze głębiej. Zdawało jej się, że on może zmusić ją wbrew woli, tak że będzie musiała wpuścić go...

Gdy zrozumiała, że odszedł spod drzwi, zaszlochala z wdzięczności. Miała bowiem wrażenie, że to nie jej własna, znikoma iskierka woli powstrzymała ją, ale jakaś niewidzialna moc, silna i surowa, wypełniła ciemność pomiędzy nią i przerażeniem idącym od drzwi. Kiedy bez sił opadła na posłanie z pokornym dziękczynieniem za wybawienie, pomyślała, że żadna kara za jej grzech nie byłaby zbyt sroga, każdą przyjęłaby z wdzięcznością, byleby nigdy więcej nie dostać się we władzę Teita...

Kiedy nazajutrz rano spotkali się i Teit żartował, że spała tak mocno i musiał niepoczyszony odejść sprzed drzwi, rzekła:

– Nie spałam, słyszałam cię. – Była zupełnie spokojna, bo czuła wyraźnie, że dobre siły, które ją podtrzymały w nocy, nie dopuszczają, aby raz jeszcze mu uległa.

Gdy więc zapytał, czemu nie otworzyła, czy dlatego, że się bała, czy też ktoś był w izbie, miała odwagę powiedzieć:

– Nie chciałam. I nie przychodź tu więcej. Bądź dobry, nie przychodź więcej.

– No, teraz nie rozumiem cię zupełnie... Mówisz, bądź dobry. A minionej nocy...

– Tak, tak – przerwała z bolesnym westchnieniem. – Dość już złego, dość grzechu.

– Grzechu? – zapytał ogarnięty zdumieniem. – Więc o tym myślisz?

Już wtedy przyszło jej to na myśl, teraz znów przypomniała sobie i poczuła jakby litość dla młodzieńca. On nie mógł przecież wiedzieć, jak straszny grzech popełniła dopuszczając do tego, co się stało, do tego, że ją posiadł: złamała wiarę, o której nawet myśleć nie śmiała w tym



przedionku piekieł, gdzie obecnie było jej miejsce.

Sześć tygodni, sześć tygodni minęło już od owego dnia i owej nocy. Z wolna zaczęła ufać w najgłębszych tajnikach duszy, że mimo świadomości tego, co się stało, potrafi kiedyś zapomnieć. Mogła spowiadać się, pokutować i usiłować zapomnieć o tej sprawie z Teitem, bo od tego czasu wszelki słuch o nim zaginęła. Dopiero dzisiaj, dzisiaj przybył znowu do Berg, postarał się o jakieś zlecenie do pani Magnhildy. I prosił Ingunę o to spotkanie. Nie śmiała nie iść.

W tej chwili dostrzegła go. Siedział na głazie pośród krzewów. Z niemą rozpaczą wołała w duszy: Boże, pomóż mi, nie pozwól, aby mnie zastraszył, tak bym mu znowu uległa!

Siedział na tym samym niemal miejscu, gdzie stali w noc świętojańską, kiedy mówił wiersze o wierzbie. Nie myślała o tym. Teraz, pod żółkniejącymi drzewami promieniała tu wesola jasność. Słońce i błękit wdzierały się między ubogie w liście gałęzie, po potoku płąsały złociste iskierki, krople rosy skrzyły się na białych, pomiętych źdźbłach i bardziej odpornych ziołach, które nocny przymrozek zabarwił już rdzawo. Ścieżka była jasna od opadających liści.

Omszały głaz, na którym siedział Teit, był tak piękny z tymi pulchnymi, zielonymi poduszeczkami porostów, że Ingunę ogarnęła rozpacz. W tym pięknym, promiennym świecie była tak straszliwie samotna ze swoją twogą i męczarnią!

– Jezu, ratuj! A tobie co się stało? – Teit zerwał się i patrzył na nią. Potem wyciągnął ramiona, jakby chciał przytulić ją do siebie. Podniosła nieśmiało ręce dla obrony i pochyliła się w przód. Prędko poprowadził ją do kamienia, sam zaś stanął obok i patrzył na nią. – Widzę, że było ci źle przez te wszystkie tygodnie, kiedy mnie nie było. Ale chyba nikt nic nie wywęszył? – spytał szybko. Inguna potrząsnęła głową. Drżała całym ciałem.

– Najlepiej powiem ci od razu dobre nowiny, z jakimi przybywam – zaczął z uśmiechem. – Byłem w Hamarze, Inguno i mówiłem o tej sprawie z mistrzem Torgardem. Obiecał, że sam pojedzie rozmawiać z twoimi krewnymi w moim imieniu – on i Gunnar syn Berga. Wybrałem chyba niezłych dziewosłębów, jak sądzisz?

Ingunie było tak na duszy, jak gdyby już raz zasypała ją kamienna lawina i jak gdyby udało się, jej, rozbitej do krwi, wydostać spod głazów. A oto runęła nowa lawina i powtórnie ją pogrzebała.

– Co mówisz na to?

– Nigdy nie myślałam o czymś podobnym – szepnęła załamując ręce – że mógłbyś prosić o mnie.

– Już i dawniej o tym myślałem. Spodobałaś mi się od pierwszego razu, gdy cię ujrzałem, a ponieważ nie ukrywałeś wcale, że mnie lubisz, i pozory na to wskazywały... Nie wiem – spojrzał na nią z góry i roześmiał się szelmowsko – czy tak prędko zdobyłbym się na ten krok, gdybyś zaraz drugiej nocy nie zamknęła przede mną drzwi. Tak, a potem pojąłem sam, że zbyt ryzykownie byłoby uprawiać dalej tę zabawę tu, we dworze. Stracić zaś ciebie nie miałem ochoty. Wkrótce więc nie będziesz miała potrzeby martwić się grzechem, bo to cię zapewne gryzie – uśmiechnął się i pogłaskał ją po twarzy. Inguna skuliła się jak pies oczekujący razów. – Zresztą nie sądziłem, że weźmiesz to aż tak ciężko. Ale teraz pocieszyłem cię chyba, moja biedulko?

– Teit... To niemożliwe, abyśmy mogli żyć ze sobą!

– Ani Gunnar, ani mistrz Torgard nie byli wcale tego zdania.

– Coś im powiedział? – szepnęła prawie niedosłyszalnie.

– Powiedziałem im o wszystkim, co było między nami, oczywiście prócz tego, o czym sama wiesz – roześmiał się. – Mówiłem im, żeśmy się serdecznie w sobie rozmiłowali. I że w końcu dałaś mi do zrozumienia, iż chciałybyś, byśmy byli razem. Wierz mi, nie powiedziałem nic takiego, z

czego by mogli sądzić, że dostałem od ciebie już coś więcej niż słowo. – Zaśmiał się zuchwale, ujął ją pod brodę i chciał zmusić do podniesienia oczu. – No, co powiesz, Inguno moja?

– Nigdy o tym nie myślałam.

– Jak to? – Teit spochmurniał. – A może sądzisz, że jestem zbyt nędznym człowiekiem na męża? Gunnar i mistrz Torgard bynajmniej tak nie sądzą. Bądź pewna, że nie zamierzam pozostać w służbie Gunnara, gdy się ożenię. Ułożyliśmy, że zaraz po Bożym Narodzeniu odejdę od niego. Nie myślałem nawet pozostać w tych stronach, chyba żebyś sobie tego życzyła i twoi krewni dali nam ziemię pod dom; lecz tego pewnie nie zechcą. Nie, natomiast mistrz Torgard da mi list do samego arcybiskupa, Inguno, i do kilku swoich przyjaciół w kapitule i napisze w nim, że jestem najzręczniejszym pisarzem i że maluję pięknie na cielejącej skórze. W mieście takim jak Nidaros będę mógł swym rzemiosłem wyżywić cię o wiele lepiej, aniżeli wy, chłopcy, sądziecie. Tam, Inguno, wiele jest dróg wiodących do dostatku, na przykład mogę wziąć się do handlu. A później powrócimy na Islandię i chyba mogę ci przyrzec, że zawiozę cię tam do dobrobytu. Spojrzał w jej białą, przerażoną twarz i złość go porwała:

– Powinnaś pamiętać, Inguno, że nie jesteś już pierwszej młodości, na trzeci krzyżyk ci idzie. A zalotnicy, jak słyszałem, nie cisnęli się znów tak skwapliwie na dwór twych opiekunów. – Odwrócił oczy, nieco zawstydzony własnymi słowami.

– Teit, nie mogę! – Załamywała ręce na piersiach. – Jest ktoś inny... komu ślubowałam wiarę już przed laty!

– Pytanie tylko, czy ten ktoś uważały, żeś mu dochowała wiary, gdyby wszystko wiedział – odparł Teit oschle. – Ja bowiem miałbym wątpliwości co do takiej wiary, gdyby chodziło o moją narzeczoną, która pozwala sobie na swawolę z obcym mężczyzną i tak swobodnie z nim żartuje. Nie, niech mnie diabli wezmą, nie zadowolilibym się nawet i wtedy, gdybyś

mi odmówiła tego, czegoś wcale nie skąpiła zaraz pierwszego dnia, kiedy ostaliśmy sami we dworze...

Inguna zakryła twarz, jakby ją spoliczkował.

– Teit... ja nie chciałam!

– Nie, wiem o tym – uśmiechnął się drwiąco.

– Nie spodziewałam się. Nie mogłam przecie przypuszczać, że będziesz chciał czegoś takiego.

– Nie, oczywiście!

– Byłeś tak młody... jesteś młodszy ode mnie, myślałam, że to tylko zuchwalstwo młodego chłopca...

– Tak, tak, oczywiście.

– Broniałam się, próbowałam się bronić.

Teit roześmiał się. – Pewnie, często tak robicie. Taki młody nie jestem, abym tego nie wiedział: nic was tak nie złości i niczego potem tak nie wykpiwacie u młodego i dobrodusznego chłopaka, jak właśnie tego, że uwierzył w podobny opór.

Inguna patrzyła na niego, struchlała z przerażenia.

– Zapewne, gdybyś była młodą i czystą dziewicą nigdy nie pozbawiłbym cię cnoty, nie należą do takich... Nie spodziewałaś się chyba jednak po mnie, bym wierzył, że nie wiesz, dokąd wiedzie ów taniec, który uprawiałaś przez całe lato?

Inguna nadal patrzyła przed siebie, z wolna rumieniec powlókł jej szaroblade oblicze.

– Możesz sobie chyba wyobrazić – ciągnął Teit z zimną krwią – tyłem słyszał o tobie, że wiadomo mi o owym chłopcu, służącym na dworze twego ojca, z którym w czternastym roku życia miałaś dziecko.

– Ten chłopiec nie był parobkiem. I dziecka nie miałam nigdy! – Inguna schyliła się i ukrywszy głowę w dłoniach zaczęła cicho płakać.

Teit uśmiechał się z powątpiewaniem. Stał i patrzył z góry na płaczącą

dziewczynę.

– Nie wiem, czy czekasz na to, aż on wróci i ciebie poślubi? Ani też nie wiem, czyś nie miała od tej pory innych? Jakkolwiek jest, twój przyjaciel nie śpieszy się zbytnio. Obawiam się, Inguno, że na nic się nie zda czekanie na niego. Inaczej z łatwością mogłoby się nawinąć jeszcze wielu...

Inguna nie poruszyła się, siedziała i płakała cichutko, z rozdzierającym serce bólem. Teit rzekł łagodniej:

– Lepiej weź mnie, Inguno, ja jestem pod ręką. Będę... będę dla ciebie dobrym mężem, bylebyś tylko potem wyzbyła się twojej płochości, ustatkowała się i nabrała rozumu. Ja... ja miłuję cię – ciągnął zmieszany, głaszcząc lekko jej pochyloną głowę. – Mimo wszystko...

Inguna strząsnęła jego rękę z głowy.

– Nie płacze tak, Inguno. Nie miałem zamiaru cię oszukać. Wyprostowała się i wbiła wzrok w przestrzeń. Daremną rzeczą byłoby spróbować choćby powiedzieć mu prawdę o tym, co słyszał. Z pewnością tak mówiono o niej tu w okolicy, gdzie nikt nie znał Olafa i większość ludzi uważała ją za rozpustną kobietę, zakałę całego rodu, wypchniętą ze wspólnoty niełaską krewnych.

Nie potrafiłaby zresztą o tym mówić. Ale to ostatnie, co zaszło między nią i Teitem – zdawało jej się, że musi wyjaśnić, w jaki sposób się to mogło stać, zaczęła więc mówić:

– Wiem sama, że to kara za mój grzech. Wiedziałam, że ciężko grzeszę, nie chcąc wybaczyć Kolbeinowi, memu stryjowi. Radowałam się, gdy umarł i wspominałam go z nienawiścią i mściwością; wzbraniałam się nawet pojechać na stypę. On właśnie ponosi największą winę, że rozłączono mnie z człowiekiem, któremu byłam od dziecka przeznaczona i którego najbardziej mieć pragnęłam. Ani jednego pacierza nie odmówiłam za duszę Kolbeina, choć wiedziałam, że potrzebuje modlitw... A kiedy

wieczorem odmawiano De profundis, wyszłam z izby. I nie pojechałam z innymi na pogrzeb... Niech Bóg zmiłuje się nade mną... O, wiedziałam dobrze, że grzechem jest nienawidzić wroga, skoro powołany już został przed Sąd Najwyższego. Wtenczas ty się zjawileś. Byłam rada, że mogę poniechać smutnych myśli. Ucieszyłam się twym przybyciem, a kiedy chciałeś iść ze mną do tkalni... cały czas uważałam cię tylko za chłopca... było mi smutno, miałam ochotę pobawić się z tobą i podokazywać, a nie myśleć o nieboszczyku. Wówczas zaczęliśmy obrzucać się wełną z worów... Nie sądziłam, nie, nawet i wtedy nie sądziłam, kiedy stałeś się natarczywy i rzucałeś swawolne słowa... myślałam, że robisz to dlatego, iż jesteś taki niesforny i młody.

Teit wpatrywał się w nią z tym samym powątpiewającym uśmiechem:

– Dobrze, niech i tak będzie. Pierwszy raz posiadałem cię wbrew twjej woli, ale potem – nocą?

Inguna opuściła zrozpaczoną głowę. Na to nie mogła nic odpowiedzieć. Sama sobie nawet nie umiała tego wytłumaczyć.

Godzina mijała za godziną, a ona leżała bezsennie, zmiażdżona grozą i wstydem. Pomimo to nie mogła pojąć, że to jest prawdą: że oto jest zgubiona i zhańbiona. Wszystko to wydawało jej się tylko jakim wspomnieniem snu czy upojenia. Jej własna dzika i opętana wesołość po południu w spichrzu była już poza nią. I to, że Teit ją wziął... A przecież przez cały czas jawił się jego obraz przed nią taki, jakim widziała go po nocy świętojańskiej, kiedy nazajutrz zła była na siebie za swój lęk przed nim; był tylko młodym, mądrym i pełnym życia chłopcem, któremu zawdzięczała jedynie miłe chwile. Trochę co prawda był wyuzdany w słowach, ale to tylko z młodości... Chociaż wiedziała leżąc bezsennie, że unieszczęśliwiła się aż do śmierci i potępienia, i że stała się nierządnicą...

Wreszcie zasnęła. Obudziła się, gdy Teit wziął ją w ramiona. Nie pomyślała o tym, by zamknąć drzwi, nie robili tego nigdy latem, śpiąc

na poddaszu. Nie pamiętała już dokładnie, czemu nie próbowała zmusić go, by wyszedł. Zdawało jej się prawdopodobnie, że wstyd będzie jeszcze większy, gdy mu oświadczy, że nie chce go znać więcej – jego, do którego już należała, gdy powie, że nie chce go widzieć i że go nienawidzi. A kiedy w owej chwili leżał przy niej i słyszała jego młodzieńczy, świeży głos, czuła zapewne, że wcale nie nienawidzi go znów tak okropnie – był szczerzy i prostoduszny, nie domyślał się nawet, jakie skutki ściągnął na nią. Nie wiedział przecież, że jest zawiązana z innym, że z innym jest zaślubiona przed Bogiem.

Dopiero nazajutrz rano, przyjrzawszy się swemu nieszczęściu w pełnym świetle dnia, zrozumiała jasno, że musi natychmiast wydostać się z tego, nie pozwolić się wciągnąć jeszcze głębiej. Czuła, że sama nie może nic przedsięwziąć, że nie ma siły zerwać z Teitem... w nędzy i straszliwym poniżeniu wołała o pomoc: Cokolwiek stanie się ze mną, nie będę się skarżyła, jeśli tylko wybawiona zostanę od dalszego grzechu...

Teit wciąż jeszcze spoglądał na nią. A gdy dalej milczała, wyciągnął rękę:

– Lepiej, byśmy się pogodzili, Inguno, i spróbowali żyć z sobą jak przyjaciele.

– Tak, ale poślubić cię nie chcę, Teit. Powiedz tym twoim przyjaciółom, aby nie jechali w swaty.

– Tego nie zrobię. A jeśli twoi krewni się zgodzą?

– Ja mimo to powiem nie.

Teit stał chwilę w milczeniu. Spostrzegła, że gniew w nim wzbiera.

– A jeśli uczynię tak, jak sobie życzysz? Nie będę prosił o ciebie i nie przyjadę tu więcej? A twoi krewni spostrzegą po pewnym czasie, że znów jak dawniej zesłaś na manowce?

– Nawet i wówczas cię nie poślubię!

– Nie bądźże taka pewna, że mnie odnajdziesz i złapiesz, gdybyś mnie

w ciągu zimy potrzebowała. Ofiarowałem się postąpić uczciwie wobec ciebie, a ty okazałaś mi wzgardę; słowa twoje są okrutne.

– Nie będę cię potrzebowała!

– Wiesz o tym na pewno?

– Tak jest. Raczej rzucę się do fiordu, niżbym po ciebie miała posłać.

– Dobrze, dobrze. To będzie twoja rzecz, nie moja, twój grzech, nie mój. Skoro ci się wydaje, że nie mamy już z sobą nic do mówienia...

Inguna skinęła głową w milczeniu. Teit stał jeszcze chwilę, potem nagle odwrócił się na pięcie, przeskoczył strumyk i pobiegł do lasu po konia. Inguna stała jeszcze na tym samym miejscu, gdy przejeżdżał ścieżką. Zrównawszy się z nią wstrzymał konia:

– Inguno... – rzekł błagalnie.

Spojrzała mu prosto w oczy. Nie panując nad sobą z wściekłości i wzburzenia Teit pochylił się i z całej siły uderzył ją poniżej ucha, tak że się zachwiała.

– Zła i przewrotna jesteś, ty suko przekłeta! – Szloch zadrgał w jego głosie. – Bodajbyś otrzymała zasłużoną zapłatę za fałszywą grę, jaką ze mną prowadziłaś.

Wbił pięty w boki konia i szkapina pocwałowała kawałek, lecz zaraz na zbczcu wróciła do swego zwykłego truchciku.

Inguna stała patrząc za jeźdźcem. Rękę przycisnęła do pałającego policzka; nie żywiła o to urazy do Teita. Z jaskrawą, bolesną wyrazistością pojęła, że musi ją uważać za taką, jak ją nazwał. I to potęgowało jej boleść – nawet i teraz pamiętała, że go lubiła. I żal go jej było. Był taki młody...

Teraz czas na nią, musi wracać. Na samą myśl o domu na górze miała wrażenie, że padnie. Nigdzie nie będzie mogła się ukryć przed wspomnieniem tego chłopca.

Nie mogła nic na to poradzić, że w głębi, na samym dnie myśli tała się świadomość: za parę miesięcy będzie jej lżej, kiedy nie będzie musiała



myśleć wciąż o tym jednym; niby gorejący błysk trwogi przeszła ta myśl jej serce. Aczkolwiek to było mało prawdopodobne... Gdyby Teit nie wspominał o tym! Dostyc cierpiała sama z obawy... Chora z udręki i napięcia, wiedziała jednak dobrze, że za jakiś czas, gdy się upewni, iż to zostało jej oszczędzone, sprawa z Teitem nie będzie tak straszna. Wówczas minie owo potworne uczucie, że całe jej życie jest zdruzgotane przez to jedno nieszczęście i ów grzech.

Na jesieni stara pani Aasa opadła całkowicie z sił i Inguna pielęgnowała ją z miłością i poświęceniem. Pani Magnhilda była zdumiona jej zachowaniem; przez parę lat bratanica żyła, jakby spała wewnątrz, robiła możliwie jak najmniej, a i to, co zrobić musiała, robiła najwolniej, jak mogła. Obecnie zdawało się, że Inguna zbudziła się; ciotka ujrzała, że umie pracować, jeśli chce; nie była wcale niezręczna, jeśli zadała sobie trochę trudu. Czasem przewijała się przez głowę pani Magnhildy myśl: nieboraczka lęka się pewnie, co się z nią stanie po śmierci babki, jej niezwykła gorliwość jest prośbą, by nie patrzono na nią zbyt niechętnie, kiedy nie będą potrzebowali opiekunki dla staruszki. Może doprawdy odnosili się mało życzliwie do tego biednego, wątłego dziecka?

Inguna czepiała się wszelkiej pracy. Kiedy nie była zajęta usługiwaniem chorej, brała się do każdej roboty, jaka się nawinęła, chwytając się wszystkiego, co było w stanie dopomóc jej w odwróceniu myśli od tej jednej jedynej rzeczy, ku której biegły bezustannie: z zapierającym dech napięciem oczekiwała, że zdobędzie pewność, iż trwoży się bez przyczyny!

Wszystkie myśli, którymi bawiła się od lat: o pożyciu z Olafem na Hestviken, o tym, że Olaf powróci i weźmie ją z sobą, o ich dzieciach – za samym zbliżeniem się do tych marzeń zdawało jej się, że dotyka

plonącego miecza archanioła. Z trudem powstrzymywała się, by głośno nie jęczeć.

Rzucała się na każdą robotę, którą mogła wynaleźć, a która nużyła ciało. Nie chciała się poddać nawet wtedy, kiedy zachorowała jesienią; nie czuła się przecież ani w połowie tak nędznie jak podczas pierwszych miesięcy na Micklebö.

Tak już było zawsze: po przebyciu wielkiego strachu napadały ją wymioty i zawroty głowy. Wystarczyło wspomnieć ów wypadek, kiedy ona i Olaf stoczyli się w saniach z góry. Było to podczas Bożego Narodzenia, jednej z ostatnich zim na Frettastein; uparli się, żeby koniecznie pojechać na mszę do kościoła parafialnego, i w ciemny poranek zimowy wyjechali z dworu sami jedni, bo nikt tego dnia nie wybierał się do kościoła. Dął silny południowy wiatr, niosący deszcz i odwilż. Pamiętała jeszcze doskonale przeraźliwą, zawrotną trwogę, jaka przeszła na wylot jej ciała i zdawała się rozrywać je, kiedy poczuła, jak sanie obsuwają się i toczą w tył po oblodzonej pochyłości, a koń usiłuje znaleźć oparcie dla nóg, aż pryskał lód i leciały skry; lecz wreszcie stracił równowagę i został pociągnięty w dół. Olaf, który zeskoczył i usiłował zahamować sanie, przewrócił się na oblodzone zbocze, Inguna straciła przytomność. Kiedy ją znów odzyskała, klęczała na miękkim, tającym śniegu, ciało jej zwisało przez Olafowe ramię i wymiotowała tak strasznie, jak gdyby wszystkie wnętrzności się wywróciły. Olaf wolną ręką przykładał jej śnieg i lód na tył głowy, rozbiła ją bowiem o skałę.

I teraz także nic jej nie dokucza – to tylko trwoga...

Ósmego dnia po Bożym Narodzeniu Inguna siedziała sama w izbie babki. Wszyscy wybrali się na zabawę. Dołożyła dużo drewna na ogień, nogi jej tak strasznie marzły! Migot ognia zabarwiał życiem starcze, białe

jak kość i pomarszczone oblicze śpiącej w łóżu kobiety. Nieraz w bladym świetle zimowego dnia wydawało się ono Ingunie już tak spokojne jak oblicze zmarłej.

– Nie umieraj, babko! – zawodziła bezgłośnie. Babka i ona żyły w przyjaźni od tak długiego czasu, obydwie zagnane w cichą zatokę, mimo której przepływało życie drugich. Pokochała w końcu babkę, pokochała ją ogromnie, a teraz zrozumiała, że to ona znalazła w babce oparcie, jedyne oparcie, podczas gdy kierowała jej niedołącznymi krokami, karmiła ją i odziewała. A teraz wnet przyjdzie kres. Gdyby mogła położyć się obok staruszki i wyzionąć ducha wraz z nią! Niekiedy ufała, że i jej koniec się zbliża: tutaj, w tym mrocznym kącie, pod osłoną babki, dane jej będzie umrzeć, zanim ktokolwiek coś spostrzeże.

Staruszka umrze wkrótce. I Inguna będzie musiała wejść między ludzi. I będzie żyła w ciągłej trwodze, że pewnego dnia ktoś spojrzy na nią i zobaczy.

Pewności nie miała nawet i teraz. To tylko lęk przyspieszał bieg krwi w ciele i dręczył ją; przecież czasem kołatała tak mocno w jej sercu, że Inguna omal nie padała bez przytomności. Chwilami krew waliła aż w szyi, Inguna wyczuwała gwałtowne pulsowanie za uszami... I to, co poczuła nagle wczoraj wieczorem i nocą – i dziś znowu, wiele razy, głęboko w łonie, po lewej stronie, niby nagłe uderzenie albo wstrząs – może to tylko krew.

Gdyby nawet to było prawdą, ono nie mogło zbudzić się jeszcze do życia – tak się przecie ściskała i mocno obwiązywała.

Tygodnie szły. Pani Magnhilda parę razy ostrzegła Ingunę, aby się oszczędzała, nie jest wszak przyzwyczajona do roboty i szkodzi to jej zdrowiu. Inguna odpowiadała krótko i w dalszym ciągu pielęgnowała

babkę; lecz ów szał roboczy, jaki ją niedawno ogarnął, opuścił ją wkrótce. Znowu zdawała się zamykać w sobie.

Miała uczucie, że dusza jej zstąpiła w gęsty mrok i tam na oślep toczy bój z niesamowitą, obcą istotą, mieszkającą w jej łonie. Dniem i nocą była ona w niej, poruszała się, szukała sobie miejsca i chciała rozerwać udręczone ciało. Niekiedy zdawało się Ingunie, że nie wytrzyma dłużej. Całe ciało bolało ją tak bardzo, że dziewczyna ledwie mogła patrzeć, bo nawet po nocach nie śmiała rozluźnić opasek powodujących niewymowne bóle, ale nie mogła sobie ulżyć. Musiała dopiąć tego, by przestało poruszać się w niej...

Było jedno wspomnienie, które teraz do niej ciągle wracało: kiedyś, gdy ona i jej siostra były jeszcze dziećmi, kotka Tory udusiła ptaszka, którego Olaf złapał dla niej, by go sobie oswoiła. Kotka miała własne małe, ukradła jej więc dwa z nich i pobiegła do stawu. Trzymała je pod wodą myśląc, że natychmiast zdechną, lecz wprost nieprawdopodobnie długo małe zwierzątka poruszały łapkami i szamotały się w jej ręku chcąc ratować życie. Tylko drobne bąbelki powietrza wypływały na powierzchnię. Wreszcie była pewna, że już nie żyją – lecz nie – poczuła jeszcze jedno drgnięcie. Wyjęła je z wody, pobiegła z powrotem i położyła obok kotki, lecz wtedy były już martwe.

Nigdy nie myślała o tym obcym życiu jak o własnym dziecku, które rośło w niej i poruszało się coraz silniej, pomimo wszelkich usiłowań, by je zgładzić. Było to tylko jakby jakieś nieokreślone, złe i dzikie żyjątko, które wdarło się w nią i tuczyło się jej szpikiem i krwią – coś okropnego, co musi ukryć. Czy się ta istota okaże, skoro ujrzy światło dzienne, i co wówczas stanie się z nią samą, gdy ludzie dowiedzą się, co dźwigała, o tym nie miała odwagi nawet myśleć.

Sześć tygodni po Bożym Narodzeniu zmarła wreszcie Aasa, córka Magnusa, i jej dzieci, Ivar i Magnhilda, wyprawiły wielką stypę.

Przez siedem ostatnich dni życia babki Inguna nie kładła się spać, tylko czasami, zupełnie ubrana, zapadała w króciutką drzemkę.

A gdy wyniesiono zwłoki, prosiła jedynie o pozwolenie, by wolno jej było wypocząć. Wsunęła się do łóża: chwilami spała, chwilami leżała i szeroko otwarte oczy wlepiała przed siebie nie będąc w stanie myśleć o przyszłości, jaka ją czeka.

Na stypę pogrzebową musiała wstać i pójść między gości. W granatowej szacie żałobnej, z falującym, długim czarnym welonem wyglądała jak własne widmo, ale nikt się temu nie dziwił. Błyszcząca skóra w szarozółtej twarzy powlekała kości, a ogromne oczy były czerwone i zmęczone. Mężowie i niewiasty rodu podchodzili ku niej i darzyli ją ciepłymi, pochwalnymi słowami: pani Magnhilda opowiadała, jak wiernie zajmowała się Inguna zmarłą przez te wszystkie lata.

Pomiędzy gośćmi znajdował się również kantor, mistrz Torgard, oraz lennik z Reyne. I nagle przeszła Ingunę myśl – Teit! Zapomniała o nim niemal zupełnie. Było tak, jak gdyby nie rozumiała związku między nim a swym nieszczęściem – nawet i w tej chwili przyszedł jej na myśl jedynie jak znajomy, którego niegdyś lubiła, ale potem wydarzyło się coś przykrego między nimi, tak że nie chciała więcej myśleć o nim.

Teraz jednak zaniepokoiła się: co powiedział dziewczosłębom, kiedy cofnął swą prośbę? Jeśli ją wydał – tak, w takim razie jest stracona. Musi dowiedzieć się, czy oni coś wiedzą. Czuła się jak nędzna, wyczerpana klacz ubogiego człowieka, którą zaprzężono do tak wyładowanego wozu, że aż prawie pada pod ciężarem – a teraz mają jeszcze ciężaru dołożyć.

– Twój pisarz nie przyjechał z tobą? – zagadnęła Gunnara z Reyne, możliwie obojętnie.

– Czy myślisz o Teicie? O niego pytasz? Nie, zwiął po prostu. Prawda,

przecie on każdego dnia wypraszał sobie jakąś sprawę do Berg – więc to do ciebie się zalecał?

Inguna usiłowała rozeźmiać się:

– Ech, nie. Tak tylko mówił. Powiadał, że chce ślać swaty, że wybrał ciebie. Odradziłam mu wprawdzie, ale... Kto wie, czy to prawda?

Lennik mrugnął do niej znacząco:

– Owszem, mówił mi to, co i tobie. I ode mnie posłyszał tę samą radę, co od ciebie – Gunnar śmiał się, aż mu się brzuch trząśł.

– A gdzie się podział uciekły z Reyne? – spytała znowu z udanym śmiechem. – Nie wiesz, Gunnarze?

– Poczekaj, zapytamy kantora, Teit miał jechać do niego. Hej, mistrzu Torgardzie, może wyświadczycie nam ten zaszczyt i spojrzycie w naszą stronę. Słuchajcież, miły panie, czy wam nie wiadomo, co stało się z tym Islandczykiem, moim pisarzem? Ta dziewczka pyta o niego, a musicie chyba wiedzieć, że zamierzał uczcić Ingunę córkę Steinfinna w ten sposób, że chciał ślać do niej swatów?

– Nie, doprawdy? – odparł ksiądz. – Tak, tak, mojemu zacnemu Teitowi niejedno chodziło po głowie. A więc siedzisz tu, tęsknisz i żałujesz go, moje dziecko?

– Tak, był przecież niezwykle obrotnym człowiekiem. Nawet wy, panie, chcieliście go posłać do samego arcybiskupa, bo drugiego takiego nie ma w kraju. To chyba musi być prawda, bo sam tak powiadał.

– He, he! Ten Teit miał pomysł. Trochę narwany był rzeczywiście, ale pisać umiał lepiej od innych. Niedawno zgłosił się powtórnie do mnie, ale za żadne skarby nie chciałem go mieć więcej w mojej służbie. Jest doskonałym pisarzem, ale postrzeleńcem. Daremnie więc smucisz się o niego, moja miła Inguno. Prawda, przypominam sobie coś – to ten chłopak był na tyle bezczelny, żeby mówić o zalotach na Berg? Nie, nie – to nie może być – ksiądz potrząsnął małą, starczą, ptasią głową.

Nie wszystko zatem było prawdą, co powiedział Teit podczas ich ostatniego spotkania, spostrzegła. Nowy lęk dołączył się teraz do poprzedniej obawy – czy nie popełniła szalonego głupstwa dając tym ludziom do poznania, że myśli o Teicie, pyta nawet o niego!

Po wyjeździe gości żałobnych na Berg pozostała Tora z dwojgiem starszych dzieci oraz Ivar z Galtestad. Pewnego wieczora siedzieli razem w izbie, przed Torą i Iwarem leżały kosztowności odziedziczone po pani Aasie. Oglądali je właśnie, gdy wtem Tora znów zaczęła mówić o tym, że siostra powinna przenieść się do niej.

Pani Magnhilda oświadczyła, że Inguna może postąpić według własnej woli.

– Jeśli pragniesz pojechać na Frettastein, ja i Ivar nie będziemy cię wstrzymywać.

– Wolę pozostać na Berg – odparła cicho Inguna. – O ile zechcecie mnie trzymać teraz, po śmierci babki.

Tora nie dała za wygraną: ona sama ma pięcioro dzieci, a oddano jej w opiekę jeszcze bliźnięta po zmarłej siostrze Haakona, potrzebuje więc pomocy.

Pani Magnhilda dostrzegła boleść na wyniszczonej, chudej twarzy Inguny. Wyciągnęła ku niej rękę:

– Pójdź do mnie, Inguno! Dach nad głową będziesz u mnie miała, tak samo strawę i przyodziewek, póki żyję albo póki Olaf nie wróci i nie zabierze cię do siebie. Wierzę, że przybędzie pewnego dnia, jeśli jest żyw i taka będzie wola Boska. Jak sądzisz – zwróciła się z przekazem do Tory – czy na Frettastein Haakon odniesie się do swej szwagierki z szacunkiem należnym córce Steinfinna? Na pewno będzie musiała krzątać się we dworze swego ojca i spełniać posługi wobec dzieci jego i Helgi

córki Gauta. Na to my, ja i Ivar, nie zgodzimy się nigdy! Ten pierścień przeznaczyłam tobie – zdjęła z palca wielki złoty pierścień odziedziczony po Aasie – na pamiątkę, żeś przez wszystkie lata tak wiernie strzegła naszej matki i dbała o nią. Ujęła rękę Inguny i chciała jej wsunąć pierścień na palec: – Cóżeś zrobiła z twym pierścieniem zrękowinowym, czemuś go zdjęła? Biedactwo, widać od ciężkiej pracy ręce ci popuchły – dodała.

Inguna poczuła, że przy tych słowach Tora wzdrygnęła się lekko. Nie śmiała spojrzeć w stronę siostry, mimo to po chwili zdobyła się na to. Oblicze Tory było nieprzeniknione, lecz w oczach błysnęła iskra niepokoju. Inguna czuła, że podłoga umyka jej spod nóg. Uczepiła się jednej myśli: „Jeśli teraz padnę bez przytomności, domyśla się wszystkiego”. Kiedy dziękowała ciotce za cenny upominek, miała wrażenie, że to mówi kto inny. A gdy wreszcie usiadła na swym zwykłym miejscu, nie miała pojęcia, jak się tam dostała.

Późnym wieczorem stała przy częstokole gwizdząc i nawołując psa. Tora zbliżyła się do niej.

Księżyc nie świecił tej nocy, czarny przestwór usiany był gwiazdami. Obie kobiety otuliły się szczelnie w płaszcze, dreptały po miękkim śniegu i rozmawiały o wilkach, które w ostatnich tygodniach rozzuchwalały się niezwykle. Od czasu do czasu Inguna gwizdała i przyzywała niespokojnym głosem: – Tota, Tota, Toota, do nogi! – Ciemność była taka, że nie widziały wzajemnie swych twarzy. Nagle Tora spytała cicho, lecz jakby z lękiem.

– Inguno... nie jesteś chyba chora?

– Zdrowa nie jestem – odparła Inguna, głos jej brzmiał pewnie i spokojnie. – Wierz mi, choć Aasa była pod koniec chuda i wycieńczona, był to jednak wysiłek podnosić ją i pielęgnować przez tyle miesięcy. Po



nocach też nie miałam spokoju. Ale teraz wróćę wkrótce do sił.

– Siostrze, czy nic innego ci nie dolega? – spytała znów Tora.

– Nie, nie wydaje mi się.

– Latem byłaś różowa i biała, taka gibka i smukła jak za młodu – szepnęła Tora.

Ingunie udało się odpowiedzieć ze smutnym uśmiechem:

– Kiedyś przecie musi być widać po mnie, że blisko mi do trzydziestki. Patrz na twoje duże dzieci, Toro. Pamiętaj, że jestem o trzy półrocza starsza od ciebie.

Z mroku między opłotkami wypadł w tej chwili czarny, sapiący kłębek. Pies skoczył na Ingunę z taką siłą, że o mało nie powalił jej w śnieg i lizał ją radośnie po twarzy.

Chwyciła go za pysk i przednie łapy; broniąc się, ze śmiechem przemawiała pieszczotliwie.

– Tota, Tota moja, jakie szczęście, że i tej nocy nie pożarły cię wilki.

Siostry życzyły sobie dobrej nocy i każda poszła do swej komory.

Inguna jednak leżała bezsennie w mroku i usiłowała opanować nową trwogę, że Tora powzięła podejrzenie. Naszła ją pokusa: gdyby tak zwierzyć siostrze swą biedę i prosić ją o pomoc? Albo ciotce Magnhildzie – Inguna wspominała jej szczególną łaskawość tego wieczoru i poczuła chęć, by ulec słabości i poddać się. Dalla – o niej również myślała, ilekroć zdawało jej się, że nie może już dłużej znieść straszliwej, ukrytej męki. Może by tak zwrócić się do Dalii?

Z dławiącą dech obawą śledziła siostrę, dopóki Tora przebywała na Berg, ale nie mogła niczego dostrzec. Tora ani jednym mrugnięciem, ani jedną miną czy słowem nie zdradziła, że przeczująca, jak stoją sprawy starszej siostry. Potem odjechała, a Inguna została sama z ciotką i czeladzią.

Liczyła tygodnie: minęło już trzydzieści, pozostało jej jeszcze dziesięć. Musi przez ten czas wytrzymać... Dziewięć tygodni... Osiem tygodni... Ale z jakim zamiarem się nosiła, do czego zmierzała przedzierając się jakby przez ciemności pełne widmowego strachu, z głuchym bólem w całym ciele i jedną jedyną myślą w głowie: by nikt nie podejrzewał nieszczęścia, jakie ją spotkało – tego nie ujawniła dotąd jasno nawet we własnym sercu.

Kres, który widziała przed sobą, ilekroć o tym myślała, wypełniał strach podobny śmiertelnej drętwości. Miała wrażenie, że to jest koniec drogi i że musi tam dojść, usiłowała jednak iść ostatni kawałek z zamkniętymi oczami. Nawet szukając pocieszenia w myśli, że zacznie krzyczeć o pomoc, że pomówi z kimś, zanim będzie za późno – nawet i wtedy nie myślała o tym nigdy naprawdę. Musiała iść samotnie do tego końca, jaki widziała przed sobą:

O tej porze późnej wiosny zbocza dolin były niemal zawsze wolne od śniegu. Nikt nie zobaczy śladu jej kroków... Wielki gaj brzozywy na północ od dworu ciągnął się od skał służących za wędzarnię aż do jeziora w dole. W tym miejscu zwęzał się i tworzył jar między kilkoma stromymi krzesanicami – tam jej nikt nie dojrzy ani nie posłysz, żywa dusza nie przechodzi tamtędy. Łód nie taje tak wcześniej na zatoce... Górą, na południowym stoku piętrzą się potężne zwały kamieni odrzuconych niegdyś z pól. W tym miejscu ludzie z Berg zwykli zrzucać w dół zdechłe konie i wszelką padlinę.

Pewnego przedpołudnia pod koniec zimy na kilka dni przed świętem Zwiastowania Inguna poszła na górę do spichrza, gdzie jeszcze od czasów pani Aasy przechowywała swoje rzeczy. Siedziała zziębnięta, na nogach miała kosmate buty, na suknię narzuciła wielki kozuch barani; w domu było znacznie chłodniej niż na dworze. Przed otwartym okienkiem kapały bez przerwy z dachu długie krople, lśniące na tle błękitnego, czystego nieba, powietrze parowało i drgało nad białymi dachami. Inguna zdjęła okiennicę, by zaczerpnąć świeżego powietrza; oddychała teraz z trudem i miała uczucie, że ciężki, ołowiany kaptur uciska jej mózg, że krew w szyi i uszach szumi i tętni, a przed oczyma migają czerwone i czarne płatki. Schroniła się tutaj w obawie, że ktoś może podejść i zagadnąć ją, a mówić nie miała siły. Sprawiało jej zresztą ulgę siedzieć tak samotnie i skulić się.

Potem wydawało jej się, że wiedziała na pewno, co nastąpi, zaledwie posłyszała tętent koni w górze, przy częstokole. Podniosła się i wyjrzała. Pierwszy wjechał na dziedziniec Arnvid na swym karym wierzchowcu w uprzęży z dzwonekami, której chętnie używał jadąc do obcych. Drugiego konia rozpoznała również jako jego własność; było to kościste zwierzę szarej maści w rude łaty; na nim jeździł zwykle pacholek. Trzecim jeźdźcem na wysokim jabłkowitym siwku, z wodzami z czerwono farbowanej skóry – był Olaf syn Auduna; odgadła to, zanim zbliżył się na tyle, by go mogła poznać. Osadzając konia w miejscu, spojrział w górę, dostrzegł ją w okienku i skinął ręką. Miał na sobie luźną czarną oponicę podróżną, która w bogatych fałdach spływała aż na zad konia i zakrywała nogi jeźdźcy wraz ze stopami w strzemionach. Olaf odrzucił kaptur na plecy, na głowie miał wysoki czarny kapelusz zagraniczny o wąskich skrzydłach; jasne włosy kłębiły się pod nim – na czole sięgały do brwi.

Skinął jej ręką i uśmiechnął się do niej...

Potem zdawało jej się, że w tej samej chwili, kiedy go dojrzała, oknęła się jak gdyby z sennej zmory – Olaf powrócił do kraju!

Na nieszczęście. Tak jest, w ten czy inny sposób złamie ją – tego była pewna w tym momencie. Ale zarazem czuła, że oślepiający mrok rozplywa się na wszystkie strony; szatany, które niby duchy ciemności oskrzydlały ją zewsząd, osaczały i ciągnęły na oślep za sobą, zostały również porwane tym prądem. I w tejże chwili, schodząc na dół, miała nieomylną pewność, że teraz, kiedy Olaf powrócił, nie pozostaje jej nic innego, jak wyznaczyć mu wszystko i przyjąć jego wyrok.

Olaf stał na podwórzu z parobkami, którzy nadeszli, by zająć się końmi; teraz obrócił się ku niej. Z bolesną dumą spostrzegła, jaki jest piękny – a ona zgubiła się, zdradziła go... Do twarzy było w czarnych szatach promiennie jasnemu mężczyźnie. Wyciągnął rękę:

– Witaj, Inguno!

Ujrzał jej mizerną, wyniszczoną twarz i nie bacząc na dobre zachowanie, obyczaj i wszystkich obcych, którzy patrzyli na nich, wziął ją w ramiona, przygarnął do siebie i ucałował w same usta.

– Długo musiałś czekać na mnie, Inguno najdroższa. Teraz koniec temu, teraz przybyłem, by zabrać cię ze sobą!

Puścił ją, a Inguna powitała Arnvida krewniackim pocałunkiem w policzek.

Stała i patrzyła, jak młodzieniec wita się z Magnhildą. Ze śmiechem opowiadali, że Ivar jechał z nimi, ale na górze, przy kościele, zostawili go, bo ani klaczy, ani chłopu z Galtestad nie spieszyło się zbytnio.

– No, wiesz przecież, jaki był zły, żeś ty się za młodu tak bardzo pośpieszył – roześmiała się pani Magnhilda. – Odkąd jednak uwolniłeś się od tej brzydkiej przywary, mój brat lubi cię coraz bardziej.

„Czy kiedykolwiek widziałam tak piękny dzień”? – myślała Inguna.

W wiosennym słońcu szron połyskiwał srebrzyście na polach i zatoce. Ciepła pogoda z początkiem tygodnia stopiła cały śnieg w lesie i iglaste drzewa jaśniały wiosenną zielenią, jakby świeżo umyte. A tam, na łąkach stały świeże, bladozielone pnie osiki na tle błękitnobrunatnego gaju liściastego.

Poczuła w sercu wzbierającą radość – radość, że świat jest tak pełen słońca, barw i wesela. Choć ona sama postawiła się poza jego nawiasem, skazała się na to, by skryć się w ciemnym kącie... Dobrze, że mimo to życie jest tak piękne dla innych, dla wszystkich, co nie ściągnęli na siebie zguby. I gdy w tej samej chwili poczuła gwałtowne ruchy dziecięcia, miała wrażenie, że coś w jej sercu szepce i odpowiada: nie, nie, nie uczynię ci nic złego.

Siedzieli przy posiłku i Inguna przysłuchiwała się w milczeniu rozmowie mężczyzn. Zrozumiała, iż nazajutrz Arnvid i Ivar mają się wybrać w dalszą drogę do Haftora syna Kolbeina, by mu wręczyć trzecią część okupu za Einara. Olaf twierdził, że nie wypada, aby on sam spotkał się z Haftorem, zanim nie wypłaci reszty grzywny i jednocześnie nie otrzyma Inguny i jej posagu z rąk krewnych.

– Widzę, że niespieszno ci jechać z nami dalej – chichotał Ivar syn Torego. – Coś mi się zdaje, że nie rychlej wyniesiesz się z Berg, aż cię stąd nie przepędzą.

– Tak jest, dopóki pani Magnhilda użyczy mi dachu nad głową, a mojemu koniowi paszy – zaśmiał się wraz z innymi, zerkając przy tym w stronę Inguny. – Szczerze powiedziawszy, rad bym najbardziej pozostać tutaj, zakończyć tę sprawę między Haftorem a mną i od razu, kiedy pojedzie na Hestviken, zabrać ze sobą Ingunę.

– Na to znajdzie się z pewnością jakaś rada – oświadczył Arnvid.

– Wiem, co masz na myśli, i dzięki ci za to. Teraz, Arnvidzie, nie chcę już więcej prosić cię o pomoc, odkąd mogę sobie sam dać radę. Muszę

więc zrobić tak, jak powiedziałem na Galtestad: pojechać na południe i rozejrzeć się, jak tam w Hestviken obecnie wygląda, zanim zabiorę ze sobą żonę, a także przywieźć pieniądze, których będę potrzebował w Oslo. Łatwiej również będzie zebrać ludzi mogących być świadkami ugody, jeżeli wyprawię biesiadę w dniach, kiedy ludzie będą wracać z tingów, bez względu na to, czy chcecie, abym Ingunę przyjął z waszych rąk tutaj albo u ciebie, na Galtestad. Ivar ma słuszność, że zatarg tak pogmatwany i trwający już tak długo musi zostać doprowadzony do końca najbardziej jawnie, jak tylko to jest możliwe.

Kiedy ludzie będą wracać z tingów... to będzie w pełni lata. Myśl ta musnęła Ingunę niby szatańskie podszepty, które całą zimę trzymały ją w swej mocy, ale nawet i teraz nie potrafiły jej skusić. Od chwili, gdy zobaczyła Olafa, nie umiałyby już kroczyć dawną drogą. Przed jej oczyma zamajaczyły wszystkie marzenia, które sobie wymyśliła i wysnuła o współżyciu z Olafem na Hestviken i o ich dzieciach. Tam nie dojdzie już nigdy... chociażby nawet tej nocy jeszcze spróbowała uwolnić się od tajemnego brzemienia i pogrzebać je w kamiennym zwale, nic to nie pomoże! Nigdy nie może dojść do Olafa.

Ivar opowiadał właśnie śmiejąc się i żegnając znakiem krzyża, że Olaf nie postawił dotychczas nogi w Hestviken: czy widziano kiedyś podobnego człowieka?

Olaf usprawiedliwiał się wśród śmiechu. Zarumienił się przy żartach starego i wyglądał w tej chwili bardzo młodocianie. Wyglądał młodziej niż ostatnim razem na Berg, wyglądał prawie tak jak w dawnych latach, chociaż jego prosta i okrągła szyja poryta była poprzecznymi bruzdami, a gdy się wyprostowywał, widać było w wycięciu koszuli szkarłatną bliznę. I twarz także miał chudsza i ogorzała. Mimo to wyglądał bardzo młodo – Inguna zrozumiała, że to radość go odmładza. Ciężko i boleśnie uderzyło jej serce. Czy wielki ból mu sprawi, gdy się dowie, że go zdradziła?

Zdjęto z niego banicję, otrzymał z powrotem dwór, był zamożnym człowiekiem; tyle zrozumiała z rozmowy. Sprzedał obecnie dwór Kaaretorp w okręgu Elve, gdzie przebywał minionej jesieni po otrzymaniu listu żelaznego. Nietrudno byłoby Olafowi zawrzeć lepsze małżeństwo aniżeli z nią; po pojednaniu się z jej krewnymi niezbyt wielki przypadnie mu w posagu majątek, o tym wiedziała.

Kiedy podniosła się, by iść na spoczynek, Olaf odprowadził ją do drzwi komory:

– Śpisz sama w izbie Aasy? Nie przystoi, bym przyszedł do ciebie, gdy się położysz? – westchnął i roześmiał się.

– Nie, tego nie możemy zrobić.

– Poproś jutro którąś z dziewczynek, by w nocy spała z tobą, wtedy będziemy mogli wieczorami gwarzyć swobodnie.

Przycisnął ją szybko i tak mocno, że jęknęła, pocałował ją, po czym wypuścił z objąć.

Inguna leżała bezsennie i usiłowała myśleć o przyszłości. Było to zupełnie tak, jakby chciała utorować sobie drogę poprzez ścieżkę pełną gładów tak ciężkich, że żadnego z nich nie mogła ruszyć z miejsca. Nie potrafiła wyobrazić sobie, co się obecnie z nią stanie. Mimo to do tej pory błąkała się w gęstym mroku, który żył i poruszał się dokoła niej z niewidzialną grozą, teraz zaś ujrzała przed sobą wreszcie jasność dnia, chociaż był on tak szary, beznadziejny i nieprzenikniony jak dżdżysty dzień jesienny. Musi, musi teraz iść naprzód: przed tym, co na siebie ściągnęła, nie ma ucieczki, chyba do piekła.

Wiedziała, że prawo nie stoi za nią. Już wówczas pozbawiła się opieki prawa, kiedy bez wiedzy i wbrew woli opiekunów oddała się Olafowi. Dali jej to dotkliwie do zrozumienia. To, że krewni zgodzili się potem

oddać jej część majątku, stało się ze względu na Olafa, gdy ich sąd o nim odmienił się i doszli do przekonania, że najlepiej się opłaci przyjąć jego ugodowe propozycje i oddać mu w prawowity sposób Ingunę za żonę. Co zrobią obecnie, kiedy dowiedzą się, że postąpiła tak, iż Olaf nie może jej wziąć do siebie, tego nie mogła sobie wyobrazić. Skoro wyjdzie na jaw, że oczekuje dziecka i że ojcem tego dziecka jest człowiek, którego nie warto ścigać... Teitowi mogli pozwolić na ucieczkę; korzyści nie mieliby z niego żadnej, a gdyby go odszukali i ukarali, byłaby jeszcze większa hańba, że takiemu ladaco pozwoliła się uwieść.

Nie, nie umiała sobie wyobrazić, co zrobią z nią... i z tym drugim. Już jutro albo za dwa, trzy dni będzie wiedziała. I chociaż w żaden sposób nie umiała przyzwyczaić się do tej myśli, było tak pewne jak śmierć, że gdy zazielenią się brzozy, ona będzie tu siedzieć z dzieckiem na kolanach i będzie musiała przyjąć każdą karę, jaką nałożą jej krewni, oburzeni, że ściągnęła na nich taki wstyd i że zmuszeni będą żywić ją i dziecko.

Poddała się tak całkowicie swemu losowi, że wprost nie pojmowała, jak mogła wczoraj jeszcze myśleć o oswobodzeniu się od brzemienia. Teraz myślała tylko o tym, że przez resztę życia musi wlec ze sobą dziecko. Także w tej chwili nie żywiła tkliwości ani dobroci dla tej istotki, po prostu jest ona tutaj i Inguna musi uporać się z tym.

Tylko przez oka mgnienie na myśl, że Tora chciałaby ją mieć u siebie, ujrzała się wraz ze swym dzieckiem – dwoje wyrzutek – na dworze Haakona, wśród jego bogatych dzieci i zdawało się, że budzi się w niej coś nowego – pierwsze, drobne drgnienie instynktu, by bronić własnego potomstwa.

Jej rodzeństwo przede wszystkim ma obowiązek zapewnić im utrzymanie: Haakon zamiast Tory oraz jej młodzi bracia, których nie widywała niemal w ostatnich latach, odkąd dorośli. A może wolno jej żywić nadzieję, że pani Magnhilda będzie tak miłosierna, iż pozwoli jej



zostać do urodzenia dziecka?

Arnvid... przemknęło jej przez głowę. Gdyby on ofiarował się wziąć ją do siebie! On byłby z pewnością dobry dla nich obojga. Mimo że był najwierniejszym druhem Olafa, był przyjacielem wszystkich potrzebujących pomocy. Gdyby wyznać wszystko Arnvidowi – Arnvidowi, a nie Olafowi. On pomówiłby z Olafem i Magnhilda; wówczas uciekłyby przed tym, co wydawało jej się przejściem przez żywy ogień.

Czuła jednak, że nie odważy się na ten krok. Skąd weźmie odwagę, by mówić z Olafem, nie wiedziała, ale zataić prawdy przed nim nie odważyłaby się nigdy. On był jej panem, jego zdradziła – i nagle poczuła, że skoro przebrnie już przez tę rozmowę z Olafem, musi paść na kolana przed Bogiem, pełna skruchy za swój grzech i za wszystkie grzechy popełnione w życiu – *quia peccavi nimis cogitatione, locutione, opere, et omissione, mea culpa* – słowa same wezbrały w niej. Wszystkie chwile, w których wymawiała te słowa klęcząc u kolan ojca Vegarda, zostały nagle przeświecone i ożyły, jak ożywają ciemne szkła w kościelnych oknach, kiedy z nagłą padnie na nie słoneczny promień: wszystko, co zgrzeszyłam myślą, mową, czynem i niedbalstwem z własnej winy.

Uklękła na łożu, odmówiła wieczorne pacierze – wiele czasu minęło, zanim miała na to odwagę. *Mea culpa* – obawiała się, że może zostać uwolniona od konieczności uczynienia tego, co chce, i że nie będzie musiała przyjąć tego, co sama na siebie ściągnęła. Teraz zaświtała w niej myśl, że jeśli uzyska przebaczenie Boga za zło, jakie wyrządziła Olafowi i sobie samej, to nie będzie już pragnęła uniknąć za to kary. Sam widok Olafa wystarczył, aby pojęła istotę miłości. Wyrządziła mu najcięższą krzywdę. I jeśli on będzie cierpiał, nie może pragnąć, by jej było lepiej. A poza tą myślą ogarniała mgliście, niby w niewyraźnym obrazie, prapoczątek miłości. W kielichu, który nasz Zbawiciel musiał spełnić onego wieczoru na Górze Oliwnej, ujrzał On wszystkich grzech,

jaki popełniono i miano popełnić na ziemi, od chwili stworzenia rodu ludzkiego aż po dzień Sądu Ostatecznego; i wszystką nędzę i cały ból, zadany przez ludzi samym sobie i bliźnim. A ponieważ Bóg cierpiał, i ona wskutek własnego grzechu również musi cierpieć, dlatego pragnąc będzie kary i pokuty zawsze, ilekroć o tym pomyśli. Pojęła, że jest to rodzaj cierpienia zupełnie inny od wszystkiego, co dotąd wycierpiała. Tamto było niby staczanie się po skalnym zboczu w dół, ku bezdennej przepaści – to zaś niby wspinanie się w górę, lecz z pomocną ręką, na której można się wesprzeć. Wspinanie się żmudne i uciążliwe, ale nawet w tym trudzie leżało szczęście, bo wiódł on do czegoś. Inguna zrozumiała, co mają na myśli księża głosząc, że w samej pokucie jest pocieszenie.



Nazajutrz w południe, kiedy Ivar i Arnvid mieli odjeżdżać, Olaf stał z Inguną na dziedzińcu. Pogoda była równie piękna jak poprzedniego dnia, wszędzie tajało i sączyła się woda. Z cichym, dźwięcznym szelestem topniał śnieg na nasłonecznionych wydmach śnieżnych, przez dziedziniec płynęły małe strużki, żłobiąc jasne rynny lodowe w pokładzie końskiego nawozu i drzewnych wiórów, które narosły zimą. Ivar namawiał Arnvida, aby nie jechali przez zatokę – o tej porze roku w okolicach Ringsaker lód nie wszędzie jest pewny; przed kilku laty wjechał w przerębel i od tego czasu stał się bojaźliwy. Arnvid wyśmiał go: w jasny dzień – nie, krewniaku! Wszak jeszcze przed zapadnięciem ciemności będą u Haftora. Jechać teraz bezdrożami w górę i w dół – Arnvid zaklinał się, że tego nigdy nie zrobi.

– Jeżeli twoi ludzie chcą, to jedź, którądy masz ochotę, lecz mój Eyvind i ja jedziemy naszą drogą!

Trzej pachołkowie byli już daleko w dole. Zimą droga z wielu dworów wyżej położonych prowadziła przez Berg i na dół ku zatoce; stamtąd jechali ludzie na południe do grodu albo na północ i zachód poprzez wzgórze i zamrznięte jezioro Mjös.

Olaf i Inguna odprowadzili ich kawałek. Arnvid i Ivar jechali stępą. Tutaj, po stronie słonecznej, śnieg stał zupełnie, wody roztopów spływały w dół. Arnvid zauważył, że Olaf przemoknie; szedł z gołą głową i bez płaszcza, w błękitnym, do kolan sięgającym kaftanie, w jasnych pończochach i skórzanych niskich trzewikach o długich nosach. Wykwintne obuwie nasiąkło wodą i pociemniało.

– Strój Inguny nadaje się bardziej do wyjścia – zauważył Arnvid.

– Nie rozumiem, jak ona może wytrzymać w tym wszystkim w tak ciepły dzień.

Inguna miała na sobie ten sam półdługi barani serdak bez rękawów co wczoraj i szła w kosmatych butach. Nie włożyła żadnej ozdoby, jedynie do warkoczy wplotła parę czerwonych jedwabnych wstążek.

Na zboczu wionęło ku nim ciepłe tchnienie wiosny, powietrze falowało i drgało wokoło.

– Tam siedzieliśmy wówczas, pamiętasz? – szepnęła Olaf do Inguny. Dziś w tym miejscu, gdzie wczoraj skrzyło się jeszcze od śniegu, widniały duże plamy zielonej trawy, jedynie tu i ówdzie przeświecał kamień albo krzew jałowca.

– Późne będą siewy tego roku, jeśli już przed Zwiastowaniem tak taje – zauważył Olaf.

Zatrzymali się w dole i patrzyli za jeźdźcami. Arnvid obrócił się w siodle i zrobił pożegnalny gest, Olaf odpowiedział mu skinieniem ręki. Ułamał gałązkę głogu i podał Ingunie, ale gdy potrząsnęła głową, zebrał sam kilka jagód, wyssał je i wypluł łupinki w śnieg:

– Tak, a teraz musimy wracać...

- Poczekaj chwilę. Jest pewna sprawa, o której chcę z tobą pomówić.
- No? Niewesoło wyglądasz, Inguno.
- Nie jest mi też wesoło – wyszeptwała.

Olaf spojrział na nią. Z początku ze zdziwieniem, potem spoważniał, odwrócił lekko głowę.

– Czy dlatego, że tak długo nie wracałem? – spytał półgłosem. ...Za długo... Najchętniej powiedziałyby to, lecz nie mogła.

– Myślałem o tym – ciągnął powoli i cicho. – Myślałem o tobie, kiedy powędrowałem za jarlem. Wiedziałem przecież, że przez to podzielę z nim wygnanie. On był jednak moim panem, Inguno, pierwszym panem, któremu ślubowałem wierność. Niełatwo mi było postanowić, co zrobić... Traciłem ochotę do jada, kiedy pomyślałem, że miałbym osiąść na Hestviken, jeść chleb i pić piwo, gdy tymczasem on, człowiek, który pomógł mi odzyskać majątność, niegdyś posiadaną, musi żyć pozbawiony praw w obcym kraju, straciwszy wszystko w Norwegii. Wierz mi, nie sądziłem, że potrwa to aż tyle lat... Czy ci się zdaje, żem cię zdradził idąc za jarlem?

Inguna potrząsnęła głową:

– Wiesz dobrze, Olafie, że ja nie umiem osądzać takich spraw.

– Myślałem – Olaf zaczerpnął tchu – że ponieważ zaprzyjaźniłem się z Ivarem i uściłem połowę grzywny należnej Kolbeinowi w dobrej angielskiej monecie i ponieważ zostałaś zaręczona ze mną pierścieniem i darami... myślałem, że teraz będzie ci na Berg lepiej. Czy nie było ci dobrze u twoich krewnych, Inguno?

– O nie, nie na to się skarżę...

– Skarżysz się...

Wyczuła lekką obawę w jego głosie, zebrała całą odwagę i spojrzała mu w oczy. Stał z gałązką głogu w ręce, spoglądał na nią, jakby nie rozumiał, co powiedziała i jakby lękał się tego, co miało przyjść.

– Masz jakąś przyczynę do skargi, Inguno?

– Tak było przeznaczone... ja... ja nie miałam siły... Nie jestem ciebie już godna, Olafie.

– Nie jesteś – mnie – już godna... – Głos młodzieńca był bezdźwięczny.

Znowu musiała zebrać wszystkie siły, by mieć odwagę spojrzeć na niego. Tak stali, patrząc sobie w oczy. Dostrzegła, że jasna twarz Olafa pobladła, zmartwiała i poszarzała; parokrotnie poruszył wargami, ale trwało długo, nim wykrztusił:

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Stali i patrzyli sobie dalej w oczy. Aż wreszcie Inguna nie wytrzymała. Podniosła ramię i zasłoniła twarz.

– Nie patrz tak na mnie – błagała drżąc. – Jestem przy nadziei...

Po długim jak wieczność czasie opuściła ramię i spojrzała na Olafa. Miała wrażenie, że go nie poznaje. Dolna szczęka opadła jak u trupa, stał martwy niby głaz, z oczami wbitymi w przestrzeń – trwało to i trwało...

– Olafie – wybuchnęła cichą skargą – odezwij się do mnie!

– Cóż mam rzec? – odparł bezdźwięcznie. – Gdyby ktoś inny powiedział mi to... o tobie – zabiłbym go!

Inguna zaczęła skomleć cicho i przenikliwie jak zбитy pies.

– Milcz! Nie zasłużyłaś na nic innego, ty sprośna suko, jak żeby cię zatłuc! – krzyknął Olaf. Znow jęknęła, a gdy się poruszył, cofnęła się o kilka kroków i oparła o pień osiki. Oślepiający blask tającego śniegu rozbłysnął przed nią nagle; przyknęła oczy i czuła, że ciało jej skręca się z piekącego bólu niby mięso rzucone w ogień.

Kiedy znow otworzyła oczy i popatrzyła w stronę Olafa... nie, nie śmiała teraz patrzeć na niego; utkwiała wzrok w gałązce szkarłatnego głogu leżącej w śniegu u jego nóg. I cichutko zaczęła biadać:

– Byłoby lepiej, o wiele lepiej, gdybyś to zrobił!

Oblicze Olafa skurczyło się gwałtownie, stało się nieludzkie.

Oburącz ujął rękojeść i pochwę sztyletu, po czym zerwał je wraz z pasem i odrzucił precz. Sztylet zapadł głęboko w rozmiękły śnieg.

– Ach, bodajbym nie żyła, bodajbym nie żyła – jęczała Inguna.

Poczuła na sobie jego dziki, płonący jak u zwierzęcia wzrok. I chociaż tak bardzo się bała, pragnęła jednak w tej chwili, aby ją zabił. Chwyliła się obu rękami za szyję, krzyknęła cicho.

Mężczyzna stał i wpatrywał się w nią – w białe, napięty łuk krtani, uwydatniający się wyraźnie, gdy stała oparta o drzewo. Już raz to zrobił – miecz wytrącono mu z ręki, był wówczas bez broni – chwycił wroga wpół i przegiął go w tył – zauważył przy tym, że nigdy do tej pory tak do ostatka nie wyczerzył sił. I teraz w postaci wspartej o pień mógł dojrzeć bezwstydną zmianę w twarzy, w ciele – piętno innego...

Z głośnym zwierzęcym skowyttem odwrócił głowę, rzucił się do ucieczki. Słyszał, że go woła, że przyzywa go po imieniu. Nie wiedział, czy krzyknął głośno, czy też tylko w duszy: – Nie, nie, nie śmiem pozostać przy tobie!

Inguna osunęła się na mały nagi skrawek ziemi u stóp osiki, drżała i lamentowała. Minęła długa chwila. Nagle Olaf wrócił. Pochylił się i szepnął:

– Kto jest ojcem dziecka?

Podniosła oczy, potrząsnęła głową:

– E... nikt... Był pisarzem u lennika na Keyne, nazywał się Teit, Islandczyk...

– Trudno powiedzieć, byś była wybredna – rzekł z dziwnym uśmiechem. Chwycił ją szorstko za ramię, ścisnął tak, że krzyknęła głośno: – A Magnhilda – co ona na to? Wczoraj wieczorem tak się śmiała z innymi – zgrzytnął zębami – na pewno ze mnie, szczęśliwego głupca, co się radował nie przeczuwając, że jego szczęście zostało pomnożone. O, bodajby was wszystkich Bóg pokarał.

– Magnhilda nie wie o niczym. Ukrywałam to przed wszystkimi. Dopiero teraz... tobie... powiedziałam.

– To chwalebne z twojej strony! Ja więc miałem pierwszy dowiedzieć się o tym! Sądziłem co prawda, że sam mogę płodzić swoje dzieci...

– Olafie! – krzyknęła błagalnie. – Gdybyś teraz nie przybył – głos jej uwiązł w gardle – nikt nigdy nie dowiedziałby się o tym.

Znów spojrzeli sobie prędko w oczy. Inguna spuściła głowę.

– Jezu Chryste! Ty chyba nie jesteś człowiekiem – szepnęła Olaf ze zgrozą.

Wyprostował się, przeciągnął się kilkakrotnie i za każdym razem błysnęła szkarłatna blizna na piersiach tuż poniżej szyi. Po czym powiedział, jakby do siebie:

– Gdyby przynieśli mi wieść, że jesteś trędowata, jestem pewien, że mimo to z tęsknotą wyczekiwałbym dnia, kiedy bym mógł cię zabrać do mego domu. „Chcesz-li strzec tej niewiasty, zdrowej albo chorej”? – pyta kapłan przed kościelną bramą. Ale to, nie, Boże, zmiłuj się nade mną, tego nie zniosę!

Chwytał ją mocno za ramiona.

– Słyszysz? Inguno! Nie mogę! Magnhilda musi... sama musisz jej powiedzieć... ja nie mogę! A że nie strzegła cię lepiej i stało się to w jej domu, pod jej opieką, niech teraz sama... Nie chcę cię widzieć, póki nie uwolnisz się od tego!

– Słyszysz? – zaczął na nowo. – Powiesz sama Magnhildzie! Inguna skinęła głową.

Olaf odszedł.

W miejscu, gdzie siedziała, zbocze było rozmokłe, i czuła, jak ciało jej sztywnieje z zimna. To było ulgą. Objęła pień osiki, przytuliła do niego twarz. Musiała teraz we własnym sercu szukać pocieszenia; ufała, że spłynie na nią, skoro wszystko wyzna. Lecz nie mogła go znaleźć; był w

niej jedynie śmiertelny żal, ale nie ten żal, który płynie z pokuty. Życzyła sobie tylko umrzeć tutaj, na tym miejscu; nie miała siły pomyśleć, że trzeba się podnieść, iść naprzeciw wszystkiemu, co ją jeszcze czeka.

Przyszły jej na myśl słowa, jakie chciała powiedzieć Olafowi na pocieszenie: żeby więcej o niej nie myślał; aby gdy pojedzie w świat, troszczył się tylko o własne powodzenie, o niej zaś zapomniał, ona nie warta jest pamięci. A teraz zrozumiała, że tak jest naprawdę, i to nie było pociechą, to było rzeczą najgorszą: nie warta jest, aby myślał o niej. Nie miała pojęcia, ile czasu przeleżała. Nagle posłyszała, że ktoś jedzie drogą. Z wysiłkiem podniosła się, zdrętwiała z zimna; gdy spróbowała się poruszyć, ciało jej było jednym bólem, a nogi ścierpły tak, że nie mogła ani iść, ani ustać. Powlokła się między krzaki, stanęła przy nich i widząc przejeżdżające sanie udała, że je głóg. Jadący powitali ją cicho, odpowiedziała pozdrowieniem. Byli to ludzie z gminy na górze.

Słońce zniżyło się tymczasem ku zachodowi; na śnieżne płaszczyzny padał żółtoszkarłatny blask, opary zawisły jasną mgłą nisko w powietrzu. Jakiś czas kręciła się bezradnie tu i tam. Potem wzrok jej padł na kilku jeźdźców nad zatoką, mieli widocznie zamiar przejechać na drugą stronę. Strach ją obleciał i poszła do dworu.

Chciała przemknąć niepostrzeżenie do swej komory, gdy wtem z innego domostwa wyszła pani Magnhilda. Wystraszonej Ingunie ciotka wydała się okropna – z tą purpurową, nalaną twarzą w otoku płóciennego czepca, z wysuniętym brzuchem pod srebrnym pasem, na którym wisały różne pobrzękujące przedmioty: pęk kluczy, sztylet i nożyce – zupełnie jak ten rozjuszony byk, co wtedy gnał wprost na nią... Szukając oparcia chwyciła ręką drzwi. W tej samej chwili poczuła, że doszła już do ostatecznych granic trwogi.



– Maryjo Najświętsza, a ty skąd wracasz? Czy całutki dzień wałęsałaś się na dworze? Wyglądasz jak utarzana w błocie, mokraś i ubrudzona gnojem! Co się dzieje? A Olaf, co się z nim stało?

Inguna nie dawała odpowiedzi.

– Może tobie wiadomo, dlaczego tak nagle musiał jechać do Hamaru? Przybiegł tutaj i wyprowadził konia ze stajni, Hallbjörn nie mógł go wcale zrozumieć; powiedział, że musi natychmiast pojechać do Hamaru, ale zostawił tu swoje łuby, a sadił z kopyta, jakby sam czort go poganiał; aż strach, mówił Hallbjörn, jak bódł konia ostrogami.

Inguna milczała.

– Co się stało? – badała pani Magnhilda, wściekła. – Ty chyba wiesz, co się stało Olafowi?

– Odjechał – rzekła Inguna. – Nie chciał tu zostać, gdy się dowiedział... Kiedy mu powiedziałam, co jest ze mną...

– Co jest z tobą?! – Pani Magnhilda spojrzała badawczo na dziewczynę. W zabrudzonych szatach, z bezładnie zwisającymi kosmykami włosów, oblepiona korą i źdźbłami słomy, z zapłakaną twarzą i chuda jak ogryziona kość, była Inguna szkaradna. A jak zaciskała na sobie mokry serdak! – Co jest z tobą? – huknęła. Chwyciła Ingunę za ramię i pchnęła ją w drzwi tak silnie, że młoda kobieta o mało nie potknęła się na progu. Potem szarpnęła dziewczynę, tak że Inguna upadła obok paleniska i tam pozostała skulona.

Pani Magnhilda zamknęła prędko drzwi.

– Nie, nie, nie! Nie rozumiem, co ty wyprawiała! Znów ją chwyciła i podniosła z podłogi.

– Rozbieraj się, mokraś jak topielica! Tak, tak, zawsze cię o to podejrzewałam, jesteś wariatką, niemożliwe, żebyś miała rozum jak wszyscy ludzie.

Inguna leżała w łóżu na poły otępiąła i przysłuchiwała się gadaniu ciotki rozwieszającej mokrą odzież na żerdzi nad paleniskiem. Po raz pierwszy od miesiący leżała zupełnie rozebrana; było odpoczynkiem i ogromną ulgą zrzucić te wszystkie opaski, którymi zadawała gwałt własnemu ciału. Czuła niewyraźnie, że pani Magnhilda miała prawo obejść się z nią o wiele srożej; ani nie przeklinała, ani nie biła jej, ani nie szarpała za włosy – niewiele nawet mówiła.

Pani Magnhilda żądała przede wszystkim jasnego zdania sprawy z tego, w jaki sposób się to wydarzyło. Wówczas okaże się, czy znajdzie się jakaś rada, czy będzie można całą rzecz utrzymać w tajemnicy. Zapytała o ojca, a usłyszawszy imię Teita, zaniemówiła aż ze zdumienia. To przekraczało tak dalece wszystko, co mogła pomyśleć, że wprost nie umiała wyobrazić sobie innej przyczyny – chyba Inguna postradała zmysły. Dziewczyzna musiała opowiedzieć wszystko, co zaszło między nią i Teitem. Cichym, złamanym głosem odpowiadała na surowe pytania ciotki. Sześć miesięcy upłynęło, odkąd widziała go po raz ostatni – nie, jemu nie wiadomo, jak sprawy stoją – spodziewa się dziecka za sześć tygodni...

„Najmądrzej będzie pozwolić ptaszкови odfrunąć – pomyślała pani Magnhilda. – Ingunę można będzie z pewnością ukryć przez ten krótki czas w izbie Aasy i mówić, że zachorowała.” Niewielu ludzi pytało o nią; szczęście w nieszczęściu, że przez te lata żyła tak bardzo na uboczu.

Ciotka nakazała jej ostro nie wychodzić przed dom, póki wszyscy nie udadzą się na spoczynek. Dalla ma tymczasem z nią zamieszkać, a gdy nadejdzie jej czas, muszą posłać po Tore.

Inguna leżała w łóżu, zmorzona zmęczeniem. Nieomal dobrze było żyć, nogi jej rozgrzały się pod skórą i sen spadł na nią niby letnia, dobroczynna woda. Na pół przez sen słyszała, jak pani Magnhilda naradzała się sama z sobą, w jaki sposób najlepiej pozbyć się dziecka

zaraz po urodzeniu...

Kiedy się obudziła, było już pod wieczór. Ogień na palenisku wypalił się prawie, lecz jeszcze nie był przykryty popiołem. Obok na niskim zydlu siedziała Dalla, kiwała się i przędła. Na dworze dął wiatr, Inguna słyszała, jak świszczę wokół węglów, a jakiś drewniany przedmiot uderzał co chwila o ścianę. Pogrążona była jeszcze w głębokiej błogości.

– Dalla – odezwała się po chwili; stara nie dosłyszała. – Dalla – powtórzyła głośniejszym głosem Inguna – może wyjdiesz na dwór i popatrzysz, co tak stuka o ścianę. Spróbuj to usunąć.

Dalla podniosła się i podeszła do łoża.

– Jeszcześ na tyle pyszna, ty leniuchu, żeby innym rozkazywać? Jestem tu po to, by cię pilnować, nie po to, by biegać i wykonywać twoje zlecenia. Hańba ci, ty nędzna suko!

Raz albo dwa razy w ciągu dnia zachodziła pani Magnhilda do bratanicy; nie łąjała jej, w ogóle niewiele z nią mówiła. Pewnego razu opowiedziała jednak Ingunie, że znalazła już opiekunkę dla dziecka, żonę karczownika, mieszkającego daleko na północy w lesie. Ułożono, że pani Magnhilda pośle po nią natychmiast, gdy Ingunę chwycą bóle; w ten sposób potrafią usunąć niemowlę zaraz po urodzeniu. Inguna nic na to nie odrzekła, nie zapytała nawet, jak się zowie owa kobieta i gdzie jest owa zagroda, i pani Magnhilda pomyślała, że istotnie dziewczyna jest pomyłona.

Przez resztę dnia i nocy była Inguna sama z Dalią. Skulona w kłębek, siedziała cichutko jak mysz; przy każdym ruchu, a nawet głośniejszym oddechu obawiała się, że Dalla zacznie z niej kpić i obrzucać ją najobrzydliwszymi i najzłośliwszymi słowami, jakie tylko mogła

wymyślić. Dalla i Grim nie byli nigdy niewolnymi w tym znaczeniu, w jakim dawniej bywali ludzie własnością swych panów. W wielu okolicach nastąpiły tylko małe zmiany dla wyzwolenców oraz dzieci niewolnych, odkąd przyznano im ustawowe prawa. A już najmniejsze tam, gdzie chodziło o potomków starych, poczesnych rodów, o ich dziewczki i parobków, którzy wywodzili się z ojców pozostających niegdyś w stosunku niewolnym do tych rodów. Nigdy nie powstało w głowie chłopca ani gospodyni oddać takiego parobka, chociażby był niedołęgą, człowiekiem chorym albo wątłym; w tych rodach nie było również zwyczaju sprzedawania niewolnych. Jakieś szczególnie ładne i rokujące nadzieje dziecko niewolnika mogło zostać darowane młodemu krewnemu lub chrześniakowi, niewolnik zaś przysparzający więcej kłopotów niż korzyści albo też taki, który dopuścił się ciężkiego przewinienia, zniknął pewnego dnia...

Służba rodzona z niewolnych pragnęła zazwyczaj pozostać nadal i zapracować na utrzymanie tam, gdzie się urodziła. Cześć ich panów była ich czią, ich dobro i powodzenie – ich dobrem. Byli sprzęgnięci z ich losem i rozmowy, jakie wiedli między sobą, dotyczyły zawsze i wyłącznie życia ich panów w domu i we dworze; a każde najmniejsze wydarzenie omawiali wciąż na nowo.

Aasa córka Magnusa miała w swej służbie Grima i Dalię jeszcze od czasu, gdy wszyscy troje byli dziećmi, a kiedy oddała oboje w służbę Steinfina, był to niejako podarek matki. Dola i niedola Steinfina były zarazem ich dolą i niedolą; toteż odkąd Aasa osądziła, że ożenek syna spowodował nieszczęście, oboje darzyli Ingebjörgę nienawiścią, choć nie odważyli się jej tego okazywać. I aczkolwiek Inguna nie przypominała matki, Grim i Dalla bez szczególnej przyczyny przenieśli na nią swą niechęć. Natomiast Olaf i Tora byli ich ulubieńcami spośród dzieci; byli spokojni i rozważni, uprzejmi w zachowaniu także wobec starych sług

– Inguna zaś ich zdaniem bezmyślna i leniwa. Dalla pełna była zawiści przez te lata, kiedy Inguna, nie ona, przebywała najbliżej pani Aasy i babka pokochała tak bardzo młodą dziewczynę. A teraz, gdy młoda kobieta tak niesłychaną hańbę ściągnęła na ród Steinfinna i zdradziła Olafa, i kiedy zupełnie bezradną wydano ją w ręce Dalii, stara niewolnica brała odwet, jak umiała.

Najplugawszymi, najohydniejszymi słowami rozwodziła się szeroko i długo o tym wszystkim, co majaczyło zaledwie w umyśle Inguny; mówiła o Olafie i Teicie, aż w końcu nieszczęśliwa siedziała płonąc ze wstydu, pragnąc jedynie, by ziemia rozwarła się i pochłonęła ją. Czy Inguna stała, chodziła, czy siedziała, Dalla znęcała się nad nią ciągłymi docinkami, drwiąc z jej brzydoty. Poza tym stara, jak mogła, próbowała napędzić Ingunie stracha przed tym, co ją czeka, gdy będzie musiała zlec na podłodze, przepowiadała jej najokropniejszy poród i twierdziła, że można po niej poznać, iż umrze.

Inguna wiedziała zawsze, że Dalla jej nie znosi i uważa za głupią, ale odnosiła się do tego obojętnie. To jednak, że sędziwa niewolnica prześladowuje ją z tak niezmordowaną i pełną nienawiści złośliwością, było ciosem zgoła niespodziewanym. Inguna nie umiała dopatrzeć się innej przyczyny jak tej, że jest tak skalana, zhańbiona i wstrętna, że ci, co z nią muszą przebywać, mają ochotę zdeptać ją jak ohydneho robaka.

Poniechała więc wszelkiej myśli o spokoju i wybawieniu. Śmierć byłaby najlepszym rozwiązaniem. Kiedy wreszcie uwolniona zostanie od tej obcej istoty – i teraz także odczuwała dla niej jedynie nienawiść i lęk – nie pragnęła niczego na świecie, tylko śmierci.

Dziesięć dni upłynęło w ten sposób. Pewnego wieczoru siedziały we dwie, Inguna i Dalla, każda w swoim kącie, gdy wtem ktoś zapukał do

drzwi.

– Tutaj nikomu wejść nie wolno! – zawołała Dalla.

– Ale mnie wolno – odparł Arnvid, schylając się w drzwiach. Inguna podniosła się i poszła mu naprzeciw; objęła go za szyję i przygarnęła się do niego; był to jedyny człowiek na świecie, o którym wiedziała, że będzie dla niej dobry – nawet teraz. Nagle zauważyła, że Arnvid odsuwa się nieco, podnosi rękę i rozluźnia jej uścisk – i to ugodziło w nią okrutniej aniżeli wszystkie obelgi Dalii. Nawet Arnvid ją odpychał. Czyż jest aż tak splugawiona? w tej chwili Arnvid pogłaskał ją po twarzy, wziął, za rękę i podprowadził do ławy obok paleniska.

– Wyjdź, Dalla – zwrócił się do starej. – Chyba sam diabeł poddał Magnhildzie myśl, by powierzyć cię tej wiedźmie. A może to ty chciałaś ją mieć przy sobie?

– O, nie – westchnęła słabo. I z wolna Arnvid dowiedział się o zachowaniu Dalii przez cały ten czas, choć Inguna niewiele zdradziła. Ujął jej rękę i położył na swym kolanie:

– Nie bój się. Mam nadzieję, że nie będzie cię więcej dręczyła. Właściwie tak mało mógł powiedzieć. Pragnął, aby sama zaczęła mówić o tym, jak Olaf przyjął tę nowinę i czy wie, co zamierza on uczynić i gdzie obecnie przebywa, albo co się ma stać z nią samą; lecz nie potrafił mówić o tym pierwszy.

Tale więc żadne z nich nie wspomniało Olafa, choć Arnvid siedział dość długo. Na odchodnym rzekł:

– Jest źle, Inguno, i w niczym nie mogę ci pomóc. Musisz się postarać, by mi przesłano natychmiast wiadomość, gdy się okaże, że obecność mężczyzny mogłaby się przydać. Ja również chcę wtrącić słówko, kiedy inni radzić będą nad tym, co ma się stać z tobą i dzieckiem.

– Mnie żaden człowiek pomóc nie może.

– Tak, to prawda. Musisz oddać się w ręce Boga, Inguno. Wtedy

wiesz, że w końcu wszystko obróci się na dobre.

– Tak, wiem. I ty możesz tak mówić. Tobie nie wiedzie się źle – w twrodze ścisnęła jego rękę. – Nie mogę spać po nocach. Mężczy mnie pragnienie, ale nie śmiem wstać i napić się czegoś. Boję się Dalii...

– O, tak – rzekł Arnvid przyciszonym głosem – nikt z nas nie wie, co znaczy wisieć na krzyżu. Ale ów łotr był ukrzyżowany i to słusznie, według prawa. A wiesz przecież, co uczynił...

W jakiś czas po odejściu Arnvida weszła do izby pani Magnhilda i wyłajała Dalię. Przykazała jej pamiętać o tym, że Inguna jest córką Steinfina, bez względu na to, że źle postąpiła, i oświadczyła, że nie wolno jej dręczyć Inguny gadaniem, na jakie sługa nie powinna sobie pozwalać. Kiedy potem Inguna się położyła, Dalla wniosła wielką czarę mleka i postawiła ją obok łóża tak gwałtownie, że trochę płynu się rozlało. W nocy jednak, gdy Inguna chciała się napić, nabrała w usta pełno siana i słomy z podłogi, pewnie stara wrzuciła je do mleka.

Arnvid przyszedł nazajutrz pożegnać się, lecz bardzo mało z sobą mówili.

Wraz z Arnvidem przybył na Berg Ivar, ale nie odwiedził wcale bratanicy. Nie wiedziała, czy zrobił tak dlatego, że w złości widzieć jej nie chciał, czy też ktoś uprosił go, by tego nie czynił przez wzgląd na nią.

W południe zajechał Arnvid do klasztoru dominikanów i zaraz u odźwiernego dowiedział się, że Olaf syn Auduna przebywa u nich od tygodnia. Nie sypiał w zajeździe, lecz w małym domku, postawionym przez nowego przeora dla niewiast w ogrodzie warzywnym; przeor uważał, że mężczyźni i kobiety nie powinni sypiać wspólnie w gospodzie i polecił białogłowom spać poza budynkami klasztornymi. Niewiasty jednak nie chciały tam nocować bez tych, którzy z nimi przybyli; bały się bliskości cmentarza. Poza tym, dom był źle zbudowany, przez nieszczelne belkowanie ciągnął ziąb; zamiast paleniska kazał pan Bjarne wmurować

piec w kącie przy drzwiach, nie dawał jednak on ciepła, a dym nie wychodził wcale przez dymnik.

Zimno było w cienistym załomie między kościołem i kapitułą; lodowa skorupa chrzęściła i ostrogi Arnvida dzwoniły, kiedy szedł przez ogród. Śnieg stopniał tu już na tyle, że na grządkach fasoli i grochu widać było skłębione, gnijące, bezbarwne łodygi. Dom niewiast stał tuż obok ogrodzenia cmentarnego; kilka sędziwych, okazałych drzew rzucało na niego cień nawet i teraz, mimo że były nagie.

Dom nie miał przedSIONKA, Arnvid wszedł więc od razu do izby. Olaf siedział na łożu, ze zwieszonymi nogami, głowę oparł o ścianę; Arnvid poczuł jakby pchnięcie w serce ujrawszy, jak zmieniony jest przyjaciel. Złotopopielate włosy Olafa zdawały się wyblakłe, cera była zgaszona, szarozółta i tak źle był ogolony, że dolna część twarzy rozpyływała się niemal w cieniu, wyglądał na zniszczonego i zwiędłego. Ściany ze świeżych bali też były żółte, trochę dymu snuło się po izbie, chociaż w piecu niewiele było ognia. Arnvid miał wrażenie, że znajduje się w miejscu, gdzie wszystko jest zamrożone i zszarzałe.

Żaden z nich nie zauważył, że zapomnieli się przywitać.

– Przyjechałeś do miasta? – spytał Olaf.

– Tak – bąknął Arnvid nieporadnie. Po czym skłamał niezręcznie; Olaf wie przecież, że już od dłuższego czasu nosił się z zamiarem odwiedzenia Finna, swego syna, który tu chodzi do szkół. A potem dodał jeszcze, że Olaf jest chyba ciekawy, jak im się powiodło u Haftora?

– No, jak tam poszło? – spytał Olaf.

– Owszem, Haftor zadowolony był z pieniędzy.

– A jak długo bawiłeś na Berg? – Olaf uśmiechnął się z przekąsem. – Widzę po tobie, że stamtąd przyjeżdżasz.

– Spałem tam tej nocy.

– A co się tam dzieje?



– Możesz sobie chyba wyobrazić – odparł krótko Arnvid.

Olaf nie odzywał się więcej. Arnvid usiadł i obydwaj milczeli. Po pewnym czasie wszedł jeden z braci świeckich, przyniósł chleb i piwo dla gościa. Arnvid pił, lecz nie mógł jeść. Mnich powstał chwilkę, pogawędził z Arnvidem, Olaf siedział przez cały ten czas z oczami wbitymi przed siebie. Po odejściu braciszka milczenie zapanowało na nowo. Wreszcie Arnvid opanował się.

– A jak chciałbyś załatwić teraz tę sprawę, Olafie? Czy chcesz upoważnić mnie i Ivara, byśmy działali w twym imieniu? Chyba nie masz ochoty jechać sam na północ i spotkać się latem z Haftorem?

– Nie wiem, jak mógłbym tego uniknąć – odparł Olaf. – Sama nie może przecież jechać do mnie przez pół Norwegii. Mogłoby to stworzyć niebezpieczeństwo, że już w drodze, zanim dojedzie, byłaby z drugim dzieckiem – uśmiechnął się złośliwie. – Ach, nie, najlepiej będzie, jeśli sam się nią zajmę, gdy to tylko będzie możliwe.

Po chwili Arnvid zagadnął cicho, do głębi wstrząśnięty:

– Co chcesz przez to powiedzieć? Olaf roześmiał się.

– Czy zamierzasz po tym wszystkim, co się stało, wziąć ją do siebie?

– Ty chyba powinieneś to wiedzieć, ty, którego można by nazwać półmnichem, że nie mogę od niej odejść – odrzekł Olaf drwiąco.

– Rzeczywiście – odparł Arnvid szeptem. – Zresztą nie byłem pewien, czy zdajesz sobie z tego sprawę. Wiedz jednak, że nikt nie ma prawa cię zmuszać, abyś po tym, co się stało, wziął ją do twego domu i żył z nią.

– Z kimś przecież muszę żyć – powiedział Olaf szyderczo. – Od siódmego roku życia błąkam się wśród obcych. Czas chyba, abym stał się wreszcie człowiekiem osiadłym. Sam rozumiesz – to już więcej, niż się spodziewałem, że ona przyniesie mi w posagu gotowe dziecko...

– Magnhilda rozejrzała się już za miejscem dla dziecka – szepnęła Arnvid od niechcena. – Oddadzą je natychmiast, gdy tylko ujrzy światło

dziennie.

– Nie... Nie chcę pozostawić nic, czym musiałbym zajmować się potem tutaj w dolinie. Nie chcę mieć tu z nikim do czynienia! Ani ona, ani ja nie powinniśmy postawić tu więcej stopy, gdy raz się stąd wydostaniemy. Do diabła, jeśli moja żona została ladaczną, to muszę także jej bękartą wziąć w rachubę! – zgrzytnął zębami.

– Ona jest zrozpaczona, nieszczęśliwa, Olafie – przekładał Arnvid.

– Tak. Będziemy musieli oboje odpokutować za przyjemność, jaką zrobiła temu islandzkiemu przybłądzie.

– Nie widziałem nigdy dziecka pogrążonego w większej biedzie. Przypomnij sobie, Olafie, kiedy musiałeś opuścić kraj i ją, już wtenczas Ingunie było ciężko. Była uległa i słaba przez całe swoje życie, nie miała siły ani rozumu, by postępować mądrze.

– Wiem o tym. Zawsze wiedziałem, że nie jest ani mądra, ani odporna. Mimo to, za wiele tego dla mężczyzny... Czy ona – głos jego załamał się nagle i złagodniał – czy bardzo surowo z nią postąpili? Wiesz coś o tym?

– Nie, niezbyt surowo. Lecz niewiele potrzeba, by ją złamać. Wiesz przecież sam.

Olaf nie odpowiedział. Pochylił się, ręce zwiesił na kolanach i wpatrywał się w podłogę. Po chwili Arnvid zaczął:

– Na Berg nikt nie sądzi inaczej, jak że ją odtrącisz...

Olaf siedział jak przedtem. Arnvid nie śmiał wypowiedzieć tego, co go gnębiło. Nagle Olaf odezwał się:

– Powiedziałem Ingunie, że wrócę. Całe życie była na pół poganką, wierzyłem jednak, że tyle rozumie: jesteśmy związani do końca naszych dni.

– Kiedy chciano ją dać Gudmundowi synowi Jona – powiedział Arnvid – a wiesz, że to byłoby dla niej dobre małżeństwo, mówiła tak, jak gdyby to w zupełności rozumiała.

– Ale teraz, kiedy złamała wiarę, spodziewa się, że ja odrzucę wszystko, com zaprzysiągł przed Bogiem i ludźmi?

– Zdaje mi się, że ona chce umrzeć.

– Tak, to byłoby najlepsze wyjście dla niej i dla mnie. Arnvid milczał. Nagle Olaf zapytał:

– Przyrzekłem ci kiedyś, że nigdy nie opuszczę twojej krewnej. Pamiętasz?

– Tak jest. – Znów zaległa cisza.

W końcu Arnvid przełamał milczenie:

– Ivar i Magnhilda powinni chyba wiedzieć... że chcesz ją wziąć pomimo wszystko.

Nie otrzymawszy odpowiedzi ciągnął:

– Czy pozwolisz mi, abym im powiedział, co zamierzasz uczynić?

– Sam mogę to zrobić – odparł Olaf szorstko. – Zresztą zostawiłem tam moje rzeczy – dodał łagodniej.

Arnvid milczał. Pomyślał w duchu, że na Berg nie będą mieli zbyt wiele pociechy z przybycia Olafa w usposobieniu, w jakim był obecnie. Ale nie miał prawa wtrącać się do tej sprawy więcej niż dotychczas.

Po południu Olaf już gotów do drogi zagadnął:

– A ty kiedy wybierasz się do domu?

Arnvid odpowiedział, że nie pomyślał jeszcze o tym. Wtedy Olaf rzekł nie patrząc mu w twarz, jak gdyby wstydył się i cierpiał, że to mówi:

– Wolałbym, żeby nas teraz – przed ucztą weselną – nie widziano razem. Kiedy powrócę z Berg, wolałbym – zacisnął pięści i zęby – wolałbym nie widzieć nikogo, kto o tym wie.

Arnvid zaczerwienił się, zmilczał zniewagę i odparł spokojnie:

– Jak sobie życzysz. Gdybyś zmienił zdanie, znasz drogę na Miklebö.

Olaf wyciągnął rękę wciąż unikając wzroku przyjaciela:

– Tak, chcę ci podziękować; to nie dlatego, żebym był niewdzięczny...

– Nie, nie... Jedziesz więc teraz na Hestviken?

– Postanowiłem pozostać w tych stronach czas jakiś. Muszę przecież najpierw dowiedzieć się, czy mam wyprawić biesiadę powitalną, czy też nie – usiłował się roześmiać. – Jeżeli nie zostanie przy życiu, niepotrzebna biesiada...

Inguna siedziała skulona w kącie obok łoża; Mrok w izbie i na dworze był taki, że nie dostrzegła, kto wszedł; pomyślała jednak, że to wraca Dalla po skończonej robocie w stajni. Przy drzwiach nie poruszył się nikt po ich zamknięciu i nagle potworna trwoga ogarnęła Ingunę; serce jej skakało i waliło teraz zawsze dziko, ilekroć ktoś do niej przemówił. Walczyła ze sobą, by stłumić głośny oddech, i cichutko jak mysz zaszyła się w sam kącik.

– Jesteś tu, Inguno? – zapytał ktoś.

Kiedy poznała głos Olafa, miała wrażenie, że serce jej pęka; zachybotało i stanęło, a ciało przebiegł wstrząs jak w chwili śmierci.

– Inguno, jesteś tu? – zapytał powtórnie. Posunął się w głąb izby. Teraz dojrzała go w słabym blasku ognia; kanciastego i barczystego w długim płaszczu. Dosłyszał jej stłumiony, świszczący oddech i podszedł bliżej, szukając jej po ciemku. W tej chwili z przerażenia odzyskała głos:

– Nie zbliżaj się, Olafie! Nie podchodź do mnie!

– Nie dotknę cię, nie bój się, nie uczynię ci nic złego!

Skuliła się jeszcze bardziej i zamilkła usiłując opanować straszliwą duszność wywołaną lękiem. Głos Olafa brzmiał spokojnie i równo:

– Sądziłem, że najlepiej będzie, abym sam pomówił z Ivarem i Magnhildą. Czy powiedziałaś im, kto jest ojcem?

– Tak – szepnęła udręczona. Olaf rzekł trochę niepewnie:

– To źle. Powinienem był najpierw o tym pomyśleć, lecz byłem tak

zaskoczony, że nie wpadło mi to do głowy. Teraz przemyślałem wszystko i doszedłem do przekonania, że najlepiej będzie, jeśli ja sam przyznam się do ojcostwa. Prawdopodobnie i tak wyjdzie to na jaw, takie sprawy ludzie zawsze wywęszą; wtenczas trzeba powiedzieć, że dziecko jest moje. Musimy rozpuścić pogłoskę, że zeszłego lata przebywałem potajemnie na Berg...

– Ależ to nieprawda – szepnęła słabo.

– Oczywiście, wiem o tym. – Słowa te wymówił tak, że smagnęły ją niczym bicz. – Ludzie na pewno będą powątpiewać, ale to obojętne, byleby zrozumieli, że nie wolno zbyt głośno ujawniać wątpliwości. Wy wszyscy tu musicie sprawę przedstawić, jak powiedziałem. Nie mogę zadowolić się tym, że pozostawisz dziecko tutaj w Oplandii i nigdy nie będziemy pewni, czy ktoś nie wygrzebie tej historii. Musisz zabrać dziecko ze sobą na południe.

– Zrozumiałas, co powiedziałem? – spytał szorstko, bo nie odpowiadała, tylko oddychała z wysiłkiem w ciemności.

– Nie – odparła nagle, wyraźnie i mocno. Tak było z nią zawsze: w ostatniej mące i trwodze coś zdawało się łamać w niej, a potem mogła już wszystkim iść naprzeciw, spokojna i opanowana. – Musisz porzucić tę myśl, Olafie. Nie spodziewaj się, że po tym, co się stało, zabierzesz mnie do siebie.

– Nie gadaj głupstw – zachnął się niecierpliwie. – Powinnaś wiedzieć tak samo dobrze jak ja, że my dwoje jesteśmy związani na śmierć i życie.

– Mówiono mi – Kolbein i inni – że wielu zacnych i uczonych księży jest w tej sprawie innego zdania aniżeli pan Torfinn.

– Tak, nie ma rzeczy, co do której wszyscy ludzie byliby zgodni. Ja jednak trwam przy orzeczeniu pana Torfinna. Niezbyt ładnie odpląciłem mu za jego ojcowską miłość, lecz złożyłem tę sprawę w jego ręce i zgodziłem się z jego wyrokiem, kiedy wypadł po mojej myśli. I teraz

więc muszę się przed nim ugiąć.

– Olafie, pamiętasz tę ostatnią noc, kiedy przyjechałeś do mnie na Ottastad? – Inguna mówiła ze smutkiem, ale spokojnie i w skupieniu. – Pamiętasz? Mówiłeś, że mnie zabijesz. Powiedziałeś, że to z nas dwojga, które złamie wiarę drugiemu, ma zginąć. Wyciągnąłeś sztylet i przytknąłeś mi go do piersi. Mam ten sztylet do dziś.

– Używaj go zdrowo. Owa noc, o, nie powinnaś jej wspominać! Mówiliśmy i przysięgaliśmy... Później zrozumiałem, że to był grzech większy od zabicia Einara. Nigdy nie sądziłem jednak, że ty właśnie...

– Olafie – rzekła znowu – to jest niemożliwe. Nigdy nie mogłbyś radować się mną, gdybym pojechała z tobą na Hestviken. Pojęłam to w tej samej chwili, kiedy cię zobaczyłam. Gdy mówiłeś, że przybędziesz pod koniec lata po mnie, wiedziałam, że mam dosyć czasu, by to przed tobą zataić.

– Tak, więc o tym myślałaś! – Słowa jego ugodziły ją boleśnie; rzuciła się na łożo, czoło i ręce przycisnęła do wezglowia i wybuchnęła gorzkim łkaniem, skarżąc się z dna ponizenia i hańby.

– Odejdź stąd, odejdź – błagała żałośnie. Przypomniła sobie, że Dalla może nadejść w każdej chwili, wnieść światło do izby.

Na myśl o tym, że Olaf mógłby ją zobaczyć, płonęła ze wstydu i rozpaczony. – Idź – żebrała. – Olafie, miej litość i odejdź stąd!

– Dobrze. Idę już. Musisz zrozumieć, że stanie się, jak powiedziałem. Nie, nie płacz tak, Inguno, nic złego ci nie uczynię... Wielkiej radości nie będziemy mieć z siebie – gorycz wezbrała w nim nagle gwałtownie, nie mógł powstrzymać słów. – Bogu wiadomo, iż przez te wszystkie lata myślałem nieraz, że będę dla ciebie dobrym mężem, w miarę sił chciałem ci dawać dobro... Teraz nie śmiem ci tego obiecać; może niejeden raz trudno mi przyjdzie okazać ci wyrozumiałość. Lecz jeśli Bóg zechce mi dopomóc, nie będzie nam tak źle z sobą, byśmy tego wytrzymać nie

potrafili.

– Ach, gdybyś mnie zabił owego dnia – zawodziła Inguna, jak gdyby nie słyszała wcale jego słów.

– Milcz! – szepnęła wzburzona. – Ciągłe mówisz o zabijaniu. Twoje dziecko... i ciebie mam zabić... Wydajesz się raczej zwierzęciem niż człowiekiem. Tracisz rozum, kiedy nie widzisz wyjścia. Ludzie muszą znieść to, co sami na siebie sprowadzili...

– Idź – prosiła – idź, idź!

– Dobrze, idę. Powrócę, gdy urodzisz dziecko, Inguno. Może wtedy odzyskasz rozum na tyle, by można było z tobą mówić.

Wyczuła, że zrobił parę kroków w jej stronę. Zwinęła się w kabłąk, jakby oczekując uderzenia.

Ręka Olafa odszukała w mroku jej ramię; pochylił się i pocałował ją w głowę tak twardo, że poczuła zęby.

– Weźże się w garść – szepnęła, nachylony ku niej. – Nie wyrządę ci żadnej krzywdy. Wierz mi, chcę znaleźć tylko drogę wyjścia.

Cofnął rękę i spiesznie wyszedł.

Nazajutrz przyszła do niej pani Magnhilda; Inguna leżała bez ruchu, zapatrzona w powałę. Ciotka rozgniewała się widząc, że dziewczyna jest tak samo zropanczona jak zwykle.

– Przecież sama nawarzyłaś sobie tego piwa, a teraz łatwiej ci przyjdzie je wypić, niż można się było spodziewać. Wszyscy musimy dziękować Bogu i Pannie Maryi, że Olaf okazał się tak zacnym człowiekiem. Ja mówię: niech Bóg osądzi Kolbeina wedle jego zasług za to, że był przeciwny, aby Olaf wziął cię za żonę, i udało mu się przeciągnąć na swoją stronę tego głupca, Ivara. Gdybyż już dziewięć lat temu oddali cię byli Olafowi!

Inguna leżała dalej i milczała. Pani Magnhilda ciągnęła:

– Nie poślę jeszcze gońca do Hallveigi. Jesteś taka mizerna, nie wiadomo, czy dziecko będzie żyło – dodała pocieszająco. – Jeśli będzie żyło, zawsze mamy czas pomówić o tym, jak najlepiej tę rzecz urządzić.

Czwartego dnia po Wielkanocy przyjechała Tora córka Steinfinna. Inguna wstała, by przywitać wchodzącą, lecz musiała trzymać się łoża; nogi ugięły się pod nią, tak bardzo lękała się wyrzutów siostry.

Tora jednak uściskała ją i pogłaskała:

– Inguno, biedactwo moje!

A potem zaczęła mówić o wielkoduszności Olafa i o tym, jak ponuro wyglądałaby cała sprawa, gdyby Olaf postąpił tak jak większość mężczyzn na jego miejscu: gdyby próbował uwolnić się od kobiety, której nigdy nie dostał w sposób zgodny z prawem.

– Jeśli mam rzec prawdę, nie sądziłam, że Olaf jest taki pobożny. Trzymał się wprawdzie blisko księży i Kościoła, lecz sądziłam, że robi to raczej dla korzyści. Nie przypuszczałam, że to z bojaźni Bożej i prawdziwej wiary. I nawet nie żąda, byś się rozstała z twym dzieckiem – dodała promieniejąc. – To chyba musi być dla ciebie wielką pociechą, cieszysz się na pewno, że nie musisz oddać dzieciątka?

– Owszem. Ale nie mów już o tym – zaczęła prosić w końcu Inguna, Tora bowiem nie przestawała wychwalać tego szczęścia w nieszczęściu.

Tora nie zdradziła ani słowem, że w zimie coś zauważyła, nie potępiła też Inguny, starała się raczej dodać jej otuchy. Gdy pozbędzie się brzemienia, zobaczy wszystko na świecie w jaśniejszych barwach, a potem i dla niej nadejdą dobre dni. Nie powinna się tak poddawać, jak to robiła dotychczas – całutki boży dzień siedzieć w kącie, nie ruszać się, nie mówić słowa i patrzeć tylko posepnie przed siebie.

Dalla przyjęła naganę pani Manghildy w ten sposób, że w ogóle przestała odzywać się do Inguny. Mimo to zawsze jeszcze znajdowała



sposobność, by dokuczać chorej. Inguna bała się położyć wieczorem, zanim nie zajrzała pod skórę na łożu, czy nie leżą tam jakieś twarde i ostre przedmioty. Nagle zaroilo się od robactwa w jej łożu i ubraniu – do tej pory wszystko było zawsze czyste. Stale znajdowała popiół i mysie odchody w potrawach i napojach przynoszonych przez Dalię. Co rano stara ściągała rzemienie jej chodaków aż do bólu. A kiedy z trudem próbowała rozluźnić rzemyki, Dalla kręciła się koło niej chichocząc. Lecz Inguna nie żaliła się przed nikim.

Tora jednak zauważyła od razu niejedno i porządnie natarła uszu Dalii; stara niewolnica czołgała się przed młodą panią niczym zbita suka. A gdy Tora spostrzegła, że siostra nie może opanować lęku przy samym zbliżaniu się Dalii, przegnała staruchę z izby Aasy. Pomogła siostrze oczyścić rzeczy, wystarała się dla niej o czyste ubranie i smaczne jedzenie. Udobruchała także panią Magnhildę, kiedy ta zżymała się na niewdzięczność Inguny zarzucając jej, że przecież sama winna jest swemu nieszczęściu, a postąpiono z nią o wiele pobłaźliwiej, niż na to zasługiwała; nie zniesie więc dłużej jej uporu i smutku. Tora serdecznie prosiła ciotkę:

– Przez te ostatnie tygodnie bądźmy dobre dla niej. Potem, gdy wstanie z połogu, będzie musiała wysłuchać kilku cierpkich słów od nas obu.

Odkąd Olaf syn Auduna odpokutował zabójstwo popełnione w gospodzie dominikanów, zbliżył się jeszcze bardziej do tego zgromadzenia zakonnego; ojciec Vegard zresztą był jego spowiednikiem od lat dziecięcych oraz przyjacielem Arnvida, jednego z dobroczyńców klasztoru. I zanim zdarzyła się ta ostatnia rzecz z Inguną, Olaf myślał o tym, by wstąpić do zakonu dominikanów jako brat *ab extra*. Gdy więc teraz mnisi spostrzegli, że coś ciąży mu na duszy, pozostawili go w spokoju i unikali, o ile to było możliwe, umieszczania innych gości w izbie niewiast. Obecnie, w czasie Wielkiego Postu, żywy ruch panował w klasztorze, wielu bowiem ludzi z okolicznych gmin zwykło było spowiadać się tu w tym czasie i święcić Wielkanoc w kościele klasztornym.

Olaf odwlekał z dnia na dzień pójście do spowiedzi. Nie wiedział, jak ma właściwie postąpić... Inguna z pewnością nie spowiadała się do tej pory, gdyż spowiednikiem jej był ojciec Vegard a mnich nie wydalą się z klasztoru w ciągu ostatnich sześciu tygodni. Olaf przesiadywał więc przeważnie w izbie niewieściej i nie wychodził wcale, chyba do kościoła.

W środę Wielkiego Tygodnia zdawało mu się, że nie powinien już dłużej odkładać spowiedzi, i brat Vegard przyrzekł o oznaczonej godzinie być w kościele.

Kiedy Olaf wszedł małą boczną bramą wprost z klasztornego dziedzińca, ogarnął go chłód i mrok – na dworze była wiosenna pogoda. Ojciec Vegard siedział już na swym miejscu w prezbiterium, z fioletową stulą na białym habicie, i czytał z księgi rozłożonej na kolanach. Przez lukę pod krokwiami dachu słoneczny promień padał wprost na obrazy wymalowane nad stallami chóru, oświetlał obraz Zbawiciela, który jako dwunastoletni chłopiec stoi wśród żydowskich doktorów. „Boże, Panie

mój – modlił się Olaf w duchu – daj mi rozum, abym powiedział to, co powiedzieć muszę, nie mniej i nie więcej.” Po czym uklęknął przed kapłanem i odmówił *Confiteor*.

Wyraźnie i dokładnie wyliczył grzechy popełnione przeciw dziesięciu przykazaniom – te złamał, a tych dotrzymał, o ile pamięta; miał sporo czasu, by przemyśleć spowiedź. Wreszcie przeszedł do najcięższego:

– ...A teraz wyznaję, że żywię najgorszą urazę do pewnego człowieka, tak iż wydaje mi się, że nie mam siły mu wybaczyć. Jest to ktoś, kogo z serca miłowałem, i w chwili, kiedy się dowiedziałem, co ten człowiek uczynił, wydałem się sam sobie tak strasznie zdradzony, że poczułem chęć zabijania oraz nieczyste, okrutne pragnienie i złe zamiary. Bóg ocalił mnie wówczas i potrafiłem je poskromić. Tak ciężko jednak jest mi być pobłażliwym dla owego człowieka, wydaje mi się, że nie wybaczę mojemu nieprzyjacielowi całkowicie, chyba żeby Bóg uzyczył mi szczególnej łaski. Boję się, ojcze, iż o tej rzeczy nie mogę powiedzieć nic więcej jak to, co powiedziałem.

– Czy dlatego, że obawiasz się, iż w przeciwnym razie zdradziłbyś grzech drugiego człowieka? – spytał ojciec Vegard.

– Tak, ojcze – Olaf zaczerpnął głęboko tchu. – I dlatego również przebaczenie wydaje mi się tak trudne. Gdybym tutaj, na tym miejscu, mógł opowiedzieć wszystko, myślę, że byłoby mi lżej.

– Zastanów się dobrze, Olafie. Czy nie dlatego tak sądzisz, że twoje własne myśli, mordercze chęci i nienawiść byłyby usprawiedliwione wedle miary, jaką my, grzeszni ludzie, zowiemy sprawiedliwością, gdyby ci wolno było mówić otwarcie o tym, co twój bliźni ci wyrządził?

– Tak, ojcze. Mnich zapytał znowu:

– Czy tak nienawidzisz tego twojego wroga, że życzysz mu każdego dnia nieszczęścia tu, na ziemi i wiekuistego potępienia na tamtym świecie?

– Nie, ojcze.

– Lecz pragniesz, by musiał pokutować za to, co ci uczynił, zawsze i ciężko pokutować?

– Tak jest. Bo nie inaczej to odczuwam, jak że ja sam muszę pokutować, póki żyję. I obawiam się, że dopóki Bóg nie da mi znaku, nie osiągnę w sercu pokoju. Zawsze gościć w nim będzie gniew i zła chęć, bo wskutek tej rzeczy moje położenie życiowe, moje dobro i znaczenie przez cały mój żywot tu, na ziemi, ucierpią.

– Wiesz dobrze, mój synu, że jeśli całym sercem modlić się będziesz, Bóg użyczy ci siły, abyś przebaczył winowajcy. Nie zdarzyło się jeszcze nigdy, aby Bóg nie wysłuchał szczerzej modlitwy. Musisz się modlić bez ukrytej myśli, nie tak jak ów człowiek, o którym opowiada święty Augustyn, co to prosił, by Bóg użyczył mu łaski czystego życia, ale nie zaraz. Tak samo modlą się nieraz ludzie o siłę wybaczenia wrogom. Nie wolno ci również tracić otuchy, jeśli Bóg pozwoli ci się modlić długo i żarliwie, zanim cię wysłucha.

– Tak, ojczcie. Lecz boję się, że nie zawsze potrafię opanować się czekając na wysłuchanie.

A ponieważ mnich nie od razu odpowiedział, Olaf dodał wzburzony:

– Bo sprawa ma się tak, ojczcie: to, co ten człowiek mi uczynił, podcięło moje życie. Nie śmiem mówić więcej, ale wynikły takie trudności... Gdybym mógł rzec więcej, zrozumiałbyś, iż ten człowiek nałożył mi tak straszliwe brzemię...

– Pojmuję, że ciężko ci, mój synu, ale musisz wytrzymać i modlić się. A gdy w Wielki Piątek podejdziesz do krzyża i ucałujesz go, przypatrz mu się dobrze i w duszy zastanów się nad tym, czy twoje grzechy nie dodały ciężaru owemu brzemieniu, które dźwigał nasz Zbawiciel biorąc na siebie wszystkie nasze grzechy. Jak sądzisz, czy to brzemię, które nałożył ci twój przyjaciel, jest tak ogromne, że udźwignąć go nie zdołasz, ty, chrześcijanin i poddany Chrystusa?

Olaf pochylił się tak nisko, że czołem dotknął kolan mnicha.

– Nie, nie, tego nie sądzę – rzekł niepewnie.

W nocy z Wielkiego Piątku na Sobotę ocknął się Olaf zlany potem – miał sen. Kiedy leżał w głębokim mroku, usiłując otrząsnąć się z niesamowitego uczucia, jakie wywołał w nim ów sen, przyszło mu na myśl zupełnie wyraźnie dzieciństwo jego i Inguny: we śnie byli chłopcem i dziewczynką. Gdy jednak pomyślał, jak wówczas wszystko się zapowiadało, a jak teraz pogmatwała się przed nimi droga, całe pokrzepienie, które, zdało się, znalazł dzięki gorliwym modłom ostatnich dni, rozsypało się w proch. Podciągnął skórę i zakrył nią głowę, wstrzymując płacz, podobnie jak człowiek na torturach natęży całą wolę, chcąc zapobiec jednemu: by oprawcom nie udało się wydrzeć z niego jęku.

To lato – lato i jesień, gdy co noc oczekiwała go w komorze...

Targał nim niepokój, młode serce w piersi drżało z napięcia i podniecenia od pierwszej chwili, kiedy się obudził i zobaczył, że jest nagi. Jej, Inguny, był zupełnie pewien. Że ona sama umknie mu z rąk i zgubi się w objęciach innego – nie, tego nigdy nie przypuszczał. Owej nocy, kiedy przybył do niej, wyjęty spod prawa morderca, kiedy przyłożył zimne ostrze sztyletu do jej piersi i prosił, by zachowała ów sztylet jako znak, zrobił to nie dlatego, iż sądził, że ona złamie mu wiarę. Siebie samego miał na myśli – niedoświadczonego, chwiejnego jeszcze młodzika, który miał iść w niepewną przyszłość.

Kiedy tulił się do niej i skrywał twarz pod włosami barwy dojrzałej pszenicy, pachniało niby w stogu siana... A uścisk jej był tak delikatny i miękki, że zawsze musiał myśleć o młodziutkim kłosie, zawierającym mleczną miazgę. Nigdy nie wziął jej w ramiona, żeby nie pomyślał przy

tym: „Nie wolno mi być wobec niej brutalnym, jest wiotka i krucha, muszę jej strzec i osłaniać przed ciosami, bo sama niewiele ma sił”. I unikał mówienia z Inguną o ciężących mu sprawach, gdyż sądził, że grzechem byłoby zrzucić choćby część własnego brzemienia na jej wątłe barki. Rozterka sumienia, troska o przyszłość – jakże miała wyznawać się w tych rzeczach ona, taka dziecinna? Nawet i to, że nienasyconie łaknęła jego pieszczot i uścisków, że igraszkami próbowała przywieść go do nich, ilekroć popadał w zadumę albo mówił o czym innym – nawet i to uważał za oznakę dzieciństwa. Nieboga, nie rozumiała więcej niż dziecko albo zwierzę – tak, nieraz wydała mu się podobna do łagodnego, trwożnego zwierzęcia, oswojonej łani lub młodej, potulnej jałówki, łagodnej i płochliwej.

Teraz wiedział: w tym samym momencie, kiedy zrozumiał, że ona jest jego żoną, ujrzał jasno, że Inguna jest stworzeniem słabym i kruchym, on zaś ma czuwać nad nią i chronić jej.

Z wolna owa senna mara wydała mu się zrzędzeniem i darem Opatrzności, chociaż początkowo wywołała tak niesamowite i dręczące uczucie. Do tej pory sądził, że życzy Ingunie, aby stokrotnie cierpiała za swą słabość. Nie, tak nie jest!... Musi uczynić wszystko, co w jego mocy, aby jej pomóc wydobyć się bez bólu z tej matni.

Moja biedna łanio, pozwoliłaś zapędzić się w pułapkę i leżysz oto zhańbiona – wyczerpane, biedne, małe zwierzątko. Przyjdę teraz i wydobędę cię i poniosę na takie miejsce, gdzie nie będziesz lżona i deptana... I miał wrażenie, że to, co wydarzyło się w chwili, kiedy po raz pierwszy wziął ją w ramiona – kwiat, który uszczknął, i woń, i słodycz, jakie wyssał – to wszystko było czymś, co zdarzyło się jakby mimochodem. Ważne jednak było tylko to, że powierzono ją jego ramionom, aby przeniósł ją poprzez wszystko, zdjął z niej wszelkie brzemienie i chronił ją. I to stanowiło szczęście, wszystko inne zaś było jedynie znikomą uciechą.

W czasie całych świąt Wielkanocy było mu tak na duszy, jakby podniósł się z ciężkiej choroby; nigdy w życiu nie chorował, ale tak zapewne musi czuć się ozdrowieniec! Dusza moja jest uleczona... Inguno, wiedz, że pragnę jedynie twojego dobra!

Rozważał, czy ma opowiedzieć swój sen ojcu Vegardowi. Ale prawie przez dwadzieścia lat, odkąd mnich był jego spowiednikiem, nie zamienił z nim poza spowiedzią jednego poufalego słowa. Ojciec Vegard syn Ragnvalda był człowiekiem zacnym i rozumnym, lecz chłodnym i powściągliwym z natury, a poza tym wyrażał się o ludziach w dowcipny i pełen humoru sposób, który podobał się bardzo Olafowi, o ile tylko dowcip nie trafiał w niego samego. Olaf nie czuł też do tej pory nigdy potrzeby przestąpienia granicy istniejącej pomiędzy nim a spowiednikiem, odczuwał raczej ulgę, że ten człowiek poza kościelnymi murami zachowuje się jak każdy inny, a nie jak kapłan, który wysłuchał jego samooskarżenia i był mu drogowskazem w sprawach duszy.

Już przedtem myślał o tym, by poza spowiedzią zwierzyć się mnichowi z owej sprawy z Inguną. To jednak wyglądałoby tak, jakby pragnął się sam usprawiedliwić, a ją obwinie. Tego zaś nie chciał. Ojca Vegarda zawezwą i tak wkrótce na Berg: biedaczka będzie przecież musiała wnet zajrzeć w oczy śmiertelnemu niebezpieczeństwu.

Tak nadeszła środa po *Dominica in albis*<sup>[30]</sup>. Kiedy Olaf wychodził po mszy z kościoła, zdawało mu się, że ktoś dotyka z tyłu jego ramienia.

– Bądź pozdrowiony, człecze. Czy ciebie zowią Olafem synem Auduna?

Olaf odwrócił się, zobaczył wysokiego, szczupłego i śniadego młodzieńca.

[30] *Dominica in albis* – pierwsza niedziela po Wielkanocy, Przewodnia.  
(Przyp. tłum.)

– Istotnie, tak mnie wołają. Czego chcesz ode mnie?

– Chciałbym bardzo zamienić z tobą kilka słów. – Młodzieniec nie pochodził z tej gminy, Olaf dostrzegł to po jego wymowie.

Olaf usunął się na bok, by dać przejście wychodzącym z kościoła, i zrobił kilka kroków w stronę krużganku. Poprzez wsparte na filarach łuki widział wschodzące słońce – padło właśnie na granatowe zbocza na południu, musnęło świetlistą smugą ciemną tafłę wodną między wyspą i łądem, rozbłysło nad brunatnymi, wolnymi od śniegu dolinami.

– Czego sobie życzysz? Nie przypominam sobie, abym cię kiedykolwiek widział.

– Nie, nie spotkaliśmy się do tej pory. Z imienia znasz mnie na pewno. Nazywam się Teit syn Halla; pochodzę z doliny Varmaa z Gida w Islandii.

Olafowi zabrakło nagle tchu. Teit... Chłopak był nędznie ubrany, lecz spod wytartej czapy futrzanej wyglądała piękna, szczupła Uwarz, przejrzyste, żółtawe oczy i błyszczące białe zęby w kształtnych ustach.

– Teraz może rozumiesz, po co cię odszukałem.

– Nie, nie mogę powiedzieć, bym rozumiał.

– Gdybyś wskazał miejsce, gdzie moglibyśmy pomówić w cztery oczy, byłoby najlepiej – odezwał się Teit.

Olaf nie odpowiedział, odwrócił się i poszedł naprzód krużgankiem okalającym kościół od północnej strony – Teit szedł za nim. Idąc uważał, by nikt ich nie dostrzegł. Dach krużganku zwisał nisko i dawał głęboki cień, tak że ludzie z zewnątrz nie mogli rozróżnić, kto przesuwa się za wąskimi łukami.

W miejscu, gdzie krużganeek stykał się z absydą, można było dostać się w kąt cmentarza. Olaf pierwszy przeszedł cmentarz i przez płot wskoczył do ogrodu. Tą drogą chodził zazwyczaj do kościoła, była bowiem najkrótsza.

W niewieściej izbie Olaf zasunął skobel u drzwi. Teit nie proszony



usiadł na ławie, Olaf stał i czekał.

– Domyślasz się chyba, że chcę z tobą pomówić o Ingunie córce Steinfinna – zaczął Teit z lekko zakłopotanym uśmiechem. – Żyliśmy z sobą w przyjaźni minionego lata, ale obecnie nie widziałem jej, ani nie słyszałem o niej już od jesieni. Teraz jednak krąży wieść, że Inguna spodziewa się dziecka i to wkrótce – z pewnością będzie to więc moje dziecko... Wiem, że należała do ciebie, zanim mnie się oddała, i dlatego sądziłem, że powinienem z tobą pomówić, co mamy zrobić.

– Nie wydajesz się bojaźliwy – przerwał mu Olaf.

– Nie, żaden człowiek nie jest obarczony wszystkimi przywarami, a od tej właśnie jestem wolny – chłopak uśmiechnął się.

Olaf milczał wyczekująco. Mimo woli rzucił okiem w stronę łoża: jego broń leżała i wisiała u wezgłowia.

– Już wtedy, jesienią – zaczął znów Teit – dałem jej do zrozumienia, że chętnie ożenię się z nią, gdyby się tak złożyło.

– Ożenisz się! – Olaf parsknął śmiechem. Kilka razy sapnęła przez nos zaciskając usta.

– No tak – mówił Teit spokojnie. – Widzi mi się, że nie byłoby to wcale tak nierówne małżeństwo. Inguna nie jest pierwszej młodości i imię jej było już kiedyś na ustach ludzi. O tobie przez dziesięć lat zaginął wszelki słuch i było prawdopodobne, że nigdy nie wrócisz. Ona wprawdzie mówiła tak, jakby w twój powrót wierzyła, i dlatego odpaliła mnie krótko, a ja wpadłem w złość z powodu jej kaprysów, co jest zresztą zupełnie zrozumiałe, i oświadczyłem, że pójdę, jeśli sobie tego życzy, ale wtedy nic jej nie pomoże, chociażby nawet później posyłała po mnie. Nie zrobiła tego. Ani słowa nie słyszałem od niej o tym, że popadła w biedę, i nie wiem, czy wróciłbym do niej. Nie rozstałem się z nią zbyt przyjaźnie... Gdy się jednak dowiedziałem, że ty wróciłeś i byłeś na Berg i żeś pięknie podziękował i poszedł swoją drogą widząc, jak sprawy stoją,

zał mi się jej zrobiło mimo wszystko. Opowiadają, że leży zamknięta w jednym z domów i dostaje tylko brudną wodę do picia i kaszę zmieszaną z popiołem, że ją bito, kopano i wleczono za włosy, i że to cud, iż jeszcze żyje.

Olaf słuchał ze ściągniętymi brwiami. Już chciał ostro odpowiedzieć, że to kłamstwo, ale opanował się. Niepodobna, by on omawiał tę sprawę z Teitem. A potem przeszła go myśl, jak bardzo wzrosną wszystkie trudności, gdy te plotki przedostaną się na zewnątrz – kto wie, wobec ilu ludzi ten chłystek chęłpił się swym ojcostwem.

Teit spytał:

– Czy to prawda, że jesteś serdecznym druhem bogatego Arnvida na Miklebö, w dolinie Elfar, jej krewniaka?

– A o co chodzi? – spytał krótko Olaf.

– Wszyscy mówią o nim, że jest dobry i uczynny, że jest przyjacielem każdego, kto potrzebuje pomocy. Pomyślałem więc, że byłoby może lepiej zwrócić się najpierw do niego, a nie do synów Steinfinna, czy do starego na Galtestad. Co ty o tym sądzisz? Gdybyś mi dał znak do twego przyjaciela albo zlecił napisać list do niego i opatrzył go swoją pieczęcią...

Olaf opadł na ławę:

– Zdaje mi się... Czy to naprawdę twój zamiar? Ja mam poprzeć twoje konkury?

– Tak jest – odrzekł Teit spokojnie. – Tak ci się to wydaje dziwne?

– Tak, wydaje mi się to dziwne. – Wybuchnął znowu śmiechem szorstkim i gniewnym. – O czymś podobnym nie słyszałem jeszcze nigdy.

– Ależ to rzecz zupełnie zwykła – mówił Teit – że człowiek w twoich warunkach wydaje za mąż nałożnicę, jeśli jej sam nie chce mieć więcej.

– Strzeż języka, Teit – ostrzegł groźnie Olaf. – Odważaj dobrze słowa, kiedy o niej mówisz!

Teit niby to bezmyślnie ujął krótki miecz wiszący u pasa, położył

go sobie na kolanach i trzymał jedną ręką za głowicę, drugą za koniec pochwy. Spojrzał na Olafa z uśmiechem:

– A, prawda. To tutaj, w tej izbie zwykłeś zabijać twych wrogów.

– To było w innej izbie, w gospodzie. A co do zabijania, potykaliśmy się w walce – umilkł nagle, zły, że dał się wciągnąć w rozmowę z tym człowiekiem.

– Zresztą sprawa wygląda tak – ciągnął Teit z tym samym uśmiechem – że teraz Inguna należy raczej do mnie niż do ciebie.

– Mylisz się, Teit! Inguna nigdy nie może należeć do ciebie. Inguna należy do nas i cokolwiek by uczyniła, nie wydamy jej nigdy z naszej wspólnoty!

– Mimo to dziecko, które dźwiga w łonie, należy do mnie.

– Jako człowiek uczony powinieś wiedzieć, Islandczyku, że dziecko kobiety niezamężnej należy do niej i prawa jego są przez nią określane, nawet w przypadku, jeśli to jest kobieta wolna, uwiedziona przez niewolnika.

– Nie jestem niewolnikiem – odparł butnie Teit: – Zarówno mój ojciec, jak matka pochodzą z pierwszych rodów na Islandii, chociaż byli ubogimi ludźmi. I nie obawiajcie się, że sam nie potrafię wyżywić Inguny, jeżeli tylko dacie jej odpowiedni posag.

Zaczął rozwodzić się nad swymi zamiarami na przyszłość; dojdzie na pewno do dobrobytu, jeśli poszuka miejsca, gdzie mógłby użytkować swą wiedzę i sztukę, wyuczy także Ingunę, by mu pomagała...

Olaf siedział i przypominał sobie introligatora, którego widział niegdyś, gdy był młodym chłopcem; biskup z Oslo posyłał owego mistrza do pana Torfinna, ilekroć ten pragnął dać do oprawy książkę. Olaf zaszedł z Asbjörnem do izby, gdzie pracowali. Żona pomagała mu, wierciła dziury w pergaminie, w całych stosach pergaminu, a od czasu do czasu trącała łokciem nieckę wiszącą obok na sznurze; dziecko krzyczało i

kwiliło nieustannie, bo smoczek wypadł mu co chwila z ust. Aż wreszcie Asbjörn poprosił kobietę, by odpoczęła i uspokoiła dziecko. „Żał mi jej” – rzekł potem.

Po skończonej robocie biskup posłał jej ciepły kaftan na zimę i nazwał ją dzielną kobietą. Olaf widział ich potem w dniu odjazdu: mistrz jechał na dobrym koniu, natomiast żona z niemowlęciem na rękach siedziała na krótkonogiej, dychawicznej szkapie, prócz tego z tyłu przytroczone były do kulbaki toboły podróżne.

Inguna wepchnięta w takie życie! Matko Święta – czegoś podobnego nie można sobie nawet wyobrazić. Inguna poza kręgiem, w którym urodziła się i wyrosła! Sama myśl była tak szalona i głupia, że Olaf nie pojmował wprost, jakim cudem chłopak przychodzący z tak innego świata mógł w ogóle zetknąć się z dziewczyną...

Siedział i przypatrywał się badawczo Teitowi, podczas gdy tamten mówił. Pomimo wszystko widział, że chłopak może się nawet podobać. Bez trwogi i bojaźni torował sobie drogę w świecie – tyle Olaf rozumiał. Pewnie nie mało trzeba, aby go zgnębić i zwarzyć jego wesołość; tak łatwo się uśmiechał i było mu z tym bardzo do twarzy. Tułacze życie pośród obcych, mężczyzn i kobiet o lekkich obyczajach, zahartowało go niezgorzej. Ale... Olaf sam błąkał się przecie dziewięć lat po świecie, został wciągnięty w niejedną rzecz, o której rad by zapomnieć na zawsze, skoro wróci wreszcie do domu i zamieszka w nim na stałe.

Ale że coś z tamtego świata wkroczyło między niego i Ingunę, dotknęło ją...

Dotknęło ją tak, że teraz w rozpaczy ostatecznej oczekuje godziny, która powali ją na kolana, na poniżenie i mękę rodzenia niczyjego dziecka. „Nikt” – powiedziała, kiedy pytał, kto jest ojcem. Przypomniał sobie, że sam powiedział: „Nikt”, kiedy chciała wiedzieć, kto dopomógł mu dostać się do jarla po ucieczce z Hövding. I przez te lata, kiedy szedł

za jarłem, zetknął się z wieloma mężczyznami i kobietami, o których wiedział, że będą dla niego „Nikim”, gdy osiadzie kiedyś na Hestviken. Poznał wielu włóczęgów, podobnych Teitowi, zawierał z nimi braterstwo broni i lubił ich. On był jednak mężczyzną, tylko mężczyzną. Jeżeli coś z tego świata skrzyżowało się z drogą jego żony, wówczas życie ich obojga było splamione na zawsze. Cześć kobiety była czią wszystkich mężów, którzy mieli obowiązek i prawo czuwać nad nią...

– No, co powiesz na to? – spytał Teit z lekką niecierpliwością. Olaf wzdrygnął się, nie słyszał ani słowa z tego, co Teit powiedział.

– Powiem, że musisz sobie wybić z głowy te głupstwa. I pamiętaj, abyś jak najprędzej opuścił Oplandię. Jedź do Nidaros – raczej dziś jeszcze aniżeli jutro. Czy nie wiesz, że Inguna ma dorosłych braci? w dniu, kiedy oni dowiedzą się o nieszczęściu siostry, zginiesz!

– O, to wcale nie takie pewne. Trudno, sam muszę się pochwalić: orężem władam dobrze. I jestem zdania, Olafie... Kiedyś przecież należała do ciebie, powinieneś więc coś uczynić dla niej i dopomóc, aby znów odzyskała cześć i mogła wyjść za mąż.

– Wydaje ci się, że uważałbym za poprawę jej doli, gdyby za ciebie wyszła za mąż? – zachnął się Olaf oburzony. – Zamknij gębę, powiadam, nie mam ochoty słuchać twego bredzenia.

Teit odpowiedział:

– Muszę w takim razie sam pojechać na Miklebö. Spróbuję pomówić z tym Arnvidem. Sądzę, że Inguna lepiej wyjdzie na tym, jeśli mnie poślubi, niż gdyby została u tych zamożnych krewnych, póki nie zadręcą na śmierć jej i naszego dziecka...

„Ależ to ja sam niegdyś powiedziałem – przemknęło Olafowi przez umęczoną głowę. – Zadręcą ją razem z dzieckiem na śmierć... Tylko wtedy nie oczekiwaliśmy dziecka.”

– Widziałem przecież sam, jak się jej powodziło u ludzi na Berg,

zanim jeszcze się to stało. Jestem pewien, że uważałaby za wygraną, gdyby dostała męża, który by ją wywiózł daleko od tych stron i od was wszystkich. To prawda, że za pierwszym razem, kiedy mi uległa, odwróciła się ode mnie, zachowała się jak złośliwy troll. Może zrobiła to ze strachu, choć z początku wydawało mi się niepojęte, bo aż do dnia, w którym się to wydarzyło, byliśmy dobrymi przyjaciółmi i godziliśmy się dobrze, a Inguna nie ukrywała bynajmniej, że mnie lubi tak samo jak ja ją.

Że go lubi – tak, lubiła go. Aż do tej chwili Olaf nie czuł zazdrości, która by wywoływała nienawiść do Teita – to tylko Inguna i jej nieszczyście poruszało go do głębi jestestwa. Przyczyna była ta, że i dla niego Teit był „Nikim”. Ona jednak lubiła tego włóczęgę i całe lato byli dobrymi przyjaciółmi. Tak, tak, na szatana, młokos był urodziwy, zdrowy i żywy. Lubiała go aż tak, że pozwoliła na to, by ją wziął – a potem nastraszyła się... Ale oddała się dobrowolnie temu czarnemu, kędzierzawemu Islandczykowi.

– Nie chcesz zatem dać mi jakiegoś znaku lub listu do Miklebõ? – zapytał Teit.

– Aż dziw, że nie prosisz mnie, bym ci sam towarzyszył i wstawił się za tobą – odparł drwiąco Olaf.

– Ach, nie, myślałem, że to znaczyłoby żądać za wiele – odrzekł tamten szczerze. – Sądziłem, że jeśli masz zamiar wybrać się tam i tak, moglibyśmy pojechać razem.

Olaf siedział i zaśmiał się urywanym, szczekliwym śmiechem. Teit wstał, pożegnał go i wyszedł.

Wkrótce potem Olaf wstał jakby zbudzony ze snu. Podeszedł do drzwi i w tej chwili zauważył, że wziął z sobą małą siekierkę – toporek ciesielski leżący na ławie w zasięgu jego ręki, pośród noży, żelaznych ryglów i tym

podobnych przedmiotów. Olaf bowiem robił kilka stołków do kościoła; przeor napomknął, że ich potrzebuje i Olaf obiecał je sporządzić.

Poszedł przez dziedziniec klasztorny do furty. Stał tam odźwierny, braciszek świecki. Olaf zatrzymał się przy nim.

– Czy wiesz coś o tym młodzieńcu, który tam pędzi? – zapytał. Teit biegł właśnie przez wzgórze w stronę katedry; innych ludzi nie było na drodze.

– Czy to przypadkiem nie ów Islandczyk, co to zeszłego roku był pisarzem u kantora Torgarda? Ależ oczywiście, to ten sam.

– Wiesz coś o nim? – zapytał Olaf powtórnie.

Brat Andrzej znany był z surowego trybu życia, lecz jego czystość była tego rodzaju, że porównano ją niegdyś do lampki bez oliwy: nie miał pobłażania dla innych, biednych grzeszników. Na poczekaniu uraczył Olafa wszystkimi *capituli*, dotyczącymi Teita, jakie tylko znane były w biskupim grodzie Hamarze.

Olaf rzucił okiem w górę, gdzie chłopak zniknął właśnie za kościelnym murem.

Zbyt wielkiej szkody świat nie poniesie chyba, jeśli ten człowiek zniknie na zawsze.

○ ○ ○

Następnego dnia niebo było błękitne, wokół nagich, brunatnych wierzchołków drzew powietrze drgało od ciepła i oparów. Kiedy Olaf przed południem wyszedł na dziedziniec, stał tam kucharz, tęgi brat Helge, i przyglądał się świniom, walczącym o ciśnięte im odpadki ryb.

– Co się z tobą dziś dzieje, Olafie? – zapytał. – Nie byłeś na mszy.

Olaf odpowiedział, że zasnął dopiero nad ranem i zasnął.

– Przeszedłem zapytać, czy możesz wystarać mi się o parę nart, bracie Helge? Arnvid prosił mnie, bym po Wielkanocy przyjechał na Miklebö; dziś zamierzam wyruszyć.

– Czy nie lepiej, abys pojechał konno? – zauważył braciszek. Olaf odrzekł, że przy obecnym stanie dróg dużo szybciej zdąży przez góry po śladach nart.

Kiedy brat Helge wszedł do niewieściej izby niosąc wszystkie narty klasztorne, a na ramieniu plecak z zapasami żywności, Olaf golił się właśnie. Zaciął się nad kością policzkową i krwawił tak silnie, że koszula i szyja zbroczone były krwią, ręka była także powalana. Brat Helge nie mógł również zatamować krwi i dziwił się, że tak małe draśnięcie może aż tak silnie krwawić. W końcu wybiegł spieszenie i po chwili wrócił z czarką mąki owsianej; całą jej garść przyłożył do krwawiącej rany. Mdła woń mąki i chłód na twarzy obudziły w Olafie nagły poryw żądzdy i tęsknoty za pieśzcotami kobiety powabnej i wdzięcznej, bez grzechu i winy. Teraz został tego na zawsze pozbawiony.

Mnich dostrzegł, że jasne oczy Olafa zasnęła mgła. Odezwał się z lękiem:

– Powinieneś, Olafie, poniechać tej podróży. W każdym razie rozpytaj się wpierrw po mieście, czy nikt inny nie wybiera się w tamte strony. Dziwne, jak to maleńkie cięcie mocno krwawi, popatrz na ręce, są całe zbroczone.

Olaf roześmiał się tylko. Wyszedł na dwór, obmył się w kadzi z wodą, podstawionej pod rynną, po czym wybrał parę nart.

Stał w izbie gotów do drogi i rozmawiał z bratem Helge o swoim wierzchowcu i rzeczach, które pozostawiał, gdy wtem zadźwięczała głośno stal. Obydwaj rozejrzeli się – mimowolnie rzucili okiem w stronę łoża. Attarfylgia wisiała u wezłowania i obaj mieli wrażenie, że hušta się lekko na haku.



– To twój topór zaśpiewał – przemówił cicho mnich. – Olafie, nie jedź!

Olaf znów się roześmiał.

– Sądzisz, że to drugie ostrzeżenie? Może poddam się przy trzecim, Helge.

Zaledwie wypowiedział te słowa, ptak jakiś sfrunął przez drzwi i zaczął trzepotać i uderzać o ściany – nie do wiary, ile hałasu sprawiały małe skrzydełka. Rumiany zwykle kucharz spojrzął pobladły w stronę tamtego – blade wargi Olafa wydały się sine. Znów potrząsnął głową i wybuchnął śmiechem. Złapał ptaka do czapki, poniosł go do drzwi i wypuścił na dwór.

– O tej porze roku każdego rana te sikorki wdrapują się po belkowaniu, hałasują, dziobią i stukają w poszukiwaniu much. Wystarczy ci naprawdę byle co, drogi bracie, jeśli uważasz za zły znak, że sikorki wlatują do izby.

Wziął mały toporek i wetknął go za pas.

– Jak to, nie bierzesz nawet Attarfylgii? – spytał brat Helge.

– Nie, przeszkadzałyby tylko w drodze. – Olaf poprosił braciszka, aby wziął w przechowanie jego berdysz oraz miecz. Ujął kij narciarski, opatrzony na czubku małym ostrzem włóczni, pożegnał brata Helge i odszedł.

W południe dotarł do stóp góry Furu. Blask słońca zbladł, powietrze stało się chłodne, wiał lekki wiatr. Zapowiadał się śnieg. Olaf zatrzymał się z nartami na ramieniu, spojrzął za siebie.

W gasnącym świetle słonecznym doliny wydawały się czarne i wyblakłe, tylko tu i ówdzie widać było jeszcze śnieżne plamy. Zwiędłe dachy darniowe, ciemne dachy gontowe i nagie korony drzew cisnęły się wokół jasnych murów kościoła Zbawiciela i ciężkiej, krytej ołowiem

wieźcy na tle sinej niespokojnej wody. Olaf przeklinał w duchu ucisk, jaki mu ciążył na piersiach; zresztą byłoby doprawdy lepiej, gdyby śnieg nie spadł teraz, kiedy musi przedzierać się przez lasy. Jeden jedyny raz odbył tę drogę, w dodatku w towarzystwie Arnvida, a wtedy jechali szybko; Arnvid górował w jeździe na nartach nad wszystkimi mężczyznami, których Olaf znał.

Przypadkiem wiedział, w której chatynce na skraju lasu mieszka Islandczyk. W czasie pobytu Olafa na dworze biskupim popełniono morderstwo: pewien człowiek i jego dwoje nieletnich dzieci, syn i córka, zamordowali i ograbili starego, zamożnego wędrowca. Odtąd nikt tam nie chciał mieszkać, ale ów Teit był nędzarzem.

Olaf wmawiał sam sobie, że nie ma żadnego planu – stanie się tak, jak jest przeznaczone. Teit wybrał się może już wczoraj na północ albo może rozmyślił się i poniechał swego zamiaru. W tej samej jednak chwili zrozumiał, że w takim razie musi go nakłonić do tego. Nie można pozwolić, by ten człowiek pętał się po okolicy! Trzeba go zmusić, by wyjechał do Nidaros – lub do Islandii...

Ujął klamkę, drzwi ustąpiły. Dymnik zasłonięty był zasuwą, wewnątrz panował mrok; w małej izbie przesyconej wilgotnym wyziewem pleśni, ziemi i brudu zimno było, ponuro i pusto. Teit zerwał się z łoża, zupełnie ubrany; wydawał się rześki i dobrej myśli. Poznawszy przybysza, uśmiechnął się przelotnie:

– Musisz usiąść na ławie, nie mogę ofiarować ci lepszego siedzenia, bo jak widzisz, nawet zydlu nie ma w tej chałupie.

Olaf usiadł. O ile mógł dostrzec, w izbie nie było sprzętów, tylko polana wałały się po podłodze. Teit dołożył kilka na palenisko, rozdmuchał żar i otworzył dymnik.

– Ze zrozumiałych względów nie mogę ci również ofiarować trunku na powitanie. Ty też nie poczęstowałeś mnie wczoraj, więc...

– Oczekiwałaś tego może? – Olaf parsknął śmiechem. Tamten roześmiał się również. I znów Olaf poczuł, że jest w tym chłopcu jakiś szczególny wdzięk – może zuchwały, ale szczery, nie przygaszony biedą i samotnością.

– Zmieniłem zamiar, Teit – odezwał się Olaf. – Jestem właśnie w drodze do Miklebö. I jeśli nadal jesteś zdania, że mogłoby ci pomóc, gdybyś pomógł z Arnvidem, możesz mi towarzyszyć.

– Chętnie, ale po prawdzie nie mam tu teraz konia. A może zechcesz pozyczyć mi jakiego? – Teit zaśmiał się, jak gdyby udał mu się dobry dowcip. – Jadę przez góry na nartach – oświadczył krótko Olaf.

– Ach, tak. No, w takim razie ja też mam jakiś pojazd. W szopie na podwórzku widziałem parę nart – Teit wybiegł i po chwili wrócił z nartami. Jedna deska miała spore pęknięcie na końcu, u drugiej niemal zupełnie wytarta była foka. Teit przypiął pas wraz z mieczem i zarzucił okrycie na plecy.

– A więc jestem gotów, jeśli chcesz ruszyć w drogę.

– Musisz zabrać także żywność.

– Nie, podobnego obciążenia mam zamiar sobie oszczędzić z wiadomych względów.

Olafowi zrobiło się dziwnie przykro. Czy miał dzielić swoje zapasy z człowiekiem, wobec którego może złamie pokój? A zresztą już teraz coś chciało go zmusić do poczęstowania młodzieńca: Teit pewnie nieczęsto jadł w ostatnich czasach. Ale poczeka z tym, aż wyjadą na wyżynę...

– Rozważ mimo to dobrze, Islandczyku – przemówił z groźbą w głosie. – Czy nie sądzisz, że to niebezpieczne dla ciebie jechać ze mną przez lasy? – Zdawało mu się, że po tym ostrzeżeniu ulżył już nieco swemu sumieniu; to, co powiedział, brzmiało niemal jak wyzwanie. Kto wie, co nastąpi teraz – ale na wszelki wypadek...

Teit uśmiechnął się chłodno, dotknął miecza.

– Jestem, zdaje się, lepiej uzbrojony od ciebie. Sądzę, że mogę się odważyć, Olafie. A zresztą, taki potężny pan jak ty nie puszcza sokoła na byle muchę.

Wychodząc z chaty, Olaf obejrzał się; na palenisku płonął wesoły ogień.

– Jak to, nie zagasisz wprzód ognia?

– Nie, po co? Nie będzie wielkiej straty, choćby nawet ta chata spłonęła.

Po wyjściu na dwór Olaf spostrzegł, że powietrze zamgliło się zupełnie. Mógł patrzeć prosto w słońce, było zasnutę mlecznym Welonem.

Na wyżynie zaczął się dobry tor. Olaf trzymał się cienistych zboczy pasma leżącego między Ridabu i Fauskar. O ile sobie przypominał, musiał jechać prosto ku północy, a potem skręcić nieco na północny wschód; wówczas pod wieczór przybędą na połoniny należące do dworów w dolinie Glaama, a tam znajdą nocleg. O tej porze roku dzień jest długi...

Śnieg był tu w górze głęboki na trzy, cztery łokcie. Wprawdzie stają trochę po ostatnich ciepłych tygodniach, lecz po przymrozku, który znów chwycił, narty sunęły lekko. Olaf musiał ciągle zatrzymywać się i czekać na Teita, który co chwila upadał i z trudem wygrzebywał się z głębokiego śniegu. Przewracał się także na zboczu przy podchodzeniu i na dole przy zjeździe.

– Zadaje się, że musimy zamienić narty – powiedział Olaf. Foka na nartcie Teita była tak postrzępiona, że Olaf zerwał ją całkowicie. Lecz i potem nie szło Teitowi lepiej; co chwila leżał na ziemi. Parę razy zgubił nawet narty, szedł zapadając się po pas w śniegu; siedząc i usiłując się podnieść śmiał się ze swej niezręczności.

– Czy nie jesteś przyzwyczajony do jazdy na nartach? – zapytał Olaf.

Musiał zjechać daleko w dół, aż na piarg, po narzę Islandczyka.

– Nie bardzo. – Twarz Teita płonęła z wysiłku, a przy upadku pokaleczył twarz i ręce; mimo to śmiał się beztrzesko. – w domu, na Islandii, nie miałem nigdy nart. A tutaj, w Norwegii, próbowałem jeździć w ten sposób dopiero dwa czy trzy razy.

– W takim razie ciężko ci będzie odbyć daleką drogę na Miklebö.

– O, jakoś podołam, nie obawiaj się.

„Dalibóg, ten chłopak nie rozumie nawet, jaka to męka dla mnie uganiać się tam i z powrotem po własnych śladach niczym pies, by zbierać jego narty i jego samego” – myślał w duchu Olaf. Głośno powiedział, że teraz odpoczna i posilą się. Teit zgodził się natychmiast. Olaf ułamał nieco gałązek świerkowych i położył je na śniegu.

Siedział i patrzył w inną stronę, podczas gdy Teit zajaadał.

– Tak, tak, nie cierpi głodu ten, kogo zaopatruje kuchnia klasztorna – odezwał się Teit.

Tymczasem poszarzało zupełnie. Z miejsca, gdzie siedzieli, wysoko w górze widać było tylko lasy i szczyty, jeden za drugim, granatowe pod brzeziennym niebem. W dolinie wprost pod nimi rozpościerał się czarny las, okalający niewielką białą płaszczynę – wodę czy bagnisko.

Dokoła nich zaczęły teraz ptaki świergotać i wywodzić swe wiosenne trele, nieco stłumione i niepewne wobec nadciągającej śnieżycy, a chwilami szepty jakies i westchnienia szły lasem, wędrowały od wzgórza do wzgórza. Na północy kurniawa omiała już góry, skryła potężne szaroniebieskie skały i lesiste skłony, zbliżała się szybko.

– No, Teit, musimy ruszać.

Olaf pomógł Islandczykowi przypiąć narty. Na domiar złego Teitowi, który ciągle upadał, przeszkadzał miecz. Olaf nie mógł się powstrzymać i powiedział:

– Miecz i narty nie pasują do siebie.

– To jedyna broń, jaką posiadam – Teit wyciągnął miecz z pochwy i podał go Olafowi z lekką dumą. Była to dobra broń o prostej głowicy i ostrym brzeszczocie.

– Odziedziczyłem go po moim ojcu, to wszystko, co mam po nim. Nie wypuszczam też tego miecza nigdy z rąk.

– Twój ojciec nie żyje?

– Umarł trzy lata temu. Wtedy to zaświtała mi myśl, aby poszukać szczęścia w Norwegii. Najpierw udałem się do matki, na Fljotshverv... Kiedy miałem siedem lat, porzuciła ojca i mnie i nie widziałem jej potem dziesięć lat. Spotkała kogoś, kogo chciała poślubić, i wtedy obudziło się w niej sumienie, że tyle czasu była nałożnicą księdza. Matka pragnęła jednak, bym jak najprędzej się wyniósł, nieurodzaj panował tego roku w tej części kraju, a w jej izbie roiło się od dzieci. Nigdy nie mogłem dociec, które z dzieci należą do matki, a które pochodzą od innych kobiet...

– Teit, musimy zjeżdżać – Olaf pochylił się, zaczął ślizgać się w dół.

Sunął zakosami po pełnym bezdrożu, często musiał schylać się, by prześliznąć się pod drzewami. Słońce rozmiękczyło tu śnieg i narty ryły w nim głęboką brudę. Tamten musi sobie sam dać radę, jak umie...

W dole, na jeziorze, Olaf przystanął, czekał i nasłuchiwał. Silny powiew wiatru przebiegł z boczem, zatrzeszczało i zachrząściło w borze. Wreszcie zgrzytnęły narty na szreni.

Zadziwiająco dobrze zjechał Teit nad jezioro. Był ośnieżony od stóp do głów, od licznych upadków, ale szczyrzył białe zęby w rozognionej i podrapanej twarzy.

– Wkrótce będę jeździł jak urodzony Norweg! – I pokazał, co zrobił z przeszkadzającym mu okryciem; postrzępiło się ono podczas jazdy przez las. Teit wetknął zatem po prostu ramiona w dwie dziury płaszcza i przewiązał go w pasie. W ten sposób okrycie nie hamowało ruchów.

– Bardzo zmęczony? – zapytał Olaf.

– Ech, nie. – Chwycił się za kark, poruszył lekko głową. Tylko tutaj, nad kręgiem szyjnym, czuł drętwotę i ucisk, miał uczucie, że sam czort dotknął go w tym miejscu.

Olaf również czuł w szyi pewną sztywność – tego roku po raz pierwszy jechał na nartach. Wyobrażał sobie więc doskonale, jak bardzo musi to boleć Teita. I nagle przyszła mu na myśl jazda z Inguną łodzią do Hamaru: był wówczas jeszcze chłopięciem i radził sobie jakoś z wiosłami, ale ból w karku dokuczał mu nieznośnie. Zaciskał zęby i wiosłował, aż woda bryzgała, ale nie chciał odpocząć, nie chciał przyznać się, jak bardzo jest zmęczony i strwożony – może nigdy nie dojadą?

Spojrzał na Teita i zacisnął zęby: musi zdusić uczucie, które w nim wzbierało. Chce myśleć o niej, o tym, jak jej się teraz powodzi. Chce myśleć o nienawiści i wstręcie, jaki go przepełnił, gdy dowiedział się o jej hańbie, o rozspanych w proch nadziejach... „I tak mamy żyć w cieniu tego cierpienia i tej hańby już zawsze, zawsze... A tutaj chodzi sobie ten nicpoń, który spowodował nieszczęścia ich dwojga – i nic nie rozumie z tego wszystkiego.”

Sunęli obok siebie przez gładką płaszczyznę lodową i Teit gadał bez ustanku, prychając, dysząc i sapiąc. Rozpytywał Olafa o ślady zwierząt, jakie widzieli, stare ślady, lśniące na lodzie, oraz świeże tropy łośi, które tędy szły niedawno; przechwalał się też swym nowo zdobytym kunsztem narciarskim. Szukał opieki Olafa, zupełnie jak wyrostek udaje się pod opiekę ojca. I Olaf sam czuł, że ponad wszystkim innym góruje w nim osobliwe współczucie dla tej dziecięcej naiwności. Nie! To było naprawdę zupełnie nedorzeczne!

Kiedy wjechali w las po drugiej stronie jeziora, zaczęły spadać pierwsze drobne, sypkie płatki śniegu. Światło dnia zgasło zupełnie. Nie uszli jeszcze daleko pod górę, a już objęła ich gęsta zamieć. Olaf kroczył na przedzie, przystawał i czekał na Teita, który zostawał w tyle, po czym

szedł naprzód. Teraz nie tylko tęsknił bezustannie za tym, aby zakończyć wreszcie tę jazdę, znaleźć się pod dachem, ale zarazem truchlał na myśl: co wówczas? Z wyżyny, gdzie przedtem odpoczywali, dostrzegł, że za grzbietem, którym szli, wznosi się jeszcze wyższy grzbiet, a całkiem wysoko w górze na nim dojrzał kilka białych plam niby domy. Mogły to być domy karczowników, może jeszcze tej nocy spotkają ludzi... Mogły to być również pastwiska, co było najprawdopodobniejsze. W takim razie musi się stać to, co jest przeznaczone.

Wyżej w górze uderzyła w nich wichura. Śnieg wirował zrazu wielkimi białymi płatami, teraz jednak, twardy i grudziasty, smagał ich prosto w twarze.

Cichy szelest śniegu zdawał się napęłniać cały bór niskim, ostrym tonem, przenikającym wycie i huk wichru w koronach drzew. Zawieja dawała się coraz bardziej we znaki, bo i zmierzch zapadał szybko.

Dawno zniknęły ślady nart; leżało tu sporo świeżego śniegu, a w miejscach, gdzie nawiane były zaspasy, narty zapadały się głęboko.

I znów Olaf musiał się zatrzymać, poczekać na Islandczyka. Teit podjechał wreszcie dysząc, jakby pierś miała mu się rozerwać. Bez tchu, ale wciąż w dobrym humorze, zagadał wesoło:

– Zaczekaj trochę, towarzyszu; teraz ja pójde przodem i będę torował drogę.

Olaf czuł, że wola jego słabnie i załamuje się pod wpływem tego, co wezbrało w nim i co musiał pokonać i zdusić, zanim zdoła zrobić coś złego temu chłopcu. Rzucił się naprzód i zaczął sunąć co sił. Od czasu do czasu przystawał i nasłuchiwał, czy tamten podąża za nim, ale nigdy nie czekał, aż Teit go dogoni.

Kiedy dojechali do chat, ciemność nastąpiła zupełna. Było to jakieś



małe pastwisko; poprzez zadymkę i zmierzch rozpoznał Olaf kilka ciemnych plam, parę z nich mogło być wielkimi głazami, inne jednak były szałasami.

Weszli do mroźnego wnętrza jednego z nich. Olaf zrzucił natychmiast worek, wydobył krzesiwo i usiłował rozniecić ogień. Przyklęknął przed paleniskiem, dmuchał w nikły płomień, który błyskał wśród wilgotnych gałęzi, słyszał zadowolone krzyki Teita, który kręcił się i rozglądał po maleńkim szałasie. Na pryczach leżała garść siana i parę worów pod głowę. Teit wlaź w czarny otwór w tylnej ścianie szałasu, był tam rodzaj wnęki z torfu i kamieni. – Leżą tu podpłomyki – oznajmił głośno – stoi również kadź z żętycą. – Pol chwili ukazał się w otworze z czerpaczką w rękę i podał Olafowi na pół zmarznięty napój.

– Pewnie, Teit, jesteśmy przecież w kraju chrześcijańskim; ludzie opuszczając hale zostawiają tu żywność na wypadek, gdyby ktoś idący przez las jej potrzebował.

Posilając się, wyciągnął się Teit na pryczy i leżał z podciągniętymi kolanami, z głową nisko opuszczoną z powodu dymu; nie mogli zrobić przeciągu, bo w szałasie było tak ciasno, że płomień przerzuciłby się na pewno na barłóg albo na chrust, walający się wszędzie po podłodze. Olaf usiadł na drugiej ławie, mimo że dym i czad dusił go i gryzł w oczy. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach siedział i spod opuszczonych powiek wpatrywał się w żar; niemy jak głaz słuchał gadania młodzieńca. Duby smalone plótł Teit – ani pogoda, ani droga niewarte były, by o nich mówić. Gdyby nie musiał trudzić się przez towarzysza, który stał na nartach jak nowo narodzone ciele, przybyłby tutaj dwa razy prędzej. Ten błazen gadał tak, jakby teraz łączyło ich braterstwo w najcięższych przygodach i niebezpieczeństwie.

– Możeś zmęczony? – zapytał Teit, spostrzegłszy nagle, że Olaf ani słowem nie przerywa potoku jego wymowy. Przesunął się na barłogu: – A

może ty chcesz położyć się od ściany?

„Przenigdy! – pomyślał Olaf. – Dzielić przez noc posłanie z tym drabem – nie. Wszystko musi mieć granice.”

– Nie, nie jestem zmęczony.

Usiłował skupić myśli, bo przez cały czas jak gdyby mu się wymykały. Inguna i on są przecie poślubieni – to powinien w każdej chwili mieć wyraźnie przed oczyma. A więc Teit musi ustąpić z drogi, zgubił jednak ją przez głupotę; bredził teraz coś o naprawieniu nieszczęścia, ale tego ów głupiec nie dokona nigdy, on sam musi to uczynić. Jedyna rzecz, jaka jest do zrobienia, to ukryć hańbę. Niechaj ludzie sądzą, co chcą, byleby tylko zrozumieli, gdzie on stoi i gdzie muszą stanąć jej krewni wraz z nim... Uzna dziecko za swoje i będzie bronił swego oświadczenia przed każdym, kto ośmieli się głośno o nim powątpiewać.

– Kiedy doszły cię te słuchy – zagadnął nagle – że ona... popadła w trudności? Ta pogłoska musiała chyba dopiero niedawno się rozejść.

Teit odpowiedział: tak jest, usłyszał o tym niedawno. Jego znajomi w mieście mają córkę, która wyszła za mąż za chłopca z niewielkiej zagrody należącej do Berg. I rodzice, i córka widzieli Ingunę kręcącą się wieczorem przed dworem, a noce są widne. Teit rozwodził się szeroko nad ich opowiadaniem.

Olaf słuchał ze zmarszczonymi ponuro brwiami. Krew zaczęła mu szumieć w uszach. Tak jest lepiej. Niech ten chłopak gada tylko dalej. Teraz szybko otrząśnie z siebie ową niemęską dobroduszną, która go już niemal całkiem rozbroiła...

– No, a ty? – zapytał Olaf. Usta wykrzywił mu grymas śmiechu. – Czyś się przemógł, by milczeć wobec nich, że to ty ponosisz winę?

– Powiedziałem coś podobnego.

– A z innymi także o tym mówiłeś?

Jeśli da się tak urządzić, aby ta plotka rozeszła się tylko między

chałupnikami i ich babami, to jeszcze pół biedy. Wówczas pośród równych sobie można będzie chodzić z podniesioną głową, patrzeć im otwarcie i hardo w oczy i udawać, że nie przeczuwa się nawet, o czym ludzie bąkają za plecami – plotki doniesione przez dziewczki gospodyniom.

Teit odrzekł, nieco zakłopotany:

– Byłem na nią tak serdecznie zły... Z początku, gdy się dowiedziałem, że stąpa ociężała, życzyłem jej tego. Czort wie, że poprzedniego lata była gibka i zwinna niczym kotka, co się łąsi i ociera, a zmyka, kiedy chcesz ją wziąć na kolana. W końcu jednak, kiedy udało mi się ją obłąpić...

Olaf nie słuchał już dokładnie słów tamtego. Krew tętniła i huczała mu w głowie. Dość tego. Wróciła mu wola zemsty – a droga to będzie zemsta, bo tego, co tu usłyszał, nie zapomni tak łatwo...

– Lecz zaraz następnego nocy rozmyśliła się, zatrzasnęła drzwi. A kiedy przyszedł do niej i mówił o ożenku, przepędziła mnie jak psa.

– Sądzę, Teit, że powinieneś porzucić myśl o tym ożenku! Ostrzeżony brzmieniem głosu spojrział Teit na towarzysza. Olaf podniósł się i stał z toporem w ręku. Prędko jak błyskawica chwycił chłopak miecz i zrywając się z barłogu wyciągnął go z pochwy. Uczucie dzikiego szczęścia owładnęło Olafem, gdy ujrzał, że Teit domyślił się wreszcie, o co chodzi – jego chłopięca twarz ściemniała z wściekłości. Zrozumiał, że drwiono z niego, i odparł na bezsłowne wyzwanie Olafa gniewnym okrzykiem bojowego animuszu.

Nie czekał, co Olaf uczyni; natarł na niego natychmiast. Olaf stał i tylko trzykrotnie ostrzem siekiery odparował ciosy młodzieńca. Teit był żwawy i giętki – Olaf widział to – ale nie miał siły w ręku. Kiedy wywinął mieczem po raz czwarty, Olaf uskoczył z nienacka w prawo, tak że miecz drasnął go w lewe ramię; ale Islandczyk stał przez mgnienie oka zmieszany. Topór Olafa ugodził go w kark i miecz wypadł mu z dłoni. Schylił się, by go podjąć drugą ręką, ale w tejże chwili Olaf rąbnął go w

czaszkę. Młodzieniec runął natychmiast na ziemię.

Olaf odczekał, aż ucichną ostatnie drgawki ciała i jeszcze chwilę dłużej. Potem odwrócił go na plecy. Nieco krwi przeciekło przez włosy, skośną smugą sączyła się po czole. Ujął trupa pod pachy i zawłókł go do wnęki.

Wyszedł przed drzwi szałasu. Noc i smagana wichurą śnieżyca, i szum, i wycie wiatru w borze... Musi tu poczekać, póki się nie rozwidni. Położył się na ławie.

Niejednego męża, który był wart więcej od tego tu, powaliła jego ręka...

Olaf dołożył drew na palenisko. Musi otrząsnąć z siebie tę niewczesną skruchę. Teit był sam temu winien. Biskup Torfinn powiedział kiedyś: gwałciciel zabity przez krewnych dziewczyny, musi być uważany niemal za samobójcę, sam bowiem prosi o śmierć. Teit sam ściągnął na siebie zabójstwo. Jest zupełnym bezsenssem, aby on, Olaf, odczuwał to zabójstwo jako coś gorszego, aniżeli zgładzenie przeciwnika w pojedynku. Teit padł z bronią w rękę, jego miecz leży tam pomiędzy ławą i łóżem...

Nigdy nie mogliśmy zapewnić Ingunie pewnego i bezpiecznego miejsca, dopóki ten nędzny głupiec uganiałby po kraju i rozpowiadał na wszystkie strony o swym nieczym czynie, którego nie potrafił należycie ocenić.

Olaf marzył, zęby mu szczękały, mimo że ogień grzał go z przodu. Łosiowy kubrak przyłgnął mu do pleców, sztywny i lodowaty, trzewiki były na wskroś przemoczone. I czuł ranę na lewym ramieniu; zapomniał o niej, ale teraz znów piekła.

Dorzucił na ogień sporą wiązkę chrustu. A niechaj spłonie cała chata!

Nie, on musi zachować życie dla Inguny. Dość długo czekała na swego męża. Nie wolno mu zginąć, kiedy go najbardziej potrzebuje.

– ...Nie, Teit, ty musisz ustąpić, bo ja nie ustąpię... – Z trudem wyrzucił te słowa, tamten zwałił mu się całym ciężarem na piersi i Olaf

nie mógł się uwolnić. Teit szczyrzył wszystkie białe zęby, uśmiechał się wciąż dobrodusznie mimo rozłupanej czaszki. – Nie pojmujesz, biedny głupcze, ta kobieta należy do mnie, musisz ustąpić, precz stąd!

Własny ochryply krzyk zbudził Olafa i momentalnie zmora znikła. W szalacie było prawie całkiem ciemno, na palenisku tlił się nikły żar. Przez ścianę przenikał wiatr i śnieg, kubrak z łosiowej skóry zamienił się w lodowaty pancerz.

Olaf podniósł się i poszedł do wnęki, po omacku szukając drogi. Zmarły leżał na swym miejscu, sztywny, cichy i zlodowaciały. Olaf śnił tylko – widocznie przespał kilka godzin. Znowu dołożył dREW do ognia. Chciał usiąść w ten sposób, by ogrzać plecy. Nie potrafił przemóc się, by usiąść tyłem do ciemnego otworu; nie chciał również siedzieć tak, aby wpatrywać się w otwór wnęki. Nie pozostało więc nic innego, jak położyć się z powrotem na ławie. Podsunął wory z sianem pod plecy i naciągnął skórę na siebie.

Od czasu do czasu senność ogarniała go niby mglisty całun. A ilekroć wskutek tego myśli mu się mąciły, budził go głuchy, dojmujący ból we wnętrzu – pulsowanie w ranie było tylko echem czegoś gorszego w sercu.

Tak więc trzeźwiał i leżał bezsenne, a myśli jego krążyły wciąż w koło.

Islandczyk sam zgotował sobie śmiertelne posłanie. Niejednemu bardziej wartościowemu mężowi zadał Olaf śmierć w walce i nie brał sobie tego nigdy do serca. Żałować Inguny – to miało sens, ale tego chłopca – nie! Jeśli nie ma nikogo ani tutaj, ani w jego ojczyźnie, kto by smucił się po młodzieńcu, nie ma również niewinnego, który by żałował, że winny poniósł karę. Lata spędzone najpierw u wuja, potem w drużynie jarla powinny były chyba zahartować go. To słabość, nic więcej... Teit sam zgotował sobie śmiertelne łoże... I tak w koło.

Wzdrygnął się... nie, śniło mu się tylko, że Teit stoi w drzwiach wnęki

i podaje mu czerpaczkę. Leżał z pewnością tam, gdzie powinien leżeć. O nie, Teit, ciebie się nie boję! Jeśli się boję, to i tak nie miałeś dosyć rozumu, aby zrozumieć, czego. Mała, biedna moja Inguno, ty się nie bój – już ja... Znów się ocknął.

Potem przyszło mu na myśl, że czeka go nowe brzemię; musi rozważyć, co ma zrobić. Zgłosić zabójstwo w pierwszym dworze, jaki spotka po drodze, w gminie? I uwikłać się w nową sprawę, zanim jeszcze pozbył się starej? I wiedzieć, że gadanie ludzkie pobiegnie za nim trop. A cóż to za porachunki miał człowiek taki jak Olaf z islandzkim włóczęgą? Aha, chodziło pewnie o Ingunę córkę Steinfina... Nie, to niemożliwe.

W takim razie zachodzi pytanie, w jaki sposób pozbyć się trupa?

Tyłu zacniejszych mężów widział zrzucanych z pokładu w morze rybom ha pożarcie. Wielu dobrych synów kmiących w Danii padało łupem wilków i orłów. Lecz to było sprawą jarla, nie jego: on, Olaf nigdy nie ponosił winy za to, że po napadzie jarla zmarłych pozostawiano bez chrześcijańskiego pochówku. A ponieważ jeszcze wciąż był tak słaby, że gnębiło go zabicie człowieka takiego jak Teit, uwodziciela własnej żony, z trudem mógł wziąć na siebie to drugie, co było prawdziwym grzechem. Od tego grzechu nie potrafi się nigdy uwolnić.

Jeżeli jednak wyjaśni, że Teit padł z jego ręki, wówczas może nie mieć nawet złudzeń, że cześć Inguny będzie uratowana.

W końcu zasnął jednak i spał długo i bez widzeń. Kiedy otworzył oczy, słońce świeciło przez szpary w ścianie szałas. Ogień na palenisku wygasł zupełnie. Ani śladu wichury. Panowała cisza, tylko gdzieś w dali rozlegał się głos cietrzewia i spóźniony poranny gwizd ptaków.

Wstał, przeciągnął się, roztarł zgrabiące kończyny. Ramię było sztywne i trochę bolesne. Podeszedł do drzwi i wyjrzał. W bieli był cały świat – a wysoko na błękitnym, bezchmurnym stropie nieba słońce. Mgły

opadły, słały się w dole niby mleczne morze, ozłocone słońcem; ponad nim sterczały szczyty lesistych gór i skalne turnie, pokryte świeżo spadłym śniegiem. W białym, śnieżnym kobiercu migotały iskierki czerwone i błękitne, zające i ptaki pozostawiły na nim ślady łapek, w borach dookoła tokowały i nawoływały się cietrzewie.

W tym dalekim, bezkresnym, białym świecie głuchych, ośnieżonych borów, stał oto on, jedyny człowiek w tym pustkowiu i nie wiedział, gdzie ukryć ciało zabitego. Odkopać śnieg, zagrzebać je pod nim – nie! Musi to zrobić tak, by zwierzęta nie miały do zwłok dostępu – tego nie chce za nic w świecie! Zostawić ciało w szalasie, żeby ludzie znaleźli je, gdy przyjdą na pastwiska – to także niemożliwe. Z łatwością może wyjść na jaw, kim był nieboszczyk, a przez to wypłynie cała sprawa.

Przed szalasem stały dwie pary nart, po dzioby zawiane. Olaf wybrał dobrą parę, tę, którą pożyczył w klasztorze, oczyścił ją ze śniegu i przygotował do drogi. Po czym zacisnął mocno zęby, oblicze jego zastygło i skamieniało.

Wszedł do środka i wygładził posłanie, potem poszedł po trupa i położył go na nim – próbował wyciągnąć zdrętwiałe ciało. Na włosach była skrzące krew i odpryski mózgu, lecz na sinoszarej twarzy nie było niemal krwi. Teit miał usta i oczy szeroko otwarte, Olaf nie mógł mu ich w żaden sposób zamknąć. Nakrył więc twarz Islandczyka jego starą, okrwawioną futrzaną czapą.

Pod popiołem na palenisku żarzyły się jeszcze iskry. Dołożył gałęzi, kory brzozonej i bierwion; po chwili udało mu się rozniecić dobry ogień. W nyży leżał snop siana, Olaf wyniósł go stamtąd i cisnął między ognisko i posłanie. Trącił przy tym nogą miecz Teita, podniósł go i położył na piersiach chłopca. Potem dorzucił jeszcze na siano spore naręczce chrustu i kory.

Ogień trzaskał już na palenisku. Olaf przytknął płonąca szczapę do

siana i podpalili je – wśród syku i trzaskania buchnęły w górę płomienie. Wyskoczył z chaty, wziął narty pod pachę i po świeżym śniegu zaczął brodzić w górę.

Na szczycie, gdzie stary, ubity śnieg był zupełnie odwiany, zatrzymał się, przyklęknął i przypiął narty. Potem wziął kij. Ale stał dopóty, dopóki nie ujrzał burych kłębow dymu wypływających przez szpary w ścianach szałas. Szepcąc zaczął odmawiać pacierze – i nagle chwyciło go znów przerażenie – czy to nie jest bluźnierstwo? Czuł się do tego niejako zmuszony – tam w chacie leży umarły, musi się za niego pomodlić.

Zapomniał siekiery w szałasie, przemknęło mu przez głowę, tak samo worka, ale ten był pusty. Teraz płonąła również kadź z zętycą oraz podpłomyki. Nie miało to wprawdzie znaczenia wobec wszystkiego innego, ale... Nigdy nie gardził darami Bożymi, najmniejszy nawet kęs chleba, który mu upadł na ziemię, podnosił i całował, zanim go włożył do ust. To było niemal jedyne, co z nauk pradziada zachował w pamięci.

Do licha z tym! Wszak na wojnie widział płonące całe osady i spichrze pełne żywności. I lepsi ludzie od tego Teita palili się w nich żywi albo martwi. Dlaczego to właśnie uważał za tak straszne zło?

Dawniej na całym świecie palono na stosach książąt poległych w bitwach. Masz tedy książęcy stos, niczym król, mój Teicie! Z mieczem na piersi, z jadem i trunkiem dokoła...

Dym buchał i płynął w górę, teraz spowijał całą chatę. Pośrodku przebłyskiwał ogień. Już pierwsze szkarłatne języki zaczęły przebijać krokwie dachu. Olaf zjechał z góry, popędził w dół po puszystym śniegu.

Kiedy latem przybędą ludzie, znajdą wśród zwęglonego szałasza kości, usiłował się pocieszyć: Teit spocznie w końcu w poświęconej ziemi.

Zjechał nad potok z takim pędem, że śnieg pryskał spod nart i świstało mu w uszach; prześlizgnął się przez zaśnieżone łożysko strumienia, zatrzymał się na przeciwległym brzegu i spojrzał poza siebie. Ślicznie,



miętko falował grzbiet górski, z którego zjechał, na tle błękitnego nieba złącił się w słońcu wśród otaczającej go bieli. W jednym miejscu pęczniał niewielki, ciemny kłęb dymu.

„Pomściłem hańbę mojej małżeńskiej łóżnicy. Za taki czyn człowiek ma chyba śmiałość odpowiadać przed Bogiem. Padł z mieczem w dłoni, sam to widziałeś, Boże!”

W godzinę potem między ostrokołami zawianych opłotków wyjechał na białą płaszczyznę. Stały tu domy w wielu miejscach po dachy zasypane śniegiem. Z jednego komina kurzył się dym; od mieszkalnego domostwa do stajni wydeptana była dróżka i dopiero niedawno wyrzucono gnój na podwórze.

Olaf spoglądał w stronę domu hamując, aż w końcu przystanął. Świat, był białożłoty i błękitniał w cieniu. Daleko na północy w dole dojrzał szeroką dolinę, zabudowaną wielkimi dworami.

Oświadczyć, że wieczorem popadł w zwadę z towarzyszem podróży i że w końcu chwycili za broń, przy czym od ognia zajęła się słoma?

Zacisnął zęby, zaczął sunąć z boczem w dół.

Pod wieczór przybył do Miklebö. Arnvida nie było, przed paru dniami wybrał się do lasu z obydwoma synami na głuszcze. Służba dworska przyjęła gościnnie najlepszego druha gospodarza.

Nazajutrz wieczorem powrócił Arnvid z synami, Olaf stał właśnie na dziedzińcu. Magnus prowadził konia; zarówno wierzchowiec jak i ludzie szli na karpiach. Koń objuczony był worami i pękami zabitych ptaków. Arnvid i Steinar nieśli narty i wielkie, puste sajdaki.

Arnvid powitał gościa cicho i serdecznie, synowie swobodnie i dwornie. Byli już na pół dorośli – dwaj wielce obiecujący, urodziwi i

jasnowłosi chłopcy.

– Jak widzisz, zmieniłem zamiar...

– To dobrze – Arnvid uśmiechnął się.

– Jak to, jechałeś przez lasy uzbrojony tylko w ten małeńki oszczep? – zapytał Arnvid, kiedy siedzieli i rozmawiali czekając na posiłek.

Owszem, odparł Olaf, miał również siekierę, lecz zgubił ją. Chciał odrąbać kilka gałęzi na posłanie. Tak, odnalazł w górach szałas i przespał się w nim; jak się to miejsce zowie, tego nie wie. Chata Graadala? – być może. Nie, w ciemności i głębokim śniegu nie mógł odnaleźć toporka. Zresztą wyleciał mu z ręki i skaleczył go w ramię.

Arnvid chciał obejrzeć ranę, nim udali się na spoczynek. Była to lekka cięta rana, wyglądało na to, że się łatwo zagoi. W jaki sposób Olaf zranił sam siebie w tym miejscu, tego Arnvid nie mógł zrozumieć. Tak, te stare topory ze spiczastymi brodami na dole i na górze są nieraz kapryśne i na pewno nieodpowiednie do rąbania gałęzi...

Inguna powiła dziecko na trzeci dzień po świętym Hallvardzie. Kiedy Tora podniosła noworodka z podłogi, matka zakryła oczy i krzyczała, jak gdyby w trwodze przed zobaczeniem i usłyszeniem go.

Potem, kiedy zanesiono Ingunę do łoża, Tora zbliżyła się z niemowlęciem owiniętym w pieluchy:

– Musisz przecież obejrzeć swojego synka, siostró. Jest taki ładny – prosiła Tora – ma długie, czarne włoski.

Lecz Inguna krzyknęła i skórą nakryła sobie twarz.

Wieczorem poprzedniego dnia, kiedy źle było z Inguna, Tora posłała po księdza; a widząc, że niewiele życia tli się w chłopcu, prosiła go, aby dziecko ochrzcił, zanim opuści dwór. Zapytała matkę, jakie imię nadać chłopięciu, lecz Inguna jęczała tylko i chowała głowę pod kapę. Magnhilda i Tora nie miały ochoty Wskrzeszać rodowego imienia w tym dziecieniu, uprosiły więc księdza, aby mu je sam nadał. Odparł, że tego dnia Kościół obchodzi pamięć świętego Eirika, króla i męczennika, jego zatem imię dał synowi Inguny.

Zła i smutna siedziała Tora córka Steinfinna z synem rodzonej siostry na kolanach, o którym własna matka nie chciała słyszeć.

Trzeciego dnia po urodzeniu dziecka Inguna ciężko zachorowała. Tora widziała, że siostrze dokuczają pokarm rozsadzający jej piersi. Inguna nie mogła się ani ruszać, ani znieść dotknięcia, nie była w stanie przełknąć kęsa, wciąż tylko skarżyła się na okropne pragnienie. Lecz Tora oświadczyła, że picie pogorszy jeszcze jej stan – mleko uderzy jej do głowy:

– Nie dam ci kropli wody, póki nie pozwolisz, bym ci przyłożyła

Eirika do piersi.

Inguna za nic nie chciała wziąć dziecka.

Wieczorem, kiedy Tora miała przewinąć dziecko na noc, trąciła przez nieuwagę konew i zabrakło jej ciepłej wody. Przez chwilę stała bezradnie; potem owinęła nagie dziecko w chustę i zaniósła je do łoża. Inguna drzemała w gorączce i zanim się opatrzyła, Tora położyła Eirika w jej ramionach i wyszła.

Zatrzymała się w kuchni, sporą chwilę; nagle przeraziła się śmiertelnie i co tchu pobiegła do izby. Już w drzwiach posłyszała głośne, rozdzierające serce łkanie Inguny. Wpadła do izby, odrzuciła skórę z łoża:

– Na miłość boską, chyba nie wyrządziłaś mu krzywdy! Inguna nie odpowiadała. Eirik leżał z podciągniętymi kolankami i piąstki przyciskał do nosa. Małeńki, chudy i czerwonośniady zdawał się radować matczynym ciepłem. Jego otwarte, ciemne oczka patrzyły tak, jak gdyby myślał.

Tora odetchnęła z ulgą. Wzięła naczynie z wodą, które wniosła Dalla, wzięła dziecko i wykapała je. Po czym zaniósła je z powrotem do łoża:

– Położyć je obok ciebie? – spytała z udaną obojętnością.

Z przeciągłym, żalonym jękiem wyciągnęła Inguna ramiona.

Tora złożyła w nich dziecko. Ręce jej drżały lekko, lecz usiłowała mówić spokojnie i cicho; poprawiła siostrze poduszki, przyłożyła jej malca do piersi i próbowała go nakłonić do ssania.

Odtąd Inguna brała posłusznie dziecko, ilekroć Tora przynosiła je do karmienia. Pozostała jednak nadal tak samo smutna i przygnębiona.

Leżała jeszcze, kiedy pewnego dnia przyjechał konno Arnvid. Pani Magnhilda przesłała wiadomość na Miklebö natychmiast po rozwiązaniu.

Wszedł do izby, powitał panią Magnhildę i Tore tak spokojnie, niefrasobliwie i dwornie, jakby nic szczególnego nie zaszło. Skoro

jednak podszedł do łoża i spotkał śmiertelnie przerażony wzrok Inguny, jego oblicze również przybrało wyraz osobliwy i martwy. Płomienny pąs zalał twarz i szyję młodej kobiety, wychudłymi palcami zakryła pierś, zawiązała koszulę, odsuwając niemowlę i pokazując Arnvidowi jego twarzyczkę, ściągniętą w płaczliwym grymasie.

– Tak, tak, jest naprawdę taki, jakiego wy, niewiasty, zowiecie urodziwym – powiedział Arnvid z uśmiechem, głaszcząc palcem buzię malca. – Szkoda, żeście się tak pośpieszyły z chrzcinami. Chętnie zostałbym twym ojcem chrzestnym, krewniaku.

Usiadł na stopniu przed jej łożem, wsunął rękę pod kapę, tak że dotknął główki niemowlęcia i ramienia matki. Wprost zatrwazające było, jak drżała. A potem przyszło to, czego oczekiwał. Pani Magnhilda zapytała o Olafa.

– Mam dla was wszystkich pozdrowienia od niego. Rozstał się ze mną w Hamarze, pojechał na swój dwór. Ma nadzieję, że koło świętej Seliumanny będzie tu z powrotem. Do tego czasu Inguna wydobrzeje na tyle, że będzie mogła z nim pojechać na południe. – Przycisnęła mocno rękę do jej ramienia, by pozostała spokojna.

Arnvid odpowiadał na pytania Magnhildy i Tory, zdawał sprawę z zamiarów Olafa. Wszyscy troje udawali, jakoby wszystko było w porządku, a przecież każde z nich wiedziało, że myślą to samo: jak ułożyć się życie tym dwojgu ludziom? Tu oto leży narzeczona z dzieckiem obcego mężczyzny przy piersi, a narzeczony wiedział o tym jadąc na południe, by przygotować dom na przyjęcie gospodyni.

W końcu Arnvid powiedział, że chciałby zamienić z Inguną kilka słów w cztery oczy. Obie kobiety podniosły się, Tora wzięła dziecko i położyła je do kołyski.

– A ono? – spytała. – Czy Olaf naprawdę chce, aby i dziecko pojechało z matką na południe?

– Tak, o ile zrozumiałem, taka jest jego wola.

Został sam z Inguną; leżała z zamkniętymi oczami. Arnvid przesunął ręką po jej czole, otarł pot.

– Olaf prosił mnie, abym pozostał tutaj, póki on po ciebie nie przyjedzie.

– Po co? – szepnęła strwożona.

– Ach, wiesz przecież – zawahał się – Ludzie są bardziej ostrożni, jeśli istnieje niebezpieczeństwo, że ich gadanie może dojść uszu mężczyzny.

Kroplisty pot wystąpił na czoło Inguny. Prawie niedosłyszalnie szepnęła:

– Arnwidzie... czy nie ma jakiegoś wyjścia... dla Olafa, aby odzyskał wolność?

– Nie. Nie wspomniał też – ciągnął Arnvid po chwili – że życzyłby sobie tego.

– Gdybyśmy na kolanach prosili o to arcybiskupa, przyrzekli mu pokutę?

– Biskup mógłby pozwolić mu żyć w rozłące z tobą, gdyby Olaf prosił go o to. Jeśli chce przyjechać po ciebie i zamieszkać z tobą, czyni to dobrowolnie. Przeciąć więzów łączących was z sobą, tak by Olaf stał się wolny i mógł poślubić inną, nie może nawet sam papież w Rzymie, tak sędzę.

– Nawet i wówczas, gdybym wstąpiła do klasztoru? – spytała drżąc.

– O ile wiem, musiałybyś na to mieć pozwolenie Olafa. On zaś nie odzyska przez to wolności, by móc się powtórnie ożenić. Lecz na to, by zostać pobożną mniszką, zabrnęłaś za głęboko w grzech, moja biedna Inguno... A potem musisz pamiętać o tym, co Olaf sam do mnie powiedział. To on uczynił wszystko możliwe, by osiągnąć orzeczenie świętego Kościoła, czy jesteście, czy też nie jesteście mężem i żoną. On sam zażądał od biskupa Torfinna wyroku, iż wasze pożycie jest

małżeństwem, zawartym wedle praw Boskich, a nie nierządem, i pan Torfinn przyznał mu słuszość. Jakkolwiek ów biskup surowo osądzał wszelki gwałt i jakkolwiek nieubłagany był wobec mężów uchybiających czci białogłowy, to jednak domagał się w imieniu Olafa, by wolno mu było zapłacić grzywnę i pogodzić się z krewnymi Einara. Czyż nie rozumiesz, że Olaf nie może teraz zaprzeczyć własnym słowom? Nie chce też tego wcale, sam to mówił. Nie, naprawdę, siedzę tu i zapominam, żeś jeszcze słaba. Bądź teraz spokojna, Inguno. Pamiętaj o tym, jakim człowiekiem jest Olaf: uparty i popędliwy, czego chce, to musi osiągnąć. Znasz też przysłowie: wierny jak troll...

Trudno jednak było dostrzec, aby Inguna nabrała odwagi. Ciotka i siostra nabrały otuchy, odkąd miały pewność, że Olaf nie będzie czynił trudności, lecz pojmie za żonę kobietę, której niegdyś domagał się tak samowolnie i zuchwale, i że będzie pobłażliwy dla grzechu, który popełniła. Krewniacy Inguny, Ivar, jej bracia i Haakon, dowiedziawszy się o całej sprawie, oświadczyli, że przecież Olaf znieważył ich także ciężko swego czasu, kiedy sam przywłaszczył sobie narzeczoną, a potem pozwał jej opiekunów przed sąd biskupi, na dobitkę zaś uśmiercił Einara za to, że ten go skarcił.

Słuszną więc i godziwą jest rzeczą, aby teraz milczał, ukrył hańbą Inguny i w miarę sił przyczynił się do tego, by ta przykra historia dobrze się skończyła. Hestviken jest zresztą tak daleko... A chociażby nawet ludzie tam posłyszeli, że żona Olafa miała dziecko z innym, zanim ją poślubił, to i tak nie gorszy będzie miał ożenek, niżeli niejeden zacny i szanowany człowiek. W jego ojczyźnie nikt nie ma potrzeby dowiedzieć się czegoś więcej, chyba że oboje będą na tyle głupi i rozpowiedzą, iż była związana z Olafem, nim miała dziecko, tak że niejeden ksiądz mógłby

orzec, że dziecko zostało spółdzone w nierządzie.

Ivar i Magnhilda tłumaczyli to Ingunie. Słuchała ich blada, z pociemniałymi oczyma. Arnvid zauważył, że ich słowa wywołują w niej silne wzburzenie.

– A ty co powiesz, Arnvidzie? – spytała pewnego dnia, kiedy Ivar i Haakon siedzieli przy niej w izbie i wyrazili swoje zdanie. W dzień podnosiła się już i chodziła.

– Powiem tyle – odparł Arnvid cicho – Bóg wie, że jest źle, ale sama musisz uznać, że jakaś prawda jest w ich słowach.

– Ty to mówisz? I nazywasz się najlepszym przyjacielem Olafa?! – krzyknęła oburzona.

– Jestem nim i zdaje się, że udowodniłem to nieraz. Nie przeczę, ja sam ponoszę część winy, że wszystko przyjęło taki zły obrót. Może nie dość rozważnie poradziłem Olafowi, byłem zbyt młody i niedoświadczony; a tego wieczora, kiedy Einar szukał z nami zwady, nie powinienem był pozostać w gospodzie. W niczym nie pomogę memu druhowi, a i ty również, jeśli schowamy teraz głowy w piasek i nie będziemy chcieli przyznać, że synowie Steinfinna mają nieco słuszności.

Inguna wybuchnęła szlochem:

– I ty także nie życzysz Olafowi czegoś lepszego? Nikt z was nie sądzi, że jego cześć jest coś warta, nikt, prócz mnie jednej!

– W istocie. I dlatego Olaf musi leżeć tak, jakęś mu posłała.

Łzy obeschły nagle w oczach Inguny. Podniosła głowę i spojrzała Arnvidowi w twarz.

– Tak, tak, Inguno. Nie powinienem był powiedzieć tego. Ale już od tak dawna dręczycie mnie waszą sprawą – dodał znużony.

– Tak. Lecz to, co powiedziałaś, jest prawdą.

Niemowlę leżało na łożu i głośno krzyczało. Inguna zbliżyła się i wzięła je na ręce. I znowu zauważył Arnvid to samo co przedtem: chociaż



podnosiła chłopaczka ostrożnie i zdawała się go lubić, miało się wrażenie, że dotyka go niechętnie i przewija go jakby z ociąganiem. Toteż Eirik wrzeszczał, rzucał się i popłakiwał, ilekroć matka brała go na ręce; na krótką chwilę tylko cichł przy piersi. Tora mówiła, iż dzieje się to dlatego, że Inguna jest zgnębiona, niespokojna i za mało ma pokarmu, Eirik jest więc ustawicznie głodny.

Teraz także przestał wkrótce ssać, leżał i krzywił się ciągnąc pustą pierś. Inguna westchnęła, potem zawiązała suknię, wstała i z chłopcem w ramionach – zaczęła chodzić po izbie. Arnvid siedział i przypatrywał się obojgu.

– Czy wyrażasz swą zgodę – odezwał się – na to, bym wychował twoje dziecko? Wezmę do siebie małego i będę dla niego tak dobrym ojcem jak dla własnych synów.

Inguna nie od razu odpowiedziała. W końcu rzekła:

– Byłbyś temu chłopcu wiernym, oddanym krewnym, tego jestem pewna. Miałbyś prawo oczekiwać, że podziękuję ci za przyjaźń, jaką okazywałeś mi przez te wszystkie lata, że podziękuję ci inaczej, niż to czynię. Gdybym umarła... wówczas musisz... musisz zająć się Eirikiem. Moja ostatnia godzina będzie wtedy lżejsza.

– E, nie gadałabyś takich głupstw – odparł Arnvid siląc się na uśmiech.  
– Teraz, kiedy już wstałaś i niebezpieczeństwo minęło.

Eirik miał już sześć tygodni, kiedy na Berg zjawiała się owa kobieta, z którą pani Magnhilda porozumiała się jeszcze wczesną wiosną; miała ona zabrać i wychować dziecko urodzone potajemnie we dworze. Pogłoski o Ingunie rozeszły się mimo wszystko. Przebąkiwano i snuto domysły, kto jest ojcem dziecka – i większość ludzi była zdania, że jest nim ów Islandczyk, co to zeszłego lata tak często bywał na Berg. Teraz znikł,

prawdopodobnie uciekł z obawy przed krewnymi Inguny. Pewnego natomiast wieczoru przybyła owa opiekunka, Hallveiga było jej na imię, by dowiedzieć się, co się stało z dzieckiem; nie słyszała bowiem nic o tej sprawie.

Zanim jeszcze pani Magnhilda mogła skupić myśli i odpowiedzieć, Inguna zbliżyła się mówiąc, że to ona jest matką dziecka i że Hallveiga może je zabrać nazajutrz. Hallveiga obejrzała Eirika i oświadczyła, że jest ładnym dzieckiem. Potem czekając na posiłek, podniosła go z kołyski i przyłożyła sobie do piersi.

Matka stała obok i patrzyła, jak Eirik ssie łapczywie – pierwszy raz w swym młodym życiu mógł się napić do syta. Potem Inguna wzięła maleństwo i zaniósła je do swego łóża, Hallveidze zaś wskazano dom, gdzie miała się przespać. Ustalono, że wyjedzie nazajutrz o świcie, zanim w sąsiednich dworach ludzie się przebudzą.

Siostry zostały same w izbie Aasy i Tora zapaliła poświęconą świecę, która płonęła jeszcze każdego dnia. Inguna siedziała na skraju łóża, tyłem do synka; Eirik leżał i mruczał zadowolony.

– Inguno, nie rób tego! – odezwała się poważnie Tora. – Nie oddawaj w ten sposób dziecka. To grzech zrobić coś takiego, jeżeli się nie jest zmuszonym.

Inguna milczała.

– On uśmiecha się – rzekła Tora wzruszona i pochyliła się ze świecą nad chłopczykiem. – Spójrz na twojego synka, Inguno. On umie się już uśmiechać. Jakież on miły, jaki przemiły.

– Owszem, widziałam – odparła Inguna. – w ostatnich dniach uśmiechał się kilkakrotnie.

– Nie rozumiem, że chcesz tego, że możesz to przemóc w sobie...

– Nie rozumiesz, że nie chcę wziąć tego dziecka pod dach Olafa, nie chcę go prosić, aby chował dziecko zostawione przez zbiegłego

pisarczyka?

– Wstydź się tak mówić o swoim dziecku!

– Toteż się wstydzę.

– Inguno, bądź pewna, że będziesz żałowała przez całe życie, jeśli to uczynisz i opuścisz w ten sposób własne dziecko.

– Tak sobie pościeliłam, że żałość nie opuści mnie nigdy. Tora odrzekła wzburzona:

– To prawda, w tej sprawie nikt na świecie nie może ci pomóc. Zdradziłaś okrutnie Olafa, każdy z nas tak sądzi, i twoja hańba spada na niego bardziej niż na nas wszystkich. Chcesz teraz zdradzić również swoje dziecko, to młode, niewinne życie, któreś czterdzieści tygodni dźwigała pod sercem? Mówię ci, siostrze, nie wierzę, aby Maryja, Boża Rodzicielka, prosiła o miłosierdzie dla matki, która zdradza własnego syna.

– Strzeż się, siostrze – powtórzyła Tora po chwili. – Nam wszystkim sprawiłaś ból, a Olafowi najśrodszy. Jedynie tego dzieciątka nie zdradziłaś jeszcze!

Siostry nie rozmawiały więcej ze sobą i położyły się. Inguna wzięła chłopca do siebie. Z wargami przyciśniętymi do spoconych, miękkich jak jedwab włosków leżała bezsennie, a ostatnie słowa siostry huczały w niej i huczały. Jak główka Eirika spoczywała teraz na jej szyi, tak Jezus Chrystus opierał swoją głowę o szyję Matki na malowanej kolumnie w kościele. Jakże osądzi On matkę, która porzuciła swoje maleństwo? „Wziął dziecię i postawił je podług siebie.” w kościele w Hamarze było na ścianie takie malowidło: Chrystus wisiał przybity do krzyża między dwoma złoczyńcami. Przy Nim stała Jego Matka: złamana bólem i męką trwała przy Synu w Jego ostatniej walce, podobnie jak czuwała nad Jego pierwszym snem na ziemi. Nie, Inguna rozumiała to dobrze; nie wolno jej błagać Syna Dziewicy o przebaczenie grzechów, jeśli nie zatrzyma się na tej drodze. Nie ośmieli się prosić Rodzicielki Bożej o orędownictwo u

Syna, jeśli trwać będzie w swym zamiarze i zdradzi własne dziecko.

– Inguno – szepnęła Tora płacząc. – Nie dlatego tak surowo mówiłam, żebym ci źle życzyła, ale naprawdę, to będzie gorsze od wszystkiego, jeśli zdradzisz swoje dziecko.

Ochrypłym głosem Inguna odpowiedziała:

– Wiem o tym. Zauważyłam, że lubisz Eirika. Musisz się starać, gdy mnie nie stanie... musisz mi przyrzec, że będziesz doglądać Eirika, jak tylko potrafisz.

– Zrobię to, jeśli tylko będzie możliwe przez wzgląd na Haakona – odparła Tora.

Nikt z tych trojga nie spał dobrze tej nocy, a kiedy nad ranem siostry zdrzemnęły się wreszcie, nadeszła pani Magnhilda i obudziła je: Hallveiga jest już gotowa do drogi.

Przewijając maleństwo i zawiązując je w chustę patrzyła Tora na siostrę: „Nie wierzę, by to uczyniła” – powtarzała w duszy. Nagle pani Magnhilda zaczęła znów mówić o tym, jak ciężko zawinił Olaf wobec nich wszystkich: nie byłoby tak bardzo niesłuszne, gdyby Inguna zabrała z sobą dziecko. Nie musi przecie zatrzymać go na Hestviken, Olaf może je tam oddać komuś na wychowanie. Ale Inguna z zawziętym, twardym uporem na twarzy wyniosła Eirika, oddała go Hallveidze i patrzyła, jak obca kobieta i towarzyszący wyrostek odjeżdżają z jej synem.

Podczas rannego posiłku zauważono, że Inguna zniknęła. Arnvid i Tora wybiegli z domu, by jej szukać. Poszła na łąkę za stodołą i kręciła się tam jak błędna. I chociaż tamci prosili i błagali, nie udało im się nakłonić jej do powrotu. Tora i pani Magnhilda były całkiem bezradne: dla zamejnej kobiety było ryzykiem tak wychodzić na dwór, zanim

odbyła wywód, a cóż dopiero dla nieślubnej matki! Arnvid był zdania, że trzeba zaraz posłać po ojca Vegarda; Inguna powinna się postarać o odpuszczenie swych grzechów i pogodzić się z Bogiem i Kościołem, nim Olaf powróci, aby mogli iść razem na mszę, gdy dostanie ją za żonę z rąk jej krewnych. Obiecał, że sam pozostanie przy Ingunie i będzie jej pilnował, póki nie namówi jej do wejścia pod dach.

Zaszli wysoko w górę do brzoźowego gaju powyżej dworu. Arnvid szedł za Inguną krok w krok, nie znajdując słów pocieszenia. Był wyczerpany i głodny jak wilk; południe dawno minęło, ale ilekroć prosił ją, by nareszcie była rozsądna i wróciła z nim do dworu, nie otrzymywał nawet odpowiedzi. Równie dobrze mógł mówić do głazu.

Potem kobieta oparła się o drzewo, ramionami objęła pień i czołem tarła o korę, jęcząc jak ranny zwierz. Arnvid modlił się głośno do Boga o pomoc widząc, że jest na pół obłąkana.

Wreszcie usiedli na skalnym odłamie, siedzieli obok siebie w południowym słońcu i milczeli. Nagle Inguna rozdarła suknię z przodu i ścisnęła pierś: cienka struga mleka trysnęła na rozgrzany kamień, zastygła w niewielką lśniącą plamę.

Arnvid zerwał się, chwycił Ingunę, postawił ją na nogi i potrząsnął nią:

– Teraz musisz zachowywać się po ludzku, Inguno!

Kiedy ją puścił, osunęła się bezwładnie na ziemię. Podniósł ją znowu.

– Wrócisz natychmiast ze mną do domu albo cię objię.

Wtedy łzy pociekły jej z oczu, zwiśla ciężko w ramionach mężczyzny i szlochała bez opamiętania. Arnvid przytulił jej głowę do ramienia i kołysał ją lekko. Łkała aż do utraty tchu. Potem płakała już tylko cichutko i łzy ciekły jej ciurkiem po twarzy. Arnvidowi udało się zawiązać jej suknię, pozwoliła się zawieść do domu – to prowadził ją, to włókł za sobą. W końcu oddał ją w ręce niewiast.

Późnym wieczorem Arnvid siedział na dziedzińcu i gawędził z Dalią i Grimem, gdy wtem Inguna wyszła ze swej izby. Kiedy ujrzała staruszków, zatrzymała się przestraszona. Arnvid podniósł się i podszedł ku niej. Dalla odeszła, Grim jednak pozostał i gdy Inguna z Arnvidem przeszła obok niego, starzec podniósł obrośniętą twarz i splunął za nią tak, że aż ślina pocięła mu po brodzie. A gdy Arnvid złapał go za ramię i odepchnął, Grim zrobił kilka grubiańskich ruchów, odwrócił się i poszedł za siostrą, mrużąc pod nosem najbardziej plugawe przezwiska, jakimi dawniej niewolnicy obrzucali ladacznice.

Arnvid ujął Ingunę za ramię i pociągnął ją ku domowi.

– Nie możesz oczekiwać czegoś innego, musisz znosić to, póki tu jesteś – rzekł na poły rozniewany, na poły pocieszając ją. – O wiele lżej ci będzie, gdy wyjedziesz stąd tam, gdzie ludzie mniej o tobie wiedzą. A teraz wejdź do izby. I tak wyzwałaś aż nadto los, wybiegając rano z domu, a teraz już słońce zachodzi...

– Poczekaj chwilę – prosiła Inguna. – Głowa mi płonie, a tutaj jest tak dobrze, chłodno i rześko.

Jak na tę porę roku było dość ciemno; po całym niebie kłębiły się chmury. Czerwono było pod sklepieniem chmur, w zatoce odbijał się blask nieba, a zachód słońca złocił je na północy.

Inguna szepnęła:

– Mów do mnie, Arnvidzie. Czy nie możesz mi powiedzieć czegoś o Olafie?

Arnvid zachnął się niecierpliwie.

– Chcę tylko, byś wymówił jego imię – żaliła się cicho.

– Zdaje mi się, żeś je słyszała dosyć często w ostatnich tygodniach – odparł Arnvid szorstko. – Zmęczony jestem od dawna tym wszystkim.

– Ja nie tak myślałam – prosiła. – Nie chcę, byś mówił o tym, że Olaf może być teraz dla nas pożytecznym człowiekiem i tym podobne rzeczy.

Arnvidzie, ty, który go miłujesz... Jesteś przecież jego przyjacielem.

Arnvid milczał uparcie. Naszło to nagle na niego. Już od tylu lat pozwalał się dręczyć tym dwojgu i uczynił dla nich tak wiele, a wszystko, co uczynił, było jakby cięciem we własne ciało i wierceniem noża w ranie. Teraz miał tego dość.

– Idź już do izby – nakazał.

Tora wyszła im naprzeciw i oznajmiła, że ona z siostrą będą spały tej nocy w izbie Magnhildy. Nieprzyjemnie jest w tamtym domu, odkąd nie ma dziecka.

Gdy miały udać się na spoczynek, Inguna uprosiła siostrę, by spała w komorze z panią Magnhildą.

– Boję się, że tej nocy niewiele będę spała, a bezsenność jest zaraźliwa.

W izbie były dwa łóża. Arnvid miał spać w jednym, Inguna w drugim.

Długo leżała i czekała, aż Arnvid zaśnie. Czas płynął, czuła, że Arnvid nie śpi, ale nie rozmawiali z sobą.

Od czasu do czasu usiłowała odmówić *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Maryjo*, lecz myśli jej się mąciły i nie mogła dokończyć modlitwy. Modliła się za Olafa i za Eirika; za siebie nie śmiała się modlić, skoro postanowiła z całą świadomością i wolą iść na potępienie. Ponieważ musi to uczynić, nie wyznaczą jej może w piekle najśrodszej kary, a nawet i tam ulgą będzie myśl, że targając więzy między nimi i rzucając się w przepaść uwolniła i oswobodziła Olafa.

Nie czuła nawet trwogi. Była już jak gdyby starta na pył, była zahartowana. Nie czuła nawet potrzeby zobaczenia raz jeszcze Olafa albo Eirika. Jutro – tak jej powiedziano – ma przybyć ojciec Vegard, lecz nie chciała go widzieć. Nie chciała spojrzeć w górę ani przed siebie. Zrozumiała, że słuszne jest, aby została potępiona, albowiem nie chciała uczynić niczego, co było konieczne dla zbawienia duszy. Żal, modlitwa, praca i dalsza wędrówka doczesna, stykanie się i mówienie z ludźmi, z

którymi musiałyby przebywać, gdyby próbowała żyć dalej – sama myśl o tym była odrażająca. Nawet myśl o Bogu odpychała ją teraz. Patrzeć w dół, w ciemność i być samą – tego jedynie pragnęła. I widziała własną duszę, nagą i mroczną niby góra spustoszona ogniem; ona sama wzniciła pożogę i pozwoliła spłonąć wszystkiemu, co w niej żyło. Koniec z nią!

Mimo to odmówiła *Ojciec nasz* za Olafa – „Uczyń, aby o mnie zapomniał”. I *Ave Maria* za Eirika – „Teraz nie ma już matki”.

Wreszcie Arnvid zaczął chrapać. Inguna przeczekwała czas jakiś, aż była pewna, że zasnął głęboko. Wówczas cichutko wstała, narzuciła suknię i wymknęła się z izby.

Była najciemniejsza godzina nocy. Z tyłu, za domem, skrzydło chmury spoczęło nad górzystym grzbietem i zdawało się rzucać cień na okolicę. Bór okalający pola i osiedla przepajały nocne opary, które niby lekki i szary tuman snuły się nad łąkami i gęstniały wokół liściastych drzew. A dalej górą niebo czyste i jasne przeglądało się w wodzie; na wyżynie po drugiej stronie jeziora nad lasem ukazywał się pierwszy odbłask wschodzącej jutrzeńki.

Za płotem pastwiska Inguna zatrzymała się i zasunęła za sobą żerdzie. W tę letnią noc nie słychać było żadnego dźwięku, tylko świerszcz cykał w zbożu. Z osikowych zarośli wzdłuż ścieżki nad strumyczkiem skapywała rosa, a liście i trawa pachniały cierpko w mrocznym gaju.

Zarośla podchodziły aż do nadbrzeżnego pomostu. Inguna ujrzała, że woda wezbrała przez ten czas, gdy ona chorowała. Zalała już łąkę oraz koniec pomostu przymocowany na brzegu.

Stała bezradnie. Opętany strach zerwał się w niej nagle i ożył, rozbił hartowną wolę. Nie, nie odważy się na to – nie potrafi przebrnąć przez kładkę ku wodzie. Z gardła zdławionego trwogą wydarł się jęk. Potem uniosła brzeg sukni i postawiła stopę w wodzie.

Kiedy mroźna woda zaczęła sączyć się do chodaków, serce młodej



kobiety skoczyło w piersiach, zacisnęło krtań. Dyszała i dławiła się. Biegła jednak dalej, brodziła w wodzie mimo trwogi, niepewnie chwiała się na ostrych i śliskich kamykach wybrzeża. Z ogłuszającym hukiem przelewały się fale jeziora dokoła idącej. Potem Inguna postawiła nogę na kładce. Na znacznej przestrzeni była ona zalana. Deski wsparte luźno na dwóch słupach uginały się za każdym krokiem, a woda sięgała Ingunie po kolana. Nieco dalej deski prawie pływały i zapadały się, ilekroć na nie stąpnęła. Za każdym razem wstrzymywała oddech w obawie, że może stąpnąć w próżnię i wpaść do wody. Wreszcie dotarła do wystającego z wody końca pomostu.

W tej chwili nie było w niej hartu, lęk pozbawił ją przytomności, ale drżące i ślepe ręce czyniły to, co sobie przedtem umyśliła. Rozwiązała długi pas, opasujący ją trzykrotnie w stanie, zdjęła go, wyciągnęła nóż i przecięła na dwie części. Jednym kawałkiem obwiązała suknię poniżej kolan – pragnęła, aby znaleziono jej szczątki przystojnie odziane, gdy fala wyrzuci je na brzeg. Drugą część pasa przewiązała sobie na krzyż na piersiach i wsunęła pod niego ręce; wyobrażała sobie, że pójdzie prędzej na dno, jeśli podczas zanurzania się nie będzie mogła walczyć. Potem raz jeszcze zaczerpnęła głęboko tchu i skoczyła w głębinę.

Arnvid obudził się; leżał dalej, pijany snem i bliski powtórnego zaśnięcia. Wtem z głuchym łomotem serca wytrzeźwiał zupełnie – wyczuł, że to, co go przebudziło, stało się zaledwie przed chwilą: słyszał, jak ktoś wyszedł z izby.

Jednym susem znalazł się na podłodze przy łożu Inguny, wyciągnął w ciemności ręce. Posłanie było jeszcze ciepłe, lecz puste. Jak gdyby nie dowierzał własnym zmysłom, obmacywał i przeszukiwał całe łoże – u wezłowią, w stopach, wzdłuż ściennych bali.

W największym pośpiechu włożył buty na nagie stopy, wciągnął przez głowę kaftan jęcząc z bólu; nie wiedział, ile czasu minęło, odkąd opuściła

izbę. Długimi skokami pognał na przełaj przez zboża ku łące nad jeziorem – tam, na kładce stała jakaś postać, tyle widział. Biegł zboczem na ukos przez łąkę, słyszał dudnienie własnych kroków po suchym torfowisku. Dotarłszy nad wodę, biegł przez nią dalej, aż do miejsca, gdzie mógł skoczyć i popłynąć.

Inguna obudziła się w swym dawnym łóżu w izbie Aasy. Najpierw czuła tylko tyle, że głowa pęka jej z bólu, a całe ciało jest obolałe, jakby odarte ze skóry.

Słoneczny blask wpadał do wnętrza, przez otwarty dymnik widziała skrawek jasnego nieba. Dym snujący się błękitnymi smugami pod wiązaniem dachu nabierał barwy brunatnej na tle przejrzystego powietrza, a potem zaraz chwycił go wiatr i skręcał w wir między darniowymi źdźbłami na dachu.

Potem przypomniała sobie wszystko – i opadła na łóżo niemal bez sił. Uczucie ulgi, że jest uratowana, obezwładniło ją...

Z jakiegoś kąta wyszedł nagle Arnvid. Podsunął jej ramię pod plecy i przytknął do ust drewnianą czarkę. Był w niej jakiś ciepły napój, gęsty i krzepiący, o smaku miodu i korzeni.

Inguna wychyliła czarkę do ostatniej kropli i znad brzegu naczynia zerknęła ku Arnvidowi. Wziął pustą miseczkę i postawił ją na podłodze, usiadł na stopniu przed łóżem i siedział tak z rękami zwieszonymi między kolanami, z pochyloną głową. Owładnęło nimi bolesne zawstydzenie.

Po długiej chwili Inguna zapytała wreszcie:

- Nie rozumiem... nie przypominam sobie, by mnie uratowano?
- Nadszedłem w ostatniej chwili – odparł krótko Arnvid.
- Nie rozumiem – zaczęła znowu. – Całe ciało mam obolałe.
- Dzisiaj już trzeci dzień. Leżałaś cały czas nieprzytomna, pewnie

mleko rzuciło ci się do głowy, a prócz tego w wodzie zziębłaś tak, że musieliśmy ci wlewać do gardła gorące wino i piwo... Już przedtem budziłaś się parę razy, ale nie wiesz o tym.

Miała wrażenie, że niesmak w ustach spotęgował się jeszcze. Poprosiła o wodę. Arnvid wyszedł po nią.

Stał obok łoża i patrzył na pijącą. Tyle mu na sercu ciążyło, nie wiedział, od czego zacząć. Toteż powiedział oschle i bez ogródek:

– Olaf jest tutaj. Przyjechał wczoraj w odwieczarz.

Inguna opadła na posłanie, była chora, czuła zawrót głowy. Miała uczucie, że zapada się, że mdleje, ale na dnie duszy pełzała maleńka iskierka, która chciała zapłonąć, buchnąć płomieniem: radość, nadzieja, wola życia, mimo że to było bezsensowne.

– Był w tej izbie jakiś czas w nocy. I prosił, byśmy go zawiadomili, gdy tylko się obudzisz. Czy mam iść po niego? Wszyscy są teraz w izbie, siedzą przy rannym posiłku.

Po chwili Inguna spytała drżąc: – Czy Olaf mówił coś... czyście mu powiedzieli... o tym ostatnim?

Oblicze Arnvida ściągnęło się gwałtownie; zagryzł dolną wargę. Potem wybuchnął:

– Czyś pomyślała... czyś pomyślała, Inguno, gdzie byłabyś teraz, gdyby ci się udało wykonać twój zamiar?

– Tak – szepnęła. Odwróciła twarz do ściany, zapytała cicho: – Czy Olaf to powiedział? Co on powiedział, Arnvidzie?

– Nic nie mówił.

Wkrótce potem Arnvid spytał:

– Czy mam iść po Olafa?

– Ach nie, nie, poczekaj chwilę. Nie chcę leżeć, chcę wstać.

– W takim razie muszę ci przysłać którąś z kobiet, sama nie potrafisz się chyba ubrać – rzekł Arnvid z powątpiewaniem.

– Tylko nie Tore ani Magnhildę – prosiła Inguna.

Potem usiadła na ławie pod szczytową ścianą i czekała. Zarzuciła na siebie czarny płaszcz nie wiedząc nawet, czemu to czyni, otuliła się nim szczelnie i naciągnęła na głowę kaptur. Twarz jej była sztywna i zbieła z trwogi. Gdy posłyszała szelest i dojrzała wchodzącego mężczyznę, który pochylił się w drzwiach, zamknęła oczy i głowa opadła jej na piersi. Stopami wparła się mocno w podłogę i oburącz uczepliła się brzegu ławy, by opanować drżenie.

Doszedłszy do paleniska, Olaf zatrzymał się. Inguna nie śmiała podnieść oczu, widziała tylko jego nogi. Nie miał trzewików, lecz obcisłe szarozółte pończochy, rozcięte i zasznurowane nad kostką; bez przerwy wpatrywała się w to sznurowanie, w nim jakby szukając ucieczki przed wirującymi myślami. Nigdy dotąd nie widziała tak skrojonych pończoch męskich; ten krój sprawiał, że leżały w kostkach jak ulane.

– Dzień dobry, Inguno.

Głos jego przeszył ją niby pchnięcie miecza; skłoniła jeszcze niżej głowę. Olaf podszedł parę kroków, teraz stał tuż przed nią. Dojrzała rąbek jego kaftana, był jasnobłękitny, suto fałdowany i sięgał po kolana. Wzrok jej powędrował wyżej, do pasa. Pas był wybity tymi samymi srebrnymi różyczkami i spięty klamrą z wizerunkiem świętego Olafa, u pasa wisiał sztylet w srebrnej pochwie o rękojeści z łosiowego rogu.

Nagle dostrzegła, że Olaf stoi z wyciągniętą ręką. Położyła w niej swoją wychudłą, kościstą rękę i dłoń mężczyzny zamknęła się nad nią: była szorstka, ciepła i sucha. Prędko wysunęła swoją.

– Chyba popatrzysz na mnie, Inguno? Czuła, że powinna powitać go stojąc.

– Nie, nie, siedź – poprosił prędko.

Wtedy podniosła oczy. Spojrzenia ich spotkały się i od tej chwili nie przestali wpatrywać się w siebie.

Olaf poczuł, że cała krew zbiega mu do serca, twarz mu zdrętwiała i stała się zimna jak lód. Musiał z całej siły zacisnąć zęby, powieki mu opadły i nie miał sił ich podnieść. Nigdy dotąd nie wiedział, że męczyzna może aż do tego stopnia zostać pozbawiony mocy. Zdawało się, że bezdenna męka i boleść w jej biednych oczach wyciąga na światło dzienne jego własną obnażoną duszę. Rozpadło się wszystko, co przemyślał, co sądził i postanowił. Czuł, że ważne i doniosłe sprawy przepadają teraz w jego pamięci, lecz nie potrafi ich zatrzymać. Przetrwiała jedynie ostatnia i najgłębsza, okrutna pewność: że ona jest ciałem jego ciała i życiem jego życia i to się już nigdy nie może odstać, choćby najbardziej została zhańbiona, zdeptana i złamana. Jak daleko sięgał myślą wstecz, korzenie ich istnień splecione były ze sobą. I teraz ujrawszy, jak oburącz pochwyliła ją śmierć, odczuł to w ten sposób, jakby sam z wielkim trudem uszedł zagładzie. Wypełniła go tęsknota, wstrząsnęła nim do głębi tęsknota, by przygarnąć ją mocno do serca, ukryć się wraz z nią...

– Czy wolno mi usiąść? – Kolana miał dziwnie zwiotczałe. Usiadł nieco dalej na ławie.

Inguna dygotała coraz silniej. Oblicze Olafa było nieruchome jak głaz – szare wokół bezkrwistej bruzdy warg, a jego osobliwe, promienne, niebieskozielonkawe oczy patrzyły jak ślepe spod przymkniętych powiek. – Boże, o Boże, ulituj się nade mną... – Czuła, że do tej pory niezupełnie rozumiała, jak straszne nieszczęście na niego ściągnęła, a teraz, za chwilę, dowie się o tym; wyczytała to w jego kamiennej twarzy. Teraz, kiedy zdawało jej się, że nie potrafi już więcej znieść, przychodziło najgorsze...

Olaf spojrzał w jej stronę spod opuszczonych powiek:

– Nie lękaj się mnie, Inguno. – Mówił spokojnie i z opanowaniem, lecz głos jego brzmiał trochę ochryple, jak gdyby gardło miał spuchnięte.

– Nie myśl już o tym, co powiedziałem w czasie mego ostatniego pobytu tutaj, że będę może dla ciebie niedobrym mężem. Wówczas byłem jeszcze wściekły z powodu tego... Teraz nabrałem rozsądku, nie masz potrzeby się bać. Będzie ci dobrze na Hestviken, dołożę wszelkich starań.

Cicho, z rozpaczą odparła Inguna:

– Olafie, nie możesz przecież... nie możemy chyba po tym, co się stało, żyć razem na Hestviken. Nie będziesz mógł żyć tam ze mną i każdego dnia myśleć o tym.

– Muszę, a więc potrafię – odparł krótko. – Nie da się tu nic zmienić, Inguno. I nigdy ani jednym słowem nie przypomnę ci o tym. Możesz mi wierzyć, tak będzie.

Odpowiedziała:

– Nie należysz do tych, Olafie, którzy łatwo zapominają. Ach, czy myślisz, że każdego wieczoru, kiedy położysz się obok mnie, potrafisz nie myśleć, że ktoś inny...

– Tak jest – przerwał jej prędko. – A potem musisz pamiętać – ciągnął spokojnie jak przedtem – że Hestviken leży daleko stąd, dalej, niż myślisz. Sprawa wygląda tak, Inguno: obojgu nam będzie lżej, gdy będziemy żyć z dala od tych stron, gdzie się to wszystko wydarzyło. Po mnie nie poznasz nigdy, że myślę o tym – dokończył wzburzony. Odpowiedziała:

– Olafie, jestem zgnębiona i złamana... Czy to prawda, że jest rzeczą niemożliwą, abyś uwolnił się ode mnie, mimo że okryłam się hańbą? To nie może być prawdą, jeżeli wówczas mówili, że mogą nas rozłączyć, chociaż od maleńkości byliśmy z sobą zaręczeni i spałam w twoich ramionach.

– Nigdy nie pytałem, czy mogę wykręcić się od tego małżeństwa. Przez te wszystkie lata uważałem się za związanego z tobą i byłem z tego zadowolony, także i teraz jestem rad. Tego życzył sobie niegdyś mój rodzic... Mówisz, że nie należę do tych, którzy łatwo zapominają.

To prawda, ale i tego nie potrafię zapomnieć, że zaręczyli nas z sobą nasi ojcowie, kiedy byliśmy dziećmi; nie mogę zapomnieć ani tych lat, w których wyrastaliśmy razem, spaliśmy w jednym łóżu i jedliśmy z jednej miski, ani tego, że wszystkie rzeczy mieliśmy wspólne. A potem gdy oboje dorośliśmy, stało się między nami to, o czym wspomniałaś... Za tyle rzeczy, za tak różne rzeczy będę kiedyś musiał odpowiadać przed Bogiem – dodał szeptem – że z pewnością mogę ci wybaczyć.

– To pięknie z twojej strony, Olafie, i dobrze jest wiedzieć o tym. Chcę cię jednak prosić, abyś przeczekał rok i nie starał się nic robić w tej sprawie. Jestem zmęczona i chora, może nie pożyję już długo. Później, kiedy pojmiesz za żonę kobietę uczciwą i bez zmyzy, będziesz się na pewno cieszył, że na twym dworze nie rządziła ladacznica i nie pokalała twego łóża ni stołu.

– Milcz – zawołał Olaf ochryplym głosem. – Nie mów o tym! Kiedy mi powiedziano, coś próbowała zrobić...

– Drugi raz nie zdobyłabym się na to – odrzekła; lekkie drganie, coś w rodzaju uśmiechu, przemknęło przez jej twarz. – Zostanę pobożną kobietą, Olafie; będę pokutować za moje grzechy przez cały czas żywota, jakiego Bóg zechce mi jeszcze użyzyć. Sądzę, że to nie potrwa długo, jestem pewna, że noszę w sobie śmierć.

– Myślisz tak, bo nie wróciłaś jeszcze do sił po chorobie – odrzekł krótko.

– Jestem skalana – skarżyła się – zwiędnięta. Straciłam cały wdzięk, każdy to mówi. Przez całe życie byłam mało zaradna, teraz zupełnie straciłam siły i otuchę. Jakiż pożytek, jakąż radość miałbyś z takiej żony? Nie popatrzyłeś nawet na mnie ani razu – szepnęła nieśmiało. – Niewiele jest do widzenia, wiem o tym sama. Rozumiem, że brzydzisz się zbliżyć do mnie. Pomyśl tylko, Olafie. Wkrótce byłoby dla ciebie nie do wytrzymania, gdybyś dniem i nocą miał obok siebie chorą żonę.

Rysy twarzy mężczyzny zakrzeły w jeszcze większym bezruchu. Potrząsnął głową.

– Zauważyłam to od razu, ledwie wszedłeś – szepnęła niemal niedosłyszalnie – i nie powitałeś mnie pocałunkiem.

Olaf odwrócił wreszcie głowę i spojrzał na nią. Uśmiechnął się zmieszany.

– Całowałem cię dziś w nocy, niejedną raz, ale nie czułaś tego... Rękami przesunął po twarzy, potem pochylił się ku przodowi i tak siedział; łokcie oparł o kolana, brodę ukrył w dłoniach.

– Miałem tej wiosny sen. Było to w sam Wielki Piątek. Potem rozmyślałem o nim często. Pamiętałem go całkiem wyraźnie po przebudzeniu i nie mogłem go odtąd zapomnieć. Opowiem ci teraz ów sen:

Śniło mi się, że byłem na jakimś zboczu, na którym wycięto drzewa, tak że nie było na nim cienia, a tyś leżała w słonecznej spiekocie pośród wrzosów – były tam wrzosy i rosła moc jagód wokół ściętych pni. Leżałaś cicho – nie wiem, czy wydawało mi się, że śpisz... Dziwne – podczas tych wszystkich lat, które spędziłem w świecie, pragnąłem nieraz, byś mi się ukazała we śnie. Wiesz, że istnieją sposoby wywołania we śnie swych najdroższych przyjaciół – niejedną raz próbowałem to zrobić, choć jak wiesz, nigdy bardzo nie wierzyłem w podobne sztuczki. Próbowałem ich często, gdy żyłem w Danii, a także potem, lecz nigdy mi się nie ukazałaś. Potem jednak przyśnił mi się ten sen w Wielki Piątek i widziałem cię tak wyraźnie, jak cię teraz widzę tu siedzącą. Tak jest, byłaś jeszcze dzieckiem, oboje byliśmy dziećmi, jak na Frettastein. Twoje warkocze rozplotły się, miałaś na sobie starą czerwoną suknię baj ową; podsunęła się do góry i widziałem twoje nogi aż po kolana – byłaś boso. Wtem zarośli wysunęła się żmija...

Olaf odetchnął głęboko parę razy. Potem ciągnął:



– Przeraziłem się tak okropnie, że nie mogłem się poruszyć. I to wydało mi się samemu dziwne, bo chyba mam prawo powiedzieć, że nie jestem bojaźliwy, jeśli mogę dojrzeć niebezpieczeństwo. We śnie opanowała mnie jednak trwoga nie do zniesienia – tak, ilekroć myślę o tym, wydaje mi się, że nigdy ani przedtem, ani potem nie wiedziałem, co to strach. Wąż pełzał dalej przez krzaczki i wiedziałem, że chciał ciebie ugryźć.

Przez cały czas nie poruszał się jednak jak prawdziwa żmija; chwilami sunął naprzód na sposób liszek, a potem nie był to wcale gad, tylko olbrzymia, kosmata gąsienica, która z kolei zamieniała się znów w żmiję pełzającą w trawie. Zdawało mi się, że mam w ręce nóż, i pomyślałem, że powinienem uderzyć kijem gada w kark i zabić go. Pełzał tak, że mogłem to uczynić, ale nie miałem odwagi, bo w tej chwili stał się znów gąsienicą. Pamiętasz, w czasach młodości miałem zawsze okropny wstręt do węży, liszek i larw, nimi brzydziłem się najbardziej. Starłem się to ukryć, ale wiem, żeś ty o tym wiedziała. Znów przesunął ręką po twarzy, oddychał z trudem.

– Tak więc stałem jak sparalizowany. Potem gad owinął się dokoła twojej nogi i znowu była to żmija, a ty leżałaś i spałaś spokojnie. Potem wąż wyprostował się, wysunął głowę i kiwał nią w obie strony, poruszając przy tym wysuniętym językiem... Nie wiem, jak mam to wypowiedzieć – była we mnie groza, ale zarazem pewna rozkosz, kiedym na to patrzył; tak jest, było tak, jakbym z rozkoszą czekał na to, aż cię ukąsi. Widziałem, że mogę łatwo złapać żmiję za szyję, lecz nie śmiałem. I... i... widziałem, że gad szuka miejsca powyżej twojej kostki, aby zatopić głęboko zęby... Na ten widok... odczułem radość. I wtedy wąż ukąsił.

Olaf urwał nagle, siedział z zamkniętymi oczyma i zagryzał wargi.

– Potem obudziłem się. – Usiłował mówić spokojnie, ale głos jego był niewyraźny. – Leżałem i dręczyłem się, jak to się często zdarza

człowiekowi we śnie: bo można śnić, że postąpiło się tak, jakby się nigdy nie zrobiło na jawie. Na jawie, wiesz przecież, zabiłbym gada. I na pewno nie stałbym jak wrośnięty w ziemię i nie patrzył, chociażby nawet mój najzaciętszy wróg leżał w trawie i wąż pełzał ku niemu; a już z pewnością nie odczuwałbym zadowolenia widząc, że kąsa... Niewiele było rzeczy na świecie, których bym nie uczynił dla ciebie, wówczas kiedy byliśmy dziećmi. Myślałem więc ciągle o tym śnie...

Urwał, wstał nagle, zatoczył się i odsunął o parę kroków. Odwrócił się ku ścianie, przywarł do niej, rozkrzyżował ramiona, przycisnął je do belek i wtulił w nie głowę.

Inguna podniosła się, stała jak rażona piorunem. Była świadkiem czegoś, o czym by nawet śnić nie śmiała. Olaf płakał. Nigdy nie przypuszczała, że on może płakać.

Mężczyzna łkał głośno. Dziwacznie szorstki i chrapliwy jęk wydarł mu się z piersi. Całą mocą opanował się i zamilkł, ale plecy jego trzęsły się, po ciele przebiegały drgawki. Po chwili łkanie wybuchło na nowo, z początku były to ciche, jęklliwe tony, potem znowu rozdzierający szloch. Oparł kolano o ławę i z czołem przywartym do ściany płakał, jak gdyby nigdy już nie miał przestać.

Nieprzytomna z przerażenia podeszła Inguna ku niemu, stanęła tuż za nim. Po chwili wahania dotknęła jego ramienia. Wówczas odwrócił się ku niej, objął ją i przygarnął do siebie. Padli sobie w ramiona, jakby oboje szukali oparcia i wargi ich, rozchylone i skrzywione od płaczu, spotkały się w pocałunku.

CZEŚĆ TRZECIA  
SZCZĘŚCIE OLAF  
SYNA AUDUNA

Hestviken było niegdyś siedzibą możnego rodu. Na wzgórzu opadającym ku morzu widać było jeszcze resztki wielu dużych szop, a tam, gdzie ludzie wyciągali wiosną i jesienią łodzie na ląd, wały się dotychczas zmurszałe okrągłaki. Wyglądały one jak szczątki starego pomostu dylowego, który wiódł od linii przyływu do łączki między nagimi skałami.

Potem chrześcijańska wiara i chrześcijański obyczaj nastały w Norwegii. Święty Olaf groził klątwą za wyprawy Wikingów i ludzie radzi nieradzi musieli uwierzyć, że Bóg nie znieśie, aby ograbiali brata w Chrystusie, chociażby nawet należał do innego narodu. Mężowie z Hestviken jeździli więc już tylko na wyprawy handlowe. Poza tym od najdawniejszych czasów na Hestviken budowano łodzie. Jeszcze Olaf Ribbung za swych najlepszych lat miał na dworze cieślę okrętowego, a gdy odbudował na nowo Hestviken – spalony przez Birkebejnowów dwór na wzgórzu i zabudowania przybrzeżne – kazał wznieść koło przystani szopy okrętowe, oba spichrze i szałas dla cieśłów, tak jak stały jeszcze teraz za czasów Olafa syna Auduna.

Wiosłując parę godzin z Haugsvik, miejsca, w którym się zbierano na tingi, w kierunku południowym, przybywa się pod wysoką ścianę: ta wielka, czerwonoszara, naga skała, opadająca stromo ku fiordom, bezdrzewna na samym szczycie, zowie się Bykiem. Hestviken wrzyna się poza nią w ląd małą, wąską zatoczką. Na północy ściana Byka opada prostopadle do wody; w dole pod skałą panuje ciemność i woda jest tu głęboka. Wysoko, na skalnym karku rośnie rzadki, rozkołysany wichrem las szpilkowy, gęstniejący w stronę lądu; skalne pogórze wybiega w

morze niby stopa niskiego pasma, które ciągnie się od północy nad całą zatoką i doliną Hestvik albo Kvern, jak ją też zowią, aż na wschód do wielkiej gminy. W dolinie pasmo to opada stromo nad łożysko strumienia. Płynię tędy niewielka rzeczulka, uchodząca wewnątrz zatoki do morza. Liściaste krzewy, trawa i kwiaty pienia się bujnie między spadzistą skałą a kamienistym piargiem, na grzbiecie zaś wzgórze rośnie gęsty bór sosnowy, przechodzący dalej na płaskowyżu w las liściasty. W tych czasach były to jeszcze rozległe dąbrowy, należące do Hestviken.

Skały od południowej strony zatoki nie sterczą tak wysoko i spadzisto nad fiordem. Spłaszczony wiatrem jałowce i głogi rosną w skalnych rozpadlinach, tu i ówdzie rozpościerają się płaty suchej trawy. Potem jednak góra wznosi się prostopadle, zwrócona stromą, niemal nagą i ciemną ścianą ku północy, a pod tą urwistą ścianą, zwaną Rumakiem, stoi dość wysoko dwór Hestviken. Od przystani nad brzegiem wiedzie do domów stroma ścieżka wzdłuż pól położonych na zewnątrz i zwróconych w stronę fiordu. W głębi, na zboczach, ciągnie się urodzajna ziemia. Posucha wyrządza tu na polach i łąkach mniej szkody niż gdzie indziej w okolicy fiordu Oslo, gdyż po stromej ścianie Rumaka ściekają tu i ówdzie drobne strużki wody, dzięki czemu ziemia jest raczej wilgotna. Niemal wszystkie pola Hestviken znajdują się na południowym skłonie zatoki i doliny, lecz zwrócone są na północ.

Dwór Hestviken był zbudowany w ten sposób, że zabudowani a stały w dwóch rzędach po dwu stronach podłużnego i wąskiego dziedzińca, w środku którego niby grzbiet sterczała łyssa skała. Między tą skałą i Rumakiem istniało niewielkie wgłębienie, ustawicznie wilgotne od wody sączącej się wzdłuż ściany Rumaka. Toteż budynki po tej stronie dziedzińca były zapadnięte i nieszczelne; dolne ich belki przegniły, wewnątrz był ziąb, a wilgoć ciągnęła górą i dołem. Latem jednak w tym wgłębieniu rosły pokrzywy i wszelakie zielska tak bujne, że sięgały

niemal darniowych dachów. Po tej stronie stały obory, stajnia i kilka zabudowań gospodarskich. Dalej ku wodzie, na północnym krańcu podwórza znajdowały się domy mieszkalne, kuchnia oraz spichrze. Nad fiordem piętrzył się Byk i zamykał widok.

Jeśli jednak doszło się do zachodniego krańca dziedzińca, można było stamtąd sięgnąć wzrokiem aż po okolice Hudsheim i daleko poza fiord na południe. Ilekroć dawniej zamieszki panowały w kraju, włódcy na Hestviken wystawiali strażę na górze, ponad skałą Byka. Stała tu jeszcze do tej pory lepianka będąca schronem dla straży po zluźowaniu.

W górnym kącie dziedzińca, zwrócona ku łąkom i dolinie Kvern, dość oddalona od reszty zabudowań stała stodoła – jedyna pozostałość starego dworzyszczca. Była ona wyjątkowo dużych rozmiarów, solidnie zbudowana z potężnych i grubych dylów. Inne domostwa były niewielkie, stawiano je niezbyt starannie ze słabszych pni. Ciężko było Olafowi Ribbungowi odbudować dwór po pożodze; poniósł wielkie straty, kiedy spłonęły spichrze stojące na przystani, wypełnione po brzegi towarem, a w tamtych czasach niełatwo było włódykom ściągać daninę od dzierżawców. Opowiadano w okolicy, że dawne, spalone domy w Hestviken były wspaniałe i obszerne. Stała tu świetlica, zbudowana z bali i kryta gontami, niczym kościół. Dwa rzędy rzeźbionych słupów podpierały wewnątrz dach, poza tym świetlica była wspaniale ozdobiona malowidłami. We dworze były kobierce, które wieszano na ścianach podczas uroczystych biesiad, błękitnie obrzeżone dywany oraz pas, który rozpinano pod pułapem dokoła wszystkich czterech ścian. Zrobiony był z wełnianej czerwonej tkaniny, haftowanej w śliczne obrazki. Z tego pasa pozostały jeszcze dwie części. Jedną podarowano kościołowi, druga zaś znajdowała się we dworze. Była ona tak długa, że starczyło jej na dwie ściany podłużne oraz na ścianę szczytową nowej izby, a mimo to powiadano, że jeszcze spory jej kawał zaginął: można więc wyobrazić

sobie różnicę między wielką starą świetlicą a izbą Olafa Ribbunga. Zresztą na nowym dworze nie przetrwało nic z dawnej świetności prócz rzeźbionego słupa, który – jak niosła wieść – wyrwał jeden z pachółków ku własnej obronie, gdy uciekał z płonącej świetlicy. Słup ten wbudowano w nowej izbie obok drzwi wiodących do komory.

Olaf syn Auduna poznał go w tej samej chwili, kiedy wszedł do izby, której nie widział od siódmego roku życia. Nigdy nie myślał o tej rzeźbie, nie wiedział nawet, że o niej pamięta. W chwili, kiedy ją dostrzegł, ogarnęło go wspomnienie... jak gdyby nadbiegł powiew wiatru i zaciemnił wodną taflę: to był rzezany słup jego dzieciństwa, widać na nim było postać mężczyzny wśród węzów, które skrętami wypełniały wgłębienia płaszczyzny rzeźby. Węże opasywały kończyny i tułów człowieka, a jeden z nich kąsał go w serce. Nogi wspierał ów mąż na harfie. Rzeźba wyobrażała zapewne Gunnara syna Gjukeses<sup>[31]</sup> w jaskini węzów.

Ta rzeźba była jedyną ozdobą izby, która poza tym wyglądała nie inaczej niż izba z paleniskiem w zwykłej kmiecej zagrodzie. Podłużna, czworokątna przestrzeń przedzielona była ścianą z desek biegnącą ku

[31] Gunnar syn Gjukeses – synowie Gjukeses są legendarnymi bohaterami dynastii Niflingów, mniej więcej identycznymi z królami Burgundów w sadze Nibelungów. Bracia mieli jedną siostrę Gudrunę – (Krimhilda), która poślubiła Sigurda Fafnesbane (Zygfryd). Trzej szwagrowie zamordowali go, chcąc posiąść skarb Fofów (skarby Nibelungów). Później wyszła Gudruna powtórnie za mąż za Atliego (Eetzel), króla Hunów, i zaprosiła braci do siebie. Atli kazał ich uwięzić i zamordować. Gunnara wrzucono do jaskini węzów. Potajemnie jednak dostarczono mu harfę, której struny trzącał palcami nóg, gdyż ręce miał spętane. Pod wpływem muzyki węże posnęły, tylko jedna żmija owinęła się dokoła niego i ukąsiwszy go poniżej serca, wwierciała się w ciało i zawisła u wątroby, póki nie zginął. Miała to być matka Atliego, zamieniona w żmiję. (Przyp. tłum.)

wschodniemu szczytowi w ten sposób, że oprócz izby znajdowały się tu jeszcze dwa mniejsze pomieszczenia: komora w głębi oraz przedsionek przed drzwiami wiodącymi na dziedziniec w najdalszym końcu domostwa – dla bezpieczeństwa wejście znajdowało się jak najdalej od morza. Pod drugim, przeciwległym szczytem, wbudowane były dwa łoża z ławą pomiędzy nimi, a wzdłuż obu ścian podłużnych biegingy ławy ziemne. Z ruchomych sprzętów stało tu jeszcze tylko kilka niskich, trójnożnych zydli, nie było nawet stołu przy drzwiach do przedsionka ani żadnego krzesła, ni ławy z oparciem. Tarcica służąca za stół wisiała na północnej ścianie, ale od śmierci Olafa Ribbunga nieczęsto jej używano.

Łoże w sąsiedniej komorze przeznaczone było dla gospodarzy. Olaf prosił jednak swego starego krewnego, Olafa syna Ingolfa, aby zatrzymał je nadal – on zajmie łożo w izbie od strony południowej; sypiał w nim jako dziecko.

Nie miał ochoty wprowadzać się do komory. Na widok otworu, który wiodł do ciemnego jak smoła pomieszczenia, ocknęło się w nim i ożyło wspomnienie dawnej dziecięcej odrazy do tej czarnej czeluści. Tam sypiał jego pradziad z obłąkanym synem i ilekroć Dritskjegg miewał napady furii, wiązano go i leżał wtedy w tej komorze, wyjąc, rycząc i rzucając się w ciemności. Dziecko nie odczuwało wówczas nawet zbyt wielkiej trwogi; była to raczej jak gdyby skupiona, cicha groza, bo do ataków Dritskjegga Olaf przywykł, odkąd jego pamięć sięgała. Obłąkaniec nie wyrządzał zresztą nikomu krzywdy, obawiano się raczej, że sam sobie coś złego zrobi. Chłopak nigdy nie wchodził dobrowolnie do komory; panował w niej straszliwy smród, zadzumiony fetor buchał każdemu w twarz przy samym zbliżeniu się do drzwi. Ojciec i wiekowa sługa Aasa starali się w miarę sił utrzymywać szaleńca w czystości, było to jednak nader trudne zadanie już choćby ze względu na mrok panujący w komorze. Zmieniali, gdy się tylko dało, słomę na posłaniu chorego i sypali świeżą ziemię na



podłogę tak często, że stary Olaf kazał ją od czasu do czasu zeszkrobywać i wyrzucać, gdyż podłoga stawała się nierówna i pogarbiona. To wszystko jednak niewiele pomagało.

Olaf syn Auduna przypominał sobie teraz zupełnie dokładnie dwóch starców, jak wyłaniali się z drzwi komory. Kiedy szaleniec po długotrwałym ataku, zmęczony walką uspokajał się, ojciec prowadził go na słońce, o ile była pogoda.

Najpierw wychodził z komory pradziad: olbrzym o gęstych, długich włosach i długiej, na piersi spadającej brodzie, z rzadka tylko przetkanej srebrnymi nitkami. Pradziad pomagał synowi, obejmując go za szyję i zginając ją, aby Dritskjegg nie uderzył głową o odrzwia. Obląkany nie miał bowiem na tyle rozumu, aby schylić się w razie potrzeby, tylko szedł na oślep przed siebie. Torgils Dritskjegg robił wrażenie niskiego, był bowiem skulony i krzywy. Włosy zarastały całą głowę, a broda podchodziła mu aż pod oczy. Wszystkie te kudły, pełne zeskorpiałego brudu, lśniły szarą żółtością we wszystkich brudnych odcieniach. Pośród kudłów błyszcząły niesamowite, wielkie oczy, jasne i szarozielone jak morska toń, o nabiegłych krwią białkach, pod nimi zaś wyskakiwał nos, mały, prosty i kształtny, lecz czerwony. Dritskjegg odmroził go sobie, gdy pewnego razu uciekł ojcu i przez całą zimową noc wałęsał się na dworze. Ilekroć jednak staremu Olafowi udało się zaprowadzić syna do łaźni, wyszorować go piaskiem i ługiem i wycesać, potężny kudłaty łeb Dritskjegga jaśniał srebrzyście i miękko, niczym pęk wełnistej trawy. Dritskjegg wyglądał o wiele starzej od ojca. Stary Olaf karmił go jak dziecko. Niekiedy potrząsał nim i bił go, aby go zmusić do otwarcia ust; kiedy indziej znów syn nie chciał ich zamknąć, a pokarm spływał mu po brodzie. Mięso oraz inną strawę, którą trzeba było gryźć, wmuszała ojciec w niego w ten sposób, że wsuwał Dritskjeggowi kęs do ust, po czym zbliżał własną twarz do twarzy syna i żuł z całych sił; wtedy zdarzało się, że szaleniec naśladował go i

zuł również. Aasa widząc to wzdychała. Miała być właściwie opiekunką młodego Olafa i sypiała z nim w łożu, ale i ona i pradziad dbali głównie o opiekę nad Dritskjeggiem. Tak więc tylko stary pacholek Koli zajmował się chłopcem. Odkąd Olaf pamiętał, nie mieszkał we dworze nikt inny, prócz tych czworga ludzi. Różni inni przychodzili i odchodzili; pracowali we dworze albo na dole, przy szopach nad brzegiem. Prawdopodobnie Hestviken już w tych latach zaczęło podupadać. A odkąd Olaf syn Ingolfa objął rządy, gospodarka na dworze szła coraz gorzej. W Hestviken prace dworskie nie były nigdy najważniejszym zajęciem. Lecz ani Olaf Ribbung w ostatnich latach życia, ani też Olaf syn Ingolfa nie wyzyskiwali morza tak, jak to było z dawien dawna w zwyczaju. Potem zaś prawowity dziedzic włości został skazany na banicję i pełnomocnicy króla wzięli w areszt większe statki należące do dworu. Olaf syn Ingolfa nie doszedł nigdy do tego, by wystarać się o nowe łodzie, nie udało mu się również podnieść hodowli bydła ani koni.

Olaf zrozumiał: spuścizna, jaka przypadła mu w udziale po śmierci ojca, była tak wielka, że był wówczas spadkobiercą wielkiej majątności. Nie wiedział jednak tego, Steinfinn zaś nie troszczył się zupełnie o jego sprawy. I majątek skurczył się znacznie jeszcze przed wygnaniem Olafa.

Teraz nie posiadał nic więcej prócz starej siedziby rodowej, kilku udziałów w wyżnich gminach oraz w Hudsheim, zaraz po drugiej stronie fiordu. Dziedziczny dwór w Elve po babce ze strony ojca sprzedał wówczas, kiedy musiał okupić pokój i uiścić grzywnę za zabójstwo Einara syna Kolbeina; miał jednak u mnichów w Dragsmark, którzy odkupili od niego przeważną część dworu, złożonych jeszcze tyle pieniędzy, że mógł zakupić wszystko, czego było potrzeba, aby znów podjąć pracę na morzu. W tym czasie mało który z mężów mieszkających w gminach dokoła fiordu Oslo posiadał dwór dziedziczny, nie podzielony i cały. Znaczna część majątków w tej okolicy dostała się w ręce wielmożów albo w ręce

króla i Kościoła. Mimo wszystko więc można było uważać Olafa syna Auduna na Hestviken za znacznego i zamożnego człowieka. I gdy po latach wrócił na rodowy dwór, przyjęto go tak, jak przystało.

Ludzie uważali, że przy przejmowaniu dóbr od starca, który był jego opiekunem i tak marnie sprawował dozór nad powierzonym mu majątkiem, Olaf okazał się człowiekiem wspaniałomyślnym. Nikt nie słyszał z jego ust skargi, a do swego krewnego i imiennika odnosił się z iście synowskim szacunkiem. Kiedy paru mężów starało się przekonać, co Olaf naprawdę sądzi, i pytali go, w jakim stanie znalazł swe posiadłości, odpowiedział po namyśle: w niedobrym. Nie mógł przecież oczekiwać czegoś innego po wyroku, jaki na niego wydano. We dworze tyle było roboty, że trudno, aby Olaf syn Ingolfa, który przecie był kaleką, potrafił jej sprostać. Jedna noga Olafa Półmnicha była złamana, zupełnie sztywna, a stopa była wykręcona na zewnątrz; utykał więc mocno i chodził o lasce, ciężko mu też było z tą sztywną, bezwładną nogą usiedzieć w siodle lub na łodzi.

Olaf syn Ingolfa miał ponad sześćdziesiąt lat i wyglądał jeszcze starzej, wyglądał na bardzo leciwego. Był wysoki, chudy i lekko zgarbiony; twarz miał wąską i kształtną, o pięknie wygiętym nosie. Młodszemu Olafowi wydawało się nieraz, że imiennik podobny jest do jego ojca, tak jak go sobie przypominał. Olaf syn Ingolfa miał jednak całkiem łysą czaszkę, czerwone powieki i żalosne spojrzenie, skóra zwisała mu w luźnych fałdach pod oczyma, na zapadłych policzkach i pod brodą. Przeciw reumatyzmowi w chromej nodze używał psich i kocich skór oraz różnych maści. Z tej czy innej przyczyny osobliwa woń, jakby myszy zapach, biła od starogo. Myszami czuć było również jego komorę. Był on synem bliźniaczego brata Olafa Ribbunga, księdza Ingolfa, proboszcza przy kościele Świętego Hallvarda w Oslo. Po ogłoszeniu nakazu, iż księża w Norwegii mają żyć w celibacie, ksiądz Ingolf odesłał swoją żonę do

dworu Tveit w Soleyar, który mu wniosła w posagu, i wszystkie dzieci poszły za matką prócz najmłodszego syna, Olafa. Miał on również być księdzem i został dopiero co wyświęcony na diakona, kiedy wydarzyło się nieszczęście, które uczyniło z niego kalekę. Zawsze wiódł życie pobożne i ludzie sądzili, iż rozumie się na wielu sprawach, tak że niektórzy uważali go za bardziej uczonego i pobożniejszego od własnego proboszcza. Zwłaszcza kiedy ludzi trapiły widma i upiory, na morzu czy na lądzie, kiedy nękała ich choroba, o której sądzili, że pochodzi od uroków lub od złośliwych duchów, szukali rady u Olafa Półmnicha, bo na tych rzeczach znał się lepiej od wszystkich innych.

Olaf syn Auduna zaprzyjaźnił się wkrótce ze swym imiennikiem, przede wszystkim dlatego, że był to najbliższy krewny i pierwszy mężczyzna z rodu ojca, z którym się spotkał. Dziwne wydało mu się żyć tutaj i wiedzieć, że to jest jego własny dwór dziedziczny i że ta gmina jest jego gminą ojczystą. Tutaj miał spędzić resztę życia i tutaj powinien był wyrósć, gdyby jego los nie był się tak osobliwie inaczej ułożył niż los innych młodzieńców. Rzucony już jako małe dziecko z dala od ojcowizny był od tej pory bezdomny i wyrwany z macierzystej gleby niczym kłoda pędzona po morzu.

Teraz powrócił tam, skąd kiedyś wyszedł. Oczywiście, pamiętał jeszcze dobrze wiele miejsc i w samym dworze i poza nim. Mimo to niejedna rzecz była tu odmienna niż to, co mu utkwiło w pamięci. W stronie młyna w dolinie pamiętał niemal wszystko, ale kiedy tam poszedł, nie mógł sobie wcale przypomnieć, co się znajdowało po drugiej stronie zatoki – ani skalnego Byka, ani lesistego wzgórza; nie pamiętał też wcale głuchej, wilgotnej doliny wzdłuż rzeczki, zarośniętej gęstym lasem liściastym, zupełnie jakby nigdy jej nie widział. Zapewne też nie pamiętał, jak wygląda północna strona zatoki; sądził, że jest tam gmina i zamieszkałe dwory, podobne jak dokoła jeziora Mjös. Tymczasem z

Hestviken nie było widać ani jednego ludzkiego osiedla. Zabudowania dworskie majaczyły mu w pamięci jako o wiele większe. A maleńki, wygładzony wodą, pełen muszli brzeg między nagimi skałami wydawał mu się ongi sporym kawałkiem ziemi, z wieloma szczególnymi znakami – wielki, sinawy głaz, na którym nieraz leżał, kilka krzaków, w których ukrywał się dawniej. Teraz widział, że ten pas nadbrzeżny ma wszystko zaledwie pięćdziesiąt kroków. Nieckowatego wgłębienia na łące naprzeciw dworu, gdzie często przesiadywał i grzał się w słońcu, nie mógł odnaleźć: może był to właśnie ów położony na wschód od stodoły, zarosnięty wikliną i olszyną dół? w skalnej bruździe na dziedzińcu znalazł pewnego razu osobliwy, śnieżnobiały pierścień, zapewne krąg jakiegoś ptaka lub ryby z odłamanymi końcami, jak sądził teraz. Wówczas jednak uważał krąg za coś niezwykłego; przechowywał go starannie i nieraz potem leżąc na ziemi dłubał w skalnych rozpadlinach, szukając więcej takich przedmiotów. Było to prawie jak wspomnienia dawnych snów; niewyraźne, w okrucinach i odłamkach przesuwają się przed nim przeżycia minionych lat, a wśród nich nawiedzała go od czasu do czasu pamięć jakiegoś na pół zapomnianego uczucia lęku, niby złego snu, z którego nie pamiętał już nic oprócz trwogi.

Tak więc czepiał się wszystkiego, co mu pomagało przebrnąć przez to uczucie niepewności, przez cienie i zwidy, i umacniało świadomość, że Hestviken jest jego dworem, i że chodząc po polach, ma pod stopami odziedziczoną po ojcach ziemię. Ściana Byka, lesiste wzgórze po obu stronach – wszystko to jest jego ziemią. I chętnie myślał, o tym, że mieszka obecnie pod jednym dachem z krewnym, rodzonym kuzynem dziada, który znał wszystkich mężów i niewiasty rodu z okresu męskiego wieku Olafa Ribbunga. Kiedy wieczorem siedział razem z krewnym w izbie przy piwie i stary opowiadał o przodkach, Olaf czuł wspólnotę ze swym rodem w sposób całkiem odmienny, aniżeli odczuwał ją kiedykolwiek

podczas pobytu w Danii u krewnych matki.

Towarzystwo starca pociągało go również dlatego, że Olaf syn Ingolfa był człowiekiem pobożnym i uczonym. A w tych tygodniach czekania, zanim miał podążyć na północ po Ingunę, było mu tak na duszy, jak gdyby składał obrachunek przed Bogiem.

Był przekonany, że gdy przybędzie na Berg, by pojednać się z Haftorem i otrzymać Ingunę z rąk synów Steinfinna, niełatwo mu przyjdzie okazać zupełny spokój i pogodną twarz. Trudno, tego nie mógł odmienić, a posiadanie Inguny było mimo wszystko rzeczą, której pragnął najbardziej: zdobędzie się więc chyba na tyle hartu, by nie dać niczego po sobie poznać. Nie mógł jednak obronić się przed tym, że zewsząd wylaniały się wspomnienia dzieciństwa – owa uspokajająca pewność, że oboje należą do siebie i zawsze muszą żyć razem. Myśl, że coś mogłoby stanąć między nimi, była wówczas tak daleka od nich, że ich serca nigdy nie czuły szczególnej radości ani zdziwienia z wzajemnej przynależności: uważali zawsze za rzecz samo przez się zrozumiałą, że ma być tak, jak niegdyś postanowiono. Czuli to aż do tego lata, kiedy złączeni uściskiem, ślaniając się ze szczęścia, wyszli z lat dziecięcych i niewinnych, przerażeni, ale zarazem wstrząśnięci radością z powodu nowej słodyczy, jaką jedno w drugim znalazło. Nie zastanawiali się, czy to, że się jej oddali, było dobre. Wtedy również, gdy otrzeźwiał na tyle, by stawić czoło wszystkiemu i wszystkim, którzy chcieli decydować o ich losie, czuł z niezachwianą pewnością, że oboje wygrają w końcu sprawę. Te wspomnienia nawiedzały nieraz nagle Olafa i ból uderzał w serce jak pchnięcie nożem. Teraz marzenie ziszczało się, ale inaczej, niż oczekiwał. A wspomnienie o sobie samym z owych lat było niby wspomnienie o innym człowieku, o chłopcu tak bezgranicznie dobrodusznym, że Olaf równocześnie litował się nad nim, pogardzał nim i zazdrościł mu gorąco: był wtedy dzieckiem nie znającym zdrady, nie wiedzącym, że ono samo

albo kto inny może nadużyć czyjegoś zaufania. Wiedział zarazem, że na ten ból duszy istnieje jedna jedyna rada: musi ukryć go tak, aby nikt, a przede wszystkim Inguna nie poznała tej tajemnej rany. Takie rozważania nachodziły go nieraz, kiedy siedział i gwarzył z tamtym Olafem; wtedy urywał nagle, w pół słowa. Stary nie zwracał na to uwagi, tylko gadał i gadał dalej, a młody siedział z wlepionymi przed siebie oczyma, z twarzą zaciętą i skrytą, póki starzec nie zagadnął go o coś i młody Olaf nie spostrzegł, że nie słyszał ani słówka z opowiadania krewnego.

I tak przygotowywał się do dźwignania brzemienia, jakie ponieść musiał, i do tego, by się nie skarżyć, jeśli Bóg w następnych latach ciężkie ześle na niego dopusty. Bez przerwy stało też przed nim wspomnienie pewnej jazdy na nartach i nocy w szałasie na hali. Nie mógł teraz jak gdyby pojąć, że to on sam jest mordercą, zdawało mu się raczej, że był tylko świadkiem porachunku między dwoma obcymi ludźmi. Ale że był nim naprawdę, o tym wiedział w jakiś osobliwy, obojętny sposób. I ten grzech był jego grzechem. Zabójstwo samo przez się nie było grzechem szczególnie ciężkim: nie zwałił tamtego w zasadzkę, młodzieniec sam ułożył sobie tę wyprawę i padł z bronią w rękę. A pomścić cześć białogłowy mieli w dawnych czasach prawo nawet niewolnicy, tak słyszał. Było to prawem i obowiązkiem męża, tak według ustaw Boskich, jak ludzkich.

Ale to, co potem nastąpiło...

I miał wrażenie, że ofiarowuje Bogu godną zamianę, prostując się i przygotowując do wzięcia na swe barki nieszczęścia Inguny. Nikt się nigdy nie dowie, jak mu to ciężko przychodzi. Chciał odtąd żyć bogobojnie i pobożnie, o ile to jest możliwe dla człowieka obarczonego nie wypowiedanym grzechem. Chciał postępować godziwie i rzetelnie wobec bliźnich, być miłosiernym dla biednych, brać w opiekę opuszczonych i bezbronych, czcić dom Boży i swego kapłana oraz wykonywać wszystko, co mu pod tym względem nakazywał obowiązek,

odmawiać codziennie w skupieniu i z uwagą pacierze, powtarzając często Miserere i rozważać dobrze słowa tej modlitwy. Zdawał sobie sprawę, że w dziecięcych latach zbyt mało uczono go chrześcijańskiej wiary; ojciec Vegard robił, co mógł, lecz przyjeżdżał do Frettastein tylko raz lub dwa razy w roku i pozostawał zaledwie tydzień, poza tym zaś nie było nikogo, kto by dopilnował, aby dzieci zmówiły choćby codzienne pacierze. Z pięknymi mądrościami zaś, jakie obły mu się o uszy na dworze biskupa Torfinna, stało się tak jak w owej przypowieści: w latach kiedy włączył się po świecie, tyle chwastu i perzu wyrosło w pszenicy, że zboże, ledwo kiełkujące, zostało przez nie zduszone. Po raz pierwszy zaświtało w Olafie coś w rodzaju skruchy z powodu zabicia Einara syna Kolbeina. Żałował wprawdzie kiedyś tego czynu, ponieważ tak źle odpłacił nim za dobroć biskupa Torfinna, a poza tym była to najgorsza sprawa, w jaką mógł się wtedy uwikłać; tak, wiedział również, że musi żałować, albowiem był to w istocie grzech, chociaż nie mógł zrozumieć, że aż tak wielki. Teraz jednak zaczął przeczuwać, że w przykazaniu Bożym „Nie zabijaj” tkwi głębszy sens i mądrość niż ta tylko, o jakiej dotąd słyszał: iż Bóg nie chce śmierci żadnego grzesznika. Na dzień tego przykazania tała się również troska o mordercę: morderca obnażał swoją duszę i narażał ją na działanie złych mocy, które teraz miały sposobność do niespodziewanego natarcia.

Obecnie więc mogło mu się bardzo przydać przebywanie pod jednym dachem z tak sędziwym i pobożnym człowiekiem jak Olaf Półmnic; krewniak mógł z pewnością być mu w wielu sprawach dobrym przewodnikiem. Psalmy pokutne na przykład – wówczas w Hamarze wyuczył się wielu u Asbjörna Allfeita i Arnvida, obecnie jednak uleciały mu niemal wszystkie z pamięci.

Olaf zaprosił mieszkańców gminy na biesiadę powitalną i oznajmił, że



żona, którą wkrótce do domu przywiezie, jest córką Steinfinna syna Torego i jego przybraną siostrą i że był z nią zmówiony już od najmłodszych lat. Zaraz gdy tylko rozejrzy się nieco w ojcowiźnie i zobaczy, jak sprawy stoją, ma zamiar jechać na północ po żonę. Ani słowem nie wspomniał, czy wesele już się odbyło, czy też odbędzie się dopiero tutaj i nie prosił nikogo ze wsi za towarzysza, chociaż jego krewny na pewno nie mógł się z nim wybrać. Ludzie spostrzegli szybko, że młody gospodarz na Hestviken jest natury nieco skrytej i wie dokładnie, ile chce powiedzieć; pytaniami niewiele da się z niego wyciągnąć.

Olaf zastanawiał się długo nad tym, czy wspomnieć o dziecku... Może wszystko przyszedłoby mu łatwiej, gdyby już z góry uprzedził o tym swoje otoczenie, lecz nie potrafił się przemóc. Poza tym dziecko mogło tymczasem umrzeć. Przyszło wprawdzie żywe na świat, ale niemowlęta umierają często, przynajmniej ludzie tak mówili. Może zresztą on i Inguna znajdą inne wyjście. Oddadzą dziecko po drodze komuś na wychowanie. To, co powiedział w pierwszej rozpaczy i zamęcie duszy, żeby Inguna podała jego jako ojca dziecka, uznał obecnie za pomysł szaleńca. Nie pojmował wprost, że mógł w ogóle wpaść na taką myśl: dziecko w ten sposób spłodzone przyjąć do rodowej wspólnoty! Gdyby przynajmniej była córką, można by ją oddać do klasztoru i nikt nie poniósłby zbyt wielkiej szkody przez to, że Olaf uznał ją za swoją. Inguna urodziła przecież chłopca! O, był wówczas pozbawiony zdrowych zmysłów z udręki i gniewu. Gotów był jednak przyjąć dziecko do swego domu, gdyby matka chciała je mieć przy sobie. Ta sprawa musi iść swoim biegiem. Nie miało sensu martwić się już teraz, z góry...

Mimo to wdrapał się pewnego dnia do małej izby na poddaszu, nad przedsionkiem i komorą. Przyszło mu na myśl, że gdyby Inguna chciała mieć syna w domu, dziecko z piastunką mogłoby tam zamieszkać. Kiedyś sypiały tu córki Olafa Ribbunga z dziewczkami służebnymi. Wiele

czasu minęło już, odkąd przebywały tu młode kobiety. Kurz i pajęczyna z dwudziestu co najmniej lat narosły swobodnie, myszy rozbiegły się z szelestem po łożu, gdy się do niego zbliżyły, aby zajrzeć, co w nim schowano. Stało w tej izbie parę starych prześnić, sięgających niemal do pułapu, oraz kilka kozłów, na których rozkładano dawniej tarcice służące za stół.

Poza tym znajdowała się tu skrzynia ozdobiona rzeźbionym herbem; poznał po nim, że należała kiedyś do matki. Otworzył ją. W środku leżało kilka szpul, wrzeczona i zgrzebła do czesania wełny oraz mała szkatułka. W szkatułce znajdowała się książka i szatki dziecięce z białego płótna – chrzestny strój, prawdopodobnie ten sam, w który go owinięto podczas chrztu. Przykucnął przed skrzynią i kręcił między palcami haftowany brzeg szatki.

Książkę wziął z sobą i pokazał ją Olafowi Pólmnichowi. Ale chociaż ten udawał zawsze, że umie równie dobrze czytać i pisać jak każdy ksiądz – o wiele lepiej od siry Benedykta, ich proboszcza – z księgi psalmów Cecylii córki Björna niewiele potrafił wyczytać. Olaf siedział wieczorami i przeglądał modlitewnik; w inicjały rozdziałów wmalowane były małe obrazki, a wzdłuż każdej strony wiły się delikatne czerwone i zielone pędy. Udając się na spoczynek schował książkę pod wezgłowiem i tam ją pozostawił.

Na parę dni przed wyruszeniem Olafa na północ zjawiała się w Hestviken jakaś uboga kobieta; chciała pomówić z gospodarzem, wyszedł więc do niej. Przez ramię miała przerzuconą pustą sakwę, zrozumiał więc od razu, co ją sprowadza. Najpierw powitała Olafa drżącym od płaczu głosem – z radości, jak rzekła: tak pięknie jest widzieć nareszcie prawowitego gospodarza w drzwiach domu!

– Wyrosłeś na urodziwego, książęcego męża, Olafie synu Auduna. Och, gdybyż Cecylia mogła teraz zobaczyć swego syna! Wiele dobrego opowiadają o tobie we wsi; zdawało mi się więc, że muszą tu przyjść i zobaczyć cię. Jedną z pierwszych ujrzałam cię na tym świecie: służyłam wówczas w Skildbreid i towarzyszyłam mojej pani Małgorzacie, kiedy przysła tutaj pomóc twej matce... Pomagałam jej zawinąć cię w pieluchy...

– Toś ty znała moją matkę? – spytał Olaf, gdy kobieta umilkła na chwilę, by zaczerpnąć tchu.

– Widzieliśmy ją kilka razy w kościele, zaraz z początku, kiedy Audun ją tu przywiózł. W ciągu zimy podupała bardzo na zdrowiu i nie pokazywała się wcale, dziewczki jej mówiły, że dom, w którym mieszka, jest za zimny. W końcu, aby nie marznąć, musiała przenieść się do izby, gdzie mieszkali dwaj starcy. Owej zimy i wiosny Torgils kiepsko się miewał. Pamiętam, w tę noc, kiedy przyszedłeś na świat, rzucał się straszliwie i trwało to już cały tydzień. Cecylia bała się go bardzo, leżała w łóżku i drżała, nawet Audun nie mógł jej uspokoić. To ją chyba złamało, a potem także i to, że zanadto marzła. Kiedy się nieco ociepliło, przeniósł ją Audun na poddasze spichrza; zrozumiał, że żona nie może znieść przebywania w jednej izbie z szaleńcem. Zaraz potem jednak umarła. Tyś miał wtedy zaledwie miesiąc...

Kobieta opowiadała dalej, że zwie się Gudrydą i mieszka w chatce, którą Olaf zauważył może jadąc do gminy: na północ od torfowiska, zaraz przed rozwidleniem drogi w górę do Rynjul. Najpierw wyszła za mąż za zacnego i poważanego chłopca, który miał małe gospodarstwo w gminie Saana. Z tym mężem nie miała dzieci. Kiedy potem umarł i jego brat ze swoją kobietą wprowadził się do ich domu, Gudryda nie mogła się z nim zgodzić, wyszła więc za owego Björna, z którym żyje dotąd. Nic gorszego nie mogła zrobić. Prawda, Björn nie był wówczas człowiekiem ubogim;

kiedy złożyli razem wszystko, co posiadali, mogli żyć wcale dostatnio. Björn był wdowcem i miał tylko jedną córkę, sądzili więc, że będą do siebie pasować; ona miała ochotę wyjść powtórnie za mąż i chciała mieć dzieci. Otóż to jedno spełniło się: miała ośmioro dzieci, pięcioro z nich żyje. Zaraz pierwszej zimy po ślubie przydarzyło się Björnowi nieszczęście; zabił człowieka i musiał zapłacić wielką grzywnę. Odtąd skończył się ich dobrobyt. Björn przebywa teraz przeważnie poza domem, na fiordzie, poluje na ptaki morskie, delfiny i foki albo wyprawia się na połów ryb dla Tora w Hvitastein, ona zaś siedzi w chacie z pięciorgiem drobnych dzieci i pasierbicą, która jest niedobra i uparta.

Cierpliwie wysłuchał Olaf potoku babskiego gadania i w końcu kazał kobiecie udać się z nim do spichrza. Już wcześniej przygotował wszystko do powitalnej uczyty i teraz mógł sownie obdarować Gudrydę.

– Gdyby w zimie było wam ciężko, przyjdźcie i powiedzcie nam o tym, matko!

– Bóg niech cię błogosławi, Olafie synu Auduna! Aleś podobny do matki, gdy się uśmiechasz! Taki sam łagodny uśmiech miała Cecylia. A jaka dobra była dla biednych!

Gudryda odeszła wreszcie.

Kiedy Olaf wrócił do izby, nie było w niej nikogo. Przystanął i zadumał się głęboko. Z nogą opartą na krawędzi paleniska, z rękami splecionymi na kolanie stał, utkwivszy oczy w niewielkim stosie zwęglonych drewn; tliło się w nim jeszcze i obumierający żar szeleścił i sykał cicho i dźwięcznie.

Matka – myślał i przypominał sobie tych parę rzeczy, które o niej usłyszał. Była młoda i piękna, jak opowiadano; wychowała się w bogatym klasztorze mniszek wzorem dziewczyc ze znamienitych rodów, jako towarzyszką zabaw królewskiej córki. I wprost z niewieściej komnaty

królowej przeszczepiono ją na ten samotny dwór, z dala od wszystkich, których znała. W tych ubogich, chłopskich izbach nosiła go pod sercem, podczas gdy kuliła się z zimna i żyła z dwoma prastarymi ludźmi: z szaleńcem, którego się bała, oraz panem dworu, który nie pochwałał nigdy ożenku wnuka. Jak jej tu było źle!

Twardo uderzył dłonią w udo. Nieznośnie musi być chyba kobietom, jeśli tak mało mają do powiedzenia o własnym losie. Żałował w tej chwili ich wszystkich: swej matki w jedwabiach i płótnie, żebraczki Gudrydy, Inguny. Niewiele mogły zrobić przeciwstawiając się twardym zrządzeniom losu. Inguna... Wezbrała w nim nagła fala tęsknoty i pożądania, pomyślał o jej białej, szczupłej szyi – biedaczka musiała się nauczyć zginać dumny, dziewczęcy kark. Najpierw z jego powodu; teraz z pewnością jest już zupełnie starta na proch. Ale on chce przytulić jej głowę do piersi, tkliwie i czule, chce ostrożnie głaskać jej biedny, szczupły karczek. Nigdy nie usłyszy od niego słówka o swoim nieszczęściu, nigdy nie da poznać po sobie słowami czy zachowaniem, że żywi jakąkolwiek urazę. W tej chwili istotnie nie czuł wcale żalu do tego bezbronnego stworzenia, które wkrótce mu będzie oddane. Nie pragnął niczego innego, jak wziąć ją w opiekę.

W ciągu dnia osiadł Olaf wierzchowca i pojechał na wschód do kościoła parafialnego. Nie zdawał sobie dobrze sprawy, czego tam szuka, lecz tego dnia umysł jego był jakby odmieniony. Przyjechawszy na miejsce, uwiązał konia do słupa i przez cmentarz poszedł do kościoła.

Złożył miecz i kapelusz na ławie biegnącej wzdłuż ściany, potem, jednak połą płaszcz przez nieuwagę stracił miecz na podłogę. Wzdrygnął się – głośne echo zabrzmiało wśród kamiennych murów. A światło w kościele było osobliwe, blade i nieprzytulne, bo mury zostały niedawno

świeżo otynkowane i dopiero latem miano je pokryć malowidłami. Audun i Cecylia spoczywali snem wiecznym na samym przodzie, po lewej stronie nawy, między ołtarzem Najświętszej Panny a prezbiterium. Kiedy Olaf klęczał na grobie i starał się jak najciszej odmawiać pacierze, wzrok jego zatrzymaj się na postaci, którą mistrz malarzkiej sztuki odtworzył na ścianie obok prezbiterium. Była to wysoka, smukła i uroczą kobieta, z opaską na oczach i ze złamaną trzcina w ręku. Jej postawa i wyraz twarzy, nawet kolor ciemnej szaty – wszystko tchnęło niewypowiedzianym smutkiem. Olaf widywał nieraz w kościołach podobne obrazy, ale nigdy nie przeszło mu przez głowę zapytać, co one oznaczają. Nigdzie jednak kobieta nie wyglądała tak smutno i nie była tak piękna, jak tutaj.

I nagle przypomniał sobie słowa biskupa Torfinna o dzieciach pozbawionych rodowej wspólnoty. Po raz pierwszy poczuł nieomal radość, że nie żądał od Inguny, aby rozstała się ze swoim dzieckiem. W tej chwili czuł nawet, że może myśleć o nim z pewnego rodzaju litością. Skoro Inguna miała już to dziecko, to chyba stać go na to, aby je wychować...

Wyszedłszy przed kościół ujrzał kapłana, sirę Benedykta syna Bessego, który stał obok jego konia. Olaf powitał go dwornie, a ksiądz odpowiedział życzliwie i wesoło na powitanie. Olaf bardzo lubił księdza, chociaż mało go dotychczas widywał. Ksiądz miał wygląd godny i stateczny; nie był wysokiego wzrostu, lecz barczysty i krępy. Rudokasztanowate włosy oraz broda tej samej barwy okalały twarz o śmiałych rysach, pełną piegów, szeroką, a mimo to kształtną. Wielkie błękitne oczy tryskały życiem. Olaf miał wrażenie, że ksiądz jest człowiekiem pobożnym, rozumnym i wesołym, a poza tym lubił bardzo sirę Benedykta za jego piękny, donośny i miły głos, gdy śpiewał lub mówił. Najpierw gwarzyli chwilę o wałachu. Olaf nabył go w Skaane. Koń miał siedem lat, był rośli i piękny, o silnych kończynach, siwej maści, z kilku ciemniejszymi, błękitnawymi plamami na zadzie. Olaf zawsze sam własnoręcznie czyścił

go i czesał, toteż skóra zwierzęcia aż lśniła. Bardzo kochał tego konia, miło mu więc było usłyszeć, że ksiądz poznał się na jego wartości. Potem sira Benedykt obejrzał starannie uprzęż z czerwono garbowanej skóry. Olaf ukrył uśmiech ksiądz zajmował się chętnie garbowaniem i farbowaniem skóry; praca ta sprawiała mu wielką radość. Była to właśnie jedna z rzeczy, które Olaf Półmnich wytykał księdzu. Podobne zajęcie nie przystoi kapłanowi, powiadał, musi przecież nurzać przy tym swoje poświęcone ręce w największym brudzie i nieczystościach. Sira Benedykt odpowiadał na to, że tego rodzaju nieczystość nie jest w oczach Boga grzechem, a ręce księdza po obmyciu są tak samo czyste jak przedtem. Nasz Pan sam okazał pokorę i uczcił pracę w ten sposób, że wziął topór i siekiereę ciesielską do tych samych błogosławionych rąk, które stworzyły i zbawiły ludzi, wyszedł na podwórze domu swego świętego opiekuna i ciosał belki. On więc z pewnością nie będzie uważał, iż jego skromny sługa poniża się, uprawiając szlachetną i trudną sztukę.

Ksiądz poprosił Olafa, by wszedł z nim do domu, a Olaf przyjął z podziękowaniem zaproszenie. Olaf syn Ingolfa kręcił również nosem na to, że we dworze księdza cuchnie niczym w szewskich budach w mieście. Tymczasem wewnątrz w izbie było schludnie i ładnie; była to izba o wiele większa niż w Hestviken. Trzy młode, pełne wdzięku dziewczyny wniosły masło, biały chleb i piwo, powitały gościa z uprzejmą życzliwością i zaraz wyszły. Były to córki proboszczowego siostrzeńca; najstarsza prowadziła gospodarstwo w księżym dworze, a dwie młodsze siostry przybyły do niej właśnie w odwiedziny.

Piwo smakowało wybornie i dwaj mężczyźni siedzieli przy nim sporą chwilę gawędząc o tym i o owym. Sira Benedykt przypadł Olafowi bardzo do serca. Wreszcie rozmowa zesła na Olafa syna Ingolfa i ksiądz zaczął chwalić młodego gospodarza za to, że okazał tyle krewniczkiej wyrozumiałości komuś, kto tak źle pilnował jego majątku. Olaf

odpowiedział, że największą winę za zły stan gospodarki w Hestviken ponosi jego własna niespokojna młodość. Stary robił, co było w jego mocy, był przecie niedołężnym i słabym kaleką. Zauważył i tak, że Olaf Półmnich jest niezwykle mądrym i świątobliwym człowiekiem.

– Kto, ten szalała? – rzekł ksiądz. Olaf nic nie odpowiedział. Ksiądz podjął:

– Przydałoby mu się, aby został świątobliwym! Gdyby tak sądzić wedle druhów, co za młodych lat z nim się kumali, to dalibóg, swoją świątobliwością nie ma się co chwalić. A gdyby miał rozum, myślałby i mówiłby raczej o Chrystusie i Najświętszej Pannie, a nie o gusłach i czarach, o wodnikach i strzygach. Raczej by się modlił, zamiast zaklinać i mamrotać pogańskie formułki; rad bym wiedzieć, czy wiele z tego, co robi, nie jest po prostu kacerstwem. Nie dziwota, opuścił szkołę jako niedouczony kleryk, a i to, czego został nauczony, pojął na opak. Może to być nawet rozrywką słuchać wieczorami od czasu do czasu jego bajania. Ty jednak, Olafie, wydajesz się rozsądnym człowiekiem i nie wierzysz chyba w to wszystko, co on prawi?

„Aha – pomyślał Olaf – teraz dowiem się czegoś.” Właściwie zdawał sobie sprawę, że żywił już podejrzenie, iż tak właśnie rzeczy się mają. Odezwał się głośno z uśmiechem:

– Zdaje mi się, że niezbyt wielka panuje przyjaźń między tobą a moim krewniakiem?

– Nie mogłem go nigdy ścierpieć – odparł ksiądz – ale nie tylko dlatego, że jest przybranym bratem tych ludzi, którzy jak najgorzej postąpili ze mną i moimi... Nikt z nas nie był niechętny innym mężom z Hestviken: byli dzielni i prawi – wszyscy, prócz niego. Przecież sam widzisz, Olafie. Ciebie polubiłem od razu, od pierwszego wejrzenia i pragnąłem ci dać do zrozumienia, że życzę ci wszystkiego dobrego i uważam, że powinniśmy porzucić tę starą niechęć między Eiken i Hestviken, że powinniśmy o niej



zapomnieć. Nie powiem, żebyśmy kiedykolwiek uważali Olafa Ribbunga i jego synów za naszych wrogów, lecz ustępowaliśmy sobie wzajemnie z drogi, ile się tylko dało; nie ma w tym chyba nic dziwnego.

Olaf zaczął wycierać piwo, które rozlało mu się po kaftanie i nie podnosząc oczu zapytał:

– Nie wiem, o co ci chodzi, księżu. ”Wróciłem dopiero niedawno do domu i nie wiem, co się tu dzieje. Nie słyszałem nigdy o tej nienawiści między naszymi rodami.

Sira Benedykt zdawał się wielce zdziwiony, stropił się nawet z lekka:

– Byłem pewien, że Olaf Półmnich opowiadał ci o tym... Olaf potrząsnął głową.

– W takim razie wolę ci sam powiedzieć. – Ksiądz siedział chwilę, zatopiony w myślach, trącając małą grzanekę z sera, która pływała w misie z piwem, i posuwając ją wokół naczynia.

– Czy przyjrzałeś się tym pięknym dziewczątkom, co tu były w izbie, Olafie?

– To prawda, bardzo są urodziwe. I gdybym nie miał młodej narzeczonej, która czeka na mnie w Oplandii, pewnie lepiej użyłbym moich oczu, kiedy twoje siostrzenice weszły tutaj – odparł Olaf uśmiechając się z lekka.

– O ile zrozumiałem – rzekł ksiądz, uśmiechając się także jak gdyby z zakłopotaniem – nie wiesz o tym, że są one twoimi krewnymi i w dodatku bliskimi?

Olaf spojrzał wyczekująco na księdza i milczał:

– Jesteście w trzecim stopniu z sobą spokrewnieni. Torgils Dritskjegg był ojcem ich ojca. Zmarnował moją siostrę...

Twarz Olafa ściągnęła się mimowolnie ze zgrozy. Sira Benedykt dostrzegł to, zrozumiał, co młody człowiek miał na myśli, i rzekł:

– Nie, to się stało, zanim Bóg, a raczej szatan, któremu był posłuszny,

póki go wabiły grzech i chuć, pomieszał Torgilsowi rozum. Bogu jednemu wiadomo, że nie jestem niesprawiedliwy, mówiąc o Olafie Półmnicu. On i Torgils wyrosli razem i Olaf w każdej chwili stał przy nim wiernie. Olaf Ribbung chciał zmusić Torgilsa, aby ożenił się z Astrydą. Olaf był odważnym, zacnym i niezawodnym człowiekiem i kiedy Torgils chciał porzucić Astrydę z bękartem, a sam zabawiał się w Oslo z nałożnicą i zamierzał ją poślubić, Olaf Ribbung wygnał syna i zakazał mu wracać do rodzinnej wsi. Ingolf, twój dziad, córki Olafa i jego zięć, Ivar Staal – wszyscy oświadczyli, że nie chcą siedzieć przy jednym stole z Torgilsem ani mówić z nim, póki trwać będzie przy swym zamiarze. Torgils udał się jednak do księdza Ingolfa, ojca Olafa. To, że go tam przyjęto, było jeszcze większą hańbą. Jeden był księdzem, drugi zaś miał nim zostać. Skończyło się więc tak, że mój ojciec i bracia przyjęli grzywnę i pogodzili się z mężami z Hestviken, rozumiejąc, że ani Olaf Ribbung, ani Ingolf nie potrafią przekonać Torgilsa i skłonić go do naprawienia krzywdy wyrządzonej Astrydzie. Tak było słuszniej i bardziej po chrześcijańsku – to prawda. Gdybym ja był wówczas dorosły i władał bronią, wiem, że nie wcześniej bym spoczął, póki nie zgładziłbym Torgilsa. Zrobiłbym to, choćbym nawet był już kapłanem poświęconym służbie Bożej. Nienawidziłem tak strasznie tego człowieka... Bóg zna moje serce i On wie o tym. Lecz On wie również, że rzeczą najcięższą, jakiej może żądać od mężczyzny, jest ta, gdy nie wolno mu pomścić krwawo hańby swej krewnej. Miałem dziesięć lat, kiedy się to wydarzyło. Astryda zastępowała mi wówczas matkę, była najstarsza z rodzeństwa, a ja byłem najmłodszy. Owego lata spałem z nią w jednym łóżku. Płakała i płakała, aż dziw, że nie zapłakała się na śmierć. Naprawdę, powiadam ci, Olafie, męża, który podobną rzecz wybaczył całym sercem, nazwę świętym.

Książdz umilkł. Olaf nasłuchiwał i czekał, niemy jak głaz. W końcu jednak osądził, że musi przerwać milczenie.

– A co się stało z twoją siostrą? – zapytał cicho. – Czy umarła?

– Osiem zim minęło od jej śmierci, dożyła późnej starości. Parę lat po tym zdarzeniu wydano ją za mąż, za Kaarego syna Jona na Roaldstad, i była z nim szczęśliwa. Nasz ojciec postąpił z nią zbyt okrutnie, nie mógł ścierpieć nawet widoku jej dziecka.

Gdyby chodziło jeszcze o dziecko innego mężczyzny, ale że jego córka powiększyła grono nałożnic Torgilsa! Kaare natomiast był dobry dla obojga, on sam postarał się później o dobry ożenek dla pasierba z dziedziczką na Hestbaek. A kiedy nieszczęście nawiedziło Olafa Ribbunga i jego ród zaczął wygasać, Olaf posłał gońca do Astrydy; jeśli odda mu syna Arnego, przyrzeknie mu dziedzictwo i przyjmie go do rodowej wspólnoty. Kaare odpowiedział jednak, że chłopcu nie potrzeba już teraz poparcia krewnych po mieczu i że tak on jak i Astryda za bardzo miłują Arnego syna Torgilsa, aby go posłać do Hestviken po to, by dziedziczył szczęście mężów tego rodu. Wtedy Olaf sprowadził Aasę, służącą niegdyś we dworze, wraz z synem, którego miała z Torgilsem. Niedługo jednak żył on na świecie... Stare to są dzieje i wydaje mi się, że możemy dziś zapomnieć o niechęci, a wy młodzi powinniście wprowadzić krewniaczy obyczaj i zażyłość. Zdaje mi się, że wy obaj, Arne na Hestbaek i ty, przypadniecie sobie do serca. Musisz kiedyś wybrać się tam ze mną, Olafie, i odwiedzić krewnych, których masz w tych stronach.

Olaf odrzekł, że zrobi to jak najchętniej. Po czym zapytał:

– To, coś powiedział o nieszczęściu mężów z Hestviken – co miałeś przez to na myśli?

Książdz zmieszał się z lekka:

– Wiesz przecież, że twój pradziad niewielkiej dożył pociechy ze swego rodu. Było to w tym czasie, kiedy żył sam z obłąkanym synem na Hestviken, wszystkie inne dzieci stracił – oprócz Borgny, która była w klasztorze – i nie zostawił żadnego ślubnego dziedzica, poza tym małym

chłopaczką, Audunem, twym ojcem; tego zaś zabrała z sobą wdowa po Ingolfie, kiedy wracała na południe do okręgu Elve, skąd przybyła. Dlatego Kaare i Astryda twierdzili, że być może po nim ród nie będzie mógł już rozkwitnąć.

Olaf powiedział zamyślony:

– To prawda, siro Benedyckie, ludźmi szczęśliwymi nie byli, sądząc z tego, co mój krewny o nich opowiadał.

– Byli ludźmi śmiałymi i wiernego serca, Olafie, a to jest warte więcej od szczęścia.

– Ale nie Torgils – przerwał Olaf. – O nim nie słyszałem nic podobnego. Wiem o nim tylko tyle, że zawsze był niespełna rozumu. Stary Olaf nigdy go nie wspominał.

– Jakkolwiek gorąco go nienawidziłem – odparł sira Benedykt – to jednak chcę ci o nim powiedzieć prawdę. Był to człowiek odważny i dotrzymywał mężom wiary. Wszyscy powiadają zgodnie, że piękniejszego młodzieńca nie widziano w tych stronach koło Folden, odkąd pamięć ludzka sięga. Tak, to nawet dziwne, że ty spodobałeś mi się tak bardzo zaraz od pierwszej chwili, chociaż podobny jesteś do Torgilsa. Arne jest podobny do ojca, i córki również. Sądziłem, żeś to zauważył, kiedy tu weszły: wszystkie trzy są do ciebie tak podobne, że mogłyby być twoimi siostrami. Wszyscy macie małe, proste nosy i mleczną cerę, i te śliczne, jasne włosy. Pewnie, tak urodziwe jak on nie jest żadne z was: choć go nienawidziłem, muszę ci wyznać, że piękniejszego mężczyzny nie widziałem nigdy. I na pewno prawdą jest to, co powiadają: że nie miał potrzeby nastawać na cześć niewieścią albo uwodzić kobiety czarnoksiężskimi sztuczkami i fałszywymi słówkami. Same uganiały się za nim. Były jak urzeczone, zaledwie spojrział na nie tymi dziwnymi zielonomodrymi oczami. Tak, ty masz te same jasne oczy, Olafie!

Olaf musiał się roześmiać i śmiał się długo, usiłując śmiechem

przepłoszyć niesamowity ucisk, jaki mu nagle legł na sercu.

– Nie, księżu, nie mogę przecież być tak bardzo podobny do mego krewniaka Torgilsa, przynajmniej jeśli chodzi o oczy. Ja nigdy nie widziałem, żebym miał szczęście u kobiet.

– Podobny jesteś do niego, Olafie, chociaż nie tak piękny, a te jasne oczy masz i ty, i moje dziewczątka. Dzięki Bogu w waszych oczach nie ma owej złej, urzekającej mocy. A co do tej gadki, że nieszczęście prześladuje pewne dwory i rody – możliwe, że naprawdę tak było w czasach pogańskich. Ty jednak jesteś na tyle mądry, aby oddać życie i los w ręce Boga Wszchemogącego i nie wierzyć w podobne brednie. Bóg niech ci będzie miłościw, mój Olafie, życzę ci szczęścia i zadowolenia z ożenku i oby twój ród zaliczał się odtąd do szczęśliwych.

Książd przepił do niego. Olaf zrobił to samo, nie potrafił jednak nic powiedzieć. Książd Benedykt przyprowadził teraz córki Arnego: Sygne, Unę i Torunę, i Olaf przywitał swoje krewne pocałunkiem. Dziewczęta były tak miłe i skromnie wychowane, że Olaf czuł się coraz bardziej swobodny i długo jeszcze siedział z nimi i rozmawiał z ochotą. Oświadczyły, że pewnie nie będą mogły przyjechać do niego na biesiadę powitalną, gdyż właśnie wtedy będą prawdopodobnie na wielkim weselu w swoich stronach. Natomiast w jesieni wrócą do księdza i pozostaną u niego jakiś czas; wówczas przyrzekły odwiedzić także Olafa i jego małżonkę.

Olaf czuł głęboką rozterkę duchową, kiedy wracał konno do domu. To, że właśnie tego dnia coś go popchnęło, by udać się do kościoła, i że tam spotkał sirę Benedykta i usłyszał tę historię o bracie swego dziada i siostrze księdza – wydało mu się zbyt dziwne, by miał uważać to tylko za zwykły przypadek.

Sprawa bowiem wyglądała tak, że jedynie biskup mógł go rozgrzeszyć z zabójstwa Teita, ale mógł się najpierw z tego wyświadczyć u siry Benedykta. Z trwożnym dreszczem rozumiał, jak niezmiernie mu na tym zależy.

Wiedział teraz: jeśli uklęknie u stóp siry Benedykta i wyzna mu szczerze, że on, Olaf, jest ukrytym zabójcą, jeśli mu wytłumaczy, jakim sposobem nim został, wówczas znajdzie przed sobą sługę Bożego, który będzie dla niego nie tylko duchownym ojcem. Ten kapłan zrozumiałby go, tak jak ojciec rozumie rodzzonego syna.

Miłował biskupa Torfinna, bo ów mnich z Tautra pozwolił mu wejrzeć w bogactwo, mądrość i piękno świata, o którym przedtem słyszał tylko jak o czymś obcym i dalekim. Chrześcijaństwo było dla niego potęgą, podobnie jak prawa kraju i król. Olaf wiedział, że ono ma kierować jego życiem i poddawał się temu bez oporu, z czcią i uczuciem, że człowiek musi pozostać wierny tej nauce, jeśli chce żyć między równymi sobie i patrzeć im bez wstydu prosto w oczy. W biskupie Torfinnie widział człowieka, który mógł go wziąć za rękę i poprowadzić ku służbie i miłości, zapewniającej szczęście i poznanie samego siebie. Jakim stałby się, gdyby mu dane było przez dłuższy czas iść za biskupem, nie wiedział. Teraz biskup pozostał dla niego orędownikiem zstępującym z wieczystych wyżyn, on zaś był jak dziecko, które niewiele rozumiało z tego, na co ten ktoś chciał mu otworzyć oczy, zanim samo nie stworzyło wokół siebie takich warunków, że musiało się usunąć z drogi dobrego nauczyciela.

Arnvida lubił, lecz byli tak odmienni, że Olafowi jego pobożność wydawała się czymś, czego nie rozumiał w przyjacielu. Arnvid był skryty, Olaf czuł to, chociaż tamten nie był wcale milczący, przeciwnie, jego gadatliwość była jakby częścią ciągłej gotowości do okazania komuś pomocy. Niekiedy Olaf uświadamiał sobie, że zawsze on był tym, który brał, a Arnvid tym, który dawał – lecz Arnvid syn Finna miał taką

naturę, że Olaf nie czuł się wskutek tego bynajmniej upokorzony; mógłby jeszcze więcej otrzymać od Arnvida, a pomimo to pozostałoby bliskimi przyjaciółmi. Arnvid znał go na wylot, tak się zdawało Olafowi, i kochał go mimo to, on zaś nie znał wcale Arnvida, a jednak go miłował.

Niemalą również przyjemność sprawiało mu słuchanie Olafa Półmnicza, gdy mówił o sprawach duchowych. Wszystko, co bąkał stary o aniołach i diabłach, o duchach podziemi, o wodnikach, krasnoludkach i czarodziejkach, o świętych mężach i niewiastach, o upiorach i cudach, pochodziło jakby z innego zupełnie życia niż to, w którym przebywał obarczony trudnościami Olaf. Nawet Matka Boża stawiała się w opowiadaniach starego czymś w rodzaju królewskiej córki z baśni – była najcudniejszą różą w raju, ale ten raj był również w opowiadaniu starego Olafa nieskończenie odległy od tej strony ziemi, gdzie się znajdował Olaf syn Auduna.

Sira Benedykt był pierwszym spotkanym dotychczas człowiekiem, w którym Olaf ujrzał samego siebie. Ten człowiek przeszedł tę samą walkę, którą on teraz ze sobą toczył. Sira Benedykt zwyciężył, był bogobojny, silny i umocniony w wierze. I Olaf czuł, jak w żyłach jego pulsuje nadzieja i tęsknota... Trzeba tylko zdobyć się na odwagę. Modlić się o hart ducha, jak mówił ojciec Vegard, bez ukrytej myśli: Boże; nie wysłuchaj mojej modlitwy od razu.

Większą część nocy przeleżał bezsennie. Zdawało mu się, że wreszcie zrozumiał jasno: we wszechświecie od zarania czasów wre bój między Bogiem i Jego przeciwnikiem i wszystko, co ma życie, duszę lub rozum, walczy w jednym albo w drugim zastępie – świadomie czy nieświadomie: aniołowie i duchy ciemności, ludzie tutaj, na ziemi, i zmarli po tamtej stronie. Tchórzostwo człowieka jest przede wszystkim przyczyną, że

diabłu udaje się zwabić go na swą stronę. Człowiek obawia się, że Bóg mógłby żądać od niego zbyt wiele, mógłby żądać, aby mówił prawdę, która z trudem przechodzi mu przez usta, albo zęby wyrzekł się ulubionej rozkoszy, bez której, zdaje mu się, nie potrafi istnieć: zysku i dostatku, radości czy szacunku bliźnich. W takich chwilach zjawia się prastary rodzic kłamstwa i usidla duszę człowieka odwieczną złudą: iż żąda mniej od swych sług i lepiej do czasu ich wynagradza. Olaf wiedział, że musi teraz wybrać, czy chce służyć w jednym, czy też w drugim hufcu.

Kiedy nazajutrz wyszedł z izby, na dworze panowała chmurna, mglista pogoda. Ogarnęła go mgła kurzawą drobnych kropelek, chłodziła rzeźwiąco twarz, zwilżała wargi po bezsennej nocy.

Wspiął się na wzgórze na zachód od dworu, gdzie stok łysymi skałami i pełnymi kwiatów wrębami zwisał półkoleście nad otwartym fiordem. Olaf przyzwyczał się co rano kierować tam swoje kroki, stać chwilę i wypatrywać pogody. Z wolna zaznajamiał się z mową fiordu. Dziś panowała na nim cisza. Lekka fala pluskała o gładkie ściany Byka, lśniła białym błyskiem we mgle, w miejscach, gdzie bryzgały w górę czuby piany za każdym podmuchem morskiego wiatru. Drobne strugi wody sączyły się między kamieniami na wybrzeżu, lizały wieniec alg prosto pod nim, tam gdzie naga skała ześlizgiwała się w morze; ożywcza woń słonej wody biła ku niemu.

Olaf stał nieruchomo, zapatrzony w wodę i nasłuchiwał cichego szmeru fiordu. Tymczasem mgła zgęstniała tak, że przesłoniła mu niemal cały widok.

Dawno już zrozumiał, że popełnił potworne głupstwo, nie zgłaszając zabójstwa zaraz na pierwszym dworze, napotkanym w gminie na swej drodze. Gdyby to uczynił, kto wie, czy skazano by go na pokutę za morderstwo; przyznano by może, że czyn Teita był podły, gdyby krewni Inguny zaświadczyli, że on, Olaf, posiadał wcześniejsze prawa do



niej. Obecnie od tak dawna już roztrząsał tę rzecz, że nawet sobie nie przypominał, co właściwie myślał, kiedy postanowił milczeć i wymazać doszczętnie ślady zbrodni. Naprawdę jednak sprawa miała się tak, że zmusił się do wierzenia, iż w ten jedynie sposób hańba mogła zostać ukryta. Nikt bowiem nie śmiał się dowiedzieć, że zgładził Islandczyka, bo wówczas – tak rozumował – nikt też nie dowie się, że Inguna popadła przez Teita w niesławę. Wydawało mu się teraz wprost niepojęte, że mógł myśleć tak głupio.

Siedział więc we własnym potrzasku. Jeżeli nie przyzna się do popełnionego czynu, tak żeby prawu stało się zadość, biskup nie udzieli mu nigdy absencji za zabójstwo. Obecnie czyn stał się przecież morderstwem skrytobójczym, zatajoną zbrodnią i nigdy już nie będzie niczym innym.

Za nim ciągnął się jego dwór, uprawne pola wzdłuż doliny Kvern, las na zboczach po obu stronach Hestviken – hen, jak okiem sięgnąć, wrzynały się w mgłę jego posiadłości. Szopy nadbrzeżne, przystań. Widział swoje łodzie na dole, w zatoce; niosła się ku niemu woń sieci i dziegiu, rybich odpadków, słonej wody i mokrego drzewa. Daleko stąd na północy jest Inguna, Bogu wiadomo, jak jej się teraz wiedzie... Wyrwać ją z nieszczęścia, sprowadzić tutaj, zapewnić jej schron – oto pierwszy obowiązek, jaki go czeka.

Nie! To brzemie, które z głupoty władował sobie na barki, musi ponieść sam dalej. Nie sposób zrzucić je teraz. Może będzie musiał dźwigać je tak długo, aż ujrzy przed sobą otwarte wrota śmierci... Może się zdarzyć, że umrze nagle – śmiercią gwałtowną... Musi się i na to odważyć. Nie może cofnąć się, iść z powrotem do miejsca, gdzie zbłądził. Musi wciąż iść naprzód...

Z takimi myślami pojechał na północ. Przybywszy do Berg, dowiedział się od Arnvida, że Inguna chciała odebrać sobie życie. W sześć tygodni później wrócił po raz drugi na ojczysty dwór w Hestviken – z żoną.



Morze iskrzyło się i srebrzyło pod rozprażonymi skałami Byka, w owej południowej godzinie, kiedy Olaf na przystani prowadził na ląd Ingunę. Było to nazajutrz po świętym Lavransie<sup>[32]</sup>.

Woda chlupotała pod łodzią, uderzała o fale pomostu, powietrze przesycone było zapachem soli, morszczyń, dziegciu, rybich wnętrzności i zgniłych przynęt. Pośród tych wszystkich woni czuło się zapach kwiatów, zapach lotny, słodki i ciepły. Olaf wyczuł go i zdumiał się, bo ta woń była mu dobrze znana. I zaraz wezbrały w nim wspomnienia, chociaż nie wiedział, co tu tak może pachnieć... Zatoka Wikingów i dwór w Høvding stały nagle jak żywe przed nim – miejsca zapomniane, odkąd je porzucił, by pociągnąć do jarła. I nagle już wiedział, co tak pachnie: lipy. Gęsty, daleki wiew, niby potoki kwietnego pyłku i miodu. Gdzieś w pobliżu musiały rosnąć kwitnące lipy.

Zapach spotęgował się, gdy zaczęli wchodzić na zbocze. Olaf nie pojmował tego; nigdy nie widział w Hestviken lip. Gdy jednak stanęli na dziedzińcu, spostrzegł, że na stromej ścianie skalnej poza stajniami rośnie lipa. Czepiając się mocno skalnych szczelin, przyłgnęła płasko do głazu i zwiesiła nisko gałęzie. Sercowate ciemnozielone liście zachodziły na siebie, niby gonty kościelnego dachu, skrywając woskowszłote liście kwiatów. Olaf widział je patrząc na drzewo z dołu. Były one nieco przywiedle i brunatnawe, również zapach ich był z lekka dławiący i

[32] Świętego Lavransa – 10 sierpnia. (Przyp. tłum.)

nieświeży. Rój pszczoł, trzmieli i niezliczonych much wirował tam w górze, bzykał cicho, przenikliwie.

– Ach, Olafie, co tu pachnie tak słodko? – spytała Inguna zdziwiona.

– To lipy. Pewnie nie widziałaś jeszcze nigdy lip. Nie rosną w Oplandii.

– Ależ tak. Przypominam sobie. Jedna lipa stoi w ogrodzie dominikanów w Hamarze. Nie widzę jednak tu nigdzie drzew.

Olaf wskazał na skały.

– Te lipy, co tu rosną, wyglądają inaczej niż drzewa sadzone na równinie.

Przyszła mu na myśl ogromna, mocna lipa na dziedzińcu zamku w Hövding; blade jak wosk, zroszone miodną osiedzieliną kwiaty wisiały w koronie drzewa niczym pod kopułą. Ilekroć zakwitła lipa w Hövding, zawsze ogarniała go tęsknota, ale nie za Frettastein, Hudrheim, czy jakimkolwiek miejscem, gdzie zaczęły się toczyć jego losy. Ożywało w nim raczej na pół zgaszone wspomnienie lat dziecięcych. Przypominał mu się chyba wtedy zapach lipy, chociaż nie pamiętał wcale lip w Hestviken...

Przed zachodem słońca siedł Olaf doliną Kvern; chciał obejrzeć pola na górze. Zapach lip był ciężki i mocny. Olaf siedł powoli, słodcz kwiecica lipowego jak gdyby mu ciążyła. Czuł się zupełnie bezsilny ze szczęścia... w tej chwili zauważył, że wszędzie na północnym stoku rosną lipy.

W dolinie słońce już zaszło i rosa zaczęła opadać, kiedy Olaf zawrócił w stronę domu. Siedł przez ogrodzone zarośla i przypomniał sobie niewyraźnie, że niegdyś były tutaj łąki, które koszono. Teraz krzewiły się bujne olszyny, w krzakach i liściach chrzęściło i chrobotąło, kiedy krowy torowały sobie drogę poprzez gąszcz. Z cudacznych istic zwierząt składało się stado w Hestviken; krowy miały długą sierść, obwisłe

brzuchy, koślawe kończyny i dziwacznie wykręcone rogi, wielkie łby i smutne oczy, większość miała tylko trzy dójki, albo też wymię w inny sposób zwyrodniałe. Olaf klepał swoje smętne zwierzęta po głowie i przemawiał do nich serdecznie, kiedy przechodził koło stada.

Na drodze poza stodołą ukazała się Inguna, wysoka i smukła jak trzcina, w niebieskiej sukni, w falującej chustce na głowie. Cicho, jakby z wahaniem, stąpała miedzą na skraju pola. Baldrian i żarnowce, przekwitłe już prawie, sięgały jej po pas zwierając się za każdym krokiem. Wyszła Olafowi naprzeciw.

Kiedy się spotkali, wziął ją za rękę i poprowadził ku domowi. Goście mieli przybyć dopiero nazajutrz. Tego wieczora tylko oni oboje i stary Olaf byli we dworze.

Piękna pogoda utrzymała się do późnego lata. W południe rozgrzane nagie skały buchały żarem, morze lśniło, biała piana lekko rozpryskiwała się pod skalnymi ścianami w miejscach, gdzie się łamały fale.

Olaf wstawał codziennie bardzo wcześnie, ale teraz nie chodził już na wzgórze. Zwykle opierał się na płocie, okalającym najbardziej na północ wysunięte pole, tam gdzie ciągnęła się ścieżka od przystani. Stamtąd widział zatokę i dolinę, niemal wszystkie łąki i grunty dworskie. Tylko ku południowi i w stronę Folden zamykał widok grzbiet sterczącej góry, osłaniający ostatni szmat żyznej gleby przed wiatrami – zaledwie błysk fiordu migotał spoza łysej czaszki i zalesionej szyi Byka. Po przeciwnej stronie widniały w porannym słońcu zbocza Hudrheim: niskie pasmo ugorów, porośnięte skąpym lasem świerkowym. Na szczycie wyżyny znajdowała się wieś z wielkimi zagrodami. Olaf był tam kiedyś, stąd jednak nie dostrzegał wsi.

Skalne podłoże przebijało na polu w tylu miejscach, że błady pokrowiec rżyska, zdawał się podziurawiony; tylko tu i ówdzie rozpościerał się pas uprawnej roli między dwiema szarorudymi skałami. Mimo to zboże wschodziło tutaj bujnie i wcześniej dojrzewało. W rozpadlinach góry rosła trawa, której Olaf dotychczas nie widywał; kiedy przyjechał tu wczesnym latem, trawa kwitła. Kwiatuszki miała jak purpurowe śliczne gwiazdki; ale teraz sama trawa stała się czerwona jak krew, a jej postrzępione listeczki były rdzawe, okryte strączkami nasion podobnymi do czaplich głów o długich dziobach.

Gospodarka dworska była rzeczą, na której Olaf znał się najlepiej. Widział, że jest tu dość roboty, do której trzeba się wziąć: stare pastwiska należało oczyścić z krzewów, podnieść hodowlę bydła, ponaprawiać

domostwa. Przyjął do służby Björna, męża Gudrydy, aby w następnym półroczu rozpocząć rybołówstwo i polowanie na fiordzie. W tych sprawach Olaf nie miał doświadczenia; lecz zimą zamierzał wyprawić się z Björnem, by poznać tajniki pracy, z której niegdyś płynął dostatek Hestviken. Björn doradzał mu również, aby latem rozpoczął znów warzenie soli w zatoce, na południe od Rumaka.

Pod myślami zwróconymi ku codziennemu trudowi i pracy dla przyszłości trwał w umyśle Olafa głęboki, pełen szczęścia spokój. Dzień przetaczał się teraz nad nimi niby nurt dobrych godzin. A ponieważ wiedział, że zatopione pod owym nurtem czyhają niebezpieczne wspomnienia i że jedynie dzięki hartowi ducha udało mu się ułagodzić je i nie myśleć o nich, był zarazem dumny z tego, że może być wesół i że się czuje bezpieczny.

Z nieubłaganą jasnością wiedział, że owe nieszczęsne wydarzenia mogą powrócić i nawiedzić ich oboje. Cieszył się więc dobrymi dniami, póki trwały.

I tak stał co rano przy płocie, zapatrzony przed siebie, i myślał o różnych sprawach, a pod wszystkim falowało owo podobne do snu uczucie szczęścia. Jego jasna twarz miała przy tym wyraz twardy i zacięty, a czarne szparki źrenic stawały się małe jak ostrze igły. Kiedy zdawało mu się, że Inguna już wstała, powracał do domu. Pozdrowiał żonę skinieniem głowy i przelotnym uśmiechem, widział lekki rumieniec radości na jej świeżych policzkach i ciche, zawstyżone szczęście, promieniejące z jej zachowania się i spojrzeń.

Inguna była teraz tak piękna jak nigdy. Postać jej zaokrągliła się nieco, cera jaśniała delikatnie, oczy wydawały się jeszcze większe i bardziej modre pod białym czepcem.

Była łagodna i pełna uległości, cicha i bardziej zrównowazona, dobra dla wszystkich i niemal pokorna wobec małżonka. Wszyscy rozumieli, że

jest szczęśliwa i wszyscy, którzy mieli do czynienia z żoną Olafa, polubili ją serdecznie.

Olaf niewiele sypiał po nocach. Godzinami leżał bez ruchu nie śpiąc, tylko od czasu do czasu, kiedy mu cierpło ramię, na którym Inguna opierała głowę, prostował je lekko. Spoczywała ufnie, przytulona do niego we śnie i Olaf wdychał słodką woń bijącą z jej włosów. Ciepło, młodość i zdrowie płynęły z jej całej istoty; w głębokim mroku izby zdawało się Olafowi, że zatruty oddech starców, którzy tu niegdyś mieszkali, wpełza do kątów, przegnany i zwyciężony. Leżał i czuł, jak czas posuwa się naprzód, i nie pragnął wcale snu, tak dobrze było leżeć i tylko czuć ją przy sobie... Teraz wreszcie oboje byli uratowani. Głaskał jedwabiste, chłodne ramię i plecy żony, z których obsunęło się nakrycie. Olaf naciągał je i nachylał się nad Inguna z pieśczołą, a ona, półsenna, odpowiadała mu pieśczołtliwymi słowami, jak ptak ćwierkający w nocy na gałęzi.

Serce jego pozostawało jednak nadal czujne i płochliwe i trzepotało nagle jak ptak wlatujący w górę. Zauważył to sam i pilnie czuwał, by nikt inny nie poznał tego po nim.

Pewnego dnia z rana stał przy ogrodzeniu i patrzył na krowy wygnane z obory na ściernisko. Wielki byk chodził między nimi. Było to jedyne zwierzę w oborze piękne i bez skazy, krępe i silne, czarne jak węgiel, z bladeżółtą pręgą na grzbiecie. Kiedy Olaf stał tak i patrzył na byka, który kroczył po zboczu powoli i ociężale, wydało mu się nagle, że jasna pręga na czarnym grzbiecie pełza jak wąż, i na mgnienie oka struchlał z przerażenia. Trwało to tylko króciutką chwilę, bo natychmiast się opanował. Lecz od tej pory nie cieszył się już tak bardzo bykiem jak dotąd i ta niechęć pozostała w nim przez wszystkie lata, dopóki go miał w oborze.

W czasie spiekoty Olaf chętnie chodził podczas południowej przerwy na wybrzeże. Wypływał daleko w morze do miejsca, z którego mógł dostrzec dworskie zabudowania nad nagimi górami, kładł się na grzbiecie, dawał się unosić falom i znów pływał. Przeważnie towarzyszył mu Björn, który kąpał się również.

Pewnego dnia, kiedy po wyjściu z wody siedzieli susząc się na wietrze, spojrzenie Olafa padło na stopy Björna. Były duże, ale o wysokim podbiciu i kształtne – najpewniejszy znak u mężczyzny, że pochodzi od ludzi wolnych; Olaf słyszał, że po nogach poznać można od razu, czy w żyłach człowieka płynie choć jedna kropla krwi dawnych niewolników. Twarz i ręce Björna były ogorzałe jak kora drzewa, lecz ciało miał białe jak mleko, a włosy bardzo jasne, tylko posiwiałe. Olafowi wyrwało się pytanie:

– Tyś może spokrewniony z nami, mężami z Hestviken, Björnzie?

– Nie – odparł krótko Björn. – Do diabła! Sam nie wiesz, z kim jesteś spokrewniony, człowieku?

Olaf stropił się nieco i rzekł:

– Wyrosłem z dala od swoich. Mogą przecież istnieć gałęzie rodu, o których nie wiem.

– Pytasz pewnie, czy nie jestem jednym z tych pędów, którym dał początek Dritskjegg – odparł szorstko Björn. – Nie, zostałem splodzony w ślubnym łożu jak i moi przodkowie aż do siódmego pokolenia wstecz. Nigdy nie słyszałem, aby w naszym rodzie był jakiś bękart!

Olaf zagryzł wargi. Był zły, ale to on sam przecież wyzwał Björna. Nic więc nie odpowiedział.

– Jedną przywarę mamy w naszym rodzie, o ile zechcesz nazwać to przywarą – ciągnął Björn. – Siekiera sama skacze nam w rękę, jeśli nas kto podrażni, lecz niedługo raduje się ręką ciosem, chyba żeby mogła potem zgarnąć kupę złota.



Olaf milczał. Björn zaśmiał się i powiedział:

– Zabiłem mojego sąsiada, ponieważ pokłóciliśmy się o kilka skórzanych lin. Co sądzisz o tym, Olafie?

– Sądzę, że to były drogie liny. Czy były aż tak niezwykle?

– Pożyczyłem je od Gunnara, aby zwieźć siano pod dach. Co teraz sądzisz?

– Sądzę, że to nie może być twoim zwyczajem odpłacać ludziom w ten sposób za przysługę. Wydaje mi się więc, że jednak musiało być w tych linach coś całkiem szczególnego?

– Gunnar właśnie uważał, że ja tak sądzę – odrzekł Björn. – Oskarżył mnie bowiem, że odciąłem kawałek tych lin.

Olaf skinął głową. Nachylając się i wiążąc chodak, Björn ciągnął dalej:

– Co uczyniłbyś na moim miejscu, Olafie?

– Niełatwo mi na to odpowiedzieć – odparł Olaf. Stał i usiłował wbić kolec klamry w koszulę.

– Nie, bo nikomu nie przysłoby do głowy oskarżać człowieka takiego jak ty, że ukradnie kawałek liny! – rzekł Björn. – Ale i ty nie wstrzymałeś swej dłoni, Olafie, gdy chodziło o twoją cześć!

Olaf stał z kaftanem w rękę, miał go właśnie włożyć. Opuścił ramię.

– Kiedy tutaj po gminie rozeszła się wieść, że ukarałeś twego krewniaka, ponieważ nie chciał ci dać dziewczyny przyrzeczonej od dziecka, a do tego lżył cię obraźliwymi słowami – wówczas pomyślałem, że miałbym ochotę wyświadczyć ci przyjacielską przysługę, gdybyś kiedy wrócił. W przeciwnym razie nie poszedłbym na służbę tak blisko okolicy, gdzie dawniej posiadałem własny dwór, mimo że nie był to żaden wielki dwór.

Olaf miał właśnie założyć pas. Teraz odpiął sztylet wiszący na nim; była to dobra broń, o ostrzu kutym z zagranicznej stali, ze srebrną płytką

opatrzoną haczykiem, za który wieszano go u pasa. Wręczył sztylet Björnowi.

– Czy przyjmiesz ode mnie ten znak przyjaźni, Björnzie?

– Nie, Olafie. Czy nie wiesz, że noża nie należy darowywać przyjacielowi, bo to rozcina przyjaźń? Możesz mi natomiast wyświadczyć przyjacielską usługę: przestań dawać podarki tej babie, co się tu pęta...

Olaf oblał się krwią; wyglądał w tej chwili bardzo młodo. By ukryć zmieszanie, mówił niefrasobliwie, wskazując na skałę i idąc szybko naprzód:

– Anim nie przeczuwał, że wy tu, w gminie, wiecie tak dokładnie o tym, co się wydarzyło między synami Kolbeina a mną...

Niby żądło ugodziły go w samo serce słowa Björna, że on, Olaf, ma porywczą rękę, gdy chodzi o cześć. O śmierci Einara syna Kolbeina nie myślał wcale, ta śmierć znaczyła tak mało w jego duszy! Tylko tyle, o ile była przyczyną trudności, w jakich tkwił obecnie. Nie przyszło mu więc do głowy, że Björn ją ma na myśli...

Kiedy Björn przyszedł i ofiarował mu swoje usługi, Olaf upodobał go sobie i lubił go nadal. Spostrzegł, że człowiek ten nie cieszy się dobrą sławą w gminie. Jego żona Gudryda ciągle przychodziła do Hestviken; Björn niezbyt wielką okazywał radość ze spotkań z nią i rzadko chodził do swego domu.

Olaf zauważył wkrótce, że Gudryda jest okropną plotkarką, która woli włóczyć się od dworu do dworu po prośbie, aniżeli wziąć się do roboty w gospodarstwie. Nie wiodło im się wcale tak nędznie w Eundmyr, jak udawała; Björn dbał bardziej o swoich, niż to Gudryda przedstawiała, posyłał im mięsivo i ryby, trochę mąki, poza tym mieli krowę i kozy.

Olaf jednak już raz nazwał ową kobietę matką, nie odchodziła więc nigdy z pustymi rękami. Teraz był zły, że znalazł się w kłopotliwym położeniu; rozumiał, jak przykro musi być Björnowi, jeśli miał być u niego pierwszym pacholkiem, a tymczasem jego żona przychodziła do dworu po wsparcie.

W tym czasie Olaf czuł żywą potrzebę przebywania ze starszymi ludźmi. Nie uświadamiając sobie tego, odczuwał jednak brak kogoś, kto by go pouczał w czasie dorastania i wskazywał mu właściwą drogę. Odnosił się więc bardzo dwornie i z szacunkiem do wszystkich ludzi starszych, równych mu stanem, był usłużny i pomagał ubogim starcom, cierpliwie słuchał rad starszych wiekiem i korzystał z nich, o ile wydawały mu się dobre. Poza tym Olaf był zawsze małomówny pośród obcych, starzy ludzie zaś podtrzymywali rozmowę sami, tak że on nie musiał się wiele odzywać ani też słuchać przez cały czas. Polubiono więc młodego gospodarza na Hestviken.

Równi mu wiekiem także chętnie z nim obcowali, twierdzili jednak, że Olaf syn Auduna nie wnosi z sobą radości ani uciechy, niektórzy zaś po prostu nie dowierzali jego cichemu, spokojnemu obejściu i brali je za pychę. Inni natomiast sądzili, że Olaf ma raczej usposobienie nieco trudne i nie jest zanadto mądry. Wszyscy jednak zgadzali się w jednym: że Olaf i jego małżonka są niezwykle urodziwi i że umieją zachować się wśród ludzi.

Pewnej soboty po południu Olaf z Björnem i dwoma parobkami zdążyli od przystani do domu. Wtem dojrzeli gromadkę jeźdźców, która wysunęła się z lasu, z doliny Kvern, i zmierzała zboczem w stronę dworu. Byli to dwaj mężczyźni oraz trzy młode dziewczęta w niebieskich i czerwonych sukniach, z rozpuszczonymi, jasnymi jak len włosami, spływającymi aż na siodła. Tworzyło to uroczy obraz na łące jeszcze świeżej i zielonej od

sianokosów i Olaf ucieszył się poznawszy córki Arnego.

Pomógł im zsiąść z koni witając je wesoło uściskiem i pocałunkiem, a potem zaprowadził je do swojej żony, która stała na progu, cicha i słodka, oczekując gości.

Nie mogły przyjechać na ucztę powitalną, po tej zaś niedzieli dwie młodsze córki miały wracać do ojca; dlatego ksiądz posłał je tutaj, aby powitały małżonkę krewnego i wręczyły jej podarunki. Towarzyszył im pacholek księdza, a gdy przejeżdżali obok Skikkjustad, syn gospodarza przyłączył się do nich, chciał bowiem już od tygodnia porozmawiać z Olafem o pewnej sprawie.

Olaf poszedł na poddasze spichrza, ściągnął z siebie robocze ubranie, oporządził się i włożył odświętny strój. Był rad, że młode krewne mieszkają w gminie i że Inguna nie będzie tak samotna. Doszły go słuchy, że sira Benedykt i Paal ze Skikkjustad układają małżeństwo Sygne z Baardem synem Paala, a młodzi nie zdawali się temu sprzeciwiać. Oni w Hestviken również mogliby się cieszyć, gdyby ten układ doszedł do skutku.

Na dworze było zimno i pogodnie, błada jasność zapowiadała na noc mróz. W izbach było także chłodno; dołożono obficie drewna na palenisko, a po posiłku młodzież zapragnęła przez chwilę pobawić się na dziedzińcu dla rozgrzewki. Inguna nie chciała jednak wziąć udziału w zabawie. Siedziała owinięta płaszczem i wyglądała na zmarzniętą; zachowywała się tak cicho, jak gdyby coś ją gnębiło. Olaf opuścił więc taneczny krąg i przysiadł się do żony. Z wolna mrok zapadał zupełny i wszyscy weszli do domu. Okazało się, że trzy siostry znają mnóstwo zabaw, gier i zagadek, miały również miłe głosy i umiały śpiewać. Były pod każdym względem dobrze wychowane i układne. Inguna siedziała dalej smutna i Olaf nie mógł cieszyć się zabawą, nie pojmując, co żonę trapi.

Objął ramieniem Torunę i przyprowadził ją do Inguny. Toruna nie

miała jeszcze trzynastu lat, była ślicznym, żywym dzieckiem, ale i ona także nie potrafiła rozruszać pani domu.

Wieczorem Olaf odprowadził swoich gości kawałek poza dwór. Pogoda była piękna. Na wysokim stropie niebios płonął jasno księżyc w pełni. Tylko od fiordu zaczęła podnosić się mroźna mgła i zacierać cienie nad łąkami. Olaf prowadził konia Toruny.

– Twoja żona nie lubi nas, Olafie – odezwała się dziewczynka.

– Jak możesz myśleć coś podobnego! – odparł Olaf ze śmiechem. – Jakże by was nie miała lubić! Nie wiem doprawdy, co opętało Ingunę dziś wieczór...

Kiedy Olaf wrócił do domu, Inguna była już w łóżu, a gdy położył się obok niej, zauważył, że płacze. Zaczął ją głaskać i prosić, by mu wyjaśniła przyczynę swego smutku. Wreszcie po długim czasie udało mu się wydobyć od niej tyle, że czuje się bardzo źle; pewnie dlatego, że dziś rano zjadła koło przystani parę małży. Olaf prosił ją, aby tego nigdy nie robiła, jeśli będzie miała ochotę na podobne smakołyki, niechże powie jemu lub Björnowi; oni przyniosą jej małże nadające się do jedzenia. Wreszcie zapytał, jak jej się podobały jego krewne – czy nie uważa, że są miłymi i dobrze ułożonymi dziewczętami?

– Owszem – odparła Inguna. – I bardzo wesołe są te córki Arnego – dodała takim tonem, jak gdyby brała im to za złe. – I ty również, Olafie, byłeś rozbawiony. To niepodobne do ciebie. Rozumiem doskonale, że je lubisz.

– Tak – rzekł Olaf, głos jego zabrzmiał radośnie na wspomnienie wesoło spędzonego wieczoru. I powtórzył, że oboje mogą się cieszyć sąsiedztwem tych miłych i dwornych dziewcząt.

Słyszał, że Inguna leży i oddycha ciężko. Po pewnym czasie szepnęła:

– Przecież my, Tora i ja, byliśmy za młodu jak twoje siostry, Olafie. A jednak nie przypominam sobie, abyś kiedykolwiek bawił się i żartował

tak wesoło.

– O, to się na pewno zdarzało – odparł Olaf. – Ale żyłem wówczas na dworze obcego człowieka – ciągnął cicho. – Gdybym wyrósł między własnymi krewniakami, między swoimi, nie zdaje mi się, abym był tak cichy i spokojny jako chłopiec.

Wkrótce potem posłyszał, że Inguna znówu płacze. Teraz zanosila się wprost od płaczu; musiał wstać i przynieść jej wody. Zapalił szczapę od żaru na palenisku i spostrzegł, że twarz żony jest obrzękła i czerwona. Zląkł się, że struła się małżami. Zarzucił na siebie w pośpiechu jakąś odzież, wybiegł, przyniósł świeżego mleka i zmusił ją do wypicia. Wtedy dopiero poczuła się lepiej i zasnęła.

Pewnego dnia, na krótko przed Wszystkimi Świętymi spotkał się Olaf z kilkoma gospodarzami na probostwie; przyszedli z prośbą, aby im ułożył parę listów. Z jednym z gospodarzy, imieniem Stein, Olaf nie popadł wprawdzie w jawną zwadę, ale w każdym razie doszło między nimi parokrotnie do ostrej wymiany słów.

Przed wyruszeniem w drogę powrotną kilku gospodarzy przyglądało się wierzchowcowi Olafa, imieniem Apalhviten; chwalili bardzo konia i zwracali uwagę na to, jak starannie jest utrzymany. Drażnili Steina: on też ma siwka, lecz jego szkapa jest zaniedbana i żółta od gnoju, łatwo można poznać, że właściciel jej źle się z nią obchodzi. Stein odpowiedział:

– Było dawniej rzeczą Olafa czyścić i ujeżdżać konie; to chyba proste, że koń należący do rycerza jest starannie utrzymany. Poczekaj tylko, aż parę lat będziesz chłopem, rzucisz wtedy na pewno twoje szlacheckie zwyczaje. Spełni się i na tobie stare przysłowie, które powiada, że siwe konie i zbyt urodziwe niewiasty nie na wiele zdają się chłopu, nie ma on bowiem czasu ich pilnować.

– Tak źle nie będzie ze mną chyba nigdy, abym nie mógł sobie pozwolić na trzymanie dwóch siwych koni – odparł Olaf butnie. – Chcesz

mi odprzedać swojego konia, Steinie?

Stein wymienił cenę i Olaf dobił targu uderzeniem dłoni, wzywając obecnych na świadków. Natychmiast omówiono, gdzie i kiedy Olaf ma złożyć należną sumę. Stein zdjął siodło z konia i poszedł do siry Benedykta, aby od niego pożyczyć postronek. Mężczyźni kiwali głowami i twierdzili, że Olaf grubo przepłacił.

– Ach, tak... – Olaf uśmiechając się wzruszył ramionami. – Nie zawsze chce mi się być tak rozważnym, żebym miał ciąć wesz na cztery części.

Okulbaczył i dosiadł świeżo nabytego konia, a Apalhviten pokłusowała za nim. Tamci stali i patrzyli; niektórzy chichotali złośliwie. Na dole, na zakręcie, przyszło do pierwszej próby sił między koniem a jeźdźcem. Pewnie jeszcze gorąco zrobi się Olafowi, zanim przybędzie do Hestviken.

Inguna siedziała sama w izbie i szyla, gdy wtem usłyszała tętent kopyt na skalistym gruncie dziedzińca. Zbliżyła się do drzwi wejściowych i ze zdumieniem spojrzała na męża: w mglistym, skąpym świetle jesiennego słońca siedział na obcym, niespokojnym koniu, cały w ogniu, i on, i zwierzę od stóp do głów spryskani pianą wydobywającą się obficie z końskiego pyska. Zwierzę gryzło wędzidło, i tak gwałtownie przebierało nogami, że echo niosło się pośród skał; nie sposób było utrzymać go w miejscu. Olaf uśmiechnął się do żony i nadbiegającego pachółka.

– Zaraz ci wszystko opowiem – zawołał. Zeskoczył z konia i poszedł z pachółkiem, który miał zaprowadzić nowego wierzchowca do stajni.

– Co to znaczy? – spytała zdziwiona, gdy wszedł do izby. Przystanął obok drzwi, wyglądał na pijanego.

– Czy stary jest w domu? – zapytał.

– Nie, poszedł nad morze. Czy posłać Tore po niego?

Olaf roześmiał się i zamknął za sobą drzwi. Po czym zbliżył się do żony, podniósł ją jak dziecko w ramionach i przycisnął do siebie tak mocno, że zabrakło jej tchu.

– Olafie – prosiła przestraszona – co się z tobą stało?

– Ach, nic, nic, tylko ty jesteś taka piękna – mruknął z tym samym pijackim śmiechem i tak mocno przycisnął rozpaloną twarz do jej twarzy, że Inguna miała wrażenie, iż przetrąci jej kark.

Trochę później, po południu, wybrał się Olaf na górę do młyna, Inguna zaś poszła do kuchni; na palenisku pod kamieniem zostawiła misę z serem.

Naczynie nie było widocznie dość szczelnie przykryte, toteż naprószyło się do niego sporo popiołu. Miska śmierdziała – prawdopodobnie ser stał za długo, ale przedtem nie chciał wcale skwaśnieć. Ingunie nie udało się nigdy doprowadzić sera do fermentacji. Sery przygotowane w zeszłym tygodniu zaczęły się burzyć i wykijały na deskę, na której położyła je dla wysuszenia.

Usta jej drżały, kiedy gnioła powoli i niezręcznie lepłą, cuchnącą masę... Nie była dobrą gospodynią. Każda robota rosła jej w rękach, prześladowało ją niepowodzenie i wpadała w rozpacz, kiedy to i owo się nie wiodło; Olaf na pewno wnet spostrzeże, że jego żona jest niezdara. U końca takiego dnia, w którym wszystko, czegokolwiek się tknęła, szło na opak, czuła się jakby potłuczona od wielokrotnych upadków.

Mimo wszystko Olaf nie był pijany. Przede wszystkim próbowała pocieszyć się tym, że może wypił ponad miarę tego piwa u księdza, które tak bardzo wychwalał. Był jednak zupełnie trzeźwy. I gdy tak stała rozmyślając, serce jej waliło młotem: co się stało Olafowi, że tak zupełnie się zmienił? Zawsze był tylko serdeczny, dobry i czuły w miłości... Nieraz



tęskniła za tym, aby... nie był tak bardzo powściągliwy.

Głuchy ucisk skuwał jej serce: zapewne, Olaf był spokojnego usposobienia, był przeważnie panem swych uczuć. Widziała również, że czasem tracił panowanie nad sobą; lecz nawet w dzikości chłopca, kiedy przybył do niej i oznajmił, że zabił Einara, odczuła jego miłość do siebie jak coś, co dawało pewność.

Jeden jedyny raz widziała jego wściekłość, kiedy ta obróciła się przeciw niej, jeden raz tylko skulona, ze śmiertelną trwogą w duszy, leżała twarzą w twarz z jego rozjarzonym do białości szaleństwem. O tym nie mogła nigdy myśleć i nie myślała nigdy, aż dopiero w tej chwili... Teraz zdarzenie to stanęło jej przed oczyma z druzgocącą wyrazistością. Nie uczyniła jednak chyba nic, co by go mogło rozgniewać.

Tak dobrze jej było przez te cztery miesiące, odkąd ją poślubił. Mimo woli liczyła swoje małżeństwo od chwili, kiedy krewni oddali ją w przytomności świadków Olafowi synowi Auduna za żonę. Był dla niej taki dobry, że pamięć całej niedawnej grozy żyła w niej jeszcze tylko niby wspomnienie okropnej zmyry sennej. I musiała przyznać słuszność jego słowom: Hestviken znajdowało się doprawdy bardzo daleko, łatwiej, niż sądziła, przyszło jej zapomnieć o tym, co się wydarzyło tam, na północy. Zadała sobie również sporo trudu, by mu okazać wdzięczność i miłość – niewymowną miłość. Ona nie uczyniła chyba nic, co by było przyczyną tak dziwnego zachowania się przedtem, kiedy wrócił do domu. Truchlała z obawy na myśl, co mogło być właściwie przyczyną?

A przecież taka myśl była istną głupotą, bo nie ze złości obszedł się z nią w ten sposób. Wszystko razem – to były tylko jak gdyby pieszczoty, tylko swawola – a potem bawił się rubasznie, opętany niepokromioną wesołością, która ją przeraziła, gdyż nie zwykła była widywać takim Olafa. Z pewnością nie zaszło nic nadzwyczajnego. Może wszyscy mężczyźni od czasu do czasu zachowywali się w ten sposób? Teit też był

taki.

Teit – nagły dreszcz przeszył ją do głębi. Teit mógł być taki... Pamięć o nim była daleka i nierzeczywista jak wszystko inne, co zniknęło poza kręgiem widzenia, im dalej i dalej odchodziła z Olafem. W tej chwili pamięć tego, że Teit ją posiadał, stała się znów bliska i przerażająco żywa...

Inguna krzyknęła i cofnęła się drżąca, kiedy Olaf stanął nagle tuż za nią. Nie słyszała, jak wszedł.

Olaf stał już chwilę w drzwiach i przyglądał się jej. Patrzył na wysoką, smukłą, młodą kobietę, jak pochylona nad deską, wąska w ramionach i wątła, miesiła niezgrabnie i powoli ser długimi, szczupłymi palcami. Twarzy jej pod czepcem nie mógł dojrzeć, lecz wyczuwał, że Inguna jest przybita.

Olaf wstydził się swego dzisiejszego zachowania wobec niej po powrocie. Nie przystoi, aby mąż w ten sposób postępował z małżonką. Lękał się, że może czuć się obrażona.

– Czy cię przestraszyłem? – Mówił jak zwykle spokojnie, z tkliwą troskliwością w całej postawie. Stanął obok niej, trochę zmieszany, po chwili skubnął kęs sera, który ugniatała w kulki i zjadł go.

– Nie zajmowałam się nigdy dotąd podobną robotą – rzekła usprawiedliwiając się. – Dalla nie pozwalała mi na to. Pewnie nie wypuściłam całej żętycy z garnka.

– Jeszcze się tego nauczysz – pocieszał ją mąż. – Mamy dużo czasu przed sobą, Inguno. Wściekły byłem z powodu tego końskiego targu. Ależ ten Stein rozzłościł mnie okropnie – ciągnął zmartwiony. Spuścił oczy, zaczerwienił się i roześmiał. – Wiesz przecież, to do mnie nie pasuje postępować jak głupiec. Bardzo się ucieszyłem, żeś wyszła przed drzwi na moje spotkanie.

Spojrzał na nią, jakby prosił o przebaczenie. Pochyliła się nad stołem, cała splecioną. „Niewiele może jeszcze wytrzymać” – pomyślał w duchu

Olaf. Ta robota, do której nie przywykła, męczy ją. Oby tylko stary w komorze zachował się tej nocy spokojnie. Artretyzm rwał i szarpał jego biedne ciało, tak że po nocach leżał godzinami i głośno jęczał. Młodzi nie mieli wtedy w izbie spokoju.

Olaf syn Ingolfa podupał natychmiast na zdrowiu, kiedy młody krewny podjął jego pracę. Chociaż nie bardzo to było widoczne, ale ciężko się napracował w Hestviken; teraz poddał się całkowicie udrekom starości. Młodzi małżonkowie odnosili się do niego życzliwie. Olaf uważał go niemal za podpórę, choć nie zdawał sobie sprawy, do czego mu potrzebna świadomość, że żyje wreszcie pod jednym dachem z mężem z ojcowskiego rodu. I cieszył się, że Inguna okazuje tyle serca i opieki schorowanemu starcowi. Był trochę rozczarowany, że ani córki Arnego, ani ich ojciec, z którym się tymczasem zaznajomił, nie podobali się jej. Jeśli zaś chodzi o Olafa, polubił bardzo tego stryjecznego brata swego ojca. Arne z Hestbaek był człowiekiem pięćdziesięcioletnim i już siwym, lecz pięknym i postawnym; pokrewieństwo rodzinne między nim i Olafem rzuciło się w oczy. Arne syn Torgilsa przyjął Olafa niezwykle godnie i zaprosił go w gościnę na Boże Narodzenie. Olaf miał wielką ochotę na to, ale Inguna nie zdradzała wcale chęci do tych odwiedzin. Był więc rad, iż polubiła przynajmniej Olafa syna Ingolfa mimo że starzec niemało sprawiał kłopotu. Po nocach bywał często niespokojny, prócz tego brudził wszystko, przygotowując dla siebie leki i maści. Stary pies zaś, który nocą leżał w jego łożu, by wyciągnąć podagrę z chorej nogi, był niechlujny, kąśliwy i zły. Lecz Inguna pomagała cierpliwie staremu, przemawiała do niego łagodnie, niczym córka, i była dobra dla psa.

Obojgu młodym sprawiało przyjemność, kiedy sędziwy Olaf przesiadywał z nimi wieczorami i opowiadał. Nie było końca jego

historiom o męzach, rodach i dworach rozrzuconych po wszystkich gminach dokoła Folden. O niepokojach, które wybuchły po przybyciu księdza Sverrego do Norwegii, słyszał jeszcze z opowiadań swego ojca; ale za sprawę króla Skulego walczył już sam. Pradziad młodego Olafa, Olaf syn Olafa z Hestviken szedł do ostatka za Sygurdem Ribbungiem<sup>[33]</sup> i walczył przeciw Skulemu. Gdy jednak potem obwołano księcia królem, Olaf Ribbung zebrał swoją drużynę i wraz z trzema synami udał się na północ, by ofiarować mu swoje usługi. Wówczas ksiądz Ingolf pozwolił synowi, by towarzyszył braciom.

– Mieliśmy wtedy po piętnaście lat, Torgils i ja – snuł wspomnienia starzec – ale i tak przydaliśmy się na coś. Tę bliznę na pośladku zdobyłem pod Laaka<sup>[34]</sup>. Vaarbelgowie<sup>[35]</sup> natrzęsali się wówczas bardzo, że właśnie w tym miejscu zostałem ranny, ale zapędziliśmy się w głęboki jar, z potokiem między gliniastymi zboczami i mieliśmy przed sobą i za sobą Birkebejnów, był tam Torgils, ja oraz trzech młokosów – tylu młodych chłopców było między nami, Vaarbelgami. Jednego z nich przeżywalismy Ognichem, bo miał najbardziej rude włosy, jakie kiedykolwiek u mężczyzny widziałem. Pewnego razu, kiedy z Gudinem Geig przybyliśmy do Österdalen i nocowaliśmy w niewielkim dworze, zbudził nas nagle pożar w izbie. „Oho, ty czorcie, leżałeś ze swoją czupryną za blisko ściany” – rzekł Gudine. „Tak, a ty rozdmuchałeś ją” – odciął się Ognich. Powiedział to mniej dwornie, aniżeli powtarzam to teraz przez wzgląd na Ingunę. Leżeliśmy pokotem na podłodze, Ognich tuż za Gudinem. Ganek

---

[33] *...szedł do ostatka za Sygurdem Ribbungiem...* – mowa o powstaniu Sygurda Ribbunga (*por. obj.*), które wybuchło kiedy jeszcze Skule sprawował władzę regenta.

[34] *bliznę... zdobyłem pod Laaka* – pod Laaka w Raumarike Skule rozgromił wojska Birkebejnów, otwierając sobie drogę do Oslo.

[35] Vaarbelgowie – zwolennicy Skulego. (Przyp. tłum.)

był już w płomieniach, ale i tak udało nam się wydostać i przebić przez ogień. Ci Birkebejnowie byli naprawdę bezwstydni w podpalaniu dworów, ale myśmy się śmiali z tego i twierdziliśmy, że pochodzi to stąd, iż wiele dzieci łaźebników i dziewczek łaźebnych znajduje się między nimi. A teraz posłuchaj, jak Torgilsowi i mnie powiodło się na Laaka. Albo nie, najpierw opowiem jeszcze jedną historię o tym Gudinem Geig...

Olaf zauważył, że Inguna jest zawsze stropiona, ilekroć stary wypytywał i badał: czy nie będzie miała wkrótce czegoś nowego do oznajmienia? Teraz już mija pięć miesięcy, od kiedy Olaf i ona się pobrali.

– Robimy, co możemy, krewniaku – mówił z uśmiechem Olaf.

Starzec wpadał w gniew i prosił go, by zaprzestał lekkomyślnych żartów w takich sprawach; niechaj raczej złoży ślubowanie, aby Bóg obdarzył go prędko potomkiem. Olaf roześmiał się i oświadczył, że nie ma czego się znowu tak śpieszyć. W cichości ducha pomyślał, że Inguna i bez tego z trudem daje sobie radę – nawet i teraz, mimo że była zupełnie zdrowa. Ciężko jej było prowadzić gospodarstwo i wydzielać robotę dziewczkom służebnym.

Olaf syn Ingolfa skarżył się, miał wrażenie, że długo nie pożyje. Znał cztery pokolenia rodu: pradziada, dziada, ojca i syna.

– Chciałbym jeszcze powitać twojego syna, Olafie, zanim opuszczę tę ziemię.

– Ech, na pewno pożyjesz jeszcze dość długo, aby powitać nie tylko mojego syna, ale i wnuka – pocieszał go Olaf.

Stary jednak widział wszystko w czarnych barwach.

– Olaf syn Torgilsa, pierwszy mąż naszego rodu tutaj w Hestviken, był ożeniony dziesięć lat z Torą córką Ingolfa, nim mieli dzieci, i zginął, zanim jego synowie ujrzeli światło dzienne. Była to, jak sądzę, kara za

to, że poślubił Tore wbrew woli swego rodzica. Ingolf, pan na Hestviken, oraz Torgils z Dyfryna byli powaśnieni z sobą, lecz Olaf syn Torgilsa oświadczył, że ani mu w głowie rzec się dobrego ożenku tylko dlatego, że dwaj starzy pobili się niegdyś ze sobą podczas pijatyki. Tora była tu dziedziczką, bo Ingolf był ostatnim mężem rodu na Hestviken, który żył na tym dworze od czasu powstania państwa norweskiego. A Torgils Fivil był ostatnim ze starego rodu panów lennych na Dyfrynie. Sverre oddał dwór i młodą wdowę po Torgilsie jednemu ze swych przyjaciół. Torgils był trzykrotnie żonaty. Przewisko Fivil otrzymał za młodu z powodu mlecznych jak len włosów i mlecznej cery, które odtąd są dziedziczne w naszym rodzie. Rozumiesz więc, że nasz praszczur miał wiele powodów do zemsty na Sverrem: rodową siedzibę, ojca oraz trzech braci. Tej zimy, kiedy jego żona przekonała się, że jest nadzieja utrzymania rodu po nich na tym dworze, ludność tu, wokoło Folden, podniosła bunt, by pomścić króla Magnusa i pobić Sverrego, który nie miał żadnych praw do państwa, a chciał obalić nasze odwieczne prawa i zaprowadzić nowy porządek, jakiego nie pragnęliśmy. Ludzie tutaj z zatok, z Kraju Północnego, z Bingerike i Elvosyssel, niemal cała ludność Norwegii popierała ich.

Olaf syn Torgilsa należał do przywódców, którzy od pierwszej chwili stali na czele i najzawzięciej walczyli. Wiesz, jak powiodło nam się wówczas pod Oslo. Diabeł pomaga swoim, toteż niósł księdza Sverrego we własnych ramionach, aż doniósł go, całego i nietkniętego, do piekła, taką przynajmniej mam nadzieję. Olaf syn Torgilsa padł w tej walce, ale kilku mężów z gminy ukryło jego zwłoki i powiozło je do domu. Tyłu mężczyzn padło dokoła chorągwi Olafa, że Birkebejnowie nie zdołali go ograbić, i powrócił do domu ze swoim berdyszem w rękę, nie potrafili bowiem rozluźnić chwytu martwej dłoni dokoła rękojeści. Zaledwie jednak zbliżyła się do niego wdowa i ujęła siekiere, ręka zabitego rozwarła się i ramię opadło. Tora zaś stała z toporem w rękę i w tej samej chwili po

raz pierwszy poruszyło się w niej dziecko. Zupełnie jakby nie urodzony chłopiec uderzył zaciśniętą pięstką, mówiła potem do synów, których urodziła na wiosnę. Ledwie wyrosli na tyle, aby ją rozumieć, opowiadała im od rana do nocy, że już w matczynym łonie przysięgli pomścić ojca. Berdysz to był ten sam, który ty teraz masz – Attarfylgia. Tora nadała mu to imię; przedtem nazywał się Jarnglumra. Jako starszy z bliźniaków Olaf otrzymał tę broń, kiedy posłała chłopców do niejakiego Benedykta, będącego podobno synem króla Magnusa, syna Erlinga. Była to pierwsza zbrojna drużyna, do której wstąpili dwaj bracia. Pamiętam jeszcze dobrze moją babkę Tore córkę Ingolfa. Była niewiastą wielkoduszną i bardzo mądrą, bogobojną i szczodrobliwą dla ubogich. W czasie, kiedy tu sprawowała rządy – a rządziła, póki żyła, tak twój pradziad jak i mój ojciec okazywali jej posłuch do ostatka – uprawiano w Hestviken rybołówstwo na wielką skalę. Babka posyłała swoje łodzie wzdłuż całego wybrzeża, aż do granicy kraju koło Gautelven i do Danii. Rozumiesz, chciała wywieźć się, czy nie gotuje się coś przeciwko rodowi Sverrego. Tora była zawsze powiadomiona o planach i knowaniach tego rodzaju, a wszyscy, którym stawianie oporu Birkebejnom sprawiało przyjemność, znajdowali we wdowie po Olafie synu Torgilsa niezawodne oparcie. Tora kochała ogromnie swego małżonka. Olaf syn Torgilsa był niskiego wzrostu, jasny, tryskający zdrowiem i piękny – nieco swobodnych obyczajów, to prawda, ale tacy byli oni już wszyscy za czasów króla Magnusa. Co do babki, nigdy z pewnością nie była urodziwa. W tym czasie, kiedy ją pamiętam, była tak wielka i tęga, że przez te drzwi nowej izby musiała przechodzić bokiem i zupełnie zgięta. Była o pół głowy wyższa od synów, a i ci byli wysocy. Ładna nie była; miała nos tak ogromny i krzywy, że nie wiem, z czym mógłbym go porównać, oczy niby jaja mewie, podwójny podbródek zwiślał jej aż na piersi, a piersi znów sięgały do brzucha. Najpierw posłała synów do Filipa, króla Baglerów, ale nie była z niego zadowolona.

Uważała go za męża gnuśnego i miłującego pokój, niezdolnego do czynu. Gdy więc potem ów Benedykt zasłynął męstwem na polach bitew, rozkazała synom iść do niego. Poczec jego wojowników składał się zresztą przeważnie z hałastry i pozbieranych zewsząd junaków, mój ojciec mówił zawsze, że ów Benedykt nie bardzo nadaje się na wodza. Był nieopatrzny, zuchwały i trochę głupkowaty, na jego odwadze nie można, było polegać; niekiedy okazywał się bojaźliwy, kiedy indziej znów był rycerzem bez trwogi. Olaf jednak popierał go zawsze, wierzył bowiem mocno i niezachwianie, że Benedykt jest synem Magnusa, choć nieudanym. Z tym Benedyktem zaś było tak, że najpierw miał pod swymi rozkazami tylko tę zgraję, przezwaną gałganiarzami; powoli jednak uciekało do niego coraz więcej poważanych kmieci, gdyż na razie nie znalazł się nikt inny bardziej zdatny na dowódcę. Wtedy jednak zachciało im się rządzić Benedyktem, zamiast żeby przyszedł król nimi rządził. I w jakiś czas potem, gdy Sygurd Ribbung wzniecił powstanie i znalazł poparcie u wielmożów, dawnych przywódców Baglerów, wodzowie gałganiarzy porwali Benedykta i przeszli do obozu Sygurda; Benedykt musiał odtąd zadowolić się tym, że został jednym z mniej znanych dowódców u Sygurda Ribbunga. Natomiast Olaf syn Olafa nie zapomniał nigdy, że Benedykt był tym panem, któremu przed innymi wierność zaprzysiągł; służył mu i oddawał mu należną cześć. Olaf był wiernym mężem.

Tora postarała się o dobre ożenki dla synów: Olafa ożeniła z Astrydą córką Helgego z Mork; oboje byli bardzo młodzi, mieli po szesnaście lat i żyli z sobą w zgodzie i miłości. Ich synami byli Ingolf, twój dziad, najstarszy, potem był Helgo, który zginął w Nidaros u boku króla Skulego, oraz Torgils, najmłodszy z synów, on i ja byliśmy rówieśnikami. Olaf i Astrydą mieli też dwie córki: Haldis, tę co miała za męża Ivara Staala na Aas w Hudsheim, oraz mniszkę Borgny, zacną, świętą kobietę. Umarła w rok po tym Urodzeniu.



Mój ojciec był już starszy, kiedy się ożenił, gdyż chciał zostać księdzem. Sam biskup Mikołaj syn Arnego wyświęcił go na księdza i kochał go bardzo. Był to człowiek niezwykle pobożny i uczony. Księgi przepisywał najpiękniej z wszystkich księży w biskupstwie. Moja matka, Bergljot z Tveit, była kobietą żywego usposobienia, lubiła uczyty i zabawy. Ona i ojciec nie byli do siebie podobni, toteż nie zgadzali się ze sobą, mimo że mieli wiele dzieci – pięcioro dożyło wieku dojrzałego. Matka była nieco zachłanna na pieniądze, ojciec zaś był tak wielkoduszny, że za plecami matki okradał własny spichlerz, by rozdawać jałmużnę. Najgorsze jednak było to, że mieszczenie dowiedzieli się o tym i śmiali się z tego – rozumiesz, nie wypadło, aby ksiądz nie był panem we własnym domu. Przypominam sobie, jak matka kiedyś z jakiejś przyczyny rozgniewała się, porwała dwa arkusze księgi dopiero co przepisanej przez ojca i cisnęła je w ogień; ale wtedy ojciec zbił ją na kwaśne jabłko. Ojciec był roslym i krzepkim mężczyzną, doskonale władał bronią i walczył niegdyś dzielnie z Birkebejnami, lecz do swych braci chrześcijan odnosił się zawsze jak najżyczliwiej i jak najłagodniej; matka natomiast wносиła z sobą pewien niepokój. Między naszym dworem w Oslo a wybrzeżem leżał kawał... hm, trudno to nazwać polem. Był to tylko szmat piaszczystego brzegu, trochę traw i naga góra. Mieszczenie zwykli chodzić tamtędy na wybrzeże. Matka chciała zagrozić ścieżkę, ojciec zaś był zdania, że nie przystoi księdzu spierać się o taką błahostkę. O prawo używania tej drogi wynikały sprzeczki bez końca między matką a ojcem i między nami a naszymi sąsiadami. Kiedy potem oznajmiono, że księża w kraju mają żyć w bezżeństwie, jak w innych krajach chrześcijańskich, ojciec kazał matce powrócić do Tveit; oddał jej ten, dwór oraz znaczną część własnych posiadłości. Ona jednak i jej rodzina oraz moje starsze rodzeństwo byli bardzo rozgniewani, sądzili bowiem, że w duchu ojciec raczej raduje się, niż martwi z zakończenia małżeńskiego pożycia. Wiem,

że ojciec uważał zawsze małżeństwo księży za niewłaściwa i tego zdania był również biskup Mikołaj. Lecz było ono w zwyczaju za młodych lat ojca i musiał wtedy zrobić to, czego życzyła sobie jego matka. Tak więc moja matka z rodzeństwem wyruszyli na wieś i od tej pory prawie wcale ich nie widziałem. Mój brat Kaare dostał potem Tveit, a Erlend – Aasheim. Obecnie oba te dwory są podzielone między liczne potomstwo. Ja zostałem przy ojcu, zawsze byłem przeznaczony na księdza. Żyliśmy szczęśliwie we dwóch i za nasz prawdziwy dom uważaliśmy kościół Świętego Hallvarda. W trzy lata po upadku króla Skulego zostałem wyświęcony na subdiakona. Babka Tora umarła wkrótce potem...

Prawda, miałem opowiedzieć o twoim pradziadku, Olafie Ribbungu, i jego rodzie. Jak ci wiadomo, Ingolf był ożeniony z Ragną córką Hallkego z Kaaretorp; to właśnie Tora postarała się o ten dobry ożenek dla wnuka, zaledwie wyrósł na młodzieńca. Audun, twój ojciec, liczył dopiero kilka lat, gdy my, krewni, wyruszyliśmy z Vaarbelgami i królem Skule. Gdy Torgils zwariował, Ingolf i Ragna źle się czuli w Hestviken i od tej pory siedzieli przeważnie w Kaaretorp. Pewnego razu, kiedy bawili tu w gościnie na Boże Narodzenie, Ingolf chciał towarzyszyć swej siostrze Haldis i jej mężowi na drugą stronę fiordu do Aas i być u nich przez jakiś czas. Na fiordzie łódź wywróciła się i wszyscy, którzy w niej siedzieli, utonęli.

Olaf Ribbung zniósł ten cios z niezwykłą godnością. Mój ojciec powiadał zawsze, że nie widział człowieka znoszącego dzielniej nieszczęście. Zawsze uważał swego brata za przykład hartu i mocy; dwaj bliźniacy kochali się bardzo. Tak zginęli wówczas syn, córka i zięć. Olaf powiedział tylko, że Bogu dziękuje za to, iż jego matka i żona umarły, zanim nieszczęście zaczęło prześladować ich dzieci. Odtąd mieszkał tu sam na sam z obłąkanym synem, a z jego potomków zostali na świecie jeszcze tylko mniszka Borgny i małe pacholę Audun. Wdowa po Ingolfie

wyszła po raz drugi za mąż na południu w Elvesyssel i Olaf pozwolił, by Audun chował się u matki i ojczyma. Sam zaś przyjął do rodowej wspólnoty syna, którego spłodził Torgils z dziewczką służebną w Hestviken, ale chłopak nie żył długo.

Wtedy gdy Ingolf i tamci utonęli, leżałem już trzeci rok bezwładny po złamaniu nogi. Źle znosiłem mój los, zdawało mi się, że to zbyt srogi dopust zostać w młodych latach kaleką i nigdy już nie móc sprawować służby Bożej. Ojciec stawiał mi zawsze za przykład Olafa Ribbunga... Wiem jednak, że Olaf bardzo się martwił, kiedy Audun po śmierci twojej matki nie chciał się powtórnie ożenić i osiąść na Hestviken i kiedy zdawało się, że ród wasz wymrze.

Teraz jest znów nadzieja, że zakwitnie na nowo, dzięki tak młodym i urodziwym ludziom jak wy, ty i twoja żona. Rozumiesz więc chyba, że tęsknię za tym, by przytulić do siebie twego syna. Znałem cztery pokolenia rodu, pięć nawet, jeśli liczyć naszą prababkę – i chętnie powitałbym przed śmiercią pierwszego męża szóstego ogniwa. Niewielu ludziom dane jest znać sześc ożniw rodowego łańcucha. Uważałbym to za zupełnie zrozumiałe, moja Inguno, gdyby i twój małżonek tęsknił za tym. Tutaj, na tym dworze żyli jego przodkowie od samego zarania Norwegii. Słyszysz, co mówię, młoda kobieto? – zapytał i roześmiał się chytrze.

Olaf widział, jak twarz Inguny pokryła się ciemnym rumieńcem, lecz nie był to nieśmiały błysk tęsknoty i szczęścia. Wrzący rumieniec wstydu zalał jej twarz, a oczy pociemniały z udręki. Miłosiernie odwrócił od niej wzrok.

Inguna wyszła na ganek spichrza, przystanąła i utkwiała oczy w opadającym wirze śnieżnym. Wysoko w górze, pod bladymi chmurami wielkie, mokre płatki wyglądały szaro; niżej, w miarę opadania, stawały się oślepiająco białe: migotliwa biała fala na tle zamazanych grzbietów górskich w dolinie Kvern.

Gdy przez jakiś czas wpatrywała się w tumany śniegu, miała wrażenie, że ją samą w jednej chwili wciąga i unosi powietrzny wir. Potem jednak opadała z taką siłą, że robiło jej się czarno przed oczyma. Wciąż na nowo usiłowała to przeżywać. Przykry zawrót głowy, który ją teraz często męczył, przemieniał się jak gdyby w delikatną rozkosz, kiedy czuła owo unoszenie się. Gdy następował upadek, nie widziała nic: cały świat zamieniał się w szaroczarne smugi, wirujące wokół.

Dziwnie bezdźwięczna cisza wisiała w powietrzu – może dzięki temu, że mewy zamilkły; wiedziała, że ptaki w taki czas chowają się w skalnych rozpadlinach i obsiadają wielkie głazy nadbrzeżne. Niekiedy wzbijały się na chwilę w górę – nie wydając z siebie głosu. Z początku po przybyciu do Hestviken zdawało się Ingunie, że te wielkie, białe ptaki o potężnej rozpiętości skrzydeł są piękniejsze od wszystkiego, co dotychczas widywała. Nawet ich szczególne wrzaski sprawiały jej przyjemność. Przeniesiono ją w odległe strony, daleko od miejsc, gdzie przecierpiała najsroźsze katusze... Latem, kiedy wychodziła i słyszała lekki ustawiczny plusk morza u podnóża skały, kiedy widziała rozjaśniony, szeroki fiord i pusty brzeg majaczący po drugiej stronie, kiedy białe, krążące nad wodą mewy, nierzeczywiste jak jakieś widma wydawały chrypliwe krzyki, wtedy czuła spokój w duszy: świat był taki ogromny i przestronny! O tym, co zdarzyło się gdzieś, w pewnym odległym zakątku, daleko stąd, co

jednak mogło zachwiać całym światem, można chyba teraz zapomnieć.

Gdy nastąpiła jesień nad fiordem, Inguna poczuła dziwny niepokój: nigdy nie było tu cicho. Wieczny szum i huk fał, wrzawa wodnego pectwa, ryk burzy nad lasami na zboczach – wszystko to wywoływało w niej zamęt. Ilekroć musiała podczas burzy przejść przez dziedziniec, miała wrażenie, że nawałnica przez uszy wdiera się w jej ciało i napełnia je zgiełkiem, a deszcz i mgła idące od morza odbierały jej odwagę. Myślała o jesieni w swej ojczyźnie: ziemia ścięta mrozem, jasność i cisza dokoła, tylko z oddali, od dworów słychać szczekanie psów i uderzenia toporów, słońce sączy się i przebija ranną mgłę, a w ciągu dnia stapia szron na rosę. Tak bardzo tęskniła za ciszą wokół siebie.

W miarę, jak dni roku kurczyły się i coraz wcześniej zapadał zmierzch, Inguna miała wrażenie, że ześlizguje się w dół. Teraz dotarła do samego dna – przesilenie zimowe minęło. Odtąd droga wiodła w górę. Młoda kobieta czuła się jednak całkiem bezsilna myśląc o tym, że musi nią iść. Słońce zaczęło się wznosić teraz coraz wyżej i wyżej – maluczko, a co dnia będzie można dostrzec, że idzie ku dłuższym i jaśniejszym dniom, ku wiosnie. Tylko ona jedna będzie jakby spoglądać ku wysokiej skale, na którą musi się wspiąć, z brzemieniem, jakie teraz z pewnością dźwiga, i na samą myśl o tym czuła zawrót głowy i słabość.

Cisza, cisza była w powietrzu, chociaż śnieg prószył dokoła i płatki krążyły czas jakiś, nim opadły na ziemię. Morze, którego skrawek widziała, było barwy czarniawej jak żelazo, a fale na brzegu szemrały jednostajnie w łagodnym, śnieżnym powietrzu.

Wszystko było zasnutę śniegiem, droga do przystani zawiana. Ślady kroków dziewczek idących do obory, jej własne ślady pokrył już śnieg. Z pierwszym cieniem zmierzchu cała ta biel płowiała z wolna i szarzała.

W dole, na dziedzińcu otwarto szybko drzwi łaźni i w kłębach buchającej białej pary dojrzała ciała mężczyzn, ciemne na tle śniegu.

Biegli pod górę, ku stodole, gdzie zostawili ubrania, tarzali się po drodze w śniegu, z krzykiem i śmiechem. Inguna poznała Olafa i Björna; wyszli pierwsi, zwarli się z sobą, mocowali i obrzucali śniegiem.

Podniosła dziezę z marynowanymi rybami i nakryła ją płaszczem. Dzieża była tak ciężka, że musiała ją dźwigać oburącz, nie mogła ani patrzeć pod nogi, ani oprzeć się i strach ją przeniknął, że pośliznie się na ośnieżonych, gładkich skałach. Mrok gęstniał, a szarość przed oczami potęgowała jeszcze zawrót głowy.

Olaf przeszedł izbę i zasiadł na poczesnym miejscu pod szczytem. Był głodny i zmęczony. Owładnęła nim rozkoszna ociężałość na myśl, że jest sobotni przedświąteczny wieczór i że trzy kobiety krzątają się koło niego, podając mu jedzenie i napoje.

Ogień na palenisku żarzył się purpurowo, płaskie, małe płomyki igrały na wypalonych bierwionach, ale w półmroku izby gospodarz odczuwał błogość i wygodę, która tu od niedawna zapanowała. Stół ustawiony był teraz zawsze wzdłuż ziemnej ławy pod szczytową ścianą; na poczesnym miejscu leżały poduszki, na dyłowej ścianie z tyłu rozpięty był dywan. Obok, na swym dawnym miejscu, wisiał berdysz Attarfylgia, wraz z wielkim mieczem Olafa oraz tarcza z wilczym łbem i trzema błękitnymi liliami. Na południowej ścianie dokoła łoża, w którym spali małżonkowie, rozpięty był namiot, tkany w niebieskie kwiaty.

Przez drzwi komory sączyło się słabe światło – to stary leżał i na pół śpiewnie odmawiał pacierze wieczorne. „Sira Benedykt może gadać, co chce – myślał w duchu Olaf – mój krewny i tak jest bardzo uczony, pacierz mówi nie gorzej od księdza.” Gdy stary skończył, Olaf zapytał głośno, czy nie miałby ochoty wejść i zjeść coś.

Starzec odparł, że wolałby, aby mu podano do komory trochę kaszy

i piwa. Inguna napełniła prędko miskę i zaniósła mu ją. W tej chwili weszli parobcy: pierwszy Björn z naręczem polan, które cisnął na ziemię. Dołożył drew do ognia, otworzył drzwi wejściowe i dymnik, tak że śnieg z sykiem zaczął padać na palenisko. Inguna pozostała w komorze, póki drzewo nie rozpałiło się i gęsty dym nie wyszedł z izby. Björn zamknął drzwi i dymnik.

Inguna wróciła do izby i stanęła przed stołem, nożem uczyniła znak krzyża nad bochnem chleba, zanim go pokrajała w kawałki. Pięciu mężczyzn na ławie posilało się w milczeniu, długo i do syta. Inguna przysiadła na krawędzi łoża, uszczknęła nieco ryby i chleba. Była uszczęśliwiona, bo ten łosoś był naprawdę smaczny, w sam raz kwaśny. Piwo pochodziło ze świątecznego warzenia i mogło być lepsze, ale dostała nieczyste ziarno na sól, na pół zmieszane z rozmaitym nasieniem.

Zerknęła w stronę męża. Włosy jego były ciemne od wody, a brwi i krótka broda lśniły złociście w twarzy czerwonej i ogorzalej dzisiaj od wiatru. Widać było, że mu jedzenie smakuje.

Trzy dziewczki siedziały na ławie obok łoża, przed paleniskiem i jadły. Najmłodsza, Herdis, paplała i chichotała co chwila, zawsze skora do żartów i śmiechu. Pokazywała dwom starszym nową łyżkę rogową, którą dostała; śmiech wprost tryskał z niej – potem spojrzała przestraszona na gospodynię i usiłowała siedzieć cicho, ale w jej krtani dalej grało i bulgotało.

Zaraz po wieczerzy czeladź opuściła izbę. Mężczyźni od wczesnego rana byli na fiordzie, a że nazajutrz czekała ich daleka droga do kościoła, nie mogli się długo wysypiać, zwłaszcza teraz, kiedy drogi były zupełnie zawiane.

Olaf wszedł do komory: staremu trzeba było zawsze trochę pomóc, zanim ułożył się do snu. Olaf syn Ingolfa był przed nocą szczególnie gadatliwy, chciał, by mu dokładnie zdano sprawę z połowu ryb i pracy

dworskiej, dokonanej w ciągu dnia. I przy każdej odpowiedzi Olafa młodszego przypominał sobie jakąś gadkę, którą musiał opowiedzieć.

Kiedy Olaf wrócił do izby, Inguna siedziała na niskim zydłu przed paleniskiem i czesała włosy. Była na pół rozebrana. Miała na sobie białą płócienną koszulę z krótkimi rękawami i opięty stanik z rdzawego samodziału. Bujne, ciemnozłote włosy okalały niby płaszcz jej wiotką, pochyłoną nieco postać, białe szczupłe ramiona przebłyskiwały przez nie.

Olaf zbliżył się do niej, wziął w ręce rozpuszczone włosy żony i wtulił w nie twarz – pachniały tak przyjemnie.

– Masz najpiękniejsze włosy ze wszystkich kobiet, Inguno! Przegiął jej twarz w tył, spojrział prosto w twarz:

– Aleś zmizerniała od Bożego Narodzenia, najmilsza. Nie wolno ci pracować za dużo, nie pozwalam! I musisz koniecznie więcej jeść. Inaczej schudniesz bardzo, a tu tymczasem post na karku i nic z ciebie nie zostanie.

Ściągnął kaftan i koszulę, usiadł na brzegu paleniska grzejąc sobie plecy. Widok nagiego ciała mężczyzny, gra mięśni pod mleczną skórą, kiedy pochylił się, by zdjąć buty, obudziły bolesną żalność w sercu młodej kobiety. Jego zdrowie pozwoliło jej odczuć jeszcze dotkliwiej własną słabość.

Olaf podrapał się w plecy. Kilka maleńkich, czerwonych jak; wino kropel krwi wystąpiło na błyszczącej skórze.

– Chwacki łąziebnik z tego Björna – roześmiał się. Pochylił się nad suką, leżącą ze swymi małymi na wyrku obok paleniska, i podniósł jedno szczenię. Piszcząco żalownie, kiedy Olaf zbliżył je do światła; oczy psiaka zaczynały się dopiero otwierać. Matka warknęła głucho. Olaf niedawno kupił sukę i zapłacił za nią tyle, że ludzie znów potrzęsali głowami nad jego wielkopańską rozrzutnością. Była to niezwykła rasa psów, o jedwabistych, zwisających uszach i krótkiej sierści – znakomite ogary.



Olaf z przyjemnością głaskał szczenięta, wyglądało na to, że cały pomiot, pięć psów, wda się w matkę. Ze śmiechem położył szczenię na kolanach żony i stanął obok, rozweselony coraz groźniejszym warczeniem suki, która jednak nie śmiała się rzucić.

Małeńkie stworzonko na niepewnych nogach, z okrągłym brzuszkiem, czołgało się po kolanach Inguny, liżąc jej ręce. Było tak wiotkie, jak gdyby bez kości... Nagle Ingunie zrobiło się słabo i coś ją ścisnęło za gardło. – Oddaj je matce – poprosiła słabym głosem.

Olaf spojrział na żonę, przestał się śmiać i położył szczenię obok suki.

Miesiąc Torre odszedł i miesiąc Gjō<sup>[36]</sup> skuł fiord mrozem. Lodowa powłoka ciągnęła się aż hen, na południe po Jolund. Dnie zaczynały być widne i długie. Dalej, na wolnym fiordzie mroźne opary wzbijały się nad wodą, a potem gdy nadchodziły pogodne dni z rozblękitnionym niebem i słońcem, świat cały skrzył się bielą szronu. Olaf i Björn wyruszyli razem na łowy.

Inguna kręciła się po dworze i rozmyślała, jak długo jeszcze uda jej się ukryć swój stan? Szloch wzbierał w niej. Z bezsilną rozpaczą wiedziała, że teraz na pewno nie potrzebuje niczego ukrywać: była ślubną małżonką Olafa na Hestviken i miała prawo urodzić dziecko we dworze, na którym od zamierzchłych czasów żył ten sam ród. A jednak czuła się tak, jak gdyby musiała wpełznąć pod ziemię i tam się ukryć...

Zrozumiała, że Olaf poznał, co jej dolega. Mimo to w żaden sposób nie mogła napomknąć o tym choćby jednym słowem. Wraz z wszystkimi przestrzegała ściśle reguł postu, chociaż głód wysysał jej wnętrzości aż do bólu. Zauważyła, że Olaf coraz częściej przygląda jej się po kryjomu,

[36] *Miesiąc Torre odszedł i miesiąc Gjō...* – miesiąc Torre, okres czasu obejmujący cały prawie luty; miesiąc Gjō, okres czasu po księżycu Torre. (Przyp. tłum.)

jak gdyby zdziwiony, ze skrytą troską w oczach, a potem długo chodzi w milczeniu. I kiedy widziała go zamyślonego i pełnego zdumienia, ogarniała ją straszliwy lęk, ale nie potrafiła się przemóc, by coś powiedzieć.

W pewną niedzielę, wróciwszy właśnie z kościoła, przez chwilę pozostali sami w izbie. Olaf siedział na ławie. Gdy przechodziła obok niego, ujął ją za przegub ręki i zatrzymał:

– Inguno, musisz wyświadczyć Olafowi synowi Ingolfa przysługę i powiedzieć mu o tym. Wątpię, czy przetrzyma wiosnę, a wiesz przecież, jak bardzo pragnie tej nowiny.

Inguna pochyliła głowę, spłonęła krwawym rumieńcem.

– Dobrze – szepnęła posłusznie. Wtedy mąż przyciągnął ją do siebie.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał cicho. – Taka jesteś niewesoła, Inguno. Czy ten twój gość bardzo cię dreczy? A może boisz się?

– Boję się! – Przez chwilę zdawało się, że młoda kobieta wybuchnie. Jak gdyby jej dawne gwałtowne „ja” ocknęło się na nowo. – Wiesz przecież dobrze, dlaczego jestem taka... Zawsze byłeś dobry dla mnie, a teraz co dnia muszę myśleć o tym, że jestem niegodna!

– Milcz! – Ścisnął mocno jej rękę. Inguna widziała, że twarz Olafa staje się jak gdyby zamknięta. Gdy znów przemówił zgnębionym głosem, starał się mówić spokojnie i łagodnie.

– Nie myśl o tym, Inguno. Byłoby znacznie lepiej, gdybyśmy o tym zapomnieli. Wiesz chyba, że kocham cię tak serdecznie, iż nigdy nie potrafiłbym być inny. Muszę być dobry dla ciebie.

– Ach, byłabym jeszcze o wiele mniej warta, gdybym mogła zapomnieć!

Osunęła się na kolana, ukryła głowę na jego piersi i pocałowała go w rękę. Olaf wyrwał gwałtownie rękę i chciał podnieść żonę. Inguna przechyliła mu się w ramionach, spojrzała mu prosto w oczy i rzekła z przekorą:

– Kochasz mnie, tak, Bogu wiadomo, że to widzę. Sądzę jednak, że gdybym próbowała być taka wobec ciebie, jaka byłam dawniej, kapryśna i zarozumiała – kiedy to żądałam, byś mi pozwolił postanawiać za nas oboje – wątpię, żebyś mnie taką ścierpiał po tym, co ci zrobiłam, albo żebyś mnie bardzo kochał.

– Ach, milcz lepiej! – puścił ją nagle.

– Nieraz pragnę niemal, abyś postąpił ze mną surowo, jak niegdyś groziłeś...

– Nie pragniesz tego – odparł ze słabym, zimnym uśmiechem, który tak dobrze od dawna znała.

Po chwili przygarnął ją znowu gwałtownie do siebie, utulił jej głowę na piersi:

– Nie płacz – prosił.

– Nie płaczę. – Olaf podniósł jej głowę, spojrzął jej w twarz. Niesamowicie zrobiło mu się na duszy. Wolałby, żeby płakała.

W okresie, który potem nastąpił, jakaś obezwładniająca trwoga ogarniała niekiedy Olafa. Miał uczucie, że wszystkie jego wysiłki są daremne. Daremna cena, którą zapłacił, by sobie i jej okupić spokój, daremne, że własną gorycz ukrył na dnie duszy, topiąc ją pod wszystkimi dawnymi źródłami swojej miłości. Pożycie z Inguną było dawnym dobrym przyzwyczajeniem jego dzieciństwa; ilekroć brał ją w ramiona, przypominał sobie pierwsze upojenie swego życia. Nigdy nie dał poznać po sobie, że pamięta o jej... słabości, jak to teraz nazywał. A oto stał bezradny i widział, jak żona ugina się pod wstydem trawiącym jej serce.

I nie mógł również nic na to poradzić, że sam także o tym myślał... teraz, kiedy widział ją ciężarną: to nie było jej pierwsze dziecko.

W pierwszych tygodniach pożycia z nią w Hestviken znajdował

upodobanie w jej łagodnym obejściu, gdyż widział, że to radość czyni z niej pokorną i uległą żonę. Obecnie sprawiało mu to ból. Inguna mówiła prawdę: gdyby była taka jak przedtem, samowładna i żądająca od niego uległości, nie ścierpiałby tego teraz...

I prostował się w duchu, na nowo podejmując swoje brzemię. W domu był zawsze zadowolony i równego usposobienia, w rozmowach z ludźmi odpowiadał ochoczo i wydawał się rad, że nowa gałąź ma wyrósć na wiekowym pniu. Z miłością odnosił się do żony i starał się ją pocieszać: Inguna nigdy nie była zbyt mocna, a ten stan z pewnością bardzo nadwężał jej słabe siły. Smętek jej minie, gdy znów powróci do zdrowia.

Na wiosnę Olaf syn Ingolfa podupadł bardzo na zdrowiu i Olaf syn Auduna, pielęgnował go, jak mógł. Nocą sypiał nieraz w komorze krewnego, staremu bowiem co chwila trzeba było oddać jakąś usługę. Mała lampka tranowa paliła się całą noc, młody Olaf leżał w futrzanym worze na podłodze. Jeśli stary nie mógł spać, leżał godzinami i opowiadał, obecnie opowiadał już tylko historię ich rodu: jak to włości i dobytek stały się udziałem mężów z Hestviken i jak potem znowu rozpląnęły im się w rękach.

Pewnej nocy, kiedy tak leżeli i gawędzili, młody Olaf zaczął rozpytywać imiennika o Dritskjegga. Wszystko, co wiedział o nim dotychczas, składało się z samych okruczeń, a i one nie były przyjemniejsze od tego, co wiedział z własnych wspomnień o chorym.

Stary Olaf odparł:

– Nie mówiłem ci o nim dotąd wiele, ale możliwe, żeś powinien wiedzieć i to także, skoro masz zostać głową naszego rodu. Czy twoja żona śpi? Lepiej, aby tego nie słyszała. Prawdą jest, co padają o nim, że

szkaradnie i wiarołomnie postąpił wobec wielu kobiet. I niejeden człowiek o mnie również źle mówił, ponieważ ja, który byłem przeznaczony na księdza, zawsze się z nim przyjaźniłem. Torgilsa kochałem najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie i nigdy nie mogłem zrozumieć tego gadania o jego występnyim życiu, bo nigdy nie widziałem, żeby i towarzystwa kobiet albo urzekał młode dziewczęta, kiedy braliśmy udział w jakiejś zabawie czy uczcie. A gdy rozmowa brała taki obrót, jaki, jak wiesz, zdarza się nieraz w izbie czeladnej między lekkomyślnymi chłopakami, gdy zaczęła mówić o białogłowach i rozwiązłym życiu, wówczas Torgils siedział przeważnie w milczeniu i uśmiechał się drwiąco. I nigdy nie słyszałem, aby odezwał się rubasznie lub niestosownie. Miał raczej milczący i spokojny sposób bycia, był odważnym, śmiałym i zaprawionym we władaniu bronią młodzieńcem. Czy miał jakich innych przyjaciół oprócz mnie – tego nie wiem, ale my dwaj od dziecka wyrosliśmy razem jak bracia mleczni. Bolałem nad jego trybem życia, lecz nigdy nie zdobyłem się na to, by mu o tym choć słowem napomknąć. Ojciec mój karcił go nieraz surowo – i on także kochał Torgilsa bardzo. Torgils przypominał mi dzień, który czeka nas wszystkich, dzień, w którym będziemy musieli stanąć przed obliczem Pana, by zdać sprawę z wszystkich naszych czynów. „Byłoby lepiej dla ciebie, Torgilsie – mawiał często mój ojciec – gdyby cię rzucono z młyńskim kamieniem u szyi do fiordu, jak to zrobiły bestie ludzkie z ulubieńcem Boskim, świętym Hallvardem, kiedy się ujął za pewną ubogą, skrzywdzoną kobietą – ty jednak znieważasz takie biedaczki!” Torgils nie odpowiadał nigdy ani słowa. Coś tajemniczego tkwiło w nim: nigdy nie widziałem, aby zbliżył się do jakiejś niewiasty, usiadł obok niej i rozmawiał z nią, natomiast zauważyłem, że ogarniał je niepokój, zaledwie rzucił na nie okiem – zły urok chyba musiał być w jego spojrzeniu. Nad mężczyznami posiadał również jakąś tajemniczą władzę. Bo gdy skończyło się ze wspaniałością Vaarbelgów, Torgils

zaczął popierać biskupa i został potem przywódcą jego jezdnych. A jednak biskup chciał niejedną raz przepędzić go z powodu pogłosek, jakie do niego doszły. Skoro zaś wyszła na jaw ta rzecz z Astrydą córką Bessego i z Herdis ze Stein, zagroził mu nawet więzieniem i banicją oraz wypędzeniem z miasta – ale nigdy do tego nie przyszło.

Było to około Bożego Narodzenia, siedem lat po upadku króla Skulego. Torgils przebywał w tym czasie w domu na Hestviken. W czasie Wielkiego Postu zjechali się w Oslo Bessę i jego synowie ze stryjem Olafem i ułożono, że zaraz po poście Torgils ożeni się z Astrydą. Jeden jedyny raz mówił wówczas Torgils o podobnej sprawie. Oświadczył, że woląby pozostać w domu i nie poślubić Astrydy, a także, że nie przeprowadzi się do żony, lecz Bessę i jego dzieci są ludźmi tak zacynymi, że nie śmie im się sprzeciwić i musi pojąć Astrydę za żonę. Ja jednak wywnioskowałem z jego gadania, że żywi do niej odrazę. Nigdy nie mogłem zrozumieć, że mężczyzna może być zdolny do tego, by okryć takie młode dziecko hańbą, jeśli nawet nie kocha go zbytnio. Torgils jednak odparł, że nic na to nie może poradzić, iż zawsze chwytą go potem taki wstręt do kobiet...

Bóg niech będzie miłościw jego duszy. Wkrótce potem spotkał Herdis córkę Karola i nie przybył na swoje zrękowiny z Astrydą. Olaf nie mógł opanować gniewu i wstydu z powodu zachowania się syna, lecz Torgils oświadczył, że woli raczej opuścić na zawsze kraj, niż żeby go miano zmusić do małżeństwa z kobietą, której widoku nie może znieść. A potem, gdy ta rzecz z Torgilsem i Herdis się wydała, było jeszcze gorzej: grozili mu i błagali zarówno stryj Olaf, jak mój ojciec i biskup. Torgils nie zważał na nic. Astrydą nie odznaczała się zbyt wielką urodą, lecz była młoda, rumiana i biała – Herdis natomiast była tłusta, miała cerę żółtawą i była o trzynaście lat starsza od Torgilsa. Prócz tego była matką ośmiorga dzieci, tak że nikt nie rozumiał zapamiętania Torgilsa, i ludzie sądzili, że został on

opętany. Ja sam uważałem, że diabeł wmieszał się chyba w tę sprawę i że to on dzierży w swej władzy tego człowieka, skoro może tak bezlitośnie postępować z Astrydą, młodą dziewczyną. Powiedziałem mu to, a Torgils zbladł i zmienił się na twarzy, tak że mnie strach ogarnął. „Być może masz słuszość, krewniaku. Ale teraz już za późno” – odparł. I mimo że prosiłem go i namawiałem, było tak, jakbym mówił do skały. W kilka dni potem rozeszła się wieść, że Jon na Stein, mąż Herdis, umarł.

Olaf syn Auduna zerwał się z ziemi, wbił bez słowa przerażone oczy w starca. Olaf Półmnich leżał chwilę spokojnie, po czym ciągnął cicho i z wysiłkiem:

– Jon wracał właśnie z zebrania, całą noc spędził poza domem; towarzyszyli mu dwaj wierni ludzie z jego drużyny. Upadł na skraju drogi i w chwilę potem wyzionął ducha. Był stary i chorowity – Bogu wiadomo, iż wierzę niezachwianie, że ani Herdis, ani Torgils nie byli niczemu winni. Możesz sobie jednak wyobrazić, jakie przeróżne poszły między ludzi gadki, kiedy dowiedziano się, że Torgils zamierza poślubić wdowę. Olaf Ribbung oświadczył, że wolałby, aby synowie Bessego zabili Torgilsa, zanim to się zdarzyło, i że dopóki niezamężna Astryda żyje w gminie z synem Torgilsa, on nie zniesie, aby Torgils lżył jeszcze bardziej jej krewnych, żeniąc się z inną. Jeśli zaś sprawa wygląda tak, że jego syn pokochał zameżną kobietę, to on błagać będzie Boga, aby zesłał na Torgilsa najsroźsze kary, jeżeli nie porzuci niecnego trybu życia, nie odprawi pokuty i nie rozłączy się z nierządnicą. I zanim Torgils się z nią ożeni, ojciec raczej skrepuje go jak szaleńca.

Wkrótce potem Herdis umarła nagle. Gdy wiadomość o tym nadeszła, byłem u Torgilsa... Trudno mi jednak określić, jak Torgils się wówczas zachował. Najpierw oczy jego zrobiły się ogromne, nigdy nie widziałem podobnych oczu, a potem zwały się i cały Torgils skurczył się w sobie, jak gdyby zgasł. Nic nie powiedział i w następnych dniach kręcił się i

wykonywał swoją robotę jak gdyby nigdy nic... Ja jednak przeczuwałem, że coś się święci, i jeżeli tylko nie byłem w kościele, nie odstępowałem go dniem ani nocą. Zauważyłem też, że chętnie widzi mnie przy sobie, ale kiedy sypiał, tego nie potrafiłbym powiedzieć. Rzucał się, tak jak stał, na posłanie, nie mył się ani nie golił, z wolna dziwaczał, zmieniał się, aż zrobił się całkiem do siebie niepodobny.

Herdis pochowano przy kościele w Aker. W tydzień potem biskup posłał Torgilsa do Aker; towarzyszyłem mu. Był to sobotni wieczór i dzierżawca klasztorny przygotował nam kąpiel w łaźni. Udało mi się namówić Torgilsa, aby zgolił ohydną, żółtą szczcę brody i obciąłem mu włosy. „Teraz jestem gotów” – rzekł, mnie zaś ciarki przeszły, bo uśmiechał się szczególnie; widziałem, że jego oblicze jest wynędzniałe i zniszczone, a skóra i włosy stały się jeszcze bledsze. Oczy natomiast były ogromne i tak wyblakłe, że miały kolor wodnistego mleka. Mimo to był piękny, chociaż nie przypominał zgoła żywego człowieka, kiedy tak siedział na ławie, nieruchomy, z wlepionymi przed siebie oczyma.

W końcu położyłem się na łożu i po chwili zasnąłem. Zbudziły mnie trzy uderzenia do drzwi. Zerwałem się.

Torgils podniósł się z ławy, a poruszał się jak człowiek, który chodzi we śnie. „Idą po mnie” – rzekł.

Skoczyłem i przytrzymałem go mocno, Bóg wie, co zrozumiałem w tej godzinie. Torgils jednak odsunął mnie i znów zapukano do drzwi.

„Puść mnie! – rzekł Torgils. – Muszę wyjść.”

Byłem za młodu wysokiego wzrostu, o wiele wyższy od Torgilsa, barczysty, choć nie tak silny jak on. Torgils był krępej budowy ciała, miał zwięzłe kończyny, jak ty, i posiadał siłę tura. Objąłem go i chciałem zatrzymać. Spojrzał na mnie i zrozumiałem, że ludzka siła nic tu nie pomoże. „To Herdis” – powiedział i znów trzykrotnie zastukano w drzwi. „Puść mnie, Olafie. Nigdy nikomu nic nie przyrzekłem, jej jednak



obiecałem, że pójdę za nią – żyw albo umarły.”

Odrzącił mnie z taką mocą, iż upadłem na ziemię, i wyszedł z izby. Zerwałem się, chwyciłem siekierę i pobiegłem za nim, Bóg niech mi będzie miłościw. Gdybym chwycił brewiarz lub krzyż, zrobiłbym lepiej, lecz nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Byłem młody. W sercu czułem się raczej wojownikiem niż księdzem, w potrzebie polegałem raczej na stali i ostrzu miecza niż na krzyżu.

Wypadłem na dziedziniec i ujrzałem ich przy częstokole. Księżyc stał na niebie, ale zakryty był pędzącymi chmurami. Powietrze było łagodne, a ziemia czarna, gdyż w tym roku niewiele spadło śniegu w naszej gminie. Mimo to było widno na tyle, że gdy wyszedłem za wrota, dostrzegłem ich oboje tuż przed sobą: nieboszczka szła naprzód, podobna do kłaka mgły, zaledwie dotykając ziemi stopami, za nią biegł Torgils, a ja na końcu. Wtem zza chmur wychylił się miesiąc. Spozstrzegłem, że Herdis przystaje: zrozumiałem, czego chce, i zawołałem:

„Jeśli ci przyrzekł, że pójdzie za tobą, musi to uczynić, ale nie przyrzekł, że pójdzie przed tobą!”

Nie przyszło mi jednak na myśl rozkazać jej w imieniu Pana, by puściła swoją ofiarę. Doszliśmy tak w poblizze kościoła; kamienna ściana lśniła słabo w księżycowej poświacie. Zmarła prześliznęła się przez cmentarne wrota, Torgils, wbiegł za nią, a ja biegłem za nimi z tyłu; przybyłem jeszcze na czas, by dostrzec, jak Herdis stoi pod murem i wyciąga ramię w stronę Torgilsa. Cisnąłem z całej siły siekierą, tak że przeleciała nad jego głową i zadzwoniła o kamienny mur. Torgils padł na ziemię, ale w tej samej chwili rzucili się na mnie z tyłu i powalili mnie tak, że prawa noga złamała się w trzech miejscach; w kolanie, stopie i udzie...

Od tej chwili nie wiedziałem już o niczym, aż do rana, kiedy ludzie przyszli na nabożeństwo i znaleźli nas. Wtedy to Torgils stał się takim, jakim go znałem – postradał rozum i był odtąd niedołączny niczym niemowlę,

tylę że umiał chodzić. Gdy widział w pobliżu siebie jakąkolwiek broń, był jak zwierzę i kulił się, a piana ciekła mu z ust. Przedtem słyęął z męstwa i bojowej sprawności. Słyęiałem, że posiwiiał zupełnie od razu pierwszej zimy.

Co do mnie, leżałem długie lata ze strzaskaną nogą. W pierwszym roku odłamki kości wyłazyły mi z ran razem z ropą, która cuchnęła tak, że życie mi zbrzydło. Niejeden raz modliłem się z wielkim płaczem do Boga, aby pozwolił mi umrzeć, bo cierpiałem ponad siły, tak mi się zdawało. Ojciec był ze mną, krzepił mnie na duchu i prosił, abym wytrzymał ten ból, jak przystało mężowi i chrześcijaninowi.

W końcu noga moja ozdrowiała, Torgils jednak nie poznał mnie, gdym przybył na Hestviken – było to pięć zim po owym wydarzeniu. Olaf Ribbung prosił mnie, abym się tu nie pokazywał; nie mógł patrzeć, jak jego bratanek wlecze się niby wrak – chodziłem wtedy o kulach – nie mógł znieść myśli, że to jego syn był sprawcą mojego kalectwa.

Kiedy starego zmorzył wreszcie sen, Olaf leżał jeszcze długo bezsennie. Doprawdy, nie mieli szczęścia ci ludzie jego rodu, ale wytrzymali niejedno...

Ten biedak, który spał tam w łozu, i ten drugi, jego imiennik, jego pradziad, który mieszkał tu z okropnym, obłąkanym synem... Olaf czuł, że na myśl o przynależności do nich przenika go płomienny dreszcz. Sędziwa niewiasta Tora, ksiądz Ingolf – wszyscy byli wierni straconej sprawie, wierni zmarłym i zgubionym, którzy do nich należeli.

Pomyślał o rodzie synów Steinfinna. Oni należeli do gatunku szczęśliwców. Zuchwali i beztroscy ludzie. Dla nich nieszczęście było jak trucizna, którą połknęli. Wytrzymywali dopóty, póki jej znów nie wypłuli – potem dopiero ginęli. I tej nocy pojął jasno i wyraźnie: Inguna również

była taka, na nią także spadło nieszczęście niby śmiertelna choroba, z której się już nigdy nie podniesie. Jego szczęściem jednak było, iż był takiej natury, że i bez radości mógł wytrzymać. Przodkowie jego nie porzucali straconej sprawy, podnosili wciąż na nowo starą chorągiew, póki istniała jej resztką czy strzęp. W duchu nie zdawał sobie nigdy sprawy, czy żałuje, że przyjął propozycję jarla Alfa i zwolnił się ze służby swojego pana; uczynił to dla kobiety, którą oddano w jego ręce, gdy oboje byli jeszcze dziećmi. Chciał ją miłować i strzec jej, jak strzegł jej w latach dziecięcych, jak miłował ją od chwili, gdy po raz pierwszy poczuł się mężczyzną. Chociażby nigdy nie miał zaznać u jej boku szczęścia, ponieważ ona zawsze będzie już tylko chorowitą, niedołączoną żoną, nic się nie zmieni, zrozumiał to tej nocy. Będzie ją miłował i będzie jej strzegł do ostatniego tchu...

O świcie jednak, w jasnym świetle dnia zmarszczył Olaf czoło, wspomniawszy nocne rozmyślenia. Dziwaczne zaprawdę myśli snują się człowiekowi po głowie, kiedy go chwyci bezsenność. Inguna całe lato była zdrowa, rześka i taka piękna jak nigdy. Teraz była co prawda zupełnie pozbawiona wiary w siebie, ale biedaczka nigdy nie umiała podźwignąć żadnego brzemienia. Gdy jednak dziecko przyjdzie na świat, odzyska ona z pewnością zdrowie i radość życia.

Na mgnienie oka przemknęło mu przez głowę: a może ona myśli i o tym dziecku, które urodziła zeszłego roku? Nie mówiła o nim nigdy i on wobec tego nie wspominał go słowem... Nie wiedział nic więcej ponad to, że dziecko żyło, kiedy ubiegłego lata wyjeżdżali z Oplandii.

Inguna myślała teraz o Eiriku dniem i nocą.

To także zbladło w jej pamięci i stało się nierzeczywiste w pierwszym okresie szczęścia: że ma małego synka, który spał w jej ramionach, ssał jej pierś i leżał w jej łóżku, maleńki, ciepły i miękki, że czuła idący od niego kwaskowaty zapach mleka, podczas gdy lzy jej spływały na głowę dziecka w ślepe, posępne noce i że rozstając się z nim, przedarła się jakby sama na dwoje, zanim poszła ku ostatecznemu przerażeniu i najgorszej ciemności.

Wszystkie te strachy leżały niby zatopiony brzeg poza szalejącym morzem gorączkowych nocy, pełnych mroku i zgiełku, kiedy w zawrotnych omdleniach wynosiła ją fala w górę, to znów strącała w otchłań. A gdy potem ocknęła się w jasności dnia, Olaf był przy niej i zabrał ją do siebie. Odkąd żyła w szczęściu, miała wrażenie, jakby ta nieszczęsna kobieta, którą pamiętała, nie była nią samą. Mijały tygodnie, podczas których ani razu nie pomyślała o swym dzieciątku, podczas których niepewnie, niemal obojętnie pytała sama siebie: czy mój syn jeszcze żyje? I nie wzruszyłoby jej bardzo – tak sądziła – gdyby się dowiedziała, że umarł. Potem jednak zdarzało się, że dręczyła ją niespokojna myśl: jak mu jest, czy dobrze jest Eirikowi? Może mu źle u tych obcych ludzi?

I z dalekich, zamglonych wspomnień o minionych cierpieniach wyblyskiwało z nagłą jedno, przerażająco żywe: gniewny, słaby krzyk dziecka, który tylko jej pierś uspokoić mogła. Prawda trafiała w nią niby bezwzględny, bolesny cios: jest matką kwilącego niemowlęcia, które gdzieś daleko w świecie, ciśnięte między obcych chrypnie może o tej godzinie z płaczu za matką. Z całą mocą, na jaką ją było stać, odsuwała podobne myśli. Opiekunka wyglądała tak pocziwie – była może

miłosiernej szał od matki, która dziecku dała życie. Odpychała i odrzucała te myśli, precz z nimi!

Wspomnienie Eirika zacierało się, Inguna znowu żyła teraz w Hestviken, była małżonką Olafa i było jej niewypowiedzianie dobrze; czuła, że jej młodość i krasa rozkwitają na nowo. Spuszczała głowę, drżąc z radości i onieśmielenia, ilekroć mąż na nią spojrział...

Ale w miarę jak rosło w niej to nowe dziecko... z tajemnego, dławiącego uczucia, które wywoływało zawrót głowy i mdłości, z samego lęku przed cieniem, jaki mógłby paść między nią i Olafem, stało się to nie narodzone dziecko ciężącym jej brzemięciem, zawadą we wszystkim, czego się tknęła. A tymczasem w oczach wszystkich ludzi najważniejsze w niej było właśnie to, że miała zaszczerpić nowe życie na starym pniu rodowym. Olaf syn Ingolfa nie mówił już o niczym innym. Gdyby była królową Norwegii i nadzieje na pokój i pomyślność państwa wiązały się przez pokolenia z oczekiwanym dzieckiem, starzec w spodziewanym wydarzeniu nie mógłby dopatrzeć się większej ważności. Ludzie z gminy przy spotkaniu z nią dawali również wyraźnie do zrozumienia, że uważają to za dobrą nowinę. Olaf syn Auduna był jedynym mężem, w stosunku do którego, już od chwili gdy miał siedem lat, żywili nadzieję, że podniesie na nowo stary ród w Hestviken, ale od tego czasu tułał się z dala od ojczystych stron. Po dwudziestoletniej wędrówce powrócił wreszcie do rodowej siedziby swych ojców. Jeśli teraz wzrastać będą dzieci obok niego i żony, zostanie naprawiona dawna krzywda.

Jej własna czeladź brała również udział w tym, co czekało gospodynię. Od pierwszej chwili polubiono Ingunę za to, że była taka wdzięczna, miła i życzliwa. Żal trochę było ludziom młodej kobiety, tak serdecznie niedołącznej w robocie. Teraz zaś widząc, jak źle wygląda, litowano się nad nią. Inguna bladła śmiertelnie, ile razy weszła do kuchni, gdzie warzono mięso fok lub ptaków morskich; bąkała pod nosem, że nie

jest przyzwyczajona do zapachu łożu w jedzeniu. Dziewki śmiały się i wypychały ją za drzwi: „Damy sobie radę bez was, gospodyni”. Nie miała siły stać i rozdzielać posiłku, pot ściekał jej po twarzy. Stara krowiarka sadzała ją ostrożnie na ławie i podkładała poduszki pod plecy: „Pozwól mi rozdzielić dziś jadło, Inguno. Ledwie stoisz na nogach, biedaczko” – mówiła ze śmiechem, widząc, że młoda kobieta drży ze zmęczenia. Dziewki dworskie martwiły się też bardzo, jak to będzie z Inguna; nie wyglądało na to, by mogła jeszcze wiele przetrzymać. A tymczasem, jak sama mówiła, rozwiązanie miało nastąpić dopiero za trzy miesiące.

Jedynie Olaf nie wyraził nigdy radości z oczekiwanego dziecka, nie napomknął o nim ani jednym słowem i służba zauważyła to; Inguna jednak miała w duchu nadzieję, że gdy syn się urodzi, będzie w oczach ojca nie mniejszą osobliwością niż w oczach innych. I gorycz, która ją samą przerażała, wzbierała w niej na nowo.

Ani iskry miłości nie czuła do tego dziecka, które dźwigała pod sercem. Czuła tylko tęsknotę za Eirikiem i urazę do nie urodzonego, na które czekały wszystkie dobra świata i na którego przyjęcie przygotowywały się wszystkie ramiona. Uroiła sobie, że to wina tego dziecka, iż musiała odepchnąć Eirika, wygnąć go w ciemność. Ilekroć widziała, że ludzie spoglądają na nią przyjaźnie i serdecznie, że usiłują odsunąć od niej wszelki trud i oszczędzają w robocie, przesywała ją myśl: „Kiedy nosiłam Eirika, musiałam ukrywać się po kątach, wszystkie oczy kamienowały mnie szyderstwem, złością, wyrzutem. Eirika nienawidzili wszyscy jeszcze przed przyjściem na świat, ja sama go nienawidziłam!” Siedziała, szła i przypominała sobie, jak słaśniała się w izbie, kiedy chwyciły ją pierwsze bóle. Tora wydobyła ze skrzyni pęk pieluch, najstarszych i najbardziej zniszczonych, jakie zostały po jej własnych dzieciach. A ona, matka, pomyślała w duchu, że są dość dobre, że są za dobre dla tego... Służebna dziewczka siedząca obok spojrzała na nią zdziwiona: Inguna

targała ze złością cienką wełnianą pieluszkę, którą obrębiała, i odrzuciła ją od siebie.

Teraz miał jeden roczek, trochę więcej. W pierwsze pogodne wieczory letnie siadywała Inguna przed domem, przyglądając się najmłodszemu dziecku Björna i Gudrydy, które łąziło po pięknej zielonej murawie dziedzińca, przewracało się, znów się podnosiło i znowu się przewracało. Nie słyszała ani słowa z rozwlekłego gadania Gudrydy. „Mój Eirik – bosu, w samej koszulinie, jak ten tutaj, u biednych ludzi...”

Stary Olaf zmarł na tydzień przed świętą Seliumanną<sup>[37]</sup> i Olaf syn Auduna wyprawił mu wspaniałą stypę pogrzebową. Pośród gospodyń, które przybyły do Hestviken, aby pomóc Ingunie w przygotowaniach do uroczystości, znajdowała się również Sygne córka Arnego, zamężna od niedawna na Skikkjustad. Z nią przyjechała młodsza siostra Una, i gdy goście mieli wracać do domów, udało się Olafowi nakłonić Arnego i księdza do pozostawienia Uny w Hestviken, aby w ostatnim okresie przed porodem odjęła Ingunie wszelki wysiłek i pracę.

Olaf był trochę zagniewany, zauważył bowiem, że Inguna nie lubi dziewczęcia, pomimo że Una była zręczna, chętna, wesoła i w dodatku ładna; niskiego wzrostu, szczupła, zgrabna i chybka niczym pliszka, miała jasne włosy i jasne oczy. Olaf sam zżył się serdecznie ze swym krewnym Arnem. Małomówny i powściągliwy, nieskory był do zawierania przyjaźni, niewielu jednak było ludzi, którym miał coś do zarzucenia. Brał ich takimi, jakimi byli, z przywarami i zaletami, i chętnie spotykał się z nimi. A gdy mu zostawiono czas, by roztajał, był nawet skłonny zawrzeć przyjaźń z tymi, których polubił.

---

[37] Świętej Seliumanny – 8 lipca. (Przyp. tłum.)

Olaf syn Ingolfa nagromadził sporo wielkich pni i Olaf syn Auduna już poprzedniej jesieni załatał najgorsze uszkodzenia głównego budynku. Oborę rozebrał tego lata zupełnie i postawił ją na nowo, stara bowiem była tak zbudowana, że jesienią krowy stały jakby w grzędawisku, zimą zaś śnieg nawiewał do środka, tak że zwierzęta nie mogłyby bardziej marznąć pod gołym niebem.

Pewnej soboty przed wieczorem cała czeladź dworska zebrała się na dziedzińcu. Była piękna, ciepła pogoda, powietrze przepęlniała upojna woń pierwszych kopie siana, ze skał za zabudowaniami dworskimi płynął zapach lip. Stajnia doprowadzona była już pod dach, pierwsze krokwie zostały położone; potężna belka szczytowa leżała oparta jednym końcem o ziemię, drugim o szczyt dachu, tak jak ją zostawili ludzie schodzący z budowy.

Dwóch młodych parobków wzięło rozpęd i wbiegło po pochyłej belce, chcąc się przekonać, jak daleko dobiegną. Wkrótce inni zaczęli ich naśladować, także i sam gospodarz; wesoły śmiech i gwar wybuchał, ilekroć któryś z chłopców musiał zeskoczyć na ziemię. Inguna z Uną siedziały przed izbą mieszkalną. Wtem Olaf zawołał na dziewczynę:

– Uno, chodź tu! Zobaczmy, jak pewnie ty stoisz na nogach!

Dziewczyna ociągała się ze śmiechem, ale wszyscy mężczyźni zaczęli nalegać. Una wyśmiewała ich przedtem, ilekroć który z nich musiał zeskoczyć w środku belki, zapewniając, że ona potrafi wbiec aż do końca. Wreszcie zbliżyli się do niej i siłą ściągnęli ją z ławy.

Ze śmiechem roztrąciła mężczyzn, rozpędziła się i pobiegła kawałek w górę, lecz wkrótce musiała zeskoczyć. Znów wzięła rozpęd i dobiegła dużo wyżej; stała chwilę chwiejnie na górze, smukła i giętka, trzepocąc



rozpostartymi ramionami, a jej małe stopki w cienkich letnich cizmach, bez obcasów i podeszew, obejmowały pień niby drobne szpony ptaka. Potem musiała zeskoczyć, jak sikora, co nie znajduje uchwytu na dyłowej ścianie. Olaf stał na dole i chwycił ją w ramiona. Teraz dziewczyna zapaliła się do zabawy i wciąż na nowo wbiegała na belkę, a Olaf biegł dołem w ślad za nią i za każdym razem, gdy musiała zeskoczyć, chwycił ją ze śmiechem w objęcia. Żadne z nich nie zauważyło niczego, póki Inguna nie stanęła przy nich, dysząc ciężko, blada jak wosk pod brunatnymi plamami.

– Przestańcie – szepnęła, chwytając powietrze ustami.

– Ależ Inguno, to nie jest wcale niebezpieczne – zapewnił Olaf. – Widzisz przecie, że ja ją chwytam.

– Tak, widzę to. – Olaf spojrział ze zdumieniem na żonę i wyczuł, że bliska jest płaczu. I nagle wśród łkań i drwiącego śmiechu wybuchnęła, wskazując głową dziewczynę: – Popatrz na nią. Nie jest chyba na tyle głupia, aby nie miała rozumu i wstydu.

Olaf odwrócił się w stronę Uny, która poczerwieniała i zmieszana się. Z wolna rumieniec wypęzł na twarzy mężczyzny.

– Zdaje mi się, żeś zupełnie straciła rozum, Inguno.

– A mnie się zdaje – syknęła – że ona nie na darmo pochodzi od Dritskjegga, a i ty bardziej podobny jesteś do niego aniżeli...

– Milcz! – rzekł Olaf wzburzony. – To ty powinnaś mieć na tyle rozsądku, by się wstydzić. Ty śmiesz do mnie mówić w ten sposób?

Umilkł, bo zobaczył, że Inguna zmrużyła oczy, jak gdyby ją spoliczkował. Zdawało się, że padnie z wyczerpania. Mąż wziął ją za ramię.

– Wejdz ze mną do izby – powiedział już łagodnie i poprowadził ją przez dziedziniec. Wspierała się na nim ciężko i szła z zamkniętymi oczyma, z trudem powłócząc nogami. Olaf musiał ją przez pół dźwigać.

Był wściekły: na pewno udaje o wiele słabszą, aniżeli jest, myślą.

Gdy posadził ją na ławie i zobaczył, jaka jest wynędzniała i nieszczęśliwa, zbliżył się do niej i pogłaskał ją po twarzy:

– Inguno, czyś do reszty straciła rozum? Nie podoba ci się, kiedy bawię się z własną krewną?

Nic nie odrzekła. Mówił więc dalej:

– Źle, bardzo źle się stało, sama wiesz. Cztery tygodnie Una jest tutaj i przez ten czas wykonywała za ciebie każdą robotę, a ty odpłacasz jej w ten sposób! Jak sądzisz, co ona o tym pomyśli?

– To mi obojętne – odparła żona.

– Ale mnie nie! – rzekł ostro Olaf. – Nie powinniśmy – ciągnął łagodniej – zachowywać się w ten sposób, aby ludzie mieli powód do obmawiania nas, chyba sama to rozumiesz.

Wyszedł i odszukał Unę w kuchni; stojąc sprawiała ryby na wieszakach. Zbliżył się do niej i stanął obok. Czuł się tak nieszczęśliwy, że nie wiedział, od czego zacząć. Dziewczyna uśmiechnęła się i powiedziała:

– Nie martw się już, krewniaku. Biedaczka nie winna temu, że jest teraz źle usposobiona i nierówna. Najgorsze jednak to – ciągnęła zmuszając kota do podskakiwania za małą rybką, którą trzymała w ręku – że niewielki tu ze mnie pożytek, Olafie, gdyż zauważyłam już od pewnego czasu, że twoja żona niechętnie na mnie patrzy. Sądzę więc, że najlepiej będzie, jeśli zaraz jutro pojedę do Sygne.

Olaf odpowiedział gwałtownie:

– Wydaje mi się, że wielki to wstyd, żebyś odchodziła od nas w ten sposób. I co powiesz Sygne i sirze Benedyktowi, czemuś tu nic została?

– Wiesz dobrze, że są na tyle roztropni, by na to nie zwracać uwagi.

– Inguna zmartwi się sama najbardziej – przerwał Olaf zgnębiony – że tak ciężko obraziła naszego gościa i krewną.

– Ach nie, nie będzie o tym pamiętała. No, nie martw się już tak

strasznie, Olafie. – Otarła ręce, położyła je na ramionach Olafa i spojrzała na niego jasnymi, szarymi oczami, tak podobnymi do jego własnych.

– Jakaś ty dobra – powiedział niepewnie; schylił się i pocałował ją w usta.

Zawsze, przy każdym powitaniu i pożegnaniu pozdrowiał siostry pocałunkiem. W tej jednak chwili poczuł z słodkim, słabym lękiem, że to zgoła nie taki pocałunek, jaki uchodzi krewniaczej zażyłości ludzi uważających się za coś lepszego. Przyłgnął wargami do świeżych, chłodnych dziewczęcych ust i nie miał ochoty ich oderwać. Trzymał w ramionach jej ciało i czuł przelotną, zwiwną rozkosz.

– Jesteś dobra – powtórzył szeptem i raz jeszcze ją pocałował. Potem niechętnie ją puścił i wyszedł z kuchni.

„To chyba nie jest grzechem” – rozmyślał, uśmiechając się drwiąco. Nie mógł zapomnieć świeżego pocałunku Uny. Tak, to nie było tak, jak być powinno, ale to błahostka, nie ma się nad czym zastanawiać. Inguna rozgniewała go, nigdy nie przypuszczał, że zachowa się tak wstrętnie i bezmyślnie. Na pewno było tak, jak mówiła Una; nie trzeba przejmować się tym, co biedaczka teraz robi i mówi.

Kiedy jednak nazajutrz po mszy – był to dzień świętego Olafa – odprowadził Unę na Skikkjustad i wracał konno sam do domu, gniew wzmógł się w nim znowu. Gzy dlatego podejrzewała go o najgorsze rzeczy, że sama zgrzeszyła? Nie, przypomniał sobie, że już i przedtem, ubiegłej jesieni, kiedy była zupełnie zdrowa, nie odnosiła się uprzejmie do jego krewniaczek. Była zazdrosna... Już na Frettastein wynajdywała w mig wady i ułomności u innych kobiet – u tych niewielu, z którymi się widywali. Nieładnie to doprawdy z jej strony.

Olaf był zły na żonę. Na dobitkę musiała jeszcze wspomnieć Torgilsa Dritskjegga. Cała niechęć, jaką w dzieciństwie odczuwał głucho do szaleńca, zamieniła się w jawne, nienawistne przerażenie, odkąd

dowiedział się o nim wszystkiego. Obląkaniec był gwałcicielem, którego Bóg w końcu zmiążdżył, był zakałą rodu. I jego właśnie pamiętali ludzie, natomiast innych synów starego Olafa, którzy żyli i zmarli otoczeni szacunkiem, nikt nie wspominał. Mógł przecie równie dobrze być podobny do tamtych. Olaf zżymał się za każdym razem, gdy gadano o tym jego podobieństwie z Dritskjeggiem. Złościł się sam na siebie, że w chwilach takiego gadania czuł jakby muśnięcie śmiertelnej trwogi na karku.

Nawet najzaciętszy wróg nie mógł oskarżać go o to, że jest łąsy na kobiety. Przez wszystkie lata przeżyte na wygnaniu nie przypominał sobie, by kiedykolwiek rzucił na kobietę pożądliwym okiem. Kiedy wuj Barnim mówił, że powinien, dopóki jest na Hövding, wziąć sobie za nałożnicę piękną córkę młynarza, odtrącił podobną myśl. Była wprawdzie ładna i, jak zauważył, wcale chętna, ale Olaf zawsze pamiętał, że jest właściwie człowiekiem żonatym; pragnął dochować Ingunie wiary, choć wuj naśmiewał się z niego i przypominał Ketillog. Do tej biednej, sprzedajnej dziewczki poszedł pewnego wieczoru, kiedy wraz z innymi młodzieńcami przebywał w mieście i spił się na umór. Gdy nazajutrz rano wytrzeźwiał, zaczął rozmawiać z dziewczyną i z czasem przywiązał się do niej. Była niepodobna do innych ladacznic, roztropna i cicha, najchętniej zadawała się z mężczyznami, którzy nie wyprawiali awantur i burd w zajeździe. Przyzwyczyił się więc wstępować do niej, ilekroć miał coś do załatwienia w mieście dla swego wuja. Nieraz wchodził tylko, posiedział, zjadał swoje zapasy i prosił, by przyniosła piwa. Lubił bardzo jej spokojne zachowanie, kiedy nalewała trunku i podawała do stołu, lecz jego przyjaźń z Ketillog nie była żadnym wielkim grzechem; nikt rozsądny nie powiedziałby, że zdradził z nią Ingunę. Zresztą w następnych latach często myślał o niej – miał nadzieję, że nie miała kłopotów przez to, że wówczas pomogła mu zbiec i dostać się do jarla. Chętnie dowiedziałaby się, czy udało się

dziewczynie ukryć pieniądze, które jej dał przy rozstaniu, i czy dokonała tego, o czym tylekroć mówiła, że chce odejść z zajazdu do klasztoru Świętej Klary i tam u sióstr poszukać służby. W gruncie rzeczy była za dobra, by zostać tam, gdzie była...

Naprawdę jednak niepokój wzbudzała w nim owa tajemna, krwawa zbrodnia, którą był obciążony. Czuł się bezbronny wobec Zła, jak człowiek, który musi walczyć pomimo utajonego kalectwa. Przewlekłe niedomagania żony i jej nierozsądek, a prócz tego fakt, że z jej winy nie mógł zapomnieć tego, co powinno było zostać zapomniane – wszystko to powodowało wewnętrzną rozterkę, przejmowało go drżeniem. Na wspomnienie Uny czuł lekkie mrowie rozkoszy. Jak dobrze było trzymać ją w ramionach!

Martwił się, myśląc o Ingunie. Jej głupie zachowanie wobec dobrego, pięknego dziecka było wszystkiemu winne; ale musi się uzbroić w cierpliwość – niebodze wiodło się teraz tak źle...

Tego samego jeszcze wieczoru Inguna zachorowała. Bóle schwyliły ją tak nagle, że było już po wszystkim, zanim przybyły położne kobiety. Tylko służebne były przy niej, gdy dziecko przyszło na świat i były – zapewniały potem z płaczem Olafa – okropnie zastrachane i przerażone. Wydawało im się, że chłopaczek żyje jeszcze, gdy go podniosły z podłogi; wkrótce potem jednak wyzionął ducha.

Nigdy – zdawało się Olafowi – nie widział człowieka tak bardzo podobnego do rozbitego, zmiążdżonego strzępu, wyrzuconego na brzeg, jak Inguna, kiedy leżała skulona pod ścianą. Jej bujne, ciemnożółte włosy w splątanych pasmach spływały po łożu, z obrzękłej, splakanej twarzy wyzierały pociemniałe oczy, pełne bezmiernej męki. Olaf usiadł na krawędzi łoża, wziął spoconą rękę żony i położywszy ją sobie na kolanie

nakrył ją dłonią.

Jedna z płaczących dziewczek weszła do izby z zawiniątkiem, odgarnęła chustę i pokazała Olafowi zwłoki syna. Olaf spoglądał chwilę na maleńkie, sine, martwe ciało, matka wybuchnęła na nowo rozpaczliwym łkaniem. Mąż prędko pochylił się ku niej:

– Inguno, Inguno, na Boga, uspokój się!

On sam nie odczuwał wielkiej żalości z powodu straty syna. Właściwie doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak wielka to strata – i serce ścisnęło mu się na myśl, że chłopczyk umarł nie ochrzczony. W ostatnim jednak czasie nie miał jednej radosnej chwili. Żyła w nim tylko głucha i pełzająca zazdrość wobec przeszłości, lęk o Ingunę i pragnienie, aby ten niesamowity okres skończył się wreszcie. Nigdy jednak naprawdę w to nie wierzył, że wreszcie okres ten skończy się, i że na swoim dworze będzie miał syna, że będzie go wychowywał na dzielnego męża.

– Żona nie jest bardzo chora – oświadczyły niewiasty, które pielęgnowały Ingunę. Kiedy jednak przyszedł czas, w którym powinna była z czyjąś pomocą podnosić się już i siadać na łożu, nie było w niej żadnych sił. Zaledwie spróbowała upiąć włosy i nałożyć czepek, pot spływał po niej ciurkiem. Mijała niedziela za niedzielą, a Inguna nie czuła się na siłach, by pomyśleć choćby o wywodzie.

Leżała całe dni zupełnie ubrana na łożu, z twarzą zwróconą ku ścianie. Rozmyślała o tym, że sama ponosi winę za śmierć tego dziecka. Bez miłości nosiła je w sobie, kiedy rosło w niej i szukało korzonków matczynego serca. Teraz było martwe. Gdyby doświadczone kobiety były przy niej, w chwili gdy przyszło na świat, mogłoby żyć, twierdziły niewiasty. Ale kiedy przychodziły latem do Hestviken pytać, w którym miesiącu spodziewa się dziecka, mówiła zawsze, że przed świętym

Bartłomiejem<sup>[38]</sup>. Obawiała się tych chytrych sąsiadek, które mogłyby zauważyć i roznieść po gminie, iż żona Olafa syna Auduna już przedtem miała dziecko. A tego rana, gdy obudziła się i poczuła, że zbliża się jej godzina, wstała pomimo to i nie położyła się, dopóki mogła. Olaf jednak nigdy nie powinien się o tym dowiedzieć.

W końcu nie można było zwlekać dłużej: postanowiono, że Inguna córka Steinfina odbędzie wywód po świętym Michale<sup>[39]</sup>. Olaf dowiedział się, że oprócz niej miały pójść do kościoła jeszcze cztery inne położnice. Jedna z nich pochodziła z największego dworu na północ od ich gminy i urodziła właśnie dziedzica: jej krewni i przyjaciele zapewnią z pewnością kościół do połowy, aby wraz z nią złożyć ofiarę. Olaf nie potrafił wyobrazić sobie Inguny, jak będzie klęczeć przed kościelną bramą, wynędzniała, z pustymi rękami, podczas gdy tamte na klęczkach przyjmą zapalone świece i psalm Dawidowy spłynie na ich głowy:

*Któż wstąpi na górę Pańską, lub kto ośmieli się stanąć  
na świętym miejscu Jego?  
Człowiek niewinnych rąk i czystego serca...  
Ten weźmie błogosławieństwo od Pana i miłosierdzie  
od Boga, Zbawiciela swego.*

Dla niego i Inguny zabrzmiało to jak wyrok.

Olaf unikał spotkania z sira Benedyktem, odkąd Inguna w tak haniebnym sposobie przepędziła z dworu Unę córkę Arnego. Teraz wybrał się jednak któregoś dnia konno do księdza, poprosić go, aby przyjechał na Hestviken i pokrzepił na duchu Ingunę.

---

[38] Świętego Bartłomieja – 24 sierpnia. (Przyp. tłum.)

[39] Świętego Michała – 29 września. (Przyp. tłum.)

Sira Benedykt nakazał, aby zwłoki nie ochrzczonych dzieci grzebano na skraju cmentarza, pod ogrodzeniem; nie wolno było nikomu wyrzucać ich na piargi jak padlinę, albo chować gdzieś pod lasem, jak to czyniono ze złoczyńcami. Karał surowo ludzi wierzących w upiory: zmarłe dzieci nie mogą powracać na ziemię, pouczał, bo przebywają w pewnym miejscu, zwanym *Limbus Puerorum*<sup>[40]</sup>, skąd nie dane im jest nigdy odejść, ale dobrze im tam.

Święty Augustyn, najbardziej świątły ze wszystkich chrześcijańskich mędrców, pisze, że wolały raczej być jednym z tych dzieciątek, aniżeli nie urodzić się wcale. Jeśli zaś ludzie w miejscu, gdzie leżą tajemnie pochowane dziecięce zwłoki, ze strachu tracili rozum i zdrowie, działa się to dlatego, że tak ciężkie grzechy ciążyły na ich sumieniach, iż bies miał ich w swej mocy i wyprowadzał na manowce. Jasne jest bowiem, że w miejscu gdzie matka zgładziła swój płód, powstaje jak gdyby ołtarz albo kościół dla Szatana i wszystkich jego poddanych – i tam też najchętniej oni bywają.

Książd był gotów od razu towarzyszyć Olafowi do domu. Olaf Półmnic wierzył mocno w duchy i był z pewnością święcie przekonany, że zabił niegdyś takiego gościa. Więc sira Benedykt przykładał wielką wagę do tego, aby uwolnić Ingunę od podobnych herezji i pocieszyć ją.

Inguna siedziała blada i mizerna z rękami złożonymi na kolanach i słuchała swego proboszcza, który opowiadał długo i szeroko o *Limbus Puerorum*. Opis tego miejsca znajduje się w jednej z ksiąg. Pewien mnich w Irlandii wpadł niegdyś w stan zachwycenia, który trwał siedem dni, i wtedy to obejrzał piekło, czyściec i niebo. Był również tam, gdzie znajdują się nie ochrzczone dzieci. Jest to jakby zielona dolina, a niebo w tym

---

[40] *Limbus Puerorum* – według średniowiecznych wierzeń jakieś pogranicze zaświata (*limbus* – dosłownie: brzeg, skraj), gdzie miały przebywać dusze dzieci zmarłych bez chrztu.



miejscu jest zawsze zachmurzone na znak, że owe dzieci nigdy nie mogą osiągnąć tej błogości, by patrzeć w oblicze Boskie. Między chmurami zaś sączy się światło na dowód, że dobroć Boża czuwa nad dziećmi. I dzieci zdają się być zadowolone i wesołe. Nie odczuwają braku niebiańskiego królestwa, albowiem nie wiedzą, że ono istnieje, nie przeczuwają również tego, że oszczędzone im są męki piekła i nie mogą się z tego cieszyć, bo nigdy o nim nie słyszały. Bawią się w tej dolinie i przyskają na siebie wodą, gdyż jest tam wilgotno, a dokoła są stawy i strumienie... Olaf przerwał:

– Wobec tego zdaje mi się, siro Benedyckie, że niejednego człowieka może napaść pokusa, iż wolałby umrzeć jako nie ochrzczone niemowlę.

Ksiądz odpowiedział:

– Sprawa wygląda tak, Olafie: w chrzcielnicy dopiero człowiek zostaje powołany do wielkiego dziedzictwa. Chodzi przecież o to, by stać się pełnym człowiekiem. A na to, żeby stać się człowiekiem, trzeba nie lada wysiłku.

– A czy rodzicom wolno przyjść kiedy do tej doliny – spytała cicho Inguna – odwiedzić dzieci i popatrzeć, jak się bawią?

Ksiądz potrząsnął głową:

– Rodzice muszą iść swymi drogami, w górę albo w dół, ale przez ową dolinę droga ich nie prowadzi nigdy.

– Bóg wydaje mi się okrutny – odezwała się kobieta gwałtownie.

– Ludzie skorzy są tak twierdzić, jeżeli Bóg im nie pobraża – odrzekł ksiądz. – Prawda, tobie i twojemu małżonkowi zależało bardzo na tym, aby to dziecko utrzymać przy życiu, było przecież przeznaczone do tego, aby objąć wielką spuściznę i zachować wasz ród. Jeżeli jednak kobieta dźwiga dziecko, które nic więcej nie przyniesie na świat prócz świadectwa jej hańby i nie oczekuje żadnej innej spuścizny, prócz mleka matki – wówczas nie zawsze można polegać na matczynym sercu. Zdarza się, że taka matka ukryje się i potajemnie, w mroku, urodzi dziecko, zabije

jego ciało i duszę albo też odda je obcym, rada, gdy o nim nie słyszy i nie widzi go na oczy...

Olaf podbiegł i chwycił żonę w ramiona w chwili, gdy zemdlona osunęła się na ziemię. Klęcząc na jednym kolanie, podtrzymywał ją, ksiądz zaś nachylił się i szybko rozluźnił chustkę na jej szyi. Z bladą twarzą, zwisającą przez ramię męża, z nagą i wyciągniętą szyją, wyglądała jak martwa.

– Połóż ją – polecił ksiądz. – Nie, nie na łożu... na ławie, aby mogła leżeć płasko. – Zajął się chorą.

– Niezbyt silna jest ta twoja żona? – spytał ksiądz poważnie, kiedy miał odjeżdżać. Olaf stał z boku trzymając konia.

– Rzeczywiście – odparł. – Zawsze była wątła i delikatnego zdrowia; wiesz przecież, żeśmy się razem chowali. Znam ją od dziecka.

Wczesną wiosną następnego roku książe Haakon przygotowywał się do wyprawy przeciw Danii; zamierzano zmusić króla duńskiego, aby pojednał się z wygnanymi magnatami na warunkach postawionych przez nich oraz przez Norwegów.

Olaf syn Auduna wyruszył do Tunsberg; piastował godność niższego dowódcy pod baronem Torem synem Haakona. Nie czuł niezmaconej radości, iż spędzi lato z dala od domu; dopiero zaczął zapuszczać korzenie w ojcowiznę. Dziedziczny dwór i własna gmina – tak długo był bezdomnym, niespokojnym tułaczem.

W miarę jak udawało mu się dźwignąć majątek z upadku, widział, że źródło długo wyschnięte znów płynie dochodami i że on sam coraz lepiej i sprawniej prowadzi gospodarzkę dworską i rybołówstwo. Podobała mu się ta praca i opieka nad własnym dobytkiem. Chciał ustanowić Björna zarządcą nad gospodarstwem, ale Björn nie miał na to ochoty. Skończyło się więc tak, że Björn pociągnął z Olafem jako jego zbrojny giermek, w Hestviken zaś miał gospodarować razem z gospodynią pewien starszy człowiek, któremu na imię było Leif.

Olaf obawiał się również o Ingunę; w połowie lata spodziewała się znów dziecka. Wprawdzie czuła się o wiele lepiej i była żywsza niż poprzednim razem; przez cały czas dawała sobie radę gospodarstwem i robotą we dworze, nauczyła się także wielu rzeczy i nie była tak niezręczna jak dawniej, w pierwszych miesiącach ich małżeństwa. Mimo to Olaf niepokoił się, ponieważ rozumiał, że Inguna oczekuje tego dziecka z tęsknotą i niecierpliwością. Gdyby i tym razem zdarzyło się nieszczęście, żalność złamałaby ją zupełnie. A było tak, jak gdyby miał przeczucie. Nie mógł sobie po prostu wyobrazić, że po powrocie, jesienią, zostanie w

izbie dziecięcę...

Już w Tunsberg spotykał Olaf na każdym kroku znajomych z czasów tułaczki. Gromady wiernych druhów jarla Alfa odszukały zięcia poległego dowódcy i żądały, aby pan Tore przyjął ich do swej służby. Pomiedzy duńskimi panami wyjętymi spod prawa oraz ich jezdnyimi, od których roilo się w mieście, spotykał wielu znajomych z czasów swej służby u jarla. Pewnego dnia zawinął do portu lekki szkuner z listami od duńskich panów z Konungahella. Wódz statku, Asger syn Magnusa pochodził z Vikingavaag, on i Olaf przyjaźnili się z sobą podczas pobytu Olafa na Hóvding, byli nawet spokrewnieni, choć była to dziesiąta woda po kisielu. Wieczorem udał się ze swym duńskim krewnym do miasta i podpisał sobie uczciwie; bardzo dobrze mu to zrobiło.

Pan Tore mianował Olafa dowódcą niedużej, szesnastowiosłowej łodzi. Podczas wyprawy jego statek oraz trzy małe statki wojenne, które stały na redzie w południowo-wschodniej części zatoki, miały żeglować po południowej stronie fiordu pod wodzą Asgera na *Gryfie* przezwanym przez Norwegów *Robaczkiem*. Przyjaźń między Duńczykami a ich sprzymierzeńcami była dość mierna, bo tym razem przeważna część siły zbrojnej składała się z Norwegów. Norwegowie głośno teraz mówili o planach, które spowodowały tę wyprawę: król Eirik i księżę Haakon chcieli zażądać całego państwa duńskiego jako dziedzictwa po ich dziadku, świętym królu Eiriku synu Waldemara, i zobowiązać ten kraj do składania daniny koronie norweskiej. Duńczycy słuchali tego niechętnie. Odpowiadali z przekąsem, że ich przywódcy – marszałek Styg syn Andrzeja i hrabia Jakub – nie wiązali się nigdy obietnicami z żadnym królem, a Norwegowie otrzymają dostateczną zapłatę za użyczenie pomocy, jeśli pozwoli się im grabić i łupić zamki i grody duńskiego króla.

Norwegowie powiadali na to, że gdy chodzi o podział łupów wojennych, to Duńczycy są największymi chytrusami, zawsze potrafią zagarnąć dla siebie najlepszą część zdobyczy. Norwegowie górowali wprawdzie nad nimi liczbą, ale pośród nich byli przeważnie chłopci oraz żeglarze mniej obeznani z wojaczką niż tamci. Prawie wszyscy Duńczycy walczyli przez długie lata pod sztandarem wygnanych dowódców, byli zahartowani i twardzi i diabła pytali o inne prawa, aniżeli te, które rządzą w żołnierskim oddziale. Jedynie dawna drużyna jarla Alfa mogła pod tym względem równać się z Duńczykami, ba, przewyższała ich nawet. Olaf i Asger trudzili się więc bardzo, by utrzymać jaki taki spokój i ład wśród swoich ludzi.

Flota wojenna stała pod Hunehals, a jej część, do której należały statki Olafa i Asgera, pustoszyła północne wybrzeża wysp duńskich. Do Vikingavaag jednak nie dotarli. Olaf usłyszał od Asgera, że rycerze duńskiego króla zdobyli dwór Hövding, spalili zabudowania i zburzyli kamienne domostwo, a pan Barnim syn Eirika padł z mieczem w dłoni. Nie miało więc sensu myśleć o nim; gdyby nie to, Olaf miałby na pewno ochotę zobaczyć wuja. Teraz pozostało mu tylko zakupić mszę za poległego – to wszystko. Zresztą obecnie czuł się jeszcze mniej niż dawniej związany z rodziną i krajem matki.

Niskie, bezbronne brzegi zanurzały się tu w połyskliwej tafli morza. Nad szerokim, białym wybrzeżem wznosiły się żółte, piaszczyste wydmy, a wysokopienny las podchodził do samego ich skraju. Pnie starych buków i roschatych dębów sterczały nad wzburzonym morzem; korzenie drzew i kępy darniny zwiślały ponad krawędzią urwiska niby włókna postrzępionej tkaniny. Wyglądało to tak, jak gdyby morze natarło tu i wyrwało wielkie płyty z nagiej piersi ziemi. Olafowi wydawało się to brzydkie. Wewnątrz kraju były oczywiście ładne wsie: wielkie, okazałe dwory, żyzny czarnoziem, po lasach dziki, na łąkach wypasione trzody,

wspaniale konie w zagrodach, mimo to nie podobało mu się tu nigdy. Ojczyzną było norweskie wybrzeże, z wieńcem wielu kamiennych wałów, szkery, rafy, wysepki, wąski przesmyk pośród nich i w końcu jasne skały łądu, które wybiegają naprzeciw, zanim pierwsze pasma zielonych wzgórz odważą się zejść, jak gdyby na przespiegi nad zatokę. Wielkie dwory leżące dalej, w głębi, zazwyczaj na wyniosłych pagórkach, skąd można było patrzeć daleko, jak okiem sięgnąć...

Pomyślał o swym domu, o zatoce między łysymi skałami, o dworze na szczycie wzgórza, ze ścianą Rumaka z tyłu. Inguna pewnie już wstała po połogu. Może stoi w tej chwili na dziedzińcu, znów młoda, piękna i smukła, i grzeje się z dzieckiem w blaskach słońca. Po raz pierwszy opadło go namiętne pragnienie posiadania dzieci na swym dworze... Ten jasny obraz był jednak daleki i niewiarygodny.

Żył znowu tym samym życiem co wówczas, kiedy był wygnany z Norwegii. Już samo uczucie, że nosi pancerz, było dziwnie przyjemne; pod jego ciężarem miał wrażenie, że cielesne siły krzepną na nowo. Miło było czuć jego chłód, kiedy człowiek spoczywał, a także wiedzieć, że w czasie walki ochrania ciało i gromadzi jego ciepło; było to jak gdyby napomnieniem, aby hamować siły, nie trwonić ich daremnie i bezcelowo. Próba sił, na pokładzie podczas nawałnicy lub w utarczkach przybrzeżnych wymagała od człowieka nie tylko napięcia i czujności, ale także tego, aby w najgłębszej swej istocie był bez lęku, obojętny na to, czy zostanie pokonany przez niebezpieczeństwo, którego opanowanie wymagało całego hartu ducha. Te i tym podobne uczucia drzemały w Olafie raczej jako wrażenia aniżeli myśli. Niekiedy owładała nim pewnego rodzaju odraza na myśl o owych dwóch latach, kiedy wiódł życie chłopa i był żonaty. Czuł nieokreślony żal w sercu, niby słabe pulsowanie pod zamkniętymi brzęgami rany, że strawił swoje męskie siły w chłopskim znoju, nie mając żadnego wpływu na to, jaką w końcu korzyść osiągnie

za swój trud. Czuł też pewnego rodzaju niechęć do wspomnień o pożyciu z chorowitą żoną. Było tak, jakby oddawał jej swoją prężną młodość i czerstwe zdrowie, aby ona mogła wchłonąć w siebie jego żywotność, a przecież w głębi serca nie wierzył, że to pomoże. Jak gdyby płynął z tonącym towarzyszem uwieszonym u szyi – nic innego nie pozostaje, tylko ocalić go, albo iść z nim na dno, jeśli człowiek chce być godny miana mężczyzny. Zwątpienie wżera się w duszę na myśl, że koniec jest nieunikniony, że zostanie się samemu wciągniętym w głębinę, pomimo walki do ostatka.

Gdyby była zdrowa, gdyby uważał za samo przez się zrozumiałe i proste, że będzie miał z nią dzieci, które zbiorą to, co on posieje, które odziedziczą po nim wszystko, co zdobędzie – wówczas inne na pewno nawiedzałyby go myśli, kiedy się zastanawiał nad swoim życiem w małżeństwie. A kiedy indziej znowu, gdy zmuszał się do wiary, że Inguna może wyzdrowieć, że może ma już w domu żwawego, wrzeszczącego syna albo córkę w kołysce – tęsknił za domem. Przeważnie nie odczuwał tęsknoty, raczej głębokie zadowolenie, że jest znowu sam, uwolniony od wszelkich trosk, poza obowiązkami jednego z niższych dowódców.

Upodobał sobie to życie pośród samych mężczyzn. Kobiety, które widział na łądzie – leciwe, zużyte baby, warzące strawę, albo sprzedające dziewczki, zawsze znajdujące się tam, gdzie byli mężczyźni – nie wchodziły w ogóle w rachubę. Były dżdżyste dni i noce na pokładzie statku, były bójki staczane na łądzie – te nieczęsto zdarzały się zresztą Olafowi i rad był z tego. Nawet te lata, kiedy szedł za jarlem Alfem, nie przewyciężyły w nim wstrętu do niepotrzebnego okrucieństwa, a Duńczycy byli okrutni w łupieniu własnego kraju. Oczywiście, nie byłiby inni, gdyby gospodarzyli w cudzej ziemi. Ci ludzie tutaj byli przyzwyczajeni do takich harców; odkąd istniała Dania, rabowano, palono i gwałcono na tych wybrzeżach. Olaf czuł się obcy wśród narodu swej matki. Wprawdzie za młodu jego

własna dusza łaknęła walki i wojny, lecz zwada musiała się skończyć rozstrzygnięciem: zwycięstwem lub porażką. Chwilami majaczyły przed nim obrazy – napad wrogów na Hestviken: on broni się we dworze na wzgórzu, plecami oparty o skałę, spycha napastników w dół, ku morzu albo też pada na swej ziemi...

Duńczycy byli innej natury, podatniejsi i bardziej wytrwali. Ustępowali, pozwalali, że ich przepędzano – chłopów w gęste knieje, dowódców na morze – ale powracali, podobnie jak morskie fale cofają się i znów nadbiegają. Przegrywali i wygrywali, lecz ani jedno, ani drugie nie miało wpływu na ich apetyt i chęć życia. Z niezwykłą, upartą prężnością oswajali się z myślą, że tu nigdy nie będzie pokoju, że po wieczne czasy będą musieli się bić, tracić i znów zdobywać wzdłuż niskich, zalewanych falą brzegów i że te boje nie skończą się nigdy ostatecznym zwycięstwem lub klęską.

Potem długi czas obozowano na lądzie. W grodzie na górze przesiadywali mężowie w przepelnionych izbach i dworach; gorący, kwaśny zaduch bił od ludzi, piwa i wina. Słychać było rubaszne pogwarki i zaczepki, wybuchały waśnie i kłótnie. Co noc w uliczkach i na dziedzińcach dworów toczyły się bójki; dowódcy mieli sporo kłopotu, by utrzymać jaki taki spokój i karność w swych drużynach.

W powietrzu krążyły pogłoski o załodze statku, która wylądowała i zawładnęła wyjątkowo bogatym łupem; to znów koło Maastrand hufiec dawnych druhów jarla Alfa stoczył bój z gromadą niemieckich kupców i kazał pozabijać wszystkich pojmanych. Ludzie powiadali, że w ten sposób wyrównany został stary dług ich nieżyjącego pana; flota króla duńskiego miała zdobyć twierdzę marszałka na Samsö, szła wieść, że sam pan Styg syn Andrzeja poległ. Wśród Norwegów szerzyły się słuchy, że książę Haakon zamierza zdobyć Danię dla siebie i wskutek tego rozpoczął spór ze swym królewskim bratem. Dlatego to król Eirik



już z początkiem lata pożegłował do Björgvin, a dowódcy królewskiej floty, możnowładcy z Zachodniego Kraju i Islandii, postępują tak srogo. Książę natomiast przestrzega surowo rygoru w swym wojsku, nie chcąc zniszczyć całkowicie kraju, który ma zamiar sobie przywłaszczyć.

Olaf myślał w duchu, że jeśli nawet wyżsi dowódcy wiedzą, co jest prawdą w tych plotkach, a co nie, szary tłum żołnierzy nie dowie się nigdy. Niżsi zaś dowódcy, tacy jak on, zaliczali się do masy, nie do panów, nie do tych, których ludzie znali tylko ze słyszenia albo z widzenia i im mniej o nich wiedzieli, tym więcej o nich gadali. Był zbyt dumny, by zdradzić, że jest spokrewniony z wieloma wyjętymi spod prawa wielmożami duńskimi, jeśli oni sami nie raczyli o nim pamiętać. Jego własny wódz, baron Tore, uważał go jedynie za przywódcę drużyny, stojącego w jednym szeregu z dowódcami chłopskiej floty; uważał Olafa z Hestviken za dzielnego męża i dzielnego dowódcę, ale Olaf nie wyróżnił się dotąd niczym spośród innych; nie miał sposobności do czynów, które by mu zdobyły uznanie.

Jedną była korzyść z takiego trybu życia: ilekroć Olaf przypominał sobie swą tajemną trwogę, że może istnieć związek między ciężącym na nim grzechem a tym, że niewiele ma radości w pożyciu z Inguną, podobne myśli wydawały mu się teraz bardzo niemądre. To przeświadczenie wzrosło w nim nieznacznie w ostatnich dwóch latach. Ci ludzie jednak, z którymi stykał się teraz, rabowali kmieciom bydło, podpalali domy i zamki, miecze ich spłynęły nie tylko krwią przelaną w boju, ale wielu z nich zabijało lub kaleczyło ludzi niewinnych bez szczególnej przyczyny. Niejeden miał przy sobie ukryte kosztowności, które pokazywał z największym lękiem – te rzeczy z pewnością pochodziły z ograbionych kościołów. Pomimo rozkazu księcia Haakona, że gwałcenie kobiet ma być karane śmiercią, na pewno nie tylko z dobrej woli wpadły w wir owego życia te wszystkie niewiasty i dziewczęta, które kręciły się pośród żołnierzy podczas każdej bytności wojska na lądzie.

Jego własny porachunek z tym Islandczykiem stawał się teraz sprawą niezmiernie błahą. Nie było chyba nikogo, kto by wierzył, że wszyscy ci mężczyźni tutaj spowiadają się idącym za wojskiem księżom z każdego grzechu. Wprost niemożliwością było, aby ci ludzie pamiętali wszystko, co mieli na sumieniu, albo żeby księża tak dokładnie mogli wysłuchać spowiedzi. Niejeden mąż, który przed wyruszeniem przyjął spokojnie *Corpus Domini*, miał na sumieniu wielkie grzechy, o których przy spowiedzi zapomniał. Ów obwieś Teit otrzymał zapłatę, na jaką zasłużył. Olafowi wydawało się teraz szczególnie głupotą, że we wszystkim, w każdej rzeczy dopatrywał się przedtem tajemnego znaku: w bezmyślnie rzuconych słowach obcych ludzi, w snach, które miał, w barwie i rysunku swoich zwierząt. Ostatecznie uwierzył, że ciąży nad nim ręka Boża, pragnąca go zmusić, aby zawrócił z drogi, którą szedł. Tutaj, pomiędzy tymi wszystkimi mężami, gdzie znaczył raczej tak mało, jego własne sprawy stały się dla niego również mniej znaczące. Na własne oczy widział, na własne uszy słyszał o śmierci tylu porządnych ludzi. Głupotą byłoby więc sądzić, że Pan Bóg tak gorliwie troszczy się o śmierć Teita albo że zadaje sobie szczególny trud, by ukarać jego, Olafa syna Auduna, dla pokuty i wybawienia, skoro istniało dosyć znakomitych panów, którym by tego o wiele bardziej było potrzeba – na przykład duńscy wielmoże, postępujący tak barbarzyńsko z własnymi rodakami. Nawet waga następstw fałszywego kroku Inguny jak gdyby się zmniejszyła – Olaf widział i słyszał tyle podczas wyprawy...

Pewnego dnia późną jesienią wpłynął na fiord. Słońce paliło, jeśli burzliwy szkwał nie pędził właśnie po morzu. Wiał rześki wiatr, wysoki biały pióropusz piany pod Bykiem powitał go już z daleka. Na górze, na dziedzińcu poznano małą sztukę. Gdy przybił do brzegu, Inguna stała

na przystani, niewieścia chusta i okrycie trzepotały dokoła jej chudej, pochylonej postaci. I zaledwie ją zobaczył, wiedział, że wszystko się odbyło tak jak poprzednim razem.

Dziecko urodziło się nieżywe – chłopak, jak i pierwsze...

W dwa miesiące po Nowym Roku Inguna znów zachorowała. Tym razem poroniła i obawiano się o jej życie. Olaf musiał wezwać księdza.

Sira Benedykt radził małżonkom, aby żyli rok w rozłące i czas ten przeznaczyci na pokutę i dobre uczynki. Jest nie do pomyślenia, rzekł ksiądz, aby Inguna tak słaba, jak obecnie, mogła urodzić żywe dziecko.

Olaf był gotów spróbować tego wyjścia. Inguna jednak tonęła w rozpacz, kiedy ją o tym przekonywał.

– Po mojej śmierci – rzekła – masz wziąć sobie młodą żonę i z nią płodzić synów. Mówiłam ci, że jestem złamana, aleś nie chciał mnie puścić. Nie pożyję już długo, Olafie. Pozwól mi być z tobą przez ten krótki czas, jaki jeszcze spędzę tu, na ziemi.

Olaf głaskał jej twarz i uśmiechał się znużony. Wciąż mówiła o tym, że ma się powtórnie ożenić, ale nie mogła znieść, żeby choć zerknął na inną kobietę lub zamienił parę słów z sąsiadkami, kiedy spotykał je na kościelnym wzgórzu.

Bezsensowność trapiła go tej wiosny jeszcze większa niż zazwyczaj. Z sercem wezbranym litością leżał po nocach i ramieniem obejmował biedną, chorą kobietę. Jej zbyt czułe przywiązanie zaczynało mu już ciążyć. Nawet we śnie zaciskała wychudłe ramiona dokoła jego szyi, a głowę trzymała opartą na jego piersi.

Kiedy wiosną ruszył znów do Tunsberg, rad był, że wyrwał się z domu. Lato przeszło tak samo jak zeszłego roku. Ilekroć myśli Olafa

biegły ku domowi, serce ścisnął mu ból. Jak gdyby to nie było wcale ważne, że tak mało ma radości w pożyciu z Inguną, stracić ją – znaczyło stracić pół życia.

Gdy jesienią powrócił do domu, powitała go rześka i zdrowa. Tym razem miała nieomylną pewność, że wszystko pójdzie dobrze. Sześć tygodni jednak przed Bożym Narodzeniem urodziła chłopca – przeszło dwa miesiące za wcześnie.

Jakiś czas przedtem rozniosła się po okolicy wieść, że pan Tore kazał w Tunsberg ściąć Björna syna Egila. Björn wstąpił po pierwszej wyprawie duńskiej w służbę barona; nie chciał wracać do Hestviken. Kiedy potem flotylla wojenna wracała do Norwegii, Björn znajdował się na tym samym statku, co pan Tore; w czasie podróży rozpoczął zwadę z pewnym człowiekiem i zabił go na miejscu. A gdy baron polecił swym ludziom ująć go i związać, Björn stawiał opór i zranił przy tym śmiertelnie dwóch ludzi, inni zaś odnieśli lżejsze rany.

Tego lata zmarła także Gudryda, żona Björna, i Olaf postanowił dopomóc dzieciom człowieka, którego tak bardzo lubił. Torhilda córka Björna stroniła od ludzi, była małowówna i przekorna. Olaf rzadko ją widywał i zamienił z dziewczyną może wszystkiego dziesięć słów. Nie bardzo więc wiedział, w jaki sposób ofiarować jej pomoc.

Kiedy jednak Inguna złamana chorobą leżała aż do Bożego Narodzenia i nie było w Hestviken gospodyni, która prowadziłaby całą wielką robotę – a w czasie połowu ryb przebywało zawsze we dworze sporo ludzi polujących na foki i ptaki nadmorskie – przyszło Olafowi na myśl, aby pomówić z Torhildą, czy nie chciałaby przybyć na dwór i zająć się gospodarstwem. Mówiono, że jest dzielną i pracowitą kobietą. Nieporządki we dworze zwiększyły się teraz tak bardzo! Pierwsza lepsza szaf arka dałaby sobie lepiej radę od gospodyni. Ingunie zawsze, nawet gdy była zdrowa, robota szła niesporo, a cóż dopiero teraz, kiedy

od trzech lat nie przeżyła zdrowo niemal jednego dnia. Jedzenie było na Hestviken tak niesmaczne, że Olaf z trudem mógł nająć na zimę parobków, a ilekroć na dwór zawitali goście, wstydził się i był w strachu o potrawę, które wnoszono na stół. Świeże ryby i zmarznięte mięsivo były w zimie jedynymi potrawami, które nie cuchnęły i nie miały dziwnego smaku. Zapasy w spichrzu topniały w sposób niepojęty, aż wreszcie Olaf spostrzegł, że niektórzy z czeladzi kradną jak kruki. W domu musiał zawsze trzymać kupne piwo z miasta, chociaż drogo kosztowało, gdyż piwo warzone przez Ingunę osławione było wzdłuż całego fiordu. Ba, nawet mieszanka mleka i wody w kadzi przy drzwiach miała posmak nie kwaskowaty, lecz zgniły. Odkąd się ożenił, nie uszyto mu również nowego ubrania, a ubranie robocze wyglądało jak łachman – ani nie utrzymywano go w czystości, ani nie łątano.

Niejednokrotnie tłumaczył Ingunie, że powinna przyjąć szafarkę, ale za każdym razem wpadała w rozpacz, płakała i zaklinała go, aby jej oszczędził takiego wstydu. Daremnie przekładał jej, że choroba jest panem człowieka i że przyjęcie szafarki nie będzie żadną hańbą dla niej. Zrozumiał wreszcie, że jeżeli chce pomówić z Torhildą, musi to uczynić bez radzenia się żony. Najgorszą sprawą były dzieci Torhildy – najmłodsze musiałyby zabrać; na pewno wniosą ze sobą do dworu niepokój, którego Inguna nie znosiła.

„Dziećmi Torhildy” zwali ludzie sześcioro dzieci, które zostały po Björn i Gudrydzie. Matka była jak zajęczyca – strząsała z siebie jedno dziecko po drugim; pasierbica przyjmowała je, brała na kolana i dawała im pić mleko z rogu krowiego; Gudryda cały czas nic nie robiła, tylko wałęsała się po okolicy. Torhildą w młodości zaręczona była z zamożnym i zacnym młodzieńcem, był on jednak bliskim krewnym owego Gunnara, którego Björn miał nieszczęście zabić, więc małżeństwo spełzło na niczym. Od tej pory żyła w tym ubogim domu, harowała jak

kobieta i mężczyzna zarazem. Niewiele o niej wiedziano, ale mówiono jak najlepiej. Nie była wcale brzydka, a pomimo to trudno byłoby sobie wyobrazić, że Torhildą znajdzie się kiedyś w lepszych warunkach. Nie pierwszej już była młodości, miała dwadzieścia osiem czy dwadzieścia dziewięć lat; dwoje najstarszych z przyrodniego rodzeństwa było w tym wieku, że mogło już śmiało iść na służbę. Gdy jednak ludzie napomykali o tym, Torhildą twierdziła zawsze, że potrzebuje ich w domu.

Pewnej niedzieli, wkrótce potem, gdy Inguna zachorowała, ujrzał Olaf Torhildę w kościele. Stała z brzegu po niewieściej stronie, okutana po brodę w długie, czarne, luźne okrycie. Kapuzę naciągnęła na głowę i tylko od czasu do czasu Olaf widział z boku jej bladą twarz na tle czarnej wełnianej materii. Torhildą była zupełnie podobna do ojca; czoło miała wysokie i proste, długi, ale delikatnie wygięty nos, usta szerokie i bezbarwne, a wargi zaciśnięte mocno, jak gdyby ściągnięte w niemym poddaniu. Broda dziewczyny była silna i kształtna. Natomiast jasne włosy miały kolor spłowiwały i zwisały w kosmykach nad czołem; szarawa cera twarzy zdawała się nasiąknięta dymem i kopciem, które wżarły się w skórę. Wielkie oczy miały czerwone obwódki, a ich białka porysowane były różowymi żyłkami, prawdopodobnie od nadmiernego stania nad paleniskiem w ciasnej, kurnej chacie. Ręce zaciskające płaszcz, nawet wówczas gdy składała je do modlitwy, niezbyt duże i o długich palcach, były sine i splekane od mrozu, a brud wrósł we wszystkie szczeliny skóry i w obłamane paznokcie. A chociaż dziewczyna była szczelnie osłonięta płaszczem, widać było, jak prosto się trzyma.

Po mszy Olaf zatrzymał się na kościelnym wzgórzu i wdał się w rozmowę z kilkoma innymi gospodarzami. Wracał więc potem sam do domu – jego ludzie wyruszyli wcześniej.

Przybył do miejsca, gdzie rozpoczynał się bór. Rozciągały się tu wielkie moczary, na brzegu jednego z nich stała biedna zagroda. Zaraz za

zabudowaniami droga dla jeźdźców konnych rozwidlała się – jedna odnoga wiodła do Rynjul i na południe do sióła, druga, mniejsza, do Hestviken. Olaf skierował konia ku tej drodze i w tejże chwili dojrzał Torhilde stojącą przed chatą. Zdjęła okrycie i wręczała je gospodyni, od której je pożyczyła. Dostrzegłszy jeźdźca, odwróciła się nagle i poszła prędko, jak gdyby uciekała, przez zamrożone bagno. Olaf zrozumiał teraz, dlaczego przez cały czas nabożeństwa tak starannie zasłaniała się płaszczem; miała na sobie tylko koszulę z grubego, niefarbowanego fryzu. Koszula była wycięta przy szyi, rękawy sięgały do łokcia, ramiona dziewczyny były sine z zimna, podobnie jak nagie szczupłe nogi wyzierające między brzegiem koszuli a wielkimi, rozdeptanymi męskimi butami. Zamiast pasa owinęła się kawałkiem tkaniny – i znów Olaf zdziwił się mimo woli, jak prosto kroczyła.

W podobnym odzieniu zwykły chodzić kobiety służebne latem, w czasie żniw. Nagłe wspomnienie przeszło Olafa – wspomnienie błękitnego nieba, jasnego słońca i skwaru nad zagonami, po których chodzą pochylone żniwiarki, zagarniając oburącz dojrzałe, słodko pachnące kłosa. Patrzył za ubraną jak w lecie dziewczyną; uciekała po zamrożonych moczarach aż do lasu po drugiej stronie, gdzie stały srebrzyste od szronu smreki. Jakże musiała marznąć nieboga! Głowę miała odkrytą, gruby, prosty warkocz zwiślał na dumnych, nieugiętych plecach. Olaf poczuł nagle gwałtowny przypływ litości dla dziewczyny. Przez chwilę stał na ścieżce i spoglądał za nią. Ujechał już kawałek, ale nagle zawrócił i skierował się w stronę Rynjul.

Obejście Björna syna Egila leżało po drugiej stronie zbocza; olszynowy gąszcz zasłaniał je prawie całkiem przed oczyma ludzi jadących drogą. Olaf spostrzegł, że od ostatniego jego pobytu tutaj wykarczowano spory szmat lasu. Parę niedużych skrawków ziemi zostało dopiero tej jesieni zaoranych, korzenie i kamyki wały się jeszcze tu i ówdzie. Wyżej,

w górze małe poletka połyskiwały ścierniskiem. Niewielka obora zbudowana kilka lat temu przez Björna zóciła się świeżymi belkami, lecz mieszkalnego domu nie zdołał już postawić. Mieszkali jeszcze wciąż w okrągłej ziemnej lepiance.

Posłyszawszy stuk kopyt Torhilda córka Björna stanęła w drzwiach; za nią wyjrzały dzieciaki. Wyszła na dwór i wyprostowała się; lekko spłoniona patrzyła niechętnie na zsiadającego z konia mężczyznę, domyśliła się bowiem, że przybył tu w określonym celu. Olaf przywiązał konia do drzewa i nakrył go opończą podbitą wiewiórczymi skórkami.

– Pozwól mi wejść do chaty, Torhildo, muszę pomówić z tobą o pewnej sprawie.

Nie chciał, żeby stała przed domem i marzła, bo była boso.

Torhilda odwróciła się i weszła do chaty. Narzuciła na ziemną ławę starą baranicę, poprosiła gościa, by usiadł, i zaczerpnęła warząchwią koziego mleka z kubła stojącego przy drzwiach. Mleko pachniało silnie dymem, lecz Olafowi, poszcącemu w tych dniach, smakowało bardzo. Izba podobna była do pieczary: miała tylko wąskie przejście między ziemnymi ławami, wypełniającymi ją zupełnie. Torhilda usiadła naprzeciw gościa; na kolanach trzymała dwuletnie dziecko, nieco większa dziewczuszka stała za nią i obejmowała ją za szyję. Dwaj starsi chłopcy leżeli obok paleniska przy drzwiach i nasłuchiwali rozmowy siostry z gościem.

Początkowo mówili dłuższą chwilę o różnych innych rzeczach, zanim Olaf wyjaśnił, po co przybył. Zapewne słyszała, jak źle idzie wszystko u niego w domu; nie ma nadziei, aby jego żona potrafiła tej zimy zająć się chociażby najmniejszą robotą. Gdyby Torhilda zechciała wyświadczyć im przysługę i dopomóc jemu i Ingunie w tych trudnościach, byłiby jej niezmiernie wdzięczni. Olaf mówił jak ktoś, kto prosi o łaskę. Dziewczyna przypadła mu bardzo do serca. Wyglądała zdrowo i silnie z tymi prostymi, szerokimi barkami, wysoką, jędrną pierś i silnymi biodrami. Jej z



pewnością nie ścina z nóg to, że po całych dniach haruje tutaj i drepcze między tą norą i obórką.

Torhilda wahała się z początku, ale Olaf oświadczył, że rozumie się samo przez się, iż zabierze wszystkie dzieci do Hestviken. Właściwie miał najpierw zamiar wziąć tylko dwoje najstarszych – ci chłopcy mogli przydać się na coś – oraz dwoje najmłodszych, których nie sposób było rozłączyć z opiekunką. Dla obojga średnich znajdzie się łatwo jakieś miejsce w gminie. Tak samo przyjmie jej drób, krowę, cztery kozy i trzy barany. A gdy spadnie śnieg, można będzie zwieźć paszę, którą zebrała. I obiecał dopilnować, aby na wiosnę nawieziono pole i posiano zboże tutaj, na Rundmyr.

W końcu Torhilda doszła do porozumienia z Olafem i oświadczyła gotowość przeniesienia się do Hestviken, gdy tylko poszyje ubrania dla siebie i dzieci. Olaf przyrzekł wystarać się jej o potrzebny materiał, który rzeczywiście zaraz na drugi dzień przywiózł; czeladź nie powinna wiedzieć, jak bardzo Torhilda jest biedna.

Miał zamiar tego samego jeszcze wieczoru powiedzieć Ingunie o swej umowie z Torhilda. Kiedy jednak wszedł do izby, chora leżała bezkrwista i umęczona i wyglądała tak nędznie, jakby nie miała siły ani słuchać, ani mówić. Przysiadł więc tylko na brzegu jej łoża. Twarz Inguny była straszliwie mizerna, powieki niby cieniutkie brunatne błony przysłaniały zapadnięte oczy, oblicze było szare – ciemne pręgi, które wystąpiły na jej twarzy przy drugim dziecku, nie znikły dotąd. Białą koszulę spięła piękną kłamrą, ale szyja była żyłasta jak u oskubanego ptaka. Przypomnił sobie, że szara zgrzebna koszula Torhildy zapięta była szpilką rogową, ale za to szyję miała krągłą niczym pień, a pierś pełną i wysoką. Była zdrowa i krzepka, chociaż wiodła tak nędzny, znojny żywot. Jego biedaczka posiadała wszystko wokół siebie, co było młodej kobiecie potrzebne do upiększenia życia – a oto leży tutaj po raz czwarty w ciągu trzech lat, bez

dziecięcia i bez sił. Olaf pogłaskał jej policzek:

– Gdybym wiedział, jak można ci pomóc, Inguno!

Nie potrafił zdobyć się na to, by jej powiedzieć, że wziął szafarkę, póki Torhilda nie wprowadziła się pewnego dnia do dworu z wszystkimi dziećmi i bydłem. Inguna zdawała się być temu niechętna. Lecz rzekła tylko:

– Tak, tak, musisz mieć kogoś, kto zajmie się tu gospodarstwem. Całe moje życie byłam niedojdą, a teraz wygląda na to, że nie potrafię żyć ani umrzeć...

Inguna chorowała i leżała przez całą zimę i w istocie wyglądało tak, jak powiedziała; zdawała się niezdolna zarówno do życia, jak i do śmierci. Potem jednak przyszła trochę do siebie i z początkiem postu mogła się już podnieść. Tego roku wczesna wiosna nastąpiła nad fiordem.

Oczekiwano, że latem przyjdzie znowu na pewno powołanie pod broń. Chłopom uprzykrzyła się już serdecznie wojna z Danią. Nie wierzono, aby król czy książę osiągnęli w końcu inny zysk niż utratę jeszcze i matczyne go dziedzictwa, które wymusili na swoim bracie ciotecznym, dawnym królu duńskim<sup>[41]</sup>, przed jego zgładzeniem. Tej wiosny sira Benedykt polecił obwieścić, że na świętego Olafa zamierza pielgrzymować do Nidaros. Wielu ludzi w okolicy przyłączyło się do niego dla towarzystwa w tej pielgrzymce, którą każdy mąż i każda niewiasta w Norwegii chętnie odbywa bodaj raz w życiu. Olaf uczepił się tej myśli jak deski ratunku. Inguna powinna przyłączyć się do pielgrzymki. Przecież to prawdziwy cud, że ostatnio ozdrowiała i nic jej nie dolega; musi wykorzystać tę rzadką sposobność...

Inguna nie paliła się z początku do tej podróży, ponieważ Olaf nie miał

---

[41] ...dawnym królu duńskim... – mowa o Eiriku V

zamiaru się z nią wybrać. Potem jednak zaświtała w niej myśl, że może odwiedzić swój dom ojczysty i zobaczyć się z rodzeństwem, pójdzie więc z pielgrzymami aż do Hamaru. Olafowi nie było to na rękę. Pragnął, aby do końca wzięła udział w pielgrzymce. Może przy relikwiach świętego Olafa odzyska zdrowie? Jeśli czuje się na siłach, aby dojść do Heidmark, mogłaby równie dobrze odbyć całą drogę: gromada pielgrzymów ma ciągnąć powoli, gdyż znajduje się pośród nich wielu chorych. Gdy jednak spostrzegł, jak bardzo pragnie zobaczyć się z rodzeństwem, pozwolił jej na to.

Odprowadził ją do Oslo, pozostał parę dni w mieście, kupował i sprzedawał towary. Pewnego dnia Inguna siedziała w gospodzie. Nagle Olaf wszedł prędko, pogrzebał w jej sakwach, nie znalazł tego, czego szukał i otworzył inny worek. Przy tym wpadło mu w ręce kilka szatek – mogły pasować na czteroletnie dziecko. Mimo woli rzucił okiem na żonę. Siedziała z pochyloną głową, krwawy pąs zabarwił jej policzki. Olaf nie powiedział, wpakował wszystko z powrotem do wora i wyszedł.

Haakon syn Gauta kupił Berg po śmierci pani Magnhildy córki Torego, i Tora córka Steinfinna mieszkała tam obecnie już drugi rok jako wdowa. Z jej słów zrozumiała Inguna, że siostra żyła dobrze z Haakonem, żyła jednak równie dobrze bez niego. Była ogromnie dzielną gospodynią, Inguna nie przestawała dziwić się siostrze. W domu i przy zajęciach gospodarskich Tora poruszała się żwawo, lekko i pewnie, mimo tuszy, teraz już tak znacznej, że wyglądała wprost cudacznie. Wciąż jeszcze miała cerę różową i białą, i proste, ładne rysy, ale policzki i podbródek były olbrzymie, a ciało tak niezgrabne, że z trudem mogła dosiąść konia. Nawet ręce jej były tak tłuste, że przeguby poznawało się jedynie po głębokich dołkach. Mimo to Tora używała sprawnie swych rąk. Dobytek i powodzenie rosły wokół niej, a dzieci były ładne i bardzo obiecujące. Miała ich sześcioro i wszystkie chowały się zdrowo.

Trzeciego wieczoru przed udaniem się na spoczynek siedziały siostry razem w izbie na poddaszu spichrza. Inguna siedziała na progu i radowała się ciszą. Głęboko w borze kukała jeszcze chwilami kukułka, od czasu do czasu przepiórki nawoływały się w zbożu. Inguna żyła od długiego czasu w stronach, gdzie nawet powietrze zdawało się szumieć gwizdem wichru i hukiem morza rozbijającego się o skały... Tutaj, pod milczącym i jasnym sklepieniem nieba słabe głosy ptaków jak gdyby potęgowały ciszę; miała wrażenie, że chłonie pokrzepiający napój. Zatoka była mała i urocza; przejrzystą wodę mąciły ciemne smugi nad czarnym lasem wodorostów. Ostatnie zwały chmur zwiślały nisko nad graniami w dali, cały dzień świeciło słońce, to znowu lał deszcz i rozrzucone siano pachniało przyjemnie.

Tęsknota wzięła wreszcie górę. Nagle i niespodzianie Inguna

oznajmiła, po co tu przyjechała. Zmagala się z sobą przez dwa dni, nie wiedziała: zadać, czy nie zadać pytania.

– Widujesz kiedy swojego Eirika?

– Nieźle mu się powodzi – odparła Tora wymijająco. – Hallveiga powiada, że rośnie, że miły z niego chłopaczek. Każdej jesieni Hallveiga przychodzi tutaj...

– Dawno go już nie widziałaś? – spytała siostra.

– Haakon niechętnie patrzył, kiedy tam chodziłam – rzekła Tora jak poprzednio. – A odkąd tak bardzo utylałam, niełatwo mi wybrać się w dalszą drogę. Wiesz przecież, że Eirik znajduje się u porządných ludzi. Hallveiga zawsze opowiada o nim same dobre rzeczy. Tutaj, we dworze, mam zresztą huk roboty. Trudno mi doprawdy wybrać się tak daleko – urwała rozdrażniona.

– Kiedy widziałas go ostatni raz? – zapytała znów Inguna.

– Odwiedziłam go zaraz pierwszej wiosny po twym wyjeździe. Potem Haakon zabronił mi powtórných odwiedzin; uważał, że to podsyci tylko plotki – dodała Tora niecierpliwie. – Eirik był wówczas uroczym dzieckiem – dodała łagodnie.

– Więc to już trzy lata temu?

– Tak, tak.

Siostry milczały chwilę. Potem Tora powiedziała:

– Arnvid odwiedził go również parę razy, w pierwszych latach.

– A teraz przestał? Czyżby i on zapomniał o Eiriku? Tora rzekła niechętnie:

– Wiesz przecie... Ludzie nigdy nie mogli dociec, kto właściwie jest ojcem twego dziecka.

Inguna milczała wstrząśnięta. Wreszcie szepnęła:

– Czy sądzili, że Arnvid?

– Pewnie, niemądre było zatajać w ten sposób ojca, skoro nie można

było zataić dziecka. Snuli więc najgorsze domysły, sądzili, że bliski krewny albo mnich.

Znów siedzieli dłużej cicho. Potem Inguna odezwała się gwałtownie:

– Chciałabym pojechać do niego jutro, o ile pogoda dopisze.

– Nie wydaje mi się to wskazane – odparła szybko Tora. – Inguno, pomyśl, że my wszyscy musieliśmy wiele wycierpieć z powodu twojego grzechu.

– Ty to mówisz? Ty, która masz sześcioro dzieci! Jak sądzisz, co musi czuć ten, kto posiada jedno jedyne i żyje z nim w rozłące? Przez te wszystkie lata tęskniłam i tęsknię za Eirikiem.

– Teraz za późno, siostrze. Teraz musisz myśleć o Olafie.

– Myślę także o Olafie... Spłodził ze mną czterech nieżywych synów. To dziecko, które oszukałam i zdradziłam, domagało się swoich praw, odtrącony domagał się matki. Zawsze, zawsze ten odtrącony brat wysysał duszę z mego ciała i wysysał życie z moich dzieci, kiedy dźwigałam je pod sercem. W pierwszym synu, którego miałam z Olafem, tliło się jeszcze życie, tak mówiły kobiety, które go odebrały. Umarł, zanim na niego spojrzalam, bez chrztu i bez imienia. Ty swoje dzieci wydałaś na świat żywe, patrzyłaś, jak rosną i rozwijają się. A ja trzy razy czułam, jak dziecię porusza się we mnie, a potem martwieje i obumiera. Kręciłam się tam w Hestviken po izbie i wiedziałam, że niczego innego nie mogę oczekiwać, kiedy chwycą mnie bóle, jak tylko tego, że uwolniona zostanę nareszcie od trupka, którego w sobie nosiłam.

Po długiej chwili Tora przemówiła:

– Rób to, co uważasz za słuszne. Jeśli sądzisz, że lżej ci będzie, gdy zobaczysz Eirika...

I zanim weszła do izby, pogłaskała siostrę po twarzy.

Dochodziło już południe jesiennego dnia, kiedy Inguna zatrzymała wierzchowca przy płocie w lesie. Nie usłuchała próśb Tory – wybrała się sama. Nie wydarzyło się jej nic gorszego jak to, że zbłądziła; najpierw dotarła do małego obejścia, leżącego wysoko w górze po drugiej stronie rzeczulki. Mieszkańcy obejścia byli najbliższymi sąsiadami Siljuaasen i dwoje dzieci zaprowadziło ją zбочem w dół, do miejsca, gdzie mogła przejechać w bród rzekę.

Zatrzymała się chwilę i z wysokości siodła powiodła okiem dokoła. Bezkresna puszcza falowała na stokach gór, aż hen, po błękitniejącą dal; na północnym zachodzie, pod białymi, żeglującymi chmurami szklł się śnieg. W wielkiej odległości, głęboko w dole, dostrzegła zwierciadło jeziora Mjös u stóp góry pokrytej lasem, a ziemia po drugiej stronie, w słonecznym blasku, błękitniała i zieleniła się plamami wielkich dworów i zagród. Z Hestviken nie widziało się wcale uprawnej roli, poza własnymi polami dworskimi. Tęsknota za domem i dzieckiem złączyły się w niej w jeden krzyk pragnienia. Wiedziała, że będzie miała tę krótką, małą chwilę, w której zaspokoi swój głód, ten jeden jedyny raz. A potem trzeba będzie ze zgiętym karkiem powrócić i dalej nieść brzemię swego nieszczęścia.

Wydawało jej się, że blask słońca na południu, nad fiordem, nie jest nigdy tak jasny i daleki pod błękitnym stropem. Jak dobrze znaleźć się wreszcie znowu wysoko na górskim grzbiecie! Po prawej stronie w dole leżało owo strome, ponure zбочe, przez które przebijała się przedtem uciążliwie, prowadząc konia za cugle. Aż tutaj na górę dochodził grzmot rzeki na dnie wąwozu, raz mocniej, raz słabiej. Na wprost, po drugiej stronie dzikiej dolinki, wysoko w górze, pod skalnym szczytem leżał mały dwór, na który przedtem zawędrowała, a między nim i nią błękitne powietrze tańczyło i drgało.

Przed sobą miała świeże karczowisko. Domostwa stały na małym pagórku, pośrodku kamienistej, garbatej polanki, były szare i niskie,

zaledwie na wysokość kilku dyli. Uprawne pólka rozpościerały się u stóp wzgórze po drugiej stronie ogrodzenia.

Inguna zesza z konia i odsunęła żerdzie. Nagle w górze, na stoku zjawilo się kilkoro szaro ubranych dzieci. Musiała przystanac; przeciągly dreszcz wstrząsnęła jej ciałem. Gromadka dzieci zatrzymała się chwile nieruchomo, wypatrując, potem zawróciła i znikła; ani głosu nie wydały ze siebie.

Podczas gdy Inguna szła z boczem w górę, w drzwiach jednego z domostw ukazała się kobieta. Ujrzawszy obcą, przeraziła się. Moze w pierwszej chwili sądziła, że to wcale nie człowiek – ta wysoka postać w śnieznobiałym czepcu wokół pałającej twarzy i w błękitnym jak niebo okryciu, spiętym srebrną kłamrą, wiodąca pięknego konia o jasnej grzywie. Inguna zawołała na nią spieszenie po imieniu.

Siedziały chwile i gawędziły, po czym Hallveiga wysza po Eirika.

– Dzieci bawią się pewnie w poblizu domu, boją się rysia – rzekła. – Dziś z rana siedział na płocie. Ale gość spłoszył dzieci. Częściej widzą w tym pustkowiu rysia anizeli obcych.

Zostawszy sama, Inguna rozejrzała się po małej izdebce. Była ona niska i zadymiona, a gospodarskie statki i sprzęt walały się wszędzie, tak że z trudem można się było obrócić. W kolebce zawieszona u pułapu leżało niemowlę i oddychało miarowo i spokojnie. Gdzieś w kącie bzykała mucha wysokim, ostrym tonem, bez przerwy, jak gdyby zaplątała się w pajęczynę.

Hallveiga wróciła po chwili, ciągnąc za sobą małego chłopczyka. Miał na sobie tylko szarą wełnianą koszulkę. Za nimi stłoczyła się w drzwiach cała gromadka własnych dzieci Hallveigi i zaglądała ciekawie do środka.

Eirik bronił się, kiedy Hallveiga pchnęła go naprzód, przed obcą panią. Potem podniósł na chwile głowę, spojrział szybko i ze zdumieniem na wspaniale odzianą kobietę i prędko wpelznął za opiekunkę, chcąc się



za nią ukryć.

Oczy miał żółtobrązowe, niemal jak woda we mgle prześwietlonej słońcem, a długie czarne rzęsy podwinięte ku górze. Włosy dziecka były jasne i wiły się w puszystych lśniących puklach dokoła twarzy i nad karkiem.

Matka wyciągnęła ramiona i wzięła synka na kolana. Z rozkosznym dreszczem poczuła twardą, małą główkę na ramieniu, a pod palcami jedwabiste włoski. Przytuliła twarz dziecka do swej twarzy – policzki Eirika były pulchne, krągłe i chłodne; wyczuła małe, w pół otwarte wargi na swej skórze. Eirik bronił się z całych sił, wierzgał i wyrывał się z namiętnych uścisków matki zupełnie cicho, bez słowa.

– Przecież to ja, ja, Eiriku, jestem twoją matką. Słyszysz, Eiriku, ja jestem twoją prawdziwą matką! – śmiała się i płakała na przemian.

Eirik podniósł na nią oczy, jakby niczego nie rozumiał. Opiekunka zgromiła go ostro i kazała siedzieć spokojnie u matki. Siedział więc na kolanach Inguny, ale żadnej z kobiet nie udało się zmusić go do mówienia.

Inguna objęła go ramieniem, głowa jego spoczywała na jej piersiach, czuła ciepło jego ciała. Drugą rękę położyła na śniadych, okrągłych kolanach chłopczyka, głaskała, jego sprężyste łydki i brudne maje nóżki. Drobnymi, powalnymi ziemią paluszkami skubnęła rękę matki, dotknął pierścionków na jej palcach.

Inguna otworzyła tobolek i wyjęła podarunki. Przywiozła za duże na Eirika szatki – chłopczyk był bardzo drobny na swój wiek. Eirik zdawał się zupełnie nie rozumieć, że te cieniutkie koszulki i malutkie porcięta skórzane są dla niego. Nawet wówczas, kiedy matka narzuciła na niego czerwony płaszczyk ze srebrną kłamrą, nie ucieszył się, tylko dziwił się dalej w milczeniu. Potem Inguna wydobyła pieczywo i wręczyła Eirikowi wielki, okrągły placek z pszennej mąki, przeznaczony wyłącznie dla niego. Eirik chwycił go łapczywie, przycisnął oburącz do piersi i wybiegł

z izby, a cała gromadka za nim.

Inguna podeszła do drzwi. Malec stał rozkraczony na bosych, brudnych nóżkach, trzymając ciasto przyciśnięte do wystającego brzuszka, a reszta dzieciarni otoczyła go kręgiem i wlepiła w niego oczy.

Hallveiga wniosła jedzenie dla gościa: rybę, racuchy owsiane oraz niewielką czarę śmietany. Dzieci dostały zebrane mleko i pozwolono im iść z nim na łąkę. Kiedy po pewnym czasie Inguna wyjrzała na dwór, siedzieli razem i jadły. Eirik kłęczał, odłamywał spore kawałki ciasta i rozdawał je.

– On zawsze jest taki szczodroblivy – odezwała się opiekunka. – Co roku, kiedy schodzę na Berg, Tora daje mi dla niego taki placek i Eirik rozdziela go, a sam przeważnie zapomina jeść. Po takich i tym podobnych rzeczach łatwo poznać, że pochodzi od możnych ludzi.

Teraz, kiedy dzieci siedzieli razem na słońcu, Inguna dostrzegła, że jasne włosy Eirika różnią się bardzo od zjeżonych, konopiastych czupryn reszty dzieci. Włosy Eirika, choć nie pielęgnowane, były lekko skręcone i błyszczące, a kolor ich był nie żółty, lecz jak najjaśniejszy brąz świeżo dojrzałego orzecha laskowego.

Już w porze niesporów musiała Inguna zbierać się w drogę powrotną, aby przed nadejściem wieczoru zjechać na dół, do gminy. Nie potrafiła w żaden sposób przezwyciężyć lęku Eirika wobec siebie, a głos jego słyszała tylko wtedy, gdy rozmawiał z dziećmi na łące. Taki miły, taki kochany miał głosik...

Pozwolono Eirikowi dosiąść jej konia i pojechać kawałek aż do lasu na dole. Inguna prowadziła zwierzę za uzdę, a drugą ręką podtrzymywała chłopca. Uśmiechała się do niego usiłując wyczarować uśmiech na ogorzałej, ładnej twarzyczce chłopca.

Kiedy znaleźli się poza częstokołem, gdzie nikt z obejścia nie mógł ich zobaczyć, Inguna podniosła chłopca z siodła, przytuliła go mocno do siebie i całowała jego policzki, szyję i ramiona, nie zważając, że zwisa ciężko w jej objęciach. Gdy zaczął kopać matkę z całych sił, mocnym chwytem ogarnęła jego gładkie, nagie nóżki – z przejmującą słodyczą poczuła, jak mocne i jędrne ma ciało. W końcu przykucnęła i płacząc szeptała nad dzieckiem czułe, namiętne słowa; usiłowała zmusić go prośbą, groźbami i pieszczotą, by usiadł na jej kolanach.

Zaledwie jednak na mgnienie oka zwolniła uścisk, udało się Eirikowi wyśliznąć z jej objęć. Chyżo jak zając czmychnął przez małą polanę i znikł w krzakach; po chwili płot zatrzeszczał.

Inguna podniosła się i głośno łkała z bólu. Zataczając się, skulona, ze zwieszonymi ramionami poszła naprzód, wstrząsana szlochem. Na skraju pola ogrodzonego świerkowymi gałązkami przystanęła i dojrzała Eirika: śmigał przez łąkę tak prędko, że piętami dotykał niemal pleców.

Pochylona nad ogrodzeniem, Inguna płakała rozpaczliwie. Zrudziałe, powiędłe gałązki smreczyny wetknięto tutaj wokół małego pólka, na którym zboże zaledwie zaczęło dojrzewać. Kłosa były jeszcze wiotkie i stulone jak nowo narodzone życie: ten obraz majaczył nieraz później w pamięci Inguny, mimo że w tej chwili nie wiedziała, na co patrzy ślepymi od łez oczyma.

W końcu musiała wrócić do konia.

W ciągu jesieni sira Benedykt syn Bessego ciężko zaniemógł. Pewnego dnia przybył goniec do Olafa z Hestviken: ksiądz chciał się z nim pożegnać.

Sira Benedykt leżał na łożu, podparty poduszkami, i nie wyglądał na umierającego. Tylko kilka płytkich bruzd, przecinających jego mięsiste, ogorzałe oblicze, pogłębiło się, przybyło też parę nowych. Mimo to z zupełną pewnością przepowiedział swój rychły zgon. Skoro Olaf zachęcony przez księdza przysiadł na krawędzi łoża, ksiądz wziął mu z ręki niby to od niechcenia skórzane rękawice, pomacał skórę i przytknął je badawczo do nosa i oczu; Olaf uśmiechnął się mimo woli.

Jakiś czas gwarzyli o tym i owym – o Arnem synu Torgilsa i jego córkach. Dwie wyszły tymczasem za mąż w gminie, lecz Olaf rzadko spotykał się teraz z nimi albo ich mężami.

– Coraz rzadziej bywasz między ludźmi, Olafie – odezwał się ksiądz. – Wielu jest takich, co się dziwią, że tak samotnie żyjesz.

Olaf przypomniał, że w ostatnich latach przebywał z dala od domu, a każdej zimy miał w domu chorą żonę.

Ksiądz napomknął znowu o czekającym go wkrótce wyzwoleniu i prosił Olafa, aby pilnie wspominał go w pacierzu. Olaf przyrzekł mu to.

– Ale ty chyba, siro, nie masz potrzeby obawiać się tego, co cię czeka – dodał.

– Sądzę, że wszyscy musimy się obawiać – odparł ksiądz. – A ja żyłem zawsze beztrosko, nie bardzo wystrzegając się drobnych, codziennych grzechów, mówiłem i robiłem wszystko, co mi do głowy wpadło, i pocieszałem się tym, że nie są to znów ani takie wielkie, ani śmiertelne grzechy. Zdawało mi się, że to, co czynię z niedoskonałości

i wrodzonych ułomności mej natury, nie może zbyt ciężko zaważyć na szali, chociaż dobrze wiedziałem, że w oczach Boga wszelki grzech jest bardziej obrzydliwy niż rana.

Ani tobie, ani mnie nie byłoby miło żyć razem z człowiekiem, który cały pokryty jest ranami i strupami. Otóż ja każdego dnia zażywałem leku, który leczy najpewniej trąd grzechu. Wiesz jednak, że nawet najpewniejsze leki i najdroższe maści powoli leczą ranę, jeśli co dnia rozdrapuje się ją na nowo i wrywa z własnej skóry nowe zadry. Tak samo dzieje się z nami, skoro Pan nasz krwią swoją obmył nas z grzechu i namaścił swym miłosierdziem, a my trwamy w obojętności i dalej popełniamy czyny, przeciwko którym zostaliśmy namaszczeni. Wówczas rozrywamy nasze rany, zaledwie On je uleczył i dlatego musimy czekać w ogniu czyścicowym, ze spętanymi rękami i nogami, póki nie zostaniemy oczyszczeni ze strupów i zarazy...

Olaf siedział w milczeniu, bawiąc się rękawicami.

– Obawiam się, że zbyt wielką miłością darzyłem moich najbliższych – podjął ksiądz. – Dziękuję Bogu za to, że nigdy nie stałem się powodem ich grzechu, ani nie wspomagałem ich w złych czynach – podobna pokusa została mi oszczędzona, ponieważ byli zacnymi ludźmi. Niejednokrotnie jednak zbyt gorliwie dbałem o ich dobrobyt i powodzenie. W moim testamencie napisane jest, że to ma zostać wyrównane. Srogi byłem wobec moich nieprzyjaciół, wobec wrogów moich krewnych, popędliwy i skory do myślenia źle o kimś, kogo nie mogłem ścierpieć...

– Mimo to dla nas wszystkich ratunek musi być jeszcze o wiele, trudniejszy – Olaf próbował się uśmiechnąć.

Ksiądz odwrócił głowę na poduszce i spojrzał młodemu człowiekowi w oczy. Olaf poczuł, że blednie pod jego wzrokiem, poczuł nagle w sobie dziwną bezsilność. Chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł słowa wykrztusić.

– Tak na mnie jakoś patrzysz – wyszeptał wreszcie. – Tak jakoś patrzysz... – powtórzył po chwili i zdawało się, że prosi o łaskę.

Ksiądz znowu odwrócił głowę. Leżał na wznak i patrzył prosto przed siebie.

– Pamiętasz, jak natrząsałem się z Olafa Półmnicha, ponieważ mówił, że widział różne rzeczy, o których ja wiem niewiele? Ale teraz i to wydaje mi się Boskim postanowieniem, że jednemu otwiera oczy na sprawy, które skrywa przed drugimi. Mnie nigdy nie dane było widzieć tego, co się dzieje poza nami gdzieś, w świecie, ale czasami ja także zauważyłem jakiś błysk...

Olaf wpatrywał się w księdza i słuchał.

– Jedno zawsze wyczuwałem od dawna – ciągnął sira Benedykt. – Wiedziałem, mogę powiedzieć, niemal zawsze, kiedy ludzie idą po mnie, by mnie zaprowadzić do konających. Przeważnie do takich, którym najbardziej trzeba było pomocy, którzy dźwigali grzech nie wypowiedziany...

Olaf wzdrygnął się i mimo woli podniósł nieco rękę.

– Taka rzecz znaczy człowieka swym piętnem. Niewielu ludzi jest tak zatwardziałego serca, żeby to nie zostawiło na nich śladu, którego by stary ksiądz nie rozpoznał. To właśnie przytrafiło mi się pewnego wieczoru, kiedy siedziałem tu w izbie i szykowałem się do snu. Już miałem wejść do łóża, gdy nagle owładnęło mną uczucie, że ktoś jest w drodze do mnie, walczy z ciężkimi trudnościami i potrzeba mu koniecznie pomocy. Uklęknałem i pomodliłem się, aby ten, kto jest w drodze, trafił do mnie bez przeszkód; po czym chciałem położyć się i odpocząć trochę, zanim będę musiał znów wyjść. Zaledwie się położyłem, czułem coraz silniej i silniej, że komuś zagraża wielkie niebezpieczeństwo. W końcu jasno zrozumiałem, że ktoś znajduje się przy mnie, tu, w izbie i budzi w moim sercu trwogę, ale wiedziałem, że to jest święta trwoga. „Przemów,

Panie, sługa twój słuca” modliłem się głośno.

I zaraz potem miałem wrażenie, jakby głos jakiś wewnątrz mnie udzielił mi rozkazu: wstałem, ubrałem się i obudziłem jednego z pacholków, starego i zaufanego człowieka. Poleciałem mu, aby udał się ze mną na kościelne wzgórze, wszedł na dzwonnice i uderzył w środkowy dzwon. Ja sam wszedłem do kościoła i przyklęknąłem na stopniu przed ołtarzem, przedtem jednak wziąłem świecę sprzed figury Najświętszej Panny, zapaliłem ją i poniosłem do kościelnych wrót, rozwarłszy je na oścież. Światło płonęło równo i spokojnie, mimo że noc była wilgotna, zimna i mglista, a lekki wiatr wiał od strony fiordu.

Niedługo trwało, a do kościoła przyszedł jakiś człowiek i prosił mnie, abym zaniósł do chorego święte oleje i wiatyk. Posłaniec był już tak dawno w drodze, że obawiał się, iż nie zdąży na czas; długo kręcił się bowiem w kółko po własnych śladach i zabłądziwszy zaszedł na mokradła i pustkowie. Przybyliśmy jeszcze na czas z pomocą do kogoś, kto jej potrzebował bardziej od innych...

Objąsniałem to sobie w ten sposób, że i ów posłaniec również własną winą sprawił, że raczej złe duchy kierowały jego krokami, aniżeli Anioł Stróż, którego przestał słuchać. Może więc stało się tak, że Anioł Stróż umierającego zwrócił się do mnie i że to on właśnie pchnął mnie do kościoła i kazał bić w dzwon.

A kiedy nazajutrz rano wróciłem i przechodziłem koło kościoła, zobaczyłem, że zapomniałem zamknąć drzwi. Świeca stała w nich jeszcze i nie wypalona płonęła na świeczniku, a wicher i deszcz wpadające przez drzwi nie zgasiły jej. Przestraszyłem się, dostrzegłszy ów widomy znak, ale przewyciężyłem lęk i wszedłem do kościoła, aby zwrócić Maryi Dziewicy Jej świecznik i zamknąć drzwi. Wówczas ujrzałem, że ktoś nachyla się nad świecą i osłania płomień, gdyż dokoła niego dostrzegłem odbicie blasku – zupełnie tak, jakby światło padało na coś białego. Nie

wiem, czy to było ramię czy skrzydło, czy może kawałek szaty... Na kolanach wczółgałem się po schodach, a kiedy wyciągnąłem rękę, by wziąć świecznik, światło samo zgasło. Upadłem na twarz, albowiem poczułem, że ktoś przesunął się obok mnie – może anioł, a może dusza błogosławiona. I zrozumiałem, że ten ktoś stał twarzą w twarz z Panem...

Olaf siedział nieporuszenie, ze spuszczonej oczyma. Wreszcie jednak nie mógł już wytrzymać i musiał je podnieść. I znów spotkał wzrok siry Benedykta.

Nie wiedział, jak długo trwają tak i patrzą sobie w oczy. Ale czuł jak czas, niby grzmiąca i hucząca fala, przetacza się nad nimi, podczas gdy on i tamten stoją na dnie tego nurtu, tam gdzie jest wieczność nieodmienna i zastygła. I pojął w tej chwili, że ksiądz widzi tajemną ranę pożerającą jego duszę i pustoszącą ją coraz bardziej, lecz był zanadto tchórzliwy, aby pozwolić zbawczej dłoni dotknąć ropiejącego wrzodu. W ostatecznej trwodze przed tym, że ktoś może dotknąć chorego miejsca, zebrał całą swą moc i wolę; przytknął oczy. Zapadł się w ciemność i głuszę, czas przestał huczeć i dudnić, ale Olaf czuł, że izba wiruje wraz z nim. Kiedy znów je otworzył, izba wyglądała jak zwykle, a sira Benedykt leżał z odwróconą głową na haftowanej w zielone gwiazdki poduszce. Wyglądał staro, był zmęczony i smutny.

Olaf podniósł się i pożegnał księdza, przykleknąwszy i ucałowałszy dłoń kapłana. Stary ujął mocno rękę Olafa i uściśnął ją, mówiąc półgłosem jakieś łacińskie słowa, których Olaf nie rozumiał.

A potem odszedł Olaf syn Auduna i ksiądz nie usiłował go zatrzymać.

W tydzień potem rozeszła się wieść o zgonie siry Benedykta. Ludzie w gminie uważali tę śmierć za stratę, cenili bowiem zmarłego jako dobrego proboszcza i prawego, odważnego męża. Nie uważali go natomiast nigdy



za wyposażonego w wybitne dary ducha; w sposobie bycia i obyczajach był jednym spośród nich, a jego uczoność nie wykraczała poza to, co konieczne.

Jeden tylko Olaf syn Auduna czuł się szczególnie zgnębiony, posłyszawszy o śmierci księdza. Widział przed sobą jakby uchylone drzwi i miał mglistą nadzieję, że pewnego dnia zdobędzie się na odwagę, by je przekroczyć. Dotąd tej odwagi nie miał. A teraz drzwi zatrzasnęły się na zawsze.

Niewiele mówił z Inguną o jej odwiedzinach w Oplandii, a o dziecku nie padło między nimi ani słowo.

Niedługo przed Bożym Narodzeniem zaczął się Olaf bać i martwić, bo znów zdarzyło się najgorsze: Inguna była prawdopodobnie przy nadziei.

Zaraz po przybyciu Torhildy na dwór okazywała Inguna więcej żywotności niż przez te wszystkie lata, odkąd była zamężna. Wprawdzie obecnie nie było wcale potrzeby, aby gospodyni własnoręcznie zajmowała się czymkolwiek, Torhilda była bowiem tak dzielna, że sama potrafiła sprostać wszelkim obowiązkom i wnet oswoiła się z całą robotą w Hestviken. Wyglądało tak, jak gdyby przybycie tej drugiej kobiety pobudziło w Ingunie dumę i ambicję. Olaf zrozumiał, że żona czuje się dotknięta, iż wziął na dwór szafarkę nie zapytawszy jej nawet o zdanie. I chociaż Torhilda była bardzo uległa i zawsze we wszystkim pytała panią o jej zdanie i życzenia, chociaż trzymała się możliwie na uboczu, zamieszkując ze swymi dziećmi w starym domku po wschodniej stronie dziedzińca, tam, gdzie kiedyś mieszkała matka Olafa, to jednak Olaf zauważył, że Inguna nie lubi Torhildy.

Jedyną rzeczą, którą Inguna doskonale wykonywała za młodu, były delikatne roboty ręczne, teraz więc zabrała się do nich na nowo. Uszyła dla Olafa długi, do kostek sięgający kaftan z zagranicznej wełny, haftowany w czarne i zielone kwiaty i ozdobiła go szerokim szlakiem.

Olaf nie potrzebował obecnie takiej szaty; ale troskę o jego odzież roboczą zostawiła Inguna Torhildzie. Do pracy na dworze nadawała się równie mało jak poprzednio, mimo to chciała być przy wszystkim obecna i przed świętami pomagała przy uboju i warzeniu piwa, wymiatała izby, czyściła odzież, biegła tam i z powrotem między spichrzami, komorą i przystanią, w zadymce, pędzącej z taką siłą od fiordu, że cały dziedziniec i droga do morza utworzyły jedno wielkie śliskie, zielonkawe lodowisko.

W przedwieczorz Wigilii Olaf wszedłszy do izby zobaczył, że Inguna stoi na ławie i usiłuje sama zawiesić bardzo ciężki, tkany dywan, który przyczepiało się w górze na najwyższym rzędzie belek na drewnianych kołkach. Olaf podszedł i pomógł jej, podtrzymując go.

– Nie powinnaś dźwigać teraz tak ciężkich rzeczy – powiedział.  
– Chociażbyś nawet sądziła, że tym razem dobrze się czujesz. Tym słuszniejsza przyczyna, abyś na siebie uważała; wtedy może skończy się tak, jak oboje pragniemy.

Inguna odrzekła:

– Będzie tak, jak jest przeznaczone, a cierpienia, które mnie czekają, niechby i zaraz mnie nawiedziły. Co się ma stać, niech się lepiej stanie od razu. Wolę to, niż dręczyć się i miesiącami czekać. Czy sądzisz, że nie wiem, iż nigdy nie dożyję dnia, w którym ktoś nazwie mnie matką?

Olaf spojrzął na nią, stali obok siebie na ławie. Zeskoczył, uniósł ją w ramionach i tak stał, z rękami na jej biodrach.

– Nie mów tak – rzekł cicho. – Tego nie możesz wiedzieć na pewno, moja Inguno!

Odrzucił się od niej, zaczął zbierać kołki i haki rozsypane na ławie.

– Myślałem – powiedział cicho – że chciałaś widzieć tego chłopca, kiedy latem był na Berg...

Inguna nic nie odpowiedziała.

– Nieraz zastanawiałem się w duchu, czy myślisz o nim – odezwał się

bardzo cicho. – Tęsknisz za nim?

Inguna milczała wciąż jeszcze.

– A może ono umarło, to dziecko? – zapytał z tkliwością w głosie.

– Nie. Widziałam go jeden raz. Tak strasznie się mnie bał, drapał i wierzgał, zachowywał się jak młody ryś, kiedy go chciałam uścisnąć.

Olaf czuł się starszy ponad swój wiek, wewnątrz zużyty i znużony. Była to piąta zima jego pożycia z Inguna, a mogło być równie dobrze lat sto. Dla niej ten czas był z pewnością jeszcze dłuższy – mówił Olaf sam do siebie. Niekiedy usiłował wziąć się w garść, mieć nadzieję. Gdyby tym razem dobrze poszło! Była to istotnie jedyna rzecz, zdolna przywrócić jej radość. Inguna była przecież tym razem dłużej zdrowa niż kiedykolwiek, może więc uda jej się donosić żywe dziecko.

W nim samym męka wypaliła wszelkie pragnienie dzieci. Owszem, myślał nieraz o swym dworze i rodzie, ale teraz tak mało go to wzruszało! A do tego dołączyło się i to, że majaczyła przed nim myśl o czymś jak cień nieuchwytnym, czymś nieskończenie dalekim: o czasie, kiedy on sam postarzeje się i wygaśnie w nim boleść i napięcie, i ta jego chora, nieukojoną miłość... Bo to już wiedział: Inguna nie dożyje starości. Wówczas jego życie będzie mogło być takie jak życie innych mężów. Wówczas znajdzie może wreszcie pokój w swym udręczonym sumieniu. I może będzie jeszcze czas pomyśleć o dworze i rodzie...

Ilekróć w mglistym odgadywaniu przyszłości dochodził do tego punktu, piekący ból przeszywał mu serce, jak gdyby otwarła się rana. Głucho przeczuwał, że jakkolwiek nie ma radości ani spokoju, jakkolwiek dusza jego była śmiertelnie zraniona, to jednak posiada szczęście, swoje szczęście, choć niepodobne do szczęścia innych mężów. Schorzałe,

wykrwawione prawie, żyło to szczęście u jego boku, i obecnie chodziło tylko o to, by mieć odwagę i szukać drogi do ratowania go, nim będzie za późno.

Inguna wyglądała nadal dość rześko, także z początkiem nowego roku. Z wolna jednak otucha Olafa nikła, gdy widział ją tak do siebie samej niepodobną, gnaną jakąś ustawiczną, bezpłodną krzątanią. Nie pojmował wprost, jak Torhilda może wytrzymać z taką panią, ale dziewczyna chodziła po domu spokojna i cierpliwa, obracając zdyszane starania Inguny w robotę dla siebie.

Tak układały się sprawy, kiedy z początkiem Wielkiego Postu dotarła do Hestviken wieść, że Jon syn Steinfinna, młodszy brat Inguny, zmarł ubiegłego roku w czasie Bożego Narodzenia. Nie było wcale konieczne, żeby Olaf teraz, głęboką zimą, jechał na północ i zajął się spuścizną żony, lecz dla Olafa przyszło to jak znak.

Cztery noce przeleżał bezsennie i palił światło, prawie nie zmrzywszy oka. Leżał i szukał rady u swego Pana i Sędziego. Musiał teraz znaleźć drogę, aby ocalić samego siebie i ten nieszczęsny wrak ludzki, który miłował tak bardzo, że nie dostrzegał początku ani kresu tej miłości. Całe Hestviken w dziedzictwie oraz imię własnego syna – to chyba musi wystarczyć dziecku tego islandzkiego przybłądy jako okup za śmierć ojca.

Olaf przebywał już od dwunastu dni w Berg, gdy pewnego wieczoru, siedząc z Torą i Hallvardem synem Steinfinna przy piwie, odezwał się:

Obecnie pozostało mi tylko jedno ważne zadanie do spełnienia: zabrać stąd mojego syna.

Hallvard aż oniemiał ze zdumienia, siedział chwilę z otwartymi ustami. Potem wybuchnął:

– Twojego syna! Powiadasz, że ty sam jesteś ojcem tego, dziecka, przy

którego urodzeniu Inguna musiała jak suka zaszyć się w kącie! – Grzmotnął pięścią w stół, purpurowy z wściekłości.

– Wiesz przecie dobrze, Hallvardzie, jakie było wówczas moje położenie – odparł Olaf wążąc każde słowo. – Gdyby moi wrogowie dowiedzieli się, że przebywam tu po kryjomu i bez listu żelaznego, nie pozwoliliby nawet mówić z sobą. Waszą babkę i panią Magnhildę mogłoby to drogo kosztować, że przyjęły do swego domu banitę.

Ale Hallvard nie przestawał kłąć jak najęty:

– Jak sądzisz, Olafie, czy babka i Magnhilda nie wołałyby raczej odpokutować całym mieniem tego, że człowiek wyjęty spod prawa odwiedził ich dom, aniżeli znosić obmowy, że jedna z naszych kobiet jest w takiej hańbie, iż nie śmie wymienić ojca swego dziecka? – I wyliczył wszystkie przypuszczenia, jakie nasuwały się ludziom – jedno gorsze od drugiego.

Olaf wzruszył ramionami.

– Nie rozumiem, po co wracasz do tych dawnych plotek; przecież teraz prawda wyszła na jaw. I gdybyś chociaż słówkiem wspomniał, że ludziska coś takiego gadają, nie czekałbym do tej pory. Sądziłyśmy, że przez wzgląd na Magnhildę musimy milczeć jeszcze jakiś czas, ale chyba ci w głowie nie powstało, że kiedykolwiek miałem inny zamiar niż uznać mojego syna.

– Powinieneś był... Bogu wiadomo, coś miał uczynić – drwił szwagier. Nagle usiadł prosto, patrząc przed siebie. – Rad bym wiedzieć, czy Inguna wierzyła w to na pewno, albo czy przyznałbyś się do tych przechwałek, że ważne było małżeństwo, któreś sobie wywalczył, śpiąc z nią, zanim ci broda wyrosła. Dlaczego w takim razie rzuciła się do wody?

– Spytaj Tory – odparł Olaf krótko. – Ona sądziła, że mleko uderzyło jej do głowy.

– Nie wierzę również – ciągnął podstępnie Hallvard – żeby Haftor z

tej przyczyny czepiał się Magnhildy. Byliście przecież pogodzeni.

– Wierz, w co chcesz – powiedział Olaf. – Oczywiście, Haftor i ja byliśmy pogodzeni; wtenczas przecie z powodu jarla skazany byłem na wygnanie. Głupcem byłeś całe życie, Hallvardzie, ale chyba tak głupi nie jesteś, abyś nie zrozumiał, że dla was, krewnych, najlepiej będzie, jeśli uwierzycie temu, com teraz powiedział. Choćbyście nawet mieli stracić spuściznę, jaka by wam przypadła, gdyby wasza siostra zmarła bezdzietnie.

Hallvard zerwał się i wybiegł z izby.

Kiedy jednak Olaf pozostał sam na sam z Torą, o władnęło nim nagle uczucie, że to, co wziął na siebie, jest niewykonalnie ciężkie. A gdy Tora dalej milczała, podjął z drwiącym uśmiechem:

– No, a ty, Toro, wierzysz mi?

Tora spojrzała mu prosto w twarz, oczyma, które niczego nie zdradzały:

– Muszę chyba wierzyć, jeśli sam to wyznałeś.

I Olaf poczuł niemal cielesny ucisk na barkach. Był śmiertelnie zmęczony, a oto wziął na siebie nowe jarzmo, dołożył je do starego. Nie dano mu wytchnienia, nie miał dokąd zwrócić się o pomoc. Musiał podolać wszystkiemu sam jeden.

Nazajutrz wieczorem przywiózł dziecko na Berg. Tora czyniła wszystko, by przyjąć życzliwie małego siostrzeńca. Mimo jej starań malec zdawał się wyczuwać, że nie jest na tym dworze mile widziany, dlatego trzymał się przeważnie u boku swego świeżo odnalezionego ojca, szedł za nim krok w krok i garnął się do jego kolan, ilekroć Olaf usiadł. A gdy mógł ująć rękę ojca albo gdy Olaf podnosił go i sadzał sobie na kolanach, ładna twarzyczka Eirika promieniała radością. Wciąż na nowo odwracał się i z rozkosznym zdumieniem wodził oczyma za ojcem.

Olaf nie przedłużał już więcej pobytu na Berg. Trzeciego dnia z rana był gotów do drogi. Eirik okutany po brodę siedział w saniach, kręcił się i śmiał głośno z uciechy; znowu miał jechać saniami. Już raz spróbował takiej jazdy, kiedy ojciec zabrał go z Siljuaasen; sanie oczekiwały na nich przy pierwszym dworze w gminie. Anki śmiał się i gadał przywiązując z tyłu łuby – dobry pacholek, który zniósł go na plecach z Siljuaasen, kiedy ojciec przyjechał po niego. Ojciec wyglądał barczysto i niezgrabnie w wielkiej oponczy podbitej futrem, a sierść na kapuzach mężczyzn była tak samo oszroniona jak kosmaty brzeg jego własnego okrycia.

Tora stała i patrzyła na zarumienioną, wesołą twarz chłopca, jego piwne oczy iskrzyły się i biegały niczym oczy ptaszka. W sercu ciotki wezbrała dawna czułość, jaką miała dla Eirika, gdy był niemowlęciem. Ucałowała go w oba policzki na pożegnanie i prosiła, aby pozdrowił matkę.

Olaf zjechał do Hestviken pewnego dnia wczesnym rankiem, kiedy bladuróżowe słońce stało w otoku mroźnej mgły. Z Oslo wyjechał ciemną nocą. Kiedy przybyli nad zatokę, oddał cugle Ankiemu, wyjął śpiącego chłopca z sań i poniósł go na górę, do domu.

Siedziała przy ogniu i chesała się. Postawił dziecko na podłodze i pchnął je ku żonie.

– Eiriku, powiedz twojej matce dzień dobry. – Z tymi słowami wyszedł do przedsionka. W drzwiach obejrzał się ukradkiem i zobaczył, że Inguna z rozpostartymi ramionami czołga się na kłęczkach w stronę syna, wyciągnąwszy nagie, chude ramiona przed siebie; długie jej włosy wlokły się za nią z tyłu po podłodze.

Stał na dziedzińcu obok sań, kiedy zawołała na niego. Wewnątrz, w mrocznej sionce zarzuciła mu ramiona na szyję. Tuliła się do niego,

dygocąc z płaczu. Położył rękę na jej plecach; pod włosami przez koszulę wyczuł chude łopatki, sterczące niby deski. Z falą rozpuszczonych włosów nad szczupłymi, obwisłymi ramionami w dziwny sposób wywołała w mężu wspomnienie tego, czym była w młodości. Niezgrabna była teraz i poruszała się ociężale, niełatwo było odnaleźć w jej obrzęklej od płaczu i zniszczonej twarzy ślad dawnej, świeżej urody. A przecież niewiele lat minęło od czasu, gdy była najpiękniejszą z kobiet. Po raz pierwszy poczuł aż do głębi serca niesamowitość jej daremnej płodności. Uścisnął ją mocno:

– Myślałem, że będziesz zadowolona? – zapytał, nie przestawała bowiem płakać.

– Że będę zadowolona? – drżała wciąż i spostrzegł, że śmieje się i łka zarazem. – Cieszę się bardziej niż aniołowie w niebiesiech. Mimo to wiesz dobrze, Olafie, że ciebie miłuję więcej od dziesięciorga dzieci...

– Wejdz do izby i ubierz się – poprosił – marzniesz stojąc tu. Kiedy po chwili wszedł za nią, była już ubrana i miała chustkę na głowie. Krzątała się i zносиła smakołyki z komory, w której zimą przechowywano zapasy. Eirik stał wciąż jeszcze na tym samym miejscu, gdzie go ojciec postawił, ale Inguna zdjęła mu przynajmniej płaszczyk. Ujrawszy ojca, zwrócił się szybko ku niemu i chwycił go za rękę z trwożnym jak gdyby uśmiechem.



Eirik miał niespełna pięć lat i zaczynał już rozumieć, jak wielkim kłactwem jest to, że nie ma ojca. Rok temu, kiedy w dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej zeszli na mszę do gminy, usłyszał, jak paru ludzi mówiło o nim, że jest urodzony nieślubnie; tego samego wyrażenia użyli mężowie, którzy bawili na Siljuaasen podczas polowania na głuszce – i z pewnością mówili o nim. Gdy jednak zapytał opiekunkę, co to znaczy, uderzyła go w twarz. Potem chodziła zła po izbie mruczając pod nosem, że na lanie zasługują raczej ci, którzy coś podobnego mówią biednemu dziecku – no i oczywiście matka; chłopak nie winien przecież temu, że jest bękartem i podrzutkiem. Eirik zrozumiał, że lepiej nie pytać więcej o znaczenie tych dziwnych słów. Oznaczały one coś złego i dlatego Torgał nie kochał go. Chociaż nie uświadamiał sobie jasno, skąd wie o tym, czuł z całą pewnością, że Torgał, ojciec całego dworu w Siljuaasen, nie jest jego ojcem. Torgał, gospodarz w Siljuaasen, był człowiekiem poczciwym i miłował swój dom. Wychowywał synów. Najstarsi towarzyszyli mu już na łowy, młodszy musieli pomagać przy karczowaniu i ojciec pouczał ich, jak należy to czy tamto zrobić, bił ich też czasem, gdy na to zasłużyli. Na Eirika jednak nie zwracał zupełnie uwagi, ani po dobremu, ani w złości. Żonie okazywał szacunek taki, że nie wtrącał się nigdy do jej spraw. To, że przyjęła na wychowanie nieślubnego syna kobiety z możnego rodu, uważał również za sprawę żony, z którą on nie ma nic wspólnego. Pozwalał jej rozporządzać, jak chce, dzieckiem oraz zapłatą za opiekę.

Eirik wiedział wprawdzie, że Hallveiga nie jest jego matką, ale nad tym nie głowił się wcale, bo chłopka nie czyniła nigdy żadnej różnicy między nim a własnymi dziećmi. Jednak skora była do łajania i klapsów bez względu na to, które z dzieci plątało się akurat pod nogami i zawadzało

w pracy. W przedwieczerz niedzieli kąpała wszystkie w kolejności starszeństwa w wielkiej kadzi, w dzień przed zimowym porównaniem wkładała Eirikowi futrzany kabat, a gdy po raz pierwszy odzywała się kukułka, to czy było zimno czy ciepło, musiał zadowolić się już tylko bajową koszulką, na równi z resztą dzieciaków. Kilka razy na rok, gdy chłopi z Siljuaasen zjeżdżali do gminy na mszę i Hallveiga jechała konno, wolno było Eirikowi siedzieć za nią z tyłu tak samo długo jak reszcie rodzeństwa, całowała też wszystkie dzieci z jednakową czułością po przyjęciu Ciała Pańskiego.

Jedzenia dostawali zawsze pod dostatkiem: solone ryby albo dziczyznę. Do tego pajdę chleba lub ronderek kaszy, od czasu do czasu piwo czy wodę, kiedy brakło zimą mleka. Eirikowi powodziło się dobrze, był zadowolony w samotnym osiedlu w głębi puszczy.

O każdej godzinie dnia działo się coś pośród zwierząt i ludzi mieszkających w małej zagrodzie. A wokół częstokołu stał gęsty bór; poza ścianą szumiących sosen i lśniącolistnych krzaków czaiło się ukryte, tajemnicze życie. Tam, w głębi lasu poruszało się coś i chodziło, jakieś istoty na skraju boru podglądały dzieci, wabiły i ciągnęły chłopca aż do płotu. Wystarczył najlżejszy ruch albo szmer, a cała gromadka zawracała nagle i pędziła co tchu w górę, pod osłonę domów. Elfów co prawda nie widziały dzieci na własne oczy, natomiast słyszały nieraz, jak dorośli mówią o osobliwych zdarzeniach, wiedziały więc o Trollu z Góry Uv i o czarodziejce żyjącej w skałach pokrytych mchem obok Vaage. I o niedźwiedziu słyszały także; ubiegłego roku w mroźną noc zakradł się aż pod oborę i próbował włamać się przez dach, ale to było przed tym czasem, który Eirik pamiętał. Pod wielkim kamieniem w górze na polanie mieszkali maleńcy ludkowie w błękitnych szatkach; z nimi jednak żyły dzieci w przyjaźni. Matka wynosiła im od czasu do czasu strawę, za co wyświadczali jej niejedną przysługę. Eirik widywał nieraz ślady ich stopek

w śniegu. Natomiast ci, którzy mieszkali poza ogrodzeniem, byli raczej złośliwi. Dla chłopca nie istniała wielka różnica między zwierzętami leśnymi a tymi innymi stworzeniami pędzącymi żywot w borze.

Szmerzy czegoś, co się poruszało w gęstwinie w letnie dni, głosy zwierząt i inne jakieś odgłosy dochodzące z lasu w nocy, ślady na śniegu w zimowe poranki, pies Beisk, który naraz zrywał się w posępne wieczory i szczekał jak opętany, choć Eirik nigdy nie wiedział, na kogo pies tak ujadął – to wszystko należało do tego cudownego świata poza ogrodzeniem, który dawał o sobie znać chłopcu. Świat ten był spowity mgłą niby senna mara, a mimo to prawdziwy. Tylko Eirik był jeszcze za mały i musiał trzymać się w obrębie płotu. Torgal i starsi jego synowie wychodzili poza częstokół, powracali i opowiadali o osobliwych wydarzeniach tam z zewnątrz...

Eirik nie chodził nigdy do lasu, chyba tylko w dzień, kiedy Hallveiga zabierała go do kościoła. Wówczas przejeżdżali bór, długą, długą, długą drogą, idącą ciągle w dół. A potem ogarniał ich świat nowy, jeszcze bardziej niezwykły i podobny do snu. Dźwięk dzwonów, huczących ponad rozległymi, otwartymi polami, na których stały ogromne dwory, kościelne wzgórze pełne koni – nędzne szkapy, jak ich własna, stały u dołu zbocza, a w górze, uwiązane do cmentarnego płotu, rżały olbrzymie, lśniące rumaki, w czerwonej, zielonej i fioletowej uprzęży, zdobnej w połyskliwe złoto i srebro... Wewnątrz, w kościele, kapłani w pozłacanych płaszczach stali między płonącymi świecami przy ołtarzu i śpiewali. Kilku młodych księży w powłóczystych, białych szatach potrząsało złotymi kadzielnicami, a kościół napełniała przesłodka woń. Opiekunka kazała przykłękać gromadce, potem znów podnieść się zależnie od tego, co czynili ludzie, którzy stali tam, w jarzącym blasku prezbiterium. W końcu – Eirik wiedział o tym – zjawiał się Bóg, w chwili kiedy kapłan podnosił mały, okrągły chlebek i dzwon na wieży zaczynał dzwonie

jasnymi, dźwięczącymi radośnie tonami.

Na samym przodzie kościoła stała gromadka mężów i niewiast w barwnych szatach; mieli na sobie błyszczące pasy i wielkie klamry. Eirik wiedział, że do tych ludzi należą wszystkie konie z pięknymi siodłami i lśniącą broń w kruchcie pod wieżą. Eirik był przekonany, że ci ludzie to pewnego rodzaju czarodzieje, tylko mieszkający jeszcze dalej od niego niż te znajome duszki w lesie koło domu. Pewnego razu Hallveiga wskazała mu jedną z niewiast, najokazalszą ze wszystkich, w szkarłatnej jak płomień szacie, potrójnym pasie srebrnym wokół potężnej postaci i z wielką jak misa klamrą na piersiach: to jego ciotka, powiedziała Hallveiga. Eirikowi nic to nie mówiło, nie wiedział bowiem, co znaczy słowo „ciotka”. Słyszał o aniołach i duchach opiekuńczych, prawda, niekiedy przychodziła na Siljuaasen pewna kobieta, o której dzieci mówiły, że jest ciotką – nazywała się Ingryda i miała duży garb na plecach. Ale ta ciotka wyglądała całkiem inaczej.

Prawdziwy strach obleciał chłopca wówczas, kiedy przybyła do Siljuaasen Błękitna Pani. I w dodatku do niego przybyła: mówiono, że jest jego matką. Trwoga padła mu na duszę, oznaczało to bowiem jak gdyby i wielkie niebezpieczeństwo, i wstyd. Należała z pewnością do tych niewiast, co stoją na przodzie w kościele – do dalekich, najbardziej nie znanych czarodziejek. A teraz udało mu się już skłonić najstarszą siostrę do wytłumaczenia, co znaczy podrzutek: jeśli kobiety leżą z mężczyznami w lesie, rodzą się im podrzutki, powiedziała siostra. Błękitna Pani dostała go tak, jak matka dostała na wiosnę małą Inge. Wszystkie inne dzieci w Siljuaasen urodziła matka, tylko jego jednego nie. Z trwożnym dreszczem przeczuwało dziecko, że zostało zrodzone pod gołym niebem, w borze, i stamtąd przyniesione tutaj, do izby. I bał się okropnie, że przyjdą znowu

po niego: tego nie chciał za żadne skarby. Długi czas żył w bojaźni, że Błękitna Pani może zjawić się powtórnie i zabrać go do lasu, tam gdzie leży z mężczyzną, którego wyobrażał sobie na kształt obalonego wichrem drzewa, ze sterczącymi korzeniami. Po drodze do kościoła przechodzili obok takiego drzewa: leżało na małej, suchej polance pod skałą i Eirik bał się zawsze zwalonej, martwej sosny, w której poszarpanych korzeniach można było naprawdę dopatrzeć się zarysów ohydnej męskiej twarzy. Dziecko myślało, że Błękitna Pani żyje na takiej polance w głębi lasu i że on ma tam także zamieszkać razem z nią i z jej obaloną przez wiatr żoną – i z czerwonym, wielkim koniem w błyszczącej uprzęży. Nikt tam nigdy nie zachodzi, ani człowiek, ani zwierzę. Nie, tego nie chciał. Pragnął pozostać tutaj, na otwartej bezpiecznej łące i spać w izbie, nie chciał za nic rozłączyć się z matką ani ze swą siostrą mleczną, Guddą, ani z Kaarem i resztą dzieci, ani z Beiskiem i koniem, i krowami, ani z Torgalem. Nie chciał być tak całowany i ściskany, jak to czyniła obca pani. Długi czas nie odważył się oddalić choćby o trzy kroki od domu, takiego miał stracha, że ta matka może przyjść z powrotem. Gdyby jednak miał ojca, nie mogłaby mu zrobić nic złego. Wszak siostra powiedziała wyraźnie, że jedynie dziecko nie posiadające ojca może być podrzutkiem.

Z wolna jednak Eirik przestał zaprzętać sobie głowę tymi odwiedzinami. Tymczasem w zimie kilku mężów jadących na nartach lasem przez góry do doliny Öster zatrzymało się na Siljuaasen. I znów usłyszał, że mówią o nim, teraz nawet nazwali jego matkę po imieniu: zalotnica, powiadali o niej. Eirik nie słyszał jeszcze nigdy tego słowa, lecz brzmiało ono dziwnie i niepewnie, jak gdyby matka nie była zwyczajnym człowiekiem, lecz raczej jakimś olbrzymim ptakiem. Wyobrażał sobie wyraźnie, że zalotnica może przylecieć, trzepocząc swym wielkim

błękitnym płaszczem, niby szerokimi skrzydłami, i spaść na niego... Czuł coraz wyraźniej, jak to źle, że nie posiada ojca, do którego by należał, i że każdy ma prawo przyjść i zabrać go.

A potem pewnego dnia zjawił się ojciec. Eirik nie dziwił się zaudto. Kiedy zaprowadzono go do tego męża, obejrzał go sobie dokładnie. Zapewne jasnym włosom Olafa należało przypisać, że malec nabrał do niego od razu zaufania. Ów ojciec o szerokich, rozrośniętych barach i prostej postawie – Eirik wyczuł i wiedział natychmiast, że i on należy do tych, co stoją w kościele na przodzie, ale jego nie bał się ani trochę. Ojciec miał na sobie kolorowy strój, kaftan zielonej jak liście barwy, srebrną klamrę na piersi, coś błyszczącego przy pasie i na długiej pochwie sztyletu. Poza tym spodobała się Eirikowi ogromna siekiera, którą ojciec siadając brał między kolana; ręka ojca spoczywająca na siekierze połyskiwała od wielu pierścieni. Im dłużej przyglądał się ojcu, tym bardziej był z niego rad. Spokojnie odpowiadał na badawcze spojrzenia tamtego, a przy pierwszym jak gdyby uśmiechu na twarzy Olafa pojaśniał cały i przygarnął się do jego kolan.

– Maleńki jest ten mój syn – zwrócił się ojciec do Hallveigi i wziął chłopca pod brodę. Więcej nie odezwał się do Eirika w czasie pobytu na Siljuaasen, ale i to wystarczyło malcowi. Hallveiga popłakiwała trochę, Torgal podniósł go w górę na pożegnanie, rodzeństwo cisnęło się wkoło i gapiło na tego braciszka, który miał odjechać z dwoma obcymi mężami. Eirikowi serce ścisnęło się trochę na widok płaczącej opiekunki. Objął ją za szyję i usta mu zadrżały. W tej chwili ojciec zawołał na niego i Eirik natychmiast odwrócił się i podreptał ku drzwiom, ciężki w swej futrzanej, aż do stóp sięgającej szubie.

W czasie podróży Eirik i Olaf zaprzyjaźnili się z sobą. Ojciec niewiele

do niego mówił i oddał opiekę nad chłopcem pacholce Arnketilowi. Wszystko, co Eirik przeżywał, było nowe i dziwne: sanie i konie, co wieczór nocleg w innym domostwie i smaczne jedło, i tylu ludzi, których wszędzie spotykali i którzy do niego mówili – wielu z nich, jak zauważył Eirik, podlegało rozkazom ojca. A ojciec nosił na gołym ciele koszulę i spodnie z płótna i nawet nocą ich nie zdejmował...

Nowa matka, którą odnalazł u kresu podróży, sprawiła na dziecku o wiele mniejsze wrażenie. Nie poznał jej wcale, a kiedy zapytała, czy pamięta, że była w Siljuaasen, potwierdził, gdyż zrozumiał, że powinien tak powiedzieć. Lecz nie miał uczucia, że to była Błękitna Pani. Ta matka tutaj, odziana w ciemną, brązową suknię i gruba w pasie, stąpała ociężale i powoli, zawsze zajęta jakąś robotą, bez przerwy kręcąca się między domami. Wysoką matkę w błękitnej szacie, zalotnicę o ptasich, szybkich ruchach, wyobrażał sobie stojącą na polanie, gdzie mieszkała ze swoim mężem-powałem i czerwonym rumakiem. Jedynie wówczas, kiedy nowa brązowa matka przyciskała go do siebie i obsypywała pocałunkami i gwałtownymi pieścizłowymi słowami, majaczyło przed nim niejasno, że ona i zalotnica są jednym i tym samym, chociaż tę tutaj nazywano Inguną. Eirik nie lubił tych pieścizłow. Przez całe swoje życie przywykł do pocałunków, które miały związek z mszą niedzielną, ze świeżym jądłem i z kilkoma łykami piwa po powrocie z kościoła – pocałunków nieczystych i odświętnych.

Tu jednak dostawał codziennie piwo i świeżo warzoną strawę, mięso i rybę jadal ci ludzie niemal każdego dnia, może więc i kolnęły zwykły tu co dzień całować.

Ileokroć Eirik zbliżał się do Olafa i kładł mu ręce na kolanach, zadając

tysiące pytań: czy foka mieszka w lesie po drugiej stronie fiordu i dlaczego oba konie Olafa są siwe, i czemu on nie jest ojcem dzieci Torhildy, i co robią z wytopionym łojem, i dokąd wędruje księżyc, gdy gna po niebie – Inguna przyglądała im się zawsze z napięciem. Bała się przede wszystkim, że Olaf może stracić cierpliwość. Była tak nieskończenie pokorna i wdzięczna za to, co mąż dla niej uczynił, biorąc do swego domu dziecko, za którym straszliwie tęskniła... Teraz zaś żyła w nieustannej trwodze, że chłopczyk może znużyć Olafa, albo też, że Olaf mógłby się gniewać na to ciągle naprzykrzanie się. Co prawda nie zauważyła, aby Olaf żywił niechęć do Eirika. Nie zajmował się właściwie chłopcem, chyba tylko wówczas, gdy malec sam zbliżał się do niego, w takich chwilach jednak odnosił się do niego życzliwie i odpowiadał w miarę sił na nie kończące się pytania małego.

Niełatwo było jednak wyjaśnić Eirikowi związek, jaki zachodzi między pewnymi sprawami. Chłopiec okazywał jak gdyby bardzo mało rozsądku. Nie robił wcale różnicy między rzeczami martwymi i żywymi. Pytał na przykład, czy wielki głaz na brzegu morza lubi najbardziej mewy albo dlaczego śnieg układa się na wzgórzu. Nie mógł pojąć, że słońce żarzące się słabo we mgle jest tym samym słońcem, które świeci w jasne dni, a raz widział księżyc całkiem niepodobny do innych księżyców. A gdy pewnego dnia przyjechał na Hestviken ksiądz, Eirik nie mógł zrozumieć, że to ten sam człowiek, którego widywał w kościele; że może zdjąć szaty mszalne, dosiąść konia i jechać na nim jak każdy inny mężczyzna. Czasami zaczynał sam objaśniać coś innym, lecz wszystko, co mówił, brzmiało niedorzecznie i dziwacznie, nie sposób było doszukać się w tym odrobiny sensu. Inguna bała się, że chłopczyk jest mało rozwinięty na swój wiek, i drżała, że ten brak rozsądku jeszcze bardziej zrazi do niego Olafa. Był taki śliczny i uroczy, że nie mogła oczu nim nasycić, ale mądry nie był.



Skryte ukłucie rozczarowania i bólu, ilekroć chłopiec jawnie okazywał, że woli ojca niż ją, było również jedną z przyczyn, dla których usiłowała trzymać męża jak najdalej od syna.

Olaf od początku nie żywił niechęci do Eirika. Gwałtowne wzburzenie, które nim owładnęło, gdy się dowiedział o wiarołomstwie Inguny, i które powracało potem raz po raz, ilekroć myślał o tym, że inny mężczyzna ją posiadał – odpłynęło w dal i zatarło się w smętnym pożyciu ostatnich lat. Jego miłość do niej była ostoją i przyzwyczajeniem, przeniknęła całą jego istotę jak korzenie przenikają glebę. Teraz odczuwał tę miłość już tylko jako olbrzymie współczucie dla tego biednego, schorzałego człowieka, którego żywot był jego własnym żywotem. Tkliwy lęk o nią był w nim obecnie najgorętszym uczuciem, tym, co pulsowało, wzbierało, rozbłyskiwało i znów opadało. Pożądanie tliło w nim przytłumione i chłodne, jak w półśnie. Dzięki temu także zazdrość osłabła i zmartwiała; ilekroć myślał o tym, co się z Inguną niegdyś wydarzyło, wydawało mu się to zawsze bardzo dalekie. Nie odczuwał związku między hańbą i serdeczną męką owych czasów a tym malcem, który teraz kręcił się po jego dworze. Eirik był tutaj, tak być powinno, Bóg dał mu do zrozumienia, że musi wziąć na swe barki troskę o los Eirika... Odtąd nie trzeba więcej głowiąć się ani też czynić niczego w tej sprawie. I Olaf był niemal bliski polubienia Eirika; chłopaczek był ładny, a prócz tego tak szczerze zabiegał o ojcowską miłość.

Olaf, któremu ciężko było żyć się z innymi, cieszył się zawsze i dziwił, jeśli ktoś szukał jego przyjaźni.

Przy tym Olaf nieraz lepiej od matki chwycił bieg myśli chłopca poza jego osobliwym, pogmatwanym gadaniem. I kiedy nierozumnymi słowami przerywała jękane wyjaśnienia Eirika i nie pozwalała, żeby

on i ojciec zrozumieli się wzajemnie, Olaf czuł nieraz jakąś drażniącą niecierpliwość. Przypominał sobie bowiem – wprawdzie nie tak, aby mu to jasno i wyraziście błysnęło w pamięci, ani też nie tak, aby mógł o tym mówić – ale bądź co bądź w krótkich umykających obrazach przypominał sobie, jak świat przedstawiał się jemu samemu w latach dzieciństwa.

Lód stopniał na fiordzie, wiosna nadeszła. Szarordzawe skały nad wodą prażyły się w słońcu, a spieniony czub fal pod ścianą Byka jak nowo narodzony lśnił bielą w słonecznym migocie. Wzgórze pozieleniało i dyszało słodko ziemią i runią, a potem nastał czas rozwierających się pąków i każdy wieczór niósł chłodną, ciepłą woń młodych liści z głębi doliny Kvern.

Pewnego ranka w maju odkrył Olaf gniazdo żmij na zboczu jakiegoś wzgórza; udało mu się zabić trzy węże. Przechował je w drewnianym szkopku i w czasie południowej przerwy wymknął się z nim do kuchni. Sadło i popiół węży są pożyteczne w wielu chorobach, ale mają moc o wiele większą, kiedy ich przygotowaniem człowiek zajmuje się sam i po cichu.

Chciał wsunąć się do kuchni, gdy wtem posłyszał głosy. Znajdowała sio tu Inguna z synkiem. Chłopczyk mówił właśnie:

– ...bo ojciec dał mi pierś, rozumiesz?

– Jak to, ojciec dał ci pierś? – dziwiła się matka. – Co znowu za brednie wygadujesz?

– Ależ tak. A potem ojciec powiedział, że mogę zjeść także udko, jeśli mam ochotę. Z całego koguta nie zostało już nic więcej, tylko udka.

Olaf uśmiechnął się. Przypomniawszy sobie teraz: w Oslo, w karczmie uraczyła ich gospodyni pieczonym kogutem i to mięso tak bardzo smakowało chłopcu. Nagle posłyszał głos Inguny:

– Upiękę ci całego koguta, Eiriku. Czy wówczas będziesz uważał, że jestem dla ciebie równie dobra jak ojciec? Dostaniesz znowu koguta, gdy Olafa nie będzie w domu...

Olaf wykradł się z powrotem na dziedziniec i poszedł do kuźni. Wstydził się za Ingunę. Po co robiła takie rzeczy? Mogła przecież upiec dziecku koguta, nawet gdy on był w domu.

Czy to dlatego, że zbyt obfite jedzenie obciążało żołądek Eirika, czy też z jakiejś innej przyczyny, w ciągu wiosny zdarzało się prawie co noc, że dziecko budziło się z głośnym krzykiem. Olaf słyszał, jak Eirik zrywa się z wraskiem, po czym rzuca się i przewraca w wielkim, północnym łóżu, gdzie sypiał sam jeden – i znów wydawał okrzyk, jeszcze głośniejszy, jak gdyby w śmiertelnej trwodze.

Inguna omroczone snem zwlekała się z posłania i biegła do niego:

– Eiriku, mój Eiriku, cicho, no cicho już. Obudzisz ojca, ach, bądźże już cicho! Nie ma tu nikogo, kto by ci zagrażał, mój ty mały synku!

– Weź go lepiej do nas – rozbrzmiewał w mroku głos Olafa zupełnie trzeźwy.

– Ach, już znowu cię obudził – narzekała Inguna. Wracała z chłopcem i kładła się z nim do łóża. Oboje kręcili się jakiś czas, póki nie ułożyli się wygodnie.

– Nie spałem jeszcze. Co takiego przyśniło ci się znów, Eiriku?

Nocą jednak tylko matka znaczyła coś dla chłopca. Tulił się do niej i nie odpowiadał ojcu. O jego snach nie mogli się niczego dowiedzieć. Wykonywał taki ruch, jakby zdierał coś z rąk i odrzucał od siebie i to powtarzało się kilka razy. Po czym wzdychał z ulgą, układał się spokojnie i po chwili oboje spali.

Przeważnie wiosną nękała Olafa bezsenność. Rzadko zasypiał przed północą, a budził się o świcie. O tej wczesnej godzinie fiord rozpościerał się zwierciadlany i przejrzysty, bładoniebieski i połyskujący srebrem, puste wybrzeże naprzeciwko zdawało się jasne i łagodne jak zjawisko. Lekko i

wesoło robiło się Olafowi na duszy, gdy w takie poranki wychodził z izby. Torhilda, od dawna przy robocie, śpiewała gdzieś w jednym z budynków gospodarczych; Olaf spotykał dziewczynę na dziedzińcu, zatrzymywał się i zamieniał z nią kilka słów.

Kiedy po paru godzinach wracał do domu, stawał w izbie i przypatrywał się chwilę matce i dziecku, którzy jeszcze spali. Eirik leżał z główką przytuloną do szyi matki i oddychał półotwartymi ustami. Inguna obejmowała go szczupłą ręką, pełną pierścionków.

Czternaście dni przed świętym Janem Inguna urodziła chłopca. Olaf kazał go natychmiast ochrzcić; nadano mu imię Audun.

Noworodek był małeńki, sinoczerwony i przeraźliwie chudy. Kiedy pewnego razu spoczywał w odwiniętych pieluszkach na kolanach Sygne, Olaf objął dwoma palcami rączynę syna. Była tak drobna, że przypominała niemal nóżkę pisklęcia, i tak samo była zimna.

Olaf nie odczuwał szczególnie gwałtownej miłości ani uciechy z tego, że miał wreszcie po tak długim czasie syna. Zbyt długo trwało oczekiwanie; już samo podejrzenie, że Inguna może być znów przy nadziei, napępniało go niechęcią. Odzwyczaiał się więc od myśli, że cała udreka może się skończyć radością i weselem i potrzebował czasu, by się z tym oswoić.

Wiedział jednak, że z matką ma się sprawa całkiem inaczej. Mimo że za każdym razem oczekiwały ją wbrew jej woli jedynie gorzkie cierpienia, serce jej w beznadziejnej, rozpaczliwej miłości rwało się ku małeńkim, nie urodzonym istotkom. Teraz Audun objął dziedzictwo po tych wszystkich braciach, którzy nie zostawili po sobie ani imienia, ani wspomnień.

Eirik cieszył się bez pamięci, że ma braciszka. Z czasów pobytu na

Siljuaasen wiedział, że narodziny dziecka są największym z wielkich wydarzeń. W takim wypadku zawsze dwie albo trzy obce niewiasty przebywały w izbie, przynosiły różne smakołyki, i przez calutką noc paliła się świeca. Niemowlęcia w kolebce strzeżono niczym oka w głowie – leśne duszki za płotem czyhały tylko na to, by je wykraść. Ciągłe rozpytywano o jego zdrowie i jak mu się powodzi. Ale że temu samemu dziecku wiodło się najgorzej ze wszystkich, kiedy z kolei przybywało nowe i zajmowało miejsce w kolebce – poruczony opiece niedorośliych sióstr leżał wówczas zesłoroczny noworodek w mokrych pieluszkach, gdzie popadło, i był wszystkim zawadą – nie, tego Eirik nie pamiętał.

Tutaj, na tym dworze, odbywało się wszystko nad wyraz uroczyście. Zjechała się moc kobiet i każda przywiozła z sobą własną służebną i masę jadła – ale jeśli chodzi o światło w izbie, to on i ojciec zostali oszukani: matka z małym braciszkiem leżała w innym domostwie.

– To jest mój braciszek jedwabny, a wasz tylko wełniany – mówił Eirik do najmłodszych dzieciaków Torhildy; wszystkie stały wokoło i gapiły się, kiedy przewijano Auduna.

Olaf siedział właśnie przy żonie. Usłyszawszy te słowa, zerknął na nią. Leżała na poduszkach i z promienną radością patrzyła na swoich dwóch synów.

To nędzne stworzenie, które dziewczka służebna w tej chwili przewijała – to jest jego syn! Eirik pochylił zdrową, promieniejącą twarzyczkę nad noworodkiem i paplał z braciszkiem, któremu, nie przeczuwając tego nawet, wydarł prawo pierworództwa.



W gminie zawrzało z cicha, kiedy gospodarzom z Hestviken tak

całkiem niespodzianie przybył pięcioletni syn, którego istnienie ukrywali do tej pory.

Olaf nie cieszył się wśród sąsiadów szczególnym mirem. Przyjęto go wprawdzie serdecznie i z otwartymi ramionami, gdy powrócił po latach do swej ojcowizny, ale pośród sąsiadów z wolna narastało przekonanie, że gospodarz z Hestviken odtrąca ich przyjaźń i dobrą, sąsiedzką zażyłość. Olaf chadzał przeważnie własnymi drogami, co im bynajmniej nie dogadzało, a obcując z ludźmi nie miał wcale ujmującego obejścia. Nigdy nie był nieuprzejmy, to prawda, lecz to nie przysparzało mu wcale przyjaciół, albowiem tłumaczono jego zachowanie się w ten sposób, że pragnie uchodzić za coś lepszego od innych – był przecież małomówny, cichy i nieprzystępny. Przebąkiwano zatem z drwiącym uśmiechem między sobą, że Olaf uważa się pewnie sam za dworzanina, ponieważ niegdyś należał do świty jarla-Alfa i jest spokrewniony po kądzieli z tymi duńskimi panami, co to za każdym razem przez całe miesiące tuczą się w Norwegii na koszt księcia. Tak, tak... Posiadał wprawdzie swój dwór dziedziczny cały i nienaruszony – ale tylko patrzeć, jak długo to potrwa jeszcze w obecnych czasach. I chociaż Olaf nigdy nie ościagał się ze spełnieniem czegoś, do czego był zobowiązany, i nigdy nie odmawiał nikomu pomocy, nikt nie miał ochoty prosić go o jakąkolwiek przysługę. Kiedy bowiem ludzie znajdujący się w biedzie szli do możnego gospodarza na Hestviken, zawsze sprawiał wrażenie, że ledwie słucha tego, co do niego mówili. Kiedy opisali mu już długo i szeroko swe położenie, zdarzało się nieraz, że jak gdyby przez cały czas pograżony we własnych myślach pytał w końcu, czego właściwie chcą. Trudno było zaprzeczyć, że Olaf chętnie dawał i pożyczał, ale kto chciał otworzyć swe serce i pomówić z nim o własnych troskach, ten nie mógł spodziewać się serdeczności na jego dworze: Olaf stał i dawał takie odpowiedzi, że nie wiadomo było, czy jest głupi, czy obojętny. Tak więc jeżeli ludzie

nie byli wręcz zmuszeni, zwracali się raczej do kogo innego, kto słuchał ich gadania, wyrażał swój sąd i nie skąpił rady czy pociechy – chociażby nawet ów człowiek udzielił pomocy narzekając trochę, że sam po uszy tkwi w kłopotach – no, ale w imię Boże...

Inną rzeczą, na którą również zwrócono w gminie uwagę, było to, że nikt nigdy nie widział Olafa pijanym albo też podchmielonym, puszczającym wodze językowi. Nie pił wcale mniej od innych chwatów w czasie biesiady, ale miało się wrażenie, jak gdyby dary Boże się go nie imały.

Z wolna, w ciągu lat, zaczęło w gminie rość przeświadczenie, głuche i nieokreślone, gdyż nikt nie wiedział naprawdę, na czym się ono opiera, ale w całej swej niejasności mocne jak pewnik: ten człowiek dźwiga coś, jakieś utajone nieszczęście albo grzech. Ów smukły, urodziwy gospodarz o jasnej, szerokiej twarzy pod płowymi puklami włosów, jest człowiekiem napiętnowanym.

Dziwna też była sprawa z jego żoną, że nie mogła wydać na świat żywego dziecka. Rzadko widywano Ingunę córkę Steinfinna między ludźmi i po prawdzie nie było teraz co w biedacze oglądać. Wszyscy jednak pamiętali dobrze, jaka była piękna, i to nie tak dawno temu...

Aż tu nagle wychodzi na jaw, że ci ludzie mają dziecko. Przez te wszystkie lata mieli tego przemilczanego syna! Gdzieś daleko, w jej ojczystej gminie.

Dziecko urodzone w czasie, gdy ojciec był banitą, tak jest. Olaf oznajmił to krótko i węzłowato. Ludzie wiedzieli, że spór z krewnymi żony powstał wskutek tego, że Steinfinn na łożu śmierci polecił córkę opiece Olafa, z którym już w dzieciństwie była zmówiona. Olaf żył z nią jak z żoną i niemożliwe było rozumieć słowa Steinfinna inaczej, niż że to właśnie było jego wolą. Jednakże mężowie, którzy po śmierci Steinfinna mieli prawo postanawiać o małżeństwie Inguny, osądzili, że w inny



sposób rozporządzą piękną i bogatą dziewczyną. Olaf wspomniał, że w lecie, zanim pogodził się z krewnymi żony, spędził po kryjomu jakiś czas na dworze, gdzie wówczas mieszkała, ale musieli to trzymać tak długo w tajemnicy.

Tak mówił Olaf syn Auduna. Ludziska jednak zaczęli się dziwować. Może to wcale nieprawda, że Olaf z dobrej woli wziął tę małżonkę musiał posłubić na życzenie Steinfinna, gdy był małym chłopięciem, oddanym mu w opiekę? Może raczej usiłował wymigać się od tego ożenku, do którego zmuszono go za młodu? Ludzie, którzy tu i ówdzie widywali ich razem – czeladź dworska oraz niewiasty, które były przy Ingunie w czasie jej choroby rozpowiadali o tym, co widzieli. Olaf był dla żony na swój sposób dobry, to prawda, ale w domu był zawsze osowiały i małomówny, nieraz przez całe dni nie odezwał się do niej słówkiem. Inguna nie wyglądała nigdy radośnie – nic dziwnego zresztą; ciągle słaba, musiała przecież żyć z tym trudnym mężem i rodzić jedno nieżywe dziecko po drugim.

Pewnego dnia nowy kapłan, sira Hallbjörn, zawitał na Hestviken.

Był to człowiek w sile wieku, wysoki i smukły, o bardzo pięknych rysach, lecz płomiennie rudych włosach. Ludzie osądzili, iż wygląd ma butny; w istocie, w krótkim czasie zdołał do siebie wszystkich zniechęcić. Ledwo przybył do gminy, a już wszędzie zasiał waśnie, to z powodu włości kościelnych i dochodów probostwa, to z powodu układów, zawartych jeszcze przez sirę Benedykta z kmieciami, o których nowy proboszcz twierdził, że są bezprawne. Zarówno klasztor mnichów na wyspie Hovedö, jak też konwent sióstr w Nonneseter posiadały dwory oraz udziały dworskie w tej parafii, podobnie jak większość kościołów i pobożnych fundacji w Oslo. Pełnomocnikami ich byli prawie bez wyjątku

ludzie mądrzy i wielkoduszni, zgadzający się dobrze z mieszkańcami gminy; wielu z nich wykupiło sobie za życia miejsca pośmiertne w klasztorach, a gdy zdarzało się, że któryś z zakonników przybywał na swe dwory, z najdalszych stron ciągnęli chłopci, by wysłuchać mszy w kaplicy. Sira Hallbjörn szybko popadł w spór z tymi zakonnikami. Wielką natomiast miłością darzył kilku mnichów nowego zakonu, dopiero co przybyłego do kraju. Chodzili oni boso, w habitach barwy popiołu, podobnych do worków, i ćwiczyli się przede wszystkim w cnocie pokory, cierpliwości i wstrzeźliwości. Ba, powiadano nawet, że ci bracia wypraszają swój codzienny chleb, wędrując po kraju i ucząc możnych i biednych prawdziwej bogobojności; a gdy po niesporach pozostawały im jeszcze jakieś zapasy w sakwach, rozdawali je między ubogich i co rano, tak samo biedni i goli, rozpoczynali wędrówkę. Znaną było rzeczą, że sira Hallbjörn nie jest ani pokorny, ani cierpliwy, pysznił się raczej swym pochodzeniem – pochodził z jednego z pierwszych rodów żyjących daleko w Valdres – i nie bardzo nadawał się do tego, aby zaszcześcić w sercach chłopów bogobojność. Był bowiem tak uczony i mówił tak niezrozumiale, że ludzie słuchając go niewielką odnosili korzyść. Mimo to nie mógł się dość nachwalić tych mnichów, których zwano minorytami; był jakby ich protektorem, zapisał hojne dary klasztorowi, który budowali w grodzie, i nakłaniał swych parafian, aby szli za jego przykładem. Ludzie jednak uważali, że wystarczy, iż ksiązę użyczy łaski nowemu zakonowi, podczas gdy biskup i liczni księża oraz ludzie uczeni w mieście nie cenili zbytnio minorytów, uważali regułę zakonu za niebezpieczną i nierozumną. Było także powszechnie wiadome, dlaczego posłano tu sirę Hallbjörna; ponieważ urodzeniem i niezwykłą wiedzą przeznaczony na najwyższe godności Kościoła pokłócił się z biskupem i całą kapitułą w Oslo, bo był dumny i zapalczywy; sądził, że wie i rozumie wszystko lepiej od innych i że wszystkiego lepiej od innych potrafi nauczyć. Nie

mogli jednak nic gorszego uczynić, jak skazać go na objęcie tego dobrego stanowiska. Jego tryb życia był nienaganny; wiele lat uczył się za granicą, a prawa i zwyczaje krajowe od czasów najdawniejszych aż do teraz znał doskonale.

Jego dzisiejsze odwiedziny w Hestviken miały przyczynę w tym, że pragnął się dowiedzieć, co Olaf wie o zarządzeniu dotyczącym połowu łososi w pewnej małej rzeczulce po stronie Hudrheim. Olaf nie umiał o tym wiele powiedzieć; dwór, do którego należało niegdyś prawo połowu łososi, sprzedął jego pradziad szwagrowi, a od tej pory był niejednokrotnie dzielony i miał kilku właścicieli. Olaf zauważył, iż księdzu nie w smak było, że nie jest lepiej obeznany z tą sprawą. Niemniej podczas gdy kapłan się posilał, Olaf zapytał go, czy może mu dać wyjaśnienie w pewnej kwestii ciężącej mu na sercu. – Chodzi o moich synów – dodał.

Słyszał, że dziecko spłodzone przez ojca w czasie, kiedy jest wyjęty spod prawa, stoi poza ochroną praw i ustaw nawet w wypadku, jeśli matka jest małżonką banity.

– Ależ nie – odparł żywo sira Hallbjörn. – Słyszałeś o wilczętach. Tak zwano w dawnych czasach dzieci wygnańców. Wtedy sprawa miała się istotnie tak, że człowiek wyjęty spod prawa uchodził za martwego, dzielono jego majątek i żonę jego uważano za wdowę; a gdy potem zdejmowano z niego karę, musiał powtórnie starać się o żonę u jej krewnych i jeszcze raz urządzać wesele. Wiesz chyba, że podobne prawo nie mogło przetrwać u chrześcijan. Żaden grzech i żaden wyrok nie mogą przeciąć więzów ślubnej wspólnoty między mężem i żoną.

– Jej krewni nie uważali naszego współżycia za prawowite małżeństwo, kiedy byliśmy młodzi – rzekł Olaf. – Nie otrzymałem jej przed urodzeniem się. Eirika z rąk jej krewnych.

– O to nie masz potrzeby się teraz martwić. Bez względu na to, czy chłopiec został urodzony ślubnie, czy nie, obecnie przysługują mu te same

prawa, albowiem pobraliście się za zgodą jej krewnych i nikt nie będzie sprzeczał się z tobą, czy wasze małżeństwo jest prawowite, czy też nie.

– Więc jest zupełnie pewne – badał Olaf – że Audun nie może nigdy wystąpić i pozbawić Eirika jego praw pierworództwa?

– Oczywiście, że nie – odparł stanowczo proboszcz.

– Dobrze już, dobrze. Chciałem tylko zapytać i mieć pewność.

– Tak, rozumiem to.

Olaf podziękował księdzu za pouczenie.

Inguna leżała jeszcze po porodzie, kiedy Eirik zaczął rozpowiadać o kimś, kogo zwał Tötrabassa. Domownicy myśleli początkowo, że chodzi o jakąś żebraczkę – teraz, kiedy w domu przelewało się od jadła i napojów, sporo biedaków, więcej niż kiedy indziej, ściągało ze wszystkich stron na dwór.

Tak, Tötrabassa jest kobietą i dźwiga sakwę na plecach, opowiadał Eirik. Kiedy indziej znów mówił, że Tötrabassa była tu i bawiła się z nim na polu za stodołą. Znajdowało się tam małe wgłębienie, w którym Eirik zwykł przesiadywać ze swymi zabawkami. Mówił, że Tötrabassa jest małą dziewczynką. Nikt nie zwracał na to wielkiej uwagi; wszyscy byli przyzwyczajeni, że Eirik plótł nieraz trzy po trzy.

Po jakimś czasie zaczął znów opowiadać o kilku towarzyszach zabaw, a wszyscy mieli takie dziwne imiona: Tauragaura, Silvarp, Skolorm, Dilvandogg i Kolmurna Błękitny – nie sposób było dociec, czy to byli mężczyźni czy kobiety, dorośli czy dzieci.

Ludzie dworscy zaczęli się niepokoić. Jeszcze i teraz zdarzało się niekiedy, że z jakiegoś dworu zbiegała cała czeladź, dorośli i dzieci, i kryła się po lasach – czy dlatego, że coś zbroili, czy też, że byli to ludzie zbiedzeni, którzy jednak mimo wszystko woleli latem mieszkać w

borze, aniżeli być na utrzymaniu gminy. W tym samym czasie zginęła w Hestviken tłusta owca pasąca się zazwyczaj obok domu, parobcy więc przypuszczali, że towarzysze Eirika są właśnie takimi włóczęgami leśnymi, którzy żyją przeważnie z tego, co gdzieś ukradną. Ilekroć więc Eirik bawił się na łące, ludzie mieli go ciągle na oku, aby podpatrzeć, czy przychodzą do niego obce dzieci lub dorośli. Nikogo nie spostrzeżono, a owca wypłynęła pewnego dnia martwa na zatokę; spadła po prostu ze skały.

Teraz przestraszano się w Hestviken nie na żarty. To musiały chyba być duchy podziemne. Wypytywano Eirika, czy wie, skąd przychodzą. Ach, stamtąd, spod skały... Ale ujrawszy przerażenie innych, Eirik sam się zląkł. Nie, przychodzą z miasta, przyjeżdżają saniami. Albo może przypływają łodzią, poprawił się, gdy Olaf zauważył, że przecie teraz latem nikt nie może przejechać saniami z Oslo – takich bredni niech nie opowiada. Zresztą przychodzą z pewnością z lasu, tak, mieszkają w lesie, mówiła mu Tauragaura. O niej plótł teraz najwięcej.

Inguna wpadła w istną rozpacz. To na pewno złe duchy, co przez pokolenia odwracały wszelkie szczęście od tego dworu, uwzięły się teraz na jej dzieci. Eirika zamknięto w izbie niewieściej i nie puszczano na dwór. Tam plótł i gadał o tych swoich przyjaciółach, aż matka o mało co zmysłów nie postradała. Żądała od Olafa, by posłał po księdza.

– Chyba nie kłamiesz, Eiriku? – spytał surowo Olaf pewnego dnia, kiedy siedział w izbie i przysłuchiwał się, jak Eirik odpowiada na trwożne pytania matki.

Eirik z przestachem spojrział na ojca wielkimi, piwnymi oczami i potrząsnął gwałtownie głową.

– No, bo jeśli przekonam się kiedyś, że kłamiesz, biada ci, chłopcze! Eirik spojrział zdumiony na ojca. Zdawał się nie rozumieć.

Olaf jednak podejrzewał, że chłopiec zmyśla te wszystkie historie,

choć wydało mu się to nieprawdopodobne. Nie mógł bowiem pojąć, w jakim celu dziecko powtarzałoby tak niepotrzebne i próżne kłamstwa. I nazajutrz, kiedy z jednym z parobków miał kosić łąkę poniżej wgłębienia, w którym zwykle bawił się chłopiec, pozwolił Eirikowi pójść z sobą. Przyrzekł Ingunie, że przez cały czas nie spuści z niego oka.

W istocie co chwila zerkał w stronę chłopca. Eirik bawił się spokojnie i cicho we wgłębieniu muszlami i kamyczkami, które podarowali mu wioślarze. Przez cały czas był samiuteńki.

Kiedy parobek i dziewczęta poszli w porze południowego posiłku do dworu, Olaf podszedł do Eirika:

– Dzisiaj, jak widzę, Tötrabassa, Skolorm i inni nie przyszli bawić się z tobą?

– Ależ owszem – zawołał Eirik promieniejąc i zaczął opowiadać, jak ładnie bawił się z nimi.

– Kłamiesz, chłopcze – rzekł surowo Olaf. – Patrzyłem na ciebie cały czas, nikogo tutaj nie było.

– Uciekli natychmiast, ledwoś się zbliżył. Złękli się twojej kosy.

– Gdzież się w takim razie podzieli, dokąd uciekli?

– Do domu zdaje mi się.

– Do domu – a gdzie ten dom?

Eirik spojrzał uważnie, jak gdyby trwożnie na ojca. Twarz jego pojaśniała z zapału:

– Chcesz tam iść ze mną, ojczcze? – wyciągnął rękę. Olaf zawiesił kosę na drzewie.

– Chodźmy.

Eirik poprowadził go w górę, do dworu, minął dziedziniec i skierował się w stronę skał na zachód od domostw, skąd roztaczał się widok na fiord.

– O tam, w dole – rzekł i wskazał miejsce, gdzie głęboko pod nimi leżał skrawek płukanego fałą wybrzeża.

– Nie widzę żywej duszy – oświadczył Olaf krótko.

– Nie ma ich tam. O, teraz już wiem, gdzie są...

Zawrócił i poszedł naprzód ku dworowi, ale potem wszedł na ścieżkę wiodącą do przystani.

– Teraz już wiem, teraz już wiem! – wołał podniecony, podskakiwał i dreptał w miejscu, czekając na ojca; potem biegł znów naprzód, przystawał i brał ojca za rękę, ciągnąc go za sobą.

W ten sposób doszli do jednego z ostatnich składów towarowych. Olaf nie używał go prawie nigdy; obrót towarami zmalął obecnie w Hestviken. Jedynie wiosną, zanim jechał na zebranie do Oslo, przechowywał w nim część zimowych zapasów. Teraz spichlerz stał pusty i nie zamknięty. Eirik wciągnął ojca do wnętrza.

Woda bulgotała i pluskała dokoła pali pod podłogą. Podłoga była nieszczelna, a ściany również miały pęknięcia, toteż odbłask słoneczny pląsał chybottliwymi smugami po ścianach i pułapie. Eirik wdychał zapach spichrza, twarzyczka jego drżała z napięcia. Z uśmiechem pełnym oczekiwania popatrzył ojcu w oczy i poprowadził go na palcach do starej, przewróconej beczki, w której Olaf przechowywał zwykle skóry.

– Tutaj – szepnęła i przykucnęła obok beczki. – Tu w środku mieszkają. Widzisz ich teraz, szpary są duże; siedzą wszyscy razem i posilają się, widzisz ich?

Olaf pchnął beczkę i kopnął ją, potoczyła się z hukiem. Pod spodem było tylko trochę śmieci.

Chłopak spojrzał z uśmiechem na ojca i chciał coś powiedzieć – wtem dostrzegł wyraz jego twarzy; przestraszony, zatrzymał się z otwartymi ustami. Z przejmującym krzykiem wyrzucił ramiona w górę dla obrony i wybuchnął głośnym, żalonym płaczem.

Olaf opuścił rękę; poczuł, że nie może uderzyć chłopca. Eirik stał, płakał i wyglądał tak nędznie, że ojciec czuł się niemal zawstydzony.

Wziął go za ręce i pociągnawszy za sobą usiadł na wiązce spławionego drzewa, trzymając chłopca przed sobą.

– Kłamałeś więc, jak widzę. Każde słowo, któreś mówił o twoich gościach, było kłamstwem. Odpowiadaj zaraz!

Eirik nie odpowiadał, stał tylko i wzburzony patrzył w twarz mężczyzny. Zdawało się, że nie rozumie ani słowa.

Skończyło się na tym, że Olaf musiał wziąć Eirika na kolana, by uspokoić jego rozpaczliwy płacz. Wciąż na nowo pouczał go, że nie powinien nigdy mówić nieprawdy, inaczej będzie musiał go ukarać; ale teraz mówił o wiele łagodniej i nawet od czasu do czasu głąskał dziecko po głowie. Eirik przygarnął się do piersi ojca i zarzucił mu ramiona na szyję.

I tak nie zrozumiał niczego. Olaf zauważył to tak wyraźnie, że zdjął go prawie niesamowity lęk. Chłopak, którego trzymał w ramionach, wydał mu się nagle obcy i dziwny – co takiego, na miłość boską, tkwiło w nim, że używał podobnych kłamstw? Olafowi historie malca wydały się tak osobliwe, że zaczął się pytać w duchu, czy może Eirik jest niespełna rozumu?

Przez dziewięć niemal tygodni Inguna nie opuszczała po porodzie domu. Nie, żeby czuła się szczególnie chora lub słaba; raczej upodobała sobie bardzo ciasną izbę, gdzie wszystko kręciło się dokoła niej i noworodka, i gdzie trzymano z dala wszystko, co mogłoby ją niepokoić. Leżała więc i nurzała się do samego dna w tym nowym szczęściu: maleństwo, które tuliło się do piersi, i Eirik, który przez cały dzień wiercił się po izbie, to znów z niej wybiegał. W końcu Olaf zaczął się trochę niecierpliwić: tyle złych lat przeżyli i przez cały czas Inguna szukała u niego oparcia. A teraz, kiedy była szczęśliwa i zdrowsza, odzyskała nawet



coś z wdzięku młodości, zamykała się z dziećmi i odgradzała po prostu od niego. Nie dał jednak niczego po sobie poznać.

Wreszcie w niedzielę po świętym Lavransie święciła Inguna wywód. Eirik spał jeszcze twardo, kiedy cała drużyna wyruszyła o świcie ze dworu, ale oczekiwał na dziedzińcu ludzi wracających z kościoła.

W tym czasie nastał w Norwegii nowy obyczaj, choć wielu ludzi nie pochwalało go wcale, ba, nazywało nawet bluźnierczym: oto młode niewiasty obchodzące pierwszy wywód, zwłaszcza jeśli dziecko było synem, kładły w ten dzień na głowę niby koronę na niewieścim czepcu, paniński wianek, ozdobę dziewic z poczesnego rodu.

Inguna umocniła złotą przepaskę na białej jedwabnej chustce. Miała na sobie czerwoną szatę i błękitne okrycie spięte wielką złotą kłamrą.

Olaf pomógł żonie zsiąść z konia. Eirik stał obok i patrzył, olśniony urodą matki. Wydawała się o wiele wyższa w tym wspaniałym stroju, w srebrnym pasie na smukłej figurze, gibka i wiotka niby ptak.

– Matko! – zawołał rozpromieniony. – Toś ty jest zalotnicą, prawda?

W następnej chwili ręka ojca spadła ciężko na plecy Eirika, zaciśnięta pięść wyrznęła go w policzek, aż czarno zrobiło się chłopcu przed oczami. Razy padały tak gęsto, że małe nie miał czasu złapać tchu, tylko ochrypły świst wydobywał mu się z krtani. Aż nadbiegła Una córka Arnego i chwyciła Olafa za rękę.

– Olafie, Olafie, opamiętaj się, to mały chłopczyzna! Czyś zmądry postradał, że go tak bijesz?

Olaf przestał. Eirik upadł na wznak na ziemię; leżał, stękał i dyszał, siny na twarzy. Lecz nie stracił przytomności; zdawało się, że umyślnie zachowuje się tak, jakby umierał. Una przyklękła przy nim, wzięła go na kolana. Wtedy zaczął płakać.

Olaf zwrócił się do żony – wciąż jeszcze dygotał. Inguna stała pochylona. Oczy, nozdrza, rozwarłe usta wyglądały jak jamy w trupim

czerepie. Olaf roześmiał się szorstko, brutalnie, potem wziął ją za ramię i pociągnął do izby, gdzie służebne stawiały właśnie świąteczny posiłek na stole.

Nikt z drużyny nie słyszał, co dziecko powiedziało. Wszyscy natomiast pomyśleli to samo; bez względu na to, co malec przeszkrobał, szkaradny był widok, kiedy Olaf tak twardo karcił małego. Wszyscy siedzieli markotni na ławach pod ścianą, czekając na zaproszenie do stołu.

Po dłuższym czasie weszła Una z Eirikiem na rękę. Postawiła go przed ojcem:

– Eirik nigdy już nie zawini, Olafie. Powiedz twemu synowi, żeś mu wybaczył.

– Czy powiedział ci, za co go ukarałem? – spytał Olaf, nie podnosząc oczu.

Una potrząsnęła głową:

– Biedak płakał tak, że jeszcze teraz nie może mówić.

– Nigdy nie wolno ci powiedzieć tego słowa, Eiriku – rzekł Olaf wzburzony przyciszonym głosem. – Rozumiesz?

Spazmatyczne łkanie wstrząsało wciąż jeszcze drobną piersią chłopca. Nie odezwał się, tylko patrzył na ojca wylękniony i bez zrozumienia.

– Nigdy więcej nie powtórzysz tego słowa – powiedział Olaf, kładąc rękę na barkach chłopca. I dziecko skinęło głową. Potem wzrok jego powędrował tęsknie do stołu, uginającego się pod smakowitymi potrawami.

Wszyscy usiedli.

Eirik miał spać tej nocy w izbie Torhildy, gdyż na dwór zjechało dużo gości. Wieczorem, kiedy udawał się do chaty szafarki, ojciec wyszedł za nim na dziedziniec. Eirik stanął natychmiast i zaczął dygotać. Z śmiertelną

trwogą podniósł wzrok na ojca.

– Kto cię nauczył tego paskudnego słowa... o twojej matce? Eirik spojrział w górę wystraszony, szloch znowu nim wstrząsnął. Olaf nie mógł otrzymać odpowiedzi na swe pytanie.

– Nie wymawiaj go nigdy, słyszysz? Nigdy więcej! – Poglaskał malca po włosach i ze wstydem spostrzegł, że jeden policzek Eirika jest obrzmiały i zaczerwieniony.

Chłopiec zasypiał już prawie, kiedy zauważył, że ktoś nachyla się nad nim: matka. Twarz jej była gorąca i mokra od łez.

– Eiriku mój, kto ci powiedział, że twoja matka była zalotnicą? Chłopak wytrzeźwiał natychmiast.

– Czy nią nie jesteś?

– Tak – szepnęła matka.

Eirik zarzucił jej ramiona na szyję, przytulił się do niej i zaczął ją całować.

Wcześniej przysłała tego roku jesień. Około świętego Michała nastąpiła szaruga i odtąd dzień w dzień lał deszcz i dął wichry z wyjątkiem tych dni, kiedy huragan gnał chmury, tak że deszcz nie mógł spaść. Ta pogoda trwała siedem tygodni.

W Hestviken woda zalała przystanie, a pewnej nocy podmyła nawet pale pod najbardziej na zewnątrz wysuniętym spichrzem. Nazajutrz o brzasku ludzie zeszedłszy nad morze ujrzeli, że stary budynek pochylił się naprzód. Tylna ściana przylegająca do skały widoczna była nad wodą, natomiast ściana szczytowa od strony fiordu już do połowy nurzała się w wodzie. Cały budynek kołysał się na burzliwym morzu niby przycumowana łódź, a ilekroć fala podnosiła go i spychała ze swego grzbietu w dół, woda chlustała pomiędzy belkami, zwłaszcza z otworu pod samym szczytem.

– Wygląda niczym pijak przechylony przez burtę łodzi i wymiotujący – osądził Anki.

Toporami, hakami i liną musieli zerwać resztkę szopy i pchnąć morze, w przeciwnym razie fala mogłaby ją cisnąć na groblę i spichlerz, w którym Olaf przechowywał całą w ciągu lata uwarzoną sól i ryby, choć ryb nie było wiele, bo połów na jesieni zawiódł. Przy tej robocie Olaf stłukł sobie porządnie prawe ramię.

Nie zwracał na to uwagi, póki trzymał się we mgle i nawałnicy lak potężnej, że mężczyźni na brzuchach musieli czołgać się po skałach. O zmierzchu jednak, kiedy wracali do dworu, czuł przy każdym ruchu, że ramię boli go porządnie. Gdy otworzył drzwi izby, nagły zryw wichru szarpnął je z taką mocą, że całe drzwi zostały wtłoczone do wnętrza i Olaf porwany wraz z nimi. Potknął się na progu i upadł jak długi. W tej

chwili poczuł szalony ból w potłuczonym ramieniu. Musiano mu ściągnąć przemoczone ubranie i Torhilda przewięzała mu ramię, umieszczając rękę na temblaku.

Tego wieczoru było w izbie nie do wytrzymania; powietrze przesiąknięte dymem, gdyż przy tej wichurze nie sposób było otworzyć drzwi ani dymnika. Dym gryzł w oczy i kładł się ciężko na piersi. A kiedy na dobitkę zaczęła parować mokra odzież, rozwieszona na żerdziach, powietrze zrobiło się tak gęste, że można by je było krajać nożem.

Inguna z dziećmi leżała obok w komorze. Tam nie było wprawdzie dymu, ale za to ziąb przeciągał taki, że wszyscy troje musieli się położyć. Mężczyźni odeszli zaraz po wieczerzy. Olaf rzucił parę skór i poduszek na podłogę koło paleniska i tam się położył, aby być poniżej dymu. Ramię było teraz spuchnięte, twarz piekła go od wichru, a głowa i ciało płonęły; mimo to od czasu do czasu wstrząsały nim zimne dreszcze. W lekkim gorączkowym majaczeniu słyszał w ryku burzy różne głosy: wył wicher za węglami domu, stukiała gdzieś niezabezpieczona okiennica, chwilami odróżniał szum lasu w górze, ponad dworem. Najpotężniej huczało wzburzone morze. Kiedy tak leżał, zdawało się Olafowi, że słyszy grzmot fal rozbijających się o skalny próg, na którym stały domy, zupełnie tak, jakby ów grzmot poprzez skałę dochodził do niego z dołu.

Leżał w półśnie i widział olbrzymie bałwany, zwieńczone białymi grzebieniami piany i wodę brunatną i zmaconą. A potem czołgał się na kolanach i rękach po mokrych skałach, z hakiem i liną, dla których miał szukać uchwytu w jakiejś szczelinie. Gęsta niby deszcz piana bryzgała aż tu ku niemu, na górę. W tej chwili mosiężne szpary rozdarły czarne kłębowisko chmur i głęboko w dole, tam gdzie posępny i spieniony fiord wydawał się wklęsły jak muszla, rozpostarł się jeden jedyny snop światła i zaśnił na mknących falach.

Potem inny obraz wykwitł pod jego zamkniętymi powiekami; wielkie

leśne moczary, ścięte mrozem, dokoła trawa i wrzosa białe i kosmate od szronu. Przez mgłę poranną sączyło się jakieś blade światło i Olaf poznał, że w ciągu dnia słońce się przebiję. Nigdy nie poluje się tak dobrze z jastrzębiem i psem, jak w taki dzień: moczary i małe, rozrzucone na równinie jeziora leżą skute ciemnym, połyskliwym lodem, na którym przyskają małe, białe bańki powietrzne. Cisza i jasność panują na liściastych zboczach, bo drzewa i krzewy stoją nagie, a opadłe liście jaśnieją na ziemi. Bór iglasty jest ciemny i świeży po stajaniu szronu, a do tego dołącza się napięcie, czy łowy poniosą w bezdrożną równinę, czy też ptak zwróci się ku moczaram i zamrożonym wodom...

Jedyny jastrząb Olafa siedział teraz na żerdzi w izbie czeladnej, chory, z czerwonymi nogami. Oddech jego nie był też taki, jaki powinien być. Równie dobrze można go było dobić, i tak się nie nadawał do łowów. A szlachetnego sokoła stracił Olaf na jesieni.

O, teraz Audun kwilił znowu. Inguna cichutko zaczęła usypiać niemowlę.

Torhilda weszła do izby i nakryła Olafa kocami. Otworzył oczy; z miejsca, gdzie leżał, widział silną postać dziewczyny kręcącej się w purpurowym blasku żarzących się na palenisku głowni. Torhilda krzątała się cicho, przewieszała mokrą odzież na żerdziach.

– Nie śpisz, Olafie? Pić ci się może chce?

– Ech nie... a zresztą tak, napiłbym się wody.

Olaf oparł się na łokciu. Podwiązane ramię zabolowało go, kiedy chciał je wyciągnąć po czerpak. Torhilda przykucnęła obok niego i przysunęła mu czerpak do ust. Potem, gdy się położył z powrotem, podciągnęła mu koc na barki. Słyszał jeszcze, jak pytała w komorze, czy gospodyni czego nie potrzebuje.

– Cicho, cicho – odszepnęła gwałtownie Inguna. – Obudzisz mi Auduna, już prawie zasypia.

Torhilda nakryła żar popiołem i wyszła. Olaf całą noc przeleżał na podłodze.

Jesienne słoty zaszkodziły Audunowi. Oczęta mu zaropiały od ciągłego przebywania w gryzącym dymie i często pokaszliwał.

Okolo Bożego Narodzenia pogoda ustaliła się, czerwone słońce stało każdego rana w mroźnej mgle. Zaraz z początkiem nowego roku fjord pokrył się lodową skorupą. Chwycił mróz. Na wszystkich dworach ludzie musieli przenieść się do jednej izby i dniem i nocą podsycać ogień.

Latem zebrano wiele paszy, toteż chłopci zostawili na zimę tyle bydła, ile tylko mogli pomieścić. Mimo że stajnie i obory były pełnione, zwierzęta marzły, tak że musiano okrywać kocami i worami te sztuki, na których przetrzymaniu zależało najbardziej. Ponadto gliniane klepiska trzeba było wysypywać igliwem, żeby bydło nie przemarzło. Gnój był co rano tak zlodowaciały, że z trudem tylko można go było uprzątnąć.

Okolo świętej Agaty<sup>[42]</sup> mówiono w gminie, że można jechać saniami do samej Danii po lodzie, ale teraz nie było już czego szukać w tym kraju. Ubiegłego roku królowie zawarli z sobą pokój.

W tym czasie oskarżono Olafa o to, że pozostał w domu latem, kiedy książę wyprawiał się do Danii, by w Hegnsgavl zawrzeć układ. Wprawdzie rzecz wyglądała tak, że Olaf, który jako dowódca trzy lata z rządu spędził z flotyllą wojenną na morzu, na czwarte lato otrzymał obietnicę urlopu od pana Torego; lecz pan Tore życzył sobie, aby na swoje miejsce postawił dwóch mężów w pełnym rynsztunku oraz dał im utrzymanie w drużynie barona. Olaf nie spełnił tego żądania i sam również nie stawiał się na wiosnę w punkcie zbornym. Powołanie było tego roku o wiele mniejsze, jako że książę wyruszał na południe jedynie

---

[42] Świętej Agaty – 5 lutego.

dla układów. Olaf napytał sobie więc kłopotu i podczas ostrego mrozu musiał w śródościu pojechać raz do Tunsberg, a potem kilkakrotnie do Oslo, przede wszystkim, by usprawiedliwić swoją nieobecność, a po wtóre, by wystarać się o pieniądze. Stracił tej zimy wiele bydła, a siwek odkupiony od Steina zdechł również.

Dwoje małych dzieci napełniało ciasną izbę niepokojem. Eirik miał brzydką przywarę, Olaf dostrzegął coraz częściej, że chłopiec kłamie. Jeśli ojciec zapytał go na przykład, czy widział tego lub owego z czeladzi, Eirik odpowiadał zawsze gorliwie: ależ tak, przed chwilą rozmawiał z nim w domu albo na dziedzińcu; i mówił, co tamten powiedział lub zrobił. Przeważnie nie było w tym ani słowa prawdy. Niektórzy ze służby oraz matka sądzili, że Eirik jest może jasnowidzący – różnił się przecież tak bardzo od innych chłopców. Olaf nie mówił nic, ale zwracał na chłopca pilną uwagę. Nic jednak nie wskazywało na to, jakoby bajeczki Eirika były czymś innym niż zwykłym kłamstwem.

Jeszcze jedno złe przyzwyczajenie miał Eirik. Siedział nieraz godzinami i paplał lub nucił jakiś wierszyk, który sam ułożył. Potrafił tak pleść bez końca, aż Olaf czuł, że głowa go boli i ręka swędzi, lecz nie śmiał tknąć dziecka, odkąd wychłostał go tak niemiłosiernie w dniu, kiedy Inguna wróciła z wywodu.

Eirik klęczał wieczorem przed ławą, układał swoje muszelki i zęby zwierząt w szeregi, nucąc:

*Cztery i pięć z piątego tuzina,  
Cztery i pięć z piątego tuzina.  
Piętnaście szkap i cztery źrebięta  
Dostałem w dzień i dostałem w nocy.  
Cztery i pięć z piątego tuzina*



*Miałem koni następnego dnia.*

To powtarzał z krowami i cielętami, owcami i jagniętami, maciorami i prosiętami.

– Cicho bądź – mówił ojciec ostro – nie słyszałeś, że już dosyć mam tego twojego skowytu i twoich zakłęb?

– Zapomniałem, ojcze – odpowiadał Eirik przestraszony. Olaf pytał:

– Ile koni chciałbyś mieć, Eiriku? Cztery i pięć z piątego tuzina czy raczej sto koni?

– O, chciałbym mieć o wiele więcej koni – odpowiadał Eirik. – Chciałbym mieć dwadzieścia siedem.

Audun dużo krzyczał i nie rozwijał się należycie. Inguna chełpiła się wprawdzie synkiem mówiąc, że jest najpiękniejszym dzieckiem w świecie i że ozdrowiał w ostatnich czasach, lecz Olaf widział błysk trwogi w oczach żony, kiedy to mówiła. Eirik powtarzał słowa matki i ustawicznie kręcił się obok kołyski, gwarząc i nucąc swoje wierszyki jedwabnemu braciszczkowi, jak go stale nazywał.

Olaf czuł dziwną udrękę na ten widok. Audun wydawał mu się najnędniejszym stworzeniem pod słońcem, z głową pełną strupów, ciekącymi rankami koło ust, ciałkiem chudym i pomarszczonym, które rosło bardzo powoli. Nigdy ten syn nie napawał go uczuciem podobnym do radości ojcowskiej. To zaś, że on jest ojcem tego chorowitego i płaczącego dziecka, odczuwał gorzko i boleśnie, ilekroć Eirik pochylał się nad kolebką: tamten taki żywy, zdrowy i ładny ze swymi ciemnoorzechowymi puklami, które spadały na pomarszczoną twarzączkę Auduna, kiedy brat go pieścił.

Pewnego dnia Olaf zapytał Torhildy, co sądzi o dziecku.

– Wydobrzeje na pewno, niech tylko przyjdzie wiosna – odparła, ale

Olaf czuł, że sama nie wierzy w to, co mówi.

Kiedy na Hestviken wypuszczono bydło z obory, aby pasło się za dnia swobodnie na omszałych wzgórzach w dolinie Kvern, Audun zachorował poważnie. Całą zimę kaszlał i kilkakrotnie miał biegunkę, tym razem jednak było o wiele gorzej.

Olaf widział, że Inguna jest ledwo żywa z trwogi i znużenia; lecz była, dziwnie spokojna i opanowana. Niestrudzenie dniem i nocą czuwała przy dziecku, kiedy próbowano wszystkich środków, aby pomóc Audunowi – najpierw domowych, jakie znali ludzie dworscy, potem innych, które poradziły wezwane przez nią kobiety.

Wreszcie szóstego dnia zdawało się, że chłopcu jest znacznie lepiej, że nastąpiło przesilenie. Pod wieczór spał spokojnie, a ciało jego nie było tak zimne w dotknięciu. Torhilda podłożyła pod pieluchy nagrzane kamienie, po czym zabrała Eirika i wyszła. Czuwała niemal tak samo bez wytchnienia jak matka przy chorym Audunie, a w dodatku za dnia całe gospodarstwo spoczywało na jej barkach; była u kresu sił.

Inguna ze zmęczenia i wyczerpania nic już nie słyszała, ani nie widziała. W końcu Olaf przemocą rozebrał ją i zmusił, aby się położyła. Obiecał, że będzie czuwał z jedną z dziewczek i zbudzi żonę natychmiast, gdyby dziecko było niespokojne.

Olaf przyniósł trzy łożowe świece, zatknął jedną na kolec i zapalił. Rzecz dziwna – on, który zwykle zasypiał z takim trudem, poczuł się tej nocy zmęczony i senny. Kiedy wpatrywał się w płomień świecy, oczy paliły go i łzawiły, a gdy zwracał wzrok na dziewczkę, która siedziała przy wrzeczonie i przędła, z samego patrzenia i szmeru wrzecziona ogarniała go senność. Od czasu do czasu krzątał się koło ognia, poprawiał świecę,

zaglądał do śpiącego dziecka i do żony, pił zimną wodę lub wychodził przed drzwi, aby sprawdzić, jaka pogoda i orzeźwić się chłodem cichej, wiosennej nocy, brał do izby polano i strugał je chwilę. W ten sposób wytrwał bezsennie, póki nie zatknął trzeciej świecy.

Zerwał się nagle, bo bieguny kołyski zastukały dziwnie o glinianą polepę. Dziecko jęczało i wydawało dziwne dźwięki. W izbie ciemność była niemal zupełna, prawie do cna wypalona świeca spadła z kolca, knot smużył i kopcił w tającym łoju na żelaznej płycie. Na palenisku szeleścił i dymił wypalony węgiel drzewny. Cicho, w dwóch susach przyskoczył Olaf do kołyski, wyjął z niej dziecko i owinął w chusty.

Drobne ciało Auduna zmagало się, jak gdyby chciało odrzucić pieluchy. W półmroku wydało się ojcu, że chłopaczek patrzy na niego z wyrzutem. Raptem wyciągnął się jak długi, potem opadł, zwiotczał i po chwili wyzionął ducha w ramionach ojca.

Olaf jak gdyby zamroczony na duchu i ciele położył trupka z powrotem do kołyski i przykrył go. Nie sposób wyobrazić sobie, co się stanie, gdy Inguna się obudzi.

Dziewka spała na stole, podłożywszy ramię pod głowę. Olaf obudził ją, nakazał ostro milczenie, bo już miała krzyknąć. Poleciał jej wyjść, uprzedzić służbę i prosić ludzi, aby nie zbliżali się do izby – niech Inguna śpi jak najdłużej.

Otworzył dymnik; na dworze był już dzień. Inguna jednak spała mocno i Olaf czuwał przy niej i przy martwym synu. Ale kiedy w pewnej chwili podszedł, by zajrzeć do niej, trącił pas leżący na zydlu. Pas spadł z brzękiem na podłogę, kobieta zerwała się i spojrzała mężowi w twarz.

Wyskoczyła z łóża i odepchnęła go, gdy chciał ją zatrzymać. Rzuciła się tak gwałtownie na kołyskę, że zwłoki dziecka o mało z niej nie wypadły.

Przykucnęła obok, przytuliła trupka do siebie i płakała dziwnym

bulgoczącym głosem. Nagle przestała szlochać i zwróciła się do męża:

– Toście spali, kiedy on umierał? Spaliście oboje, kiedy Audun wydawał ostatnie tchnienie!

– Nie, nie, umarł w moich ramionach.

– W twoich ramionach! I tyś mnie nie obudził? Jezu Najświętszy, miałeś serce nie obudzić mnie! Na moich rękach powinien był umrzeć, mnie znał, nie ciebie, tyś wcale nie kochał twego dziecka, ty... Tak dotrzymałeś słowa?!

– Inguno!

Lecz Inguna zerwała się, uniosła nieżywe dziecko wysoko nad głową, krzycząc rozpaczliwie. Potem rozdarła suknię na piersiach, przygarnęła zwłoki do nagej piersi i rzuciła się na łożo, zakrywając je sobą.

Kiedy po chwili Olaf zbliżył się i usiłował mówić do niej, odepchnęła ręką jego twarz:

– Nigdy nie rozstanę się z moim Audunem!

Olaf był bezradny. Siedział na ławie, z głową wspartą na rękach i czekał; może żona sama się opamięta. Wtem Eirik szarpnął drzwi i rzucił się ku matce z głośnym płaczem. Gdy się zbudził, powiedziano mu o śmierci brata.

Inguna usiadła prosto, zwłoki niemowlęcia zostawiła na poduszkach. Przyciągnęła ku sobie syna i ujawszy oburącz jego zapłakaną twarzyczkę przysunęła swoją twarz do jego buzi i zawodziła, ale już o wiele spokojniej.

Tego dnia, kiedy pochowano Auduna, pogoda była bardzo piękna.

W ciągu popołudnia Olaf wykradł się z izby od gości żałobnych i stanął przy płocie, otaczającym pole leżące nisko nad samym morzem. Woda połyskiwała i lśniła tak mocno, że aż powietrze nad nią zdawało się drgać; czuby fal pod Bykiem jaśniały białością. Rześki, miły zapach

szedł dziś od przystani, zespałał się z wonią rozgrzanej skały, ziemi i młodych pędów. Łagodna fala podmywała brzeg, odpływała chrzęszcząc kamyczkami, wszędzie pluskały i bulgotały wartkie potoczki, z góry, z doliny Kvern dochodził szum rzeczki. Olchowy las brunatniał od pąków, a gąszcz leszczyny strącał żółte bażki na ziemię. Zbliżało się lato.

Posłyszał kroki – Inguna wyszła za nim. Stali tuż obok siebie i wsparci o płot wpatrywali się w rudoszarą, rozprażoną słońcem skałę i w błyszczącą, modrą wodę.

Olafowi zrobiło się nagle dziwnie nieswojo. Wezbrała w nim gwałtowna tęsknota. O, gdyby mógł być teraz na pokładzie statku na pełnym morzu, mieć z wszystkich stron niebo przed oczyma, albo tam, wysoko, gdzie zapach ziemi i trawy, i lasu płynie z szerokich zboczy i nieogarnionych szczytów! Za ciasno, za wąsko było tutaj, nad fiordem, na tych polach wzdłuż samotnej zatoki. Cicho powiedział:

– Nie smućcie się tak bardzo o Auduna, Inguno. Lepiej, że Bóg powołał do siebie swoje niewinne, biedne jagniątko, zrodzone jedynie po to, by dźwigać brzemię tego wszystkiego, co myśmy popełnili.

Inguna milczała. Odwróciła się i poszła w stronę domu, cicho, ze spuszczoną głową. Na górze, koło domów wybiegł jej na spotkanie Eirik.

Olaf zobaczył, że matka napomina go, aby sprawował się spokojnie, bierze go za rękę i prowadzi do izby.

Latem, w rok po śmierci Auduna, Olaf i Inguna pomagali w pracy w jednym z dworów na górze w gminie; zabrali z sobą Eirika. Eirik miał teraz siedem lat i nieraz, kiedy się rozbawił, stawał się trudny do opanowania.

O zmierzchu, po skończonej robocie, ludzie siedzieli na łące w pobliżu domu, który świeżo pokryto dachem. Gromada młodych rozpoczęła tany. Eirik i jeszcze kilku urwisów uganiało dokazując po łące; podnieceni piwem, pędzili prosto na taneczny krąg i usiłowali go przerwać wśród głośnych śmiechów i krzyków. To znów wpadali między starszych, szturchali tego i owego i przeszkadzali w rozmowie. Olaf skarcił parokrotnie Eirika, w końcu użył nawet ostrych słów; to jednak na krótko tylko tłumilo wybryki chłopca. Inguna nie zauważyła niczego; siedziała z innymi kobietami na uboczu, pod ścianą domu. Nagle Olaf stanął przed nią, ciągnąc za sobą Eirika. Jedną ręką trzymał go z tyłu za koszulę, tak że chłopiec wisiał w powietrzu jak psiak schwytyany za skórę na karku. Olaf miał zaczerwienioną twarz i był trochę podpity. Zdarzało się teraz czasami, o ile napady bezsenności trwały zbyt długo, że piwo uderzało mu do głowy bardziej niż dawniej.

– Musisz poskromić twojego syna, Inguno – rzekł gniewnie, potrząsając chłopcem. – Mnie nie słucha bez bicia. Weźże go sobie, twój jest przecie! – Cisnął chłopca tak mocno, że Eirik na pół upadł na kolana matki. Po czym odszedł.

Wieczorem, po posiłku, kiedy ludzie zasiedli przy piwie za stołem, zaczęli niektórzy opowiadać klechdy. Między innymi sira Hallbjörn

opowiedział sagę o Jökulu<sup>[43]</sup>:

– Pewien bogaty kupiec wyruszył w podróż i przez trzy lata wędrował po świecie. Każdy więc może łatwo osądzić, czy był bardziej zdziwiony, czy też uradowany, kiedy po powrocie zastał swą małżonkę w łóżu, a u jej boku maleńkiego synka liczącego miesiąc życia. Żona kupca była sprytną niewiastą i miała głowę na karku, rzekła więc:

„Wielki cud stał się ze mną. Bardzo tęskniłam za tobą, mój małżonku, podczas gdy podróżowałeś i byłeś z dala ode mnie. Pewnego dnia tej zimy stałam w drzwiach domu pod zwisającymi z dachu soplami lodu. Ułamałam jeden i ssałam go, cała w tęsknocie i najgorętszym pożądaniu. I wówczas poczęłam to dziecko. Osądź sam, czy nie ty, lecz kto inny jest jego ojcem. Dałam mu na imię Jökul”.

Kupiec musiał się tym zadowolić. Był pełen dobroci dla tej kochającej żony i zdawał się uradowany synem Jökulem; ilekroć bawił w domu, chciał mieć chłopca zawsze przy sobie. A gdy Jökul skończył lat dwanaście, ojciec wziął go ze sobą w podróż. Pewnego dnia, kiedy znaleźli się na pełnym morzu i Jökul stał oparty o burtę, kupiec stanął za nim i gdy nikt tego nie widział, pchnął go do wody.

Powróciwszy do żony, oznajmił ze smutną twarzą i łzami w głosie: „Wielkie spotkało nas nieszczęście i okrutną ponieśliśmy stratę, moja najmilsza. Jökul nie żyje! Wiedz, że podczas morskiej ciszy nasz okręt stał na morzu, dzień był upalny i słońce paliło. Jökul przystanął na pokładzie z gołą głową. Prosiłiśmy go serdecznie, aby osłonił czymś głowę, ale nie chciał nas słuchać. Nagłe rozpląnął się w słonecznym żarze i z naszego Jökula nie pozostało nic prócz mokrej plamy na deskach...”

Tym musiała się żona kupca zadowolić.

Ludzie śmiali się do rozpuku z tej sagi. Nie zauważyli, że Olaf syn Auduna siedzi ze spuszczonej oczyma i że czerwone fale krwi raz po raz

[43] Jökul – sopel lodu. (Przyp. tłum.)

zalewają mu twarz. I choćby chodziło o życie, nie ośmieliłby się spojrzeć w stronę, gdzie w gronie niewiast siedziała na ławce jego żona. Nagle coś się tam stało. Jednym susem przeskoczył Olaf stół, utworzył sobie drogę pośród stłoczonych kobiet. Podniósł Ingunę, która bez przytomności osunęła się na ławę, i wyniósł ją na świeże powietrze...

Najmilszą zabawą Eirika było towarzyszyć ojcu, kiedy Olaf sam wyruszał w łodzi na fiord, aby dla rozrywki łowić ryby na wędkę, lubił też razem z ojcem wychodzić w pole. Eirik przychodził potem zawsze do matki i opowiadał z błyszczącymi oczami i z takim zapałem, że słowa prześcigały się wzajemnie, aż w końcu zaczynał się jąkać; opowiadał o wszystkim, co przeżyli, i o tym, czego się od ojca nauczył. Teraz umie już wiosłować i łowić ryby, wiązać węzły i spajać liny, tak jak to robią żeglarze. Wkrótce będzie towarzyszył ojcu i jego ludziom na pełne morze i wolno mu będzie brać udział w prawdziwym połowie. Jest również zgrabny w strzelaniu i miotaniu oszczepem, ojciec mówi, że nigdy nie widział zręczniejszego chłopca.

Inguna słuchała opowiadania syna w bezradnej udręce. Ten biedny malec, pełen zaufania, kochał Olafa bardziej od wszystkich innych ludzi na świecie i nieżyczliwość ojca nie miała na to wpływu. Dostawał krótkie odpowiedzi na wszystkie pytania i w końcu zawsze ojciec kazał mu milczeć. A kiedy chłopak się rozbrykał i psocił, Olaf strofował go chłodno i szorstko, kazał mu mówić prawdę, chociaż matka rozumiała, że dziecko tylko nie pamięta dokładnie. Nie śmiała powiedzieć tego mężowi, nie śmiała go bronić i zwrócić Olafowi uwagi na jego młody wiek, ani też wyjawiać temu człowiekowi, którego Eirik nazywał ojcem, jak serdecznie kocha go to dziecko. Musiała zginać kark i milczeć i tylko wtedy, gdy sam na sam była z synem, miała odwagę okazywać mu miłość.



Inguna nie wiedziała, że sprawa wygląda istotnie tak, jak mówił Eirik i że dlatego zły humor Olafa nie odstręczał chłopca na długo, ani nie osłabiał jego uczucia dla ojca. Olaf i Eirik rozumieli się o wiele lepiej, kiedy byli sami. Eirik był wtedy posłuszniejszy i spokojniejszy i mimo że był jak zawsze niestrudzony w dziwnych zapytaniach i dociekaniu, to jednak tkwił w tych jego pytaniach jakiś sens. Oczywiście i uszami połykał każde słowo z ust ojca, tak że zapominał nawet o swych bajeczkach i paplaniu. Nie uświadamiając sobie tego, czuł Olaf ciepło bijące ku niemu od chłopca; zapominał o swej zwykłej niechęci i grzał się tym ciepłem, jak wówczas gdy mu ktoś okazywał przyjaźń, której tak trudno było mu samemu szukać. W takich chwilach był jak najbardziej serdeczny dla Eirika; ożywiony najlepszą wolą, uczył chłopca używania broni i narzędzi tak małych, że wyglądały niemal jak zabawki, śmiał się z jego gorliwych pytań i rozmawiał z nim, jak dobry ojciec rozmawia z małym synem.

Łowili płastugi pod stromymi skałami na północ od ostrej ściany Byka i Olaf pokazał chłopcu szczelinę w skale, gdzie gnieździła się stara wydra, samica. Raz na rok, a kiedyś nawet dwa razy w roku wybierał Olaf młode i samca. Zaledwie ustrzelił jednego samca, wydra zaraz szukała sobie nowego małżonka, opowiadał Olaf i naśladował świst zwierzęcia. Oczywiście, Eirik wybierze się z nim kiedyś nocą na połów wyder, gdy tylko podrośnie. Nie, tego, kiedy to będzie, ojciec nie może już teraz powiedzieć.

Pewnego razu, gdy zapuścili się w myśliwską knieję ojca, by obejrzeć obalone wicherą drzewa, Olaf zaczął opowiadać o swym własnym dzieciństwie na Frettestein, o czasie, kiedy on i matka Eirika byli jeszcze dziećmi. – Twój dziad po kądzieli – rzekł Olaf i opowiedział jakąś historię o Steinfinnie, przy czym sam się uśmiechał, a Eirik śmiał się głośno. – Pewnego razu zwabiłem Hallvarda, twojego wuja. Był wtedy jeszcze małym brzdącem, mimo to wzięłem go z sobą na wodę; miałem

tam wydrążony pień, w którym pływaliśmy... – mówił, dopóki Eirik nie wspomniał Tory na Berg. Pamiętał ją jeszcze. Olaf zamilkł raptownie, odpowiadał już tylko półgębkiem na dalsze pytania chłopca i w końcu nakazał mu milczenie. Nagle wszystko wokół sposepniało.

Ilekoć Olaf był razem z parobkami na przystani albo we dworze, a Eirik uganiał między nimi, Olaf szybko tracił cierpliwość. Eirik miał taką naturę, że im więcej ludzi widział dokoła, tym bardziej hałasował, szalał i był nieposłuszny. Ludzie mieli uciechę z chłopca, zauważyli jednak, że gospodarzowi nie podoba się, iż śmieją się z żartów Eirika, i sądzili, że Olaf jest bardzo surowy i wymagający wobec jedyne go syna.

Jeśli jednak matka była przy tym, Olaf czuł jeszcze większą niechęć w stosunku do chłopca. Miał niejednokrotnie ochotę bić go i złamać jego złe nawyki twardymi razami.

To prawda, Inguna wywoływała w nim głuchą gorycz tym swoim ustawicznym wytykaniem błędów dziecku; Eirik ma być cicho i zachowywać się grzecznie – napominała co chwilę surowo.

Olaf zaś wiedział dobrze: ledwie się obrócił, matka rzucała się niemal na kolana przed chłopcem, aby zaskarbić sobie jego łaski. Spostrzegł, jak głęboko nie dowierza jego uczuciu dla chłopca. Śledziła go i zerkiała na niego nieznacznie, ilekoć zajmował się Eirikiem. Olaf był w pełni świadomy, że nigdy nie wyrządził małemu krzywdy, a jeśli trzeba było od czasu do czasu go ukarać, należało mu to spokojnie zostawić, okazać zaufanie. Inguna tylko podsycala jego złość na chłopca, lecz od dawna przyzwyczaił się opanowywać, kiedy chodziło o nią, w ostatnich zaś latach była na dobitkę schorowaną, nieszczęsną istotą. Toteż podwójnie musiały brać się w garść, aby nie utrudniać jej życia. Jeśli więc Inguna wystawiała cierpliwość Olafa na zbyt srogą próbę, prawie zawsze skrupiało się to na Eiriku.

Eirik wszedł pomiędzy męża i żonę, był pierwszym, który rozłączył

naprawdę ich serca. Olaf musiał przed laty porzucić kraj ojczysty, odejść od przybranej siostry i częściowo uświadamiał sobie, że Inguna zesłała na manowce tylko dlatego, że została sama i opuszczona. Zbyt ciężkie nałożono na nią brzemię, kiedy zamieszkała u swych zagniewanych krewnych, którzy uważali ją za nieposłuszną i pozbawioną czci kobietę. Była młoda, skora do pieszczot, ale nie należała do takich, co zdradzają małżonka, z którym dzielą stół i łożę, o tym wiedział. Przecież sam wyczuwał, że ów Teit był jedynie nieszczęsnym przypadkiem...

Kiedy zabił bezmyślnego wietrznika, uczynił to raczej dlatego, że sądził, iż niemożliwą rzeczą będzie wyrównać nieszczęście, póki tamten żyje i może wypaplać prawdę, aniżeli dlatego, żeby się czuł przez niego oszukany. Dokonane zabójstwo nie zdołało ukoić cierpienia jego duszy, nędzne zwłoki w schronisku na hali nie mogły nasycić całkowicie jego pragnienia zemsty za zburzone szczęście.

Teraz widział, że Inguna kocha kogoś innego, i przeczuwał, jak często pragnie, aby on zszedł z drogi, aby swobodnie mogła darzyć Eirika miłością, podobnie jak ktoś, kto za plecami gospodarza wynosi po kryjomu żywność wyjętemu spod prawa przyjacielowi.

Wraz z tą goryczą ocknęło się w sercu i zmysłach Olafa coś, niby widmo jego dawnego pożądania: tęsknił za tym, aby znów posiadać Ingunę, jak ją posiadał ongi, kiedy oboje byli młodzi, zdrowi i w rwącym niepokoju i zamęcie szukali szczęścia w pieszczocie. Nigdy nie zapomniał Olaf całkowicie tych czasów: wspomnienie jej słodkiej urody podniecało teraz jego współczucie i bolesną czułość. Biedny, przedwcześnie zwiędły szczątek ludzki, z którym był dozgonnie związany, był resztką tej uroczej, niemądrej Inguny, którą kiedyś miłował. Wola, by chronić ją, okrzepła i stwardniała tak samo, jak kiedyś wola, aby bronić swych praw do tej kobiety.

Teraz rozbłysnął w nim nagły poryw żądy, aby się dowiedzieć, czy

i ona także pamięta jeszcze upojne uniesienie ich lat młodzieńczych. Rok po roku tliła się w nim tajemna niechęć, kiedy Inguna czepiała się go, słaba i nierozsądna, domagając się pieśzczoł, które powinny być zostac oszczędzone chorej kobiecie. Teraz gdy unikała go, kiedy kryła się przed nim z własnymi myślami, zdawało się Olafowi, że najchętniej zmiażdżyłby ją w swych ramionach, by otrzymać odpowiedź na pytanie, czy zapomniała, że niegdyś on był jej najmilszym przyjacielem. „Czemu boisz się mnie? Czy kiedykolwiek przez te wszystkie lata zadałem ci rozmyślnie ból? Chyba ja temu nie jestem winien, że tak niewiele szczęścia zazналиśmy w naszym pożyciu...”

A potem, ilekroć dotykał chorego miejsca w swej duszy, budziła się w nim trwoga i głuchy ból stawał się udręką, przewiercającą i przepalającą go na wskroś. Czy naprawdę tak było, że przez ten cały czas mógł odwrócić od niej nieszczęście, gdyby odważył się zaufać sprawiedliwości ludzkiej i Boskiemu miłosierdziu? Olaf zauważył, że Ingunę onieśmiela i napawa lękiem jego niezwykła gwałtowność. Cofnął się więc i zamknął w sobie, ze swą tajemną, wciąż pulsującą raną. „Czemu boi się mnie?”

Były chwile, w których niemal sądził, że wszyscy o tym wiedzą. Albowiem teraz nie miał ani jednego przyjaciela w swej rodzinnej gminie. Niechże i tak będzie. Lecz nie dość na tym; Olaf spostrzegł, że nikt go nie lubi. Chłód i nieufność otaczały go i nieraz miał wrażenie, że ludzie cieszą się skrycie, gdy mu się zdarzy nieszczęście. Tutaj, w gminie postępował przecież zawsze uczciwie i słusznie, nigdy żadnemu człowiekowi nie wyrządził krzywdy. Nie umiał nawet żywić za to urazy ani złości – przyjął wyrok bez buntu. Ludzie musieli widocznie zauważyć tajemne piętno na jego czole.

Gdy myślał o Ingunie, trwoga w nim dygotała: czy ona widziała je również? Czy to było przyczyną, że taka zimna leżała w jego ramionach, czy dlatego oblicze jej powlekał cień przerażenia, ilekroć zbliżał się do

syna?

W dniu świętego Olafa wyprawiał Olaf zawsze wielką biesiadę we dworze. Nie modlił się wprawdzie nigdy do swego patrona – ten opiekun sprawiedliwości nie pomógłby mu na pewno swoim orędownictwem, chyba pod jednym warunkiem. Mimo to Olaf pragnął okazać świętemu należną mu cześć.

Podłogę wysypywano zielonymi gałązkami, izbę przyozdabiano tkaninami, wieszano także stary dywan, wydobywany zazwyczaj tylko na Boże Narodzenie.

W wigilię patrona Olaf sam zajął się wieszaniem dywanu. Wszedł na ławę i przybijał drewniane haki między najwyższą położoną belką, a pułapem. Eirik spacerował po izbie i oglądał haftowane na dywanie obrazy; przedstawiały one rycerzy i okręt z ludźmi na pokładzie. Wiedział, że zaraz przyjdzie najładniejszy obraz: dom ze słupami, kryty gontem jak kościół, a wewnątrz ludzie przy uczcie, rogi do picia i dzbany na stole. Eirik chciał zajrzeć do zwiniętej jeszcze części dywanu na ławie i przy tym zerwał ze ściany spory kawał, dopiero co zawieszony przez ojca.

Olaf wściekły zeskoczył z ławy, wydobył chłopca spod zwojów dywanu i odepchnął go gwałtownie: – Wynoś się stąd. Zawsze tylko stoisz mi na drodze i psocisz, ty bękarcie!

W tej chwili do przedsionka weszła Inguna niosąc w podwiniętej sukni pęk kwiatów. Upuściła je na podłogę. Olaf widział, że słyszała jego słowa.

Nie potrafił się przemóc, by coś powiedzieć. Wstyd, gniew i jakieś niejasne uczucie, że wkrótce z niczym już nie będzie się mógł uporać, przewalały się w nim. Wszedł z powrotem na ławę i zaczął znowu wieszać zerwany dywan. Eirik wymknął się cichaczem z izby. Inguna pozbiierała

kwiaty i rozsypała je na podłodze. Olaf nie śmiał odwrócić się i spojrzeć na nią. Nie mógł teraz z nią mówić.

Pewnego rana, w kilka dni później, Inguna z Eirikiem siedziała na skale poza zabudowaniami dworskimi. Była na dole w Saltviken, stamtąd wiodła ścieżka przez to wzniesienie. Od biedy można było nią jechać konno, ale to się rzadko zdarzało, przeważnie jeżdżono łodzią z Hestviken do Saltviken. Słońce świeciło jasno, dął chłodny wiatr. Z tego miejsca, gdzie siedziała Inguna, widać było w dole granatowy fiord, tu i ówdzie zbrudżony białymi grzebieniami piany. Morze szumiało rozpryskując lśniące krople wzdłuż czerwonych skał, jak okiem sięgnąć nurzających swe podnóża w fiordzie. Poranne słońce stało jeszcze ponad polami Huderheim. Z wyżyny, gdzie siedziała, można było dostrzec wieś leżącą na górze, dlatego Inguna lubiła to miejsce. Tutaj w górze brzmiał również słabiej nieznośny szum morza, który prześladował ją w domu tak, że nieraz miała wrażenie, iż pochodzi z jej własnej umęczonej głowy.

Ale tutaj też wdychała słoność bijącą od morza, a do tego owo migotanie światła w niespokojnym powietrzu – nigdy nie czuła się tu dobrze. Nużyło ją to...

Eirik leżał oparty na kolanach matki i bawił się pękiem wielkich dzwonek. Obrywał jeden kwiat po drugim, odwracał kielichy i dmuchał do ich wnętrza. Wychudłą ręką objęła Inguna jego twarz i spojrzała w opaloną od słońca buzię. Jaki ładny, jaki śliczny był jej syn. Oczy miał barwy złotawej, niczym woda na moczarach prześwietlona słońcem, a włosy miękkie jak jedwab. Pociemniały mu bardzo w ostatnim roku, miały teraz kolor brązowy. Eirik podrapał się w głowę:

– Wyiskaj mnie, matko. Och, jak wszy gryzą w tę spiekotę. Inguna roześmiała się słabo. Wyjęła grzebyk z sakiewki u pasa i zaczęła

rozczesywać włosy chłopca powolnymi, pieszczotliwymi ruchami. Senność ogarnęła Eirika, a zapach rozgrzanego lasu sosnowego, kwaskowa woń mchu, na którym siedziała, i dalekie dzwonki trzody, pasącej się na górze nad doliną Kvern, uśpiły także Ingunę.

Wzdrygnęła się, posłyszawszy lekki szmer – zbliżył się do nich pies, brodząc w wysokich jagodach. Obwąchał oboje ocierając się o ich kolana i skoczywszy na ścieżkę, zbiegł na dół.

Serce Inguny drżało jeszcze od nagłego przebudzenia. Teraz usłyszała stuk kopyt daleko w dole. Oparła głowę o pień sosnowy. Ach, że też Olaf już wrócił! Była tak pewna, że przyjedzie najwcześniej wieczorem, a może dopiero jutro rano!...

Znów ogarnęła ją straszliwa trwoga i rozpacz. To, czego w ostatnich miesiącach wciąż się obawiała – czuła w tej chwili wyraźnie całą swą istotą: tym razem poród oznacza jej śmierć. Pragnęłaby niemal tego, gdyby nie myśl o Eiriku. Wówczas zostałyby sam z Olafem. A pośród otchłannego lęku zachybotał jeszcze ten mały strach: dlaczego Olaf wrócił tak prędko, czy nie doprowadził do ładu tej sprawy w sąsiedniej gminie albo może posprzeczał się z tymi ludźmi i wracał jeszcze bardziej milcząco i w gorszym humorze, niż odjechał?

Mimo woli ogarnęła syna ramieniem, jakby chciała go osłonić i ukryć. Eirik bronił się, wysliznął się z jej rąk:

– Puść mnie, ojciec jedzie! – Podniósł się i matka ujrzała, że cały pokraśniał z radości. Zaczął schodzić ścieżką w dół, trochę niepewnie i z wahaniem. Podążyła za nim.

Między drzewami ujrzała siwka, Olaf szedł obok niego. Kiedy zbliżyła się do nich, Olaf stał i pokazywał Eirikowi jakiś przedmiot leżący u jego stóp, na drodze: był to duży ryś.

– Tę rysicę zastrzeliłem niedaleko w skałach na południu. Wędrowała już od wczesnego rana. Zostawiła młode w norze, wymiona ma pełne

mleka.

Włóczęgi obrócił zabite zwierzę. Krzyknął na psa, który warował i szczekając pilnował niespokojnego konia. Z głośnym krzykiem przykucnął Eirik nad łupem ojca. Olaf uśmiechnął się do niego.

– Nory nie znaleźliśmy, chociaż musiała być bardzo niedaleko. Ale było to na piarżysku w obalonym lesie. Rysica chodziła widać górą, koronami drzew.

– Czy młode zdechną teraz z głodu? – spytała Inguna. Eirik zanurzył ręce w jasnej sierści na brzuchu rysia, znalazł nabrzmiałe sutki i nacisnął je. Ręce jego zawałane były krwią. Olaf stał i objaśniał chłopcu, że rysia nietrudno jest zabić, jeśli zabłąka się w świetle dnia.

– Młode zginą z głodu. Albo też pożrą się wzajemnie, najpilniejszy pozostanie przy życiu. Może jednak urodziły się jeszcze wczesnym latem, tak sądzę, ponieważ matka od nich odeszła.

Inguna patrzyła na nieżywego drapieżnika... Przytulnie i ciepło musiało być małym, kiedy zwinięte w kłębek szukały życiodajnego mleka w jasnym futerku, pod miękkim brzuchem matki. Potężne udo, którym je osłaniała, było napięte od twardych mięśni i ścięgien, zakończone stalowymi pazurami. Kiedy lizała swoje rysięta, lśniły w jej paszczy okrutne białe kły; z uszu wyrastały pęczki włosów, aby tym bacniej mogła nasłuchiwać, a błyski żółtych oczu były ostre jak noże... Ta matka potrafiła strzec swego potomstwa, bronić je, opiekować się nim i karcić w miarę potrzeby.

Jej chłopiec miał za matkę nieszczęsną kalekę, która nie potrafiła go ochronić! I sama winna była temu, że nie posiadała nikogo, kto by go wziął w opiekę. A już najbardziej trzeba mu było opieki wobec człowieka, którego zwał ojcem...

Sądzę, że nawet Maryja, Matka Boża, nie wstawi się za matką, co zdradza własnego syna – powiedziała niegdyś Tora. A ona, ona zdradziła



swoje dziecko już w chwili, w której pozwoliła, aby zostało poczęte. Teraz to rozumiała.

Olaf i Eirik wycierali tymczasem kępkami mchu krew, którą zawałane było siodło i która spływała po boku siwka. Potem Olaf podniósł chłopca, posadził go na siodle i oddał mu wodze do rąk.

– To niezawodny koń, ten Apalhvitén, Eirik może śmiało pojechać na nim do domu, chociaż droga opada trochę stromo. – Szedł jeszcze chwilę obok siwka, mówiąc łagodnie do konia i do dziecka. Potem wrócił po rysia, rzemieniem związał mu nogi; od czasu do czasu patrzył za chłopcem jadącym na wielkim siwym koniu, póki ten nie zniknął mu z oczu w lesie. – Nie, do porozumienia nie doszliśmy. Na próżno siedzieliśmy i kłóciliśmy się z synami Kaarego – opowiadał. – Sądzę, że Eirik powinien teraz dostać siwka, chłopak ma już przecie siedem lat, czy nie? Musi mieć wkrótce własnego konia, a nie wydaje mi się, aby mógł jeździć na Sindrem, koń jest zbyt płochliwy.

– Czemu płaczesz? – zapytał niemal ostro, prostując się nad rysiem.

– Choćbyś darował Eirikowi najpiękniejsze źrebię, jakie wyhodowano, i siodło ze srebra, i złotą uzdę, cóż to pomoże, Olafie, jeżeli nie możesz odmienić twego serca i zawsze ze złością patrzysz na chłopca.

– To nieprawda – oburzył się Olaf gwałtownie. – Aleś ciężka, ty diabła macioro – podniósł związanego rysia na oszczep i zarzucił ciężar na ramię. – Bądźże rozsądna, Inguno – odezwał się nieco łagodniej. – Czyż mogę kiedykolwiek radować się synem, który ma po mnie odziedziczyć dwór, jeśli zawsze kryje się pod twoją kiecką, wtedy kiedy trzeba mu ojcowskiego pouczenia i ręki? Musisz wreszcie pozbyć się twoich strachów i oddać Eirika pod moją opiekę, inaczej nigdy nie wyrośnie na człowieka.

Tu na górze wiatr wzdymał wielkie, szare okrycie Olafa, trzepotały szerokie skrzydła czarnego wełnianego kapelusza. Olaf postarzał się

bardzo w ostatnich latach; wprawdzie i teraz nie był tęgi, ale jednak dość zażywny, zwłaszcza rozrósł się w barkach. Jasne oczy zdawały się mniejsze i jeszcze bystrzejsze, bo twarz jego była ogorzała i ciemna. Białka porysowane były czerwonymi żyłkami, pewnie wskutek tego, że za mało sypiał.

Czuł, że Inguna idąca u jego boku wpatruje się w niego bez przerwy. Wreszcie zmuszony był odwrócić głowę. Z uporem spojrzął w jej skarżącą się twarz:

– Wiem, o czym myślisz, Inguno. Wyrwało mi się w gniewie pewne słowo. Bóg świadkiem, iż pragnąłbym, aby nigdy nie zostało powiedziane.

Inguna nachyliła się, jakby oczekując uderzenia. Olaf ciągnął dalej, usiłował mówić spokojnie.

– Nie powinnaś tego robić, Inguno. Nie powinnaś podstępem odsuwać go ode mnie, jak gdybyś się obawiała, że ja... Nigdy nie ukarałem Eirika zbyt surowo.

– Nie przypominam sobie, aby mój ojciec kiedykolwiek podniósł na ciebie rękę, Olafie.

– Nie, Steinfinn nie zadawał sobie wcale tyle trudu, aby mnie ukarać. Nigdy nie sprzeniewierzyłem się własnemu słowu danemu ci, Inguno. I zaświadczyłem wobec wszystkich, że Eirik jest naszym synem, twoim i moim...

Widział, że żona bliska jest omdlenia. Czuł, że tym razem nie powinien ustąpić, nie powinien dodać słowa, które by złagodziło znaczenie tego, co powiedział. Rzekł tylko:

– Wyrządzasz nam wszystkim ciężką krzywdę, jeśli uciekasz z twoją matczyną miłością do lasu i nie śmiesz wziąć Eirika na kolana, gdy ja jestem przy tym... jeśli kryjesz się z nim w ciemności i po kątach, jakbyś wykradała się na spotkanie z gachem.

Wziął jej rękę, ścisnął ją mocno i zatrzymał w swojej:

– Pamiętaj o tym, moja droga. W ten sposób sama oddajesz Eirikowi najgorszą przysługę.

W przeddzień świętego Mateusza wczesnym rankiem wpadł Eirik do izby, gdzie byli rodzice, krzycząc z całych sił. Kaare i Ranvega, dwoje dzieci Björna, mieszkających jeszcze z Torhildą, przybiegło za nim i Olaf i Inguna dowiedzieli się, co zaszło.

Gronostaj gnieżdżący się pod darniowym dachem owczej zagrody miał znowu małe i kiedy Eirik chciał je wyjąć z gniazda – chociaż Olaf mówił mu, że zwierzęta należy przez lato zostawić w spokoju – gronostaj ugryzł chłopca w rękę.

Olaf chwycił malca i posadził go matce na kolanach. Prędko podniósł jego rękę i obejrzał ją: zwierzę ugryzło go w mały palec.

– Czy potrafisz go trzymać mocno, czy też mam zawołać Torhildę? Cicho bądź, nie mów nic Eirikowi! Można go uratować, jeśli będziemy działać natychmiast.

Z wszystkich zwierząt gronostaj ma najbardziej jadowite ukąszenie. Człowiekowi ukąszonemu przez rozdrażnionego gronostaja skóra gnije i odpada od kości, aż ukąszony umiera. Zdarza się często, że dostaje padaczki, gdyż wszystkie gronostaje cierpią na tę chorobę. Jedyne człowiek ugryziony w ostatni człon palca może mieć nadzieję ratunku, jeśli odrąbie mu się zaraz palec i wypali ranę.

Błyskawicznie przygotował Olaf wszystko, co było potrzebne. Pomędzy małymi narzędziami, tkwiącymi w szczelinie belki na ścianie, wyszukał odpowiednie żelazo i włożył je w ogień, polecając Kaaremu rozniecić żar. Po czym wyciągnął sztylet i zaczął go ostrzyć.

Dziewka służebna przywołana do trzymania Eirika zaczęła głośno krzyczeć. Eirik wystraszony już i tak, zrozumiał teraz, co ojciec zamierza

z nim zrobić. Z rykiem przeraźliwej trwogi wyrwał się matce i zaczął gonić niczym szczur po izbie, wyjąc coraz okropniej.

Drabina wiodąca z komory na poddasze była spuszczone, Eirik wspiął się na nią, Olaf skoczył za nim. W ciemności, pomiędzy natłoczonymi towarami udało mu się wreszcie dopaść chłopca i znieść go na dół. Eirik kopał, wierzył i rzucał się w kaftanie, którym Olaf nakrył mu głowę, aby oszalały chłopiec nie ugryzł jego samego.

Od Inguny Olaf nie mógł oczekiwać pomocy. Zjawiała się Torhilda. Olaf oddał Eirika w jej ręce, a dwie służebne pomagały go trzymać. Eirik usiłował wyrwać się i wrzeszczał w śmiertelnej trwodze, podczas gdy kobiety próbowały owinąć mu głowę chustą.

Nagle ojciec zerwał mu chustę z oczu:

– Idzie o twoje życie, Eiriku. Spójrz na mnie, chłopcze. Zginiesz, jeśli nie pozwolisz się uratować!

Olaf był do głębi wzburzony. Eirik był jedynym, ostatnim dzieckiem Inguny, która kochała go tak, jak nigdy nie kochała jego, Olafa. Jeśli straci Eirika, wszystko będzie skończone. Pragnął i musiał uratować chłopca, choćby go to miało kosztować własne życie! Odczuwał zarazem jakąś okrutną rozkosz i pragnienie, aby raz wreszcie ugodzić to ciało, które stało między nim i nią, okaleczyć je, przypiekać żywym ogniem. A pomimo to gdzieś, w najgłębszym zakątku duszy, coś dygotało z litości, wzdragało się przed zadaniem bólu bezbronnemu dziecku.

– Nie wrzeszcz tak! – huknął wściekły. – Ty tchórzliwy psie, jak można tak się trząść ze strachu! To przecież nic okropnego... Patrz!

Wsunął ostrze sztyletu pod rękaw koszuli na swej lewej ręce, szarpnął, pociągnął i znów szarpnął. Rozciął kaftan i koszulę aż do ramienia. Prędko zawiął wiszące strzępy, aby mu nie przeszkadzały, ujął obcęgi rozżarzone żelazo i przycisnął je do ciała.

Na ten widok Eirik zamilkł z trwogi i zdumienia, obezwładniony

strachem leżał teraz w ramionach kobiet i patrzył tępo przed siebie. Po chwili wybuchnął na nowo dzikim krzykiem. Olaf miał nadzieję, że natchnie chłopca odwagą, ale udało mu się tylko przerazić go aż do utraty reszty rozsądku. Śwąd spalonego ciała, drganie, jakie przebiegło oblicze ojca, kiedy wyrwał żelazo z rany, przyprawiły chłopca o istne szaleństwo. Krew pociekła po białym ramieniu mężczyzny, kiedy je opuścił; przy rozcinaniu koszuli drasnął się w skórę.

Nagle podniosła się Inguna. Trupio blada, ale zupełnie spokojna wzięła syna do siebie, ścisnęła mu kolanami nogi i owinąwszy rąbkiem niewieściej chusty głowę chłopca schowała ją sobie pod pachę. Drugą ręką chwyciła w przegubie jego rękę i przycisnęła piąstkę do stołu. Służebne pomogły jej przytrzymać Eirika i stłumiły jego niesamowite jęki chustkami, podczas gdy Olaf odciął zakażony palec aż po nasadę, wypalił ranę i przewiązał ją. Uczynił to sprawnie i szybko, sam nie przypuszczał, że potrafi tak zręcznie wykonać zabieg lekarski.

Podczas gdy kobiety zajęły się krzyczącym dzieckiem, zaniósły je do łoża i wlały mu do ust wzmacniający napój, Olaf siedział na ławie. Dopiero teraz czuł silny ból w spalonym miejscu, wstydził się i wściekły był na siebie, że zachował się tak nierozsądnie: zranił niepotrzebnie samego siebie, jak obłąkaniec.

Torhilda przyniosła kurze biało i skrzynkę z wilczymi grzybami. Chciała opatrzeć mu ranę, ale Inguna wzięła jej leki z rąk i odsunęła ją:

– Ja sama opatrzę mojego męża, Torhildo. Idź, przynieś mchu i wytrzyj krew ze stołu!

Olaf wstał i otrząsnął się, jakby chciał się uwolnić od obu kobiet.

– Dajcie spokój. Sam potrafię przewiązać sobie rękę – rzekł opryskliwie. – I przynieście mi inne ubranie, zamiast tego pociętego.

Eirik prędko wracał do zdrowia. Już po tygodniu siedział w łóżu i z apetytem jadł smakołyki, które mu matka zносиła. Nie poniósł widać od tego ukąszenia żadnej innej szkody, jak tylko utratę małego palca.

Olaf nie chciał się z początku przyznać, że oparzelizna na ramieniu daje mu się we znaki; próbował pracować i posługiwać się ręką jak zwykle, wskutek czego rana rozjątrzyła się, zaczęła ropieć i musiał nosić ramię w opasce. Na domiar złego wywiązała się gorączka, ból głowy i silne wymioty, w końcu musiał położyć się i powierzyć leczenie świadomemu rzeczy człowiekowi. Trwało to do samego adwentu i przez cały czas Olaf był w jak najgorszym usposobieniu. Po raz pierwszy, odkąd żyli razem, nie odnosił się życzliwie do Inguny, odpowiadał jej stale szorstko i nie mógł znieść, by mówiono o tym, w jaki sposób odniósł ranę. Służba spostrzegła również, iż bynajmniej nie cieszył się z tego, że gospodyni znowu spodziewa się dziecka.

Kiedy Eirik mógł już wstać i biegać, opowiadał bez końca każdemu o swym nieszczęśliwym wypadku. Był ogromnie dumny z okaleczonej ręki i pokazywał ją każdemu, kto chciał ją oglądać na kościelnym wzgórzu, zaraz pierwszej niedzieli, kiedy ludzie z Hestviken wybrali się na mszę. Pysznił się niezmiernie zarówno czynem ojca, który wydał mu się bohaterstwem, jak i własną odpornością. Gdyby wierzyć Eirikowi, z tej próby hartu wyszedł obronną ręką.

– Ten smarkacz ma doprawdy szatański nałóg, żeby tak łgać – mówił Olaf. – Zobaczysz, Eiriku, kiepsko skończysz, jeśli raz na zawsze nie oduczysz się tego.

Około świętego Błażeja<sup>[44]</sup> zawitał do Hestviken gość, którego nikt się nie spodziewał: Arnvid syn Finna zjawił się pewnego dnia we dworze. Gospodarza nie było w domu, oczekiwano go dopiero po święcie.

Olaf promieniał radością, kiedy wraz z przyjacielem wchodził do izby – Arnvid wyszedł mu naprzeciw. Wziął czarę z piwem, podaną przez Ingunę, przepił do Arnvida i powitał go serdecznie. Po chwili spostrzegł, że Inguna jest zapłakana.

Arnvid powiedział, że przywiózł smutną wieść: Tora na Berg zmarła ubiegłej jesieni. Posłyszawszy, że Arnvid jest już od kilku dni w Hestviken, Olaf zdziwił się nieco: chyba przez cały czas nie martwiła się tak bardzo o siostrę? Nie żyły z sobą zbyt blisko. Zapewne, była jej jedyną siostrą. A Inguna ostatnio szczególnie skora była do płaczu.

Ledwie zjedli wieczerzę, Inguna powiedziała dobranoc, zabrała Eirika i wyszła; tej nocy miała spać w małej izbie niewieściej.

– Wy dwaj najchętniej będziecie spali razem; myślę, że macie sobie wiele do powiedzenia.

Olaf znów się zdziwił: czy sądziła, że mają coś szczególnego do omówienia i dlatego zostawiła ich zupełnie samych? Mogła przecie równie dobrze spać obok, w komorze.

Tak więc ich rozmowa przy dzbanie z piwem toczyła się z początku powoli. Arnvid opowiadał o dzieciach Tory. Wielka szkoda, że żadne z nich nie jest jeszcze pełnoletnie. Olaf pytał o jego własnych synów, Arnvid odparł, że ma z nich pociechę: Magnus rządzi na Miklebö i ożenił się, a Steinar był zmówiony. Finn wstąpił do zakonu dominikanów. Uchodził za zdolnego i w przyszłym roku miano go wysłać do wielkiej szkoły w

---

[44] świętego Błażeja – 3 lutego.

Paryżu.

– A ty nie ożeniłeś się powtórnie?

Arnvid potrząsnął głową. Utkwił swe dziwne, ciemne oczy w przyjacielu i uśmiechnął się słabo, wstydliwie, jak młodzieńczyk mówiący o swej najmilszej.

– Ja także zamierzam wstąpić do klasztoru, zaraz po weselnych godach Steinara.

– Więc ty również nie zmieniłeś swego zamiaru? – rzekł Olaf z uśmiechem.

– Również? – spytał mimo woli Arnvid.

– W takim razie obydwaj, ojciec i syn, będziecie w klasztorze razem.

– Tak – Arnvid śmiał się cicho. – Jeśli Bóg pozwoli, może się rzecz tak odwrócić, że będę musiał słuchać własnego syna i zwać go ojcem.

Milczeli chwilę. Po czym Arnvid zaczął znowu:

– Właściwie z polecenia klasztoru jesteśmy tu, na południu, ojciec Vegard i ja. Pragniemy po pożodze odbudować nasz kościół z kamienia, lecz biskup Torstein sam potrzebuje tego roku ludzi. Mamy się więc rozejrzeć w Oslo i nająć tam kamieniarzy. Ojciec Vegard prosił, abyś przyjechał do Oslo i, o ile to możliwe, zabrał także Ingunę. Chce was widzieć.

– Inguna nie może teraz nigdzie jechać, widziałeś sam. Ale ojciec Vegard musi być już chyba bardzo leciwy.

– O, tak, ma pewnie ze siedemdziesiąt lat. Jest teraz zakrystianem. Tak, miałem ci powiedzieć, że musisz koniecznie przyjechać. Chce ci powiedzieć pewną rzecz – Arnvid spuścił oczy i ciągnął z lekkim przymusem – o twym toporze. Dowiedział się o nim mianowicie ciekawych rzeczy. Podobno ma to być ten sam, który ongiś znajdował się na Dyfrynie, w Raumarike, w czasach, kiedy żyli tam twoi przodkowie.

– Wiem o tym – rzekł Olaf.



– Ojciec Vegard posłyszał całą sagę o tym toporze. Powiada, że dawniej podobno śpiewał przed każdym zabójstwem.

Olaf skinął głową.

– Sam słyszałem niegdyś jego śpiew, tego dnia, kiedy stałem w gospodzie klasztornej przed jazdą na północ; wiesz, ostatnim razem, kiedy bawiłem u ciebie na Miklebö...

Arnvid milczał chwilę. Potem rzekł cicho:

– Powiedziałeś mi wówczas, że zgubiłeś siekierę w drodze?

– Nie byłem chyba na tyle głupi, aby taszczyć się z tą olbrzymią, diabłą siekierą przez las. – Olaf parsknął krótkim, urywanym śmiechem.

– Wziąłem ze sobą mały toporek ciesielski, wystarczył mi w zupełności. Prawdą jest jednak, że Attarfylgia zadzwięczała tego dnia. Pewnie miała ochotę mi towarzyszyć.

Arnvid siedział w milczeniu, z rękami splecionymi na stole. Olaf podniósł się i niespokojnie przemierzał izbę. Nagle przystanął. Głośno i zawzięcie zapytał:

– Czy nikt się nie dziwił... czy nigdy nie było gadania, że ów Teit syn Halla zniknął tak nagle z Hamaru?

– Hm, to i owo gadano o tym, ale ludzie zadowolili się przypuszczeniem, że obleciał go strach przed synami Steinfinna.

– A ty? Czyś się nigdy nie zastanawiał nad tym, co się z nim stało?

Arnvid odparł cicho:

– Niełatwo mi odpowiedzieć na to pytanie, Olafie.

– Nie boję się usłyszeć tego, co myślałeś.

– Dlaczego chcesz, abym o tym mówił? – szepnął Arnvid niechętnie.

Olaf milczał sporą chwilę. Gdy znów zaczął mówić, miało się wrażenie, że waży każde słowo. Nie patrzył jednak na druha:

– Inguna opowiedziała ci zapewne, jak nam się tu wiodło przez te lata. Sądziłem, że dzieje się tak dlatego, ponieważ Bóg chce, abym chłopcu

uiścił okup za tego człowieka, którego wyprawiłem na tamten świat. Ten obwieś – Olaf znów się roześmiał – zupełnie oszalał i wpadł na pomysł, by się ożenić z Inguną. Chciał żywić ją i dziecko, jak mówił. Musiałem go usunąć z drogi, rozumiesz chyba...

– Rozumiem, że sądziłeś, iż się musiał – odparł Arnvid.

– On natarł pierwszy. Rzecz nie wyglądała wcale tak, że zwabiłem tego chłopca w zasadzkę. Przyszedł sam, narzucał mi się wprost. Miałem mu pomóc jak człowiek, który kupuje męża dla swej nałożnicy, gdy chce się jej pozbyć.

Arnvid siedział cicho. Olaf unosił się coraz bardziej:

– Tak gadał, śmiał mówić w ten sposób o Ingunie!

Arnvid kiwał głową. Przez chwilę panowała cisza. Potem Arnvid odezwał się z wahaniem:

– Znalaziono w zgliszczach kości jakiegoś człowieka wiosną, kiedy mój dzierżawca z Sandvold przyszedł na halę. To pewnie był on...

– Do licha! Więc to był twój szalaś! w takim razie... w takim razie mogę ci przynajmniej zapłacić odszkodowanie.

– Ach, Olafie, przestań! – Arnvid podniósł się nagle, twarz jego ściągnęła się. – Po co mówisz to wszystko, w jakim celu? Po tylu długich latach?

– Tak było, Arnvidzie. I od tego czasu co dnia myślałem o tej sprawie i nigdy nie zwierzyłem się z niej nikomu. Dopiero dzisiaj tobie o tym mówię. Pochowano go chyba w poświęconej ziemi?

– Tak.

– Od jednego zmartwienia więc jestem wolny. Nad tym przynajmniej nie muszę się głowić. Mogłem sobie przez te wszystkie lata oszczędzić frasunku, że zostawiłem chrześcijańskie zwłoki bez pochówku. I nikt nie pytał, nikt nie dociekał, kto to był, ten człowiek, którego kości znalaziono?

– Nie.

– To jednak dziwne.

– Ach, wcale nie takie znów dziwne. Moi ludzie czynią przeważnie to, czego ja chcę, jeżeli dam im do poznania, czego chcę.

– Ależ tego nie powinieneś był zrobić! – Olaf ścisnął kurczowo rękę.  
– Byłoby lepiej dla mnie, gdyby ta historia wyszła na jaw, gdybyś mi nie pomógł przeprowadzić mego zamiaru, aby ją ukryć. Ale żeś ty przyczynił się do czegoś podobnego! Ty, człowiek tak bogobojny!

Arnvid wybuchnął nagle głośnym śmiechem, śmiał się tak, że aż musiał przysiąść na ławie. Olaf wzdrygnął się patrząc na przyjaciela. Wzburzony powiedział:

– Brzydki masz zwyczaj śmiać się, kiedy mowa o zupełnie... innych rzeczach. Tego musisz się oduczyć, jeśli masz zostać mnichem.

– Tak, tak, na pewno. – Arnvid otarł oczy rękawem. Olaf mówił dalej, podniecony w najwyższym stopniu:

– Ty nie próbowałeś nigdy żyć w nieprzyjaźni z Chrystusem, stać przed Nim jako kłamca i zdrajca, ilekroć przestąpiłeś próg Jego domu. Ja to robiłem co dnia, odkąd – tak, teraz będzie już osiem lat temu... Tu, w gminie, mają mnie za pobożnego człowieka, bo obdarowuję, jak tylko mogę, kościół i klasztor w Oslo i rozdaję jałmużnę, słucham mszy, ilekroć mam okazję, nawet dwa i trzy razy dziennie, gdy jestem w mieście. Powiedziane jest: Miłuj Pana Boga twego całym sercem i całą duszą – i chyba Bóg musi wiedzieć, że to czynię. Nie wiedziałem, że można tak bardzo kochać, póki sam nie zerwałem z Nim i nie straciłem Go!

– Dlaczego mnie to mówisz? – spytał Arnvid zgnębiony. – Powinieneś raczej mówić o takich sprawach z twym kapłanem.

– Nie mogę. Nie spowiadałem się nigdy z zabójstwa Teita... – A gdy Arnvid milczał, rzekł porywczo:

– Odpowiedz mi. Czy nie możesz mi dać jakiejś rady?

– Zbyt wiele, Olafie, żądasz ode mnie. Nie mogę ci dać żadnej innej

rady, niż tę, którą by ci dał twój spowiednik. Nie mogę ci dać innej rady niż tę, którą znasz sam... A to nie jest rada, jaką byś chciał posłyszeć – dodał po chwili widząc, że Olaf zatrzymał się i milczy.

– Nie mogę. – Oblicze Olafa zbiałało i jak gdyby zdrętwiało. – Muszę przecież myśleć o Ingunie więcej niż o sobie samym. Nie mogę jej skazać na to, aby żyła samotna, schorowana i bez radości, wdowa po zabójcy i złoczyńcy...

Arnvid odparł niepewnie:

– Nie jest wykluczone, nie jest chyba zupełnie wykluczone, że biskup potrafi znaleźć jakieś wyjście, skoro stało się to już przed laty i nikogo niewinnego nie skazano, a zabity zgrzeszył ciężko wobec ciebie i walczyliście ze sobą. Być może, biskup znajdzie jakieś wyjście, aby pogodzić cię z Chrystusem i udzielić ci odpuszczenia, nie żądając, abyś oskarżył się o morderstwo przed sądem ludzkim.

– To wydaje się mało prawdopodobne.

– Nie wiem – rzekł cicho Arnvid.

– Nie mogę ryzykować. Znaczy to zbyt wiele dla tych, których obowiązany jestem osłaniać i strzec. W takim razie równie dobrze mogło się nie stać to wszystko, co uczyniłem, by ocalić cześć Inguny. Czy myślisz, że nie wiedziałem, że gdybym zaraz wówczas zgłosił zabójstwo, uważano by to za rzecz drobną? Bez znaczenia było, czy ten człowiek żył, czy nie, a gdybyście wy stanęli po mojej stronie i oświadczyli, że kobieta, którą on uwiódł, należała do mnie... Lecz Inguna nie wytrzymałaby tego, zawsze była taka słaba! A tu, w gminach, dowiedziano by się o niej teraz wszystkiego, teraz, kiedy jest u kresu sił.

Minęła chwila, zanim Arnvid mógł odpowiedzieć:

– Pytanie, czy wytrzyma lepiej to, co jest. Jeśli i tym razem powiedzie się jej jak dotąd, jeśli straci i to dziecko...

Drżenie przebiegło twarz Olafa. Arnvid dodał:

– Jakkolwiek będzie, wiele razy już tego nie wytrzyma.

– Ach, nie mów tak – szepnęła Olaf. – A prócz tego jest Eirik – zaczął po chwili. – Ślubowałem Bogu, że Eirik będzie żył w tych samym warunkach co mój rodzony syn.

– Czy myślisz, że to cokolwiek pomoże ofiarować Bogu wszystko możliwe, obiecać Mu wszystko, czego nigdy nie żądał, prócz tego jednego, o co u ciebie żebrze?

– To jedno jest wszystkim, Arnvidzie. To jest cześć. Może... życie. Bogu wiadomo, że nie bardzo się boję je stracić. Ale stracić je jako złoczyńca...

– Pamiętaj, że wszystko, co posiadasz, pochodzi od Niego. I że On sam poniósł śmierć złoczyńcy, by odpokutować za to, co myśmy popełnili.

Olaf przymknął oczy:

– Mimo to nie mogę – rzekł niemal niedosłyszalnie. Arnvid odezwał się:

– Wymieniłeś Eirika. Czy nie wiesz, Olafie, że prawnie nie wolno ci uczynić czegoś podobnego: ślubować, że podsuniesz dziedzica? w ten sposób oszukujesz własnych krewnych.

Olaf zmarszczył gniewnie czoło:

– Ci ludzie z Tveit... Nigdy ich nie widziałem i nie odnosili się do mnie jak krewni, kiedy byłem młody i bardzo potrzebowałem ich pomocy.

– Zjawili się, kiedyś wyruszył do Szwecji.

– Mogli równie dobrze pozostać w domu. Niewielki z nich miałem pożytek. Nie, wolę już raczej, aby syn Inguny otrzymał Hestviken.

– Bezprawie nie stanie się przez to prawem, Olafie. I oboje, ani ty, ani ona, nie wiecie, czy chłopcu przyniesie to szczęście, że chcecie mu ofiarować dar, który mu się nie należy.

– Ach, tak. Inguna opowiadała ci pewnie o tym, o czym bezustannie myśli: że ja nienawidzę jej syna i źle mu życzę. To nieprawda – zachnęła

się. – Zawsze pragnąłem tylko dobra Eirika; ona jest winna temu, że dziecko wyrodnieje, ona uczy bać się mnie, kłamać i wymykać się spod mojej opieki.

Dojrzał wyraz twarzy Arnvida i potrzęsął głową.

– Nie, nie obwiniam jej. Biedaczka nie potrafi inaczej. Ja również nie zmieniłem swego zamiaru, Arnvidzie. Pamiętasz? Przynależem ci niegdyś, że nie zdradzę nigdy twojej krewnej. I nie żałowałem tego nigdy. Choćby moja ostatnia godzina była nie wiem jaka, będę dziękował Bogu, że wstrzymał moją rękę, kiedy nasza mnie pokusa, aby jej zadać ból, że objawił mi, nim było za późno, że mam ją chronić i podtrzymywać w miarę moich sił. Gdybym ją odnalazł po latach, dotkniętą trędem, i wówczas pamiętałbym chyba, że była zawsze moim najdroższym przyjacielem przez te wszystkie lata, kiedy byłem dzieckiem i wychowywano mnie wśród obcych.

Arnvid odparł spokojnie:

– Gdybyś uważał, Olafie, że łatwiej ci przyjdzie coś zrobić dla odzyskania Boga, jeżeli nie będziesz musiał dbać o twoich, przyrzekam ci zając się Inguną i chłopcem jak brat. Wezmę ich do siebie, jeśli zajdzie tego potrzeba.

– Oddałeś przecie Miklebö Magnusowi. I sam chcesz wstąpić do klasztoru? – Olaf powiedział to jakby trochę drwiąco.

– Mimo to nie wypuściłem z rąk całego dobytku. A jeżeli wytrzymałem tak długo na świecie, to mogę wytrzymać na nim aż do ostatniego tchnienia, jeśli to konieczne i jeśli moja obecność potrzebna jest bliskim krewnym.

– Nie, nie – rzekł Olaf jak przedtem. – Nie chcę, abyś nawet myślał o czymś podobnym, czy to przez wzgląd na mnie, czy na innych, o których dbać ja przede wszystkim powinienem!

Arnvid siedział zapatrzony w dogasający żar na palenisku; czuł, że

przyjaciel stoi obok w półmroku. „Chciałbym wiedzieć – myślał w duchu – czy on nie rozumie, że brzemię, jakim mnie tej nocy obarczył, nie jest wcale lżejsze.”

Olaf przyciągnął nogą zydel i usiadł obok paleniska, twarzą zwrócony do przyjaciela.

– Powiedziałem ci dzisiaj wiele, ale nie to, co zamierzałem powiedzieć. Powiedziałem ci, że dniem i nocą tęsknię za tym, by pojednać się z Chrystusem, naszym Panem, i powiedziałem ci, że nasz Pan i Król nigdy nie zdawał mi się tak bez miary godzien miłości jak wówczas, kiedy zrozumiałem, że nazaczył mnie piętnem Kaina. Mnie samego dziwi ta tęsknota, bo nigdy nie widziałem, aby był tak srogimi wobec innych jak wobec mnie. Ja popełniłem tę jedną zbrodnię i byłem wówczas tak wstrząśnięty, że sam już nie pamiętam, jakie myśli snuły mi się po głowie. Popełniłem ją jednak dlatego, że sądziłem, iż Inguna będzie jeszcze nieszczęśliwsza, jeżeli tego nie uczynię, jeżeli choćby za cenę zabójstwa nie ocalę nędznej resztki jej czci. A potem wszystko przyszło mi tak lekko, zupełnie jak gdyby ktoś tego chciał: Teit błagał o to, abym się z nim wybrał, i nikt nie zauważył, że razem wyruszyliśmy. Gdyby jednak Bóg albo mój orędownik niebieski i Maryja Dziewica skierowali tego wieczoru nasze kroki do jakiegoś zamieszkałego dworu, a nie na głuche hale pod Luraasen, wszystko wzięłoby inny obrót.

– Chyba nie modliłeś się do Boga ani Jego Świętych, aby pomogli ci w twoim zamiarze, zanim wyruszyłeś?

– Nie jestem zupełnie pewny. Nie, akurat wtedy nie modliłem się, ale w czasie Wielkanocy nic innego nie robiłem, tylko modliłem się i czułem przez cały czas szczególną niechęć do tego, by go zabić. Wszystko zaś ułożyło się po prostu tak, abym to uczynił i potem usiłowałem ukryć zbrodnię. Bóg Wszechwiedzący wiedział również lepiej ode mnie, dokąd ta droga wiedzie. Czemu w takim razie nie wstrzymał mnie?

– Tak mówimy wszyscy, Olafie, gdy postępujemy według naszej woli, a potem okazuje się, że byłoby lepiej, gdybyśmy... Poza tym myślimy wszyscy, i ty też tak myślałeś, że sam najlepiej potrafisz osądzić, co jest dla ciebie najlepsze.

– Tak, tak. W każdej jednak innej sprawie, poza tym jednym czynem, postępowałem zawsze uczciwie i rzetelnie wobec każdego, o ile to było w mojej mocy. Niczego, co posiadam, nie zdobyłem bezprawnie, nie roznosiłem o nikim złych plotek, przeciwnie, skręcałem im łeb, kiedy docierały do mojego progu, chociaż nieraz wiedziałem, że są prawdziwe. Dochowałem wierności żonie i rzecz wcale tak nie wygląda, jak ona sądzi, ja nie żywię złości do chłopca. Odnoszę się do niego tak samo, jak większość mężów odnosi się do własnych synów. Powiedz mi, Arnvidzie, ty lepiej znasz się ode mnie na tych sprawach, przez całe życie byłeś pobożnym człowiekiem i wszystkim wyświadczałeś usługi, czy nie mam słuszności mówiąc, że Bóg okrutniej postępuje ze mną niż z innymi? Widziałem więcej świata aniżeli ty – Arnvid siedział tak, że Olaf nie dojrzał uśmiechu na jego twarzy – w tych latach, kiedy wygnany z kraju siedziałem u wuja i potem w służbie u jarla. Widziałem ludzi, którzy obarczali dusze wszystkimi siedmioma grzechami głównymi, którzy tak okropnie popełniali zbrodnie, że ja nie mógłbym nigdy przyłożyć ręki do takich uczynków, chociażbym nawet wiedział, że Bóg odtrącił mnie już od siebie i skazał na piekło. Ci ludzie nie bali się Boga i nigdy nie zauważyłem, aby myśleli o Nim z miłością lub tęsknili za pojednaniem się z Nim, a mimo to żyli zadowoleni i spokojni i wielu spośród nich miało lekką śmierć, na własne oczy to widziałem.

Dlaczegoż więc my dwoje, ona i ja, nie możemy znaleźć spokoju i radości? Wydaje się niemal, jakby Bóg prześladował mnie na każdym kroku, jakby nigdy nie zsyłał mi spokoju i zadowolenia, tylko wciąż żądał ode mnie rzeczy niemożliwych, których nie żąda od innych...



– Jakżeż ja, człowiek świecki, mogę ci odpowiedzieć na to, Olafie? Jedź ze mną do miasta, pomów z ojcem Vegardem.

– Może naprawdę tak zrobisz – rzekł Olaf cicho. – Ale przedtem ty musisz mi powiedzieć, dlaczego mój los jest o tyle cięższy od losu innych?

– Nie wiesz wszystkiego o tych, o których mówisz. Jeśli czujesz, że Bóg idzie za tobą, powinieneś sam zrozumieć: dzieje się to dlatego, że nie chce cię stracić.

– Ale urządził wszystko tak, że nie mogę zawrócić. – To chyba nie Bóg pokierował tobą w ten sposób.

– Ja sam także nie. Zdaje mi się, że musiałem zrobić tak, jak zrobiłem, w moim ręku leżało życie i szczęście Inguny. Początek cała sprawa wzięła stąd, że ród synów Steinfinna chciał mnie okpić i obalić małżeństwo przyrzeczone memu ojcu. Czy miałem się zgodzić na to, miałem im ustąpić? Zawsze słyszałem, że Bóg żąda, aby każdy chrześcijanin zwalczał bezprawie i przekraczanie ustaw. Byłem wówczas dzieckiem, nieświadomym praw, nie znałem innej drogi, aby sobie je zawarować jak tę, że sam wziąłem sobie narzeczoną, zanim ją oddano innemu.

Arnvid wybąkał z trudem:

– Tę odpowiedź dałeś mi również wówczas, gdy mówiłem z tobą o tym, jak postąpiłeś z moją krewną. Pamiętasz, Olafie, że wtedy... że nie mówiłeś wtedy prawdy? Olaf zaskoczony podniósł szybko głowę. Odczekał chwilę:

– Pamiętam. I myślę – dodał spokojnie – że większość mężczyzn w moim położeniu uczyniłaby to samo.

– Zapewne.

– Więc sądzisz – spytał Olaf szyderczo – że ręka Boża dlatego tak cięży nade mną i nad Inguną, że wtedy skłamałem przed tobą?

– Tego nie wiem...

Olaf odwrócił niechętnie głowę:

– Nie mogę sobie wyobrazić, aby to było aż tak wielkim grzechem. Słyszałem, jak niejeden mąż kłamał gorzej i bez potrzeby, a Pan Bóg ani palcem nie kiwnął, by go ukarać. Nie rozumiem więc Jego sprawiedliwości, która mnie osądza tak surowo!

– Małoduszne muszą być twoje myśli o Bogu – szepnęła Arnvid – jeśli mierzysz sprawiedliwość Bożą ludzką miarą. Ani dwójga spośród nas, dzieci Ewy, nie ulepił Pan jednakowo. Czyż miałby więc żądać tego samego wzrostu od wszystkich stworzeń, skoro tak nierównymi obdzielił je darami? Niegdyś, za młodych lat, uważałem cię za najbardziej prawdomównego, najsprawiedliwszego i najbardziej wielkodusznego młodzieńca; obca ci była zdrada i okrucieństwo. Bóg tchnął w ciebie spuściznę po prawych i wielkich przodkach...

Olaf podniósł się i stał do głębi wstrząśnięty.

– Zdaje mi się, że jeżeli tak było, jeśli sprawa ma się istotnie tak, jak mówisz – a prawdą jest, że nieraz bałem się postąpić tak, jak inni robią bez namysłu dla bardziej błahych przyczyn... Zdaje mi się, że to, co nazywasz darami Bożymi, można by również nazwać nieznośnym brzemieniem, jakim Bóg mnie obarczył, dając mi życie.

Arnvid zerwał się również. Zbliżył się do przyjaciela i stanął przed nim, niemal groźny:

– Niejeden człowiek miałby prawo tak mówić – o naturze i darach, w jakie został wyposażony... Jeżeli nie ma nieugiętej wiary w Zbawiciela, łatwo mógłby sądzić, iż został zrodzony po to, by być największym nieszczęśnikiem.

Postawił stopę na krawędzi paleniska; z ręką wspartą na kolanie stał pochylony i spoglądał w żarzące się polana:

– Dziwiłeś się nieraz, że tęskniłem za tym, aby odwrócić się od świata – ja, który posiadałem dostatek i więcej władzy, niż mogłem jej użyć oraz szacunek ludzki. Nazwałeś mnie pobożnym, powiedziałaś, że byłem dla

wszystkich miłosierny. Kto wie, może tobie się zdaje, że kochałem mych bliźnich?

– Sądziłem, że z dobrego serca pomagasz każdemu, kto się do ciebie zwracał, i że dlatego współczujesz każdemu, kto popadł w trudności.

– Współczuję, ach tak. Niejeden raz miałem ochotę wadzić się z moim Stwórcą, ponieważ uczynił mnie takim, że nie mogłem postępować inaczej; musiałem współczuć wszystkim ludziom, mimo że nie mogłem kochać żadnego.

– Myślałem – przerwał Olaf cicho – że wspierałeś radą i czynem Ingunę i mnie, ponieważ byłeś naszym druhem. Więc jedynie przez wzgląd na Boga opiekowałeś się nami?

Arnvid zaprzeczył ruchem głowy:

– Nie, tak nie było. Kochałem cię już od naszej młodości, a Ingunę miłowałem jeszcze, gdy była małą dziewczuszką. Mimo to niejeden raz miałem tego wszystkiego po uszy. Nieraz życzyłem sobie nade wszystko, abym wreszcie miał spokój z waszą sprawą.

– Szkoda, żeś mi tego wcześniej nie dał do zrozumienia – rzekł zimno Olaf. – Dręczyłbym cię wtedy o wiele mniej.

Arnvid znowu potrząsnął głową:

– Nie, nie. Ty i Inguna byliście moimi najlepszymi przyjaciółmi. Ale nie jestem pobożny ani dobry. I nieraz męczyło mnie to wszystko. Pragnąłem być inny, pragnąłem być człowiekiem twardego serca, jeżeli nie potrafię być naprawdę wyrozumiałym i pozwoić Bogu, by osądzał ludzi sam. Żył ongi we Francji pewien świętobliwy pustelnik, który z miłości do Boga podjął się zbożnego dzieła: oto dawał nocleg w swej chacie wędrowcom idącym przez las, w którym mieszkał. Pewnego wieczoru przyszedł jakiś żebrak i prosił pustelnika o nocleg. Cały pokryty był trądem, straszliwie zniszczony chorobą, szyderczy i szorstki w słowach; lżył i natrząsał się z usług pustelnika. Julian – tak zwał się ów mąż świętobliwy – rozebrał

biedaka, obmył i opatrzył jego rany i ucałował je, po czym położył go do łóżka. Żebrak udawał, że marznie, i rozkazał Julianowi, aby położył się obok niego i zagrzał go. I Julian to uczynił. Wówczas jednak cała szpetota, trąd i złość opadły z obcego, niby czapka-niewidka – i Julian pojął, że gości w swej chacie samego Chrystusa.

Mnie wiodło się podobnie: ilekroć myślałem, że nie mam już siły zniesić tych wszystkich ludzi, którzy przychodzili do mnie, okłamywali mnie, obarczali swymi sprawami, domagali się rady, a robili potem według własnego upodobania, mnie zaś oskarżali, gdy sprawa brała zły obrót i byli zawistni i źli na każdego, kto według nich lepszej doznał pomocy, w takich razach zdawało mi się, że ci ludzie są poprzebierani i że pod przebraniem ujrzę któregoś dnia mojego Zbawiciela i Przyjaciela. Do pewnego stopnia istotnie tak było; przecież On powiedział: Cokolwiek uczynicie dla jednego z moich maluczkich... Lecz nigdy nie chciałem rzucić czapki-niewidki i objawić mi się w jednym z nich.

Olaf usiadł z powrotem na zydlu i twarz ukrył w dłoniach. Arnvid ciągnął jeszcze ciszej:

– Przypominasz sobie, Olafie, słowa, które wyrzekł Einar syn Kolbeina owego wieczoru, i które mnie tak rozgniewały, że chwyciłem za broń?

Olaf przytaknął.

– Byłeś wtedy taki młody, nie wiedziałem, czyś to zrozumiał?

– Zrozumiałem później.

– A potem te plotki o Ingunie... i o mnie?

– Hallvard przebąkiwał coś o tym, kiedy byłem na północy po chłopca.

Arnvid kilka razy zaczerpnął głęboko tchu:

– Nie jestem na tyle święty, aby jedno i drugie nie dokuczyło mi do żywego. I czasem zdawało mi się, że Bóg powinien mi być użyteczny tego jednego, o co Go prosiłem: powinien był pozwolić, abym służył Mu w takich warunkach, w takiej szacie, w której wolno by mi było świadczyć

miłosierdzie, jak tylko umiałem, a ludzie nie musieliby sobie strzepić języków za moimi plecami i szargać mojej czci ani też nazywać mnie pocziwym głupcem. I nie musieliby przypuszczać o mnie najgorszych rzeczy dlatego tylko, że po śmierci Tordis nie wziąłem sobie żony ani nałożnicy. – Podniósł zaciśniętą pięść, uderzył nią twardo o drugą. – Często miałem ogromną ochotę dobyć topora i rozprawić się z tą całą hołotą!

Przez dwa następne dni pobytu Arnvida w Hestviken przyjaciele chodzili z sobą małowólni i onieśmieleni. Obu gnębiła myśl, że zbyt wiele powiedzieli sobie tego wieczoru. Teraz zdawało im się, że z trudem mogą mówić swobodnie nawet o drobnostkach.

Olaf odprowadził konno Arnvida spory kawał wzdłuż fiordu, ale w połowie drogi do miasta oświadczył, że musi zawrócić. Wyciągnął z fałd szaty jakiś twardy, owinięty w płótno przedmiot. Arnvid wyczuł srebrną czarę na nóżce, którą Olaf niedawno pokazywał. Olaf polecił mu ofiarować czarę klasztorowi w Hamarze.

– Tak cenny dar powinieneś wręczyć osobiście ojcu Vegardowi – zauważył Arnvid.

Olaf odpowiedział, że musi przed wieczorem wrócić do domu.

– Nie jest jednak wykluczone – dodał – że wybiorę się wkrótce do Oslo i odwiedzę go.

Arnvid powiedział:

– Wiesz przecież dobrze, Olafie, że daremne jest okupywanie sobie pokoju darowiznami, póki żyjesz tak jak teraz...

– Wiem i nie z tej przyczyny ofiarowuję czarę. Zmusza mnie coś do tego, aby obdarzyć wasz kościół. Spędziłem w starym kościele Świętego Olafa niejedną szczęśliwą godzinę.

Po czym pożegnali się i każdy pojechał w swoją stronę.

Olaf nie przyjechał jednak do Oslo. Arnvid mówił o tym z ojcem Vegardem; oświadczył, że Olafowi trudno zapewne wybrać się, póki Inguna nie może mu towarzyszyć. Ona zaś martwi się bardzo, że nie może widzieć nauczyciela swej młodości, teraz gdy ten przebywa tak blisko. Arnvid podsunął myśl, aby mnich najął sanie i pojechał kiedy do Hestviken. Ojciec Vegard miał ochotę na te odwiedziny. Był jednak niezdrowy i od czasu przybycia do Oslo czuł w całym ciele silne bóle. Na świętego Piotra chwycił ostry mróz. W parę dni potem starzec zachorował ciężko na zapalenie płuc i trzeciej nocy zmarł. Arnvid musiał więc zupełnie sam godzić się z kamieniarzami i miał huk roboty, nim wybrał się z powrotem na północ.

Olafowi udało się nakłonić Ingunę, aby pozostała w łóżu przez te dni, kiedy było tak zimno. Była już w ostatnich tygodniach ciąży i poruszała się z trudem, a oprócz tego odmroziła sobie stopy, tak że potworzyły się na nich wielkie, otwarte rany. Olaf sam zajął się nimi i smarował je lisim sadłem oraz świńską żółcią. Od czasu odjazdu Arnvida odnosił się łagodnie i z troskliwością do żony; uparta niechęć, jaką okazywał jej jesienią i zimą, znikła zupełnie.

Inguna leżała skulona pod skórą; szeptem, pokornie dziękowała Olafowi za każdą przysługę. Niemo i z poddaniem ugiwała się pod niechęcią i szorstkimi słowami męża, teraz przyjmowała jego tkliwą opiekę niemal tak samo, łagodnie i bez słowa. Olaf nieraz po kryjomu spoglądał na nią, kiedy leżała godzinami bez ruchu, z oczami wlepionymi przed siebie, nie mrużąc nawet powiek. Dawna, dzika trwoga budziła się w nim na nowo; chociaż nie miał z niej żadnej radości ani pożytku, nie

może, nie może jej stracić!

Inguna była zadowolona, że wolno jej w ten sposób się ukryć. Doszło do tego, że wstydziła się okropnie, ilekroć była w ciąży. Już przy dwojgu pierwszych dzieciach dręczyło ją i onieśmiało to, że jest brzydka. Drwiny Dalii wżarły się jej w duszę, nie mogła ich zapomnieć. Kulila się stając przed Olafem, a gdy był z dala od niej, miała wrażenie, że załamię się, gdy nie będzie mogła z niego czerpać siły.

Gdy z biegiem lat okazywało się, że nie może dać życia ani jednej z tych istot, które kolejno dźwigała w swym łonie, opanowała ją trwoga przed własnym ciałem. Musiała chyba w jakiś tajemny sposób być naznaczona piętnem straszliwym jak trąd, że zarażała śmiercią nieurodzone dzieci. Jej krew i szpik zostały wyssane, młodość i wdzięk zniszczone do ostatka przez te niesamowite stworzenia, które jakiś czas żyły swym życiem w ukryciu, pod matczynym sercem, a potem gasły. Zawsze tak było, póki nie poczuła pierwszych ostrzegawczych bólów, niby szponów w krzyżu, póki obce niewiasty nie zaprowadziły jej do małej izby, w najbardziej na wschód wysuniętej części podwórza i nie powierzyła się ich dłoniom, bojąc się okazać przeraźliwą trwogę, która ścisnęła jej serce. A kiedy potem przedarłszy się przez bóle leżała wyczerpana i bezkrwista, nie posiadała już niczego: dziecko, jak gdyby pochłonięte przez noc, wracało z powrotem w ciemność, a ona, matka, nie miała nawet jego imienia ani żadnego znaku po nim, aby je móc tam odszukać. Ostatnich nie donoszonych niemowląt nie pozwoliły jej położyć nawet obejrzeć.

Potem myślała znowu, że z Audunem było jeszcze gorzej. Jednoroczne dziecko, które straciła, potrafiło już w różny sposób okazać, że poznałe matkę: synek chciał być zawsze przy niej i kochał ją gorąco. Zapewne robi to i teraz. Kiedy śpiewano w litanii słowa: *Omnes sancti Innocentes, orate pro nobis*, Audun był jednym z niewiniątek. W ogniu czyścicowym dowie się, że Audun jest jednym z świętych, którzy modlą się za nią.

A gdy wybije jej ostatnia godzina, może sam Pan albo Jego szczęśliwa Matka rzekną do Auduna: Idź, wyjdź twej matce naprzeciw.

Jak powiedzie się jej tym razem, nie śmiała nawet myśleć.

Kiedy mężczyźni i Olaf z Eirikiem wchodzili koło południa do izby, niespokojne, pełne głębokiego napięcia życie budziło się w dużych, zmęczonych oczach chorej. Olaf zauważył, że leży bardzo przytomna, śledzi każde poruszenie w jego twarzy i łowi każde słowo, ilekroć przebywał z chłopcem. Zawsze pilnował się i nie dawał po sobie poznać, gdy Eirik chwilami drażnił go lub niecierpliwił.

Chłopak był nieraz trudny do zniesienia. Obecnie, kiedy podrósł i wrodzone cechy wystąpiły wyraźniej, Olaf nie bardzo go lubił.

Był hałaśliwy, gadatliwy, pełen przechwałek i zmyślonych historyjek. Nie przystało to komuś, kto miał wyrosnąć na prawdziwego męża. Nawet wówczas, gdy mężczyźni siedzieli u stołu, zmęczeni pracą, usta nie zamykały się Eirikowi ani na chwilę. Pośród pacholek dworskich był ów Arnketil, czy też Anki, jak go zwano; Olaf miał go u siebie już od sześciu lat i parobek miał z górą lat dwadzieścia, lecz był słaby na umyśle, niemal głupi, mimo że do niektórych robót nadawał się doskonale. Ten Anki był zawsze najlepszym przyjacielem Eirika. Przekomarzali się ze sobą na pół żartem, potem zaczynali krzyczeć, Eirik rzucał się na parobka, okładał go kułakami i szarpał, póki nie wciągnął go do zabawy, szturchali się i tarzali po podłodze, wśród śmiechów i wrzasków, nie dbając o to, że w izbie siedzą ludzie starsi, potrzebujący spokoju i odpoczynku. Eirik był również bardzo nieposłuszny; jeśli ojciec pouczał go albo zakazywał mu czegoś, chłopiec zapominał o tym natychmiast.

Olaf trapił się bardzo tym, że Eirik tak mało miłości okazuje matce.



Wprawdzie sam czuł, że jest w tym coś nienaturalnego; dawniej martwiło go, że matka i syn tulą się do siebie za jego plecami. Teraz jednak był zły, że Eirik cały dzień kręci się między mężczyznami na dworze, nigdy nie wchodzi do izby i nie siada przy chorej matce. Olaf sam wyuczyl chłopca paru pacierzy przed kilku laty, kiedy zauważył, że Inguna zdaje się nie pamiętać, iż już czas na to. Obecnie po odmówieniu własnego pacierza, co wieczór kazał Eirikowi odmawiać *Ojcze nasz* i trzy *Zdrowaś* za matkę. Chłopiec trzepał szybko pacierze, podczas gdy ojciec stał nad nim; już przy ostatnim *Ave* podnosił się z kłęczek, przy słowach *In Nomine* wczołgiwał się na pościel, szybko robił znak krzyża i dawał nura pod skórę w północnym łożu, gdzie teraz spał razem z ojcem. Zasyział natychmiast, a gdy Olaf kończył smarować poranione nogi Inguny i podchodził do łoża, Eirik leżał zazwyczaj zwinięty w kłębek na samym środku, tak że Olaf musiał go prostować i przesuwac ku ścianie, by samemu miec miejsce.

Nieraz czuł Olaf bolesne ukłucie w sercu: kiedy Eirik zbliżał się do niego ze swym głupim gadaniem i chełpił się, że swymi drobnymi niezręcznymi przysługami dopomógł w czymś ludziom. „Gdyby ten chłopak był taki, abym go mógł kochać!” – myślał Olaf zgnębiony. W swym niemądrym, prostodusznym sercu Eirik zdawał się nie przeczuwać wcale, że ojciec nie ceni bynajmniej jego towarzystwa, tak jak on towarzystwo ojca. Olaf powziął raz na zawsze postanowienie: uznał to dziecko za swoje i wywyższył je, aby mu dać po śmierci swoje miejsce tu, na Hestviken... Chociaż Bóg raczył wiedzieć, czy Eirik nadawał się do tego, by zostać gospodarzem w wielkim dworze; rozpuszczony gaduła, kłamca, chełpliwy tchórz, niewytrzymały na ból i nie mający zrozumienia dla godnego zachowania się i spokojnego sposobu bycia: takim był Eirik. Olaf chciał zrobić, co było w jego mocy, aby przyswoić mu dobre obyczaje i okiełznać jego niesforność – choć z tym trzeba było trochę poczekać,

aż Inguna wyzdrowieje. Chłopiec musi się nauczyć zachowywać tak, jak przysłało Eirikowi synowi Olafa na Hestviken.

Przed paru laty wielkie stada jeleni przeciągały zachodnimi stronami fiordu, na zachód od Folden, sporo więc tych zwierząt znajdowało się dotąd w kniejach Olafa; trzymały się w górze doliny Kvern, na grzbiecie Byka oraz w dąbrowie Olafa, znajdującej się z tyłu dworu, naprzeciw gminy kościelnej. Zeszłego lata zebrano w Hestviken tak dużo paszy, że jeszcze do tej pory zostały na polu stogi siana i sterty liści. Teraz, na przedwiośniu, jelenie schodziły z gór w szarych godzinach przed świtem aż do dworu, aby uszczknąć coś z tej paszy. Z kryjówki, spoza kilku pni na dziedzińcu ustrzelił Olaf pewnego rana okazałego rogacza, dziesięciolatka. Eirik wpadł w istny szal, chciał koniecznie towarzyszyć ojcu i zabić także jelenia.

Olaf uśmiechał się, słuchając gadania chłopca. W ciągu następnych dni dał wiatr od fiordu i Anki na rozkaz Olafa miał całe rano wałęsać się po polach, aby zwierzęta zwietrzyły go i trzymały się z dala od siana. Eirikowi pozwolono mu towarzyszyć. Chłopiec zaczął się z łukiem i włócznią i przemarzył do szpiku kości, ale za to po powrocie do domu pysznił się, że nie tylko słyszał, ale nawet widział jelenie.

Potem pewnej nocy Olaf obudził się i podszedł do drzwi, aby wyrzeć, jaka jest pogoda. Do świtu brakowało jeszcze dwie godziny, noc była cicha i mroźna, tylko od wschodu ciągnął doliną lekki podmuch. Jelenie zjawiają się z pewnością wczesnym rankiem po swą dziesięcinę. Olaf ubrał się w mroku, ale gdy chciał wyszukać odpowiednie strzały, musiał sobie poświecić smolną szczapą. Eirik zbudził się i w końcu ojciec pozwolił mu pójść ze sobą, lecz bez broni.

Ledwie wpełzli do kryjówki za pniami, Olaf z największym trudem mógł utrzymać chłopca w spokoju. Eirik zapominał się co chwile i chciał szeptać. Wreszcie zasnął. Miał na sobie ciężką, podbitą futrem opończę

ojca. Olaf owinął nią szczelnie dziecko, aby nie zmarzło – lodowaty mróz chwycił przed brzaskiem – i zadowolony myślał, że Eirik nie będzie mu przeszkadzał.

Musiał czekać długo i uporczywie. Nieboskłon na wschodzie nad lasem powlekał się już bladą żółtością, kiedy dostrzegł zwierzęta wylaniające się z gęstwiny. Niby cztery ciemne plamy poruszały się na szarobrunatnej ziemi. Wzgórze stopniowo opadało w dół. Zwierzęta od czasu do czasu przystawały, rozglądały się i węszyły. Teraz mógł rozpoznać rogacza, dwie łanie i jedno młode.

Radosne napięcie przeszło gorącym dreszczem zeszywniało ciało łowcy, gdy przykłęknąwszy na jedno kolano napiął łuk i założył strzałę. Wstrzymał oddech... Rogacz kroczył przodem, wspaniały i dumny – teraz widać go było dokładnie na tle śnieżnego pagórka. Wszedł na pas trawy przy starej bruździe i stanął wyprostowany, gotowy do skoku: szyja i głowa z koroną rogów rysowały się wyraźnie na żółtym niebie. Olaf aż zachłysnął się z podziwu: tak wspaniałego rogacza nie widział dotąd nigdy; olbrzymi okaz o rozgałęzionych bujnie rogach, o potężnym karku, pewnie piętnasto- lub szesnastolatek. Nasłuchując, zwracał łeb to tu, to tam. Cel był nieco odległy, ale zwierzę stało doskonale, wprost pod obstrzałem. Olaf wycelował i serce skakało mu z uciechy... Poczuł, że Eirik się obudził.

Chłopak zerwał się z głośnym okrzykiem – on również dojrzał wspaniałe rogi na tle żółtawych niebios. Olaf posłał strzałę za uciekającym zwierzęciem, drasnął je lekko w łopatkę; jeleni podskoczył w górę, po czym w śmigłych susach uciekł w krzaki, a za nim cała gromadka.

Eirik oberwał parę łagodnych kuksańców w głowę; przyjął je z lekkim skomleniem, ale bez krzyku. Miał na tyle rozumu, by wstydzić się swego postępku i nie krzyczeć. Poza tym grube futro na głowie stępiło bolesność razów.

– Bacz, aby się o tym twoja matka nie dowiedziała – rzekł Olaf w drodze do domu. – Po co ma wiedzieć, że zachowujesz się jak głupi szczeniak, chociaż jesteś już tak duży.

W ciągu dnia Olaf z psem wyszedł tropy rannego jelenia, zabił zwierzę i wypatroszył na zboczu doliny. A gdy wieczorem przyniesiono zdobycz do domu, Eirik chodził wokoło i chełpił się: to on zwrócił uwagę ojca na jelenia, kiedy ten zbliżył się na odległość strzału.

Olaf nie puścił pary z ust. Bał się, że mógłby łatwo wpaść w złość.

Miało się ku wiosnie i całe stada fok pokazywały się na fiordzie. Chłopi z okolicznych gmin przenosili łodzie do granicy lodu i wyprawiali się stamtąd na polowanie na południową stronę fiordu.

Olaf pozwolił Eirikowi wybrać się z sobą, ale chłopak nie bardzo się spisał. Widok masowego mordy zwierząt i twarde życie, jakie wiedli myśliwi, podniecały go i czyniły dzikim. Dziwne wprost, jak mało wyczucia miał ten chłopiec dla spokojnego i godnego zachowania się gdziekolwiek. Po powrocie do domu usta mu się nie zamykały... Naprawdę niełatwo przychodziło Olafowi słuchać jego paplaniny i nie stracić cierpliwości.

Na świętego Grzegorza<sup>[45]</sup> pogoda odmieniła się: nastąpiła szaruga i zaczął dąć wiatr z południa. Miała to być zapowiedź pomyślnego roku na lądzie i na morzu.

Nazajutrz od wczesnego rana Inguna leżała sama w izbie. Było tu dosyć ciemno, gdyż dymnik zasłonięto skórą i zamknięto do połowy okiennice. Na dworze padał deszcz.

Olaf wszedł do izby. Usiadł na ławie, zdjął buty, ściągnął roboczy

---

[45] Świętego Grzegorza – 12 marca.

kaftan i koszulę i otworzywszy swoją skrzynię z ubraniem szukał innych szat.

– Inguno, śpisz? – zapytał, odwrócony do niej plecami. – Jak się czujesz? – zapytał dalej, gdy odparła szeptem, że nie śpi.

– Tak sobie. Wyjeżdżasz?

Olaf potwierdził: na dziś zwołano wiec w Vidnaes. Nagi do pasa zbliżył się do łoża, oparł nogę na stopniu. – Jak ci się zdaje, czy mam także zmienić pończochy?

Inguna mimo woli cofnęła głowę:

– Oczywiście. Te cuchną strasznie.

– Nie piękniej będą pachnieć inni mężczyźni, co przybędą na ting. Wszyscy byliśmy w ostatnich czasach dniem i nocą na połowie fok.

– A jeśli masz spotkać się z obcymi... – zauważyła Inguna.

– Tak, tak, zrobię, jak chcesz. – Zdjął spodnie i pończochy i stanąwszy zupełnie nagi, przeciągał się trochę i ziewał.

Ingunę zabolalo serce na widok jego zdrowego i kształtnego ciała. Jej własna nędza i cielesne spustoszenie rzucały się przez to jeszcze beznadziejniej w oczy. Niewiarygodnie dalekie były czasy, kiedy ona była uroczą i młodą, a oboje byli dobranymi małżonkami... Olaf był wciąż jeszcze urodziwym, młodym i zdrowym mężczyzną. Ciało jego było nieco bardziej muskularne, zwłaszcza w ramionach i w okolicy łopatek; mięśnie pod błyszczącą skórą falowały prężnie i swobodnie, gdy przeciągał się, podnosił ramiona i opuszczał je. Cerę miał jeszcze zawsze mlecznobiałą.

Wdział czerwoną koszulę wełnianą, długie pończochy z farbowanej czarno skóry oraz płócienne spodnie i zbliżył się do żony.

– Mam więc włożyć także i niebieski kaftan, skoro chcesz mnie widzieć tak wystrojonym? – spytał z uśmiechem.

– Olafie! – Kiedy pochylił się nad nią, zarzuciła mu wychudłe ramiona na szyję i przyciągnąwszy go ku sobie przylgnęła twarzą do jego policzka.

Wyczuł, że drży całym ciałem.

– Co się stało? – szepnął. Trzymała go mocno i milczała. – Może czujesz już bóle, Inguno? – Rozluźnił splot jej rąk, ciężko mu było stać tak na rozstawionych nogach. – Chcesz może, abym został dziś w domu? Pojadę do Rynjul i sprowadzę Unę, a równocześnie poproszę Torgrima, by wystąpił w mym imieniu w Vidnaes.

– Nie, nie – ścisnęła kurczowo jego rękę. – Nie, nie spodziewam się przed wiosennym porównaniem. Zostań przy mnie jeszcze chwilę – zawołała jakby z cichą skargą – posiedź tu obok mnie przez chwilę, jeśli masz czas.

– Ależ dobrze – zatrzymał jej rękę w swojej, pogłaskał jej ramię. – Co się z tobą dzieje, Inguno? Czy aż tak bardzo się boisz? – zapytał cicho.

– Nie. Tak... Nie wiem sama, czy to strach, ale... – Olaf usunął stopień sprzed łóżka, usiadł na skraju i pieszczotliwie głaskał wynędzniałe policzki Inguny.

– Miałam sen – odezwała się cicho – zanim tu wszedłeś.

– Czy to był zły sen?

Łzy pociekły po twarzy kobiety, ale nie wydała dźwięku. Gdy zaczęła mówić, głos jej był trochę bardziej zamglony i bezsilny:

– Nie wydawał mi się zły, póki śniłam... wtedy nie był przykry. Widziałam ciebie. Szedłeś leśną ścieżyną. Wyglądałeś wesoło i jak gdyby młodziej niż teraz, szedłeś i śpiewałeś. Widziałam cię także w Hestviken, zdrowego i radosnego. Mogłam wszystko widzieć, choć mnie samej nie było tutaj. Nie żyłam już jak gdyby, wiedziałam o tym... Dzieci nie widziałam tu żadnych.

– Inguno, Inguno, nie powinnaś leżeć tutaj i zaprzętać sobie głowy podobnymi myślami. – Ukląkł i podsunął ramię pod plecy żony. – Niewiele radości miałbym na naszym dworze, gdybym ciebie stracił, Inguno moja!

– Radością nie byłam ci nigdy...

– Jesteś jedynym przyjacielem, jakiego posiadam. – Pocałował ją, pochylił się niżej, twarz jej przytulił do swojej piersi.

– Jeśli rzeczywiście jest tak, jak powiadają Sygne i Una – szepnął z wahaniem – że tym razem nosisz córkę pod sercem... Do tej pory byli sami synowie. Ale mała dziewczuszka – to dzieciątko może Bóg pozwoli nam zachować.

Chora westchnęła: – Jestem tak umęczona... Olaf szepnął:

– Czy nigdy nie powstała ci w głowie myśl, że to, co czynię dla Eirika, jest jedynie okupem za zabójstwo jego ojca?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, zapytał znów, a głos mu drgał lekko:

– Czy nigdy nie dziwiłaś się, co się stało z tym... Teitem? Przygarnęła się mocniej do niego:

– Zawsze sądziłam, żeś to zrobił...

Olaf poczuł się dziwnie obezwładniony – jak gdyby znienacka wyszedł z ciemności na światło, w którym mógł rozemnić przedmioty. Wiedziała o tym przez cały czas, ale czy rozumiała, co to znaczy, czy rozumiała, jakie on dźwiga brzemię, albo czy czuła lęk przed jego skrwawionymi dłońmi?

Inguna zwróciła ku niemu twarz, objęła go mocno za szyję, przyciągnęła jego głowę do siebie, ucałowała w usta dziko i namiętnie:

– Wiedziałam o tym! Wiedziałam o tym! Mimo to bałam się czasem. Kiedy najgorzej mi się wiodło i opuszczała mnie otucha, nie mogłam opędzić się od myśli, że jeśli on jest żywy, zjawi się pewnego dnia, aby mnie zabrać, zemści się... A jednak wierzyłam, żeś to zrobił, że mogę być spokojna...

Olafowi dziwnie zrobiło się na duszy. Serce ścisnęło się chłodem. Więc o tym myślała, tak, tak. Tyle tylko rozumiała, nieboga. Oddał jej pocałunek delikatnie i tklawie. Potem roześmiał się, lekko zakłopotany.

– Musisz mnie puścić, Inguno. Połamiesz mi żebra na tym kancie.

Wyprostował się, pogłaskał ją po twarzy raz jeszcze, podszedł do skrzyni i pogrzebał w niej. Po czym zapytał powtórnie:

– Czy jesteś pewna, Inguno? A może jednak wolisz, abym został dzisiaj w domu?

– Nie, nie, Olafie, nie chcę cię zatrzymywać.

Olaf przypiął ostrogi, wziął miecz i zarzucił na ramiona grube, marszczone okrycie fryzowe od deszczu. Stał już w drzwiach. Nagle odwrócił się, przeszedł z powrotem izbę i stanął przed jej łóżem.

Wyczuła, że stał się obcy, inny aniżeli ten Olaf, którego widywała od dawna. Oblicze jego było martwe jak gład, usta blade, oczy przesłonięte mgłą, nie widzące. Mówił jakby we śnie:

– Czy zechcesz mi obiecać jedną rzecz, Inguno? Gdyby stało się tak... tak jak powiadasz, że tym razem życiem przypłacisz, czy przyrzekasz powrócić do mnie? – popatrzył na nią i pochylił się. – Musisz mi obiecać, Inguno, jeśli prawdą jest, że zmarli mogą powracać do żywych, musisz przyjść do mnie!

– Przyrzekam.

Mężczyzna schylił się szybko, na mgnienie oka dotknął czołem jej piersi:

– Jesteś jedynym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem – szepnął prędko i nieśmiało.

Olaf powrócił do domu wieczorem, przemoczony i tak zziębnięty, że nie czuł wcale stóp w strzemionach. Koń człapał zmęczony i przy każdym stąpieniu opryskiwał go mokrym śniegiem.

W powietrzu przetaczały się chmury i mgła, ziemia dyszała wilgocią. Wieczór był dziwnie parny i przesycony błękitnym tumanem, cały świat jakby zamazany, lasy i pola miejscami nagie i ciemne wśród płatów



mokrego śniegu. Fiord szumiał przeciągle między jednym a drugim uderzeniem fal jak powolny puls, ale rzeka w dolinie Kvern huczała, wezbrana wodami. Westchnienia jakieś przeciągały borem, śnieżne okiście zsuwały się z szelestem z gałęzi, wszędzie szemrała i sączyła się woda i wszędzie ją było słychać w zapadającym zmroku, a od chłodnej woni morza i pól biło jakby pierwsze przypomnienie wiosny i kiełkowania. Na wzgórzu, obok stodoły wyszła mu naprzeciw jakaś ciemna postać – kobieta w okryciu z kapuzą.

– Witaj w domu, Olafie! – Była to Sygne córka Arnego; spiesznie podeszła do zbliżającego się jeźdźca.

– No, więc tym razem Inguna urodziła zdrowo i czuje się o wiele lepiej, niż się spodziewaliśmy.

Olaf wstrzymał konia, a Sygne głaszcząc pieścizotliwie pysk zwierzęcia ciągnęła:

– Dziecko jest duże i śliczne. Nikt z nas nie widział nigdy tak dużego i udanego noworodka. Musisz więc mieć pobjażanie, że to nie syn.

Olaf podziękował kobiecie za dobrą nowinę. Czuł, że gdyby był taki jak za młodu, zeskoczyłby z konia i wyściskał ją. Ciężar spadł mu z duszy i Olaf cieszył się, tylko nie czuł tego jeszcze tak wyraźnie. Znowu podziękował Sygne, że i tym razem pospieszyła Ingunie z pomocą.

Bóle przyszły tak nagle, opowiadała Sygne, że nie było już czasu na przeniesienie jej do niewieściej izby. Olaf będzie więc musiał zadowolić się na razie noclegiem w komorze, gdyż w izbie umieszczono położnicę i urządzono czuwalnię.

W chwili gdy ujrzał Ingunę, aż mu dech zaparło: leżała na boku ze złotobrazowym warkoczem pod policzkiem, a twarz jej była śnieżnobiała; Una klęczała z tyłu za nią, w łóżu, rozczesując i plotąc drugi gruby warkocz. Dawniej, ilekroć Olaf widział ją po porodzie, była zawsze zeszpecona, miała twarz obrzękłą i zaognioną. Tym razem była całkiem do siebie

niepodobna; dziwnie piękna, nieziemską jakby światłość rozpostarła się na jej bladym, mizernym obliczu. Wielkie, czarnogranatowe oczy jarzyły się niczym gwiazdy, odbite w tafli studziennej. Olafa przeszły na wskroś uczucie, że tutaj stał się cud.

Sygnie podeszła z zawiniątkiem. Białe opaski przewiązywały na krzyż jasnozieloną wełnianą pieluchę. Położyła dziecko Olafowi na rękę.

– Czy widziałeś kiedy tak ładną dziewczeczkę, krewniaku?

I znów miał wrażenie, że patrzy na cud: dziewczęca twarzyczka, niepojęcie drobna, ale zupełnie uformowana – najpiękniejsza! Nowo urodzone życie – i tak już wyglądało... Oczy niemowlęcia były otwarte, ciemne i bez dna, cera blad różowa, niczym polna róża, a nos i usta jak u dorosłego, ale tak malutkie, że nie mógł tego wprost pojąć.

Sygnie odsunęła rąbek chustki, by ojciec zobaczył, że córka ma również piękne włoski. Olaf podsunął rękę pod okrągłą, miękką główkę. Leżała na jego dłoni, nie większa od jabłka, mięciutka i rozkoszna w dotknięciu.

Jeszcze wciąż trzymał swoją maleńką córeczkę na rękę. Darem była, prawdziwym darem. Rozczuliło go to; tak bezgranicznie wdzięczny nie był jeszcze nigdy w życiu. Przyłożył twarz do piersi dzieciątka; liczko jego było tak delikatne i czyste, że nie śmiał go dotknąć.

Una zeskoczyła z łoża, obróciła Ingunę na plecy i ułożyła jej warkocze na piersiach. Odebrano mu dziecko i Olaf przysiadł na krawędzi łoża. Chwilę trzymał rękę żony w swojej, podniósł jeden z warkoczy. Żadne z nich nie wyrzekło słowa.

Potem wszedł ktoś z jadem i piwem dla niego, a potem kazano mu iść do komory i położyć się; Ingunę sen pokrzepi. Wówczas zawołała go cicho:

– Olafie – szepnęła – o jedno chcę cię prosić, mój mężu – tak nie nazywała go nigdy. – Czy zrobisz to, o co cię proszę?

– Zrobię wszystko, co zechcesz. – Uśmiechnął się jakby boleśnie, tak

był roztrzęsiony z radości.

– Przyrzeknij mi, że nie nazwiesz jej po mojej matce... Chcę, żeby miała na imię Cecylia.

Olaf skinął głową.

Leżał bezsennie w ciemności, obok pod ścianą Eirik spał jak kamień. Przez otwór w drzwiach widział, jak odbłask z paleniska płąsa po ścianach izby, wznosi się i opada. Od gromnicy płonącej obok matki i dziecka szło słabe, złociste i łagodne lśnienie.

Niewiasty czuwające przy położnicy szeptały i krzątały się, szumiał kocioł na wodę i brzękał żelazny hak nad paleniskiem. Potem noworodek zaczął krzyczeć i krzyk ten chwycił go za serce. Olaf nasłuchiwał głosu córki z radością i czułością. W izbie wszczął się ruch, kobiety zaczęły huścić kołyskę, a Sygne nuciła cicho i łagodnie.

Leżał oto przed jej drzwiami i było to tak naturalne jak sen, że leży i słucha, jak czuwają nad jej snem. Inguna spała teraz dobrze: dała życie dzieciątku, teraz musi wypocząć, być znowu zdrowa, młoda i pogodna. Dziecko urodziło się na ich dworze – pierwsze dziecko! Wszystko, co wydarzyło się przedtem, wydało mu się jedną, nie kończącą się, nienaturalną chorobą, niesamowitym urokiem, rzuconym na tę nieszczęsną kobietę. Martwe, okropne istotki, które mu przynosiły położne, aby je obejrzał – choć niechętnie to czynił, widok ich bowiem napawał go nieskończoną odrazą, potem ten biedny, mały pokurcz, męczący się w ciągu krótkiego żywota, zanim Pan nie zlitował się nad nim i nie powołał go do siebie... w duchu nie mógł Olaf nigdy pojąć, że to były jego dzieci, owoce życia jego i Inguny.

Nigdy nie wiedział, co znaczy zostać ojcem, być ojcem – aż do chwili, kiedy urodziła mu się córka, ów bezcenny dar, owa mała, maleńka Cecylia.

Cecylia córka Olafa rosła i rozwijała się, aż kobiety mówiły, że widzą z dnia na dzień różnicę. Z czego jej przybywało na wadze, nikt nie pojmował, matka bowiem chciała karmić ją sama, a z jej piersi dziecko na pewno nie wyciągnęło wielu kropel. Sygne i Una pyszniły się, że w ciągu jednego miesiąca urosła bardziej niż inne niemowlęta w ciągu trzech. Od czasu do czasu wlewały jej do ust parę łyżek śmietany albo dawały do ssania szpik jeleni, owinięty w gałganek.

Każdy, kto przybywał w odwiedzinę do Hestviken, chciał widzieć tę dziewczynkę, o której urodzie tyle gadek krążyło w okolicy. Ludzie dawali do poznania, że cieszą się z Olafem i jego żoną ich szczęściem. Wprawdzie nie było człowieka, który by szczególnie lubił gospodarzy z Hestviken. Olaf miał dziwnie odpychające obejście; wprost męczarnią było przebywanie z tym kołkiem. Winna temu jednak była przede wszystkim jego natura; każdy musiał przyznać, że w czynach okazywał się zawsze człowiekiem pobożnym, prawomyślnym i chętnym do niesienia pomocy. Żona jego była do niczego i słaba na umyśle, lecz z pewnością nikomu źle nie życzyła, nieboga. Tak więc mimo wszystko było to dobrą nowiną, że wreszcie mieli dziecko, które najwidoczniej wychowa się zdrowo.

Inguna bardzo długo chorowała. Widocznie ucierpiał kręgosłup, a gdy się wreszcie podniosła, nie mogła odzyskać władzy w nogach.

Pewnej niedzieli Olaf wrócił z kościoła. Pogoda była cudowna, tego dnia nastąpiło prawdziwe lato. Zieloną jasnością drgały w porannym wietrze liściaste gaje i trawiaste łąki, a każdy podmuch był niby ciepłe, ożywcze tchnienie rosnącej trawy, puszczających liście drzew i ziemi kryjącej w sobie jeszcze wiosenną omszałość. Kiedy wszedł do izby i zobaczył, że Inguna leży wyciągnięta na ławie, rozgniewał się trochę. Oświadczył, że

po posiłku musi z nim wyjść i obejrzyć Boże pole; i w tym roku zboże wzeszło tam gęsto i bujnie.

Było to pole leżące nisko, tuż nad fiordem, poniżej nagich wzgórz. Olaf szczególnie je lubił i wyszukiwał zawsze najlepsze i najcięższe ziarno na siew. Kazał je nawozić rybimi głowami i odpadkami z przystani, toteż gleba cierpiała mniej od suszy, niż można się było spodziewać. Warstwa ziemi była tu płytka, a zboże kłosiło się wcześniej niż na innych polach dworskich.

Olaf musiał przenieść Ingunę przez próg, a gdy postawił ją na ziemi przed domem, zobaczył, że szła tak, jak gdyby nie potrafiła podnieść nóg. Powłóczyła nimi i szła drobnymi, chwiejnymi krokami, o każdą nierówność gruntu potykała się i o mało nie upadała. Objął ją więc w pól; oparła się na nim całym ciężarem, jedną ręką trzymając ramię męża. Co trzeci lub czwarty krok przystawała i Olaf zauważył, że pot po niej spływa i że drży z osłabienia. Doszedłszy do wzgórz, z których roztaczał się widok na okolicę, Olaf rozpostarł swoje zimowe, podbite futrem okrycie we wgłębieniu między głazami. Tam mogła się Inguna położyć i osłonięta patrzeć, jak wiatr pieści młode pędy zboża i jak sunie lekko nad łąkami, liżąc stok na kształt jasnych płomieni. Młode zasiewy pokrywały już ziemię.

Morze i ziemia lśniły i migotały. Ciepłe fale uderzały o skały klaskając o nie i odpływały szemrząc kamyczkami. Szum morza był łagodny i dźwięczny. Po przeciwnej zaś stronie, pod ścianą Byka, rosły spienione bałwany; wiatr z wolna zmieniał kierunek ku południowemu zachodowi. Olaf siedział w milczeniu i przeprowadzał wzrokiem załadowany statek, przepływający dość szybko przez fiord. Zamyślił się. Wyłoniły się dawne wspomnienia o czasach, kiedy wyjęty spod prawa, ale wolny jak ptak nie wiedział, co znaczy dźwigać brzemię drugiego człowieka. Był samotny, jeden spośród wielu, i nikt z tych ludzi nie był mu tak bliski, aby sobie jego

los brał do serca... Dalekie i osobliwe wspomnienia po tych wszystkich latach, w ciągu których całe Hestviken na nim się opierało, w ciągu których czuł tę chorą żonę tak blisko siebie jak własne ciało. Włókł się naprzód z tą istotą, wiecznie schorowaną i cierpiącą; była to jakby walka, w której strzaskane ramię walczącego zwisa bezwładne i niepotrzebne. A jednak w tej chwili, kiedy tu siedział w słońcu, nie czuł się nieszczęśliwy; nie myślał o dawnych czasach w ten sposób, jakby pragnął wydostać się z terażniejszości albo miał żal do życia przeznaczonego mu u boku Inguny. Siedział i odpoczywał, pogrążony w pewnego rodzaju melancholijnej zadumie. To, co mu tak ciążyło, to była właśnie jego nieskończona miłość do Inguny – jak gdyby zbyt wielka, aby potrafił ją sam udźwignąć.

Zwrócił się do żony, chciał jej coś powiedzieć o statku; zobaczył, że zasnęła. Wyglądała jak martwa.

Ze zdumieniem stwierdził, że kocha ją obecnie bardziej niż kiedykolwiek – właśnie dlatego, że sam widział, jak zupełnie zniknął ostatni ślad jej dawnej urody. Nikt, kto jej nie znał w latach młodości, nie przypuściłby, że ta postarzała, zwiędła kobieta była niegdyś piękna. Była urocza, jak bywają drobne, czyste i jasne kwiaty; teraz sucha, żółtawa skóra, zeszpecona brunatnymi plamami, rozpinana się ostro na płaskiej, zapadniętej twarzy o spiczastej brodzie. Jej długie i delikatne ciało dawno już straciło swą trzcinową gibkość, wąska pierś była płaska jak deska, a figura zniekształcona i ciężka. Wyglądała jak zaharowana, stara chałupnica, która urodziła wiele dzieci.

Mężczyzna siedział i patrzył na nią – nie śmiał jej dotknąć: potrzebowała pewnie snu. Wziął tylko końce chustki i wsunął je ostrożnie pod głowę śpiącej, aby wiatr nie smagał jej nimi po twarzy, po czym szczelniej nakrył ją płaszczem. Była tak bardzo bezkrwista, nie powinna marznąć...

Olaf i ludzie dworscy zauważyli, że Inguna z dnia na dzień coraz gorzej chodzi, a około świętego Jona nie mogła już podnieść się sama z ławy i suwać nogami, chyba że ktoś wspierał ją i podtrzymał. Mimo to co rano ubierano ją jak zwykle. Obecnie musiała to robić Torhilda, gdyż Liv, dziewczka do osobistych posług gospodyni, w tym czasie nie była do niczego zdana.

Olaf nie mógł nigdy zrozumieć zawziętej niechęci żony do Torhildy przez wszystkie te lata. Była to przecież wyjątkowa kobieta, nie każdego roku spotyka się taką: uczciwa, dzielna i silna, niezwykle pracowita, i chociaż Inguna postępowała wobec niej bardzo niesprawiedliwie, szafarka odnosiła się zawsze cierpliwie i opiekuńczo do chorej pani.

Podobnie niepojęte wydało się Olafowi, że Inguna darzy życzliwością ową Liv, która zeszłego roku przysłała do niej na służbę. Przede wszystkim dziewczyna była najbrzydszą istotą, jaką Olaf w życiu widział; na pierwszy rzut oka ogarniały człowieka wątpliwości, czy w ogóle jest pochodzenia ludzkiego. Była krępa, pleczysta, wielka, a nogi miała bardzo krótkie i krzywe. Jej rzadkie i rude włosy były zlepione jak postronki, szaroczerwona cera obsypana piegami aż po piersi, również ramiona i ręce pełne były piegów, a rysy twarzy dziwaczne i szkaradne. Malutkie, mrugające świńskie oczka, spiczasty nos i zupełny brak brody; dolna część twarzy spadała stromo w dół i przechodziła w obwisłe mięso szyi. Dziewczyna odznaczała się również innymi wadami: była leniwa, knąbna, nieposłuszna wobec Torhildy i krowiarki i bezdennie głupia, ale Inguna lubiła ją. Kiedy wyszło na jaw, że ubiegłej jesieni, na świętego Michała, w drodze do rodzinnego domu pozwoliła się uwieść, Inguna wstawiła się za nią u Olafa, aby jej nie przepędził. Olaf nie miał wcale tego zamiaru, wiedział, że w ojcowskiej chałupie Liv jest czarna nędzka i wielki nadmiar dzieci, więc uważał, że lepiej będzie, jeżeli dziewczyna pozostanie w Hestviken. Ponieważ jednak żyła pod jego dachem i była

bardzo młoda, miała zaledwie piętnaście lat, osądził, że musi spróbować jej pomóc w dochodzeniu należnych praw. Zapytał więc o ojca dziecka. Liv niczego więcej nie umiała powiedzieć jak tylko to, że pewien człowiek szedł z nią kawałek lasem, kiedy wędrowała do domu w dzień świętego Michała.

– Tak. A czy obszedł się z tobą źle? – spytał Olaf.

– Ależ nie, nie – Liv zarechotała z uciechy. – Był taki miły i żartował ze mną. Powiedział, że na imię mu Jon.

– Pewnie, tak nazywa się każdy, kto akurat nie nazywa się inaczej.

Bądź co bądź ową Liv upatrzono odtąd na mamkę Cecylii. Nie sposób, aby chora matka karmiła nadal to duże i żarłoczne dziecko. Do tej pory Inguna nie chciała nawet słyszeć o tym, żeby jej odebrano od piersi córkę.

Olaf sprowadził już z okolicznych gmin wszystkich mężczyzn obeznanych z chorobami i sztuką leczenia. Nikt nie powiedział, co dolega jego żonie, i większość uważała, że chorobę jej spowodowały fałsz albo zawiść. Olaf wiedział, że przed stu czy siedemnastu laty w Miklebö Inguna cierpiała podobnie i że wówczas pani Hillebjörga twierdziła na pewno, iż to Kolbein rzucił na nią urok. I w duchu rozważał, że to może istotnie było prawdą i że Inguna nigdy nie wyzwoliła się odtąd spod mocy zła.

Potem zaznajomił się z pewnym niemieckim kupcem w Oslo, Klausem Wiephartem, który uchodził za najbiedlejszego mistrza sztuki lekarskiej; za młodu przebywał on w niewoli u Saracenów i przyswoił sobie ich wiedzę. Olaf posłał po niego i człowiek ten natychmiast rozpoznał chorobę Inguny.

Co było pierwszą przyczyną choroby, tego nie mógł dokładnie określić. Przyczyny mogły być różne, najpewniej jednak niemoc pochodzi z gwiazd: na przykład mąż mógł z nią obcować cielesnie po raz



pierwszy w chwili, gdy ciała niebieskie znajdowały się we wrogim dla nich położeniu, zależnie od gwiazd, pod którymi zostali urodzeni. Przy tym mogło chodzić o czas krótszy niż godzina; chwilę przedtem lub nieco potem auspicje mogły być dla nich szczególnie korzystne. To jednak mogło podziałać na Ingunę, jako na stronę słabszą, w ten sposób, że w jej ciele została zaburzona harmonia między materią stałą a płynną i materia stała znikła, a płynna wzięła górę. Ba, mogło być i tak, że Inguna już w godzinie narodzin była predestynowana do tej dysharmonii. W każdym razie owa dysharmonia jest istotną przyczyną jej słabości. Najlepszy dowód, że nie potrafiła wydać na świat żadnego zdolnego do życia dziecka płci męskiej, przynajmniej nie więcej niż jedno. Albowiem ciało męczyzny jest z natury suchsze od kobiecego i już od samego początku domaga się większej ilości materii stałej. Natomiast córkę mogła wydać żywą i zdrową na światło dzienne. Pomimo to i to dziecko wysssało z niej więcej materii stałej, niż ciało matki mogło oddać. Tak więc, orzekł Klaus Wiephart, ciało matki jest obecnie jakby zbutwiałe, kości i skóra są przepojone płynem, jak zbutwiałe drewno, które pływa po morzu, póki nie nasyci się wodą.

Przede wszystkim, mówił Niemiec, należy osuszyć jej ciało. Dziecka, broń Boże, nie trzeba odstawiać od piersi. Inguna ma zażywać środki na wydzielanie potu i moczu, pić bardzo mało, za to spożywać palone i mielone kości zwierzęce, *terra sigillata*<sup>[46]</sup>, jadać potrawy twarde i suche, zaprawione rozgrzewającymi korzeniami.

Orzeczenie uczonego męża natchnęło Olafa nową otuchą. Brzmiało całkiem prawdopodobnie, a łacińskie słowa, jakich użył Niemiec, znane były Olafowi z młodości.

---

[46] *Terra sigillata* – czerwonawa glina (również wyroby ceramiczne z tej gliny), używana – jak wynika z tekstu – także jako lekarstwo. (Przyp. tłum.)

*Prima causa, harmonia materia, i umidus, disparo, dispono*<sup>[47]</sup> – przypomniał sobie, że słyszał te słowa nieraz od Asbjörna Allfeita, Arnvida i braci zakonnych, i – o ile mógł zrozumieć – Klaus posługiwał się nimi właściwie. Poza tym przecież sam zauważył w czasie dorastania, że ciało Inguny jest szczególnie słabe i wiotkie, przywodziło mu nieraz na myśl niedojrzały kłós. Widać, zawsze miała w sobie zbyt mało materii stałej. *Terra sigillata* pomoże jej z pewnością – był to lek dobry na niejedno cierpienie, o tym wiedział.

Uczył się przecież o czterech żywiołach, z których składa się ciało ludzkie, i obojętnie mu się o uszy, że położenie ciał niebieskich ma wpływ na losy człowieka. Uczni krajanie w rodzinnej gminie nie bardzo się na tym znali, a Asbjörn Allfeit mówił, że chrześcijanie nie potrzebują pytać o to, co napisane jest w gwiazdach. Natomiast Saraceni uchodzili za najlepszych astrologów między narodami.

Ciężki kamień spadł Olafowi z serca. Może przez te wszystkie lata był na zupełnie fałszywym tropie?

Chodził i zamartwiał się, że to on ściąga na nich oboje nieszczęście, ponieważ nie odważył się przełamać grzechu, w jakim żył. Żył w grzechu – tak jest, póki dobrowolnie nie odpokutuje swego nieszczęsnego czynu, ale Bóg musiał wiedzieć, że nie może tego uczynić, nie może ryzykować dobra i honoru żony i dziecka. We wszystkim innym starał się postępować jak chrześcijanin. Bóg chyba wiedział lepiej od niego, jak niewypowiedzianie tęsknił za tym, aby żyć z Nim w pokoju, móc Go miłować całym sercem, paść na kolana i modlić się, nie cierpiąc z powodu własnego nieposłuszeństwa.

O, gdyby teraz wolno mu było wierzyć, że wszystkie nieszczęścia miały naturalny początek! Cecylia była rękojmnią, że Bóg odpuścił mu

---

[47] *Prima causa...* – pierwsza przyczyna, harmonia, materia, wilgoć, rozdzielam, porządkuję. (Przyp. tłum.)

winę albo że udzielił mu zwłoki aż do godziny śmierci. O, gdyby wolno mu było wierzyć, że to gwiazdy są winne słabości Inguny na ciele i duszy!

Lecz *Prima Causa* – to było jedno z imion Wszchemocnego. Wiedział o tym.

Sama mówiła, że czuje się lepiej, odkąd postępuje wedle wskazówek Klausa Wiepharta. Nie wróciła jeszcze co prawda na tyle do zdrowia, aby władać dolną częścią ciała, ale bóle w plecach złagodniały.

Pewnego wieczoru, na krótko przed świętym Olafem, poszedł Olaf do kuchni; chciał powiedzieć coś Torhildzie od razu, nim zapomni.

Była właśnie zajęta wypiekaniem chleba na niedzielę. Kiedy Olaf otworzył drzwi, zachodzące słońce rozszło pył mączny wirujący w powietrzu i słońce zalało niewielką, czarną od sadzy izbę. Okrągłe chleby, leżące i piekące się dokoła paleniska na skośnie ustawionych kamieniach, pachniały słodko drożdżami; Olafowi ślina pociekła do ust. Dziewczyny nie było.

Już chciał odwrócić się i wyjść, kiedy Torhilda stanęła w drzwiach. Niosła na głowie ciężką deskę, podpierając ją oburącz. Dzięki temu trzymała się jeszcze prościej niż zwykle i w łagodnym cieple wieczoru wyglądała ładnie i swobodnie w roboczym, lekkim stroju. Miała na sobie bajową koszulę z krótkimi rękawami i była boso; stąpała zwinnie, pewnie i sprężysto.

Olaf wziął deskę z jej rąk; była dębowa i bardzo ciężka. Wniósł ją do kuchni i położył na kozłach. Torhilda weszła za nim, zaczerpnęła z kosza ze dwie garście posiekanego jałowca i posypała nim tarcicę. Przy każdym szybkim ruchu bił od niej miły zapach mąki, świeżego chleba i zdrowej gorącości pracy. Olaf oplótł dziewczynę ramionami i przycisnął mocno do siebie. Dotknął przy tym brodą jej ramienia na mgnienie oka,

przywarł policzkiem do jej skóry. Szyja Torhildy była wilgotna, chłodna i ciepła zarazem. Puścił dziewczynę natychmiast i roześmiał się, aby ukryć zmieszanie i wstyd z powodu tej głupiej swawoli, która go tak zniecka napadła.

Krew zalała policzki Torhildy; spostrzegłszy to, zmieszał się jeszcze bardziej. Nic nie powiedziała i nie okazała gniewu. Krzątała się dalej spokojnie i przekładała upieczone chleby z kamieni na deskę.

– Robocie dajesz radę jak mężczyzna, Torhildo – rzekł gospodarz. A ponieważ zajęta pracą nie odpowiadała, ciągnął poważnie: – Całe gospodarstwo jest na twojej głowie, robisz doprawdy więcej, niż my wszyscy razem.

– Robię, co mogę – odparła cicho Torhilda.

– Hm, nie wiem, ale może ci się wydaje, że powinniśmy cię lepiej wynagradzać. W takim razie powiedz tylko, a na pewno dojdziemy do porozumienia.

– Nie, jestem zadowolona z tego, co mam. Wychowałam wszystkie dzieci, z wyjątkiem dwojga najmłodszych, i niemalą pomoc miałam przy tym w tobie, Olafie.

– Ach, nie mówże o tym... – Wydał polecenie, z którym przyszedł, i opuścił kuchnię.

Inguna w dalszym ciągu trzymała się ściśle rad mądrego Niemca, ale powoli okazało się, że wychodzą jej one nie tylko na dobre. Nękały ją silne bóle żołądka i piekło okrutnie w gardle od ciągłego jedzenia pieprzu i imbiru. Mimo to starała się, póki mogła, przełknąć suchą korzenną strawę, chociaż już sam widok jadła przyprawiał ją o ból. Pragnienie paliło ją dniem i nocą. Lecz znosiła wszystko cierpliwie i bez skargi.

Potem Olaf musiał wyjechać na kilka dni i Sygne przybyła do

Hestviken, aby spać przez ten czas z chorą. Po powrocie Olafa oświadczyła mu, że Cecylia nie powinna w żaden sposób zostawać na noc przy matce. Inguna nie ma w piersiach kropli mleka i niemowlę krzyczy z gniewu i z głodu, budzi Ingunę i wszystkich w izbie. Olaf nie znał, prócz Auduna, żadnego innego niemowlęcia, a ten wrzeszczał ustawicznie, ojciec sądził więc, że to jest zwyczajem wszystkich dzieci. Liv od dawna już karmiła Cecylię w dzień, jej własne dziecko zmarło niedawno, a młódka miała mleka niczym zaczarowana krowa. Najrozsądniej będzie więc powierzyć Cecylię opiece Liv i oddać jej dziecko także na noc.

Kiedy jednak wspomniano o tym Ingunie, wpadła w okropną rozpacz. Błagała i lamentowała, by nie odbierać jej dziecka:

– Ona jest wszystkim, co ze mnie pozostanie na świecie, okupiłam tę córkę chorobą i tym, że leżę tu bezsilna i od pasa bezwładna. Jeśli ją kochasz, Olafie, okaż mi miłosierdzie. Nie zabieraj mi Cecylii na ten krótki czas, jaki mi jeszcze na ziemi pozostał. Już długo to nie potrwa, wkrótce zostaniesz uwolniony od tego nędnego pożycia ze mną...

Próbował przemówić jej do rozsądku, ale zaczęła krzyczeć; wparła się łokciami w poduszkę, na której leżała, podniosła ramiona w męce, jak gdyby usiłowała zmusić swe bezwładne ciało do wstania. Olaf przysiadł na łożu i przekonywał ją najtkliwszymi słowami, ale daremnie. W końcu zmęczona płaczem i rzucaniem się zdrzemnęła się, lecz jeszcze we śnie spazmatyczne łkania wstrząsały jej ciałem.

Musiał jej więc przyrzec, że Cecylia pozostanie nadal nocą w jej łóżku, Liv miała jednak spać odtąd na ławie w izbie, by wziąć od matki i uciszyć dziecko, gdy zacznie krzyczeć.

Kiedy podszedł do łoża i życzył Ingunie dobrej nocy, zanim sam się położył, zarzuciła mu ramię na szyję i przyciągnęła jego głowę ku sobie:

– Nie gniewaj się, Olafie! Nie mogę spać, jeśli jej nie mam przy sobie. Zawsze, ilekroć musiałam spać sama, czułam trwogę – szeptała. – Zaraz

po tej nocy, kiedyś spał ze mną pierwszy raz, tak się zrobiło, że odtąd nie czułam się nigdy bezpieczna, jeżeli nie znajdowałam twego ramienia trzymającego mnie w pół. A teraz nie stanie się to już nigdy...

Olaf przyklęknął, podsunął rękę pod szyję żony i przytulił jej głowę do swego ramienia:

– Chcesz, abym tak pozostał, póki nie zaśniesz? – spytał.

Zasnęła prawie natychmiast. Wówczas wsunął wygodniej poduszki pod jej plecy, cichutko przeszedł izbę i wczłogał się do północnego łóża, w którym spał Eirik.

Nocami zostawiał zwykle na palenisku małą, świecącą lampkę tranową – często musiał wstawać i pomagać Ingunie przewrócić się na drugi bok. A teraz miał jeszcze wstawać, odbierać jej krzyczące niemowlę i zanosić je dziewczce – Liv spała jak zabita.

Wreszcie zasnął i spał chyba mocno; dziecko krzyczało już widocznie sporą chwilę tak przeraźliwie, że nawet Liv się obudziła. W nikłym blasku kopącego knota ujrzał dziewczynę, jak człapie koło łóża Inguny z dzieckiem na rękach. Niezgrabnie szeroka, zwalista postać dziewczki przypomniła mu bajki o olbrzymach i strachach, kiedyś słyszane. I mimo że widział, jak niemądra jest podobna myśl, zrobiło mu się nieswojo na duszy, że Cecylia ma spać w ramionach takiej niańki.

Nazajutrz w południe Olaf wszedł do Inguny; tego dnia wraz z jednym z parobków zwoził koźmi siano z kilku odległych pastwisk. Mgła zrosiła się perełkami na jego szorstkim, krótkim okryciu, a buty ciężkie były od mokrej ziemi i zwiędłych liści. Gdy pochylił się nad Inguną, by zapytać, jak się czuje, buchnęła od niego ciepka woń jesieni.

Z nieśmiałym uśmiechem pokazał jej, co trzyma w dłoni: kilka wielkich, wodnistych poziomek, nanizanych na źdźbło, tak jak to robili

zwykle w dzieciństwie. Soczyste owoce pozostawiły na jego dłoniach czerwone plamy.

– Znalazłem je na górze, przy młynie...

Inguna wzięła je i zapomniała podziękować. Te małe, czerwone plamy na jego spracowanej, popękanej dłoni przywiodły jej nagle przed oczy ich współzycie w latach dzieciństwa i całą długą drogę aż do chwili obecnej. Dwukrotnie z jej powodu splamił tę rękę krwią – i to ta sama lepka od żywicy, twarda pięść chłopięca przenosiła ją przez płoty i wyciągała się do niej z podarunkami. Ich współzycie ukazało się jej nagle niby dywan z obrazkami – jedno długie pasmo. Obrazki krótkiego, gorącego i pełnego pieszczot szczęścia miłosnego, przetkane długimi przerwami pełnymi oczekiwań, pożądania i nieplodnych marzeń; potem – niczym duża czarna plama – czas hańby i obłąkanej rozpacz, a wreszcie lata w Hestviken; wszystko to wysnuwało się w tym momencie przed jej oczyma jak wzór na tkanym pasie, jednym jedynym pasie, cały dywan z jednego i tego samego materiału, od dni dzieciństwa aż dotąd, po sam kres...

Wiedziała zawsze, że Olaf jest dla niej dobry. W jakiś dziwny sposób zdawała sobie sprawę, że niewielu mężczyzn miałoby cierpliwość, aby tak długo ją wspierać i podtrzymywać przez te wszystkie lata. W sercu dziękowała mu za to nieraz, z gorącą wdzięcznością, lecz dopiero w tej chwili zrozumiała, jakby w końcowym rozrachunku, jak mocna była jego miłość.

Olaf stanął nad kołyską. Bieguny stukały i stukały po podłodze, a dziecko gaworzyło i pokrzykiwało cicho z uciechy, bębniąc strasznie zawzięcie piętami po podłożonej skórze; chwilami matka mogła zaledwie uchwycić błysk różowych rączek, poruszających się nad brzegami kołyski.

– Na miły Bóg, Cecylio, jeszcze się udusisz w tych pętach! – Olaf uśmiechnął się i wziął dziecko na ręce. Wierzało tak gwałtownie, że powijaki rozluźniły się i tasiemka zaplątała się dokoła nówek i ramionek,

na szyi i krągłym ciałku – prawdziwy cud, że nie zadusiły dziecka.

– Może ty to potrafisz rozplatać, Inguno? – rzekł Olaf i położył dziecko obok matki. – Jak to, leżysz i płaczesz? – spytał zasmucony. Łzy przesłoniły oczy Inguny, kiedy ledwie widząc, co robi, starała się oswobodzić Cecylię z tasiemek.

– Będzie tak samo jasnowłosa jak my wszyscy z rodu na Hestviken – oświadczył ojciec. – I ma już siedem loczków na głowie. – Poglaskała czółko maleństwa, nad którym dłuższe włoski zaczynały się już wie w małych, blad złotych kędziorkach. – Czy tak źle czujesz się dzisiaj, moja Inguno?

– Nie dlatego płaczę. Tylko leżę tu i myślę, że chociaż zawsze byłeś dla mnie taki dobry i wierny, odkąd cię znam, to nigdy nie stało się tak, abym była zdolna odplacić ci za twą miłość.

– Nie mów tak. Byłaś przecież... łagodna – nie od razu znalazł na poczekaniu odpowiednie słowo, chociaż szukał go, by ją pocieszyć. – Byłaś przecież łagodną i cichą żoną. I wiesz, że cię miłuję – dodał serdecznie.

– A teraz wkrótce minie rok – szepnęła nieśmiało i boleśnie – odkąd musisz żyć, jakbyś nie miał żony, z chorą siostrą, której trzeba opieki.

– Racja – przytaknął cicho. – Ale skoro kocham cię i tak... Powiedziałaś: siostra. Pamiętasz, Inguno, pierwsze nasze lata razem przeżyte? Spaliśmy wtedy w jednym łóżu, piliśmy z jednej czarki i byliśmy jak brat i siostra, nie wiedzieliśmy, że istnieje coś innego, ale i wówczas czuliśmy się najszczęśliwsi, gdyśmy byli razem.

– To prawda. Lecz w tym czasie byliśmy dziećmi. I ja byłam ładna – szepnęła głośniej.

– Byłaś ładna, ale obawiam się, że byłem zbyt dziecinny, by to widzieć. Zdaje mi się, że wówczas nie myślałem nigdy o tym, czy jesteś ładna, czy nie...



– I nie byłam dla ciebie ciężarem... Byłam zdrowa i silna.

– O nie, Inguno, silna nie byłaś nigdy, moja ty najmilejsza... – Olaf uśmiechnął się słabo, głaszcząc ją po ramieniu.

Długa zima nastąpiła dla wszystkich w Hestviken.

Olaf spędzał niemal cały czas w domu. Miał wrażenie, że nie może przeżyć ani jednej nocy z dala od Inguny. Cierpiała teraz bardzo z powodu leżenia, ponieważ schudła niezmiernie, a do tego dołączyło się jakieś dziwne cierpienie w plecach. Jeśli pozostawała dłuższy czas w tym samym położeniu, ból jakiś wzbierał między żebrami i zdawał się rozsadzać jej piersi. Jedyną ulgą, jaką można jej było sprawić, było częste odwracanie jej z boku na bok. Jeść nie mogła niemal zupełnie. Podtrzymywano ją przy życiu, podając jej od czasu do czasu parę łyków kaszy ugotowanej na serwatce, rybniej zupy czy mleka.

Z początku Inguna próbowała zająć się robotami ręcznymi. Wystarczyło jednak, aby przez krótki czas trzymała ręce w górze, a omdlewały i nie mogła ani szyc, ani pleść. Leżała więc nieruchomo, nie skarżąc się nigdy ani jednym słowem, i dziękowała cicho i łagodnie, gdy ktoś się zbliżał i obracał ją lub poprawiał pod nią poduszki. Czasami sypiała dużo w dzień, za to po nocach nie mogła prawie nigdy zmrużyć oka. Olaf kazał teraz palić przez całą noc ogień na palenisku, a w otwór wiodący do komory kazał wstawić drzwi, aby zamknąć i ogrzać lepiej izbę. Zima nie była zbyt mroźna, ale ciągły dym nękał ludzi w nocy i w dzień.

Każdej nocy czuwał przy chorej. Eirik leżał za jego plecami i spał. Liv sypiała na ławie ziemnej, a Cecylia u matki. Olaf leżał pogrążony w półśnie, nie na tyle jednak głębokim, aby nie słyszał syku żarzących się głowni lub ledwie uchwytnych jęków Inguny. Wówczas wstawał i podchodził do niej. Przez całą zimę nie rozbierał się, z wyjątkiem dni

kąpieli, kiedy szedł do łaźni.

Przyklękał przed łóżem żony, wsuwał dłonie pod jej plecy, to znowu pod pośladki, albo trzymał przez chwilę w swych dłoniach jej pięty. Z chorobliwą grozą wyczekiwał chwili, kiedy utworzą się w tych miejscach odleżyny. Był to jakby ostatni tłący się żar tego wszystkiego, co odczuwał niegdyś dla jej ciała; zdawało mu się, że nie będzie miał siły znieść widoku popękanej skóry i ran, już za życia wrzynających się w jej ciało. Zawsze z trudnością znosił widok i zapach nieczystych ran, chociaż wstydził się tej słabości. Rozpaczliwie błagał Boga, aby do tego nie doszło. Modlił się o to tak dla siebie, jak i dla niej. Przechodził przez izbę i podsycał ogień:

– Może ci się chce pić, Inguno? A może chcesz, abym cię wziął na kolana?

Owijał ją w pościel i unosił na rękach. Siadał z nią na ławie przed ogniem, ostrożnie zginał jej obumarłe nogi i podsuwał pod nie na ławkę puchowe poduszki, podpierał jej krzyż i chude plecy swymi udami, a głowę chorej układał na swym ramieniu.

– Czy tak ci dobrze?

Zdarzało się, że zasypiała leżąc na jego kolanach. I Olaf siedział godzinami trzymając żonę, póki mu plecy nie zmarzły do szpiku kości i wszystkie członki nie zdrętwiały. Wystarczył najlżejszy ruch, aby się obudziła. Wtedy oswobadzała rękę z kołder i głaskała go po twarzy.

– Czuję się teraz o wiele lepiej – mówiła. – Zanieś mnie do łóża, Olafie, i idź spać. Musisz być zmęczony...

– Stałam się dla ciebie ciężkim brzemieniem, Olafie – powiedziała pewnej nocy. – Ale miej cierpliwość. Nie potrwa to już dłużej niż do końca zimy...

Nie zaprzeczył. W głębi duszy pomyślał to samo. Gdy wiosna nadejdzie, zabierze pewnie Ingunę z tego świata. I teraz już wreszcie gotów był poddać się temu.

Pod koniec zimy Inguna wydawała się nieco zdrowsza. Odżyła na tyle, że wypytywała o wszystko, co się dzieje we dworze i przy połowie ryb. Rankami i wieczorami nasłuchiwała odgłosu kołatek bydła, wymieniała krowy po imieniu, a raz oświadczyła, że gdy przyjdzie prawdziwa wiosna, mają ją wynieść przed dom, aby raz jeszcze mogła zobaczyć trzodę.

Cecylia była teraz niezwykle ładnym i bardzo dużym dzieckiem jak na swój wiek. Inguna miała z niej wielką pociechę, toteż za dnia Liv musiała przebywać z nią w izbie. W nocy dziecko spało wraz ze swoją opiekunką w innym domostwie; Inguna nie mogła znieść już dłużej w łożu tego grubego, dużego dziecka. Cecylia we śnie staczała się na matkę, a gdy nie spała, raczkowała po posłaniu i co chwila spadała ciężko na obolałe ciało Inguny.

Olaf nie lubił Liv do tego stopnia, że unikał przebywania w izbie, kiedy znajdowała się tam dziewczyna. Wiedział również, że kradnie po trosze i podejrzewał ją niejednokrotnie o zbyt wielką poufałość z Ankim, którego nauczyła także kraść i kłamać. Arnketil był zawsze nieodpowiedzialny w gadaniu, do tej pory jednak głównie dlatego, że nie umiał inaczej. Nie kradli znowuż tak, aby to coś znaczyło na wielkim dworze, lecz koczyło Olafa, że ma pod swym dachem nieuczciwych ludzi. Zresztą ostatnio gospodarka w Hestviken podupadła nieco; najczęściej on sam był za dnia tak zmęczony, że nie miał sił zająć się tym wszystkim, czego powinien był dopatrzyć, a wiadomo, że w dół toczy się wóz coraz szybciej...

Tak więc i w ciągu dnia nieczęsto widywał Cecylię. Z wolna jednak do miłości ku córce dołączyło się głębokie, bolesne uczucie, które go piekło do żywego, ilekroć przypominał sobie ową błękitną, parną noc wiosenną, w której po powrocie do domu zastał malutką w kołysce. Kiedy po raz pierwszy położono mu Cecylię w ramionach, był pewny, że ta dziecina zwiastuje odmianę w ich losie, że przysłała na świat ze szczęściem ich obojga.

Kochał tę maleńką córeczkę, ale miłość ta zapadła głęboko w serce i tam leżała na dnie niby jakieś nieśmiałe, milczące życie. W pierwszych tygodniach ojciec przystawał nieraz nad kołyską, dotykał córki palcami, bawiąc się z nią pieśczośliwie, pełen cichej, zdumionej radości, gdy udało mu się pobudzić ją do śmiechu. Niezgrabnie i bez wprawy podnosił ją i tulił do siebie. – Cecylio, Cecylio. – Teraz, kiedy przenoszono córkę dziedzińcem, przeważnie zatrzymywał się, uśmiechał się do niej z daleka i kiwał ręką; dziecko nie zwracało na to wcale uwagi. Nawet i to, że była tak ładna i że w delikatnym dziewczątku rozpoznawał jasne barwy własnego rodu, zdawało się tylko jeszcze wzmaczać smutek ojca.

Eirik zrobił się całkiem potulny. Dziewięcioletni wisus trzymał się nieświadomie z dala od dorosłych, zajętych, jak zauważył, posępnymi myślami. Dosyć było zajęcia i biegania na wielkim dworze dla chłopca; do izby mieszkalnej wchodził więc tylko na posiłek i spanie.



Olaf musiał wybrać się do miasta na jarmark wiosenny przed Wielkanocą. Po przyjeździe otrzymał wiadomość, że ma się udać do klasztoru dominikanów.

Przeor zawiadomił go, że jego przyjaciel Arnvid syn Finna zmarł tej zimy. W lecie zeszłego roku złożył śluby zakonne u braci w Hamarze, ale już w drugim tygodniu postu umarł niespodzianie – nikt nie wiedział, z jakiej przyczyny. Kiedy mnisi szli na jutrznię, zakonnik idący obok brata Arnvida ujrzał, że ten zbladł nagłe i zachwiał się, gdy go jednak szepsem zapytał, czy nie jest chory, Arnvid potrząsnął głową. Gdy ukłękli w kościele, przy słowach *Verbum caro factum est*, jego sąsiad spostrzegł, że brat Arnvid nie może się podnieść, a po skończonej mszy leżał

zemdlony. Wniesiono go do dormitorium i złożono na pościeli. Od czasu do czasu wydawał lekki jęk, lecz był nieprzytomny. W południe odzyskał jednak świadomość i cichym głosem poprosił o ostatnią przysługę. Zaraz po otrzymaniu Sakramentów świętych zasnął, a gdy mnisi wrócili z niesporów, już nie żył. Zgasł tak cicho, że braciszek czuwający u jego łoża nie umiał powiedzieć, kiedy wyzionął ducha.

Przeor oznajmił również, że Arnvid przed wstąpieniem do klasztoru rozdał część swoich kosztowności znajomym i krewnym, te zaś dwa rogi do picia kazał synom posłać Olafowi synowi Auduna. Synowie jego jednak są takimi dziwakami, że nigdy nie opuszczają rodzinnej gminy, i dopiero gdy przybyli na pogrzeb ojca do Hamaru, Magnus przywiózł rogi do klasztoru. Ojciec Bjarne nie chciał przesłać tych rzadkich, cennych darów na południe, póki nie mógł ich powierzyć jednemu ze swoich ludzi zakonnych.

Olaf znał dobrze te rogi z Miklebö. Były niewielkie, lecz bardzo cenne: dwa szpony gryfa<sup>[48]</sup> okute srebrem i pozłacane. Olaf pił z nich nieraz z przyjacielem miód lub wino podczas uroczystych biesiad. Zawartość rogu starczyła akurat dla jednego męża.

Wieść o śmierci Arnvida wstrząsnęła Olafem do głębi. Nie mógł usiedzieć w mieście między obcymi ludźmi; tego samego jeszcze wieczoru pożegłował z powrotem do Hestviken.

Bywały godziny, w których biegł myślą ku przyjacielowi i ich ostatniej rozmowie i czuł w duszy gorejący wstyd, że tak zupełnie obnażył się przed nim. Chwilami żałował nawet tak bardzo tej słabości, iż zdawało mu się, że wieść o śmierci Arnvida przyniesie mu ulgę... Teraz poczuł nagle, że to jest ostatni cios i że dłużej nie potrafi walczyć z własnym sercem... Teraz, gdy wiedział, że już nikt poza nim samym nie wie o jego

[48] ...szpony gryfa... – tą nazwą określano na północy w średniowieczu małe rogi do picia. (Przyp. tłum.)

zbrodni, gdy nie ma już ani jednego powiernika, zupełnie sam nie jest w stanie dźwigać nadal ciężaru swojej tajemnicy.

I po raz pierwszy rozpoznał jasno istotę ich przyjaźni. To on był tym, który wykorzystywał zawsze Arnvida, a Arnvid pozwalał się wykorzystywać. Okłamał przyjaciela i przyjaciel przejrzał jego kłamstwo. Nie tylko za pierwszym razem, ale stale, aż do ostatniego spotkania, przemawiał do Arnvida, jak mu się żywnie podobało, a Arnvid przyjmował wszystko i milczał. Zawsze on był tym, który szukał oparcia, a Arnvid mu go użyczał – podobnie jak dawał ludziom wszystko, o cokolwiek go proszono. Zapłata zaś, jaką za to otrzymał, była jak smagnięcie biczem; taką dostał zapłatą, jaką dostaje człowiek, który ma odwagę iść za przykładem Chrystusa. A pomimo to Arnvid sam się oskarżał i uważał się za niewiernego pachołka, ilekroć nie widział przed sobą jasno drogi, ilekroć umysł jego przepelniała gorycz i pogarda dla ułomności ludzkiej – jak dzieje się niekiedy z człowiekiem ośmielającym się iść drogą, po której Bóg idzie przed nim...

W porze wiosennych zasiewów Olaf żył we dworze jeszcze bardziej milczący niż zwykle.

Pewnego jednak poranku wydzieliwszy ludziom robotę, wrócił sam do domu.

Słoneczny blask płynął szeroko przez otwarty dymnik, rzucając świetlisty krąg na palenisko, na którym nie było ognia, igrał na glinianym klepisku i muskał z lekka łoże Inguny. Dzieciaki były przy niej. Eirik leżał, ciemną, kędzierzawą głowę wsparł na ramieniu matki, jego długie nożyska zwiślały z łoża. Cecylia czołgała się po kocu, podnosiła się do połowy i z radosnym piskiem upadała na bezwładne ciało pod przykryciem. Miała na sobie tylko czerwoną wełnianą koszulę, cera jej była biała i różowa, a

włosy już tak długie, że wiły się w płowych jak len, jedwabistych puklach dokoła twarzy i na karku.

Białka jasnych oczek mieniły się niebieskawo, tak że całe niemal jasne jej oczy zdawały się jednakowo błękitne, wskutek czego śliczna, delikatna twarzyczka dziewczynki miała w sobie wyraz dziwnej zwierzęcej czujności.

– Matka jest zbyt słaba, aby was dźwigać, Eiriku. – Olaf wziął Cecylię i z dziewczuszką na kolanach usiadł na skraju łoża. Przytulił córkę mocno do siebie, ale dziecko broniło się, nieprzyzwyczajone do ojcowskich pieszczot. Olaf czuł, jak mocne i jędrne jest to drobne ciało, a miękkie loczki pachniały świeżą wilgocią.

Nie mogąc dostać się do matki, wierciła się na kolanach ojca i wrywała się do brata. Eirik wziął siostrzyczkę i trzymając ją pod pachami postawił na podłodze. Cecylia wysunęła okrągły brzuszek, wyciągnęła ramionka i jedną nóżkę przed siebie, główkę odrzuciła w tył i śmiała się do brata. Potem rzuciła się naprzód i podreptała krótkimi, nieprawdopodobnie szybkimi krokami, śmiejąc się i pokrzykując głośno z uciechy. Wciągała przy tym paluszki pod różowe stopki, którymi dotychczas jeszcze prawie nigdy nie dotknęła ziemi.

Olaf przesunął ręką po kapie; leżały na niej rozrzucone na pół zwiędłe kwiaty – owe kwiaty z pogranicza wiosny i lata; polne goździki, wielkie fiołki, wyka i kaczęńce. Inguna robiła z nich bukiet.

– To teraz na łąkach już tak wszystko rozkwita?

Olaf siedział w milczeniu i przypatrywał się dzieciom. Były bardzo ładne – te dzieci, które żyć będą po niej. Eirik był już dużym wyrostkiem, smukłym i zwinnym, na wąskich biodrach nosił pas ze sztyletem. Olaf widział, że chłopak jest piękny: twarz jego zatraciła już dziecięcą pulchność, była szczupła i ostra, nos lekko wygięty, piękne zęby. Cere miał śniadą, włosy czarne, a oczy złotobrzazowe. Czy matka mogła nie

myśleć o tym, do kogo jest podobny?

– Zabierz siostrę, Eiriku, i zanieś ją do Liv. Chcę pomówić z matką.

Inguna podniosła obiema rękami pęk kwiecica do twarzy i wdychała łąpczywie cierpki zapach wiosennych soków.

– Moja Inguno – zaczął Olaf cicho lecz wyraźnie – teraz już wkrótce zostaniesz wybawiona od tego leżenia i tej męczarni. Wynająłem dla nas miejsce na szkunerze, który tego lata jedzie do Nidaros, do świętego Olafa. U niego, męczennika sprawiedliwości, osiągniesz z powrotem zdrowie.

– Olafie, Olafie, nie myślże nawet o czymś podobnym. Nigdy nie przeżyłabym tej podróży, nie dojechałabym żywa do Nidaros.

– Ależ tak, dojedziesz. – Mężczyzna przymknął oczy i uśmiechnął się boleśnie, a twarz jego powlekła się trupią bledością. – Bo teraz, Inguno, zdobędę się na odwagę. Gdy stanę tam, przed świętymi relikwiami, wyznam swój grzech. Dobrowolnie oddam się w ręce Boga, aby odpokutować to, com zgrzeszył przeciwko Niemu i przeciw prawu i sprawiedliwości ludzkiej.

Przerażona wlepiała oczy w męża. Ciągnął dalej z tym samym dzikim uśmiechem:

– Pamiętasz, co ci się przydarzyło kiedyś w Miklebö? Wstałaś z łóżka i zaczęłaś chodzić – to był cud! Nie wierzysz, że Bóg może raz jeszcze zdziałać cud?

– Nie, nie! – krzyknęła w trwodze. – Olafie, o czym ty mówisz, jaki grzech masz na myśli?

– Że zabiłem Teita... I ogień podłożyłem pod szalas, gdzie leżały zwłoki; nigdy się z tego nie spowiadałem. Przez te wszystkie lata chodziłem do spowiedzi, spowiadałem się z każdej rzeczy, błahej i ważkiej, przyjmowałem Ciało Pańskie jak wszyscy inni chrześcijanie, słuchałem mszy świętej, modliłem się i robiłem tak, jakby... jakby... Ale teraz koniec, Inguno, nie chcę już więcej. Teraz muszę złożyć moją



sprawę w ręce Stwórcy i cokolwiek On postanowi, będę Mu dziękował i błogosławił, błogosławił Jego imię...

Dojrzał śmiertelny lęk w twarzy kobiety, padł na kolana przed łóżem i ukrył głowę na jej piersiach.

– Tak jest, Inguno. Nie będziesz odtąd cierpieła dłużej za moje grzechy. Jeśli tylko uwierzysz, to wiedz, że pomoc będzie ci dana...

Podsunęła dłoń pod twarz Olafa i usiłowała podnieść jego głowę. Słońce padło w tej chwili pełną strugą na łożo, na pochyloną głowę męża. Dojrzała, że włosy jego są gęsto przetkane siwizną; nie widać jej było zazwyczaj na płożej głowie, chyba w promieniach słońca.

– Olafie, spójrz na mnie! w imię Jezusa, nie myślże w ten sposób! Czyż ja sama nie popełniłam dość grzechów, za które muszę pokutować? Pamiętasz? – zmusiła go do podniesienia głowy. – Powiedziałeś mi niegdyś sam: nie jesteś człowiekiem, Inguno. Wiesz dobrze, co uczyniłabym z Eirikiem, gdybyś ty nie zjawił się na czas. Ja miałabym spierać się z Bogiem, dlatego iż postanowił, że nie nadaję się na matkę – ja, która całą zimę przemyślałam tylko o tym, jak zgładzić niewinne życie, co poruszało się we mnie?

Olaf spojrział na nią zdumiony. Nigdy nie sądził, że Inguna pamięta o tym. Co więcej, że pamięta jak o popełnionej winie.

– Jedyne łasce Bożej zawdzięczam, że nie mam na mym sumieniu dzieciobójstwa... A zaledwie zbawiona zostałam od tego grzechu, zamierałam uczynić coś jeszcze gorszego... I Bóg powtórnie wyciągnął dłoń, kiedy przekroczyłam już na pół wrota piekła. Dawno to już rozumiałam: nie wolno mi iść do piekła, zadając sobie samej śmierci. Każdy dzień, jaki odtąd przeżyłam, był tylko pożyczony, był zwłoką udzieloną mi, abym doszła do opamiętania i rozumu...

Nie żałę się. Olafie, czyś choć raz jeden słyszał skargę z moich ust? Wiem dobrze, że Bóg mnie ukarał nie z powodu braku miłości – On, co po

dwakroć wyrwał mnie z płomieni, w które sama gnałam...

Olaf wpatrywał się w żonę: jakby z nagłą światłość rozblęła w głębi, za jego źrenicami. Choć nieskończenie ją kochał przez te wszystkie lata, nie przypuszczał nigdy, że Inguna myśli więcej niż zwierzę, niż słońce, młoda sarna albo ptak, który potrafi kochać samczyka i potomstwo, kwilić boleśnie o zmarłe pisklę, płoszyć się byle czym i być niezaradnym wobec ran i cierpień... Nigdy nie sądził, że może mówić do żony jak do każdego innego chrześcijanina o tym, co od lat narastało w jego duszy.

– Ach nie, Olafie – biorąc go za rękę przyciągnęła go ku sobie i przytuliła głowę męża do swej piersi. Słyszał, jak jej serce łomocze dziko w wychudłej, kościstej klatce piersiowej. – Nie mów tak, przyjacielu! Twój grzech – zaiste, biały on jest wobec moich grzechów! To prawda, długie i ciężkie były nieraz te lata dla mnie, ale teraz wydaje mi się, że mimo wszystko były dobre od chwili, gdy żyłam tu z tobą i ty byłeś zawsze dobry dla mnie... Podniósł twarz:

– To prawda, Inguno. Coś dobrego przeżyliśmy oboje w Hestviken, ponieważ zawsze byliśmy przyjaciółmi. Zdrową czy chorą, miałem cię zawsze przy sobie i miłowałem cię bardziej od wszystkich ludzi na świecie dzięki temu, że wyrosłem samotnie, z dala od krewnych i druhów, a ty byłaś tym człowiekiem, z którym przebywałem najwięcej.

Właśnie dlatego, że Bóg postąpił ze mną tak miłosiernie, że mimo wszystko pozwolił mi zdobyć ciebie – a teraz widzę, jak ciężko przyszłoby mi żyć tutaj samemu, bez jedyne go człowieka bliskiego mi od dziecka – czy rozumiesz, że właśnie dlatego nie zniosę dłużej tego, aby być nadal wrogiem Boga? Dobrowolnie nie chcę żyć z Nim nadal w rozłące. Niechaj to kosztuje, ile chce...

Nie jestem również człowiekiem ubogim, Bóg oszczędził mi i tego. Dozwolił rozkwitnąć niejednemu, co przedsięwziąłem, aby poprawić nasze warunki. Posiadam obecnie więcej aniżeli wówczas, kiedyśmy się

pobrali. I wiesz dobrze, że podzieliliśmy nasz majątek; połowa należy do ciebie. Cokolwiek się więc zdarzy, nie pozostaniesz z dziećmi bez zaopatrzenia.

– Nie mów tak, Olafie. Nie może być aż tak ciężkim grzechem, żeś zabił Teita. Nie powiedziałam ci dotąd tego nigdy, nie poskarżyłam się dotąd nikomu, ale wziął mnie przemocą! Nie potrafiłam, nie mogłam nigdy mówić o tym... – głośny jęk wydarł się z jej piersi. – I ja także nie byłam bez winy, zachowywałam się z nim tak, że mógł łatwo sądzić, iż jestem do tego zdolna, ale nigdy nie myślałam, że to się tak skończy. Wtedy użył przemocy. Olafie, mówię prawdę, przysięgam...

– Wiem o tym. – Wyciągnął rękę, jak gdyby chciał ją wstrzymać. – Sam mi to powiedział. Wiem, że to zabójstwo było od pierwszej chwili sprawą błahą, gdybym je od razu zgłosił. Zaraz wtedy popełniłem błąd, a teraz wina narosła i widzę, że rodzi coraz dalsze owoce, coraz dalsze winy. I dlatego czas, bym zawrócił, Inguno, albo też stanę się najgorszym człowiekiem pod słońcem. Nie śmiem już po prostu powiedzieć trzech słów, bo wiem, że dwa z nich okażą się nieprawdziwe.

Zakryła twarz dłonią zawodząc cicho.

– Zresztą nie jest wcale pewne – ciągnął Olaf stłumionym głosem – czy arcybiskup zażąda, abym oskarżył się wobec pełnomocnika królewskiego. Może będzie zdania, że wystarczy, jeśli wypowiadam się przed Bogiem. Słyszałem o mężach, którym odpuszczono najcięższe zbrodnie, nie żądając, by niszczyli cześć i powodzenie swych krewnych. Nakazano im tylko pielgrzymkę do Jerozolimy.

– Nie, nie! – krzyknęła znowu. – Zostawiłbyś nas, poszedłbyś na kraj świata!

– Nie jest wykluczone – położył rękę na jej piersi, aby ją uspokoić – że powróciłbym do was znowu. A ty, o tym wiesz, pozostałabyś tutaj, na Hestviken, i rządziłabyś...

– W takim razie wyjdzie na jaw, że Eirik nie jest twoim synem.

– I o tym również myślałem, Inguno – odparł Olaf szeptem. – I to mnie wstrzymywało, póki nie miałem z tobą własnego dziecka: że moi spadkobiercy mogliby cię przepędzić z Hestviken razem z synem. Teraz mamy Cecylię. Możesz więc przyjąć chłopca do rodowej wspólnoty i do pełnego spadku twojej części majątku. Będzie miał w tym wypadku obok siebie bogatą siostrę.

– Olafie, przypomnij sobie, co sam powiedziałeś: że dajesz Eirikowi jedynie okup za zabójstwo ojca.

– Pamiętam o tym, ale przekonałem się, że nie miałem do tego prawa. Nie mam prawa dziedzictwa córki po przodkach ofiarować jako okup za winy dziecku obcego człowieka.

– Cecylia... Olafie, Cecylia będzie pomimo to bogatą dziewczyną. Jest bogata i urodzona w czci, pochodzi z możnego rodu, będzie także piękna. Nie będzie nieszczęśliwa, choćby się nawet musiała zadowolić puścizną należną córce po tobie.

Oblicze Olafa stało się twarde i nieprzeniknione.

– Dziecko pochodzenia Eirika nie ma prawa do okupu za ojca.

– Tak, tyś zawsze nienawidził mojego... bękarta! – wybuchnęła gwałtownym płaczem. – Słyszałam, jakieś go tak nazwał.

– I cóż stąd? Podobne słowa cisną się z łatwością w gniewie na usta, nawet gdy chodzi o dziecko zrodzone w ślubnym łóżu. – Usiłował mówić spokojnie, ale nie mógł opanować goryczy: – Nie przeczę jednak, że sam tego żałowałam. Byłoby lepiej, gdybym zwymyślał był chłopaka innymi słowami, kiedy mnie rozżłościł.

– Nienawidzisz go – powiedziała matka.

– To nieprawda. Nigdy nie postąpiłem zbyt surowo z Eirikiem. Bóg wie, że mniej otrzymał cięgów, niż zasługiwał; nie mogę go bić, bo patrzysz na mnie w taki sposób, jak gdybym cię ugodził nożem w serce,

zaledwie zwrócę się trochę ostrzej do niego. A ty rozpieszczasz go...

– Ja! Ja, która tu leżę i od rana do wieczora nie widzę chłopca na oczy!  
– Wzięła kwiaty i rozdrażniona zaczęła je szarpać. – Tygodnie mijają, a on nie odwiedza matki, nie ma czasu pogadać ze mną tak jak dziś. Ale zaraz przyszedłeś i wypędziłeś go.

Olaf milczał.

– Jeśli jednak Eirik ma cierpieć za moje winy, doprawdy, byłoby lepiej, gdyby nigdy żywy nie ujrzał światła dziennego i gdybym ja sama poniosła śmierć i potępienie za to!

– Bądźże rozsądna, Inguno – błagał Olaf cicho.

– Olafie, wysłuchaj mnie! Olafie, miej litość! Zbyt drogo okupiłbyś moje życie i moje zdrowie, gdybyś teraz dla tej sprawy musiał przewędrować taki kawał świata! Ubogi, bezdomny pielgrzym w pogańskich krajach, pośród złych, niewierzących ludzi. Albo gdyby miało się skończyć całkiem źle... gdybyś musiał stać nagi i lżony, może w niebezpieczeństwie życia, z piętnem zbrodniarza i mordercy z powodu tego człowieka – ty, najlepszy spośród mężów, sprawiedliwy i odważny!

– Inguno, Inguno, właśnie taki już nie jestem! Jestem zdrajcą wobec Boga i ludzi!

– Nie jesteś żadnym zdrajcą. Nie może być grzechem głównym, żeś zabił tamtego. Ty nie wiesz, co znaczy ugiąć się pod hańbą i szyderstwem. Ja wiem o tym – tyś nie spróbował nigdy, co to znaczy być bez czci... Nie mogę, nie, niechaj Jezus i Matka Boża ulitują się nade mną. Nie mogę raz jeszcze znieść tego, chociażbym nawet miała odzyskać życie i zdrowie! Nie zniósłabym tego, gdybym wiedziała, że każdy, co na mnie spoziera, wie o mojej hańbie, wie, kim jest kobieta, którą przywiodłeś jako panią na swój dwór. A mój Eirik jest bękartem wypchniętym z rodowej wspólnoty, bez prawa i krewnych, splodzony przez obcego przybłędę, parobka, co mnie zwabił do spichrza, między wory, jakbym była łasą na mężczyzn

kobietą z gminu...

Olaf stał i patrzył na nią – blady i struchłały.

– Nie! Gdyby darowano mi życie, abym to mogła znieść, abym miała wstać i iść temu naprzeciw z twoją małą Cecylią i moim bękartem za rękę – a ty miałbyś być z dala od nas trojga i my wszyscy bezbronni – wówczas tęskniłabym za czasem, gdy tu leżałam i czekałam, kiedy moje ciało zacznie gnić...

Wyciągnęła do niego ramiona. Olaf nie patrzył na nią. Twarz jego była nieporuszona jak głaz, lecz wziął jej rękę.

– W takim razie musi wszystko pozostać po dawnemu.

W rok potem, na początku Wielkiego Postu, Torhilda córka Björna wróciła z powrotem do Rundmyr. I natychmiast gruchnęło po całej gminie: musiała wynieść się z Hestviken tak nagle, ponieważ była w odmiennym stanie z winy Olafa syna Auduna.

Gdyby podobne nieszczęście spotkało innego męża, który przeszło rok żył jak wdowiec z chorą żoną, nie gadano by głośno o tej rzeczy. Przeciwnie, najstateczniejsi spośród gospodarzy i gospodyń daliby do zrozumienia bezmyślnym gołowąsom i tym wszystkim, co lekce sobie wazą dobry obyczaj, że im mniej plotkuje się o tej sprawie, tym lepiej. Olaf wiedział o tym, lecz wiedział również, że chodzi o niego, a on był niemal napiętnowany, chociaż, o ile pamiętał, nikomu w gminie nie wyrządził krzywdy. Ludziska od czasu do czasu przypominali sobie: przy dokładnym rozważaniu nie znajdowali na jego imieniu żadnej plamy ani skazy. Trudno by mu było zarzucić jakiś niecny lub nieuczciwy czyn. Olaf syn Auduna uchodził tylko za człowieka nie lubianego i za nieprzyjemnego towarzysza.

W krótkim, szczęśliwym okresie po narodzinach Cecylii, zanim stało się jasne, że jej matka przypląciła to resztą zdrowia, ludzie okazywali Olafowi sporo życzliwości. Kiedy zniesiona została dziwna klątwa, wskutek której ród na Hestviken nie mógł mieć żywych dzieci, sąsiedzi cieszyli się wraz z Olafem, sądząc, że stanie się bardziej przystępny i nie będzie już tak psuł innym zabawy, jak dotychczas; gasił przecie wszelką radość i wesele wokół siebie, choćby przez to samo, że siedział, milczał i patrzył przed siebie, niepomny na nic dokoła. Tymczasem Olaf jak gdyby nie odpowiedział im równą miarą, nie wyszedł im naprzeciw: był i pozostał tym samym tępym kołkiem, z którym nikt nie czuł się dobrze.

Na domiar dołączyła się teraz ta paskudna plotka o nim. Podczas gdy żona leżała sparaliżowana i w bólach, złamana ciężkimi porodami, mąż na własnym dworze uprawiał nierząd z szafarką. Pewnie ciągnęło się to już od lat, przypuszczali teraz ludzie; niejeden wiedział, że Olaf przywoził dziewczynie z miasta podarki zbyt kosztowne jak na jej stanowisko. Pomógł jej także wychować dzieci Björna i Gudrydy i przez cały czas kazał uprawiać pola w Rundmyr, dokąd teraz znowu się przeniosła. Niedaleko jest z Hestviken do Rundmyr – nawet na tyle nie mieli wstydu! Widziano Torhildę w jasny dzień już dobrze grubą w pasie, jak kręciła się przed chatą, nosiła wiadra między lepianką i oborą i chodziła daleko wzdłuż skraju lasu, odłupując korę z drzew i ścinając gałęzie. Równocześnie odgrzebali ludzie wszystkie plotki, krążące niegdyś o Björn i Gudrydzie.

Najbliższe krewne Olafa, Sygne na Skikkjustad i Una na Rynjul, póki mogły, brały jego stronę i starały się go usprawiedliwić. Teraz i one umilkły, a gdy ktoś wspominał Olafa, wpadały w gniew.

Olaf wiedział prawie wszystko, co mówiono o nim i Torhildzie. Gdy pewnego razu spowiadał się, sira Hallbjörn zapytał, czy to już wszystko? Wówczas dowiedział się wreszcie, jakie plotki grasują o nim w okolicy: że ta rzecz między nim i szafarką trwa już podobno od lat całych, ba, niektórzy przypuszczali nawet, że on jest także ojcem dziecka, które Liv powiła zeszłego roku na Hestviken.

W jedną z pierwszych niedziel, kiedy nie odważył się jechać z innymi do kościoła, Olaf spacerował po dziedzińcu. Była odwilż. Na podwórzu stało wielkie koryto z wodą; na wierzchu woda stała i utworzyła przejrzystą taflę nad lodem. Olaf pochylił się nad korytem i ujrzał własne odbicie. Twarz, która wychynęła ku niemu z ciemnej głębi koryta, nieco niewyraźna i zatarta, wyglądała jak twarz trędowatego: bladeść



rozpościerała się niby plamy szronu na ogorzalej skórze, a białka oczu były szkarłatne jak krew... Struchlał na widok własnej twarzy.

Z ulgą niemal przyjął zakaz przestąpienia kościelnego progu przez cały rok. W ostatnim czasie zdawało mu się nieraz, że nie wytrzyma już dłużej słuchania mszy świętej ze swym nie wyspowiadanym grzechem. Wykluczenie było jednak jeszcze gorsze. Ufał, że ciężka pokuta za cudzołóstwo będzie balsamem również na starą ranę. Teraz jednak musiał wciąż myśleć o tym, że ów grzech jest jedynie dopełnieniem dawnego. Przecież to była ostatnia rzecz, w której mógł polegać na sobie: że nic na świecie nie zdoła złamać jego wierności dla Inguny.

O jego zdradzie nie padło między nimi ani jedno słowo, lecz wiedział, że ona o niej wie.

Przyczyną wszystkiego zła była jego nagła niechęć do Inguny; ogarnęła go od tego dnia ubiegłej wiosny, kiedy jej wyznał, że nie może żyć dłużej ze swym śmiertelnym grzechem w duszy, który co dnia rodzi nowe grzechy, a ona zażądała, aby milczał nadal przez wzgląd na nią i syna. A ponieważ była chora i udręczona, miała nad nim przewagę; żaden mężczyzna godny tej nazwy nie miałby serca sprzeciwić się owemu żywemu kłębowskiemu bóleści. Poniżyć się zaś tak bardzo, aby raz jeszcze powrócić do tej sprawy – tego nie mógł, nie potrafił się na tyle przemóc. Postępował tak, jakby nic nie zostało powiedziane; pomagał jej, jak przedtem, przetrzymywać długie noce. Teraz, kiedy w jego sercu stopniała wszelka miłość i cierpliwość, dręczyło go to o wiele bardziej. Co dnia czuł ogromne zmęczenie i wyczerpanie po całonocnym czuwaniu w zepsutym powietrzu izby. Wielka gorycz duszy syciła się wciąż na nowo drobnymi rozgoryczeniami, ilekroć spostrzegał, że jest zanadto ociężały i otumaniony, aby pilnować porządku w gospodarstwie, zanadto zmęczony,

aby wziąć się porządnie do roboty.

Pewnej nocy, na krótko przed letnim przesileniem, wyszedł wcześniej, już nad ranem z izby. Inguna zasnęła wreszcie, chciał więc odetchnąć rześkim chłodem nocy, nim się sam położy. Chwilę stał przed domem w jasnej, cichej szarości. Rybacy mieli powrócić z połowu dopiero za parę godzin, cały dwór pogrążony był we śnie. Nagle zauważył, że z dachu kuchni wzbija się wiotka smuga dymu. W tej chwili przed drzwiami wyszła Torhilda, by wylać z garnka odwar; mokre włosy zwisały dokoła jej twarzy w beładnych kosmykach.

Zawsze wzruszało Olafa, że dziewczyna, stara się być schludna, pomimo ciężkiej pracy od świtu do nocy. Wstawała zawsze pierwsza i kładła się ostatnia; w ten sposób znajdowała czas, by nawet w dzień powszedni myć i rozczesać włosy oraz połatać odzież. Inguna zaniechała tych wszystkich starań już w czwartym roku ich pożycia.

Olaf podszedł do Torhildy i chwilę gawędzili; mimo woli mówili szeptem w ciszy, która ich otaczała; żadnego dźwięku prócz ptaków, które zaczynały budzić się i świergotać. Owszem, odpowiedział na pytanie dziewczyny, chwilami drzemał tej nocy, ale teraz ma zamiar wejść do domu i położyć się spać.

– A może pójdziesz do naszej izby i wypoczniesz na moim łożu? – spytała dziewczyna. – Miałbyś tam spokój. – Latem sypiała z dziećmi na poddaszu.

Torhilda mieszkała w domostwie, które należało do rodziców Olafa w pierwszych miesiącach ich małżeństwa. Była to niewielka, stara chata, leżąca pod ścianą Rumaka, nieco na uboczu, w jednym rzędzie z oborami, najbardziej wysunięta na wschód w stronę doliny. Olaf odnowił dom, wylatał dziury i uszkodzenia; wewnątrz było jednak bardzo ciasno.

Torhilda odprowadziła go do domu i wyciągnęła kolek, którym zamknęła drzwi. Z wewnątrz wionęło ku niemu powietrze, niczym zdrowy

oddech; na podłodze rozsypany był jałowiec. Izba była tak wąska, że łoże stojące pod szczytową ścianą przytykało do drugiej ściany. W półmroku połyskiwały na nim białe jak śnieg skóry, na ścianach wisiały wieńce ziół, chroniące od much i innego robactwa. Torhilda posprzątała tu czysto, zanim przeniosła się na lato.

Poprosiła, by usiadł, bo chce mu ściągnąć buty. Miał wrażenie, że sen wznosi się z czystego, świeżego posłania i ogarnia go niby letnia, krzepiąca woda. Kiedy położył się na łożu, drzemał już prawie; czuł jeszcze tylko, że Torhilda podnosi mu nogi i nakrywa go kocem.

Gdy się obudził, ujrzał, że zachodzące słońce ściela się żółtym blaskiem na murawie przed otwartymi drzwiami. Torhilda stała obok, trzymając w rękach czarkę ciepłego mleka, wprost z udoju. Wypił łapczywie.

– Wypałeś się? – spytała, wzięła pustą czarkę i wyszła.

Buty jego stały przed łóżkiem, miękkie, dokładnie natarte łojem. Obok leżał czysty kaftan, jeszcze wilgotny na piersi od prania płam. Dziura, która w nim była, kiedy Olaf zdejmował go z siebie, była załatana.

Tak więc złożyło się, że w ciągu lata coraz częściej przychodził do izby Torhildy, by się wyspać. Po każdym takim wypoczynku trudniej mu było czuć następną noc. Łaknął wprost snu – od tyłu już lat nie wyspał się porządnie.

Torhilda przychodziła rano budzić go i przynosiła mu posiłek. Jeśli odzież jego była mokra, kiedy kładł się spać, rano zastawał ją suchą, naprawioną i wylataną. Prosił dziewczynę, by tego nie robiła; to jest rzeczą Liv, ona i bez tego ma dość roboty. Torhilda uśmiechała się tylko i potrząsała głową.

W Olafie z wolna budziło się w nim pożądanie. Jeden jedyny raz w życiu pragnął trzymać w ramionach zdrową kobietę, którą by mógł

ściskać i posiadać bez lęku. Ale zdawało mu się, że nigdy tego naprawdę nie chce... Nawet tego ranka, kiedy wyciągnął rękę i objął ją, spodziewał się, że Torhilda go odepchnie, że wybuchnie może złością, ale osunęła się na posłanie bez jednego westchnienia.

Przez całą jesień i zimę żył niby na dnie czarnego morza mgieł. Czuł wstręt do samego siebie, chwilami mierzyła go także dziewczyna, a jednak nie miał siły, by wydobyć się z grzęzawiska. Pocieszał się, że gdy Torhilda wprowadzi się z dziećmi do chaty, rzecz skończy się sama. Lecz nie skończyła się.

Od wczesnego rana do późnego wieczora przebywał w izbie u Inguny. Z wyjątkiem tygodnia łowów na młode psy morskie ani jednej nocy nie spędził poza domem. Teraz, gdy zdradził żonę, gorycz jaką wobec niej odczuwał, wydała mu się diabelskim kuszeniem, któremu uległ. „Inguno, moja Inguno! Jak mogłem wy ci taką krzywdę, podczas gdy leżysz tutaj cierpliwie i bez skargi, bezsilna jak zwierzę z przetrąconym grzbietem. Taki jest kres naszej przyjaźni, że stałem się zdrajcą...”

Noc w noc obnosił ją jak dziecko po izbie, zawiniętą w koce i skóry, aby choć trochę ulżyć udrczonemu ciału. Im bardziej był zziębnięty, znużony i wyczerpany, tym większą znajdował w tym pociechę.

On i Torhilda nie zamienili niemal ani słowa od owego nieszczęsnego poranka. W ciągu ostatnich lat Torhilda była jedynym człowiekiem, z którym rozmawiał jak z dorosłą i równą sobie istotą. Pamiętał dobrze, ile jest winien Torhildzie – jej, której odpłacił w ten sposób! Niczym nie mógł usprawiedliwić swego niecnego postępuku. Nie znała przed nim mężczyzny; znała tylko trud dla dobra innych i nie żaliła się nigdy, kiedy życie srogo się z nią obeszło. Teraz nie śmiał mówić z nią i jej także nie pozwalał dojść do słowa, bo w głębi duszy widział wyraźnie, co Torhilda

od dawna ukrywała, i dlaczego ta prawa i ambitna kobieta, nie pierwszej już młodości, pozwoliła mu się wziąć bez oporu. Poznał to po jej niemych pieszczotach. Gdyby się raz tylko zapomniała, gdyby wypowiedziała to głośno, wstyd zdławiłby go...

Myślał też o jej ojcu, Björn. Tak, gdyby Björn żył, zatłukłby go na śmierć.

Olaf zrozumiał wkrótce, że nie da się też tego ukryć. W najpóźniejszym czasie, przed Bożym Narodzeniem, obawy jego przekształciły się w pewność. I w tej rozpaczycy nasza na niego pokusa: zupełnie jak gdyby szatan, co na pół ukryty w masce wiódł go przez wszystkie lata na coraz gorsze manowce, odwrócił się teraz nagle, odrzucił czapkę-niewidkę i objawił mu swą nagą, nieosłoniętą twarz...

Wiedział, że Torhilda zrobi wszystko, czego od niej zażąda. Nieraz dawniej wypływali razem łodzią na fiord. I teraz również wsiałyby z nim bez wahania do łodzi, choćby nawet przejrzała jego zamiar. Poszłyby za nim, w głębi duszy był tego pewien. Łatwo mogłoby się wówczas wydarzyć nieszczęście...

Ingunie zostałyby oszczędzona wiadomość o tym. A jemu samemu oszczędzone by było, że oto stać będzie obnażony na oczach wszystkich – najnędniejsza, najbardziej pogardy godna istota. Jeśli i tak jest już ze skórą i kośćmi w mocy czarta – wszak nic posiadał duszy, która by mogła iść na zatracenie...

Mimo to: nie! To szatan mamił go w ten sposób, on jednak mówi głośno i stanowczo: nie! Tej zbrodni nie popełnię, chociażbyś nawet przygotował już dla mnie miejsce w piekle. Nie mam nic do stracenia, wiem o tym. Cześć i nadzieję zbawienia, i szczęście, które wraz z Inguną ocaliłem aż dotąd – wszystko wypuściłem z rąk. Pomimo to nie skusisz

mnie do tego. Nie wyrządę Torhildzie jeszcze gorszej krzywdy od tej, którą już wyrządziłem. Nawet przez wzgląd na Ingunę...

Panie, zmiłuj się! Najświętsza Panno, módl się za nami! Nie za mną, dla siebie nie chcę niczego wybłagać. Ale o Panie, ulituj się nad nimi..."

„Tak, teraz już za późno – rzekł drwiąco do diabła. – Teraz cała moja czeladź już i tak spostrzegła, co się święci, możesz więc sobie już darować i nie nagabywać mnie więcej o to. Milcz. Będę twój, gdy przyjdzie czas..."

Niesamowita cisza uczyniła się dokoła Olafa. Ludzie milkli, kiedy gospodarz zjawiał się w pobliżu. Podczas posiłków padało zaledwie tu i ówdzie szeptane słowo. Olaf siedział na poczesnym miejscu, szafarka wносиła jadło i rozdzielała je. Nikt nie mógł dostrzec najmniejszej zmiany w jej sposobie bycia: pracowała tak samo nieustrudzenie od brzasku do późnego wieczora, trzymała się nadal tak samo prosto i chód jej był tak samo żwawy, chociaż można już było poznać, że jest przy nadziei.

Inguna odwracała twarz ku ścianie, gdy Torhilda wchodziła.

Nowy rok posunął się już naprzód i Wielki Post stał przed drzwiami, ani Olaf, ni Torhilda nie wspominali dotąd o tym, co ich czeka. Lecz pewnego dnia po rannym posiłku, widząc, że dziewczyna idzie do spichrza, poszedł za nią. Stała pochylona nad beczką z solą, wyjmowała półcie słoniny i czyściła je z czarnej piany, jaka na nich osiadła.

– Myślałem o tym, Torhildo – zaczął od razu – że niewiele mogę dla ciebie uczynić, niewiele mogę ci pomóc. Pragnę zrobić, to w mojej mocy. I dlatego pomyślałem... to obejście, które kupiłem pięć lat temu w Huderheim – nazywa się Auken – chcę ci teraz darować i zapisać na własność. Rundmyr mogę nadal uprawiać dla ciebie i twego rodzeństwa, jak przez te wszystkie lata.

Torhilda stała chwilę w milczeniu wpatrzona przed siebie:

– Tak, może to doprawdy lepiej, abym nie mieszkała tam w górze, na Rundmyr...

Na pewno będzie ci lepiej, jeśli nie pozostaniesz w naszej gminie. Po tym, co zrobiłem z tobą – dodał cicho.

– Auken – Torhilda spojrzała mu w twarz. – Niemały to dar dla kobiety w moich warunkach, Olafie.

– Niegdyś uważano je za obejście z trzema krowami. Kilka żywnych zagonów było na południowej stronie wzgórza, na którym stoją zabudowania. Wiesz, że już od dwudziestu lat nikt tam nie mieszka, a ci, co dzierżawili ode mnie pola, nie dbali o nie zbytnio.

Torhilda zwróciła się ku niemu i wyciągnęła rękę:

– Dzięki ci, Olafie. Rozumiem, że chciałbyś mnie jak najlepiej zabezpieczyć.

Olaf uściśnął mocno jej dłoń:

– Postąpiłem wobec ciebie najgorzej z wszystkich ludzi – szepnął. – Miałabyś prawo oczekiwać ode mnie innej zapłaty.

Torhilda spojrzała mu prosto w oczy:

– Taka sama moja wina, jak i twoja. Potrząśnął głową. Potem zapytał cicho:

– Czy nie będzie ci teraz za ciężko dawać sobie radę tutaj z całym gospodarstwem?

– Ach, nie – uśmiechnęła się słabo. – Mimo to najlepiej byłoby może, abym nie mieszkała dłużej w Hestviken?

Olaf skinął sztywno głową.

– Zabudowania na Auken są na razie w złym stanie, zapadnięte, i dachy dziurawe. Każę je naprawić i pokryć, ale przed latem nie będziesz się tam mogła wprowadzić.

– W takim razie muszę tymczasem powrócić do Rundmyr...

– Tak, innej rady nie widzę – przytaknął Olaf.

o o o

W tydzień potem Olaf wyjechał na parę dni, a gdy wrócił, Torhilda przeniosła się już do swej lepianki w Rundmyr. I Olaf uświadomił sobie, że brak mu jej niewypowiedzianie.

Nie, żeby jego miłość do Inguny osłabła lub zmieniła się. To było coś, co wyrosło zupełnie z dala od niej. Niby w powietrzne mamidło patrzył o jakieś życie tak całkiem odmienne od własnego, widział, co znaczyłoby żyć u boku zdrowej, rozsądnej kobiety, która bierze udział we wspólnych trudach i dźwiga je z tym samym zrozumieniem i hartem co on, jeśli nie z większym. I widzieć wyrastające po kolei dokoła dzieci: synów i córki, których urodzenie nie łamie zdrowia i życia matki, nie przyprawia jej o powolną śmierć. Nie, żeby pragnął zamienić swój los z tym, jaki mu przed oczyma majaczył. Zdawało mu się, że gdyby od pierwszej chwili, kiedy przyprowadzono go do wiotkiej, młodej Inguny, gdyby od pierwszej chwili wiedział, co mu w posagu przyniesie, i tak nie wyrzekłby się jej...

A jednak w głębi duszy coś w nim krzyczało za Torhildą. Wyświadczyła mu więcej dobrego niż ktokolwiek. On zaś odpłacił jej jak najgorzej.

Eirik, podobnie jak wszyscy we dworze, wiedział, co się święci z Torhildą, nie zwracał jednak na to uwagi. Wskutek milczenia, jakie rozpostarło się dokoła niej, zaświtało mu z wolna w głowie, że tkwi w tym jakaś niesamowita tajemnica. Tutaj nie chodziło widocznie o to, że postąpiła jak tyle innych dziewcząt...

Owa cisza, co rozpościerała się niby kręgi na wodzie, w którą rzucono kamień... I powoli, chociaż nie doszło go ani słowo, Eirik zrozumiał, że



ta niesamowita cisza otacza również ojca. Niejasne, bolesne przeblęski twrogi ocknęły się w sercu chłopca; nie mógł jednak zrozumieć, co ojciec może mieć wspólnego z tym, że Torhildą oczekuje dziecka. Ojciec jest przecież ożeniony z ich matką.

Sira Hallbjörn przesłał do Hestviken wiadomość, że Eirik syn Olafa ma w czasie postu przystąpić do spowiedzi i przyjąć na Wielkanoc komunię; Eirik miał niespełna dziesięć lat i powinien był to uczynić rok wcześniej. Tego ranka, kiedy ojciec wyprawił go w drogę, zapomniał Eirik wszystkich lęków i niepokoju; ksiądz proboszcz miał cały tydzień zatrzymać dzieci u siebie i odprawić rekolekcje. Pierwszy raz jechał Eirik konno sam do gminy. Ojciec pożyczył mu na drogę lekki mieczyk, a z tyłu za siodłem umocowano toból z darami dla księdza oraz zapasami żywności dla niego samego.

Nazajutrz po powrocie do domu zagadnął Eirik Olafa:

– Ojcze, kto jest moją matką chrzestną?

– Tora córka Steinfinna, twoja ciotka, która już nie żyje.

Olaf nie był tego zupełnie pewien, ale niegdyś obilo mu się to o uszy. Eirik nie pytał więcej.

Wspomnienia, o których przez lata nie pamiętał wcale, zaczęły otaczać chłopca. Wyłoniły się skądś na pół zapomniane uczucia niepewności i zmieszania. Inne dzieci opowiadały u księdza o swych rodzicach chrzestnych; sira Hallbjörn zaraz pierwszego dnia wypytywał, czego ich nauczono w domu z chrześcijańskiej wiary. Olaf przyswoił Eirikowi *Credo*, *Ojcze nasz*, *Zdrowaś* oraz *Gloria Patri*, ale od tej pory minęło już sporo czasu, ostatnio zaś nie zwracał wcale uwagi na to, czy chłopak odmawia pacierze. Eirik nie znał ich dobrze, a norweskie znaczenie słów uleciało mu prawie całkiem z pamięci. Wszystkie inne dzieci umiały się modlić, a wiele z nich nauczyło się czegoś od swych rodziców chrzestnych.

Eirik przypomniał sobie, że w czasie pobytu na Siljuaasen matka, którą

tam miał, wskazała pewnego razu przed kościołem na tęgą, wspaniale ubraną kobietę i oświadczyła, że to jest jego ciotka. Tamta jednak nie spojrzała nawet na niego, kiedy przechodziła koło nich. Nie był pewny, czy to ta sama ciotka, u której bawili w gościnie, kiedy ojciec zabrał go z Siljuaasen. W każdym razie nigdy nie słyszał, żeby to była jego matka chrzestna. I po raz pierwszy zdziwił się, dlaczego w dzieciństwie przebywał na Siljuaasen. Znał wprawdzie dzieci wychowane z dala od rodziców, ale one mieszkaly zawsze u krewnych, ludzi samotnych lub starszych. Mała dziewczynka Ingegjerda na przykład, taka śliczna – nosiła srebrny pas niczym dorosła dziewczyna, tyle że płytki na nim były drobniejsze i umiała prawie bez błędu wszystkie niemal psalmy pokutne – mieszkała u swej matki chrzestnej, trzęsła całym dworem i obojgiem starych, bezdientnych ludzi i dostawała od nich wszystko, o co prosiła. W Siljuaasen było ubogo i ciasno, a izba roila się od własnych dzieci Hallveigi i Torgala, nie słyszał również nigdy później, aby rodzice mówili o tych ludziach. Nie mogli to więc być żadni ich krewni...

Teraz wiedział już dokładnie, co znaczą słowa podrzutek i bękart, wiedział również, co znaczy zalotnica. Wspomnienie odwiedzin matki, które go wówczas tak bardzo przestraszyły, pojawiło się znowu jak żywe – zagadka... I wynurzyły się z niepamięci słowa szeptane nieraz przez matkę, kiedy nie mogła ukryć łez; przypominał sobie, że matka nosiła dawniej pęk kluczy, a potem zawieszono je u pasa Torhildy, nim jeszcze matka zachorowała obłożnie. Teraz, kiedy matka jego leżała w ciężkiej niemocy, sparaliżowana i niezdolna do niczego, wziął sobie ojciec na jej miejsce Torhildę, a ona spodziewała się wkrótce dziecka i Eirik zrozumiał, że to jest dziecko ojca. Gdyby jednak ojciec był żonaty, byłyby to grzech tak ciężki, że żaden mąż nie śmiałby go popełnić. W takim razie sprawa ma się tak, że matka jest tylko nałożnicą ojca!

Ale w takim razie, w takim razie... To, że zamożny kmieć przeganiał

precz nałożnicę oraz dzieci, posyłał je na małe osiedle, aby tam żyły z dala od dworu, a sam brał sobie inną albo się żenił – to zdarzało się już nieraz w gminie i Eirik słyszał o tym.

Trwoga ścisła serce chłopca, nie umiał odtąd usiedzieć spokojnie na miejscu. Ojciec mógł ich w każdej chwili wygnać, jeśli zechce. I nie zależało mu już wcale na żadnym z nich. Lata minęły od czasu, kiedy zabierał z sobą Eirika do gospodarstwa, nie pouczał go już nigdy, zaledwie czasem z nim rozmawiał. Na Cecylią także nie zwracał uwagi. A matka leżała ciągle, wymagała ustawicznej opieki i nie mogła niczym się zająć. Może więc ojciec wyrzuci ich wszystkich troje z Hestviken, aby zamiast nich wziąć Torhildę i jej dziecko?

Zauważył już od dawna niechęć matki do Torhildy, lecz nie zastanawiał się nad tym. Teraz zrozumiał. Nienawiść, uczucie dotąd nieznane, zrodziła się w sercu chłopca. Nienawidził Torhildy tak strasznie, że twarz mu bieleła, a pięści zwiły się w kulak na samą myśl o niej. Postanowił w duchu wykraść się pewnej nocy do Rundmyr, zabić ją za to, że chce wypędzić z domu jego biedną, chorą matkę i ich wszystkich, przebić sztyletem jej złe, fałszywe serce!

Ale ojciec, ojciec... Eirik stał niby z dwiema strzałami w rękę i nie wiedział, którą z nich z łuku wypuścić. Czy ma także nienawidzić ojca, czy też ma raczej miłować go jeszcze goręcej niż dotychczas, jeśli istnieje niebezpieczeństwo, że go straci? Olaf był dla Eirika zawrze kimś najwspanialszym na świecie; niecierpliwłość ojca, jego małomówność i chłód nie osłabiały wcale uczucia chłopca: strząsnął je z siebie, jak wodny ptak strząsa wodę, i pamiętał jedynie te chwile, w których ojciec był inny. Przede wszystkim rozpamiętywał ich wyprawy we dwóch do lasu albo na fiord i to, jak ojciec wszechwiedzący i gotów do pomocy grzał i osłaniał dziecko swą dobrą, silną opieką. Kiedy indziej także odczuwał Eirik nieraz życzliwość ojca. A potem owo wydarzenie, kiedy ojciec musiał mu

obciąć zakażony palec i rozpalone żelazo przyłożył do własnego ciała, aby mu pokazać, że to nic strasznego. Był to w oczach chłopca czyn tak promienny, że szczegółów nie przypominał sobie już dokładnie; samo wspomnienie o nim oślepiało go.

Stracić ojca... Na samą myśl o tym zimno i gorąco przesywały chłopca... w takich chwilach marzył, aby zdziałać coś wielkiego, dokonać jakiegoś męskiego czynu, który by mu zyskał sławę. Niejedno przychodziło mu do głowy, ale nie wiedział, co wybrać. Kiedy jednak ojcu otworzą się oczy, kiedy zobaczy, jakiego ma syna, i zrozumie, że wychował dzielnego chłopca, kiedy pozyska serce ojca, wówczas powie mu: żądam godnych warunków dla siostry i siebie, matki zaś niech ojciec nie waży się odesłać, chociaż jest chora, niezdolna do pracy i stoi mu na zawadzie. Torhildę natomiast ma wypędzić precz, daleko, tak żeby on, Eirik, nigdy już nie potrzebował się obawiać, że powróci z dzieckiem i zażąda ich miejsca.

Mimo że jego miłość do ojca była żywsza niż kiedykolwiek, pewność i ufność rozwiały się. Dopiero teraz Eirik spostrzegł, że ojciec nie lubi go. Chociaż Olaf nie gniewał się już nigdy, nie zwracał teraz na niego w ogóle uwagi.

W tym czasie Olaf nie myślał prawie wcale o Eiriku. Zauważył tylko z pewną nieokreśloną ulgą, że chłopiec zachowuje się spokojniej i daleko mniej przeszkadza niż zwykle.

Eirik nie zdradził wobec nikogo ani słowem tego, co się w jego sercu i myślach działo.

Wreszcie pewnego wiosennego dnia, kiedy czeladź wyszła po południowym posiłku z izby, Olaf pozostał na swym miejscu; po chwili odezwał się do Inguny:

– Może doszły cię już słuchy, że Torhilda urodziła syna... – Mówił cicho, ochryplym, jak gdyby zardzewiałym głosem.

– Słyszałam o tym. – Z wysiłkiem odwróciła głowę, by popatrzeć na męża; siedział na poczesnym miejscu, oparty o poręcz. Czerwone i białe plamy pokrywały mu twarz. Oczy były obrzmiałe i zaczerwienione. Zauważyła, że płakał.

Przez te wszystkie lata nie widziała u niego łez ani wówczas, kiedy umarł Audun, ani kiedy jej samej podano wiatyk i kobiety obawiały się, że lada chwila wykrwawi się na śmierć. Jeden jedyny raz widziała Olafa płaczącego.

– Jakie jest... to dziecko Torhildy? – szepnęła.

– Powiadają, że ładne i zdrowe.

– Widziałeś już... twojego syna? Olaf potrząsnął głową:

– Odkąd Torhilda wyniosła się stąd, nie widziałem jej ani razu.

– Ale chyba zechcesz... zobaczyć dziecko?

– Nie mogę dla niej uczynić więcej, niż zrobiłem. Położenia chłopca poprawić nie mogę. I dlatego...

Podniósł się i przeszedł przez izbę; zmierzał ku drzwiom. Inguna przywołała go:

– Jakie mu dała imię?

– Björn. – Ujrzała, że znowu zmaga się z płaczem.

– To jest imię twojego dziada.

– O tym na pewno nie myślała. Wiesz przecie, jej ojciec nazywał się tak...

Uczynił ruch, jakby chciał pochylić się nad żoną, ale potem odwrócił się i prędko wyszedł.

Zobaczyła go dopiero przy wieczerzy. Od Liv dowiedziała się, że rano poszedł do kuźni i przez cały dzień nikt go nie widział. Wyglądał, jak gdyby płakał przez cały prawie czas.

Nadeszła noc. Olaf i Inguna zostali znów sami w izbie, Eirik spał w łóżu ojca pod ścianą. Mąż zajął się chorą i opatrzył ją troskliwie, jak każdej nocy. Kilkakrotnie zdawało jej się, że bliski jest znowu płaczu. Ani słowem nie śmiała odezwać się do niego, do tego człowieka, który miał teraz własnego syna i nigdy nie będzie mógł poprowadzić go na poczesne miejsce tutaj, na swym dziedzicznym dworze. A Eirik... gdy jej już nie stanie...

Przeczuwała głucho, że Olaf nie tylko z powodu troski o swojego syna jest tak wstrząśnięty.

On sam nie myślał tak bardzo o dziecku. Płakał raczej nad sobą: miał wrażenie, że ostatnia resztką czci i dumy leży zmiażdżona u jego stóp.

Olaf syn Auduna dopiero po świętym Olafie był na tyle gotów z naprawą domostw na Auken, że Torhilda córka Björna mogła się tam przenieść z całym gospodarstwem. Parobcy Olafa mieli przewieźć ją wraz z dobytkiem przez fiord. Olaf sam w dniu przeprowadzki uciekł na południe do Saltviken.

Inguna leżała nasłuchując. Kazała otworzyć na oścież drzwi na dziedziniec. Słyszała, jak objuczone zwierzęta uderzają kopytami o skałę, potem doszły ją kołatki krów, drobne kroki owiec i kóz. Dzieci, Ranveiga i Kaare, poganiały trzódkę i pilnowały, aby się nie rozbiegła.

Liv stała w drzwiach wejściowych, jak gdyby węsząc za przeciągającą gromadą.

– Torhilda zbacza na ścieżkę wzdłuż zatoki – oznajmiła promieniejąc.  
– Nie ośmieli się przenieść swego bękarta tutaj, między domami...

– Milcz, Liv! – szepnęła Inguna bez tchu. – Zbiegnij do niej na dół, proś ją... zapytaj... powiedz, że tak bardzo chciałabym zobaczyć jej dziecko.

W chwilę potem Eirik wpadł do izby. Jego wąska, smagła twarz płonęła, żółtawe oczy ciskały gniewne iskry.

– Matko! Ona tu idzie na górę! Czy mam ją stąd wypędzić? Ta maciora z piekła rodem nie odważy się chyba przywlec swego bękarta na nasz dwór!

– Eiriku, Eiriku! – z bolesnym jękiem wyciągnęła matka żółtą jak wosk rękę. – Przez miłosierdzie Boże, nie mów tak ohydnie. To grzech naigrawać się w ten sposób z biednego stworzenia i tak je przezywać!

Chłopak był teraz wysoki i zgrabny, smukły jak trzcina i drobnokościsty. Z gniewem odrzucił w tył kształtną, kędzierzawą głowę.

– To ja posłałam po nią – szepnęła Inguna ledwie dosłyszalnie.

Chłopiec zmarszczył czoło i zawrócił na pięcie, przysiadł na brzegu drugiego łoża z gniewnym i drwiącym uśmiechem wpatrując się we wchodzącą Torhildę.

Dziewczyna trzymała głowę pochyloną; włosy owinęła szczelnie chustą ze zgrzebnego płótna. Postawa jej była tak samo wyniosła jak zwykle. W rękach niosła niemowlę w powijakach z czerwono-białym brzegiem. Dziwne, nawet w tej chwili, kiedy pokorna i smutna stanęła przed żoną Olafa, poruszała się z dawną godnością i spokojem.

Kobiety przywitały się i Inguna zauważyła, że Torhilda ma piękną pogodę w czasie przeprowadzki. Młoda kobieta skinęła głową w milczeniu.

– Miałam taką ochotę zobaczyć twojego syna – odezwała się Inguna nieśmiało. – Bądź tak dobra i pokaż mi go... Połóż go tutaj, przede mną, wiesz przecie, że nie mogę się podnieść – powiedziała, gdy Torhilda podała jej zawiniątko. Szafarka położyła dziecko na łożu przed gospodynią.

Drżącymi rękami odchyliła Inguna pieluszki. Malec nie spał. Leżał i patrzył w przestrzeń wielkimi, modrymi oczyma; nikły uśmiech, jakby odbłask jemu tylko wiadomego światła, błąkał się na bezzębnych, słodkich

od mleka usteczkach. Delikatny, jasny puch wiał się pod brzegiem czepka.

– Czy duży jest na swój wiek? – spytała Inguna. – Będzie miał już chyba ze trzy miesiące.

– Skończy trzy miesiące po świętym Lavransie.

– I ładny jest... Podobny do mojej Cecylii, zdaje mi się. Torhilda stała w milczeniu i spoglądała na dziecko. Nie bardzo się zmieniła; mimo to w jakiś sposób wypiękniała i odmłodziła. Nie tylko dlatego, że jej postać sprawiała obecnie wrażenie jeszcze kształtniejszej: zawsze była barczysta, piersi miała wysokie, a klatkę piersiową szeroką niczym mężczyzna. Teraz jednak jej jędrna, pełna pierś zdawała się rozsadać stanik, dzięki czemu figura była smukłej szta. A oprócz tego szarawa zazwyczaj twarz o silnych rysach stała się jakby młodsza i bardziej miękka.

– Ten chłopak nie wie chyba, co to głód – rzekła Inguna.

– Nie, Bogu dzięki – odparła cicho Torhilda. – I z Bożą pomocą nie zazna nigdy głodu, póki ja żyję.

– Olaf z pewnością będzie dbał o to, aby chłopiec nie cierpieł niedostatku, choćby nawet ciebie nie stało – powiedziała Inguna szeptem.

– Wiem dobrze, że to uczyni...

Torhilda owinęła dziecko z powrotem w chustkę i podniosła je.

Inguna podała jej rękę na pożegnanie; szafarka pochyliła się nisko i pocałowała tę rękę. I nagle Inguna nie wytrzymała, nie mogła powstrzymać słów:

– Przecie w końcu dostałaś to, coś chciała mieć już od lat, Torhildo!

Torhilda odrzekła spokojnie, z wielkim smutkiem:

– Powiadam ci, Inguno, jak prawdą jest, że wszelką nadzieję pokładałam w Jezusie i Najświętszej Dziewicy, aby osiągnąć łaskę dla siebie i dla mego dziecka – nie wydaje mi się, abym kiedykolwiek chciała cię zdradzić... A on, twój małżonek, nie chciał tego nigdy. Mimo to stało się.

Inguna odrzekła z goryczą:



– A jednak już przed laty, zanim jeszcze choroba zwała mnie z nóg, widziałam, co myślisz o Olafie... Wolałaś go od wszystkich mężów. I to trwało trzy albo cztery lata.

– To prawda, wolałam go bardziej od wszystkich, zaraz od pierwszej chwili, kiedy go poznałam.

Pożegnała cicho Ingunę i wyszła.

Eirik zerwał się, splunął za wychodzącą i zaklął wstrętnie.

Matka krzyknęła na niego cicho, przerażona.

– Mój Eiriku, nie grzesz tak strasznie! Nie przezywaj nigdy tak brzydka dziecka żadnej matki – błagała ze łzami. Chciała przyciągnąć chłopca do siebie, ale wyrwał się jej i wybiegł z izby.

Mimo wszystko, kiedy przyszedł koniec, spadło to na Olafa niespodzianie.

Zima, która nastąpiła po owym nieszczęściu z Torhilda, minęła jak obie poprzednie. Wszyscy dziwili się, że Inguna żyje jeszcze; już przeszło dwa lata nie jadła wcale stałych pokarmów. Na ciele jej porobiły się odleżyny i powiększały ciągle mimo opieki Olafa. Chora sama mało co czuła, jedynie rany na plecach, pod łopatkami, piekły ją czasem jak ogień. Musiała teraz leżeć zawsze na płótnie. Mimo że Olaf smarował grubo tłuszczem miejsca, gdzie skóra popękała, płótno wrastało w rany i serce ścisnęło się na widok jej męczarni. Nie skarżyła się jednak prawie nigdy.

Pewnego poranka Olaf przeniósł ją do swego łóża i podczas gdy Liv kładła na jej posłanie czyste skóry i płótno, on opatrywał rany na plecach żony położwszy chorą na boku. W głowie czuł zamęt ze znużenia, a zaduch izby przyprawiał go o mdłości. Nagle pochylił się nad żoną i ostrożnie dotknął wargami mokrej, ziejącej rany na jej wychudłej łopatce. Przypomniał sobie słyszaną niegdyś przypowieść o świętych mężach, którzy całują rany trędowatych, zanim je przewiążą. Tutaj jednak rzecz miała się odwrotnie: to on był trędowaty, choć zdawał się zdrowy i czysty, ona zaś, która znosiła cierpliwie i bez skargi mękę długich lat, musiała chyba być zupełnie oczyszczona...

W niczym jej już teraz nie przypisywał winy.

Inguna rozumiała, że wykluczenie z Kościoła jest ciężkim ciosem dla Olafa. Pewnej nocy, kiedy po całodziennym poście o chlebie i wodzie, zupełnie wyczerpany, czuwał przy niej, szepnęła, przyciągając go do siebie:

– Nie chcę się skarżyć, Olafie. A jednak czy nie mogłam umrzeć przy urodzeniu Cecylii? Wówczas to nieszczęście z Torhildą nie byłoby się wydarzyło...

– Nie mów tak. – Nie mógł jednak jej powiedzieć, że nie to było przyczyną nieszczęścia. Był wówczas rozgoryczony na nią i zobojętniały na wszystko; miał dość siebie samego i tęsknił do wytchnienia po tych ciężkich przejściach. Teraz nie obwiniał jej już więcej – postępowała tak, jak umiała. Prawie od trzydziestu lat wiedział, że Inguna nie grzeszy mądrością i że to jemu Bóg dał zrozumienie, jego obarczył odpowiedzialnością za nich oboje. Była niemądra, ale kochał ją niezmiernie. Nikomu nie przypisywał winy, tylko sobie. *Mea culpa, mea culpa...* Jedynie moja wina...

Wszystko w Hestviken szło teraz na opak, i gospodarka dworska, i rybołówstwo, ponieważ gospodarz sam nie mógł brać udziału w pracy. Olaf musiał całymi dniami przesiadywać u chorej. Pocieszał się, że to już nie może długo trwać... Mimo to myślał zawsze, że nie dziś i nie jutro, i nie pojutrze. Koniec zbliżał się, ale zawsze minie jeszcze jakiś czas...

Wielkanoc wypadła tego roku wcześniej, tak że doroczny jarmark w Oslo odbył się w tydzień po świętym Błażeju. Olaf musiał wybrać się do miasta; miał trochę towarów złożonych u Klause Wiepharta, z którym zawarł pewnego rodzaju spółkę. Nie dowierzał mu jednak na tyle, by mu nie patrzeć na ręce, ostatnio zaś, ilekroć przyjeżdżał do grodu, nie mieszkał nawet u niego, bo go to za drogo kosztowało. Dotychczas usprawiedliwiał się tym, że woli stanąć u dominikanów, ponieważ od młodości był przyjacielem zakonu. Tego roku nie mógł właściwie zajechać do klasztoru, ponieważ zabronione mu było słuchanie mszy. Zamieszkał więc w wielkiej oberży.

Wieczorem, ostatniego dnia jarmarku, siedział w gospodzie, posilając się swymi zapasami i popijając kiepskie piwo, gdy wtem wszedł Arnketil i zapytał o gospodarza Olafa z Hestviken.

– Tu jestem. Czy stało się coś w domu, Arnketil? Po co przyjechałeś?

– Bóg z tobą, gospodarzu. Koniec Inguny się zbliża. Otrzymała Ostatnie Namaszczenie, kiedy odjeżdżałem z dworu.

Chwyciła ją biegunka, opowiadał Anki, ale nie gorsza niż zwykle i przez parę nocy bardzo kaszlała. A gdy tego ranka twarz jej poszarzała, nikt nie spostrzegł, że to śmierć, póki stary Tore nie wszedł do izby na południowy posiłek. On poznał natychmiast, co się święci, wyszedł zaraz i osiodłał konia, aby jechać po księdza. Siry Hallbjörna znowu nie zastał w domu. Już tam jego parafianie poskarżą się biskupowi, gdy ten przybędzie z najbliższą wizytacją. Na plebanii znajdował się jeden z braci bosych jako wikary. Nim jeszcze mnich zajął się podaniem pomocy duchowej konającej, polecił, by ktoś z czeladzi pojechał natychmiast po Olafa. Nie wiadomo, czy zdąży na czas, by pożegnać się z żoną...

Zima nie była zbyt mroźna w tym roku, toteż fiord pomiędzy wyspami wolny był od lodu, Olaf przybył więc do miasta łodzią. Ostatniej nocy jednak chwycił mróz, potem powiał wiatr z południa, a tego dnia znów wszystko zamrzło; Anki wiosłując dojechał łodzią tylko do Sigvaldsteinar, tam musiał wysiąść na ląd i pożyczyć sobie konia. Teraz fiord był z pewnością pełen kruchego, niewidocznego lodu; trudno było doradzić, w jaki sposób Olaf mógłby najprędzej dostać się do domu. Musi chyba objechać fiord dokoła; Klaus Wiephart wystara mu się z pewnością o konia.

Ludzie w gospodzie skupili się dokoła Olafa i jego pachołka, otoczyli ich i dawali rady. Zbliżyło się również kilku młodych, wytwornie odzianych giermków, w długich, barwnych szatach i okryciach; siedzieli oni dotychczas w głębi izby i wśród hałasów i śmiechów raczyli się piwem i grali w kości. Jeden z nich – wysoki, jasny młodzieniec o miękkich, złotych puklach, które według ostatniej cudzoziemskiej mody spadały mu na ramiona, przemówił do Olafa. Olaf znał go z widzenia; był to jeden z

synów rycerza na Skog. Był tu razem z bratem, reszta zaś to byli zapewne paziowie z królewskiego dworu.

– Widzę, że chodzi o to, abyś jak najprędzej dostał się do domu. Mogę pożyczyć ci konia. U braciszków na przedmieściu stoi mój dobry, rączy wierzchowiec. Czy chcesz iść tam ze mną?

Olaf odparł, że to byłoby zbyt wiele, ale młodzieniec już szedł, by rozliczyć się z towarzyszami i dokończyć piwa, po czym chwycił miecz i okrycie. Olaf udzielił Ankiemu zleceń co do swych juków podróżnych i narzucił płaszcz.

Kiedy wyszli z gospody, śnieg skrzypiał pod stopami. Nad szczytami gór rozpinały się przejrzyste i zielone niebiosa, pierwsze gwiazdy zapaliły się dopiero co pod ich stropem.

– Dziś w nocy będzie psie zimno – odezwał się towarzysz Olafa. Szli na wschód przez wąskie uliczki w stronę Gjetabru.

Olaf rozpytywał młodzieńca o drogę, nie znał bowiem zupełnie gmin leżących na wschód od miasta aż do parafii Skeidis; nigdy dotąd nie jechał łądem do Oslo. Młodzian odparł, że przez cały fiord Both może spokojnie przejechać – lód trzyma tam niezłe; może zresztą gdzieś nie jest całkiem pewny, ale to nic, on z nim pojedzie.

– To stanowczo za wiele – rzekł Olaf; już on sam da sobie jakoś radę, ale towarzysz jego – nazywał się on Lavrans<sup>[49]</sup>, syn Björgulfa – już był gotów jechać.

– Mój koń stoi w mieście we dworze Steinbjörna; zaczekaj na mnie w kościele, zaraz wrócę. – Zawrócił i pobiegł z powrotem do miasta.

Kościół franciszkanów nie był jeszcze poświęcony. Bracia odprawiali mszę w jednym z domostw klasztornych, lecz Olaf słyszał, że kościół

[49] Lavrans, syn Björgulfa – jedna z głównych postaci *Krystyny córki Lavransa*, ojciec tytułowej bohaterki.

jest już pod dachem i że podczas postu zakonnicy wygłaszają w nim wieczorem kazania. Rok Olafowej pokuty mijał dopiero na Wielkanoc, ale do tego budynku, nie będącego jeszcze domem Bożym, mógł spokojnie wejść.

Mimo to dziwnie mu było na duszy, kiedy przeszedł most i przez pole szarzejące śniegiem o tej godzinie zmierzchu skierował się wydeptaną ścieżką ku kościołowi, którego szczyt rysował się czarno na usianym gwiazdami, błękitnym nieboskłonie.

Wewnątrz było chłodniej niż na dworze. Z przyzwyczajenia ukląkł wchodząc, nie pamiętając, że do tego przybytku nie wniesiono jeszcze Przenajświętszego Sakramentu. W górnym końcu mrocznej nawy jarzyła się girlanda małych świec u stóp wielkiego krucyfiksu opartego o kamienną, białoszarą ścianę. Obok w pustej i czarnej jak węgiel przestrzeni ciągnął się łuk prezbiterium.

Dalej z przodu paliło się w nawie samotne światło przed pulpitem. Mnich w zakonnym, szarym jak popiół habicie stał przed otwartą księgą i czytał. Stał na odwróconej skrzyni od narzędzi, dokoła niego zebrało się ze dwudziestu mężczyzn i kobiet w zimowych, grubych okryciach. Niektórzy stali, inni przyciągnęli kawałki belek i przewrócone dnem do góry wiadra, aby na nich usiąść, a oddech niby siwy dym wychodził z ich ust.

Pustka i surowość nie wykończonej budowli wstrząsnęły Olafem, zupełnie jakby dłoń jakaś ścisnęła jego strwożone serce. Otwory okienne na górze w ścianach zabite były deskami, w dolnej części nawy piętrzyło się jeszcze rusztowanie wzdłuż murów i oko, z wolna oswojone z ciemnością, rozpoznawało odpadki desek i belek, skrzynie i kadzie z wapnem. Najbardziej przejmujące wrażenie sprawiała ziejąca w smolistej ciemności gardziel prezbiterium. Ponad tym obrazem nie wykończonego i bezładnego świata wznosił się wielki krzyż z lśniącym wieńcem światła

u stóp.

Nie był on podobny do żadnego ze znanych Olafowi krzyżów... Z każdym krokiem, gdy zbliżał się do niego, rosła w nim ogromna trwoga i ból na widok tego wizerunku Chrystusowego. To nie była podobizna. On zdawał się żyć – sam Bóg w śmiertelnej walce, skrwawiony biczowaniem, jak gdyby każda rana, którą ludzie wzajemnie sobie zadają, rozrywała Jego ciało. Tułów przeginał się w biodrach, jakby skręcony męką, głowa opadła na piersi, na zamknięte oczy ciekła krew spod cierniowej korony, zalewała odchylone, rozdarte westchnieniem usta.

Pod krzyżem stała Maryja i Jan Ewangelista. Matka Boża zaciskała na piersiach wychudłe ręce, i patrzyła w górę z takim smutkiem, jak gdyby podniosła troskę wszystkich pokoleń i wszystkich stuleci ku Synowi, błagając Go o pomoc. Święty Jan patrzył w ziemię. Twarz jego poryta była bruzdami jak gdyby w zadumie nad bolesnym misterium...

Zakonnik czytał – Olaf znał te słowa od dziecka:

– *O vos omnes, qui transitis per viam, attendite, et videte, si est dolor, sicut dolor meus*<sup>[50]</sup>.

Po czym odłożył księgę i mówił. Olaf nie słyszał ani słowa. Widział tylko przed sobą przypowieść na krzyżu: *et videte, si est dolor, sicut dolor meus*.

W domu leżała Inguna, konająca albo martwa. Nie mógł tego myślą ogarnąć, lecz wiedział, że i jego ból ciąży również na tym ciełe niby krwawiąca rana. Krwawymi pręgami własną ręką znać swego Boga – każdy popełniony grzech, każda rana, jaką zadał sobie i innym, była taką krwawą pręgą. I w tej chwili, kiedy tu stał i czuł się tak, jakby jego własna, serdeczna krew płynęła w żyłach czarna i zmartwiała z bólu, pojął głęboko, że jego własne życie, pełne grzechów i cierpień, było również

[50] *O vos oranes...* – „O, wy wszyscy, którzy idziecie drogą, odwróćcie się i przypatrzcie, czy jest boleść, jako boleść moja” – Jer. I, 12. (Przyp. tłum.)

jedną kroplą w kielichu, jaki Bóg spełnił w Getszemane. I przyszedł mu na myśl inny werset, słyszany w dzieciństwie; uważał go dotąd za posłannictwo, ale teraz zabrzmiał jak prośba na wargach strokanego przyjaciela: *Vade et amplius jam noli peccare*<sup>[51]</sup>.

Miał wrażenie, że oczy jego przestają widzieć, cała krew zbiegła mu do serca i ciało stężało jak u trupa... To wszystko było jakby w nim samym: jego własna dusza była jak ów przybytek przeznaczony na kościół, lecz pusty i bez Boga. Panowały w nim ciemność i zamęt. Ale jedyne iskry płonącego i dającego ciepło światła skupiały się dokoła wizerunku wykluczonego ze świątyni Pana, Chrystusa Ukrzyżowanego, który dźwigał brzemię i męczarnie jego grzechów i jego rozpacz. – *Vade et amplius jam noli peccare*.

Panie mój i Boże! Przybywam, Panie! Przybywam, albowiem miłuję Cię... Miłuję Cię i rozumiem: *Tibi soli peccavi, et malum coram te feci*. „Przeciw Tobie jedynie zgrzeszyłem i zło czyniłem przed Tobą.” Tysiące razy mówił te słowa, ale w tej chwili dopiero zrozumiał, że to jest prawda, obejmująca niby w jednym kielichu wszystkie prawdy...

Boże mój, moje wszystko!

Nagle ktoś dotknął jego ramienia. Olaf wzdrygnął się: był to Lavrans syn Björgulfa; konie czekały na dziedzińcu.

– Tędy bliżej – powiedział młodzieniec i poszedł przodem przez kościół, w stronę prezbiterium. Teraz, gdy oczy Olafa oswoiły się już z mrokiem, rozpoznał ołtarz: nagi kamień jeszcze nie poświęcony i nie ozdobiony – zimne, martwe serce. W południowej stronie prezbiterium znajdowały się małe drzwi.

– Uważaj, nie wymurowali tu jeszcze schodów – ostrzegł Lavrans i zeskokczył w śnieg. Na dziedzińcu stało dwóch braciszków; jeden trzymał

[51] *Vade, et amplius jam noli peccare* – „Idź i nie grzesz więcej” – Jan 8,II.  
(Przyp. tłum.)



konie, drugi świecił łuczywem. Lavrans oznajmił im zapewne, o co chodzi, gdyż jeden z nich podszedł do Olafa. Mieszkał on swego czasu u siry Hallbjörna, był nawet raz w Hestviken. Olaf poznał twarz zakonnika, imienia jednak nie pamiętał.

– ...Cierpliwie i z poddaniem znosiła zawsze twoja żona wszystko. Ach, więc ojciec Stefan jest przy niej! Tak, tak, wspomnimy ją tutaj w naszych modłach wieczornych.

Podczas jazdy przez zamarznąłą zatokę mroźny, północny wicher dał im w plecy. Miejscami lód był jak stal, oczyszczony doszczętnie ze skąpego śniegu, który spadł w ostatnich dniach. Księżyc miał wzejść dopiero nad ranem, noc była czarna, usiana gwiazdami.

– Musimy pojechać na górę do Skog i wziąć futra – odezwał się przewodnik Olafa.

Olaf zauważył od razu, że dwór jest przestronny, liczne i wielkie zabudowania ginęły w mroku. Młody, szczupły Lavrans zeskoczył zgrabnie z konia, pomimo długich, nieodpowiednich szat, przeciągnął się i przeszedłszy podwórze otworzył drzwi jednego z domów. Po czym wrócił do swego wierzchowca i przemawiał piśszcztliwie do niego, póki nie wyszedł człowiek ze światłem. Smuga blasku spłynęła na śnieg.

– Musisz zsiąść z konia, Olafie, i wejść do izby. – Wziął łuczywo z rąk pachółka i wskazał drogę przez dziedziniec. – Mieszkamy tam, gdzie mieszkaliśmy od ślubu. Macocha i Aasmund, mój brat, zamieszkują wielki dom, jak za czasów ojca. – Uważał widocznie, że wszyscy ludzie dokładnie znali możny ród na Skog.

– Twój ojciec nie żyje? – zapytał Olaf, aby coś powiedzieć.

– Nie, umarł półtora roku temu.

– Młody jesteś jeszcze na rządzenie tak wielkim dobytkiem.

– Ja? Nie jestem wcale taki młody, mam dwadzieścia trzy lata. Otworzył drzwi; w Skog nie zamykano widać na noc domostw.

Przez przedsionek weszli do niewielkiej izby, ładnej i przytulnej. Lavrans zapalił grubą świecę łożową stojącą w pobliżu zasłoniętego łoża, rzucił szczapę na palenisko i zawołał parę słów, po czym podał za kotarę kilka niewieścich szatek.

Wkrótce potem wyszła stamtąd młoda kobieta, lekko ubrana, w czerwonym okryciu zarzuconym na długą, niebieską koszulę; czarne jak sadza pukle wsuwała pod czepiec, którym obwiązała szczupłą twarz o dużych oczach. Prosta, lekka i młoda, krzątała się po izbie, podczas gdy małżonek jej tymczasem za kotarą wyciągnął się trochę na łożu; zabrzmiał tam dziecięcy głosik, a młody ojciec śmiał się głośno:

– Nie, Havardzie. Puść zaraz! Chcesz ojcu oderwać nos? A może chciałbyś widzieć, czy nie odpadł mi na mrozie? – Niewidoczne dziecko aż zanosilo się od śmiechu.

Gospodyni przyniosła z komory jadło i ofiarowała gościowi czarę pieniącego się piwa. Olaf podziękował, lecz potrząsnął odmownie głową: jeść i pić może w tej chwili akurat tyle co nieboszczyk. Lavrans odsunąwszy od siebie dziecko, z którym się bawił, podszedł do stołu i posilał się stojąc.

– Daj mi w takim razie łyk wody, Ragnfrido. Moja żona i ja ślubowaliśmy w czasie postu pić tylko czystą wodę, z wyjątkiem tych dni, gdy jesteśmy w podróży lub mamy gości – rzucił tęskne spojrzenie w stronę pieniającej się czary z piwem. Z chytrym uśmieszkiem przyjął Olaf napój powitalny, pociągnął haust i podał czarę Lavransowi, który wypróżnił ją do dna na cześć gościa. Młody człowiek nie miał bynajmniej ochoty rozstać się z lekkim podchmieleniem, z jakim wyjechał z Oslo. Zmniejszyło się ono nieco w czasie jazdy, za to teraz Lavrans podsycił je

znów wydajnie.

Na Olafa ten jeden łyk wzięty do ust i przełknięty podziałał w ten sposób, że Olaf ocknął się nagle jakby z głębokiego snu.

Rozwiało się osobliwe uczucie, że wszystko, co widzi i przeżywa, to są tylko cienie, a jego samego zabrał Bóg z wydeptanych dróg ludzkich i postawił w samotnym miejscu przed swym obliczem, albowiem pragnął, aby to Jego stworzenie przejrzało nareszcie.

Wszystkie szmery widzialnego świata dochodziły go niby odgłosy fiordu pod skałami w Hestviken – wyczuwał je, nie słysząc ich... Głosy dochodziły go, jak gdyby z zewnątrz zamkniętej hali, gdzie przebywał sam na sam z głosem, który zaklinał i skarżył się, pełen miłości i żalu: *O vos omnes, qui transitis per viam, attendite, et videte, si est dolor, sicut dolor meus!*

Ale teraz otwarto drzwi zamkniętego pomieszczenia. Głos zamilkł, on zaś siedział w obcej izbie, u zupełnie obcych ludzi, w głębokiej nocy, i miał szukać drogi, przez nieznanne strony jadąc do domu. A w domu czekały na niego śmierć i wybór, który – sam to wiedział – z własnej winy uczynił coraz cięższym, odkładając go z dnia na dzień, z roku na rok. Teraz musi wybrać – wiedział o tym, siedząc u tego stołu, zmarznięty i przybity, wyrwany ze swego dziwnego stanu: po tym widzeniu, czy jak to nazwać, nie może dalej iść na pół we śnie, w nadziei, że Bóg wybierze kiedyś za niego i że go zmusi.

Tyle razy już pozwolił zepchnąć się z drogi na manowce, którymi nie chciał chodzić! Dawno już sprawdziły się na nim słowa biskupa Torfinna: człowiek, który sądzi, że czyni to, co chce, dożyje w końcu dnia, w którym zrozumie, że czynił coś, czego nigdy nie chciał... Pojął, że ten rodzaj woli jest jak oszczep wyrzucony z ręki na ślepy los szczęścia. On natomiast posiada własną, najbardziej wewnętrzną wolę, niezłomną jak miecz. W chwili gdy powołano, go do tego, aby został chrześcijaninem,

otrzymał ową wolną wolę, podobnie jak giermek obdarowany zostaje przez księcia mieczem pasującym go na rycerza. Jeśli nawet złamał i zmarnował wszelką inną broń – prawo wyboru, czy chce iść za Bogiem, czy też Go opuścić, jest jak miecz, i jego Pan nie wytrąci mu go z dłoni. I jeśli jego chrześcijańska wiara i cześć były teraz splamione jak nadużyty rycerski miecz zdrajcy, Bóg mu go nie odebrał: musi go nieść ze sobą pośród gromady wrogów niebieskiego Władcy albo ze zgiętymi kolanami zwrócić go Stwórcy, który wciąż jeszcze gotów jest przygarnąć Olafa do swej piersi, powitać pocałunkiem pokoju i oddać mu miecz oczyszczony i pobłogosławiony.

Olaf pragnął gorąco pozostać teraz sam na sam ze swymi myślami, chociaż nie zapominał, że ten młody Lavrans bardzo życzliwie się z nim obszedł, i wiedział, że ciężko by mu było bez jego pomocy dotrzeć dzisiaj do domu. Dwoje młodych ludzi niepokoiło go jednak i odrywało od duchowych rozważań ciągłą gotowością pomocy. Kobieta przyklękła przed nim i chciała mu pomóc zmienić buty; wyciągnęła onuce z grubej, cieplej bai oraz ciężkie kosmate buty, wyścielone słomą. Wionęła od niej woń ciała i włosów, ciepła i zdrowia. Olaf skulił się jak gdyby dla samoobrony. Młoda matka promieniała i tchnęła tym wszystkim, od czego krok za krokiem został w życiu odcięty, od czego – zrozumiał to tej nocy – był tak całkowicie oddzielony, jakby związał się zakonnymi ślubami.

Lavrans przyszedł z naręczem futer, by wybrać coś stosownego dla gościa. Olaf zasępił się, gdy się okazało, że szaty tamtego były dla niego za luźne; zniknął w nich po prostu, gdy je na siebie włożył. Olaf sprawiał wrażenie barczystego, a Lavrans raczej smukłego; mimo to był silniejszy, niż wyglądał, a do tego słusznego wzrostu. I w bolesnej pysze poczuł się Olaf do żywego dotknięty tym, że pod każdym względem – wzrostem, poważaniem i władzą – znaczy mniej od Lavransa, tego wysokiego, jasnego chłopca, który tak swojsko czuł się w przytulnej izbie z żoną i

dzieckiem, rządził i rozkazywał na możliwym dworze rycerskim, był dobry, skory do pomocy i zadowolony. Lavrans miał twarz owalną, o pięknych, wyrazistych rysach, ale policzki jego były gładkie i po dziecinnemu zaokrąglone: życie nie drasnęło jeszcze ani razu młodej, świeżej cery i zapewne nigdy tego nie uczyni. Wyglądał na takiego, co pójdzie prostą drogą przez życie, nie zaznawszy wcale zgryzoty.

Olaf był zdania, że odnajdzie na pewno sam drogę przez las do parafii Skeidis; Lavrans nie powinien nawet myśleć o tym, aby na taki ziąb wyjechać teraz, późną nocą z domu. Gospodarz zaś odparł z zapalem, że śnieg nie padał od kilku dni i las pełen jest ścieżek; tylko ktoś doskonale obznajmiony z drogami do Gerdarud może nie zabłądzić. A jedna noc spędzona pod gołym niebem – nie, rzecz doprawdy niewarta jest gadania.

Na dziedzińcu przed domem pachołek trzymał za cugle dwa świeże wierzchowce, piękne i rące. Musiał być znakomitym jeźdźcem ów młody giermek i posiadał najszlachetniejsze konie. Olaf zżymał się w duchu na siebie, bo trzeba mu było pomóc przy wsadaniu; to te olbrzymie buciory były temu winne.

Cały niemal czas jechali lasem; na cienkiej warstwie śnieżnej, do dna zamarzniętej, krzyżowały się we wszystkich kierunkach stare, wyslizgane ślady narciarzy, jeźdźców oraz sań. Księżyc miał wzejść dopiero za godzinę. Olaf przekonał się, że istotnie musiałby długo kołować i błądzić, zanim by sam odnalazł właściwą drogę w tym lesie.

W końcu wyjechali z małego lasku i ujrzeli przed sobą na równinie kościół w Skeidis. Miesiąc z tarczą nieco mniejszą niż podczas pełni wychynął w tej chwili na niebo i zawisnął tuż nad niskimi wzgórzami na północnym wschodzie. W skośnych, niepewnych promieniach księżyca równina zdawała się chwiać cieniami, bo śnieg leżał nawiany na wydmach

i tylko tu i ówdzie rozbłyskiwał lodowym lśnieniem. Nagle przypomniał sobie Olaf ową noc, kiedy uciekał do Szwecji – przeszło dwadzieścia lat temu. Pewnie ten ubywający księżyc wywoływał w pamięci odległe, zatarte wspomnienie: wtedy również musiał czekać na jego wzejście, i o tej samej mniej więcej nocnej godzinie wybrał się w drogę.

Zwrócił się do swego przewodnika i oświadczył, że stąd trafi już z łatwością sam. Podziękował mu za pomoc i obiecał odesłać konia przy najbliższej sposobności.

– Tak, tak. Oby Bóg dał, Olafie, byś po powrocie zastał w domu wszystko w lepszym stanie, niż się spodziewasz. Żegnaj!...

Olaf odczekał, póki stuk kopyt końskich nie zamarł w nocnej ciszy. Po czym skierował konia na drogę wiodącą na południowy zachód. Grunt był w tym miejscu prawie płaski i droga na dużych odcinkach dobra, mógł więc jechać szybko. Dworów w tej okolicy było już więcej.

Księżyc wzniósł się wyżej, zaćmił mniejsze gwiazdy; zielonkawa poświata jaśniała coraz silniej pod sklepieniem, łała się na białe pola i szary, oszroniony las. Cienie skurczyły się i zmały.

Raz zapiał kur w księżycowej jaśni; odpowiedziały mu koguty z odległych dworów. Olaf spostrzegł, jak cicha jest ta noc. Żaden pies nie zaszczekał, nie odezwał się głos zwierzęcia, żadnego dźwięku nie było słyhać poza uderzeniem kopyt jego własnego wierzchowca, kiedy tak jechał sam jeden.

I znowu zdawało mu się, że został przeniesiony w inny świat. Zniknęło wszelkie życie i ciepło; leżało teraz w okowach mrozu i śniegu, jak leżą zimową porą jaskółki na dnie jeziora<sup>[52]</sup>. Samotny jechał przez państwo śmierci, ponad którym mróz i księżyc wznosiły olbrzymią, rozbrzmiewającą echem kopułę; ale z jej dna niósł się ów głos w nim nieustannie:

[52] *Jaskółki na dnie jeziora* – norweska legenda. (Przyp. tłum.)

*O vos omnes, qui transitis per viam, attendite, et videte, si est dolor sicut dolor meus!*

Ugiąć się, oddać całego siebie, złożyć swój żywot w te przebite dłonie, jak człowiek pokonany składa miecz w ręce zwycięskiego rycerza. W ostatnim roku, odkąd popełnił cudzołóstwo, nie chciał nigdy myśleć o miłosierdziu Bożym. Niemęsko i niegodnie byłoby spoglądać teraz w tamtą stronę. Tyle czasu obawiał się i unikał sprawiedliwości ludzkiej... A teraz, gdy sprawa jego była tak przedawniona, że może zostałyby mu oszczędzone uiszczenie pełnego okupu za ów czyn u ludzi – teraz miałby prosić o łaskę! Wydało mu się, że jeśli tak długo uniknął wyroku ziemskiego, musi być tym bardziej rzetelny i nie uchylać się od sądu Boga...

Tej nocy, kiedy jechał w księżycowym blasku zimy wzdłuż brzegów wieczności, jak ktoś usunięty z kręgu życia i czasu, pojął prawdę słów usłyszanych w dzieciństwie: że grzechem największym jest wątpić o miłosierdziu Boskim, nie pozwolić temu Sercu przebitemu włócznie na wylot, aby wybaczyło... w zimnym, oslepiającym świetle poznał, że jest przecież ta mąka, jakiej zakosztował on sam – o ile serce człowieka może odzwierciedlić serce Boga, jak kałuża przydrożna odbija obraz jakiejś gwiazdy na wyiskrzonym niebie, łamiący się i drżący – owego wieczoru przed wieloma laty, w młodości, kiedy przybył do Berg i z ust Arnvida posłyszał, że chciała sobie zadać śmierć, chciała uciec przed jego przebaczeniem, miłością i jego gorącą wolą, by ją podźwignąć i ponieść do bezpiecznej przystani.

Ujrzał tej nocy przed sobą oblicze Arnvida. Druh upominał go: Wziąłeś wszystko, co ci dać mogłem, i nie zламаłeś naszej przyjaźni, dlatego byłeś moim najlepszym przyjacielem. I pomyślał o Torhildzie. Nie widział jej ani razu od tego dnia, kiedy wygnał ją ze swego dworu, ponieważ nosiła pod sercem jego dziecko, dziecko żonatego mężczyzny – ani jemu, ani

matce nie mógł nigdy wynagrodzić hańby. Ale Torhilda odeszła bez jednego gorzkiego słowa, bez skargi na swój los. Przeczuwał: miłowała go tak bardzo, że chciała spełnić dla niego ten ostatni dobry uczynek: odejść bez skargi i największą pociechą tej kobiety w nieszczęściu było to, że mogła jeszcze wyświadczyć mu coś dobrego...

Nawet nędznych grzeszników zasmucało najbardziej, gdy przyjaciel w biedzie nie chciał przyjąć ich pomocy. Mimo że tkwił w grzechu i zgryzocie, Bóg pozwolił mu używać w pokoju szczęścia: mógł obdarzać Ingunę i nigdy mu nie powiedziano, że miara się dopełniła. I znów wrócił do niego słowa z czasów dzieciństwa na wskroś przeświecone, tak że zrozumiał do głębi ich znaczenie: *Quia apud te propitiatio est: et propter legem tuam sustinui te, Domine*<sup>[53]</sup>.

Powoli obcy koń pod nim zmęczył się; Olaf zatrzymał się i pozwolił mu chwilę wypocząć. Para z rozgrzanego zwierzęcia wyglądała jak srebrny dym w blasku księżyca, który płonął jasno w najwyższym punkcie nieboskłonu. Olaf ocknął się i rozejrzał dokoła. Za nim, na skraju lasu leżał jakiś dwór, którego nie znał, przed sobą dostrzegł wielką, białą powierzchnię, okoloną wysoką, połyskującą szronem trzciną, szeleszczącą słabo na wietrze. Jezioro? Nie, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Z pewnością zabłąkał się zbyt daleko na wschód, w głąb łądu.

Kiedy wreszcie wydostał się z lasu i rozpoznał okolicę, wybladły miesiąc przesunął się już daleko na południowy zachód, niebo zaczęło jaśnieć, błękitnieć i powlekać ziemię czerwonożółtym blaskiem. Znajdował się obok kilku niewielkich zagród w południowej stronie gminy. Najkrótsza droga do Hestviken wiodła stąd przez kopułę Rumaka. Zdrętwiały, zmarznięty i śmiertelnie znużony stał Olaf, przeciągał się i

[53] *Qula apud...* – „Ale u Ciebie jest przebaczenie i dla zakonu Twego zaufałem Ci” – Ps. 129, 4. (Przyp. tłum.)



ziewał; zsiadł z konia, by poprowadzić biedne, zmęczone zwierzę pod górę. W milczeniu głaskał obcego wierzchowca, dłonią objął jego pysk; szron i zlodowaciała piana przyłgnęły do sierści. Był już ranek.

Dotarłszy na grzbiet Rumaka Olaf zatrzymał się chwilę i nasłuchiwał – wstrząsnęła nim niezwykła cisza: fiord zamilkł po ostatnich mrozach. Jak daleko okiem sięgnąć, zatoka pokryła się lodem, szarobiałym i sfalowanym. Południowy wiatr przełamał z początkiem tygodnia lodową powłokę i napędził kry; mróz ostatniej nocy splótł wszystko w lodowy pokrowiec. Przejrzysty, mroźny szron snuł się nad ziemią i osadzał na niej kosmatym nalotem, a powietrze zabarwiło się nikłym różem od słońca, które lada chwila miało podnieść się z mgły.

Gdy posłyszano stuk kopyt na dziedzińcu, mnich wyszedł przed drzwi.

– Bogu dziękuję, że przybywasz jeszcze na czas, Olafie!

Potem stał u jej łoża. Leżała, jej wąskie i żółte ręce skrzyżowane były na zapadłej piersi i wyglądała jak martwa; jedynie źrenice żyły jeszcze i poruszały się słabo pod przezroczystymi prawie powiekami. Kłującym bólem przeszła serce męża świadomość, że wkrótce już jej tu nie będzie. Przeszło trzy lata kręcił się tu po izbie, podczas gdy ona leżała na tym łożu udręczona, poruszając już tylko głową i rękami. Panie Jezu Chryste, czy tak wiele znaczyło dla niego to, że żyła?

Mnich gadał i gadał: jak dobrze, że Inguna zostanie wreszcie wybawiona ze swych cierpień; leży tu oto z krwawymi, otwartymi ranami na plecach. Nabożnie i cierpliwie znosiła boleści – tak jest, on, ojciec Stefan, podając jej wiatyk, modlił się: Boże, pozwól, byśmy wszyscy byli tak przygotowani na spotkanie śmierci, gdy wybije nasza ostatnia godzina, jak pani Inguna. Wkrótce potem straciła przytomność i leżała tak już od dwudziestu godzin; wyglądała tak, jakby miała umrzeć spokojnie

i bez walki. Po czym zaczął rozpytywać Olafa o jego powrót; usta mu się wprost nie zamykały.

– Prawda, tyś pewnie głodny. Niech no tam ktoś zakrzątnie się i przyniesie coś do jedzenia!

Dziewczyna wniosła piwo, chleb oraz miskę z solonymi, świeżo gotowanymi rybami. Olafowi zrobiło się słabo z samego zapachu bijącego z miski i wzdragał się przełknąć choćby kęs, lecz mnich położył mu łagodnie brudną, spuchniętą od mrozu rękę na ramieniu i zmusił go do jedzenia. Olaf zauważył, że ów ojciec Stefan jest mu niemiły, habit jego cuchnął, a twarz dzięki długiemu, spiczastemu i bezkosnemu jakby nosowi przypominała szczura.

Zaraz przy pierwszym kęsie, zemdlilo go, w przelyku poczul ból, a ślina zebrała mu się w ustach. Po przełknięciu jednak kilku kęsów poczuł, że jest wprost wygłodniały. Posiłał się w milczeniu i mimo woli patrzył na Eirika; chłopak robił coś na swym miejscu na ławie. Zauważył, że ojciec na niego spogląda, zbliżył się i pokazał mu to, co robi, tak przejęty swą pracą, że zapomniał nawet zwykłej nieśmiałości wobec Olafa.

Przechowywał skorupki dwóch orzechów włoskich, które ojciec przywiózł mu zeszłego roku z miasta; obecnie znalazł dla nich zastosowanie. Zbierał wosk kapiący z gromnicy u śmiertelnego wezglowia matki i napełniał nim skorupki. Jedną miała dostać Cecylia, drugą on sam. Ojciec Stefan natychmiast zaczął mu pomagać, z zapalem odłamywał wosk ściekający ze świecy i naradzał się z Eirikiem, w jaki sposób zapobiec przechylaniu się skorupek po ich napełnieniu.

Gdy Olaf zaspokoił głód, zmęczenie zmogło go zupełnie. Oparł głowę o ścianę z belek, krew tętniła mu w szyi i w uszach, wzrok odmawiał posłuszeństwa, gdy usiłował zatrzymać go na czymkolwiek; płomień gromnicy dwoił mu się w oczach. Chwilami powieki opadały całkiem – obrazy napierały na niego, niby mgłą przetaczająca się nad ziemią, ale

gdy brał się w garść i otwierał oczy, zapominał o wszystkim. Czuł się ociężały i pusty, a wspomnienie minionej nocy i wszystkiego, co przeżył, było tak odległe jak wspomnienie dawnego snu.

Niestrudzony ojciec Stefan zbliżył się znowu i zadreślał go, by się położył trochę w drugim łożu. Obudzi go z pewnością, gdy tylko w stanie żony zajdzie jakakolwiek zmiana. Olaf pokręcił stanowczo głową i pozostał na ławie. I tak płynęły godziny do południa.

Drzemał i spał na przemian, gdy wtem spostrzegł, że zakonnik krząta się koło umierającej. Klęcząc przed łożem, trzymał przed jej twarzą wyciągnięty krucyfiks, drugą zaś ręką dawał znaki Olafowi.

W oka mgnieniu przypadł Olaf do łoża. Oczy Inguny były szeroko rozwarte, lecz nie wiedział, czy widzi, czy poznaje krzyż w ręku księdza lub jego, pochylonego nad nią. Przez chwilę jakby błysk wyrazu zaszklił się w jej wielkich, czarnomodrych oczach, spojrzenie zdawało się czegoś szukać. Olaf pochylił się jeszcze niżej nad żoną, mnich dotknął prawie krzyżem jej twarzy – ale słaby, trzepoczący niepokój nie zniknął.

Wówczas mąż podszedł do ławy, ujął Eirika za rękę i poprowadził go do łoża matki. Mnich zaczął odmawiać litanie za konających.

– Szukasz Eirika, Inguno? Tutaj jest.

Objął chłopca ramieniem i stał, tuląc go do siebie. Eirik sięgał mu już do ramion. Ale i teraz nie wiedział, czy Inguna go poznaje.

Ukląkł więc razem z Eirikiem. Chłopak zaczął szlochać cicho i boleśnie, odpowiadając wraz z ojcem na słowa litanii:

– *Kyrie, eleison*<sup>[54]</sup>.

– *Christe, eleison* – odszepnęli mężczyzna i wyrostek.

– *Kyrie, eleison.*

– *Sancta Maria.*

– *Ora pro ea.* – Obydwaj utkwili wzrok w umierającej. Olaf z

[54] *Kyrie, eleison* – Litanie do Wszystkich Świętych. (Przyp. tłum.)

napięciem wyczekiwał znaku, że Inguna go poznaje. Chłopiec spoglądał na matkę z przerażeniem i zdumieniem, a łzy ciekły mu po twarzy i nie mógł powstrzymać łkań między odpowiedziami – *ora pro ea, orate pro ea*.

– *Omnes sancti Discipuli Domini.*

– *Orate pro ea.*

Inguna westchnęła cicho, jakby skarżąc się. Olaf nachylił się nad nią, ale ani jedno słowo nie spłynęło z jej zbielałych warg. Wszyscy trzej odmawiali dalej modlitwy za konających.

– *Per nativitatem tuam.*

– *Libera ei, Domine.*

– *Per crucem et passionem tuam*

– *Libera ei, Domine.*

Znów przymknęła oczy. Ręce jej rozplotły się i opadły. Zakonnik nie przestając się modlić, skrzyżował je ponownie na piersiach.

– *Per adventum Spiritus Sancti Paracliti.*

– *Libera ei, Domine.*

– Inguno, Inguno, obudź się chociaż na chwilę, abym widział, że mnie poznajesz!

– *Peccatores* – mówił mnich, a ojciec i syn odpowiedzieli:

– *Te rogamus, audi nos.*

Wciąż jeszcze oddychała i powieki jej drżały lekko.

– *Kyrie, eleison...*

Po odmówieniu modlitwy Olaf pozostał na klęczkach, obejmując ramieniem Eirika. Błagał w sercu: pozwól jej, Panie, obudzić się, bodaj na mgnienie oka, abyśmy mogli pożegnać się ze sobą. I chociaż w ostatnich latach każdej nocy zstępował wraz z chorą w otchłań śmierci, zdawało mu się, że nie może się jeszcze z nią rozstać. Nie może – jeśli nie pożegnają się po raz ostatni, zanim jej ciało przestąpi próg.

Eirik położył się na brzegu łoża i szlochał rozdzierająco.

Nagle chora poruszyła wargami – Olaf miał wrażenie, że szepcze jego imię. Prędko pochylił się ku niej. Mamrotała jakieś słowa, których nie mógł zrozumieć. Potem szepnęła wyraźniej:

– ...nie wychodź, tam jest niepewnie... tam, Olafie... nie czyń tego...

Nie rozumiał, co miała na myśli: czy mówiła we śnie, czy na jawie. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, ogarnął Eirika ramieniem, wstał, podniósł chłopca i poprowadził go na ławę:

– Nie płacz tak głośno – szepnął.

Eirik spojrział na niego zrozpaczony – twarz dziecka obrzmiała od płaczu.

– Ojczy – wykrztusił – ojczy, nie wypędzisz nas chyba z Hestviken, dlatego że nasza matka umiera?

– Wypędzę... kogo? – spytał Olaf nieprzytomnie.

– Nas. Mnie i Cecylię.

– Nie, ależ skąd? – Olaf umilkł raptem i wstrzymał oddech. Dzieci – o nich zapomniał zupełnie minionej nocy, gdy roztrząsał wszystko inne. To go wprost obezwładniło, lecz nie chciał w tej chwili myśleć o tym, chciał odsunąć to od siebie. Jak gdyby we śnie przysiadł na ławie, obok Eirika.

Nie miał siły teraz zmagać się z tym... Ale dzieci... że też o nich nie pomyślał!

Zbliżał się czas niesporów. Z wolna czuwanie i wyczekiwanie ostatniego tchnienia znużyło wszystkich. Liv przychodziła kilkakrotnie z Cecylią do izby, ponieważ jednak matka była nieprzytomna, a dziecko było niespokojne i krzyczało, musiała wyjść. Wreszcie wyszedł z nią Eirik. Olaf słyszał z zewnątrz ich głosy.

Usiadł na stopniu przed łożem. Ojciec Stefan zdrzemnął się przy stole,

z otwartym brewiarzem przed sobą. Ludzie dworscy wchodzili cicho do izby, przyklekali, odmawiali szeptem pacierz, siedzieli chwilę i znów wychodzili. Olaf zapadł się w sobie. Nie spał, lecz zdawało mu się, jakby zamiast mózgu miał w głowie kłęb szarej wełny, tak straszliwie był zmęczony i wyczerpany.

W pewnej chwili, kiedy znów spojrzął na Ingunę, zauważył, że powieki, jej odchyliły się: pod nimi widać było zachodzące mgłą, martwe oczy.

W pierwszych dwóch tygodniach po śmierci Inguny Olaf sam nie wiedział, kiedy spał, ale spać musiał od czasu do czasu, bo żył. Nad ranem miał zwykle uczucie, że w głowie przetacza mu się szara mgła, mąci i gmatwa myśli. Potem mgła opadała, ciemna i gęsta, ale nawet w lekkiej drzemce porannej czuł ucisk swego brzemia, czuł, że głęboko w jego duszy wirują myśli wciąż dokoła tych samych spraw; poprzez tę mgłę dochodziły go wszystkie dźwięki z izby i ze dworu. Tęsknił za tym, aby raz wyspać się do syta, zapaść się w zupełny mrok i niepamięć, ale jak się przekonał, taki głęboki sen nie zdarzał mu się nigdy.

To myśl o dzieciach nie dopuszczała snu.

Wiedział, że owej nocy, kiedy wracał konno do śmiertelnego łoża Inguny, powziął postanowienie. Odpowiedział Bogu „tak”. „Przyjdę, ponieważ jesteś moim Panem i moim Wszystkim, i padnę Ci do nóg, ponieważ wiem, że tęsknisz za tym, aby mnie ku sobie dźwignąć.”

Dzieci – zdawało mu się, że tak Bóg jak i on sam zapomnieli o dzieciach. Póki Eirik nie zapytał, czy wypędzi je z Hestviken...

Nie mógł pojąć, jakim cudem chłopak wpadł na podobną myśl. Nie mogło się to stać w naturalny sposób.

A potem myślał o ostatnich słowach Inguny i głowił się nad nimi.

– ...nie czyn tego. Olafie, nie wychodź... tam jest niepewnie...

Może mówiła tylko przez sen, może śniło jej się, że on chce wejść na cienki lód. Mogło też być tak, że podczas gdy leżała nieprzytomna, jak gdyby duch jej nie bawił już w cielesnej powłoce, dowiedziała się, co się z nim stało minionej nocy. Że i ona, i Eirik wiedzieli o tym – i że każde z osobna prosiło go...

Dzieci nie miały nikogo poza nim. Najbliższym ich krewnym był Hallvard, syn Steinfinna na Frettastein, daleko na północy. Olaf mógł sobie wyobrazić, jak by to się Hallvardowi podobało, gdyby on, Olaf, wystąpił teraz i oskarżył się o skrytobójczy mord sprzed lat dwunastu. Na pewno wuj nie przyjąłby dzieci z otwartymi ramionami... I wyszłoby chyba na jaw, kim jest Eirik...

Bo i to musiałyby wtedy wyznaczyć, że pragnął podsunąć nieprawego dziedzica, wyzuć najbliższych krewnych ze spadku i oddać majątek obcemu.

Jeżeli postąpił tak, jak postanowił owej nocy, to widział tylko jedno jedyne wyjście: Cecylię musiałyby oddać w ofierze konwentowi siostr na Nonneseter, ze spadkiem przypadającym jej po matce, Eirika zaś poświęcić Kościołowi, braciom dominikanom.

Bunt zawrzał w sercu mężczyzny: czyż to miało być treścią jego rozmyślań? Czy jego ród miałby wymrzeć na nim, dlatego że przez zbrodniczy czyn pozbawił się korony? Czy miał zostać bezdzietnym człowiekiem, ponieważ nie godziło się, aby złoczyńca podtrzymał ród? A dzieciom, które spłodził żyjąc w rozterce i nie chcąc zgodzić się z wolą Bożą, nie wolno będzie przedłużyć trwania rodu, na który swym postępowaniem ściągnął nieszczęście? Ma jednego jedynego syna, którego nigdy nie będzie mógł wprowadzić do swego rodu. A jego jedyna córka ma być stracona dla świata za klasztorną furtaa?...

Eirik... Niekiedy miał wrażenie, że żal mu chłopca. Trudno by mu

było wtrącić go teraz w położenie, w jakie gotów był niegdyś wepchnąć nieślubnego syna Inguny. Czasem sądził, że jednak lubi go także, mimo wszystko.

Zwłaszcza po nocach, kiedy Eirik spał obok niego w łóżu, Olaf czuł, że ciężko by mu przyszło skazać dziecko na los, do którego był przeznaczony urodzeniem.

Kiedy indziej znów słysząc, jak chłopak gada głośno i śmieje się z parobkami, jak gdyby zapomniał już o żałości po śmierci matki, zdawało się Olafowi, że Eirik jest teraz największym jego ciężarem, że to on stoi mu najbardziej na drodze, że utrudnia przełamanie tego wszystkiego, co go dzieliło od pokoju i ozdrowienia z choroby duszy.

Zrozumiał, że oddała się coraz bardziej od postanowienia powziętego w nocy przed śmiercią Inguny. Nie wiedział, czy wbrew woli spycha go coś na dawne drogi, czy też sam ucieka, ponieważ nie odważył się wystąpić wówczas, gdy był na to czas.

Pewnej nocy Olaf wstał i przeszedł do domu, gdzie sypiała Liv z jego córką. Z wielkim trudem udało mu się rozbudzić dziewczkę.

Liv skulona pod skórą, mrugając z ciekawością i bojaźnią, patrzyła wyczekująco w twarz pana stojącego nad nią z ogarkiem w ręku. Oblicze Olafa pod czapą opadłych na czoło przyprószonych siwizną włosów było barwy popiołu i poryte bruzdami, a wyrazisty zarys podbródka rozpływał się w nie ogolonej szczeci zarostu. Pod czarnym długim okryciem miał na sobie tylko płócienną bieliznę, a bosc stopy tkwiły w butach.

Olaf spojrział z góry na dziewczynę i zrozumiał, o czym myślała: była pewna, że przyszedł tu po to, aby zaraz podzieliła los Torhildy. Cofnęła się nawet trochę, robiąc mu miejsce u swego boku. Roześmiał się krótko i brutalnie:



– Cecylia – rzekł. – śniło mi się o niej... Chyba jest zdrowa?

Liv uchyliła skóry, aby Olaf mógł zobaczyć dziecko. Spało wtulając małą różaną twarzyczkę, na pół zakrytą jasnymi, jedwabistymi kędziorkami, w ramię niańki.

Olaf bez słowa odstawił świecę, schylił się i podniósł Cecylię. Okrył ją starannie połą płaszczą, zdmuchnął światło i wyszedł z dzieckiem na rękę.

Wróciwszy do izby rzucił okrycie na podłogę, zdjął obuwie z nóg i wsunął się do łóża z córką, która spała dalej smacznie na jego piersi. Z początku czuł, że sen omija go tak samo jak zwykle. Ale miło było leżeć tak i trzymać w ramionach to młodziutkie życie. Dziecięce włoski łechtaly go delikatnie jak jedwab w brodę, pachniały świeżością i słodyczą snu, czuł na piersi lekki, ciepły oddech dziecka. Mimo atlasowej miękkości skóry ciało miała Cecylia jędrne, mocne i krzepkie, a małe kolana, które wgniatała w tułów ojca, były okrągłutkie. Olaf leżał bez ruchu i rozkoszował się miłością do córki, podobnie jak sknera rozkoszuje się oglądaniem i pieszczaniem skarbu.

Z wolna ciało zaczęło działać niczym nagrзany kamień. Żar bijący od śpiącego maleństwa przeniknął na wskroś ojca, złagodził bolesny, kołaczący niepokój serca, błogość ogarnęła znużone ciało, rozluźniła napięcie, zamieniła je w słodkie i miękkie zmęczenie.

Czuł, jak sen spada na niego – prawdziwe dobrodziejstwo, którego wartość w pełni ocenił. Z brodą zanurzoną w miękkich kędziorkach Cecylii opadł na samo dno snu...

Zbudził go jej dziki, wściekły wrzask. Dziecko siedziało przez pół na jego piersi i darło się z całych sił, trąc piąstkami oczy. Eirik pod ścianą zerwał się również i usiadł zdziwiony. Przechylił się poprzez ojca ku siostrzyczce i próbował ją uspokoić.

Olaf nie miał pojęcia, jaka może być pora; dymnik był zamknięty,

mała lampka tranowa na krawędzi paleniska tliła się jeszcze – z pewnością było wcześniej.

Chciał wziąć Cecylię, ale rozkrzyczała się jeszcze bardziej małymi, zacisniętymi piąstkami biła dokoła, zanosząc się od krzyku. Nagle obróciła się, rzuciła się na ojca i chciała go ugryźć, lecz nie mogła uchwycić żąbkami jego chudej skóry. Eirik śmiał się do rozpuku.

Potem zaczęła szczypać powieki Olafa; targała je, szczypała i skręcała i ta zabawa sprawiała jej taką uciechę, że na chwilę zamilkła i przestała krzyzczeć, dręcząc ojca co sił. Ale po chwili rozejrzała się bezradnie dokoła:

– Liv, gdzie Liv? – piszcziała. – Mniam-mniam – rzekła rozkazująco.

– To znaczy, że chce jeść – objaśnił Eirik. Olaf wstał, poszedł do komory i wrócił z grubym kawałem najlepszego sera, chlebem oraz czarą na pół zamrożonego mleka.

Podczas gdy rozniecał ogień, by zagrzać mleko, Cecylia zła patrzyła błękitnymi, kocimi oczami na obcego człowieka i ciskała w niego kawałki chleba. Ser zjadła wszystek. – Mniam-mniam – mówiła, rzucając ostatnią skórkę na podłogę.

Olaf wyszedł do komory po dalsze zapasy dla córki. Cecylia zjadła wszystko, co dostała, po czym nie mając już nic więcej do jedzenia zaczęła znów nawoływać Liv.

Gdy mleko było dostatecznie zagrzane, ojciec podał je córce. Wypiła je do ostatniej kropli i nie chciała oddać czarki, tylko stuknęła nią o krawędź łoża. Była to piękna czara z buczyny, delikatnie rzeźbiona, Olaf odebrał ją więc dziewczynce. Z wściekłością chwyciła go oburącz za włosy, zaczęła je targać i bez litości drapać ojca po twarzy ostrymi pazurkami. Drapała, ile tylko miała sił, a Eirik skręcał się po prostu ze śmiechu. Znał siostrę lepiej niż ojciec i zapewniał, że jest najzłośliwszą czarownicą pod słońcem:

– Podrapała cię przecież do krwi, ojcze!

Olaf znosił wciąż nowe smakołyki, najlepsze, jakie tylko znalazł, ale Cecylia najadła się już do syta i odrzuciła wszystko. Nie, doprawdy, ta jego córka nie wydaje się wcale stworzona do klasztoru.

W końcu musiał pozwolić, aby Eirik zabrał rozdrażnione dziecko z powrotem do niańki.

Potem, pewnej nocy Olaf ocknął się w smolistej ciemności: lampka tranowa zgasła. Spał – po raz pierwszy od śmierci Inguny spał snem głębokim i mocnym. Zrobiło mu się dziwnie łagodnie i miękko na duszy z wdzięczności, poczuł się jakby nowo narodzony i uleczony po długiej chorobie. Tak dobrze było obudzić się wypoczętym...

Zamknął ponownie oczy, gdyż nieprzenikniona ciemność w izbie zdawała się ciężyc powiekom... Nagle rozbłysła w nim świadomość, że śnił przedtem. Próbował wyłowić okruchy snu. Śniło mu się cały czas o Ingunie i o słonecznym blasku i ta jasność trwała w nim dotąd.

Śnił, że stał z Inguną w małej kotlinie między gliniastymi zboczami, w miejscu gdzie przepływał potok, na północ od zabudowań na Frettastein. Zbocze było jeszcze płowe i nagie, pokryte zwiędłą, zgniecioną, zeszloroczną trawą. Tu i ówdzie na brzegu potoku kielkowały już rudawe i ciemnozielone lśniące pędy, wyzierające z martwej trawy. Stał z Inguną poniżej wielkiego białego głazu, który wypełniał całe łożysko strumienia, tak że woda, jak mały wodospad, spływała z obu stron z szumem i bulgotem, do zagłębienia pod spodem. Stali i przypatrywali się kilku łódeczkom z kory, puszczonej na wodę. Inguną była w swojej starej czerwonej sukni – oboje nie byli jeszcze dorośli.

Na pewno we śnie przez cały czas znajdował się z Inguną nad potokiem. Olafowi zdawało się, że stali oboje pod wielką sosną, na

stromym, kamienistym stoku. Było to już nieco niżej, tam gdzie strumień płynął dnem wąskiego jaru skalnego; olbrzymie, stoczone z gór głązy wypełniały wąskie łóżysko rzeczki, a na obu zboczach rosły paprocie, wierzbowka, maliny i tojadę tak bujnie, że nie było widać, gdzie postawić stopę między usuwającymi się spod nóg kamieniami. Inguną bała się czegoś, z cichym jękiem uczepliła się oburącz Olafa, a i jemu samemu serce się ścisnęło. Nad ich głowami przeświecał wąski skrawek nieba, nad jarem ciągnęły brzemienne burzą chmury...

Potem znaleźli się na dole, na wybrzeżu, tam gdzie jest ujście rzeczki do jeziora Mjös. Widział wygiętą łukowato linię nadbrzeżną zatoki, usianą ostrymi odpryskami skał. Jezioro migotało posepnie, pokryte szarymi grzebieniami piany. Zeszli na brzeg, zdaje się, chcieli pożyczyć łodzi...

Zrozumiał, że to ich dawna wyprawa do Hamaru wyłoniła się przed nim we śnie – wspomnienia zatarte i splątane jak zwykle, kiedy człowiek śni. Ów sen krył w sobie i tak słodczy najwcześniejszej młodości ich obojga i Olaf jeszcze po przebudzeniu czuł ten posmak.

Równocześnie przeżył jak gdyby w tym śnie wszystkie lata spędzone z Inguną.

W każdym razie musiał przespać chyba całutką noc, aby mu się to wszystko wyśniło. Pewnie wkrótce będzie dzień.

W ciemności ześliznął się z łoża, poszukał przyodziewku i ubrał się. Chciał wyjść, by zobaczyć, jaka jest pora.

Przestąpiwszy próg drzwi, dojrzał grzbiet Rumaka z grzywą lasu na górze; sterczał czarno na tle usianego gwiazdami nieba. Między zabudowaniami na dziedzińcu słał się głęboki cień, natomiast oświetlony rąbek skał zamykających widok w stronę fiordu jaśniał podobnie jak lód w blasku księżyca. Olaf stał i dziwił się – czy to możliwe? Przecież miesiąc zachodził teraz przed północą. Nad lasem w głębi doliny snuło się jeszcze słabe, chwiejne światło od zawieszzonego nisko księżyca.

Nie mógł wprost uwierzyć, że tak całkiem pomylił się w czasie. Z wahaniem, powoli szedł wzdłuż domostw po zachodniej stronie dziedzińca ku skale, skąd roztaczał się widok. Ścieżka na górę była zlodowaciała i śliska.

Półksiężyc, złoty przed zachodem, dotykał prawie wierzchołków drzew po przeciwnej stronie. Pod skośnymi, matowymi promieniami leżał zamarznięty fiord i cała jego powierzchnia zdawała się falować dzięki słabej poświacie i bladym cieniom. Dalej, w dół, poniżej gór, słabo błyszcząca gładka ziemia. Nie spał dłużej niż trzy godziny...

I znów ten blask zachodzącego księżyc pchnął myśli Olafa ku owej nocy, kiedy wyjęty spod prawa uciekał z ojczyzny. Wspomnienie to spadło na niego w tej chwili jak ogromna, nużąca niechęć.

Potem pomyślał o swym śnie – cała wieczność już minęła, odkąd chodził z Inguną na brzeg potoku, zбочem w dół, ku wsi. Inguna nie żyła – od trzech tygodni dopiero, a jednak już tak dawno.

Stał zapatrzony w gasnący z wolna księżyc i czuł jak łkanie zaciska mu krtani, a łzy wzbierają pod piekącymi powiekami. Pragnął płakać, wypłakać się raz nareszcie do woli. Nie płakał wcale, kiedy umarła, ani potem. W tych dwóch, trzech wypadkach, kiedy płakał, odkąd dorósł, nie mógł w żaden sposób stłumić szlochu, a choć wściekły walczył z całych sił, aby zapanować nad sobą, łkania, których nie mógł powstrzymać, powracały ciągle. Tej zaś nocy, chociaż tak bardzo pragnął wypłakać się w samotności, z dala od ludzkich oczu, skończyło się tylko na dławiącym bólu w krtani; kilka zaledwie łez stoczyło się z wolna, w długich odstępach, po policzkach i zastygło.

Z wiosną... z wiosną wybierze się w podróż – wpadło mu w tej chwili do głowy. – Nie wytrzyma do lata w Hestviken...

Księżyc zgasł zupełnie, świetlny krąg nad lasem spłowieł i zniknął. Olaf odwrócił się i poszedł z powrotem do domu.

Gdy chciał się położyć, wyczuł w mroku, że Eirik leży w poprzek posłania, zajmując całe miejsce między ścianą a krawędzią łoża.

I raptem opadła go dziwna niechęć – nie potrafił dotknąć chłopca, czy dlatego, że nie chciał go obudzić, czy też że tej nocy nie mógł spać z nim razem.

Południowe łoże stało puste, odkąd wyniesiono pościel i spalono słomę, na której Inguna umarła.

Olaf podszedł do drzwi komory i odsunął je. Ciągnął stamtąd przejmujący chłód i szczególnie, jakby stężały i stłumiony zapach sera i solonych ryb. Zimową porą przechowywano tam zapasy żywności i zamykano drzwi, aby nie wymrażać izby, łoże jednak było stale zasłane i gotowe na wypadek zjawienia się gości.

Olaf stał chwilę, z ręką opartą na starym słupie w drzwiach. Pod palcami wyczuł rzeźbę na drzewie – kłębowisko węży oplatających postać Gunnara.

Potem wszedł do środka, potknął się parokrotnie o statki i kadzie, aż wreszcie trafił do łoża. Wczołgał się na posłanie i wyciągnął – zamknął oczy przed czyhającym zewsząd mrokiem, gotów na przyjęcie nocy i bezsenności.